

J E F F R E Y
ARCHER

PIERWSZY MIĘDZY RÓWNYMI

PROLOG

Środa, 10 kwietnia 1931

Gdyby Charles Gurney Seymour przychodząc na świat nie spóźnił się o dziewięć minut, zostałby hrabią i dziedzicem zamku w Szkocji, posiadłości w Somerset oraz świetnie prosperującego banku kupieckiego w Londynie.

Zanim jednak w pełni pojął, co to znaczy zająć drugie miejsce w pierwszym życiowym wyścigu, musiało upłynąć kilkanaście lat.

Jego brat bliźniak, Rupert, ledwie przeszedł swoją pierwszą ciężką próbę, już zaczął ulegać zwykłym niedomaganiom wieku dziecięcego, zaliczając dodatkowo szkarlatynę, dyfteryt i zapalenie opon mózgowych, co napełniło matkę, lady Seymour, lękiem o życie pierworodnego.

Charles, przeciwnie, dawał dowody wielkiej żywotności, a uporu i ambicji wykazywał tyle, że bez uszczerbku dla siebie mógłby podzielić się z Rupertem. Po upływie zaledwie kilku lat każdy, kto zetknął się z braćmi, pod wpływem pierwszego wrażenia mylnie przypuszczał, że dziedzicem tytułu i dóbr jest Charles.

Ojciec Charlesa usiłował znaleźć choć jedną dziedzinę, w której Rupert mógłby prześcignąć brata - daremnie. Kiedy chłopcy skończyli osiem lat, wysłano ich do Summerfields, gdzie od pokoleń mali Seymourowie przygotowywali się do rygorów nauki w Eton. Już w pierwszym miesiącu pobytu w szkole wybrano Charlesa wójtem klasy i nikt nie stanął mu na drodze do godności szkolnego starosty, którą osiągnął w wieku lat dwunastu. W tym czasie uważano Ruperta za Seymoura młodszego. Następnie dwaj chłopcy przenieśli się do Eton, gdzie już w pierwszym semestrze Charles zakasował brata, zarówno we wszystkich przedmiotach nauczania, jak i w zawodach wioślarskich, a na ringu bokserskim omal go nie zabił.

Kiedy w roku 1947 dziadek, trzynasty hrabia Bridgwater, pożeg-

nał się ze światem, szesnastoletni Rupert został wicehrabią Seymourem, natomiast Charlesowi przypadł w udziale niewiele znaczący przymiotnik przed nazwiskiem.

„Czcigodny” Charles Seymour wpadał w złość, ilekroć tytułowano brata „milordem”.

W Eton Charles niezmiennie wyróżniał się w nauce i został przewodniczącym rady uczniowskiej, a po ukończeniu szkoły otrzymał propozycję studiowania historii w kolegium Christ Church w Oksfordzie. Rupert przetrwał ten okres nie przeciążając zbytnio egzaminatorów. Kiedy skończył osiemnaście lat, powrócił do Somerset, gdzie czekał go żywot bogatego ziemianina. Trudno bowiem nazwać farmerem kogoś, komu przypaść ma w udziale dwadzieścia dwa tysiące akrów ziemi.

Uwolniony od nieodłącznego jak cień bliźniaka Charles kontynuował studia, okazując wszem i wobec pewne rozczarowanie Oksfordem. W dni powszednie studiował dzieje swych przodków, weekendy zaś uprzyjemniały mu polowania i zabawy w koleżeńskim gronie. Ponieważ nikomu na myśl nie przyszło, że Rupert powinien spróbować sił w świecie finansjery, oczekiwano, iż Charles po ukończeniu studiów pójdzie w ślady ojca i zostanie najpierw dyrektorem, a potem prezesem banku Seymoura, chociaż to właśnie Rupert miał w przyszłości przejąć rodzinny pakiet akcji.

Ten wyśmienity plan spalił jednak na panewce w czerwcowym Tygodniu Ósemek Wioślarskich, gdy apetyczna studentka z Somerville wyciągnęła Charlesa Seymoura na wykład w towarzystwie dyskusyjnym zatytułowany *Wolę należeć do gminu niż do królewskich mości*. Przewodniczący towarzystwa dokonał wyczynu nie lada, sprowadzając na wykład samego premiera, sir Winstona Churchilla.

Charles siedział w tyle sali wypełnionej po brzegi studentami olśnionymi występem słynnego męża stanu. Zapatrzył się w wielkiego przywódcę, słuchając dowcipnego przemówienia, a jednocześnie wciąż myślał, że gdyby nie zrzządzenie losu, Churchill zostałby dziewiątym księciem Marlborough. Oto człowiek, który przez trzy dziesięciolecia wywierał wpływ na światowy bieg wydarzeń i z uporem odrzucał wszelkie dziedziczne tytuły - nawet tytuł księcia Londynu - jakimi chciał go obdarzyć wdzięczny naród.

Charles nie pozwalał odtąd nazywać się „czcigodnym”, jego ambicje wyrastały wyżej, ponad marne tytuły.

Inny student, który tego wieczora słuchał Churchilla, też rozmyślał o swojej przyszłości. Nie siedział jednak wciśnięty między kolegów w głębi zatłoczonej sali. Wysoki młody człowiek w białej muszce i fraku zajmował honorowe miejsce na podwyższeniu, gdyż takie prawo przysługiwało przewodniczącemu towarzystwa dyskusyjnego.

Simon Kerslake był wprawdzie synem pierworodnym, ale nie cieszył się takimi przywilejami jak Charles Seymour. Ojciec Simona, skromny radca prawny, poniósł wiele wyrzeczeń, aby jedyny syn mógł uczyć się w szkole prywatnej. Zmarł, zanim Simon ukończył Lancing College, pozostawiając wdowie niewielką rentę i wspaniały zabytkowy zegar. Matka sprzedała zegar w tydzień po pogrzebie, żeby w ostatnim roku nauki zapewnić synowi wszystkie „dodatkowe uprawnienia”, uznawane za oczywiste przez innych chłopców. Liczyła, że w ten sposób pomoże Simonowi dostać się na uniwersytet.

Od kiedy nauczył się chodzić, Simon pragnął jednego: prześcignąć rywali. Amerykanie określiliby go jako człowieka sukcesu, natomiast rodzime otoczenie, zdradzając mniejszą lub większą zazdrość, uważało, że rozpycha się łokciami i zadziera nosa. Simon długo nie mógł wybaczyć dyrektorowi szkoły w Lancing, że krótkowzrocznie pominął jego kandydaturę na przewodniczącego rady uczniowskiej. W kilka tygodni po złożeniu egzaminów dla stypendystów i rozmowie kwalifikacyjnej w kolegium Św. Magdaleny, otrzymał listowne powiadomienie o braku miejsca w Oksfordzie. Z tą decyzją jednak Simon nie zamierzał się zgodzić.

Równocześnie nadeszła propozycja stypendium na uniwersytecie w Durham. Bez wahania odpowiedział odmownie.

- Żaden premier nie studiował w Durhan* - oznajmił matce.
- Może Cambridge? - zaproponowała wycierając naczynia.
- Nie ma tradycji politycznych.
- Ale jeżeli nie masz szans na Oksford...
- Tego nie powiedziałem, mamo - zaproponował młody człowiek.
- Właśnie tam zamierzam zainaugurować rok akademicki.

Po osiemnastu latach „celnych strzałów z dystansu” pani Kerslake nauczyła się nie pytać syna, jak dopnie swego.

Dwa tygodnie przed rozpoczęciem semestru Św. Michała w Oksfordzie Simon wynajął pokój w pensjonacie przy Iffley Road. Na stole, w kącie nowego - a w zamyśle stałego - lokum sporządził spis kolegiów i podzielił je na pięć grup postanawiając, że codziennie rano pójdzie do trzech z nich, a po południu do trzech następnych i aż do skutku będzie zadawał opiekunowi świeżo upieczonych studentów to samo pytanie: „Czy przypadkiem ktoś przyjęty na ten rok nie może podjąć studiów?”

Czwartego popołudnia, kiedy Simona ogarnęło zwątpienie i zaczął oswajać się z myślą, że przyjdzie mu jednak udać się do Cambridge, otrzymał wreszcie odpowiedź twierdzącą.

Opiekun pierwszego roku w kolegium Worceстера zdjął z końca nosa okulary i popatrzył na wysokiego młodzieńca, któremu ciemne włosy opadały na czoło. Alan Brown był dwudziestym drugim z kolei wykładowcą, do którego Simon zwrócił się ze swoim pytaniem.

- Tak - powiedział. - Miesiąc temu zginął w wypadku motocyklowym absolwent szkoły w Nottingham, który miał u nas studiować.

- Ale co... jaki przedmiot? - wyjąkał Simon.

Rzadko miał takie trudności z wysłowieniem się jak teraz. Modlił się w duchu, żeby to nie była chemia, antropologia ani studia klasyczne. Alan Brown przerzucił podręczną kartotekę z satysfakcją, jaką przynosi zabawa w kotka i myszkę. W końcu znalazł to, czego szukał.

- Historia - odczytał z karty.

Simonowi zabiło szybciej serce.

- Nie dostałem się do kolegium Magdaleny na wydział polityki, filozofii i ekonomii - powiedział. - Chciałbym prosić o przyjęcie mnie na wolne miejsce.

Opiekun uśmiechnął się mimo woli. W ciągu dwudziestu czterech lat pracy nie zdarzyło mu się spotkać z taką prośbą.

- Imię i nazwisko? - zapytał nakładając okulary, jak gdyby dopiero teraz przystępował do rzeczy.

- Simon John Kerslake.

Doktor Brown podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer.

- Nagel? Mówi Alan Brown. Czy rozważaliście kandydaturę niejakiego Kerslake'a?

Pani Kerslake nie zdziwiła się wcale, kiedy wkrótce jej syn

został przewodniczącym towarzystwa dyskusyjnego. Przekomarzała się z nim nawet, że to przecież nic innego, jak kolejny etap na drodze do urzędu premiera - Gladstone, Asquith... Kerslake?

Ray Gould urodził się w ciemnej izdebce nad sklepem ojca, rzeźnika w Leeds. Przez dziewięć lat mieszkał razem z niedomagającą babcią, która zmarła przeżywszy sześćdziesiąt jeden lat.

Ray zżył się z babką, która straciła męża w pierwszej wojnie światowej, i z zapartym tchem słuchał opowieści o bohaterze w mundurze khaki. Mundur starannie złożony spoczywał teraz w szufladzie, ale można go było podziwiać na wyblakłej fotografii przy łóżku. Gdy Ray zrozumiał, że babka od niemal trzydziestu lat jest wdową, jej opowieści zaczęły napełniać go smutkiem. Postać staruszki nabrała w jego oczach tragizmu - zdał sobie sprawę, że całym jej światem jest ciasna izdebka mieszcząca skromny dobytek oraz pięćset bezwartościowych wojennych obligacji w pożółkłej kopercie.

Testament był niepotrzebny. Pewnego dnia Ray objął w posiadanie pokój, w którym zaczęły królować podręczniki i wypożyczone z biblioteki książki. Nieraz opóźniał się z ich oddaniem i wówczas kary pochłaniały kieszonkowe. Ojciec Raya, oglądając przynoszone ze szkoły oceny, po pewnym czasie pożegnał się z zamiarem umieszczenia nad witryną sklepu mięsnego dumnego szyldu „Gould i Syn”.

Kiedy Ray skończył jedenaście lat, zdobył w konkursie główne stypendium do szkoły Roundhaya. Na uroczystość rozpoczęcia roku szkolnego poszedł po raz pierwszy w życiu w długich spodniach, które matka musiała sporo podwinąć, i w zbyt dużych rogowych okularach. Matka Raya miała nadzieję, że znajdą się w szkole równie chudzi i przyszczaci chłopcy, a rude włosy syna nie staną się powodem bezustannych zaczepek.

Pod koniec semestru Ray ku swemu zdziwieniu wyprzedził rówieśników w nauce na tyle, że dyrektor postanowił przenieść go o klasę wyżej, aby - jak oświadczył rodzicom - „zdopingować chłopaka”.

Pod koniec roku przesłęzonego nad książkami Ray zajął trzecie

miejsce w klasie, wybijając się na czoło w łacinie i angielskim. Na szarym końcu pozostawał tylko wtedy, kiedy trzeba było skompletować drużynę do rozgrywek sportowych. W jego przypadku wybitny umysł nie szedł w parze z fizyczną sprawnością. Ray wyróżnił się za to w konkursie na najlepsze wypracowanie - został najmłodszym zwycięzcą w dziejach szkoły.

Zgodnie z tradycją zwycięzca konkursu odczytywał wypracowanie w dniu zakończenia roku szkolnego. Jeszcze przed oddaniem pracy Ray przeciwiczył czytanie na głos w zaciszu swojego pokoiku.

Wychowawca Raya powiedział uczniom, że temat wypracowania jest wolny, ale najlepiej byłoby opisać jakieś wyjątkowe zdarzenie, które zapadło im w pamięć. W wyznaczonym terminie na biurku nauczyciela znalazło się trzydzieści siedem prac. Przeczytawszy opowieść Raya o życiu babki w izdebce nad sklepem rzeźnika, nauczyciel nie miał ochoty sięgać po kolejny tekst. Kiedy z obowiązku przebrnął przez pozostałe prace, bez wahania zgłosił wypracowanie Goulda do konkursu. Pod adresem autora wysunął tylko jedno zastrzeżenie dotyczące tytułu. Ray podziękował za radę, ale tytułu nie zmienił.

W dniu zakończenia roku w auli szkolnej zebrało się siedmiuset uczniów z rodzicami. Dyrektor wygłosił przemówienie, a kiedy ucichły oklaski, powiedział:

- A teraz przedstawiam zwycięzcę konkursu na najlepsze wypracowanie. Proszę państwa, Ray Gould.

Ray wyszedł pewnym krokiem na scenę. Spojrzał na publiczność bez tremy, zapewne dlatego, że krótki wzrok pozwalał mu dostrzegać wyczekujące twarze tylko w pierwszych trzech rzędach. Młodszy uczniowie usłyszawszy tytuł wypracowania zaczęli chichotać i Ray z początku zająkiwał się, ale po chwili udało mu się przykuć uwagę słuchaczy. Kiedy doczytał do końca, nabita sala zgotowała mu owację na stojąco - pierwszą w życiu.

Dwunastoletni Ray Gould zszedł ze sceny i wrócił do rodziców. Matka płakała z pochyloną głową. Ojca roznosiła duma, choć starał się tego nie okazywać. Oklaski huczały jeszcze, kiedy Ray usiadł i popatrzył na tytuł nagrodzonej pracy: *Co zmienia, kiedy zostanę premierem.*

Andrew Fraser przybył na swój pierwszy wiec w niemowlęcym wózku. Rodzice zostawili go w korytarzu, a sami zasiedli na podium w zimnej sali. Szybko zrozumiał, że brawa zapowiadają rychłe nadejście matki. Nie mógł jednak wiedzieć, że ojciec, który wślawił się jako najlepszy zawodnik rugby w powojennej Szkocji, ubiegając się o miejsce w radzie miejskiej wygłosił właśnie kolejne przemówienie do mieszkańców Edinburgh Carlton. Ponieważ mało kto dostrzegał w legendarnym rugbyście kandydata na radnego, Duncan Fraser nie zdobył mandatu dla konserwatystów, choć zabrakło mu zaledwie kilkuset głosów. Minęły trzy lata i Andrew, pucołowaty czterolatek, znów ruszył z matką w objazd okręgu wyborczego. Tym razem pozwolono mu zasiadać w tylnych rzędach pustawych sal. Ponieważ przemówienia Duncana Frasera zrobiły niemal tak duże wrażenie jak jego długie podania na boisku, wygrał wybory do rady miejskiej większością dwustu siedmiu głosów.

Niestrudzoną i przynoszącą efekty pracą radny Fraser zapewnił sobie poparcie wyborców i piastował urząd przez kolejne dziewięć lat. Andrew, wiecznie uśmiechnięty, krzepki chłopak o prostych, czarnych włosach, nabrał tyle doświadczenia w lokalnych wyborach, że mając trzynaście lat pomagał ojcu zorganizować piątą z rzędu kampanię wyborczą. Edinburgh Carlton przestał już wówczas uchodzić za niepewny okręg.

W elitarniej Akademii Edynburskiej nikogo nie zdziwił wybór Andrew na przewodniczącego klubu dyskusyjnego. Szczery podziw kolegów wywołał natomiast sukces klubu w międzyszkolnym współzawodnictwie. Poza tym Andrew, choć nie dane mu było osiągnąć wzrostu więcej niż średni, został bezdyskusyjnie uznany za najszechstronniejszego rugbystę, jakiego wydała Akademia po roku 1919, kiedy kapitanem szkolnej drużyny był jego ojciec.

Opuściwszy progi szkoły Andrew wstąpił na wydział nauk politycznych uniwersytetu w Edynburgu. Po dwóch latach wybrano go przewodniczącym związku studentów i kapitanem drużyny rugby.

Kiedy Duncan Fraser został burmistrzem Edynburga, pojechał do Londynu, żeby odebrać z rąk królowej tytuł szlachecki. Andrew zdał właśnie egzaminy końcowe i razem z matką wziął udział w ceremonii w pałacu Buckingham. Świeżo upieczony sir Duncan udał się następnie do Izby Gmin na spotkanie ze swoim posłem, Ainslie Munro. Przy obiedzie Munro powiadomił sir Duncana, że

po raz ostatni ubiegał się o mandat w Edinburgh Carlton i w związku z tym powinni rozejrzeć się za nowym kandydatem. Sir Duncanowi rozbłysły oczy, kiedy pomyślał, że do parlamentu na miejsce Munro mógłby wejść jego syn.

Po uzyskaniu dyplomu z wyróżnieniem Andrew został na uniwersytecie w Edynburgu, by napisać pracę doktorską zatytułowaną *Dzieje Partii Konserwatywnej w Szkocji*. Zamierzał odczekać, aż upłynie trzyletnia kadencja burmistrza, i dopiero wtedy zapoznać ojca z głównymi rezultatami naukowych dociekań. Kiedy jednak Ainslie Munro obwieścił, że nie będzie kandydował w najbliższych wyborach, zrozumiał, że nie może dłużej ukrywać swoich poglądów.

Niedaleko pada jabłko od jabłoni Pod takim nagłówkiem „Edinburgh Evening News” zamieścił artykuł wskazujący Andrew Fräsera jako oczywistego kandydata konserwatystów, gwarantującego utrzymanie mandatu w niepewnym okręgu wyborczym. W obawie, że współobywatele mogliby mieć zastrzeżenia do młodego wieku syna, sir Duncan przypomniał na pierwszym zebraniu przedwyborczym, że do stanowiska premiera doszło ośmiu Szkotów i wszyscy oni zasiadali w parlamencie przed trzydziestką. Zebrani pokiwali głowami. Zadowolony sir Duncan zadzwonił wieczorem do syna i zaprosił go na obiad do Nowego Klubu, proponując omówienie kampanii wyborczej.

- Pomyśl tylko - rzekł nazajutrz sir Duncan, zamówiwszy drugą whisky. - Ojciec i syn reprezentujący ten sam okręg wyborczy. To będzie wielki dzień dla konserwatystów w Edynburgu.

- Nie mówiąc już o laburzystach - rzekł Andrew, patrząc ojcu prosto w oczy.

- Nie bardzo cię rozumiem.

- Otóż to, ojcze. Nie zamierzam ubiegać się o mandat z ramienia Partii Konserwatywnej. Będę kandydatem Partii Pracy, jeżeli mnie zechcą.

Sir Duncan nie wierzył własnym uszom.

- Przez całe życie byłeś konserwatystą! - wykrzyknął.

- Nie, ojcze - odparł spokojnie Andrew. - To ty byłeś konserwatystą. Przez całe moje życie.

KSIĘGA PIERWSZA
1964 -1966
ŁAWY POSELSKIE

Rozdział pierwszy

Czwartek, 10 grudnia 1964

Marszałek Izby Gmin wstał i rozejrzał się. Obciągnął czarną togę, nerwowo poprawił długą perukę na łysiejącej głowie. Godzina pytań do premiera miała tak burzliwy przebieg, że z trudem panował nad posłami i teraz spoglądał na zegar z prawdziwą ulgą. Dochodziło wpół do czwartej, pora na kolejny punkt porządku dziennego.

Czekając przestępował z nogi na nogę, a kiedy tłumne zgromadzenie, liczące ponad pięciuset posłów, uciszyło się, uroczyście zawołał:

- Posłowie do przysięgi.

Spojrzenia skierowane na marszałka przeniosły się jak podczas meczu tenisa na drugi koniec Izby. Stał tam zwycięzca wyborów uzupełniających, pierwszych, odkąd - przed dwoma miesiącami - Partia Pracy przejęła ster rządów.

Nowicjusz i dwaj posłowie wprowadzający postąpili cztery kroki naprzód, równo jak na wojskowej paradzie. Zatrzymali się i uklonili. Nowy poseł wyglądał jak stworzony na zamówienie torysów - wysoki, postawny, z dumnie uniesioną głową, urodzony arystokrata. Jasne włosy miał starannie zaczesane na bok, ubrany był w ciemnoszary garnitur i czerwono-niebieski krawat gwardii. Podeszedł bliżej do długiego stołu rozdzielającego ławy ministerialne przed fotelem marszałka. Członkowie rządu i gabinetu cieni siedzieli naprzeciw siebie w takiej odległości, że mogliby skrzyżować miecze nad stołem.

Wprowadzający zostali z tyłu, nowy poseł przeszedł obok stołu uważając, żeby nie nadepnąć na nogi premiera i ministra spraw zagranicznych, po czym odebrał z rąk sekretarza małą karteczkę. Trzymając ją przed sobą, wypowiedział zdecydowanie słowa przysięgi, jakby stał na ślubnym kobiercu.

- Ja, Charles Seymour, uroczyście przysięgam, że będę wiernie służył Jej Królewskiej Mości Elżbiecie oraz jej pełnoprawnym następcom, tak mi dopomóż Bóg.

Z ław naprzeciw rozległy się głosy poparcia kolegów. Nowy poseł nachylił się, rozłożył kartę pergaminu i podpisał się na liście zaprzysiężonych. Sekretarz przedstawił go teraz marszałkowi.

- Witam w Izbie, panie Seymour - powiedział marszałek podając mu rękę. - Życzę wielu lat owocnej służby.

- Dziękuję, panie marszałku - odparł Charles, jeszcze raz się uklonił i ruszył dalej.

Krótką ceremonia przebiegła dokładnie tak, jak na próbie, którą przeprowadził z nim szef naganiaczy torysów w korytarzu przed swoim biurem. Za marszałkowskim fotelem, w niewidocznym dla posłów zakątku, czekał na niego lider opozycji, sir Alec Douglas-Home, który też serdecznie uścisnął mu dłoń.

- Gratuluję wspaniałego zwycięstwa. Spodziewam się, że wiele zdziałasz dla naszej partii i kraju.

- Dziękuję.

Nowy poseł zczekał, aż sir Alec zasiądzie w pierwszej ławie opozycji, a potem wszedł po schodach i znalazł sobie miejsce w ostatnim rzędzie ław z zielonym obiciem.

Przez dwie godziny Charles Seymour przysłuchiwał się obradom z pełnym szacunku zaciekawieniem. Pierwszy raz uczestniczył w czymś, co łatwo mu nie przyszło i nie należało się przez sam fakt narodzin. Kiedy rzucił okiem na galerię gości, zobaczył żonę, ojca i brata, patrzących na niego z dumą. Oparł się wygodnie z poczuciem, że osiągnął pierwszy szczebel kariery. Uśmiechnął się - jeszcze przed kilkoma tygodniami dręczyła go obawa, że upłynie wiele lat, zanim uda mu się zasiąść w Izbie Gmin.

Dwa miesiące temu, w wyborach powszechnych, Charles ubiegał się o mandat w górniczym okręgu Południowej Walii, zdominowanym niepodzielnie przez laburzystów. „Pożyteczne doświadczenie i korzyść dla ducha”, zapewnił wiceprzewodniczący opiekujący się kandydatami w sztabie konserwatystów. Jego słowa sprawdziły się w całej rozciągłości. Charles rzucił się ochoczo w wir walki wyborczej i zmniejszył przewagę Partii Pracy z 22 300 do 20 100 głosów. „Urobek”, jak trafnie określiła to żona, został dostrzeżony i partia wystawiła Charlesa na kandydata w okręgu Sussex Downs, kiedy

sir Erie Koops zmarł na serce w kilka dni po rozpoczęciu sesji parlamentu. Sześć tygodni później Charles Seymour zasiadł w Izbie Gmin z przewagą 20 000 głosów na swoim koncie.

Po wysłuchaniu jeszcze jednego przemówienia Charles opuścił salę obrad. Kiedy zatrzymał się niezdecydowany w kularach, podszedł do niego młody poseł.

- Pozwoli pan, że się przedstawię - powiedział, a Charles odniósł wrażenie, że ma przed sobą konserwatystę. - Nazywam się Andrew Fraser. Jestem posłem Partii Pracy z Edinburgh Carlton. Pomyślałem sobie, że może nie znalazł pan jeszcze partnera do absencji.

Charles przyznał, że na razie znalazł tylko drogę do Izby. Wcześniej naganiacz torysów wyjaśnił, że niemal każdy deputowany dobiera sobie kolegę z przeciwnej partii przy głosowaniu, i doradził, żeby znalazł kogoś w swoim wieku. Kiedy obradowano nad pomniejszych kwestiami, posłowie otrzymywali zawiadomienia z podwójnym podkreśleniem, a wówczas mogli obydwaj opuścić głosowanie i przed północą powrócić na łono rodziny. Nikomu jednak nie wolno było opuścić głosowania, kiedy na wezwaniu widniały trzy podkreślenia.

- Bardzo chętnie wejdę z panem w pakt - ciągnął Charles. - Czy mam dopełnić jakichś formalności?

- Nie - odparł Andrew zadzierając lekko głowę, żeby go dobrze widzieć. - Prześlę panu list potwierdzający naszą umowę. Zechce pan łaskawie odpisać, jak można kontaktować się z panem telefonicznie. Kiedy tylko udział w głosowaniu nie będzie panu na rękę, proszę bez wahania dać znać.

- Bardzo sensowne rozwiązanie - rzekł Charles, patrząc na toczącego się w ich stronę grubaska w jasnoszarym garniturze, niebieskiej koszuli i muszce w różowe grochy.

- Witaj w klubie - powiedział Alec Pimkin. - Chodź na drinka do palarni. Wytłumaczę ci, jak działa ta cholerna machina.

- Dziękuję - odparł Charles, któremu widok znajomej twarzy sprawił wyraźną ulgę.

- Zupełnie jakbyś znów chodził do szkoły, stary - dodał Pimkin prowadząc kolegę torysa w kierunku palarni.

Słyszając to Andrew uśmiechnął się i pomyślał, że ani się obejrzy, jak z kolei Charles Seymour będzie objaśniał działanie „choleryjnej maszyny” jakiemuś kumpłowi z ławy szkolnej.

Andrew opuścił kuluary, ale nie po to, aby zwilżyć gardło. Śpieszył się na posiedzenie parlamentarnego klubu Partii Pracy, na którym posłowie mieli omówić tematykę obrad w przyszłym tygodniu.

Andrew, wystawiony przez Partię Pracy w okręgu Edinburgh Carlton, odebrał konserwatystom mandat poselski przewagą 3 419 głosów. Sir Duncan, po upływie burmistrzowskiej kadencji, nadal reprezentował swój okręg w radzie miejskiej. Natomiast Andrew, parlamentarny gołowąs, szybko dał się poznać w Izbie Gmin i wielu starszych posłów nie mogło uwierzyć, że zasiada w niej dopiero od kilku tygodni.

W sali posiedzeń na drugim piętrze, gdzie odbywało się zebranie, Andrew zajął wolne miejsce z tyłu. Ze słów szefa naganiaczy strony rządowej wynikało, że w przyszłym tygodniu obecność często będzie obowiązkowa. Spojrzał na leżącą przed sobą kartkę. Obrady we wtorek, środę i czwartek były podkreślone trzema liniami. Jedynie w poniedziałek i piątek podwójna kreska umożliwiała skorzystanie z umowy z Charlesem Seymourem i nieobecność w parlamencie. Partia Pracy odzyskała wprawdzie władzę po trzynastu latach, ale przewaga zaledwie czterech głosów i obszerny program legislacyjny sprawiły, że zapracowani posłowie rzadko kładli się spać przed północą.

Kiedy szef naganiaczy skończył i usiadł, natychmiast poderwał się z miejsca Tom Carson, nowy poseł z okręgu Liverpool Docksidge. Zgromił rząd za to, że upodabnia się coraz bardziej do torysów. Szepty i pokastywania towarzyszące jego tyradzie sygnalizowały brak poparcia. Tom Carson też dał się poznać w krótkim czasie, gdyż od samego początku otwarcie atakował własną partię.

- *Enfant terrible* - bąknął siedzący obok Andrew rudzielec.
- Inaczej bym go nazwał, krócej - odparł szeptem Andrew.

Rudy uśmiechnął się i słuchali dalej.

W pierwszych tygodniach sesji Raymond Gould wyrobił sobie opinię partyjnego intelektualisty, co od razu wzbudziło nieufność starszych posłów, choć właśnie jego spośród nowego zaciągu widziano w przyszłości w ławie rządowej. Niewielu poznało Raymonda bliżej. Zachowywał dystans zadziwiający u kogoś, kto zdecydował się na udział w życiu publicznym. Jednak zdobyta w okręgu wyborczym w Leeds przewaga 10 000 głosów zapowiadała długą karierę polityczną.

W Leeds North wybrano Raymonda spośród trzydziestu siedmiu kandydatów, ponieważ wykazał się o wiele większą znajomością rzeczy niż miejscowy działacz związkowy, typowany w prasie na zdobywcę mandatu. Mieszkańcy Yorkshire lubią tych, którzy trzymają się rodzinnych stron, a Raymond nie omieszkał zaznaczyć przed komisją selekcyjną, że uczył się w szkole lokalnej, co zdradzał jego umyślnie przesadny akcent. Szala przechyliła się zdecydowanie na korzyść Raymonda, kiedy dowiedziano się, że nie przyjął stypendium w Cambridge, gdyż - jak wyjaśnił - wolał studiować na uniwersytecie w Leeds.

Ukończywszy z wyróżnieniem wydział prawa, Raymond udał się do Londynu, na praktykę w stowarzyszeniu prawniczym Lincoln's Inn. Po dwuletnim kursie przystał do modnej kancelarii adwokackiej, gdzie nie mógł narzekać na brak klientów. W starannie dobranym gronie przyjaciół wywodzących się z Londynu i okolic przestał mówić o swoim pochodzeniu, a jeżeli jakiś kolega nazwał go Rayem, ukrócał tę poufałość przypominając, że ma na imię Raymond.

Kiedy nie było już więcej pytań, uczestnicy zebrania zaczęli się rozchodzić. Andrew musiał uporać się z bieżącą pocztą, która czekała na niego w ciasnym pokoiku na drugim piętrze. Raymond wrócił do Izby z nadzieją, że uda mu się wygłosić pierwszą parlamentarną mowę. Od pewnego czasu czekał cierpliwie na właściwy moment, żeby wyrazić swoje poglądy na temat uposażenia wdów i wykupu obligacji wojennych, a tocząca się właśnie debata gospodarcza stwarzała taką okazję. Marszałek Izby przesłał mu dziś pisemną wiadomość, że wezwie go wieczorem do zabrania głosu.

Raymond poświęcił wiele godzin na zapoznawanie się z przyjętą w Izbie procedurą, interesując się zwłaszcza jej odmiennością od praktyki sądowej. F.E. Smith trafnie ocenił kolegów, porównując Izbę Gmin do sali sądowej, w której hałasuje przeszło sześciuset przysięgłych, a sędziego głównego ani widu, ani słyhu. Raymond z lękiem myślał o swoim pierwszym wystąpieniu. Chłodna argumentacja, jaką się zawsze posługiwał, z reguły bardziej przemawiała do sędziego głównego niż do przysięgłych.

Przed wejściem do Izby goniec podał mu list od żony. Joyce zawiadamiła, że przyjechała właśnie do parlamentu, że wskazano jej miejsce w galerii gości i będzie mogła wysłuchać jego przemów-

wienia. Rzuciwszy okiem na list, Raymond zmiął go, wrzucił do najbliższego kosza i pośpieszył na salę obrad. Wychodzący stamtąd konserwatysta przytrzymał otwarte drzwi.

- Dziękuję - powiedział Raymond.

Simon Kerlake uśmiechnął się, nie mogąc sobie przypomnieć jego nazwiska. W kularach Simon sprawdził, czy na tablicy przy jego własnym nazwisku pali się światełko.

Nie paliło się, więc pchnął wahadłowe drzwi z prawej strony i schodami koło krużganków zszedł na parking dla posłów. Odszukał samochód i ruszył w stronę Paddingtonu, do szpitala St Mary's, gdzie pracowała żona. Rzadko widywali się w ciągu tych pierwszych sześciu tygodni sesji, tym bardziej więc cieszył się na myśl o dzisiejszym wieczorze. Spodziewał się, że parlamentarny młyn będzie trwał aż do wyborów powszechnych, w których jedna partia zdobędzie odpowiednio dużą przewagę. Ponieważ jednak zdobył mandat minimalną większością głosów, miał poważne obawy, że zamiast ponownie do parlamentu, trafi raczej do annałów, jako przykład rekordowo krótkiej kariery politycznej. Torysi tak długo utrzymywali ster rządów, że teraz laburzyści wydawali się pełni idealistycznego zapału i należało oczekiwać powiększenia ich szeregów, kiedy premier zarządzi wybory.

Simon minął Hyde Park Corner i w drodze do Marble Arch przypominał sobie swoją drogę życiową. Prosto z Oksfordu trafił do pancernego pułku hrabstwa Sussex i dwa lata później ukończył służbę wojskową w stopniu podporucznika. Po krótkim urlopie podjął pracę w BBC. Przez pięć lat zdobywał doświadczenie w redakcjach: teatralnej, sportowej, publicystycznej, aż wreszcie został producentem „Panoramy”. W tamtych latach wynajmował małe mieszkanie przy Earl's Court w Londynie i podtrzymując zainteresowania polityczne wstąpił do koła młodych konserwatystów. Został jego sekretarzem, pomagał organizować zebrania, zaczął pisać materiały propagandowe i przemawiać na konferencjach, aż wreszcie zaproszono go do sztabu wyborczego, gdzie został osobistym sekretarzem przewodniczącego w kampanii 1959 roku.

Dwa lata później Simon poznał Elizabeth Drummond, lekarzkę zaproszoną do udziału w audycji „Panoramy” poświęconej analizie stanu państwowej służby zdrowia. Jeszcze przed programem Elizabeth dała Simonowi do zrozumienia, że nie ufa dziennikarzom, a

polityków wprost nie znosi. Po roku pobrali się. Elizabeth urodziła dwóch synów, jedynie na bardzo krótko przerywając pracę»«awodową.

Kiedy latem 1964 roku zaproponowano Simonowi obronę niepewnego mandatu w okręgu Coventry Central, niemal z dnia na dzień odszedł z telewizji. W wyborach powszechnych zdobył mandat przewagą dziewięciuset osiemnastu głosów.

Podjechał pod bramę szpitala i spojrzął na zegarek. Brakowało kilku minut do umówionej godziny. Odgarnął włosy z czoła i pomyślał o nadchodzącym wieczorze. Z okazji czwartej rocznicy ślubu przygotował dla żony niespodziankę. Mieli zjeść kolację u Maria i Franca, pojechać na dancing do Klubu Establishmentu, a na koniec, po raz pierwszy od kilku tygodni, wrócić razem do domu.

- Mmm - mruknął zachwycony tą perspektywą.

- Cześć, dawnośmy się nie widzieli - powiedziała Elizabeth. Wskoczyła do samochodu i pocałowała go.

Simon nie mógł od niej oderwać oczu. Miała zniewalający uśmiech, jasne włosy opadające na ramiona. Przykuła jego uwagę pięć lat temu, gdy weszła do studia „Panoramy” i od tamtej pory wciąż patrzył na nią z zachwytem.

- Chcesz usłyszeć dobrą wiadomość? - spytał zapuszczając silnik. Zanim zdążyła coś odpowiedzieć, oznajmił: - Znalazłem partnera do absencji. Zapraszam cię na kolację do Maria i Franca, na dancing do Establishmentu, a potem do domu.

- Chcesz usłyszeć złą wiadomość? - zapytała Elizabeth i też nie zaczęła na odpowiedź. - Brakuje lekarzy z powodu epidemii grypy. O dziesiątej muszę wrócić na dyżur.

Simon zgasił silnik.

- Wolisz kolację, dancing, czy od razu do domu?

- Mamy trzy godziny - odparła Elizabeth ze śmiechem. - Może jednak zdążymy zjeść kolację.

Rozdział drugi

Raymond Gould przyglądał się zaproszeniu. Jeszcze nigdy nie przekroczył progu domu nr 10 przy Downing Street. W ciągu ostatnich trzynastu lat niewielu socjalistów miało taką okazję.

Podał tłoczony kartonik żonie, z którą siedział razem przy śniadaniu.

- Przyjąć czy odrzucić, Ray? - zapytała.

Ona jedna tak go jeszcze nazywała. Drażniła go nawet siląc się na żarty. Nad bohaterami greckich dramatów ciążyło tragiczne fatum, jemu zaś ciążyła własna żona.

Poznał Joyce na zabawie zorganizowanej przez pielęgniarki szpitala miejskiego w Leeds. Początkowo nie chciał iść, ale namówił go kolega ze studiów, z którym przyjaźnił się jeszcze w Roundhay. W szkole nie okazywał większego zainteresowania dziewczętami, a matka wciąż powtarzała, że będzie miał na to czas po dyplomie. Na uniwersytecie odniósł wrażenie, że jest jedynym prawiczkim.

Na zabawie siedział w kącie sali obwieszanej oklapłymi balonami i dekoracjami z błyszczącego papieru. Popijając przez słomkę shandy, czuł się samotny i opuszczony. Za każdym razem, kiedy kolega schodził z parkietu - z coraz to nową partnerką - Raymond uśmiechał się wesoło. Ponieważ jednak okulary trzymał w kieszeni, nie był pewien, czy posyła uśmiech właściwej osobie. Przemyślał, żeby wcześniej wyjść, zanim wieczór okaże się kompletną klapą. Nie odpowiedziałby nawet na pytanie dziewczyny, która przed nim stanęła, gdyby nie znajomy akcent z Yorkshire.

- Ty też studiujesz na uniwersytecie?
- Też? - zdziwił się nie patrząc jej w twarz.
- Tak jak twój przyjaciel.
- Tak - odparł i spojrzał. Była mniej więcej w jego wieku.
- Jestem z Bradford - powiedziała.
- A ja z Leeds. - Czuł, że się czerwieni.
- Na imię mam Joyce - ciągnęła niezrażona.
- A ja Ray, Raymond.
- Zatańczymy?

Bał się przyznać, że tańczył zaledwie kilka razy w życiu. Nie stawiając oporu wstał i pozwolił się poprowadzić w stronę przygrzewającego zespołu. Tak oto rozwiały się wyobrażenia o wrodzonych zdolnościach przywódczych.

Dopiero kiedy stanęli na parkiecie, uważnie jej się przyjrzał. Każdy chłopak z Yorkshire przyznałby, że jest całkiem niezła. Była dość wysoka, miała kasztanowe włosy związane w koński ogon i

piwne oczy, trochę za mocno umalowane. Usta pociągnięte różową szminką, dobraną odcieniem do krótkiej spódniczki odsłaniającej bardzo zgrabne nogi. Te nogi wyglądały jeszcze lepiej, kiedy Joyce obracała się w takt muzyki. Raymond dokonał odkrycia, że jeżeli bardzo szybko obróci partnerkę, odsłania się rąbek pończoch, tańczył więc do upadłego. Kiedy studencki kwartet zwinął instrumenty, Joyce pocałowała go na dobranoc. Ociągając się wrócił do małego pokoiku nad sklepem mięsnym.

W niedzielę, chcąc przejąć inicjatywę w swoje ręce, zabrał Joyce na przejażdżkę łódką po Aire, ale na rzece nie szło mu lepiej niż na parkiecie, wszyscy go prześcigali, nawet jakiś wytrawny pływak. Zerkał na Joyce, spodziewając się kpin, ale ona szczebiotała bez troski o tym, że tęskni za Bradford, że chciałaby tam wrócić i pracować jako pielęgniarka. Po kilku tygodniach na uniwersytecie Raymond nabrał pewności, że chce wyjechać z Leeds, choć nie wyjawiał tego nikomu. Kiedy oddali łódkę, Joyce zaprosiła go do siebie na herbatę. Oblał się rumieńcem, kiedy przechodzili obok wynajmującej pokój gospodyni. Joyce zaprowadziła go na górę po starych kamiennych schodach.

Raymond przysiadł na wąskim łóżku, a Joyce zaparzyła herbatę i naląła do dwóch kubków. Umoczyli usta udając, że piją. Usiadła przy nim z rękoma złożonymi przed sobą. Wsluchiwał się przez chwilę w syrenę przejeżdżającej karetki pogotowia. Joyce pochyliła się, pocałowała go, ujęła za rękę i położyła ją sobie na kolanie.

Rozchyliła usta - dotknięcie jej języka wywołało podniecający dreszcz. Z zamkniętymi oczami poddał się nowym wrażeniom, aż w końcu nie mógł powstrzymać się od popełnienia tego, co matka nazwała kiedyś śmiertelnym grzechem.

- Następnym razem będzie lepiej - pocieszyła go i zsunęła się z wąskiego łóżka na podłogę, żeby pozbierać rozrzucone ubranie.

Rzeczywiście, wkrótce znów jej zapragnął i tym razem nie zamykał oczu.

Minęło pół roku i Joyce zaczęła snuć plany na wspólną przyszłość, ale Raymond zdążył się nią znudzić i miał na oku pewną zdolną studentkę ostatniego roku matematyki. Matematyczka pochodziła z Surrey.

Akurat wtedy, kiedy Raymond zbierał się na odwagę, żeby

zerwać romans, Joyce oznajmiła, że jest w ciąży. Jego ojciec na wzmiankę o przerwaniu ciąży zagroziłby mu siekierą. Matka z ulgą przyjęła wiadomość, że dziewczyna jest z Yorkshire. Podobnie jak selekcjoner miejscowej drużyny krykieta, pani Gould była niechętna ludziom spoza hrabstwa.

Raymond i Joyce wzięli ślub w kościele St Mary's w Bradford w czasie letnich wakacji. Na zdjęciach z uroczystości Raymond miał przygnębioną minę, a Joyce promieniała szczęściem tak, że wyglądali jak ojciec z córką, a nie jak mąż i żona. Po weselnym przyjęciu w przykościelnej sali nowożeńcy pojechali do Dover i wsiadli na prom. Noc poślubna okazała się niewypałem. Raymond bardzo źle znosił kołysanie. Joyce miała nadzieję, że pobyt w Paryżu na długo pozostanie w ich pamięci i tak się stało. Druga noc miodowego miesiąca skończyła się poronieniem.

- To pewnie z nadmiaru wrażeń - powiedziała matka, kiedy wrócili. - Ale przecież możecie postarać się o następne. Przynajmniej ludzie nie będą gadać, że... - Ugryzła się w język.

Raymond nie wykazywał chęci postarania się o następne. Ani wtedy, ani przez następne dziesięć lat. Wyprowadził się do Londynu, został adwokatem i pogodził się z tym, że jest skazany na taką żonę do końca życia. W wieku trzydziestu dwóch lat Joyce musiała przysłać pogrubiałe nogi, które kiedyś go urzekły. Dlaczego taka straszna kara za taki głupi błąd? - myślał i chętnie zadałby to pytanie niebiosom. Dziesięć lat temu uważał, że jest dojrzały, a było wręcz przeciwnie. Rozwód wydawał się sensownym rozwiązaniem, ale położyłyby kres politycznym ambicjom - mieszkańcy Yorkshire nie wybraliby rozwodnika na swojego reprezentanta. Musiał jednak przyznać, że nie wszystko obróciło się przeciw niemu. Ci, którzy znali Joyce, przepadali za nią, a rodzice byli z niej tak samo dumni jak z rodzzonego syna. Znacznie łatwiej od niego nawiązywała znajomości ze związkowcami i ich okropnymi żonami. Trudno byłoby zaprzeczyć, że głównie dzięki Joyce zdobył mandat przewagą 10 000 głosów. Nie rozumiał, jak ona zawsze potrafi mówić z takim przekonaniem; nie przyszło mu na myśl, że taki ma charakter.

- Może kupisz sobie nową sukienkę na wizytę na Downing Street? - powiedział Raymond wstając od stołu.

Joyce uśmiechnęła się - nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem wystąpił z podobną propozycją. Wyzbyła się złu-

dzeń co do uczuć męża, ale liczyła, że dostrzeże jej przydatność w realizowaniu politycznych ambicji.

W dniu przyjęcia na Downing Street dołożyła wszelkich starań, żeby wyglądać jak najlepiej. Przed południem wybrała się do Harveya Nicholasa, gdzie po dłuższych poszukiwaniach zdecydowała się na garsonkę, która wpadła jej w oko od razu po wejściu do sklepu. Garsonka nie leżała jak ulał, ale ekspedientka zapewniła Joyce, że wygląda „oszołamiąco”. Joyce miała cichą nadzieję, że od Raymonda usłyszy choćby zdawkowy komplement. Niestety w drodze do domu uprzytomniła sobie, że do niezwykle kolorystycznie kreacji nic nie będzie pasowało.

Raymond wrócił późno z parlamentu i pobiegł do łazienki. Ucieszył się, że Joyce jest gotowa i powstrzymał od krytycznej uwagi na temat nieodpowiednich pantofli. Jadąc do Westminsteru recytowali nazwiska członków rządu - kazał Joyce jak dziecku powtarzać je na głos.

Wieczór był chłodny. Raymond zaparkował sunbeama na New Palace Yard i przeszli przez Whitehall na Downing Street. Pod Dziesiątką, domem premiera, stał na straży policjant. Na widok Raymonda stuknął mosiężną kołatką i drzwi otworzyły się przed młodym posłem i jego żoną.

Raymond i Joyce zatrzymali się niepewni w hallu, jak dwoje uczniów przed gabinetem dyrektora. Skierowano ich na pierwsze piętro. Ruszyli powoli schodami, mniej okazałymi niż można się było spodziewać. Ścianę zdobiły fotografie poprzednich premierów.

- Za dużo torysów - mruknął Raymond mijając Chamberlaina, Churchilla, Edena, Macmillana i Home'a, obok których zawisł na pociechę jeden jedyny Attlee „w ramkach”.

U szczytu schodów czekał na gości Harold Wilson z fajką w zębach. Raymond miał właśnie przedstawić żonę, ale premier odezwał się pierwszy:

- Jak się masz, Joyce. Jak to miło, że wpadłaś.
- Wpadłam? Ależ od kilku dni nie mogłam się doczekać.

Raymond skrzywił się urażony tą bezpośredniością i nie zwrócił uwagi na przyjazny śmiech Wilsona. Zamienił natomiast parę słów

z żoną premiera o trudnościach w wydawaniu poezji, a kiedy się odwróciła, aby powitać następnego gościa, przeszedł do salonu. Rozmawiając z ministrami, związkowcami i ich żonami nie spuszczał oka z Joyce, pochłoniętej rozmową z sekretarzem generalnym Kongresu Związków Zawodowych.

Raymond podszedł do ambasadora amerykańskiego, który z zachwytem opowiadał Andrew Fraserowi o tegorocznym festiwalu w Edynburgu. Raymond zazdrościł Fraserowi towarzyskiej swobody, mile widzianej w klubach, i przypuszczał, że w gronie młodych parlamentarzystów ten Szkot wyrośnie na groźnego rywala.

- Dobry wieczór, Raymondzie. Znasz Davida Bruce'a? - Andrew zagadnął go jak starego znajomego.

- Nie - odparł Raymond i przed podaniem ręki otarł ją o spodnie. - Dobry wieczór, ekscelencjo. - Ku jego zadowoleniu Andrew oddalił się. - Z zainteresowaniem przeczytałem najnowsze oświadczenie Johnsona o Wietnamie. Muszę przyznać, że eskalacja...

Andrew spostrzegł wchodzącego ministra stanu do spraw Szkocji i podszedł, żeby porozmawiać.

- Jak się masz, Andrew? - zapytał Hugh McKenzie.

- Wyśmienicie.

- A ojciec?

- W świetnej formie.

- Zmartwiłeś mnie - rzekł minister z szelmowskim uśmiechem.

- Ojciec nie daje mi spokoju w związku z Pogórzem i Zarządem Rozwoju Wysp.

- Ma dużo zdrowego rozsądku, tylko nieco niezdrowe poglądy - powiedział Andrew i obaj skwitowali to śmiechem.

U boku ministra przystanąła drobna długowłosa szatynka. Wyglądała atrakcyjnie w białej bluzce i spódnicy w kratę klanu McKenzie'ch.

- Zna pan moją córkę Alison?

- Nie - odparł Andrew wyciągając rękę. - Nie miałem przyjemności pani poznać.

- Wiem, kim pan jest - powiedziała z błyskiem w oku. - Andrew Fraser, człowiek, dzięki któremu Campbellowie budzą zaufanie. Zakamuflowana wtyczka torysów.

- Cóż to za kamuflaż, jeżeli wiedzą o nim w szkockim ministerstwie.

Podszedł kelner w smokingu - żaden z podobnie ubranych panów nie prezentował się równie elegancko - niosąc zgrabne kanapki na srebrnej tacy.

- Da się pan skusić na kanapkę z wędzonym łososiem? - zapytała drwiąco Alison.

- Nie, dziękuję. Nie kuszą mnie, odkąd zerwałem z torysowską tradycją. Ale ostrzegam: jeżeli zje ich pani za dużo, nie będzie apetytu na kolację.

- Nie planowałam dziś kolacji.

- A ja pomyślałam, że chętnie skosztowałaby pani czegoś u Sigiego - droczył się Andrew.

- Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś mnie poderwał pod Dzieśiątką - odparła Alison po chwili wahania.

- Niechętnie łamię utrwalonego zwyczaj, ale może mógłbym zamówić stolik na ósmą?

- Czy do Sigiego schodzą się arystokraci?

- Broń Boże, jak dla nich za dobra kuchnia. Wyjdziemy za jakiś kwadrans, dobrze? Muszę jeszcze zamienić słówko z paroma osobami.

- Domyślam się.

Patrzyła z uśmiechem, jak krąży po sali. Będąc przez lata sympatykiem torysów, Andrew nauczył się, jak najlepiej wykorzystywać przyjęcia koktajlowe. Koledzy związkowcy nie uwierzyliby, że nie zależy mu wcale na pochłanianiu kanapek z łososiem zakrapianych whisky. Kiedy wrócił do Alison McKenzie, zastał u jej boku Raymonda Goulda, z którym rozmawiała o druzgocącym zwycięstwie Johnsona w wyborach.

- Odbijasz mi dziewczynę, z którą się umówiłem? - spytał.

Raymond roześmiał się nienaturalnie i poprawił okulary.

Po chwili Andrew prowadził Alison do wyjścia, gdzie mieli się pożegnać, a Raymond odprowadzał ich wzrokiem, zadając sobie pytanie, czy uda mu się kiedyś nabrać takiej swobody. Rozejrzał się za Joyce - lepiej nie wychodzić na ostatku.

U Sigiego zaproszono Andrew do stolika w przytulnym zakątku - było jasne, że nie po raz pierwszy gości w tym klubie. Kelnerzy kręcili się jak koło jakiegoś ministra torysowskiego rządu i Alison pomyślała, że jest to bardzo przyjemne. Zjedli wyśmienity nie przypalony rostbef i zapalony creme brulee, a potem poszli potań-

czyć do Annabeli. Było już po drugiej, kiedy Andrew odwiózł Alison do Chelsea.

- Wstąpisz na kawę? - zapytała od niechcienia.
- Nie mogę - odparł. - Wygłaszam jutro pierwszą mowę w parlamencie.
- Mowa trawa pozwala wykrecić się sianem -"powiedziała, kiedy odwrócił się, żeby odejść.

Nazajutrz o piątej po południu Andrew wstał, żeby przemówić do kolegów wypełniających ławy poselskie w Izbie Gmin. Miał zabrać głos bezpośrednio po wystąpieniach ministrów i na takie wyróżnienie przez marszałka nieprędko mógł liczyć. Z galerii gości patrzyli na niego rodzice. Andrew oznajmił, że burmistrz Edynburga przez wiele lat przekazywał mu dogłębną wiedzę na temat okręgu wyborczego, który miał zaszczyt reprezentować. Laburzyści parsknęli śmiechem widząc zakłopotanie opozycji, ale zgodnie z tradycją nikt nie przerwał debiutanckiej mowy posła.

Andrew zajął się rozpatrzeniem kwestii, czy wobec niedawnego odkrycia złóż ropy Szkocja powinna być nadal częścią Zjednoczonego Królestwa. Przedstawił rzeczową argumentację, zapewniając deputowanych, że nie widzi swojego kraju w roli niepodległego państewka. Przemawiał ze swadą i dowcipnie, wywołując śmiech po obu stronach Izby. Ani razu nie zajął do notatek, a kiedy skończył, rozległy się wiwaty w sąsiednich ławach i ciepłe wyrazy uznania torysów z naprzeciwka. Spojrzał triumfalnie na galerię gości. Ojciec siedział lekko pochylony, jakby chciał lepiej słyszeć. Przed matką, na ławie dla honorowych gości, spostrzegł Alison McKenzie wspartą na balustradzie balkonu. Uśmiechnął się przyjemnie zaskoczony.

Sukces Andrew wydał się jeszcze większy, kiedy tego samego dnia wystąpił z debiutancką mową inny poseł laburzysta. Tom Carson nie dbał o obowiązujące formy ani tym bardziej o zachowanie tradycji nakazującej stronić od drażliwych tematów w pierwszym wystąpieniu. Na początek przypuścił atak na -jak to określił - „spisek establishmentu”, przy czym wskazywał palcem zarówno swoich ministrów, jak i tych z naprzeciwka, nazywając ich pospół „marionetkami systemu kapitalistycznego”.

Nikt nieprzerwał grzmiącej mowy, choć marszałek poruszył się niespokojnie kilka razy, widząc oskarżycielski palec skierowany w swoją stronę. Z przykrością myślał o tym, ile kłopotów przysporzy deputowany z Liverpool Dockside, jeżeli będzie zachowywał się w ten sposób w Izbie.

Po wysłuchaniu jeszcze trzech wystąpień, Andrew wyszedł z Izby, żeby poszukać Alison, ale już jej nie było. Podjechał więc windą dla posłów na galerię i zaprosił rodziców na herbatę do Harcourt Rooms.

- Pamiętam, że ostatni raz zaprosił mnie do bufetu Ainslie Munro... - powiedział sir Duncan.

- Kto wie, ile czasu upłynie, zanim znów zostaniesz zaproszony - przerwał mu Andrew.

- To zależy, jakiego kandydata wystawimy przeciwko tobie w najbliższych wyborach - odparował ojciec.

Kilku posłów z obu stron Izby podeszło jeden po drugim do Andrew, żeby pogratulować mu udanego wystąpienia. Dziękował, ale wciąż rozglądał się za Alison McKenzie. Nie pokazała się.

Kiedy pożegnał rodziców, którzy śpieszyli się na ostatni samolot do Edynburga, wrócił do Izby i wysłuchał ojca Alison podsumowującego debatę w imieniu rządu. O wystąpieniu Andrew minister wyraził się, że była to jedna z najlepszych debiutanckich mów, jakie słyszał w tej Izbie.

- Niewątpliwie pierwsza, ale bynajmniej nie świadcząca o braku doświadczenia - rzekł na koniec Hugh McKenzie.

Zakończono obrady i jak zwykle o dziesiątej skrutatorzy zarządzili podział Izby. Andrew opuścił salę. Ostatnie głosowanie dotyczące modlitwy zatrzymało posłów na dalsze czterdzieści minut i kiedy Andrew znalazł się wreszcie w bufecie - gdzie tradycyjnie zbierali się laburzyści - panował tam tłok jak wczesnym popołudniem.

Posłowie rzucali się na nieapetyczne liście sałaty, którymi wzgardziłby każdy szanujący się królik, i towarzyszące im spocone, pod plastikową folią, plastry sera. Kompozycja ta nosiła szumną nazwę sałatki. Andrew poprzestał na nescie.

Raymond Gould zaszył się w kącie i udawał, że czyta „New Statesmana” z zeszłego tygodnia. Zerkał na kolegów, którzy podchodzili do Andrew z gratulacjami. Zdawał sobie sprawę, że jego

pierwsze wystąpienie przed kilkoma dniami nie zostało tak dobrze przyjęte. Sprawa rent dla wdów po kombatantach leżała mu na sercu i był nią równie przejęty jak Andrew przyszłością Szkocji, ale czytając z kartki nie mógł porwać słuchaczy. Pocieszył się myślą, że następnym razem Andrew będzie musiał bardzo starannie wybrać sobie temat, bo opozycja na pewno zaostrzy sobie zęby.

Wchodząc do budki telefonicznej, jednej z wielu w budynkach parlamentu, Andrew daleki był od takich rozważań. Zajrzał do notesu i wykrecił londyński numer. Zastał Alison w domu, właśnie myła głowę.

- Zdąży wyschnąć, zanim przyjadę?
- Mam długie włosy.
- Więc będę wolno jechał.

Alison powitała go w progu mieszkania w szlafroku. Świeżo wysuszone włosy opadały jej na plecy.

- Zwycięzca upomina się o nagrodę?
- Tylko o wczorajszą kawę.
- Czy kawa cię nie rozbudzi?
- Na to właśnie liczę.

Nazajutrz o ósmej rano Andrew opuszczał mieszkanie Alison ze szczerym postanowieniem, że będzie często widywał się z córką ministra. Wrócił do siebie na Cheyne Walk, wziął prysznic, przebrał się i naszykował śniadanie. W porannej poczcie znalazł kolejne gratulacje - nadesłał je także sekretarz stanu do spraw Szkocji - a w „Timesie” i „Guardianie” krótkie, lecz pochlebne wzmianki.

Przed wyjściem przeczytał poprawkę, którą zamierzał zgłosić na posiedzeniu komisji parlamentarnej. Wypróbował kilka sformułowań, poskładał papiery i ruszył do Westminsteru.

Zebranie zaczynało się o dziesiątej trzydzięci. Ponieważ przyjechał nieco wcześniej, zdążył odebrać korespondencję na poczcie poselskiej w kuluarach. Idąc korytarzem do biblioteki przeglądał koperty, wypatrując znajomego charakteru pisma lub urzędowej przesyłki z wezwaniem do natychmiastowego otwarcia.

Skręcił i spojrzął ze zdumieniem na tłoczących się wokół dalekopisu parlamentarnego konserwatystów. Był wśród nich poseł, z którym umówił się na absencję.

Charles Seymour stał wprawdzie z boku, ale górował nad innymi wzrostem i mógł bez przeszkód odczytywać wystukiwaną przez teleks wiadomość.

- Co się dzieje ciekawego? - zapytał Andrew trącając Seymoura łokciem.

- Sir Alec przedstawił plan działania, który będzie obowiązywał po wyborze nowego przywódcy torysów.

- Czekamy z zapartym tchem - powiedział Andrew.

- I słusznie - odparł Charles, jakby nie słyszał ironicznego tonu.

- Bo w następnym oświadczeniu na pewno złoży rezygnację. Wtedy zacznie się prawdziwa gra polityczna.

- Trzeba uważać, kogo się poprze.

W odpowiedzi Charles Seymour uśmiechnął się znacząco.

Rozdział trzeci

Charles Seymour jechał daimlerem z parlamentu do banku ojca w City. Wciąż nazywał Seymour's of Cheapside bankiem ojca, choć od dwóch pokoleń w rękach rodziny znajdowała się niewielka część akcji - Charles miał zaledwie dwa procent udziałów. Ponieważ brat Rupert nie wykazywał chęci reprezentowania interesów rodziny, owe dwa procent zapewniły Charlesowi miejsce w zarządzie oraz dodatkowy dochód uzupełniający skromne tysiąc siedemset pięćdziesiąt funtów rocznie poselskiej pensji.

Od dnia, w którym zasiadł w zarządzie, Charles był przekonany, że nowy prezes, Derek Spencer, uważa go za groźnego rywala. Spencer zabiegał, żeby na miejsce odchodzącego na emeryturę hrabiego wszedł Rupert, ale Charles nie dopuścił, by ojciec dał się przekonać do takiego posunięcia.

Kiedy Charles został deputowanym, Spencer nie omieszkiał wyrazić wątpliwości, czy brzemień pracy w parlamencie pozwoli mu wywiązywać się z codziennych obowiązków w zarządzie. Charlesowi udało się jednak przekonać większość kolegów dyrektorów o korzyściach posiadania swojego człowieka w Westminsterze, nawet jeśli - o czym dobrze wiedział - ustałyby one, gdyby mianowano go ministrem.

Zostawiając daimlera na dziedzińcu bankowym Charles uśmie-

chnął się na myśl, że miejsce parkingowe jest warte dwadzieścia razy tyle co samochód. Placyk przed gmachem zachował się od czasów pradziadka. Dwunasty hrabia Bridgwater chciał koniecznie mieć szeroki wjazd, w którym da się wykręcić powozem z czterokonnym zaprzęgiem. Ten środek lokomocji dawno wyszedł z użycia, ale zostało po nim miejsce dla dwunastu dyrektorskich aut. Nowy prezes banku, przejęty swoją rolą i należycie do niej przygotowany, nie ośmielił się zaproponować, by wolną przestrzeń wykorzystano w jakikolwiek inny sposób.

Kiedy wszedł przez obrotowe drzwi, kierując się do czekającej windy, dziewczyna przy biurku przerwała na moment polerowanie paznokci, żeby powiedzieć „dzień dobry”. Po chwili znalazł się w niewielkim gabinecie wyłożonym dębową boazerią. Usiadł przy biurku, na którym leżał czysty notes. Przez interkom wydał polecenie sekretarce, by przez godzinę nikt-mu nie przeszkadzał.

Po upływie tego czasu na białej kartce widniało dwanaście nazwisk, w tym dziesięć przekreślonych. Tylko dwa zostały niektnięte - Reginalda Maudlinga i Edwarda Heatha.

Charles oddał zapisaną kartkę wraz z drugą, z odcisniętymi śladami pisma, i przepuścił obie przez niszczarkę do dokumentów. Spróbował wykrzesać odrobinę zainteresowania porządkiem dziennym cotygodniowego zebrania zarządu. Jedynie punkt siódmy przykuł jego uwagę. Tuż przed jedenastą poskładał papiery i przeszedł do biura zarządu. Prawie wszyscy siedzieli już na miejscach. Gdy zegar wybił godzinę, Derek Spencer odczytał punkt pierwszy porządku obrad.

Dyskusja potoczyła się bez niespodzianek, omawiano sprawy stóp bankowych, ruchów cen metali, euroobligacji i polityki inwestycyjnej, a Charles w tym czasie powracał wciąż myślami do nadchodzących wyborów lidera i konieczności postawienia na właściwego człowieka, od czego zależał jego szybki awans z tylnych ław.

Gdy zebrani doszli do punktu siódmego, Charles podjął decyzję. Derek Spencer rozpoczął dyskusję na temat proponowanych pożyczek dla Meksyku i Polski i wszyscy zgodzili się, że z tych dwóch ryzykownych przedsięwzięć należy wybrać jedno.

Dla Charlesa Mexico City i Warszawa były w tej chwili równie odległe. Myślami przebywał znacznie bliżej i nie zareagował, kiedy prezes zarządził głosowanie.

- Meksyk czy Polska, Charlesie? - spytał Derek Spencer.
- Heath.
- Słucham?

W okamgnieniu Charles przeniósł się z Westminsteru do Cheap-side i zobaczył wlepione w siebie spojrzenia bankierów. Z miną człowieka, który głęboko rozważył kwestię, odparł zdecydowanie:

- Meksyk. - Po czym dodał: - Wielką różnicę między tymi krajami widać najwyraźniej na przykładzie stosunku do spłaty długu. Meksyk nie zechce zapłacić, ale Polska nie będzie w stanie; czyż nie lepiej zatem ograniczyć ryzyko i poprzeć Meksyk? Gdybym miał się procesować, wolałbym występować przeciw temu, kto nie chce płacić, niż przeciw temu, kto nie może.

Siedzący wokół stołu członkowie zarządu pokiwali głowami, w ich gronie zasiadał godny potomek Bridgwaterów.

Po zebraniu wszyscy udali się na lunch do jadalni dyrektorów. Na ścianach wisiały dwa Hogarthy, jeden Brueghel, Goya i Rembrandt, które najwytrawniejszego smakosza mogły oderwać od rozkoszy podniebienia - jeszcze jeden dowód na to, że pradziadek umiał dokonywać trafnego wyboru. Pragnąc wrócić do Izby na godzinę pytań, Charles nie czekał, aż stanie przed wyborem: cheddar czy stilton.

W parlamencie od razu skierował się do palarni od dawna zaanektowanej przez torysów na własny użytek. W kłębach dymu z cygar unoszącego się nad głębokimi skórzanymi fotelami rozmawiano wyłącznie o tym, kto przejmie pałeczkę po sir Alecu. Dał się słyszeć piskliwy głos Pimkina:

- W czasie debaty nad projektem ustawy skarbowej postacią centralną w Izbie będzie niechybnie Edward Heath, ponieważ jest opozycyjnym kanclerzem skarbu.

Tego samego popołudnia Charles ponownie zasiadł w Izbie. Chciał posłuchać, jak Heath ze swoim gabinetem cieni będzie analizował jedną po drugiej rządowe poprawki.

Kiedy szykował się do wyjścia, wstał Raymond Gould i wniósł poprawkę. Charles słuchał go z niechętnym podziwem. Wnikliwość i siła argumentacji Raymonda z powodzeniem wyrównywały krasomówcze braki. Gould wyróżniał się wśród nowych posłów laburzystów, ale nie budził niepokoju Charlesa. Dzięki smykałce do interesów dwanaście pokoleń Bridgwaterów utrzymywało w garści

znacze połacie Leeds, o czym ludzie pokroju Raymonda Goulda nie mieli wcale pojęcia.

Na kolację Charles poszedł do stołówki poselskiej. Usiadł przy dużym stole pośrodku, gdzie zbierali się szeregowi torysi. Rozmowa toczyła się wokół jednego tematu, a ponieważ wymieniano wciąż te same dwa nazwiska, zapowiadał się wyścig łeb w łeb.

Po podziale Izby o dziesiątej Charles wrócił na Eton Square. Fiona leżała już w łóżku, rozparta na poduszkach, i czytała *Śluby zielonoświątkowe* Philipa Larkina.

- Wcześniej cię dziś wypuścili.

- Nie można narzekać - odpał Charles. Przez chwilę zabawił żonę zdając sprawozdanie z minionego dnia, po czym znikł w łazience.

Charles uważał się za sprytnego, ale w porównaniu z lady Fioną, jedyną córką księcia Falirk, wypadał błado. Kiedy byli jeszcze bardzo młodzi, zdecydowano, że w przyszłości się pobiorą, i żadne z nich nie kwestionowało mądrości rodzinnego wyboru. Charles jako kawaler nadskakiwał niejednej pannie, ale nawet jeśli czasem się zapomniał, to w gruncie rzeczy nigdy nie wątpił, że wróci do Fiony. Dziadek Charlesa kręcił nosem na współczesną arystokrację, że zbyt lekko i sentymentalnie traktuje małżeństwo. „Kobiety są po to - utrzymywał - żeby rodzić dzieci i zapewnić ciągłość linii męskiej”. Sędziwy hrabia umocnił się w poglądach, kiedy doniesiono mu, że Rupert nie wykazuje zainteresowania płcią przeciwną i rzadko widuje się go w towarzystwie kobiet. Fionie na myśl by nie przyszło wyrazić sprzeciw wobec seniora rodu, zwłaszcza że postanowiła urodzić syna i uczynić go dziedzicem. Starania Charlesa w tym kierunku, z początku entuzjastyczne, a z czasem wymuszone, nie przyniosły spodziewanego rezultatu. Specjalista z Harley Street zapewnił Fionę, że nie widzi powodu, dla którego nie mogłaby mieć dzieci, i poradził jej, żeby z wizytą do kliniki wybrał się mąż. Fiona potrząsnęła głową wiedząc, że Charles bez zastanowienia odrzuciłby taką propozycję, i już nigdy na ten temat z nikim nie rozmawiała.

Fiona spędzała wiele czasu w okręgu Sussetf Downs, dbając o pomyślny przebieg kariery politycznej Charlesa. Pogodziła się z tym, że ich małżeństwo pozbawione jest romantycznych treści i nauczyła korzystać z dobrych stron takiego układu. Wielu mężczyzn

przyznawało się mniej lub bardziej dyskretnie do fascynacji wysoką elegancką damą, ale ona odtrącała ich zaloty z niewzruszoną obojętnością.

Kiedy Charles, w niebieskiej jedwabnej piżamie, wyszedł z łazienki, Fiona miała gotowy plan, ale najpierw musiała zadać kilka pytań.

- Komu życzysz zwycięstwa?

- Cieszyłbym się, gdyby sir Alec utrzymał swoją pozycję, bądź co bądź Homesowie od czterystu lat przyjaźnią się z twoją i moją rodziną.

- Ale on nie startuje w wyborach. Wiadomo, że szykuje się do odejścia.

- Owszem. Dlatego właśnie przez całe popołudnie przyglądałem się godnym uwagi kandydatom.

- Czy coś z tych obserwacji wynikło?

- Heath i Maudling wysuwają się zdecydowanie na czoło, ale przyznam się, że z żadnym z nich nie rozmawiałem nigdy dłużej niż pięć minut.

- Musimy więc obrócić tę niesprzyjającą okoliczność na naszą korzyść.

- O czym ty mówisz, moja droga? - zapytał Charles, kładąc się obok żony.

- Przypomnij sobie, jak byłeś przewodniczącym uczniowskiej rady w Eton. Czy znałeś z nazwiska choć jednego ucznia z pierwszej klasy?

- Skądże.

- No właśnie. Założę się, że ani Heath, ani Maudling nie znają z nazwiska tych dwudziestu nowych torysów w Izbie.

- Dokąd mnie prowadzisz, lady Macbeth?

- Nie obawiaj się, krew nie zbruka niczyich rąk. Wybierzesz swojego Duncana i zgłosisz gotowość przecignięcia na jego stronę nowego zaciągu. Kiedy zostanie liderem, z pewnością uzna za stosowne dobrać paru nowych ludzi do swojej ekipy.

- To całkiem możliwe.

- Prześpijmy się z tym - rzekła Fiona gasząc koło siebie lampkę nocną.

Charles nie zasnął i w nocy długo rozmyślał nad tym, co powiedziała. Nazajutrz po przebudzeniu Fiona podjęła rozmowę, jakby nic jej nie przerwało.

- Czy musisz się spieszyć z podjęciem decyzji?
- Nie, ale jeżeli będę zwlekał, mogą mi zarzucić oportunistę, a wtedy stracę szansę zostania przywódcą nowych posłów.
- Zanim wybrany przez ciebie polityk zgłosi swoją kandydaturę, zwróć się do niego, żeby wygłosił parę ciepłych słów pod adresem nowicjuszy. Tak będzie jeszcze lepiej.
- Sprytnie to wymyśliłaś.
- Kogo wybrałeś?
- Heatha - odparł Charles bez wahania.
- Polegam na twoim wyczuciu politycznym - rzekła Fiona. - A ty zaufaj moim umiejętnościom taktycznym. Najpierw ułożymy list.

Siedząc w eleganckich szlafrokach na podłodze sypialni, małżonkowie dobierali słowa i cyzelowali zdania. O wpół do dziesiątej wysłali list przez umyślnego do Edwarda Heatha wynajmującego pokoje w rezydencji Albany.

Na drugi dzień z rana Charles został zaproszony na kawę. Dwaj panowie rozmawiali ponad godzinę i zawarli umowę stojąc pod pejzażem Pipera w małym saloniku kawalerskiego mieszkania.

Charles przypuszczał, że sir Alec złoży oficjalną rezygnację pod koniec lata, co dawało mu osiem, do dziesięciu, tygodni na przeprowadzenie kampanii. Fiona sporządziła listę nowych posłów, żadnego nie pomijając, i przez kolejne osiem tygodni zapraszała ich na drinka na Eton Square. Przemysłnie postarała się, żeby członkowie Izby Gmin ginęli w tłumie innych gości, nierzadko z Izby Lordów. Heath pogrążony w pracach nad projektem ustawy skarbowej raz w tygodniu urywał się chociaż na godzinę do Seymourów. Dzień złożenia rezygnacji przez sir Aleca Douglasa-Home'a przybliżał się i Charles widział coraz wyraźniej, że wyniki wyborów lidera będą niemal równie ważne dla niego jak dla Heatha. Wierzył jednak, że przeprowadził swój plan zręcznie i dyskretnie. Poszedłby o zakład, że nikt prócz Heatha nie wiedział, jak bardzo zaangażował się w te wybory.

Był ktoś, kto uczestnicząc w drugim spotkaniu towarzyskim u Fiony spostrzegł, co się święci. Podczas gdy inni goście Seymourów podziwiali kolekcję dzieł sztuki, Simon Kerslake uważnie obserwował gospodarzy. Kerslake nie przewidywał wygranej Edwarda

Heatha w zbliżających się wyborach partyjnych, gdyż za kandydata numer jeden uważał Reginalda Maudlinga. Jako minister spraw zagranicznych w gabinecie cieni, były kanclerz skarbu, człowiek znacznie od Heatha starszy, Maudling miał bezspornie większe szanse. Przede wszystkim był żonaty. Simon wątpił, żeby torysi kiedykolwiek wybrali na przywódcę kawalera.

Po wyjściu od Seymourów Kerslake wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć do parlamentu. Zobaczył Reginalda Maudlinga w jadalni dla posłów przy stoliku zarezerwowanym dla gabinetu cieni. Zaczekał, aż Maudling skończy jeść, i dopiero wtedy spytał, czy mogą chwilę porozmawiać na osobności. Wysoki minister - który zresztą nie pamiętał nazwiska nowego posła - pochylił się i zaprosił Simona na drinka do swojego gabinetu.

Maudling wysłuchał z uwagą wywodu młodego entuzjasty, uznając bez zastrzeżeń jego wiarygodność. Zgodził się, żeby Simon zaczął przeciwdziałać kampanii Seymoura, i dwa razy na tydzień meldował o wynikach swoich starań.

Seymour wykorzystywał wpływy, które zawdzięczał elitarniej edukacji w Eton, natomiast Kerslake dysponował wiedzą i umiejętnościami perswazji zdobytymi podczas pełnienia funkcji przewodniczącego towarzystwa dyskusyjnego w Oksfordzie. Simon dokonał przeglądu swoich mocnych i słabych stron. Nie miał okazałej rezydencji przy Eton Square, gdzie obrazy Turnera, Constable'a i Holbeina można było obejrzeć nie w albumie, a na ścianie. Nie mógł się też pochwalić szykowną żoną z towarzystwa. Mieszkał w małym domu przy Beaufort Street w Chelsea, a Elizabeth była ginekologiem w szpitalu St Mary's w Paddingtonie. Elizabeth popierała polityczne aspiracje Simona, ale swoją pracę uważała za równie ważną, z czym Simon najzupełniej się zgadzał. Na łamach lokalnej prasy kilkakrotnie przypomniano o tym, jak Elizabeth w trzy dni po porodzie pomagała przy cesarskim cięciu, a dwa lata później, kiedy znów miała rodzić, zabrano ją z nocnego dyżuru.

Niezależność i silny charakter Elizabeth wzbudziły podziw Simona, kiedy się poznali. Ale Elizabeth nie dorównywała lady Fionie Seymour w roli pani domu, czego zresztą wcale od niej nie wymagał. Nie znosił ambitnych i pewnych siebie żon polityków.

W ciągu najbliższych dni Simon starał się rozeznać, kto jest zdecydowany głosować na Maudlinga, a kto na Heatha, ale wielu

posłów wyrażało poparcie to dla jednego, to dla drugiego, zależnie od tego, kto ich pytał. Tych Simon zaznaczył jako niepewnych. Kiedy Enoch Powell zgłosił swoją kandydaturę, żaden nowy poseł prócz Aleca Pimkina otwarcie go nie poparł. Sondując czterdziestu nowych posłów Simon ustalił, że dwunastu postanowiło głosować na Heatha, jedenastu na Maudlinga i jeden na Powella, a pozostałych szesnastu było niezdecydowanych. Stopniowo wyszło na jaw, że większość z tej szesnastki nie zna dobrze kandydatów i wciąż się waha, kogo wybrać.

Ponieważ nie mógł ich zapraszać na Beaufort Street między jednym a drugim dyżurem Elizabeth w szpitalu, wyszło na to, że musi sam się do nich pofatygować. Przez ostatnie osiem tygodni towarzyszył więc Maudlingowi, przemawiającemu w dwudziestu trzech okręgach, w których wybrano nowych posłów torysów. Objechał kraj od Bodmin do Glasgow, od Penrith do Great Yarmouth i przed każdym zebraniem udzielał Maudlingowi szczegółowych informacji.

Dla wszystkich stało się jasne, że zarówno Charles Seymour, jak Simon Kerslake zostali wyróżnieni wśród nowego zaciągu i każdy z nich został prawą ręką wybranego przez siebie lidera. Niektórych oburzały poufale szeptki na koktajlach przy Eton Square, podobnie jak odkrycie, że Simon Kerslake nieproszony odwiedził cudze okręgi wyborcze, inni zaś zwyczajnie zazdrościli nagrody, jaka niechybnie czekała zwycięzcę.

- Właściwie dlaczego popierasz Maudlinga? - zapytała Elizabeth któregoś wieczoru przy kolacji.

- Reggie ma o wiele więcej doświadczenia w pracy w rządzie, a poza tym bardziej troszczy się o ludzi.

- Ale w porównaniu z nim Heath sprawia wrażenie profesjonalisty - stwierdziła Elizabeth i nalała mężowi wina.

- Może i jest tak, jak mówisz, ale Brytyjczycy lubią powierzać swoje sprawy dobrym amatorom.

- Jeżeli wierzysz w te powiastki o amatorach, to dlaczego sam tak mocno się angażujesz?

Simon chwilę się zastanowił.

- Bo moje pochodzenie samo przez się nie zapewnia mi głównej roli w torysowskiej obsadzie - wyznał.

- To samo można powiedzieć o Heathie - zauważyła ironicznie Elizabeth.

Wprawdzie w kołach parlamentarnych i poza nimi spodziewano się rychłej rezygnacji sir Aleca, ale oficjalnie złożył ją dopiero 22 lipca 1965 roku na spotkaniu z Komitetem 1922, grupującym szeregowych posłów konserwatywnych.

Wybory lidera miały się odbyć pięć dni później. Przez cały ten czas Simon Kerslake i Charles Seymour pracowali na okrągło, dzień i noc. Mimo licznych badań opinii publicznej zleczanych przez ogólnokrajowe dzienniki oraz drukowanych w prasie statystyk i poglądów, nikt nie potrafił przewidzieć wyników wyborów, pewne wydawało się jedynie trzecie miejsce Powella.

Charles i Simon zaczęli się unikać, Fiona zaś najpierw prywatnie, a potem publicznie mówiła o Kerslake'u „ten ambitny karierowicz”. Przestała się tak wyrażać, kiedy Alec Pimkin spytał dobrodusznie, czy ma na myśli Edwarda Heatha.

Simon i Charles wzięli udział w tajnym głosowaniu z samego rana, a potem aż do lunchu krążyli po kuluarach, usiłując odgadnąć rezultat. Udając optymizm kryli z troską.

Kwadrans po drugiej w sali posiedzeń przewodniczący Komitetu 1922, sir Williams Anstruther-Gray, obwieścił zgromadzonym posłom:

- Wyniki pierwszych wyborów przewodniczącego Partii Konserwatywnej w parlamencie są następujące:

EDWARD HEATH	150 GŁOSÓW
REGINALD MAUDLING	133 GŁOSY
ENOCH POWELL	15 GŁOSÓW

Reginald Maudling, który jadł lunch w City, zadzwonił godzinę później do Heatha oznajmiając, że z radością będzie mu służył swoimi umiejętnościami. Charles i Fiona otworzyli butelkę szampana, a Simon zabrał Elizabeth do Old Vica na *Królewskie polowanie na słońce*. Przespał popis gry aktorskiej Roberta Stephensa i pozwolił żonie odwiedzić się do domu.

- Jak obroniłaś się przed zaśnięciem? Przecież byłaś ostatnio zapracowana nie mniej ode mnie? - spytał Simon.

Elizabeth uśmiechnęła się.

- Tym razem to mnie wciągnęła akcja na scenie.

Po dwóch tygodniach, czwartego sierpnia, Edward Heath ogłosił

skład gabinetu cieni. Reggie'ego Maudlinga wyznaczył zastępcą. Sir Alec przyjął tekę ministra spraw zagranicznych. Powellowi zaś przypadło Ministerstwo Obrony. Charles Seymour otrzymał propozycję sprawowania funkcji młodszego rzecznika w Ministerstwie Gospodarki Mieszkaniowej i samorządów lokalnych. Tym samym jako pierwszy z nowych posłów przesiadł się do rządowej ławy.

Simon Kerslake za pilne starania dostał od Reggie'ego Maudlinga pisemne podziękowanie.

KSIĘGA DRUGA
1966 -1974
STANOWISKA MINISTERIALNE

Rozdział czwarty

Kiedy Alison McKenzie wprowadziła się do mieszkania Andrew Frasera przy Cheyne Walk, jej ojciec, minister stanu do spraw Szkocji, tak jak wszyscy lada chwila spodziewał się ogłoszenia zaręczyn.

Od trzech miesięcy Andrew siedział zagrzebany po uszy w projektach ustaw dotyczących Szkocji, skierowanych przez Izbę do komisji. Początkowo wprawił się głównie w bezmyślnym gryzmoleniu na papierze, gdyż posiedzenia komisji często były nudne, wielu jej członków powtarzało poglądy kolegów, wypowiadając się coraz mętniej. Miał jednak dość energii i uroku osobistego, aby w czasie dłużących się letnich miesięcy zyskać sympatię otoczenia, a nabrawszy pewności siebie zaproponować najpierw drobne, a potem większe zmiany w poprawkach rozważanych przez komisję. Od dawna gnębiły go rozbieżności w kodeksach karnych w Anglii i Szkocji, dlatego domagał się zmian, które upodobniłyby do siebie oba systemy legislacyjne. Szybko się przekonał, że nawet najzagorzalsi torysi nie są tak skrupowani tradycją i zapatrzeni w klanowe interesy, jak członkowie szkockiej Partii Pracy.

Po zakończeniu sesji, pod koniec letniej przerwy Andrew zaprosił Alison na przedłużony weekend do posiadłości wiejskiej rodziców w Stirling.

- Chcesz, żebym spała pod jednym dachem z byłym konserwatywnym burmistrzem Edynburga? - spytała.

- Czemu nie? Od pół roku sypiasz z jego synem.

- No dobrze, niech będzie wspólny dach, ale w ten jeden weekend będziemy musieli spać osobno.

- Dlaczego? Torysi są snobami, nie przeczę, ale nie hipokrytami.

Alison nie chciała się przyznać do obaw, jakimi napelniała ją myśl o przebywaniu w towarzystwie ojca Andrew. Od ponad dwudziestu lat rodzice codziennie przy śniadaniu mieszały go z błotem.

Kiedy wreszcie poznała „Pierdzistołka”, jak nazywał burmistrza jej ojciec, od razu go polubiła. Bardzo był do ojca podobny, natomiast lady Fraser, przed którą przestrzegala ją matka, w niczym nie przypominała jędzowatej snobki.

Od razu ustalono, że nikt nie będzie przez te parę dni poruszał tematów politycznych. W piątek po południu Andrew i Alison wybrali się na długi spacer po wrzosowych wzgórzach i snuli plany na przyszłość. W sobotę rano do sir Duncana zadzwonił minister i zaprosił wszystkich na kolację do Butę House, oficjalnej rezydencji sekretarza stanu do spraw Szkocji.

Obie rodziny, od lat niechętne sobie z racji odmiennych przekonań, z niepokojem oczekiwały spotkania na gruncie towarzyskim. Wyglądało jednak na to, że polityczną przepaść pokonają dzieci. Państwo McKenzie, w nadziei na złagodzenie napięć, zaprosili jeszcze dwie rodziny z Edynburga, Forsythów z bocznej linii, do których należał dom towarowy przy Princes Street, oraz państwa Menzie, właściciele największej w kraju sieci kiosków z prasą.

Andrew korzystając z okazji postanowił złożyć pod koniec bankietu oświadczenie. Przedtem wybrał się na zakupy, które zajęły mu więcej czasu, niż przewidywał, i omal nie spóźnił się na przyjęcie.

Każdy z czternastu gości odnalazł kartkę ze swoim nazwiskiem i wszyscy zasiedli w milczeniu przy długim stole. Kobziarz zagrał rzewną melodię i do sali jadalnej wkroczył kucharz, niosąc na srebrnej tacy wielkie haggis. Minister pochwalił danie, po czym zwrócono się do sir Duncana, który oznajmił:

- Pachnie, aż w nosie kręci!

Był to pierwszy przypadek całkowitej jednogomyślności obydwu panów.

Andrew jadł mniej od innych, gdyż nie mógł oderwać oczu od siedzącej naprzeciw roześmianej panny. Nie zwracając na niego uwagi, zabawiała sąsiadów wyraźnie zadowolonych z jej towarzystwa. Ostatnim razem Andrew widział Louise Forsyth, jak wbijała bramki grając w hokeja na trawie. Była wtedy pulchną dziewczynką z warkoczykami i częściej trafiała kijem w czyjaś nogę niż w piłkę. Teraz wyrosła, wyszczuplała i nabrała gracji, a czarne kędzierzawe włosy miała krótko podcięte. Po kolacji Andrew krążył wśród gości szukając okazji do krótkiego sam na sam z Louise - daremnie. Po pierwszej przyjęcie dobiegło końca. Andrew z ulgą

przyjął wiadomość, że Alison chce nocować u rodziców w Butę House. Fraserowie wyruszyli samochodem do Stirling.

- Byłeś bardzo małomówny jak na socjalistę - rzekł ojciec w drodze do domu.

- Jest zakochany - powiedziała ciepło matka.

Andrew się nie odezwał.

Nazajutrz wstał wcześniej i pojechał do Edynburga zobaczyć się ze swoim agentem. Minister odleciał do Londynu pierwszym samolotem, ale zostawił dla niego wiadomość z prośbą, by zechciał łaskawie spotkać się z nim następnego dnia o dziesiątej w Dover House, londyńskiej siedzibie szkockiego ministerstwa, „w sprawie urzędowej”.

Andrew ucieszył się, ale nie zmieniło to jego postanowienia.

Uporał się z miejscową korespondencją i kilkoma problemami zgłoszonymi przez wyborców, wyszedł z biura i udał się do Nowego Klubu, żeby stamtąd zadzwonić. Odetchnął, kiedy okazało się, że Louise jest jeszcze w domu. Z ociąganiem przyjęła zaproszenie na lunch. Andrew przez czterdzieści minut zerkał co chwila na duży stojący zegar, udając, że czyta „Scotsmana”. Kiedy wreszcie wprowadził ją steward w zielonym klubowym uniformie, Andrew nie miał cienia wątpliwości, że ma przed sobą kobietę, z którą pragnie spędzić resztę życia. Gdyby ktoś - przed wczorajszym przyjęciem - powiedział mu, że niezobowiązujące spotkanie zburzy jego ściśle ustalone plany, roześmiałby się w głos. Ale teraz wiedział, że kogoś takiego jak Louise nigdy nie znał i nigdy nie pozna.

- Panna Forsyth - rzekł steward, ukłonił się i oddalił.

Louise uśmiechnęła się i Andrew poprowadził ją do stolika w kącie.

- Bardzo miło z twojej strony, że od razu przyjęłaś zaproszenie - powiedział z zażenowaniem.

- Raczej bardzo głupio - odparła.

Andrew zamówił lunch, ale nic nie jadł. Dowiedział się, że Louise Forsyth jest zaręczona z przyjacielem z czasów studenckich, a ślub ma się odbyć na wiosnę. Zanim się pożegnali, namówił ją na jeszcze jedno spotkanie.

Dziesięć po piątej złapał samolot do Londynu, a potem siedział u siebie w mieszkaniu czekając na Alison. Zjawiła się po dziewiątej i zapytała, dlaczego nie wrócił ze Szkocji razem z nią albo przynaj-

mniej nie zadzwonił. Powiedział jej całą prawdę. Wybuchnęła płaczem, a on stał i patrzył bezradnie. W ciągu godziny spakowała się i wyszła.

O wpół do jedenastej zadzwonił znów do Louise.

Nazajutrz rano wpadł do parlamentu odebrać korespondencję z poczty poselskiej i sprawdzić w biurze naganiaczy, o której można było spodziewać się głosowania.

- Jedno głosowanie o szóstej, drugie o dziesiątej - krzyknął zza biurka młodszy naganiacz. - To drugie możemy przegrać, więc proszę być w pobliżu.

Andrew skinął głową i odwrócił się.

- A przy okazji, moje gratulacje - dorzucił naganiacz.

- Z jakiego powodu?

- Do diabła, znów zaczynam tydzień od niedyskrecji. Mam tu odręczną notatkę na porannym protokole - wyjaśnił naganiacz stukając palcem w arkusz papieru.

- Co tam jest napisane? - niecierpliwił się Andrew.

- Hugh McKenzie mianował pana swoim osobistym sekretarzem parlamentarnym. Tylko błagam, niech mu pan nie mówi, że się z tym wygadałem.

- Nie powiem - obiecał Andrew z westchnieniem ulgi. Zerknął na zegarek: akurat zdąży na piechotę do Dover House na umówione spotkanie z ministrem.

Pogwizdując przespacerował się Whitehallem. Portier w ministerstwie przyłożył dłoń do czapki. A więc tu też już wiedzą, pomyślał Andrew. Starał się nie okazywać podekscytowania. U szczytu kamiennych schodów czekał na niego sekretarz ministra.

- Dzień dobry - rzekł Andrew, przybierając ton kogoś, kto nie ma pojęcia, co go czeka.

- Dzień dobry, panie Fraser - odpowiedział sekretarz. - Pan minister przeprasza za nieobecność, został wezwany na posiedzenie gabinetu w związku z nową promesą kredytową MFW.

- Rozumiem. Czy minister wyznaczył mi spotkanie w innym terminie?

- Hu, nie - odparł sekretarz nieco zaskoczony. - Sprawa jest nieaki lalna. Minister przeprasza, że niepotrzebnie zajął panu czas.

Charles Seymour z przyjemnością pełnił niełatwe obowiązki młodszego rzecznika opozycji. Nie podejmował wprawdzie strategicznych decyzji, ale wysłuchiwał ich i miał poczucie, że znajduje się w centrum zdarzeń. Kiedy w Izbie toczyła się debata nad gospodarką mieszkaniową, pozwalano mu zasiadać w pierwszej ławie wraz z członkami rządu. Pracując w stałej komisji, spowodował odrzucenie dwóch poprawek do projektu ustawy o planowaniu przestrzennym i dodał własną poprawkę, związaną z ochroną drzew, podczas składanego w Izbie sprawozdania z prac nad ustawą.

- To nie to samo, co zapobiegać wojnie światowej - wyznał Fiona - ale dla mnie ma duże znaczenie. Jeżeli wygramy wybory, na pewno zaproponują mi jakieś stanowisko, które pozwoli mi wpłynąć na kształt polityki.

Fiona grała dalej swoją rolę, organizując co miesiąc przyjęcia w domu przy Eton Square. Do końca roku wszyscy członkowie gabinetu cieni przynajmniej raz byli na kolacji u Seymoursów, a Fiona nie tylko nie wystąpiła dwa razy w tej samej sukni, ale też nie dopuściła do powtórzenia zestawu potraw.

Na początku roku parlamentarnego, w październiku, nazwisko Charlesa wraz z kilkoma innymi nie schodziło z ust politykujących besserwiserów. Był kimś, kogo warto mieć na oku. „On pcha sprawy do przodu” - mówiono coraz częściej. Ledwie Charles postawił nogę w kuluarach, natychmiast doskakiwał jakiś korespondent, żeby wyciągnąć z niego wypowiedź na temat rosnących gór masła albo plagi gwałtów. Fiona skrzętnie zbierała wycinki prasowe i siłą rzeczy spostrzegła, że jedynym nowym posłem, o którym wspominało równie często jak o Charlesie, był młody socjalista z Leeds, Raymond Gould.

Po sukcesie Raymonda w debacie budżetowej jego nazwisko pojawiała się coraz rzadziej na łamach prasy. Koledzy przypuszczali, że zajął się robieniem kariery w sądownictwie. Gdyby któryś z nich przeszedł koło jego pokoju w kancelarii adwokackiej, usłyszałby nieprzerwany stukot maszyny do pisania, a stale zajęty telefon nie pozwalał się do niego dodzwonić.

Co wieczór Raymond przesiadywał w kancelarii pisząc, robiąc

korekty i raz po raz zaglądając do książek, którymi miał zawałone biurko. Praca pod tytułem: *Pełne zatrudnienie za wszelką cenę? Przemyslenia pracownika wykształconego po Wielkim Kryzysie lat trzydziestych* z dnia na dzień stała się sensacją wydawniczą. Teza, że związki ulegną osłabieniu, a Partia Pracy powinna się zradykalizować, żeby przyciągnąć młody elektorat, nie mogła przynieść Raymondowi popularności w kręgach partyjnych aktywistów. Przewidywał zresztą, że ściągnie na siebie gromy zarówno ze strony związkowców, jak i niektórych co bardziej lewicowych kolegów. Za to A.J.P. Taylor napisał w „Timesie”, że publikacja przynosi najbardziej rzeczowe i dogłębne spojrzenie na Partię Pracy od czasów *Przyszłości socjalizmu* Anthony'ego Croslanda, i dzięki niej kraj zyskał polityka rzadkiej odwagi i szczerości. Raymond przekonał się niebawem, że zamiar zrealizowany wielkim nakładem pracy opłacił się. Na przyjęciach gromadzących polityczne osobistości stale powracano w rozmowach do jego osoby.

Joyce uważała książkę za wybitne dzieło naukowe i wiele czasu poświęciła na przekonywanie związkowców, którzy czytali wyrwane z kontekstu cytaty w „Sun” i „Daily Mirror”, że przebija z niej zaangażowanie i troska o ruch związkowy, natomiast przyszłość Partii Pracy potraktowana jest z realizmem.

Szef naganiaczy laburzystów wziął Raymonda na stronę i powiedział:

- Wsadziłeś kij w mrowisko, chłopcze. Nie udzielaj się publicznie przez kilka miesięcy, a zobaczysz, że członkowie gabinetu będą cię cytować jak program partii.

Raymond poszedł za radą szefa naganiaczy, ale nie musiał oczekiwać kilku miesięcy. W trzy tygodnie po ukazaniu się książki premier przytoczył z niej dłuższy fragment na wiecu górników w Durham. Kilka tygodni później Numer Dziesięć zwrócił się do Raymonda z uprzejmą prośbą, by przejrzał przemówienie premiera przygotowane na zjazd Rady Związków Zawodowych i poczynił uwagi, jakie uzna za stosowne.

Przez jeden dzień Simon Kerslake chodził przygnębiony porażką Maudlinga. Potem postanowił wyładować gniew na zasiadających w ławach rządowych. Zorientował się, że dwa razy w tygodniu

przez piętnaście minut ktoś obdarzony, tak jak on, zdolnościami krasomówczymi może zwrócić na siebie uwagę. Na początku każdego tygodnia czytał program obrad, a szczególnie uważnie pierwsze pięć pytań do premiera zgłoszone na wtorek i czwartek. W poniedziałek rano przygotowywał pytania dodatkowe do co najmniej trzech interpelacji. Formułował je dobierając starannie słowa, tak by zabrzmiały celnie, dowcipnie i dały się mocno we znaki rządowi. Przygotowanie tych dodatkowych pytań trwało całymi godzinami, ale Simon starał się sprawić wrażenie, jakby zanotował je naprędce na ostatniej stronie programu obrad w czasie godziny pytań - zresztą tak właśnie robił. Elizabeth wytknęła mu żartem, że poświęca zbyt wiele czasu drobiazgom. Przypomniał jej, co powiedział Churchill, kiedy zachwycano się jakąś błyskoliwą ripostą: „Najlepsze uwagi, które rzucam od niechcienia, przygotowuję z wielodniowym wyprzedzeniem”.

Ale nawet Simon się zdziwił, jak szybko posłowie przywykli do jego ataków przeciwko każdemu posunięciu premiera. Oczekiwali, że będzie drażył, żądał wyjaśnień, czepiał się jak rzep. Ledwie powstał z miejsca, posłowie ożywiali się i nadstawiali ucha, a niejedna z jego wypowiedzi trafiała na drugi dzień do komentarzy politycznych na łamach dzienników.

Tego dnia interpelacja dotyczyła bezrobocia. Simon wstał, wytykając palcem rządową ławę naprzeciwko.

- Mianując w tym tygodniu czterech dodatkowych sekretarzy stanu, pan premier może twierdzić, że przynajmniej w gabinecie osiągnął pełne zatrudnienie.

Premier przygarbił się, wyczekując z utęsknieniem przerwy w obradach.

Rozdział piąty

Po otwarciu obrad parlamentu przez królową rozmawiano nie o treści jej przemówienia, w którym zgodnie z tradycją wyliczała cele i zamierzenia rządu, ale o tym, ile aktów prawnych uda się przeprowadzić przy zaledwie czteroosobowej przewadze Partii Pracy. Przewidywano, że każdy sporny projekt ustawy upadnie najprawdopodobniej już w komisjach. Konserwatyści byli przekonani, że

wygrają najbliższe wybory niezależnie od terminu wyznaczonego przez premiera, ale zrzędy im miny, kiedy w wyborach uzupełniających w Hull laburzyści zwiększyli przewagę z 1 100 na 5 350 głosów. Premier nie mógł uwierzyć w ten wynik i natychmiast poprosił królową o rozwiązanie parlamentu i ogłoszenie wyborów powszechnych. Buckingham Pałace podał termin: 31 marca.

Simon Kerslake zaczął częściej bywać w swoim okręgu wyborczym. Mieszkańcy Coventry nie mieli zastrzeżeń do poczynań początkującego deputowanego, niemniej chłodni i obiektywni statystycy wykazywali, że zmiana zdania przez niecały procent elektoratu usunęłaby go na pięć lat z parlamentu. W tym czasie rywale wspięliby się na drugi szczebel kariery.

Szef naganiaczy torysów doradził Simonowi, aby nie udzielał się w parlamencie, tylko siedział w Coventry. Zapewnił, że do wyborów nie będzie wezwał do obowiązkowej obecności, więc Simon powinien to wykorzystać i zamiast głosować samemu, zabiegać o głosy dla siebie.

Elizabeth nie mogła wziąć więcej niż dwa tygodnie urlopu, a mimo to do końca marca udało im się objechać cały okręg wyborczy. Przeciwnikiem Simona był Alf Abbott, były deputowany, którego nadzieje na zwycięstwo rosły w miarę coraz wyraźniejszego poparcia dla laburzystów. Slogan „Znasz już skuteczność rządu laburzystów” brzmiał przekonująco po zaledwie półtora roku u władzy. Liberalowie zgłosili swojego kandydata, Nigela Bainbridge'a, który otwarcie przyznał, że liczy tylko na odzyskanie depozytu, a więc zdobycie nie mniej niż pięć procent oddanych głosów.

Alf Abbott czuł się tak pewien swego, że wezwał Simona do publicznej debaty. Zazwyczaj zasiadający w parlamencie deputowany nie dawał się wciągnąć w taką imprezę, Simon jednak skorzystał ochoczo z zaproszenia i przygotował się starannie do spotkania z przeciwnikiem. Tydzień przed wyborami Simon i Elizabeth stanęli za kulisami sceny w ratuszu Coventry wraz z Alfem Abbottem, Nigelem Bainbridge'em i ich żonami. Trzej panowie prowadzili wymuszoną konwersację, a panie spozierały krytycznie na swoje stroje. Korespondent polityczny „Coventry Evening Telegraph”, pełniący obowiązki przewodniczącego, przedstawił bohaterów wieczoru, którzy weszli kolejno na podium witani oklaskami wznie-

canyimi w coraz to innej części sali. Pierwszy przemawiał Simon i przez dwadzieścia minut utrzymał zainteresowanie dużego audytorium. Ci, którzy próbowali mu przeszkadzać, żalowali potem, że ściągnęli na siebie uwagę. Nie zaglądając do notatek, Simon sypał jak z rękawa liczbami i cytatami z rządowych projektów ustaw, co zaimponowało nawet Elizabeth. Następny był Abbott atakujący ostro torystów, którym zarzucił, że wciąż nie liczą się z robotnikami i chcą ich wdeptać w ziemię. Część widowni wyraziła swoje poparcie gromkimi wiwatami. Bainbridge stwierdził, że żaden z przedmówców nie zna się na istotnych zagadnieniach, po czym uwikłał się w długi wywód na temat kanalizacji. Kiedy przyszła pora na pytania, Simon znów pokazał, że jest lepiej przygotowany niż Abbott i Bainbridge. Ale sala pomieściła zaledwie siedmiuset wyborców okręgu Coventry, a pozostałe pięćdziesiąt tysięcy? Domyślał się, że większość śledzi z zapartym tchem kolejny odcinek serialu *Coronation Street*.

Miejscową prasa ogłosiła wprowadzie Simona zwycięzcą w nierównej debacie, ale krajowe dzienniki zapowiadały druzgocące zwycięstwo Partii Pracy i to go przygnębiło.

W dniu wyborów Simon i Elizabeth wstali o szóstej rano i jako jedni z pierwszych oddali głosy w lokalu wyborczym umieszczonym w szkole podstawowej. Przez resztę dnia odwiedzali inne punkty wyborcze, sale komisji wyborczych, partyjne punkty informacyjne, podnosząc na duchu sprzymierzeńców. Wszędzie zagorzali zwolennicy Simona wyrażali wiarę w jego zwycięstwo, ale on wiedział, że nie można lekceważyć ogólnych nastrojów w kraju. Doświadczony poseł konserwatywny powiedział mu kiedyś, że wyróżniający się deputowany może zyskać tysiąc głosów, tyle ile straci słaby przeciwnik. Zanosilo się, że to nie wystarczy.

Kiedy o dziewiątej wieczorem zamknięto ostatni lokal wyborczy, Simon i Elizabeth dowlekli się do najbliższego pubu i zamówili po małym ciemnym piwie. W telewizorze nad kontuarem komentator mówił właśnie, że na podstawie wstępnych obliczeń przeprowadzonych poza sześcioma okręgami londyńskimi przewiduje się przewagę sięgającą od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu mandatów dla laburzystów. Na ekranie zamigotał spis siedemdziesięciu okręgów, które miały paść łupem Partii Pracy. Dziewiąty na liście był okręg Coventry Central - Simon zamówił drugie piwo.

- Niedługo trzeba iść, powinniśmy popatrzeć, jak liczą głosy - przypomniała Elizabeth.

- Nie ma pośpiechu.

- Nie rozklejaj się, Simonie. Pamiętaj, że nadal jesteś posłem - dodała niespodziewanie ostro. - Tym ludziom, którzy tak się napracowali, coś się od ciebie należy. Pokaż im, że jesteś dobrej myśli.

Ze wszystkich punktów wyborczych w okręgu policyjne samochody zwoziły do ratusza czarne urny. Icfę zawartość wysypywano na stoły ustawione w podkowę pośrodku wielkiej sali. Wewnątrz podkowy stał sekretarz rady miejskiej z pomocnikami, a na jej obrzeżach urzędnicy magistracy, którzy odliczali po sto kart wyborczych i układali je w kupki. Te z kolei sprawdzali partyjni skrutatorzy, czujni jak sępy, żądając raz po raz ponownego sprawdzenia wskazanej setki.

Małe kupki urastały w wielkie stosy. Mimo upływu czasu wciąż nie wiadomo było, kto zwycięży.

Napięcie rosło. Kolejne setki, a potem *tysiące głosów* trafiały do rąk sekretarza. Plotki rodzące się w głębi sali pęczniały jak suflet, zanim dotarły do tłumu, który nie zważając na zimny wiatr czekał pod ratuszem. Przed północą ogłoszono wyniki w kilkunastu okręgach w kraju. Potwierdził się przewidywany wzrost popularności Partii Pracy, a wyrażający tę tendencję wskaźnik około trzech procent zapowiadał przewagę siedemdziesięciu bądź więcej mandatów.

Dwadzieścia minut po północy sekretarz rady miejskiej Coventry poprosił trzech kandydatów, żeby podeszli do niego na środek sali. Podał im wynik głosowania.

Natychmiast zażądano powtórnego obliczenia głosów. Sekretarz wyraził zgodę, karty wyborcze wróciły na stoły i zaczęło się sprawdzanie.

Godzinę później sekretarz znów wezwał do siebie kandydatów i poinformował o wynikach obliczeń; różnica wynosiła trzy głosy.

Poproszono o jeszcze jedno obliczenie. Sekretarz przystał, choć z ociąganiem. Elizabeth tak mocno zaciskała palce że straciła w nich czucie. Upłynęła jeszcze jedna godzina, w czasie której Heath uznał swoją porażkę, a Wilson udzielił obszernego wywiadu agencji telewizyjnej ITN, przedstawiając program dla nowego parlamentu.

Dwadzieścia siedem minut po drugiej sekretarz rady miejskiej

po raz ostatni wezwał kandydatów. Wynik obliczeń uznano za ostateczny. Wraz z trzema rywalami sekretarz wszedł na podium. Zastukał w mikrofon sprawdzając, czy działa głośnik, odchrząknął i odczytał komunikat:

- „Ja, niżej podpisany, pełniąc obowiązki komisarza wyborczego w okręgu Coventry Central, niniejszym podaję do wiadomości, że poszczególni kandydaci uzyskali następującą liczbę głosów:

ALF ABBOTT	19 716
NIGEL BAINDBRIDGE	7 002
SIMON KERSLAKE	19 731

A zatem z woli wyborców deputowanym do parlamentu z okręgu Coventry Central został Simon Kerslake”.

Simon zwyciężył piętnastoma głosami, choć w tych wyborach Partia Pracy zdobyła w Izbie Gmin przewagę dziewięćdziesięciu siedmiu mandatów.

Zgodnie z ogólnokrajową tendencją, Raymond Gould powiększył swoją pulę głosów do 12 413. Joyce czuła, że zapracowała na tygodniowy urlop.

Andrew Fraser poprawił swoje notowania o 2 468 głosów i na drugi dzień po wyborach ogłosił zaręczyny z Louise Forsyth.

Charles Seymour nie potrafił podać liczby wyrażającej jego przewagę, co można wytłumaczyć tak, jak zrobiła to Fiona zwracając się do sędziwego hrabiego:

- W Sussex Downs, mój drogi, nie liczy się głosów oddanych na konserwatystów, tam się je waży.

Rozdział szósty

W większości krajów demokratycznych nowo wybrany przywódca, zanim ogłosi kierunki polityki, które zamierza rozwijać, oraz nazwiska ludzi, których wybrał do realizacji tych zamierzeń, korzysta z okresu przejściowego. W Wielkiej Brytanii po ogłoszeniu wyników wyborów posłowie spędzają dwie doby przykuci do tele-

fonów. W ciągu pierwszych dwunastu godzin można otrzymać oferty uczestnictwa w nowym gabinecie. W ciągu następnych dwunastu rozdzielane są stanowiska ministrów, potem podsekretarzy stanu, a na koniec osobistych sekretarzy parlamentarnych przy ministrach gabinetu. Jeżeli przez dwie doby telefon milczy, poseł zasiada w tylnej ławie.

Andrew Fraser nie zadał sobie trudu i nie przebywał w pobliżu telefonu, kiedy BBC w południowym wydaniu wiadomości podało, że Hugh McKenzie awansował z ministra stanu na sekretarza stanu do spraw Szkocji, z prawem zasiadania w gabinecie. Andrew i Louise Forsyth postanowili zaszyć się na weekend w Aviemore - on przed powrotem do Izby zamierzał zdobywać dla odmiany inne szczyty, ona miała zaplanować wesele.

Niezliczoną ilość razy Andrew musiał jeździć do Edynburga, aby przekonać Louise, że pamiętnego wieczoru w Butę House nie uległ chwilowemu zauroczeniu, ale zrodziło się w nim uczucie głębokie i niezmienne. Kiedy pewnego razu nie mógł odwiedzić stolicy Szkocji i Louise przyjechała do Londynu, zrozumiał, że wreszcie ją przekonał. Z doświadczenia wiedział, że dokonanie podboju powoduje zanik zainteresowania. W jego przypadku jednak miłość do „tej chudzinki”, jak matka nazywała Louise, nie tylko nie malała, ale wciąż rosła.

Louise mierzyła zaledwie pięć stóp trzy cale, ale była tak szczupła, że przez to wydawała się wyższa. Czarne krótkie włosy, niebieskie oczy i roześmiana buzia sprawiały, że niejeden dryblas pochylał się, żeby lepiej się jej przyjrzeć.

- Obżerasz się jak prosię, a wyglądasz jak szczapa. Nie wiem, jak ci się to udaje - zajęczał kiedyś przy kolacji Andrew. Grał regularnie w squash i trzy razy w tygodniu pływał, żeby utrzymać się w formie. Teraz patrzył z podziwem i nieskrywaną zazdrością, jak Louise z filuternym błyskiem w oku rzuca się na drugi kawałek tortu.

Louise była surowo wychowana w kalwińskim domu, w którym nie dyskutowano o polityce. Mimo to szybko poznała kulisy sprawowania władzy i niebawem prowadziła długie wieczorne rozmowy z sir Duncanem. Początkowo bił ją na głowę, ale z czasem jej pytania zmusiły go do używania coraz bardziej przemyślanych argumentów, które nie zawsze okazywały się wystarczające.

Jeszcze przed wyborami Louise z całym przekonaniem przyjęła poglądy Andrew. Na widok nędzy w zakątkach okręgu Edinburgh Carlton ścisnęło jej się serce. W przyływie typowego dla neofitów zapалу chciała przerobić na swoje kopyto cały klan Forsythów. Wpłaciła nawet dwanaście szylingów wpisowego do szkockiej Partii Pracy.

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytał Andrew starając się nie okazać zadowolenia.

- Jestem przeciwna mieszanym małżeństwom.

Andrew był zachwycony i zaskoczony jej zainteresowaniem, a nieufność wyborców widzących w niej „bogata damę” zamieniła się wkrótce w sympatię.

- Pani przyszły mąż zostanie kiedyś szkockim sekretarzem stanu - wołano do niej, kiedy szła wąskimi brukowanymi uliczkami.

- Chcę zamieszkać na Downing Street, a nie w Butę House - wyznał jej któregoś dnia. - A zresztą muszę najpierw zostać wice-ministrem.

- "tylko patrzeć, jak dostaniesz jakąś propozycję.

- Nie spodziewam się, dopóki Hugh McKenzie jest sekretarzem stanu - odparł nie ścisząc głosu.

- Do diabła z McKenzie'm. Jestem pewna, że któryś członek gabinetu zdobędzie się na odwagę i zaproponuje ci stanowisko sekretarza osobistego.

Mimo przewidywań Louise telefon milczał.

Raymond Gould wyjechał z Leeds zaraz po zakończeniu obliczania głosów, zostawiając Joyce, która miała go wyręczyć w tradycyjnym objeździe okręgu z podziękowaniami.

Na drugi dzień siedział przy telefonie, a jeżeli wstawał, to jedynie po to, by krążyć wokół niego nerwowo poprawiając okulary. Pierwsza zadzwoniła matka z gratulacjami.

- Czego mi gratulujesz? - zapytał. - Słyszałaś coś?

- Nie, kochanie - odparła. - Chciałam ci tylko powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że zdobyłeś więcej głosów.

- Ach tak.

- I jeszcze jedno. Bardzo nam przykro, że nie zobaczyliśmy się z tobą przed odjazdem, a przecież musiałeś mijać sklep w drodze do autostrady.

Tylko nie to, mam - miał ochotę powiedzieć. Drugi zadzwonił kolega pytając, czy Raymond otrzymał jakąś propozycję.

- Jak dotąd żadnej - odparł, po czym dowiedział się o awansie rówieśnika.

Trzecia zadzwoniła przyjaciółka Joyce.

- Kiedy wróci? - spytała.

Znów ten akcent z Yorkshire.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Raymond chcąc, żeby jak najszybciej się rozłączyła i zwolniła linię.

- Wobec tego zadzwonię jeszcze raz po południu.

- Dobrze - powiedział i szybko odłożył słuchawkę.

Poszedł do kuchni, żeby zrobić sobie kanapkę z serem, ale nie było sera, zjadł więc kromkę starego chleba posmarowanego masłem sprzed trzech tygodni. Kiedy wgryzał się w drugą kromkę, zaterkotał telefon.

- Raymond?

Wstrzymał oddech.

- Noel Brewster.

Rozpoznał głos wikarego. Wezbrała w nim złość.

- Czy będziesz mógł wystąpić jako lektor, kiedy przyjedziesz do Leeds? Liczyliśmy na twój udział w dzisiejszym nabożeństwie, twoja urocza żona...

- Tak. W pierwszą niedzielę, kiedy będę w Leeds - obiecał.

Ledwie odłożył słuchawkę, telefon znów zadzwonił.

- Raymond Gould? - spytał głos, którego nie rozpoznał.

- Przy telefonie.

- Za chwilę będzie z panem rozmawiał premier. Raymond czekał. Otworzyły się drzwi i usłyszał wołanie.

- To tylko ja. Nie znalazłeś pewnie nic do jedzenia, biedaku.

Do pokoju weszła Joyce. Nie patrząc na żonę Raymond dał jej znak, żeby się nie odzywała.

- Ray - powiedział głos w słuchawce.

- Dzień dobry, panie premierze - odparł oficjalnym tonem.

- Czy czuje się pan na siłach podjąć obowiązki nowego podsekretarza stanu do spraw zatrudnienia?

Raymond odetchnął z ulgą. Na to właśnie liczył.

- Zrobię to z ochotą, panie premierze.

- Świetnie. To da do myślenia przywódcom związkowym. - Premier rozłączył się.

Raymond Gould, od tej chwili podsekretarz stanu w Ministerstwie Zatrudnienia, zastygł w bezruchu kontemplując osiągnięcie trzeciego szczebla kariery.

Nazajutrz rano wychodzącego z domu Raymonda powitał kierowca czekający przy czarnym austinie westminsterze. Limuzyna lśniła blaskiem, którego nie udało się wydobyć ze starego sunbeam. Kierowca otworzył tylne drzwiczki i Raymond wsiadł. Całe szczęście, że wie, gdzie mam biuro, pomyślał. U jego boku na tylnym siedzeniu leżał czerwony skórzany kuferek ze złotym napisem wzdłuż krawędzi: „Podsekretarz stanu do spraw zatrudnienia”. Raymond przekreślił kluczyk myśląc, że tak jak on musiała czuć się Alicja, kiedy wpadła do króliczej nory i zaczęła spadać w dół. Kuferek wypełniały teczki. Otworzył pierwszą opatrzoną nagłówkiem: *Pięciopunktowy plan dyskusji w gabinecie na temat „Co zrobić, żeby liczba bezrobotnych nie przekroczyła miliona?”* Zagłębił się w lekturze gęsto zadrukowanych stron.

Kiedy Charles Seymour stawiał się w parlamencie we wtorek, na tablicy znalazł adresowaną do siebie kartkę z biura naganiaczy. Ponieważ współpracownik ministra gospodarki mieszkaniowej i samorządów lokalnych przepadł w wyborach powszechnych, Charles otrzymał awans na wiceministra w ławie opozycji.

- Koniec z ochroną drzew. Wędrujesz wyżej - zażartował szef naganiaczy. - Zatrucie środowiska, niedobory wody, spaliny...

Uśmiechnięty i zadowolony Charles przemierzał kuluary, pozdrawiając kolegów i przyglądając się nowym twarzom, których sporo przybyło. Nie zagadnął żadnego z nowicjuszy, nie mając pewności, jaką partię reprezentuje, a znając wyniki wyborów domyślał się, że większość to socjaliści. Odźwierny we fraku wręczył mu list zawiadamiający, że w głównym hallu czeka na niego pewien wyborca. Charles ruszył szybko w tamtą stronę. Po drodze mijali osowiałych starszych kolegów. Niektórzy przewidywali, że jeszcze długo poczekają na propozycję stanowiska, inni pożegnali się na dobre z funkcją ministra. Jak powiedział Macmillan - nawet naj-
błyskotliwsza kariera polityczna kończy się we łzach.

Ale Charles miał trzydzieści pięć lat, śpieszył do swojego wyborcy, więc nie myślał o takich sprawach. W hallu czekał na niego rumiany łowczy, który przyjechał do Londynu, bo nie podobał mu się poselski projekt ustawy zakazującej polowania z psami na zające. Charles wysłuchał piętnastominutowego monologu, po czym zapewnił wyborcę, że podobna ustawa nie ujrzy światła dziennego, gdyż posłowie nie będą mieli na nią czasu. Łowczy odszedł uszczęśliwiony, a Charles poszedł do swojego pokoju przejrzeć korespondencję. Czekąco go jeszcze, o czym przypomniła Fiona, uzupełnienie nagłówkiem i podpisem ośmiuset ofrankowanych listów z podziękowaniem dla partyjnych pomocników. Jęknął na samą myśl o tym.

- Pani Blenkinsop, przewodnicząca Klubu dla Pań w Sussex prosi pana o przybycie i wygłoszenie mowy na dorocznym lunchu - powiedziała sekretarka, kiedy usiadł w pokoju.

- Zgadzam się. Którego dnia ma to być? - zapytał sięgając po terminarz.

- Szesnastego czerwca.

- Głupia baba, to przecież drugi dzień wyścigów w Ascot. Proszę odpisać, że będę tego dnia przemawiał na konferencji budownictwa mieszkaniowego, ale w przyszłym roku z pewnością znajdę czas dla szanownych pań.

Sekretarka rzuciła zaniepokojone spojrzenie.

- Na pewno się nie zorientuje - uspokoił ją.

Sięgnęła po drugi list.

- Pan Heath pyta, czy przyjmie pan zaproszenie na godzinę szóstą we wtorek.

Simon Kerslake też wiedział, że czeka go długa i żmudna droga. Zdawał sobie sprawę, że torysi nie zmienią lidera aż do wyborów, w których dadzą Heathowi drugą szansę. Należało się więc spodziewać pięciu lat władzy rządu dysponującego przewagą dwięćdziesięciu siedmiu mandatów.

Zaczął pisywać artykuły do „Spectatora” i „Sunday Express” licząc, że wyrobi sobie nazwisko poza parlamentem, a jednocześnie coś dorobi do poselskiej pensji wynoszącej trzy tysiące czterysta funtów rocznie. Nawet wraz z dochodami Elizabeth trudno było

związać koniec z końcem, a przecież obaj synowie zbliżali się do wieku szkolnego. Zazdrościł ludziom takim jak Charles Seymour, którzy nie myśleli o najbliższej wypłacie. Simon zastanawiał się czasem, czy ten cholerny człowiek w ogóle ma jakieś zmartwienie. Przejechał palcem po rozliczeniu bankowym - na prawym marginesie widniała kwota prawie pięciuset funtów, jak zwykle był zadłużony. Niejeden jego rówieśnik z Oksfordu wyrobił już sobie pozycję w City albo adwokaturze i w piątkowy wieczór mknął samochodem do wiejskiej rezydencji. Simon parsknął śmiechem, ilekroć przeczytał, że ludzie wybierają karierę polityczną dla pieniędzy.

Wciąż zadawał niewygodne pytania premierowi, przypierając go do muru w każdy wtorek i czwartek, choć denerwował go widok twarzy kolegów, wyczekujących na kolejne wystąpienie. Mimo wprawy nadal przygotowywał się starannie i raz nawet doczekał się pochwały z ust powściągliwego przywódcy partyjnego. Mijały tygodnie, a on wciąż wracał myślami do pieniędzy, a raczej ich braku.

Tak było do chwili, kiedy poznał Ronnie'ego Nethercote'a.

Andrew Fraser nieraz czytał o tym, że politykowi może przeszkodzić w karierze gniew lub zazdrość jednego człowieka, ale nie mógł się pogodzić, że spotkało to właśnie jego. Tym bardziej że Hugh McKenzie miał długie ręce i jego wpływy sięgały wielu ministerstw.

W prasie krajowej ukazały się reportaże ze ślubu Andrew z Louise Forsyth, a William Hivckey z "Daily Express" zwrócił uwagę na nieobecność szkockiego sekretarza stanu. Zamieszczono nawet stare zdjęcie smutnej Alison McKenzie.

Sir Duncan przypomniał synowi, że polityka to zajęcie nie dla sprinterów, a długodystansowców, więc ma jeszcze przed sobą niejedno okrażenie.

- Niezbyt fortunny porównanie - zauważył Andrew, który biegał w sztafecie cztery razy sto dziesięć jardów w reprezentacji uniwersytetu w Edynburgu. Nie pozostawało mu jednak nic innego, jak przygotować się do maratonu.

- Pamiętaj, że Harold Macmillan przesiedział w tylnych ławach czternaście lat, zanim doczekał się stanowiska - dodał sir Duncan.

Louise towarzyszyła Andrew podczas wyjazdów na „ważne wy-

stąpienia", których słuchało zazwyczaj kilkanaście osób. Przestała co tydzień wyprawiać się do Szkocji dopiero, kiedy okazało się, że jest w ciąży.

Andrew z zadziwiającym dla Louise zapałem przygotowywał się do roli ojca, bardzo pragnął bowiem, żeby syn nie myślał o nim tylko jako o polityku. Własnoręcznie przerobił jedną z sypialni na pokój dziecienny i radził się Louise, jakie umeblowanie niebieskiego wnętrza będzie najodpowiedniejsze.

Louise myślała z niepokojem, czy Andrew okazywałby tyle uczucia, gdyby miała im się urodzić córka.

Raymond Gould w krótkim czasie zyskał uznanie w Ministerstwie Zatrudnienia. Uważano, że jest wybitnie inteligentny, pracowity, wymagający, ale także - o czym nigdy wprost się nie dowiedział - arogancki. Potrafił przerwać w pół słowa podwładnemu albo poprawić sekretarza osobistego w jakichś szczegółach. Nie zaskarbiał tym sobie przychylności najbliższych współpracowników, którzy przecież pragnęli być lojalni wobec przełożonego.

Raymond musiał się uporać z ogromem pracy, ale kiedy stał sekretarzem usiłował zredukować program zajęć, usłyszał zdecydowane: „Proszę nie szukać wymówek”. Nikt już nie wątpił, że Gould awansuje, zastanawiano się tylko, kiedy. Sekretarz stanu, podobnie jak każdy, na kogo czekają w sześciu miejscach jednocześnie, często prosił Raymonda, żeby go zastąpił. Ale Raymond zdziwił się, że ma być gościem honorowym i reprezentować ministerstwo na dorocznym przyjęciu wydawanym przez Konfederację Brytyjskiego Przemysłu.

Przed wyjściem z domu Joyce sprawdziła, czy ma czystą koszulę i buty lśniące jak u gwardzisty. W kieszeni smokingu spoczywał starannie przygotowany tekst przemówienia - dzieło doświadczonych urzędników ministerialnych, które uzupełnił kilkoma mocniejszymi wyrażeniami własnego autorstwa, by dowieść kapitalistycznemu audytorium, że nie każdy członek Partii Pracy „bredzi jak komuch”. Kierowca ruszył z Lansdowne Road w kierunku West Endu.

Raymond z przyjemnością uczestniczył w przyjęciu, choć kiedy wstał, żeby w imieniu rządu odpowiedzieć na toast, chwyciła go

trema. Skończył mówić z poczuciem, że było to jedno z jego najbardziej udanych wystąpień. Słuchacze, z natury rzeczy nieprzychylni, nagrodzili go ciepłymi brawami.

- Mowa wytrawniejsza od chablis - szepnął jeden z gości do przewodniczącego. - Jeżeli tacy ludzie zajmują wysokie stanowiska, z socjalistami będzie o wiele łatwiej żyć.

Gość siedzący po lewej ręce Simona Kerslake'a wyraził się prosto z mostu.

- Myśli jak torys, mówi jak torys, to czemu, do cholery, nie jest torysem?

Simon uśmiechnął się do rumianego, przedwcześnie łysiejącego sąsiada, który cały czas raczył go ostro formułowanymi sądami.

- Gould urodził się w latach trzydziestych w Leeds - odparł - więc przypuszczam, że trudno byłoby mu wstąpić do koła młodych konserwatystów.

- Bzdura - rzekł Ronnie Nethercote. Wyglądał tak, jakby lada chwila miał rozsadzić opięty smoking. - Mnie się udało, choć urodziłem się w londyńskim East Endzie i nie miałem takich forów jak on. Niech mi pan powie, panie Kerslake, co pan porabia w wolnych chwilach, kiedy nie zbija pan bąków w Izbie Gmin?

Po kolacji Raymond został na pogawędkę z rycerzami przemysłu. Wyszedł z Grosvenor House po jedenastej.

Szofer ruszył powoli aleją Park Lane, a podsekretarz pomachał na odjeżdżnym gospodarzowi wieczoru. Ktoś inny też pomachał. Raymond rzucił niedbale okiem, przypuszczając w pierwszej chwili, że to któryś z gości. Wtedy zobaczył te nogi. Przed stacją benzynową na rogu Park Lane stała dziewczyna i uśmiechała się zachęcająco. Biała minispódniczka, rozmiarami przypominająca chustkę do nosa, odsłaniała zgrabne nogi, takie jakie miała Joyce przed dziesięciu laty, tyle że czarne. Przez całą drogę do domu Raymond miał przed oczami kręcone włosy dziewczyny i zarys jej bioder.

Kiedy zajechali na Lansdowne Road, Raymond wysiadł, pożegnał kierowcę i podszedł powoli do drzwi domu. Klucza jednak nie wyjął, tylko zaczekał, aż służbowe auto zniknie za rogiem, zadarł głowę i spojrzął w okno sypialni. Było ciemno. Joyce na pewno spała.

Przekradł się z powrotem na chodnik, rozejrzał po ulicy, aż wypatrzył, gdzie Joyce zaparkowała sunbeama. Poczł się jak złodziej, kiedy z zapasowym kluczykiem w ręku wgramolił się do samochodu. Dopiero za trzecim razem silnik zacharczał i Raymond ruszył zastanawiając się, czy obudzi całą ulicę. Jechał w kierunku Park Lane nie wiedząc, czego się spodziewać. Przy Marble Arch włączył się do środkowego pasma ruchu. Z Grosvenor House wysypali się jeszcze goście w wieczorowych strojach. Minał stację benzynową - dziewczyna nadal tkwiła w tym samym miejscu. Kiedy się uśmiechnęła, nacisnął pedał gazu i omal nie potracił jadącego przed nim samochodu. Zawrócił do Marble Arch, ale zamiast do domu, znów pojechał Park Lane, tylko wolniej i bliżej chodnika. Zbliżając się do stacji benzynowej przyhamował, a dziewczyna pomachała ręką. Zrobił jeszcze raz to samo kółko - Marble Arch, Park Lane, tyle że jeszcze wolniej niż przedtem. Mijając po raz trzeci Grosvenor House upewnił się, czy jacyś maruderzy nie gawędzą przypadkiem na chodniku. Nie było nikogo. Zatrzymał się wyczekując tuż za stacją benzynową.

Dziewczyna rozejrzała się na wszystkie strony, podeszła do samochodu, otworzyła drzwiczki i usiadła na przednim siedzeniu obok podsekretarza stanu.

- Szukasz okazji?
- Nie rozumiem? - zachrypiął Raymond.
- Daj spokój, kochanie, nie myślisz chyba, że się tu opalam.

Raymond popatrzył uważniej na dziewczynę. Nawet zapach tanich perfum nie zmniejszył ochoty, żeby ją dotknąć. Trzy guziki czarnej bluzki były rozpięte; gdyby odpiąć czwarty, wyobraźnia straciłaby pole do popisu.

- Dziesięć funtów, jeżeli u mnie.
- To znaczy gdzie? - zapytał mimo woli.
- W hotelu w Paddingtonie.
- Jak się tam jedzie? - spytał przeczesując nerwowo palcami rude włosy.

- Prosto do Marble Arch, a dalej już powiem.

Raymond ruszył w kierunku Hyde Park Corner i zrobił małą rundkę, zanim znów skierował się do Marble Arch.

- Na imię mam Mandy. A ty?
- Malcolm - odpowiedział po chwili wahania.

- Czym się zajmujesz w tych ciężkich czasach, Malcolmie?
- Handluję... używanymi samochodami.
- Dla siebie wybrałeś nie najlepszego, co? - Roześmiała się.
Raymond nie odpowiedział, co wcale nie zniechęciło Mandy.
- A dlaczego sprzedawca używanych samochodów chodzi odstawiony jak elegan z lepszego towarzystwa?

Raymond zupełnie zapomniał o wieczorowym stroju.

- Byłem... na zjeździe... w hotelu Hilton.

- Niektórzy to mają szczęście - rzekła zapalając papierosa. - Cały wieczór stałam i czekałam na jakiegoś nadzianego faceta z tego jubla w Grosvenor House. - Policzki Raymonda upodobniły się kolorem do włosów. - Zwolnij i skręć w drugą przecznicę na lewo.

Kierując się jej wskazówkami podjechał pod obskurny hotelik.

- Wsiądę pierwsza, ty za chwilę - powiedziała. - Nie zatrzymuj się przy recepcji, tylko idź za mną na górę.

Kiedy wysiadła, omal nie odjechał, i byłby to zrobił, gdyby jego wzroku nie przykuły rozkołysane biodra. Ruszył za nią do hotelu i posłusznie wszedł wąskimi schodami na ostatnie piętro. Kiedy docierał do szczytu schodów, minęła go schodząca na dół blondyna o obfitych kształtach.

- Cześć, Mandy - zawołała do koleżanki.

- Cześć, Sylv. Pokój wolny?

- Niestety - odparła z niesmakiem blondyna.

Mandy pchnęła drzwi i Raymond wszedł do środka. Znalazł się w wąskiej klitce z wytartym dywanikiem i niedużym łóżkiem w kącie. Wyblakła żółta tapeta tu i ówdzie odchodziła od ściany. Brązowa plama na umywalce znaczyła ślad po wodzie kapiącej z nieszczelnego kranu.

Mandy wyciągnęła znacząco rękę.

- A tak, oczywiście - rzekł Raymond wyciągając portfel, w którym, jak się okazało, miał tylko dziewięć funtów.

Mandy skrzywiła się.

- Z nadgodzin nici, co, kochanie? - powiedziała. Schowała skrętnie pieniądze do torebki i bez skrepowania zdjęła ubranie.

Ciało obnażone z taką obojętnością, zupełnie bez wdzięku, wprawiło Raymonda w zachwyty. Zapomniał o całym świecie. Pasł oczy, nie mogąc się doczekać, kiedy poczuje gładkość jej skóry, i trwał w bezruchu. Mandy położyła się na łóżku.

- Nie ma co czekać, kochanie. Muszę zarabiać na życie.

Rozebrał się szybko, odwrócony plecami do łóżka. Z braku krzesła zostawił poskładane w zgrabną kupkę ubranie na podłodze. Położył się na dziewczynie. W kilka minut było po wszystkim.

- Szybko poszło, co, kochanie? - powiedziała Mandy z bezczelnym uśmiechem.

Raymond odwrócił się od niej i umył się tak, jak na to pozwalała mała umywalka. Ubrał się pośpiesznie, myśląc tylko o tym, żeby jak najszybciej wyjść.

- Mógłbyś mnie podrzucić do stacji benzynowej? - spytała Mandy.

- Jadę w przeciwnym kierunku - odparł kryjąc zaniepokojenie i czmychnął.

Na schodach minął Sylwię w męskim towarzystwie. Przyjrzała mu się uważniej niż poprzednio. Po chwili znalazł się w samochodzie. Do domu jechał szybko i z opuszczonymi szybami, żeby wywietrzyć przykrą *woń* papierosów i tanich perfum.

Na Landsdowne Road długo stał pod prysznicem. Kiedy wsunął się do pościeli, leżąca obok Joyce poruszyła się lekko przez sen.

Rozdział siódmy

Charles zawiózł żonę do Ascot wystarczająco wcześniej, żeby uniknąć późniejszego zagnieżdżenia ruchu. Wysoki i postawny, we fraku i cylindrze prezentował się jak okaz dżentelmena. Kapelusz Fiony wzbudzały śmiech, gdyby włożyła go mniej pewna siebie kobieta. Państwo Seymourowie mieli zaproszenie do prywatnej łoży McFarlandów i kiedy tam przybyli, zastali sir Roberta.

- Musiałeś wcześniej wyjechać z domu - rzekł Charles.

- Jakieś pół godziny temu - odparł sir Robert ze śmiechem.

Fiona spojrzała z uprzejmym niedowierzaniem.

- Przylatuję tu helikopterem - wyjaśnił.

Na lunch był homar, truskawki i dobry szampan, nalewany raz po raz przez kelnera. Charles pewnie by ryle nie pił, gdyby nie fakt, że wytypował zwycięzców trzech pierwszych gonitw. Przy piątej gonitwie oczy same mu się zamykały i tylko głośna wrzawa tłumu nie pozwoliła mu się zdrzemnąć w kącie łoży.

Gdyby nie czekali na strzeziennego po ostatniej gonitwie, Charlesowi może by się upiekło. Zapomniał, że gospodarz wraca do domu helikopterem.

Sznur samochodów ciągnący się przez Windsor Great Park aż do drogi M4 wyprowadził Charlesa z równowagi. Kiedy wyjechał wreszcie na autostradę, wrzucił czwarty bieg. Spozstrzegł policyjny wóz dopiero, kiedy zawyła syrena i kazano mu się zatrzymać.

- Bądź rozsądny - upominała go szeptem Fiona.
 - Nie martw się, moja droga, już ja wiem, jak sobie z nimi poradzić - odparł. Spuścił szybę i zwrócił się do stojącego obok policjanta. - Czy zdaje pan sobie sprawę, kim jestem?
 - Nie, sir, ale zechce pan udać się ze mną...
 - Nie zechcę, sierżancie, jestem członkiem...
 - Bądź wreszcie cicho - ofuknęła go Fiona - i przestań robić z siebie dumia.
 - ... parlamentu i nie pozwolę traktować się...
 - Charles, czy ty nie słyszysz, jak to pompatycznie brzmi?
 - Będzie pan łaskaw udać się ze mną na posterunek.
 - Chcę mówić z moim adwokatem.
 - Proszę bardzo, sir. Gdy tylko znajdziemy się na posterunku.
- Na miejscu Charles nie był w stanie iść po linii prostej i nie pozwolił pobrać sobie próbki krwi.

- Jestem deputowanym konserwatystów z Sussex Downs.

To ci wcale nie pomoże, pomyślała Fiona, ale on już nikogo nie słuchał, tylko domagał się, żeby zadzwoniła do rodzinnego adwokata w firmie Speechly, Bircham i Soames.

Jan Kimmins przemówił do klienta najpierw łagodnie, a potem stanowczo, aż wreszcie Charles zgodził się współpracować z policją.

Po złożeniu przez Charlesa pisemnego oświadczenia, Fiona zawiozła go do domu, modląc się w duchu, żeby wybryk męża nie wywołał zainteresowania prasy.

Andrew kupił piłkę nożną, ale schował ją przed Louise.

Mijały miesiące i szczupła sylwetka Louise rozděła się niepokojąco. Andrew kładł głowę na wybrzuszeniu, żeby dosłuchać się bicia serca.

- Lewoskrzydłowy pomocnik - oznajmił któregoś ranka.

- A może napastniczka i pójdzie w ślady matki?
- Jeżeli już napastnik, to będzie grał w barwach klubu Hearts - zapewnił ją Andrew.

- Męska szowinistyczna świnia - zawołała za nim, kiedy wychodził do Izby Gmin.

Andrew zastanawiał się nad imionami Jamie, Robert, Hector i Iain. Nim dojechał do Westminsteru, wybrał imię Robert. Po przyjeździe na New Palace Yard skinął na policjanta przy bramie i bardzo się zdziwił, kiedy znajomy mundurowy w te pędy podbiegł do niego. Uchylił okno samochodu.

- Co się stało, panie posterunkowy?

- Pańska żona jest w szpitalu St Mary's w Paddingtonie, sir. Oddział nagłych wypadków.

Gdyby nie ruch uliczny, w drodze do Marble Arch Andrew przekroczyłby dozwoloną prędkość. Modlił się, żeby zdążyć na czas, a jednocześnie kołatała mu po głowie myśl, że Louise jest dopiero w szóstym miesiącu ciąży. Lekarka na dyżurze nie dopuściła go do żony.

- Jak ona się czuje? - wydusił z siebie Andrew. Młoda lekarka odpowiedziała po chwili wahania.

- Pańska żona czuje się dobrze, ale niestety poroniła.

Andrew poczuł się tak, jakby uszło z niego powietrze.

- Bogu dzięki, że nic jej nie jest - westchnął.

- Nie mogę na razie wpuścić pana do niej, dostała środek uspokajający.

- Oczywiście, pani doktor - rzekł Andrew zerkając na plaketkę z nazwiskiem na białym fartuchu.

- Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyście państwo mieli jeszcze dzieci - dodała łagodnie, zanim zdążył zapytać.

Andrew uśmiechnął się z ulgą i zaczął krążyć po korytarzu tracąc rachubę czasu. Wreszcie podeszła lekarka i powiedziała, że może zobaczyć się z żoną.

- Bardzo jesteś rozczarowany? - spytała Louise na jego widok.

- Nie mów głupstw, jak się rozpędzimy, będziemy mieli jeszcze tuzin - rzekł biorąc ją za rękę.

Spróbowała się uśmiechnąć.

- Czy znasz męża mojej pani doktor?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Simon Kerslake.

- Wielkie nieba! Bardzo zdolny gość. Słuchaj no, dziewczeczko - przemówił do niej umyślnie z silnym szkockim akcentem. - Kilka dni odpoczynku i będziesz zupełnie odmieniona, możesz mi wierzyć.

- A jeżeli nie?

- Zadowolę się starym wcieleniem. Wiesz co, kiedy tylko cię stąd wypuszczą, pojedziemy na weekend na południe Francji.

- Nie lubisz go, bo pochodzi z East Endu - rzekł Simon, kiedy Elizabeth przeczytała list.

- Nieprawda. Nie lubię go, bo mu nie ufam.

- Przecież widziałas go dopiero dwa razy.

- Jedno spotkanie wystarczyłoby w zupełności.

- Na mnie zrobiło wrażenie małe imperium, które zbudował w ciągu dziesięciu lat, a propozycja, którą mi złożył, jest nie do odrzucenia - powiedział Simon chowając list do kieszeni.

- Wiem, że przydałby nam się zastrzyk pieniędzy - przyznała Elizabeth - ale nie za wszelką cenę.

- Nie wiadomo, kiedy nadarzy się druga taka okazja - ciągnął Simon - a te pieniądze naprawdę się przydadzą. Ludzie wierzą, że każdy toryś w parlamencie ma synekurę, parę dyrektorskich etatów bez obowiązków, a to bujda na resorach, sama o tym wiesz. Odkąd zostałem posłem, nikt nie złożył mi równie poważnej propozycji, a przydałoby się dodatkowe dwa tysiące funtów rocznie za udział w posiedzeniu zarządu raz w miesiącu.

- I za co jeszcze?

- Jak to: za co jeszcze?

- Czego jeszcze oczekuje pan Nethercote za swoje dwa tysiące funtów? Nie bądź naiwny, Simonie, podsuwa ci pod nos takie pieniądze, bo liczy na coś w zamian.

- Owszem, mam trochę kontaktów i jakieś tam wpływy...

- Ja myślę.

- Uprzedziłaś się do niego, Elizabeth.

- Jestem przeciwna wszystkiemu, co na dłuższą metę może zaszkodzić twojej karierze. Walcz uczciwymi metodami, sam to wciąż powtarzasz mieszkańcom Coventry.

Dwa tygodnie później, w piątek rano, Andrew i Louise wybiera się na lotnisko z jedną wspólną walizką. Andrew przekreślał właśnie klucz w zamku, kiedy zadzwonił telefon.

- Nie ma nikogo - zawołał. - Wrócimy w poniedziałek.

Miał zamówiony apartament w hotelu Colombe d'Or, przyct pniętym wśród wzgórz St Paul na południu Francji. Chciał z; wszelką cenę wyrwać Louise z Londynu, żeby wypoczęła trochę ni słońcu.

Słynny stary hotel był dokładnie taki, jak reklamowano w folde rze. Na ścianach wisiały obrazy Picassa, Moneta, Maneta, Utrilla - właścicielka, Madame Reux, przyjęła je przed laty jako zapłatę od artystów za dach nad głową i uczciwy wikt. Wchodząc na górę krętymi schodami Louise omal nie oberwała w głowę mobilem Caldera, a nad łóżkiem w pokoju wisiał Courbet. Najbardziej przypadło im do gustu samo łóżko, szesnastowieczne, z baldachimem. Przekonali się niebawem, że ma ono nadzwyczaj wygodny materac, na którym godziny snu przedłużają się do późnego rana.

Posiłki były królewskie. Spacerowali więc po zielonych wzgórzach, żeby wieczorem móc uporać się z sutą kolacją. Po trzech dniach bez radia, telewizji, prasy i telefonu nabrali sił, by znów stawić czoło Londynowi. Przyszekli sobie, że niedługo tu wrócą.

W poniedziałek rano wylądowali na Heathrow i od razu poczuli, że wakacje się skończyły. Dopiero po dwudziestu minutach dostawiono schodki do drzwi vanguarda. Zatłoczony autobus pokonał wielomilową, jak się zdawało, odległość do terminalu. Podróżowali pierwszą klasą, a mimo to bagaż dostali na końcu. Kiedy taksówka brnąc przez uliczne zatory dowlokła się na Cheyne Walk, Louise westchnęła:

- Przydałby mi się drugi urlop.

Andrew wsunął klucz do zamka i w tej chwili rozdzwonił się telefon.

- Mam nadzieję, że nie próbowali się dodzwonić przez te trzy dni - powiedziała Louise.

Andrew przyłożył słuchawkę do ucha - za późno.

- Nie wiem, kto to był, nie zdążyłem odebrać - rzekł i pozbierał z podłogi brązowe koperty. - Czuję się, jakbym wyjechał z Francji tydzień temu. - Pocałował żonę. - Muszę się przebrać i jechać do parlamentu - dodał zerkając na zegarek.

- Jakim cudem naród obył się bez ciebie? - zakpiła Louise.
Telefon zadzwonił po raz drugi, kiedy Andrew wychodził z wanny.
- Możesz odebrać, Louise? - zawołał. Po chwili usłyszał, że wbiega po schodach.
- Andrew, kancelaria premiera.
Pobiegł ociekając wodą do drugiego aparatu w sypialni.
- Andrew Fraser - powiedział do słuchawki.
- Tu Numer Dziesięć - zabrzmiał urzędowy głos. - Premier próbuje skontaktować się z panem już od piątku rano.
- Przepraszam, zabrałem żonę na weekend do Prowansji.
- Naprawdę? - rzekł głos bez zainteresowania. - Czy mam przekazać premierowi, że może pan teraz rozmawiać?
- Oczywiście - odparł Andrew, przyglądając się krytycznie swemu nagiemu odbiciu w lustrze. Wyraźnie przytył; trzeba zagrać w tym tygodniu cztery razy w squasha i zrezygnować z wina do lunchu.
- Andrew.
- Dzień dobry, panie premierze.
- Przykra wiadomość o Hugh McKenzie'm.
- Tak, panie premierze - odparł odruchowo Andrew.
- Wspominano mi o jego sercu przed ostatnimi wyborami, ale za nic nie chciał się wycofać. Prosiłem Bruce'a, żeby został sekretarzem stanu, a stanowisko ministra obejmie po nim Angus. Obaj widzą ciebie w roli nowego podsekretarza. Czujesz się na siłach?
- Będę zaszczycony, panie premierze - wyjąkał Andrew powoli trawiając nowinę.
- Świetnie. A tak na marginesie, Andrew, kiedy otworzysz czerwony kuferek, nie znajdziesz tam biletów do Colombe d'Or, więc mam nadzieję, że Louise doszła już do siebie. - Brzęknęła odkładana słuchawka.
- A więc dowiedzieli się, gdzie jest, ale premier zostawił go w spokoju.
- Pierwszą oficjalną uroczystością, w jakiej wziął udział Andrew Fraser jako podsekretarz stanu Jej Królewskiej Mości, był pogrzeb Hugh McKenzie'ego.

- Zastanów się nad tym, Simonie - rzekł Ronnie podchodząc do drzwi sali posiedzeń. - Dwa tysiące funtów rocznie piechotą nie chodzi, ale jeżeli zostaniesz udziałowcem mojej spółki, dorobisz się kapitaliku.

- Co konkretnie proponujesz? - zapytał Simon zapinając środkowy guzik blezera i tłumiąc podniecenie.

- Cholernie się przydajesz. Przyprawdzasz na lunch takich ludzi, którzy nie wpuściliby mnie do swojego domu. Pozwolę ci tanio się wkupić... mógłbyś zdobyć pięćdziesiąt tysięcy akcji po jednym funcie, a kiedy zaoferujemy je publicznie do sprzedaży, sporo zakosisz.

- Nie będzie mi łatwo zebrać pięćdziesiąt tysięcy funtów, Ronnie.

- Dyrektor twojego banku po sprawdzeniu moich ksiąg z wielką ochotą udzieli ci pożyczki.

Midland Bank przeanalizował udostępnione przez firmę Nethercote and Company księgi, dyrektor okręgowy przeprowadził rozmowę z Simonem i jego prośba została uwzględniona pod warunkiem, że ulokuje akcje w tym właśnie banku.

Okazuje się, że Elizabeth nie miała racji, pomyślał Simon. Kiedy Nethercote and Company podwoiła zyski, przyniósł do domu sprawozdanie roczne, żeby pokazać żonie.

- Wygląda zachęcająco - przyznała. - Ale to jeszcze nie znaczy, że muszę ufać Ronnie'emu Nethercote'owi.

Kiedy oskarżenie o jazdę po pijanemu znalazło się na wokandzie sądu magistrackiego w Reading, Charles Seymour figurował na liście jako C. G. Seymour, bankier. Nie było wzmianki o statusie posła.

Jego sprawa była szóstą w kolejności. W imieniu nieobecnego klienta Ian Kimmins przeprosił grono sędziowskie i solennie obiecał poprawę. Wymierzono karę: pięćdziesiąt funtów grzywny i zakaz prowadzenia samochodu przez pół roku. Rozprawa trwała cztery minuty.

Tego samego dnia Charles dowiedział się o wszystkim przez telefon i podziękował serdecznie Kimminsowi za dobre rady, ucieszony, że wywinął się bez większego szwanku. Pamiętał, jak prasa

obsmarowała laburzystę George'a Browna, ministra spraw zagranicznych, kiedy zdarzyła mu się podobna wpadka przed hotelem Hilton.

Fiona nie zdradziła się ze swoim zdaniem.

Na Fleet Street trwał właśnie „sezon ogórkowy”, ten szczególnie letni okres, kiedy prasa odczuwa wielki głód wiadomości. W sądzie rozpatrującym sprawę Charlesa znalazł się adept sztuki dziennikarstwa i nawet jego zdumiało zainteresowanie krajowych dzienników reporterskim kąskiem. Na drugi dzień nie było gazety, która nie zamieściłaby zdjęcia Charlesa zrobionego dyskretnie przed większą posiadłością Seymourów. Nagłówki krzyczały: *Półroczny zakaz jazdy dla pijanego arystokraty, Biba w Ascot kosztuje posła wysoką grzywnę*. Nawet „Times” wspomniał o incydencie w wiadomościach z kraju.

Do południa wszystkie londyńskie gazety usiłowały skontaktować się z Charlesem - podobnie jak szef naganiaczy, który, gdy wreszcie go wytropił, udzielił mu zwięzłej rady wiedząc, że wiceminister opozycji może przetrwać taki rozgłos tylko raz.

- Proszę w żadnym razie nie siadać za kierownicą przez najbliższe sześć miesięcy i nigdy nie jeździć po pijanemu.

Charles potaknął i po spokojnym weekendzie miał nadzieję, że więcej o tej sprawie nie usłyszy. Ale na pierwszej stronie „Sussex Gazette” wpadł mu w oko nagłówek: *Wniosek o wotum nieufności dla posła*. Z wnioskiem wystąpiła pani Blenkinsop, przewodnicząca Klubu dla Pań, i to nie z powodu jazdy po pijanemu, lecz umyślnego wprowadzenia w błąd przy usprawiedliwianiu się z niemożności uświetnienia przemową dorocznego klubowego lunchu.

Pełniąc obowiązki podsekretarza w rządzie, Raymond do tego stopnia przywykł do materiałów oznaczonych nadrukiem „Do rąk własnych”, „Ścisłe tajne” albo nawet „Przeczytać i zniszczyć”, że nie zwrócił szczególnej uwagi na kopertę z nabazgrołonym dopiskiem „Osobiste i poufne”. Otworzył go, kiedy Joyce gotowała w kuchni jajka na śniadanie.

- Cztery minuty i czterdzieści pięć sekund, tak jak lubisz - powiedziała stawiając przed nim dwa jajka. - Nic ci nie jest, kochanie? Jesteś blady jak ściana.

Raymond opanował się, wepchnął list do kieszeni i zerknął na zegarek.

- Nie zdążę zjeść drugiego jajka - powiedział. - Już jestem spóźniony na posiedzenie gabinetu, muszę lecieć.

Dziwne, pomyślała Joyce, patrząc na biegnącego do drzwi męża. Nie tknął ani jednego jajka, a przecież posiedzenia gabinetu zaczynają się nie wcześniej niż o dziesiątej. Usiadła i zjadła sніc. danie męża dziwiąc się, dlaczego zostawił całą pocztę.

Raymond usiadł w służbowym aucie i ponownie przeczytał list. Nie trwało to długo.

Drogi „Malcolmie”,

Miłe wspominać nasze wieczorne spotkanie i przydałoby mi się pięćset funtów, żebym mogła raz na zawsze o nim zapomnieć.

Sciskam, Mandy

PS Wkrutce się skontaktuję.

Przeczytał list jeszcze raz i spróbował zebrać myśli. Na wydartej kartce nie było adresu. Ani list, ani koperta nie zdradzały, skąd pochodzą.

Limuzyna zatrzymała się przed Ministerstwem Zatrudnienia, ale Raymond ociągał się z wysiadaniem.

- Dobrze się pan czuje, sir? - zapytał kierowca.

- Dobrze, dziękuję - odparł, wyskoczył z auta i pobiegł do swego biura.

Sekretarce rzucił oschle:

- Niech nikt mi nie przeszkadza.

- O dziesiątej jest posiedzenie, nie zapomni pan, panie mini strze?

- Nie - warknął i trzasnął drzwiami.

Usiadł za biurkiem, starając się uspokoić. Wyobraził sobie, że udziela rady klientowi, który zwrócił się do niego w kancelarii adwokackiej. Najpierw trzeba ustanowić dobrego adwokata. Z najzdolniejszych w Anglii uważał dwóch prawników: Arnolda Goodmana i sir Rogera Pelhama. Nie odpowiadał mu jedna rozgłos towarzyszący Goodmanowi. Pelham, też solidna firma; pozostawał w cieniu, nieznaną szerszemu ogółowi. Raymond z dzwonił więc do biura Pelhama i umówił się po południu na rozmowę.

Na posiedzeniu gabinetu Raymond nie zabierał głosu, ale nie zwróciło to uwagi, gdyż każdemu z obecnych zależało przede wszystkim na wyrażeniu własnej opinii. Po naradzie wybiegł na ulicę pojechał taksówką do High Holborn.

Sir Roger Pelham wstał zza dużego wiktoriańskiego biurka, żeby powitać ministra.

- Wiem, że jest pan bardzo zajęty - rzekł sadowiąc się na powrót w czarnym skórzanym fotelu. - Pański czas jest cenny, więc proszę od razu powiedzieć, czym mogę służyć.

- Dziękuję, że zechciał mnie pan tak szybko przyjąć - odpar Raymond i nie mówiąc nic więcej podał list.

- Dziękuję - rzekł uprzejmie adwokat, poprawił pókoliste okulary i przeczytał list raz, drugi, trzeci.

- Wszyscy brzydzimy się szantażem - odezwał się wreszcie.

Niemniej musi mi pan powiedzieć całą prawdę, ze wszystkim szczegółami. Proszę nie zapominać, jestem po pańskiej stronie Pamięta pan zapewne doskonale z praktyki w sądzie, że nieznajo mość połowy faktów znacznie utrudnia pracę.

Pelham złożył dłonie koniuszkami palców i z tak przesłoniętą twarzą wysłuchał uważnie relacji Raymonda z wydarzeń tamtego wieczoru.

- Czy może ktoś jeszcze pana widział? - brzmiało pierwsze pytanie.

Raymond zastanowił się i kiwnął głową.

- Niestety tak - odparł. - Minęła mnie na schodach druga dziewczyna.

Pelham ponownie odczytał list.

- Po pierwsze, radzę - rzekł wolno i dobitnie, patrząc Raymondowi w oczy - choć to się panu nie spodoba, nie robić nic.

- A co powiem, jeżeli ona skontaktuje się z prasą?

- Zapewne tak czy owak trafi do kogoś z Fleet Street, nawet jeśli zapłaci pan te pięćset funtów, a potem tyle razy po pięćset, na ile będzie pana stać. Proszę nie myśleć, że jest pan pierwszym szantażowanym ministrem, panie Gould. Każdy homoseksualista w parlamencie żyje w strachu przed szantażem. To tak jak w grze w chowanego. Wokół ludzi na świeczniku kręci się całe mnóstwo wścibskich, którzy chcą coś wyszukać, a tylko święci nie mają nic do ukrycia. - Raymond milczał starając się nie okazywać niepoko-

ju. - Proszę zadzwonić pod mój prywatny numer natychmiast, kiedy nadejdzie drugi list - powiedział Pelham zapisując numer telefonu na kartce.

- Dziękuję - odparł Raymond. Zrobiło mu się lżej na sercu, kiedy podzielił się swoją tajemnicą.

Pelham wstał i odprowadził go do drzwi.

- Zapewne ucieszy się pan, kiedy drużyna z Yorkshire znów zdobędzie mistrzostwo - zagadnął prawnik. Raymond nie odpowiedział. Przed drzwiami wyjściowymi uścisnęli sobie ręce. - Będę czekał na wiadomość - dodał. Szkoda, że nie interesuje się krykietem, pomyślał.

Raymond opuścił biuro adwokata w lepszym nastroju, ale do końca dnia trudno mu było się skupić, a w nocy źle spał. Rano sięgnął po gazety i z przerażeniem patrzył, ile miejsca poświęcono niewielkiemu przewinieniu Charlesa Seymoura. Z nim to dopiero mieliby używanie. Kiedy nadeszła poczta, zaczął ją nerwowo przerzucać. Koperta, której szukał, schowała się pod drukiem reklamowym karty American Express. Rozerwał ją. Znajomym niestaranym pismem wyrażono żądanie, by dostarczyć pięćset funtów kioskarzowi w Pimlico. Godzinę później sir Roger Pelham przyjął ministra.

Mimo ponownego żądania prawnik zalecał to samo co przedtem.

Andrew Fraser nie przestawał jeździć z miasta do miasta, ponieważ szkockie ministerstwo musiało zaznaczyć swoją obecność nie tylko w Londynie, ale również w Edynburgu i Glasgow. Louise nie narzekała; jeszcze nigdy jej mąż nie był tak szczęśliwy. Tylko raz w ciągu trzech miesięcy pełnienia obowiązków ministra zdarzyła się chwila beztroski, kiedy Andrew musiał napisać do ojca oficjalny list zaczynający się od słów: „Drogi sir Duncanie”. Wyjaśnił, dlaczego zmuszony jest odrzucić ojcowskie rady dotyczące Komisji do Spraw Pogórza Szkockiego i Wysp. Andrew szczególnie upodobał sobie zdanie: „Od dłuższego czasu miałem sposobność przysłuchiwać się argumentacji obydwu stron”.

Kiedy tego wieczora ulokował się w ulubionym fotelu z dużą whisky w rękę, Louise podzieliła się nowiną, że znów jest w ciąży.

- Kiedy znalazłem na to czas? - zapytał biorąc ją w ramiona.

- Może to było te pół godziny między spotkaniem z norweskim ministrem rybołówstwa i przemówieniem na konferencji naftowej w Aberdeen?

W październiku odbywało się doroczne walne zgromadzenie konserwatystów z Sussex Downs. Charles ucieszył się, że wniosek pani Blenkinsop o wotum nieufności został wycofany. Lokalna prasa próbowała utkać z tego jakąś historię, ale krajowe dzienniki rozpiszywały się o katastrofie w Aberfan, w której sto szesnascioro dzieci zginęło pod zwałami hałdy żużlu. Nie było miejsca dla Sussex Downs.

Charles wygłosił na forum zgromadzenia przemyślaną mowę, która została dobrze przyjęta. W czasie przeznaczonym na pytania nikt na szczęście nie wprawił go w zakłopotanie.

Kiedy Seymourowie już się pożegnali, Charles wziął na bok przewodniczącego i spytał:

- Jak ci się to udało?

- Wytłumaczyłem pani Blenkinsop - odparł przewodniczący - że jeżeli jej wniosek o wotum nieufności zostanie postawiony na walnym zgromadzeniu, to wątpliwe, żeby poseł poparł jej kandydaturę do Orderu Brytyjskiego Imperium za zasługi dla partii. Załatwisz to jakoś, prawda, Charles?

Ilekróć zadzwonił telefon, Raymond spodziewał się, że za chwilę ktoś z prasy zada mu pytanie, czy zna niejaką Mandy. Rzeczywiście dzwoniли dziennikarze, ale z prośbą o komentarz ministra na temat najnowszych danych o bezrobociu albo określenie stanowiska wobec dewaluacji funta.

Dopiero reporter z „Daily Mirror”, Mikę Molloy, zapytał Raymonda, co powie na temat oświadczenia, jakie złożyła przez telefon niejaka Mandy Page, której wymowa zdradzała pochodzenie z Indii Zachodnich.

- Nie mam nic do powiedzenia na ten temat. Proszę rozmawiać z adwokatem, sir Rogerem Pelhamem. - Udzieliwszy tej zwięzłej odpowiedzi podsekretarz odłożył słuchawkę z niesmakiem.

Raymond wciąż siedział odrętwiały, kiedy po kilku minutach

znów zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę drżącą ręką. Pelham potwierdził, że Molloy skontaktował się z nim.

- Domyślam się, że odmówił pan odpowiedzi - rzekł Raymond.

- Wprost przeciwnie, powiedziałem mu całą prawdę.

- Co takiego? - wybuchnął Raymond.

- Całe szczęście, że Mandy trafiła na uczciwego dziennikarza, który, jak się spodziewam, zostawi pana w spokoju. Fleet Street nie jest gnojowiskiem, choć powszechnie tak się uważa - powiedział Pelham dosadniej, niż miał to w zwyczaju. - Brzydzą się tam dwóch rzeczy: skorumpowanych policjantów i szantażystów. Jestem przekonany, że nie znajdzie pan jutro żadnej wzmianki o sobie.

Sir Roger Pelham mylił się.

Nazajutrz, jeszcze przed otwarciem budki z gazetami, Raymond czatował na ulicy. O wpół do szóstej poprosił zaskoczonego kioskarza o „Daily Mirror”. Jego osobie poświęcono całą piątą stronę. Cytowano oświadczenie: *Nie mogę popierać kursu na dewaluację, dopóki utrzymują się tak wysokie wskaźniki bezrobocia*. Na fotografii obok artykułu wypadł niezwykle korzystnie.

Simon Kerslake przeczytał w „Timesie” bardziej szczegółowe omówienie poglądów ministra na temat dewaluacji i zwrócił uwagę na nieprzychylnie stanowisko Raymonda Goulda wobec krystalizującej się polityki rządu.

Oderwał się od gazety, żeby obmyślić pułapkę na Goulda. Gdyby ak udało się pociągnąć ministra za język, niechby wypowiedział >ię raz, drugi, trzeci o dewaluacji na forum Izby. Koniec końców nusiałby złożyć rezygnację, nie miałby wyboru. Simon zanotował m marginesie pytanie i wrócił do przerwanej lektury.

Wiadomość o dewaluacji zapewniła torysom ośmioprocentową >rzewagę w badaniach opinii publicznej, a poprzedniego dnia rząd)rzegrał w głosowaniu mimo większości dziewięćdziesięciu pięciu nandatów w Izbie Gmin. Jednakże Simon nie wyobrażał sobie >rowadzenia wyborów powszechnych wcześniej niż za dwa lata.

Prywatnie Simon doradził Ronnie'emu Nethercote'owi, żeby nie iopuścił do obrotu akcjami swojej spółki na giełdzie, aż władzę bejmą torysi. Zapewnił, że nastanie wówczas o wiele bardziej przyj ający klimat.

Po upływie wyznaczonej kary Charles z przyjemnością zasiadł za kółkiem i zdobył się na uśmiech, kiedy Fiona pokazała mu zdjęcie uszczęśliwionej pani Blenkinsop przed pałacem Buckingham. Szacowna dama demonstrowała reporterowi „Sussex Gazette” Order Brytyjskiego Imperium, który królowa wręczyła jej na noworocznej uroczystości.

Dokładnie pół roku po pierwszej rozmowie z sir Rogerem Pelhamem, adwokatem, Raymond Gould otrzymał rachunek za poradę opiewający na pięćset funtów. Odwrotną pocztą wysłał czek, dołączając do niego świeżo wydany almanach krykieta.

Rozdział ósmy

Koledzy w ministerstwie przestrzegli Andrew, że czeka go niezapomniane przeżycie, kiedy po raz pierwszy stanie przy stole marszałkowskim, żeby odpowiadać na pytania posłów.

Pytania do Ministerstwa do Spraw Szkocji pojawiają się w programie obrad we środy, raz na cztery, pięć tygodni. Każdy z ministrów w imieniu swojego resortu odpowiada na pytania od drugiej trzydziści pięć do trzeciej dwadzieścia. Zwykle jest czterech lub pięciu ministrów Korony, nie licząc pełnomocnika przy każdym dużym departamencie stanu. Ministrowie przygotowani są do udzielania około dwudziestu pięciu odpowiedzi w ciągu czterdziestu minut, które przedłużają się czasem do godziny, przy czym kłopot z reguły sprawiają nie interpelacje, a pytania dodatkowe.

Każdy poseł może złożyć w kancelarii marszałka interpelację do dowolnego ministra, nadając jej formę niewinnego pytania. Na przykład: „Kiedy pan minister zamierza odwiedzić Aberdeen?” Minister odpowie dajmy na to: „Za tydzień” albo, równie dobrze: „Nie wybieram się tam w najbliższej przyszłości”. Podczas obrad ten sam poseł może jednak wstać z miejsca, żeby zadać pytanie dodatkowe, zupełnie z innej beczki: „Czy pan minister wie, że w Aberdeen jest najwyższy wskaźnik bezrobocia w Wielkiej Brytanii, i jakie kroki w związku z tym zamierza podjąć jego resort?” Minister musi wtedy z marszu udzielić przekonującej odpowiedzi.

Współpracownicy ministra, chcąc jak najlepiej go przygotować, od rana analizują zgłoszone pytania, by odkryć ukryte pułapki. Potem umieszczają w jego teczce zestaw spodziewanych pytań dodatkowych, wraz z odpowiedziami. Minister może oczywiście wysondować, czego chcą się od niego dowiedzieć koledzy z własnej strony Izby, ale pytań posłów z opozycji nie sposób przewidzieć - zadawane są po to, żeby ujawnić słabe punkty ministra, które mogłyby świadczyć o niekompetencji rządu.

Andrew poświęcił wiele czasu na przygotowanie do pierwszego wystąpienia przy stole marszałkowskim, choć kilku bardziej doświadczonych kolegów w Ministerstwie do Spraw Szkocji zgodziło się przejąć pałeczkę, kiedy padnie pytanie wyraźnie nieprzyjazne.

Na początek na jedno pytanie z ław opozycji przypadły cztery pytania ze strony rządowej. Nie wydawało się prawdopodobne, żeby opozycji starczyło czasu na pytanie dwudzieste trzecie, zważywszy, że dwadzieścia po trzeciej miał zacząć odpowiadać na pytania zastępca prokuratora generalnego Szkocji.

Andrew uporał się gładko z pytaniem piątym, dziewiątym, jedenastym i czternastym. W niebieskiej teczce znajdował świetne ściągawki, skutecznie osłaniające przed gradem pytań. Kwadrans po trzeciej, kiedy udzielano odpowiedzi na pytanie dziewiętnaste, Andrew usiadł i poczuł ulgę.

Do zatłoczonej Izby wszedł zastępca prokuratora generalnego i chyłkiem, żeby nie zasłaniać marszałkowi widoku na ławy rządowe, przemknął obok stołu w środku sali. Na premiera, który miał zjawić się punktualnie dwadzieścia po trzeciej, czekało wolne miejsce między kanclerzem skarbu i ministrem spraw zagranicznych.

Marszałek wywołał pytanie dwudzieste pierwsze, ale poseł był nieobecny. Wywołał pytanie dwudzieste drugie - z tym samym rezultatem. Obaj posłowie widocznie uznali, że ich pytania nie zmieszczą się w limicie czasu. Osiemnaście po trzeciej marszałek wywołał pytanie dwudzieste trzecie - Andrew zamarł z duszą na ramieniu - które brzmiało: „Czy pan minister otrzymał zaproszenie do domu opieki w Kinross?”

Andrzej wstał, otworzył teczkę i odpowiedział:

- Nie, sir.
- Nikogo w tej Izbie nie zdziwi odpowiedź pana ministra -

powiedział George Younger, deputowany z Ayr. - A to dlatego, że na czterdziestu dziewięciu podopiecznych w tym domu, czterdziestu siedmiu ma własne telewizory, pan minister zaś żąda czterdziestu siedmiu opłat abonamentowych. Gdyby wszyscy zebrali się w jednej sali, wystarczyłaby jedna opłata. Czyżby tak realizowano program *Troska o starszych ludzi*, reklamowany ostatnio przez Partię Pracy?

Andrew wstał wśród okrzyków: „Czekamy na odpowiedź!” z naprzeciwka. Przed chwilą siedząc w napięciu na ławie zajrzał do ściągawki. Miał przygotowane odpowiedzi dotyczące służby zdrowia, emerytur, dodatkowych świadczeń, diet, opłat za leczenie - ale ani słowa o abonamentach telewizyjnych. Stojąc z pustką w głowie przy stole marszałkowskim, doświadczał na własnej skórze, na co narażony jest nie do końca przygotowany minister. Osoby postronne mogłyby się zachwycać, jaki to demokratyczny system, ale rzecz wygląda inaczej - występuje się w roli chrześcijanina, widzącego przed sobą trzysta głodnych lwów.

Jeden z doradców włożył na lewo za fotelem marszałka szybko podesłał przez siedzących w pierwszej ławie odręczną notatkę. Andrew nie miał czasu na zastanowienie, co z tego wyniknie, zaciśnął kciuki i odczytał na głos z kartki:

- Decyzję tę podjęła poprzednia administracja, do której należał mój szanowny przedmówca. Nie mamy powodu odwoływać tej decyzji.

Poczuł się jak papuga. Usiadł słysząc uprzejme pomrukiwania rządu i trochę mu ulżyło. Pan Young wstał i otrzymał zgodę na drugie pytanie dodatkowe.

- Panie marszałku, oto nieścisłość z gatunku tych, którymi raczy nas obecny rząd. Wspomnianą decyzję podjął przyjaciel pana ministra, wielce szanowny sekretarz stanu, nie dalej jak przed rokiem. Jeżeli pan minister staranniej się przygotowuje, przekona się, że w tym czasie była u władzy jego partia.

Opozycja zawyła z zachwytem.

Andrew wstał i chwycił oburącz pulpit, żeby nie było widać, że trzęsie się ze strachu. Członkowie rządu w pierwszej ławie pospuszczali głowy. Opozycja utoczyła krwi i triumfowała. Andrew przypomniał sobie słowa lorda Attlee: „Kiedy cię na czymś przyłapią, przyznaj się do błędu, przeproś i siadaj”.

Odczekał, aż wrzawa ucichnie.

- Sekretarz stanu przestrzegł mnie, że pierwsza godzina pytań jest dla ministra niezapomnianym przeżyciem. Jestem skłonny się z nim zgodzić. - Wiedząc, że atmosfera w Izbie może zmienić się w jednej chwili, wykorzystał sprzyjający moment. - W związku z pytaniem o opłaty telewizyjne w domu opieki w Kinross przyznaję się do błędu i przepraszam szanownego deputowanego z Ayr. Natychmiast zapożnam się ze sprawą i w ciągu doby udzielę panu posłowi pisemnej odpowiedzi. - Usłyszał za plecami głosy aprobaty, ławy opozycji zaś umilkły. Pan Younger chciał mu przerwać, a skoro Andrew nie ustąpił pola, usiadł wiedząc, że po godzinie trzeciej dziewiętnaście marszałek nie udzieli mu już głosu. Zapadła cisza i Andrew dodał: - To wszystko wina mojej babki, nieugiętej konserwatystki, która prowadząc dom opieki w Kinross była święcie przekonana, że należy podwyższać emerytury, a nie szukać wyjścia w niesprawiedliwym systemie subsydiów. - Posłowie laburzyści powitali te słowa śmiechem, a głowy siedzących w pierwszej ławie zwróciły się w stronę nowego ministra, który czekał przy pulpicie, aż Izba się uciszy. - Moją babkę ucieszyłaby wiadomość, że obecny rząd w ciągu trzech lat od objęcia władzy podniósł emerytury o pięćdziesiąt procent.

Andrew wrócił na swoje miejsce wśród wesołej wrzawy laburzystów z tylnych ław, wymachujących programami obrad. Opozycja spochmurniała.

Wskazówka minutowa przesunęła się na dwadzieścia po trzeciej i marszałek oznajmił:

- Pytania do zastępcy prokuratora.

Andrew Fraser zdobył uznanie w oczach kolegów. Jeden z nich, przycupnięty na skraju pierwszej ławy, przeczesał palcami rude włosy i słuchając cichnących śmiechów myślał, czy uda mu się dorównać Andrew, kiedy sam stanie przy pulpicie. Po przeciwnej stronie Izby Simon Kerslake zakarbował sobie w pamięci, żeby w przyszłości bardzo uważać z zadawaniem ostrych pytań Andrew Fraserowi.

Kiedy pytania do zastępcy prokuratora dobiegły końca, Simon opuścił gmach parlamentu i pojechał na Whitechapel Road. O czwartej zaczynało się zebranie zarządu Nethercote and Company. Spóźnił się kilka minut, po cichu usiadł i zaczął słuchać Ronnie'ego Nethercote'a chwającego się kolejnym osiągnięciem.

Ronnie podpisał tego dnia umowę na wzięcie w dzierżawę kwartału miasta za piętnaście milionów funtów. Umowa gwarantowała ponad 1,1 miliona dochodów z czynszu rocznie przez pierwsze siedem z dwudziestu jeden lat dzierżawy, przewidując zmianę stawek czynszowych co siedem lat.

Simon pogratulował Ronnie'emu i spytał, czy zawarcie umowy wpłynie na termin zaoferowania akcji spółki do publicznej sprzedaży.

- Dlaczego pytasz? - zapytał Ronnie.

- Bo nadal uważam, że rozsądnie byłoby poczekać, aż poznamy wyniki najbliższych wyborów powszechnych. Jeżeli do władzy wrócą konserwatyści, a na to wskazują sondaże opinii, zmieni się atmosfera i nastawienie do startujących na rynku spółek.

- Jeżeli nie wrócą, nie będę długo wstrzymywał się z wejściem na rynek akcji.

- Trudno nie zgodzić się z tą decyzją, panie przewodniczący - powiedział Simon.

Po zebraniu poszedł na drinka do gabinetu Nethercote'a.

- Chcę podziękować za to, że przedstawiłeś mnie Haroldowi Samuelowi i Louisowi Freedmanowi - rzekł Ronnie. - Znacznie ułatwiło mi to zawarcie umowy.

- Pozwolisz w takim razie, że dokupię trochę akcji?

- Czemu nie? - odparł Ronnie po krótkim wahaniu. - Zarobiłeś na nie. Ale najwyżej dziesięć tysięcy. Nie przebierz miary, Simonie, bo inni dyrektorzy zaczną ci zazdrościć.

Jadąc po Elizabeth, Simon postanowił obciążyć drugą hipoteką dom przy Beaufort Street i za zdobytą w ten sposób gotówkę kupić akcje. Uznał, że postąpi rozsądnie, nie zwracając żonie głowy szczegółami. Przyjemnie było pomyśleć o wyborczym zwycięstwie konserwatystów. Może dostanie posadę w rządzie, sprzeda akcje za sumę, dzięki której przestanie martwić się, jak sfinansować wykształcenie dzieci. Może nawet udałoby się zabrać Elizabeth na wymarzone wakacje do Wenecji.

Elizabeth czekała na niego przed bramą szpitala.

- Chyba się nie spóźnimy? - zapytała od razu.

- Nie - zapewnił Simon. Spojrzał na zegar na desce rozdzielczej i wykręcił w stronę Beaufort Street.

Przybyli na miejsce pięć minut przed podniesieniem kurtyny. W

szkolnym przedstawieniu mieli wystąpić Peter i Michael, obaj, jak zapewnili rodziców, w ważnych rolach. W inscenizacji *Wodnych dzieci* Charlesa Kingsleya Michael grał, jak się okazało, kraba, który wprawdzie nie schodził ze sceny, ale leżał cały czas na brzuchu, nie odzywając się ani słowem. Peter, który przez tydzień uczył się na pamięć swojej roli, wypadł niezbyt przekonująco jako ostatni w rządku dwunastu wodnych dzieci. Jego kwestia składała się z jednego zdania: „Jeżeli dorośli będą wciąż jedli tyle ryb, to w końcu dla mnie nic nie zostanie”. Władcze spojrzenie Neptuna spoczęło na Peterze i król mórz rzekł: „Nie miej pretensji do nas, to twój ojciec jest posłem w parlamencie”. Peter pochylił głowę i oblał się rumieńcem podobnie jak Elizabeth, kiedy siedzący na przedzie widzowie zaczęli częstować uśmiechami Simona, speszonego, jakby wokół niego rozpetęła się burzliwa debata parlamentarna.

Po przedstawieniu, przy kawie dyrektor szkoły przyznał, że krótką kwestię Neptuna dodano bez zgody nieżyjącego autora. Odwołując potem dzieci do domu Simon i Elizabeth przez całą drogę powtarzali w kółko jednozdaniową rolę syna.

- Czy podsekretarz uważa, że będzie mógł nadal piastować sta nowisko, jeżeli rząd dokona zasadniczego zwrotu i zdewaluuje funta?

Raymond Gould zjeżył się słuchając pytania Simona Kerslake'a. Znajomość prawa jak i przedmiotu rozważań chroniły go przed zaczepkami, na które zdobywali się tylko najbardziej wygadani i doświadczeni przeciwnicy. Miał jednak swoją achillesową piętę - poglądy wyrażone dobitnie w książce *Pełne zatrudnienie za wszelką cenę?* - i aby go dosięgnąć, wystarczyło tylko napomknąć o dewaluacji. Posłowie z tylnych ław nieraz ostrzyli sobie na niego zęby, ale to właśnie Simon Kerslake, nie po raz pierwszy zresztą, przypuścił atak.

Siedzący w ławie rządowej Andrew ułożył w myślach ostrą odpowiedź o wspólnej odpowiedzialności kolegów, ale Raymond Gould uprzedził go odpowiadając z namaszczaniem:

- Rząd Jej Królewskiej Mości jest zdecydowanie przeciwny dewaluacji, a zatem pytanie jest bezzasadne.

- Poczekamy, zobaczymy - krzyknął Kerslake.
- Spokój - powiedział marszałek. Wstał i zwrócił się do Simona: Szanowny poseł wie doskonale, że nie wolno zwracać się do Izby na siedząco. Podsekretarz stanu.

Raymond powstał.

- Obecny rząd przykłada dużą wagę do silnego funta, który był i jest naszą nadzieją na zdławienie bezrobocia.

Nazajutrz rano Joyce po przeczytaniu w „Timesie” odpowiedzi męża na pytanie Kerslake'a spytała:

- Co zrobisz, jeżeli gabinet rzeczywiście zdecyduje się na dewaluację?

Raymond nie mógł ignorować rosnącego z każdym dniem prawdopodobieństwa dewaluacji. *Silny dolar wywołał* rekordowy wzrost importu, lato sześćdziesiątego siódmego roku obfitowało w strajki i łączny skutek był taki, że zagraniczni bankierzy pytali wprost: kiedy dewaluacja.

- Byłbym zmuszony złożyć rezygnację - odparł.

- Dlaczego? Żaden inny minister tego nie robi.

- Niestety Kerslake ma rację. Wyłożyłem swoje poglądy czarno na białym, a on je nagłośnił. Nie martw się, Harold nie przeprowadzi dewaluacji. Nieraz mnie o tym zapewniał.

- Wystarczy, że zmieni zdanie.

Nacisk na funta wzrastał z tygodnia na tydzień, rosły też obawy Raymonda, że przewidywania Joyce okażą się słuszne.

Andrew Fraser przeczytał *Pełne zatrudnienie za wszelką cenę?* i docenił zwięzłe potraktowanie problemu, choć nie we wszystkich szczegółach zgadzał się z autorem. Będąc zwolennikiem dewaluacji uważał, że sprawę trzeba było przepchnąć w ciągu pierwszego tygodnia po objęciu władzy przez Partię Pracy, co umożliwiłoby zwalenie winy na torysów. Obecnie po trzech latach sprawowania władzy i drugim zwycięstwie wyborczym takie tłumaczenie zakrawałoby na bezczelność.

Przybliżał się termin rozwiązania, Louise tyła w oczach. Andrew starał się o beztroską atmosferę w domu i nie podejmował żadnych specjalnych przygotowań na przyjęcie dziecka. Podejrzewał, że poprzednim razem właśnie niepohamowana radość przyczyniła się

do niepokoju żony. Przynosił czerwone kufarki do domu, ale i tak do wyjątków należały dni, kiedy udawało mu się wrócić na Cheyne Walk przed jedenastą wieczorem.

- Głosowanie codziennie o dziesiątej wieczorem, a czasem nie mał do rana, to nasza jedyna specjalność, której reszta świata nie stara się naśladować - powiedział Andrew do Louise po jakiejś szczególnie męczącej sesji. Nie pamiętał nawet, czego dotyczyło głosowanie, ale do tego się nie przyznał. - Ponieważ żaden rząd nie brał nigdy pod uwagę możliwości ograniczenia czasu obrad, posło wie z tylnych ław, czyli tak zwane „wojsko”, przemierzają kuluary od rana do wieczora. Dlatego dziennikarze nazywają nas „kuluarowym mięsem”.

- Powiedziałabym raczej: gromadka niesfornych dzieciaków.

Louise trafiła do szpitala tydzień przed terminem. Elizabeth Kerslake zapewniła ją, że nie ma się o co martwić, i w dwa dni później Louise urodziła śliczną dziewczynkę.

Andrew brał udział w resortowym zebraniu na temat budownictwa mieszkaniowego w Glasgow, kiedy zadzwoniła z gratulacjami pielęgniarka. Ruszył prosto do lodówki i wyjął butelkę szampana - prezent od ojca z okazji awansu do szkockiego ministerstwa. Pona-lewał kruga do plastikowych kubków.

- To trochę lepiej niż pić prosto z butelki - zażartował częstując doradców i zaraz potem wyszedł.

Po przyjeździe do szpitala St Mary's ucieszył się zastając na dyżurze Elizabeth Kerslake. Dowiedział się, że po ciężkim porodzie i cesarskim cięciu żona jest jeszcze pod działaniem środków uspokajających. Elizabeth zaprowadziła go do izolatki, gdzie zabrano noworodka na obserwację.

- Nie ma powodu do obaw - zapewniła. - Po każdym cesarskim cięciu przeprowadzamy szereg testów.

Zostawiła Andrew sam na sam z córką. Podziwiał jej duże niebieskie oczy i ciemny puszek na ciemieniu wiedząc, że z czasem kolory mogą się zmienić.

Wymknął się na palcach jakąś godzinę później, kiedy zasnęła, i wrócił do Dover House, by w gabinecie sekretarza stanu po raz drugi oblać urodziny córki. Tym razem szampana podano w kryształowych kieliszkach.

Wieczorem położył się do łóżka z szumem w głowie i zanim

zapadł w głęboki sen, myślał tylko o jednym: jakie imię dadzą córce. Louise marzyła zawsze o imieniu Claire.

Telefon budził go długo. Po odłożeniu słuchawki Andrew ubrał się raz dwa i szybko pojechał do szpitala. Zaparkował samochód i pobiegł na znajomy oddział. Elizabeth Kerslake czekała przy drzwiach. Znać było po niej zmęczenie. Mimo całej wiedzy i doświadczenia z trudem przyszło jej wyjaśnić Andrew, co się stało.

- Córka zmarła czterdzieści minut temu. Serce przestało bić. Proszę mi wierzyć, robiliśmy, co w naszej mocy.

Andrew usiadł ciężko na ławkę w korytarzu i dłuższą chwilę nic nie mówił.

- Jak się czuje Louise? - wydusił z siebie wreszcie.

- Jeszcze jej nie mówiliśmy. Nadal jest pod działaniem leków. Dobrze, że nie widziała dziecka.

Andrew zaczął walić pięścią w nogę, aż zdrętwiała. Raptem przestał.

- Sam jej powiem - rzekł cicho.

Siedział na ławce, łyzy ciekły mu po policzkach. Elizabeth usiadła obok bez słowa. Potem poszła sprawdzić, czy pani Fraser może zobaczyć się z mężem.

Louise domyśliła się wszystkiego na widok wchodzącego Andrew. Upłynęła godzina, zanim zdołała przemówić.

- Założę się, że Alison McKenzie dałaby ci tuzin synów - powiedziała, chcąc go nakłonić do uśmiechu.

- Na pewno głupich i brzydkich.

- Też tak myślę. Ale to nie byłoby jej winą.

Oboje spróbowali się roześmiać.

Andrew wrócił na Cheyne Walk po czwartej nad ranem, ale już nie zasnął.

Wielki orator Iain Macleod powiedział kiedyś, że o losie mówcy decydują pierwsze dwie minuty wystąpienia. Mówca albo trzyma w garści Izbę i panuje nad słuchaczami, albo wpada w popłoch, gubi się i nieodwołalnie traci posłuch. Charles Seymour, poproszony o wygłoszenie w imieniu opozycji mowy podsumowującej debatę gospodarczą, starannie się przygotował. Nie spodziewał się przekonać posłów ze strony rządowej, natomiast liczył, że na drugi

dzień prasa przyzna mu laur zwycięzcy w walce na argumenty. Rząd drżał w posadach wstrząsany pogłoskami o dewaluacji i złej sytuacji ekonomicznej, więc Charles czuł, że stoi przed wielką szansą.

Debaty parlamentarne zaczynają się zwykle o trzeciej trzydziści, po godzinie pytań, a czasem później, kiedy ministrowie mają coś do powiedzenia. Minister odpowiedniego resortu wygłasza wstępne przemówienie, trwające około pół godziny, i tak samo długo przemawia do Izby rzecznik opozycji. Od czwartej trzydziści do dziewiątej toczy się ogólna debata, a zadaniem marszałka jest skrupulatnie dbać o to, by reprezentowani byli wszyscy, którzy wyrazili zainteresowanie tematem, z zachowaniem równowagi partyjnej i regionalnej. Niemile widziane jest, jeżeli szeregowy poseł przemawia dłużej niż kwadrans. Najbardziej udane i zapamiętane wystąpienia w Izbie trwały osiem, do dziewięciu minut, a te najgorsze przedłużały się ponad pół godziny.

Uwagi końcowe wygłasza rzecznik opozycji o dziewiątej, o dziewiątej trzydziści zaś dochodzi do głosu minister strony rządowej.

Charles stanął przy pulpicie z zamiarem dobitnego wyrażenia poglądów torysów na temat rządowych posunięć gospodarczych, fatalnych konsekwencji dewaluacji, galopującego wzrostu cen, a także rekordowo wysokich pożyczek i takiego zachwiania wiary w Wielką Brytanię, jakiego żaden z posłów nie pamiętał.

Wyprężył się i obrzucił wojowniczym spojrzeniem ławy rządowe.

- Panie marszałku - zaczął. - Nie mogę pojąć...

- To po co się odzywasz - krzyknął ktoś z ław laburzystów.

Rozległy się śmiechy. Charles przeklął w duchu zbytnią pewność siebie, opanował się i zaczął od nowa.

- Nie wyobrażam sobie...

- Typowy torys bez wyobraźni - zawołał ktoś inny.

- ... jak mogło dojść do przedłożenia tego wniosku pod głosowanie w Izbie.

- Ten na pewno nie będzie nas uczył sztuki przemawiania.

- Spokój - warknął marszałek, ale było już za późno.

Uwaga słuchaczy pierzchła i zawstydzony Charles musiał męczyć się przez całe trzydzieści minut - pod koniec słuchał go już tylko marszałek. Kilku deputowanych z jego przedniej ławy siedziało z zamkniętymi oczami i z nogami opartymi na stole. Szerego-

wi posłowie po obu stronach prowadzili pogaduszki w oczekiwaniu na podział Izby o dziesiątej - był to najwyższy stopień pogardy, jaką Izba okazywała najgorszym mówcom. Podczas wystąpienia Charlesa marszałek kilkakrotnie musiał przywoływać hałaśliwych posłów do porządku. Raz nawet wstał, by udzielić reprimendy: „Panowie posłowie swoim zachowaniem podważają własny autorytet”. Tyle to dało, co rzucanie grochem o ścianę. O wpół do dziesiątej Charles siadł zły zimnym potem. Kilku posłów za jego plecami bez przekonania zawołało: „Brawo, brawo”.

Minister reprezentujący rząd powiedział na wstępie, że w ciągu wielu lat uprawiania polityki słyszał niewiele równie żalonych wystąpień. Jeżeli nawet trochę przesadził w swojej ocenie, to sądząc po minach torysów w przednich ławach, tym razem członkowie opozycji nie zamierzali protestować.

Rozdział dziewiąty

Decyzję podjął ostatecznie dwunastoosobowy ścisły gabinet w czwartek, 16 listopada 1967 roku. W piątek jego największa tajemnica stała się znana urzędnikom bankowym w Tokio i kiedy w sobotę po południu premier składał oficjalnie oświadczenie, Bank Angielski zdążył stracić sześćset milionów dolarów rezerw na rynku dewizowym.

W sobotę po południu Raymond był w Leeds na dyżurze poselskim, przypadającym raz na dwa tygodnie. Wyjaśniał właśnie młodemu małżeństwu zawilości nowej ustawy mieszkaniowej, kiedy do pokoju wpadł agent, Fred Padgett.

- Przepraszam, że przerywam, ale to bardzo pilne. Premier ogłosił przed chwilą dewaluację funta z dwóch dolarów osiemdziesiąt na dwa dolary czterdzieści.

To był grom z jasnego nieba. Lokalne problemy mieszkaniowe wyleciały z głowy dyżurującemu deputowanemu. Spojrzał osłupiały na siedzących naprzeciw wyborców.

- Przepraszam pana na chwilę, panie Higginbottom, muszę za telefonować - rzekł Raymond.

Chwila trwała kwadrans. Raymond skontaktował się z doradcą w Ministerstwie Finansów, który potwierdził wiadomość. Zadzwono-

nił do Joyce i polecił, żeby do czasu jego powrotu nie odbierała telefonów. Dopiero po kilku minutach ochłonął na tyle, żeby wysadzić głowę za drzwi i zapytać:

- Ilu jeszcze ludzi chce się ze mną widzieć, Fredzie?
- Prócz państwa Higginbottom jest tylko ten szalony major przekonany, że na dachu ratusza wylądują Marsjanie.
- Dlaczego wybrali właśnie Leeds? - spytał Raymond siląc się na dowcip, choć nie było mu do śmiechu.
- Po podbiciu Yorkshire reszta pójdzie jak z płatką.
- Trudno coś zarzucić temu rozumowaniu. Powiedz majorowi że ta sprawa nappełniła mnie głęboką troską, ale żeby zbadać *j*; szczegółowo, muszę zwrócić się o radę do Ministerstwa Obrony Narodowej. Niech przyjdzie na dyżur za dwa tygodnie, przygotuj dla niego plan strategiczny.

- Będzie miał o czym opowiadać przyjaciółom.

Raymond wrócił do państwa Higginbottom i zapewnił ich, że u ciągu kilku dni załatwi sprawę mieszkaniową. Zanotował, że *mb* zadzwonić do naczelnika wydziału mieszkaniowego miasta Leeds

- Co za dzień - wykrzyknął Raymond, kiedy drzwi zamknęły się za interesantami. - Pobita żona, odłączony dopływ prądu do domu w którym mieszka czworo małych dzieci, zatrucie rzeki Aire i nit cierpiąca zwłoki sprawa mieszkaniowa. No i oczywiście szalony major i jego wędrowni Marsjanie. A na dokładkę wiadomość o dewaluacji.

- Jak ci się udaje zachować taki spokój? - zapytał Fred.

- Nie daję po sobie poznać, jak naprawdę się czuję.

Po zwykłym dyżurze Raymond zaszedłby do pobliskiego pubu *ni* piwo i obowiązkową pogawędkę z mieszkańcami Leeds. W ten sposób dowiadywał się, czym żyło miasto w ciągu minionych dwóch tygodni, i mógł trzymać rękę na pulsie. Tym razem ominął pub z daleka i wrócił od razu do rodziców.

Telefon tak się rozdzwonił, relacjonowała Joyce, że odłożyła słuchawkę. Matce niczego nie wyjaśniała.

- Słusznie - pochwalił Raymond.

- Co teraz zrobisz? - spytała

- Złożę rezygnację, to oczywiste.

- Dlaczego? Zaszkodzisz sobie.

- Nawet jeśli masz rację, to mnie nie powstrzyma.

- Odwaliłeś kawał roboty i dopiero zacząłeś wychodzić na swoje.
- Nie chcę być pompacyjny i powiem krótko: znam swoje wady. ale tchórzem nie jestem i nie wyzbędę się zasad dla kariery.
- Mówisz jak ktoś, kto zostanie kiedyś premierem.
- Przed chwilą mówiłaś, że sobie zaszkodzę. Zdecyduj się.
- Już to zrobiłam.

Raymond uśmiechnął się blado, zamknął za sobą drzwi gabinetu i napisał odręcznie krótki list:

Sobota, 18 listopada 1967

Szanowny Panie Premierze,

W związku z ogłoszoną dziś przez Pana dewaluacją oraz stanowiskiem, jakie niezmiennie na ten temat zajmowałem, nie pozostaje mi nic innego, jak zrezygnować z funkcji podsekretarza stanu w Ministerstwie Zatrudnienia.

Chciałbym podziękować za umożliwienie mi służby w Pańskiej administracji. Proszę przyjąć zapewnienie, że jako szeregowy poseł będę nadal popierał rząd we wszystkich pozostałych kwestiach.

Z poważaniem
Raymond Gould

Kiedy w sobotę wieczorem przywieziono do domu czerwony kuferek, Raymond dał list posłańcowi z poleceniem natychmiastowego dostarczenia na Downing Street. Otwierając po raz ostatni kuferek, przypomniał sobie, że w poniedziałek przypada tura pytań do Ministerstwa Zatrudnienia. Ciekaw był, kto go zastąpi w udzielaniu odpowiedzi.

Lawina zajęć spowodowana dewaluacją sprawiła, że premier przeczytał list Raymonda dopiero w niedzielę przed południem. Nieco później do drzwi Gouldów zapukał zaniepokojony Fred Padgett.

- Nie otwieraj - rzekł Raymond. - To znów jakiś dziennikarz.
 - Nie, to tylko Fred - powiedziała Joyce zerkając przez szpan w firankach. Otworzyła drzwi.
 - Gdzie u diabła jest Raymond? - zawołał Fred nawet się ni witając.
 - Tutaj - odparł Raymond, wchodząc do pokoju z niedzielnym gazetami w ręku.
 - Premier od kilku godzin nie może się do ciebie dodzwonić.
- Raymond położył słuchawkę na widełki, po chwili podniósł i p<

usłyszeniu sygnału wykręcił Londyn WHI 4433. Nie czekał długo. Głos ma spokojny, pomyślał Raymond słuchając premiera.

- Czy składałeś jakieś oświadczenia prasie, Ray?
- Nie, chciałem, żeby pan pierwszy otrzymał mój list.
- Dobrze. Nie wspominaj nikomu ani słowem o swojej rezygnacji. Czy mógłbyś przyjechać na Downing Street o ósmej wieczorem?
- Tak, panie premierze.
- Pamiętaj, ani *słowa* prasie.

Raymond usłyszał trzask odkładanej słuchawki.

Niespełna w godzinę był już w drodze do Londynu, a tuż po siódmej dojechał na Lansdowne Road. Zadzwoił telefon. Chciał zignorować uporczywy terkot, ale przyszło mu na myśl, że dzwonią z Downing Street.

Podniósł słuchawkę.

- Halo.
- Czy to Raymond Gould?
- A kto mówi?
- Walter Terry, „Daily Mail”.
- Nie powiem ani słowa - rzekł Raymond.
- Czy uważa pan, że decyzja premiera o dewaluacji była słuszna?
- Powiedziałem: ani słowa.
- Czy to znaczy, że złoży pan rezygnację?
- Walterze: ani słowa.
- Czy to prawda, że już pan złożył rezygnację?

Raymond nie odpowiedział od razu.

- Tak właśnie myślałem - rzekł Terry.
- Powiedziałem: *ani słowa* - wykrztusił *Raymond*, *cisnął* słuchawkę i zaraz ją odłożył.

Szybko się umył, zmienił koszulę i wyszedł z domu. Mało brakowało, a nie zauważyłby leżącej na wycieraczkę koperty. Pewnie by się nie zatrzymał, gdyby nie czerniejące w lewym rogu duże litery - Premier. Rozdarł kopertę. W krótkim liście sekretarz prosił o niepodjeżdżanie przed Numer Dziesiąty od frontu, tylko od strony tylnego wejścia. Dołączona mapka wskazywała drogę. Raymond zaczynał mieć dość całej tej zabawy.

Przed bramą czatowało dwóch dziennikarzy, którzy odprowadzili go do samochodu.

- Czy złożył pan rezygnację, panie ministrze? - zapytał jeden.

- Bez komentarza.

- Czy jedzie pan zobaczyć się z premierem?

Raymond bez słowa wskoczył do samochodu. Ruszył tak szybko, że natrętni dziennikarze nie mieli szans go dogonić.

Po dwunastu minutach, za pięć ósma, siedział w przedpokoju domu premiera przy Downing Street. Z wybiciem ósmej zaprowadzono go do gabinetu Harolda Wilsona. Ze zdziwieniem spostrzegł siedzącego w kącie sekretarza stanu do spraw zatrudnienia.

- Jak się masz, Ray - powitał go premier.

- Dziękuję, dobrze, panie premierze.

- Z przykrością czytałem list od ciebie. Doskonale rozumiem twoją sytuację, ale może uda nam się znaleźć jakieś wyjście.

- Jakieś wyjście? - powtórzył zaskoczony Raymond.

- Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że dewaluacja jest ci bardzo nie na rękę jako autorowi *Pełnego zatrudnienia za wszelką cenę?*, ale może stanowisko ministra spraw zagranicznych rozwiązałoby nasz dylemat. Zasłużyłeś na ten awans.

Raymond nie odpowiadał. Premier mówił dalej:

- Zainteresuje cię chyba wiadomość, że kanclerz skarbu również ustąpił ze stanowiska i przeniesie się do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

- Jestem zaskoczony - rzekł Raymond.

- Biorąc pod uwagę problemy narastające w Rodezji i Europie, prawnik z takimi umiejętnościami jak ty bardzo nam się przyda.

Raymond milczał i słuchał; w głębi ducha już podjął decyzję.

Poniedziałek w Izbie Gmin rozkręca się powoli. Naganiacze nie planują debat nad spornymi kwestiami, ponieważ posłowie zjeżdżają się jeszcze z okręgów wyborczych w całym kraju. Zwykle dopiero pod wieczór robi się tłoczno. Jednakże w związku z zapowiedzianym na trzecią trzydzięci wystąpieniem kanclerza skarbu na temat dewaluacji, należało zawczasu spodziewać się nabitej sali.

Zielone ławy, na których mieściło się 427 posłów, zostały przywrócone do stanu pierwotnego po zbombardowaniu przez Niemców Pałacu Westminsterskiego 10 maja 1941 roku. Pieczołowicie zadbano o kameralność Izby. Sir Giles Gilbert Scott podkreślił gotycki wystrój wnętrza, dzieło Barry'ego, i zgodził się z Churchill-

lem, że powiększając Izbę zatraciliby się elektryzującą atmosferę tłumnych zgromadzeń.

Izba szybko się wypełniała; za kwadrans trzecia nie było już wolnych siedzących miejsc. Posłowie oblepili schodki przy fotelu marszałka i nogi krzeseł sekretarzy przy stole. Paru uczepiło się nawet, niczym głodne wróble, pustego worka na petycje za fotelem marszałka. Boczne i górne galerie, które zazwyczaj świecą pustkami, przypominały trybuny widowni na decydującym w rundzie rozgrywek meczu krykieta z Australią.

Starszy woźny sprawdził, czy ma odpowiednią ilość tabaki. Należało to do jego obowiązków od czasów, kiedy w londyńskim powietrzu unosiły się „nieprzyjemne odory”.

Raymond Gould wstał, żeby odpowiedzieć na niewinne z pozoru pytanie numer siedem na temat zasiłków macierzyńskich. Ledwie doszedł do pulpitu, z ław torysów podniosły się okrzyki „Dymisja, dymisja”. Raymond daremnie starał się opanować zapanowanie. Z ostatniej ławy widać było, jak spurpurowiał. Dawała mu się też we znaki nieprzespana po rozmowie z premierem noc. Odpowiedział na pytanie obrzucany żądaniemi dymisji. Opozycja umilkła, kiedy usiadł, i tylko czekała, aż znów wstanie do odpowiedzi. Następne pytanie zgłoszone do programu obrad pod adresem Raymonda zadał Simon Kerslake. Było kilka minut po trzeciej.

- Czy resort przeprowadził analizę czynników wpływających na wzrost bezrobocia w środkowej Anglii?

Raymond zajrzał do teczki.

- Zamknięcie dwóch dużych fabryk w tym rejonie, a jedna z nich znajduje się w okręgu szanownego kolegi, zaostriżyło problem bezrobocia. Obie fabryki specjalizowały się w częściach do samochodów i ucierpiały na skutek strajku Leylanda.

Simon Kerslake wstał, żeby zadać pytanie dodatkowe. Ławy pozycji czekały w napięciu.

- Pan minister nie zapomniał chyba złożonego na forum Izby w »vietniu oświadczenia, że dewaluacja drastycznie zwiększy bezro-
•)rie nie tylko w środkowej Anglii, ale w całym kraju. Jeżeli mój anowny przedmówca nie zamierzał rzucać słów na wiatr, dlaczego nie podał się do dymisji? - Simon usiadł, a w ławach torysów odniosło się echo: „Dlaczego, dlaczego, dlaczego?”

- Moje ówczesne wystąpienie zostało wyrwane z kontekstu, sytuacja zmieniała się od tamtej pory.

- Oj zmieniła, zmieniła - zaczęli pokrzykiwać konserwatyści i znów rozległy się głośne żądania, żeby podał się do dymisji.

- Spokój, spokój - przekrzykiwał marszałek narastającą wrzawę.

Simon wstał. Pozostali posłowie w ławach konserwatywnych siedzieli, żeby marszałek nie mógł wywołać innego nazwiska. Polowali zgraną zgrają. Patrzyli to na jednego, to na drugiego przeciwnika - pewny siebie Kerslake wskazywał palcem pochyloną głowę Raymonda Goulda, który modlił się już tylko o to, żeby zegar wskazał trzecią trzydzieści.

- Panie marszałku, podczas tej debaty, w której udziału szanowny deputowany chętnie by się teraz wyparł, przytaczał on swoje poglądy wyłożone jasno w książce zadającej pytanie, czy należy dążyć do pełnego zatrudnienia za wszelką cenę. Czyżby po trzech latach zmienił te poglądy na przeciwne? Czy też może pragnienie bycia ministrem upewniło go, że należy za wszelką cenę trzymać się stołka?

- To pytanie nie ma nic wspólnego z moją ówczesną wypowiedzią - odciął się gniewnie Raymond. Ostatnie słowa utonęły w okrzykach opozycji, domagającej się jego odejścia.

Simon poderwał się i marszałek po raz trzeci udzielił mu głosu.

- Czy szanowny deputowany chce powiedzieć Izbie, że ma dwa moralne oblicza: jedno, kiedy mówi, drugie, kiedy pisze?

Podniosła się taka wrzawa, że niewielu posłów usłyszało odpowiedź Raymonda.

- Nie, panie pośle, staram się być konsekwentny.

Zrobiło się trochę ciszej, kiedy wstał marszałek i zasepionym spojrzaniem ogarnął salę.

- Rozumiem te silne emocje, ale muszę poprosić szanownego posła z Coventry Central, żeby cofnął obraźliwe słowa oskarżające ministra o niegodne postępowanie.

Simon wstał i bez ociągania cofnął to, co powiedział, ale i tak już zrobił swoje. Posłowie głośno domagali się rezygnacji Goulda.

Kiedy po kilku minutach Raymond opuścił Izbę, Simon usiadł z zadowoloną miną. Konserwatyści obracali się do niego i kiwali głowami wyrażając uznanie dla zręcznego zniszczenia podsekretarza stanu. Do wygłoszenia oświadczenia o dewaluacji przygotował

się kanclerz. Przerażenie ścisnęło Simonowi gardło, kiedy usłyszał pierwsze zdanie.

- W sobotę wieczorem szanowny poseł z Leeds North złożył rezygnację na ręce premiera, zgodził się jednak łaskawie nie podawać tego do wiadomości publicznej do czasu mojego wystąpienia w Izbie.

Kanclerz pochwalił następnie Raymonda za dotychczasową pracę i życzył mu powodzenia na przyszłość.

Kiedy kanclerz skończył odpowiadać na pytania, Andrew pośpieszył do pokoju Raymonda. Zastał go przy biurku, zgarbionego, przygaszonego. Andrew nie darzył Raymonda sympatią, ale chciał wyrazić podziw dla jego postawy.

- To bardzo ładnie z twojej strony - podziękował Raymond, nie mogąc jeszcze dojść do siebie. - Zwłaszcza że ty byś się z nimi rozprawił, aż by im w pięty poszło.

- Właśnie to się stało - zapewnił Andrew. - Simon Kerslake ma powody, żeby czuć się jak ostatnia szmata.

- Nie mógł przecież wiedzieć. Przygotował się starannie i zadawał celne pytania. Podejrzewam, że na jego miejscu postąpilibyśmy podobnie.

Raymond przyjął wyrazy współczucia od kilku innych posłów, którzy do niego wpadli, i poszedł pożegnać się z zespołem współpracowników w ministerstwie. Przedłużającą się chwilę ciszy przetrwał stały sekretarz.

- Mam nadzieję, że wkrótce powróci pan do pracy w rządzie. Nie mieliśmy przy panu łatwego życia, ale za to łatwiej będzie się żyło tym, którym w ostatecznym rozrachunku służy pańska praca.

Powaga i szczerść sekretarza, który miał już przecież „nowego pana”, wzruszyły Raymonda.

Kiedy wrócił do domu, z dziwnym uczuciem siadał przed telewizorem, brał książkę do ręki, wychodził na spacer - uwolniony od wiecznego czerwonego kuferka i natrętnego telefonu. Po dwóch dniach zatęsknił za dawnym trybem życia.

Od kolegów z parlamentu dostał ponad sto listów, ale zachował tylko jeden:

Poniedziałek, 20 listopada 1967

Drogi Gouldzie,
Jestem Panu winien serdeczne przeprosiny. Każdy z nas, polityków, popełnia wielkie błędy w ocenie ludzi i dziś właśnie mnie się to przydarzyło.
Jestem przekonany, że większość posłów szczerze pragnie służyć krajowi, a najbardziej honorowy dowód takiej postawy to podanie się do dymisji, gdy w naszym mniemaniu własna partia obiera zły kurs. Zazdroszczę szacunku, jakim darzy Pana cała Izba.

Z poważaniem
Simon Kerslake

Kiedy Raymond znów pokazał się w Izbie, wszyscy posłowie zaczęli tak wiwatować na jego cześć, że przemawiający minister musiał przerwać wystąpienie i poczekać, aż Raymond zajmie miejsce w tylnej ławie.

Rozdział dziesiąty

Simon akurat wyszedł z domu, kiedy zadzwonił Edward Heath. Dopiero po godzinie udało się Elizabeth przekazać mężowi wiadomość, że lider partii chce się z nim widzieć o wpół do trzeciej.

Charles był w banku, kiedy zadzwonił szef naganiaczy z prośbą o spotkanie o drugiej trzydzieści, przed rozpoczęciem popołudniowej sesji. Charles poczuł się jak uczeń wezwany do gabinetu dyrektora. Ostatnim razem szef naganiaczy dzwonił z prośbą o wygłoszenie podsumowującej mowy i od tamtej pory nie mieli ze sobą *do* czynienia. Charles nie mógł opędzić się *od* obaw; zawsze wołał od razu wiedzieć w czym rzecz.

Zrezygnował z lunchu w banku i postanowił zjeść w parlamencie, żeby przypadkiem nie spóźnić się na spotkanie.

Nie lubił korzystać ze stołówek dla posłów, bo jedzenie, poza podawanymi w bufecie zakąskami, było tu niewiele lepsze niż na dworcu Paddington, a zdecydowanie gorsze niż na londyńskim lotnisku.

Przysiadł się do dużego stołu na środku, zajmując ostatnie wolne miejsce obok Simona Kerslake'a. Od czasu rozgrywki o władzę między Heathem i Maudlingiem nie byli ze sobą w dobrych stosunkach. Charles w ogóle nie przepadał za Kerslakiem; powiedział

kiedyś Fionie, że Kerslake należy do nowego gatunku torysów, którzy mają skłonność do przedobrzenia, dlatego wpadka kolegi w związku z rezygnacją Goulda bynajmniej go nie zmartwiła. Oczywiście nikomu, prócz Fiony, nie zdradził swoich uczuć.

Simon spojrzął na Charlesa i pomyślał: jak długo jeszcze partia wybierać będzie gwardystów z Eton, którym więcej czasu zajmuje robienie pieniędzy w City i wydawanie ich na wyścigach w Ascot niż praca w parlamencie - pogląd ten wszakże zachował dla siebie, bo mógłby się nim podzielić tylko z najbliższym przyjacielem. Rozmowa przy stole obracała się wokół zaskakująco pomyślnych wyników wyborów uzupełniających w Acton, Meriden i Dudley. Dyskutujący torysi palili się do wyborów powszechnych, choć premier nie musiał ich ogłaszać jeszcze przez trzy lata.

Charles i Simon nie zamówili kawy.

Dwadzieścia pięć po drugiej od zarezerwowanego dla siebie stolika w kącie sali wstał szef naganiaczy i wyszedł. Charles spojrzął na zegarek, odczekał chwilę i opuścił kolegów, którzy wdali się w gorącą dyskusję na temat wejścia do Wspólnego Rynku.

Minął palarnię i skręcił w lewo przy drzwiach do biblioteki. Ruszył dawnym Korytarzem Budżetowym, pchnął wahadłowe drzwi i znalazł się w kuluarach posłów, naprzeciw biura naganiaczy strony rządowej. Kiedy wsunął głowę do sekretariatu, nieoceniona panna Norse, wyróżniona Orderem Brytyjskiego Imperium, przestała pisać na maszynie.

- Jestem umówiony z szefem naganiaczy - powiedział Charles.

- Tak, panie Seymour, oczekuje pana. Proszę wejść - zachęciła i natychmiast podjęła przerwana pracę.

Charles przemierzył kolejny korytarz i natknął się na szefa naganiaczy stojącego w progu gabinetu.

- Wejdz. Napijesz się?

- Nie, dziękuję - odparł Charles, nie mogąc doczekać się wiadomości.

Szef naganiaczy nalał sobie dżinu z tonikiem i usiadł.

- Mam nadzieję, że to, co powiem, będzie dobrą nowiną. - Pociągnął spory łyk koktajlu. - Przewodniczący uważa, że praca w naszym biurze, przez jakiś czas, byłaby dla ciebie pouczającym

doświadczeniem. Ze swej strony dodam, że ja też bardzo bym się cieszył...

Charles chciał zaprotestować, ale ugryzł się w język.

- Mam zrezygnować ze stanowiska w Ministerstwie Gospodarki Mieszkaniowej i Samorządów Lokalnych?

- Tak. I nie tylko. Pan Heath oczekuje od naganiaczy rezygnacji z innych zajęć poza parlamentem. W tym biurze nie pracuje się na pół etatu.

Charles musiał zebrać myśli.

- Czy zachowam stanowisko w ministerstwie, jeżeli nie przyjmę tej propozycji?

- Nie ja o tym decyduję - odparł szef naganiaczy. - Ale nie jest tajemnicą, że Ted Heath planuje zmiany personalne przed wyborami.

- Ile mam czasu na zastanowienie?

- Zechciej mnie zawiadomić najpóźniej jutro, przed godziną pytań.

- Dobrze. Dziękuję.

Charles wyszedł od szefa naganiaczy i pojechał do domu.

Simon stawiał się na umówione spotkanie dwadzieścia pięć po drugiej, pięć minut przed wyznaczonym czasem. Nie chciał się rozczarować - opędał się od domysłów, dotyczących powodów jego wezwania.

Douglas Hurd, sekretarz osobisty Heatha, zaprowadził Simona do przywódcy konserwatystów.

- Czy przed wyborami miałbyś ochotę wejść do resortu budownictwa mieszkaniowego i samorządów lokalnych?

Heath jak zwykle nie tracił czasu na hocki-klocki. Niespodziewana propozycja zaskoczyła Simona, ale szybko się opanował.

- Bardzo dziękuję - odparł. - To znaczy... tak... dziękuję.

- Świetnie. Przyłóż się i postaraj wypaść tak samo dobrze przy pulpicie mówcy jak w ławie na tyłach.

Sekretarz osobisty otworzył drzwi - rozmowa dobiegła końca. Simon znalazł się z powrotem na korytarzu o drugiej trzydzieści trzy. Minęła dłuższa chwila, nim oprzytomniał. Jak na skrzydłach popędził do najbliższego telefonu. Wykręcił numer szpitalnej cen-

trali i poprosił o połączenie z doktor Kerslake. Omal go nie zagłuszyły dzwonki obwieszczające rozpoczęcie obrad o drugiej trzydzieści pięć, po modlitwach. Usłyszał kobiecy głos.

- Czy to ty, kochanie? - zapytał przekrzykując hałas.
- Nie, proszę pana. Telefonistka. Doktor Kerslake jest na sali operacyjnej.
- Czy nie dałoby się jej wyciągnąć stamtąd?
- Gdyby spodziewał się pan dziecka, to może tak.

- Dlaczego tak wcześnie? - zapytała Fiona, kiedy Charles trzaskając dzwiami wpadł do domu.

- Muszę z kimś porozmawiać.

Fiona nie była pewna, czy ma się z tego cieszyć. Ale ponieważ ostatnio prawie wcale nie widywała męża, powstrzymała się od uwag.

Charles powtórzył jej słowo w słowo, tak jak zapamiętał, rozmowę z szefem naganiaczy. Fiona wysłuchiwała monologu i dalej milczała.

- No i co ty na to? - spytał niespokojnie.
- I to wszystko z powodu jednego fatalnego wystąpienia - skomentowała gorzko.
- To prawda, przyznaję, ale roztrząsanie tego, co było, nic nie da.
- Na pewno odczuwamy brak twojej dyrektorskiej pensji z banku. Moje prywatne dochody są śmiesznie małe przy obecnym podatku.

- Wiem, ale jeżeli odrzucę propozycję, a wygramy wybory...
- Zostaniesz na lodzie.
- Ścisłej rzecz biorąc, utknę w ostatnim rządzie.
- Polityka zawsze była twoją pierwszą miłością - powiedziała Fiona głaszcząc go po policzku. - Więc właściwie nie masz wyboru, a jeżeli czekają nas jakieś wyrzeczenia, nie będę narzekać.

- Dziękuję - odparł Charles wstając. - Najlepiej od razu pójść do Dereka Spencera.

Zanim wyszedł, Fiona dodała:

- Pamiętaj, że Ted Heath doszedł na szczyt przez biuro nagania czy.

Po raz pierwszy tego dnia Charles się uśmiechnął.

- Zostaniesz w domu na kolacji? - spytała Fiona.
- Nie mogę. Mam głosowanie.

Po wyjściu Charlesa Fiona zadała sobie pytanie, czyjej przeznaczeniem jest dzielić życie z wezwaniami do obowiązkowego głosowania.

Wreszcie się dodzwonił.

- Zapraszam cię na uroczystą kolację.
- Z jakiej okazji? - zapytała Elizabeth.
- Zaproponowano mi udział w rządzie, w resorcie gospodarki mieszkaniowej i samorządów lokalnych.
- Gratuluję, kochanie, ale czym właściwie będziesz się zajmował?
- Będą do mnie należały: decentralizacja, gospodarka mieszkaniowa, tereny miejskie, transport, woda, zabytki, lotnisko Stansted albo Maplin, tunel pod kanałem La Manche, parki królewskie...
- Czy zostanie coś do roboty dla innych?
- To dopiero połowa. Podlega mi wszystko, co znajduje się za progiem domu. Resztę opowiem ci przy kolacji.
- A niech to, nie uda mi się wyrwać stąd przed ósmą i trzeba załatwić opiekunkę do dzieci. Czy tym również zajmuje się twój resort?
- A jakże! - odparł ze śmiechem. - Załatwię to i zamówię stolik u Grange'a na ósmą trzydzieści.
- Masz głosowanie o dziesiątej?
- Niestety.
- No tak, kawa w towarzystwie opiekunki do dzieci. - Umilkła na chwilę. - Simonie.
- Tak, kochanie?
- Jestem z ciebie bardzo dumna.

Derek Spencer, siedząc za masywnym biurkiem prezesa banku w Cheapside, wysłuchał uważnie Charlesa.

- Bank dotkliwie odczuje twoje odejście - powiedział wreszcie.
- Ale nikt, zwłaszcza ja, nie chciałby stwarzać ci przeszkód w robieniu kariery politycznej.

Charles spostrzegł, że Spencer unika jego wzroku.

- Czy mogę się spodziewać ponownego przyjęcia do zarządu, gdyby moja sytuacja w Izbie Gmin zmieniła się z jakiegoś powodu?

- Oczywiście - zapewnił Spencer. - Nie ma potrzeby o to pytać.
- To bardzo miło z twojej strony - rzekł Charles z ulgą. Wstał, pochylił się i podał sztywno rękę.
- Powodzenia - pożegnał go Spencer.

- Czy to oznacza, że nie będziesz mógł zasiadać w zarządzie? - zapytał Ronnie Nethercote usłyszawszy nowinę Simona.

- Nie, na razie mogę. Dopóki jestem rzecznikiem w opozycji. Tylko szef naganiaczy dostaje pensję i nie wolno mu pełnić żadnych innych funkcji. Ale jeżeli wygramy wybory i wejdę w skład rządu, będę musiał natychmiast odejść.

- Więc mogę liczyć na ciebie jeszcze przez trzy lata?
- Chyba że premier odejdzie wcześniej albo przegramy wybory.
- O to drugie się nie martwię - rzekł Ronnie. - Od początku wiedziałem, że jesteś człowiekiem z przyszłością. Myślę, że i ty nie będziesz żałował udziału w moim zarządzie.

Mijały miesiące. Charles nie spodziewał się, że praca w biurze naganiaczy da mu tyle satysfakcji, chociaż złościło go, że Kerślake przejął po nim stanowisko, ale wiedziała o tym tylko Fiona. Ład, dyscyplina i koleżeńska atmosfera przypomniały mu służbę w Gwardii Grenadierów. Obowiązki miał rozmaite. Kontrolował obecność posłów na posiedzeniach komisji albo siedział w Izbie Gmin, notując co ciekawsze spostrzeżenia w poselskich wystąpieniach. We własnych szeregach musiał tropić buntownicze nastroje i manifestowanie stanowisk odmiennych od oficjalnego. Musiał także trzymać rękę na pulsie zdarzeń po drugiej stronie Izby. Oprócz tego miał pieczę nad pięćdziesięcioma posłami z środkowej Anglii i pilnował, żeby nie opuścili żadnego głosowania, a jeżeli poseł musiał koniecznie wyjść, to jedynie wraz z kolegą z naprzeciwka i za wiedzą biura naganiaczy.

Charles zdawał się być stworzony do tej roli, zwłaszcza że od naganiaczy nie wymaga się zabierania głosu w Izbie. Fiona przypominała mu raz jeszcze, że Ted Heath, zanim został kanclerzem skarbu w gabinecie cieni, pracował jakiś czas w biurze naganiaczy. Cieszyła się zaangażowaniem męża w życie parlamentarne, choć

wieczorami dokuczała jej samotność. Zwykle zasypiała przed jego powrotem do domu.

Simonowi również przypadło do gustu nowe zadanie. Jako mniej doświadczonemu w Ministerstwie Gospodarki Mieszkaniowej i Samorządów Lokalnych przydzielono mu dział transportu. Przez rok czytał książki i broszury, spotykał się z przewodniczącym związków zawodowych transportowców i nieraz przesiadywał do późna, zdobywając wiedzę o swojej nowej dziedzinie. Simon należał do wyjątków i już po kilku tygodniach zasiadania w pierwszej ławie w niczym nie ustępował starym wygom.

Obie partie zaskoczył czternastoprocentowy wzrost popularności konserwatystów w wyborach uzupełniających w Louth pod koniec roku 1969. Zapowiadało się, że Partia Pracy nie zdoła odrobić strat przed wyborami. Ale w marcu 1970 roku zadziwiająco korzystnie dla niej wypadły wybory uzupełniające w Ayrshire South; w prasie zastanawiano się nawet czy premier nie przyśpieszy wyborów powszechnych. Majowe wybory lokalne w Anglii i Walii ujawniły dalszy wzrost wpływów Partii Pracy, wbrew politycznym trendom ostatnich dwóch lat. Wybory powszechne wisały w powietrzu.

Kiedy czerwcowe badania opinii publicznej potwierdziły tę tendencję, Harold Wilson złożył wizytę w pałacu Buckingham i poprosił królową o rozwiązanie parlamentu. Wybory powszechne wyznaczono na 16 czerwca 1970 roku.

Dziennikarze wyrażali przekonanie, że Wilson znów trafił w dziesiątkę i po raz trzeci z rzędu poprowadzi swoją partię do zwycięstwa, co nie udało się dotychczas żadnemu politykowi. Konserwatyści zaś wiedzieli, że wyczyn ten wysadziłby z siodła ich przywódcę, Edwarda Heatha.

Po wystąpieniu królowej życie parlamentarne zamarło. Posłowie rozproszyli się po kraju, żeby zabiegać o przedłużenie mandatu i powrót do Westminsteru.

Andrew i Luise natychmiast wrócili do Edynburga. Ogłoszenie wyborów zaskoczyło tutejszy komitet, a ponieważ czasu na przygotowania było niewiele, liczył się każdy dzień.

Od razu po przyjeździe Andrew zwołał na wieczór robocze posiedzenie komitetu. Przy kawie i kanapkach ustalił trzytygodniowy, wyczerpujący program, w którego ramach miał dotrzeć po kilka razy do wszystkich zakątków okręgu. Na starym stole poprzipinano kartki z nazwami ulic i nazwiskami wyborców, kolorowe kredki czekały na wyniki kampanii: czerwona miała zakreślić pewne głosy na Partię Pracy, niebieska - na konserwatystów, żółta - na liberałów, a czarna - na rosnącą w siłę partię szkockich nacjonalistów.

Dzień kampanii zaczynał się od konferencji prasowej, na której Andrew omawiał sprawy lokalne dotyczące wyborców, odpowiadał na zarzuty stawiane przez kontrkandydatów i komentował wydarzenia krajowe minionego dnia. Potem objeżdżał okręg furgonetką z megafonem, namawiając przechodniów: „Wybierzcie jeszcze raz Fräsera”. Na lunch szedł z Louise do jakiegoś pubu, żeby nabrać sił przed werbowaniem wyborców po domach - zmorą każdej kampanii.

- Spodoba ci się - powiedział, kiedy w poniedziałek rano przeszli do pierwszych drzwi. Listę mieszkańców tej ulicy miał w kieszeni. Nacisnął dzwonek, który cicho zaterkotał. Po chwili drzwi otworzyła kobieta w szlafroku.

- Dzień dobry, pani Foster - zaczął. - Nazywam się Andrew Fräser. Jestem kandydatem z ramienia Partii Pracy.

- Miło mi pana poznać, zechce pan wejść. Tyle rzeczy chciałybym z panem omówić, może przy herbatce?

- Jest pani bardzo uprzejma, pani Foster, ale czeka mnie długi obchód. - Kiedy drzwi się zamknęły, Andrew przekreślił jej nazwisko na kartce na niebiesko.

- Skąd wiesz, że jest konserwatystką? - spytała Louise. - Była taka serdeczna.

- Konserwatyści zapraszają cudzych kandydatów na herbatę, żeby zabrać im trochę czasu. Ci, co trzymają naszą stronę, powiedzą: „Głosuję na pana, niech pan nie traci na mnie czasu”, żebym mógł dotrzeć do obojętnych i niezdecydowanych.

- Zawsze głosuję na Fraserów - oznajmiła sąsiadka pani Foster. - W wyborach do parlamentu na laburzystę, do władz lokalnych na torysa.

- Nie uważa pani, że należałoby usunąć sir Duncana z rady miejskiej? - spytał Andrew z szelmowskim uśmiechem.

- Skądże znowu. Powiedziałam mu to samo, kiedy zaproponowałam, żebym nie głosowała na pana.

Andrew przekreślił nazwisko na czerwono i zapukał do następnych drzwi.

- Nazywam się Andrew Fraser i...

- Wiem, kim jesteś, młody człowieku, i nie chcę mieć z tobą nic wspólnego, a szczerze mówiąc z twoim ojcem także.

- Wolno spytać, na kogo będzie pan głosował?

- Na szkockich nacjonalistów.

- Dlaczego? - spytała Louise.

- Bo ci cholerni Anglosasi nie mają prawa do naszej ropy.

- Nie uważa pan, że korzystniejsze jest zachowanie Zjednoczonego Królestwa w całości? - zaproponował Andrew. - Dzięki temu...

- O nie. Akt 1707 roku to hańba dla naszego narodu.

- Ale... - zaczęła Louise z zapalem. Andrew położył jej rękę na ramieniu. - Dziękujemy, że poświęcił nam pan chwilę czasu. - Odciągnął żonę od drzwi.

- Przepraszam, Louise - powiedział, kiedy znaleźli się na chodniku. - Kiedy ktoś wspomina Akt Zjednoczenia z 1707 roku, nie mamy szans. Niektórzy Szkoci mają zadziwiająco długą pamięć.

Zapukał do następnych drzwi. Otworzył je grubas ze smyczą w ręku.

- Nazywam się Andrew Fraser i...

- Zjeżdżaj.

- Do kogo pan mówi? - odcięła się Louise. Drzwi zatrzasnęły im się przed nosem. - Uroczy człowiek.

- Nie przejmuj się, kochanie. Miał na myśli mnie.

- Jak oznaczysz jego nazwisko?

- Postawię znak zapytania. Nie sposób stwierdzić, na kogo głosuje. Pewnie wcale.

Przeszedł dalej.

- Witaj, Andrew - powiedziała starsza pani, zanim zdążył się odezwać. - Nie trać na mnie czasu, zawsze na ciebie głosuję.

- Dziękuję, pani Irvine - odparł Andrew zerkając na listę mieszkańców. - A pani sąsiad? - zapytał wskazując poprzednie drzwi.

- A, to stary nerwus. Przypilnuje, żeby poszedł głosować i postawił krzyżyk we właściwej ramce. To leży w jego interesie, bo przestanę mu pilnować greyhonda, o co mnie prosi, kiedy wychodzi z domu.

- Bardzo pani dziękuję, pani Irvine - odparł Andrew ze śmiechem.

- Czerwona kreska - powiedział do Louise, kiedy wrócił na chodnik.

- Może nawet zdobędziesz głos właściciela greyhounda.

Przez trzy godziny obeszli cztery ulice. Andrew zakreślał na czerwono nazwiska popierających go mieszkańców.

- Dlaczego musisz tak dokładnie się upewnić? - spytała Louise.

- Bo w dniu wyborów nie chcemy pukać do drzwi opozycji, a już na pewno nie zamierzamy podwozić do urny kogoś, kto życzy sobie głosować na torysa.

Louise się roześmiała.

- W polityce jest tyle nieuczciwości.

- Ciesz się, że nie wyszłaś za amerykańskiego senatora - powiedział Andrew przekreślając na czerwono nazwisko ostatniego mieszkańca ulicy. - U nas przynajmniej nie trzeba być milionerem, żeby kandydować. Chodź, przekąsimy coś przed zebraniem - dodał biorąc żonę za rękę.

Wracając do kwatery głównej natknęli się na rywała konserwatyście, Hectora McGregora, ale Andrew nie dał się wciągnąć w czasochłonną rozmowę.

Louise nie chodziła już więcej z mężem po domach uznając, że bardziej się przyda w komisji wyborczej.

Na codziennych spotkaniach z wyborcami Andrew wygłosił tę samą mowę trzydzieści dwa razy w ciągu dwudziestu czterech dni, wprowadzając jedynie drobne zmiany dotyczące aktualnych wydarzeń w kraju. Louise była wierną słuchaczką tych przemówień, śmiała się po każdej poincie i zaczynała klaskać po każdym efektownym stwierdzeniu. Jakimś cudem pozostawała świeża i rześka aż do późnego wieczora, kiedy odwoziła męża do domu.

W przeddzień wyborów cała prasa przewidywała wyraźną przewagę Partii Pracy, ale Andrew mijając na ulicy ojca, który werbował wyborców dla McGregora, dojrzał w jego oku groźne błyski.

Nazajutrz o wpół do szóstej Louise obudziła Andrew, przynosząc mu filiżankę herbaty - pierwszą i jedyną tego dnia. Po kąpieli odsunął zasłony i z ulgą powitał promienie słońca - zła pogoda z reguły sprzyjała torysom, którym nigdy nie brakowało samochodów, żeby wyborców podwozić do urn. W sypialni żona przypinała

mu do klapy marynarki wielką czerwoną rozetę z wezwaniem: „Wybierzcie jeszcze raz Frasera”.

Przechadzając się ulicami Edynburga, rozdawał uściski dłoni, gawędził z sympatykami, do ostatniej chwili starał się przekonać niezdecydowanych. W pewnym momencie dostrzegł ojca zmierzającego w jego stronę. Stanęli naprzeciw siebie na środku ulicy.

- W tym wyścigu każdy może zwyciężyć - oznajmił sir Duncan.

- Więc jeśli przegram jednym głosem, będę wiedział, kto się o to postarał - odparł Andrew.

Sir Duncan rozejrzał się podejrzliwie i konspiracyjnym szeptem dodał:

- Jeżeli wygrasz jednym głosem, chłopcze, będzie to moja zasługa. - Pomaszerował dalej, namawiając obywateli Edynburga, by pozbyli się odszczepieńca Frasera.

Po raz drugi ojciec i syn spotkali się wieczorem przy liczeniu głosów. Karty do głosowania piętrzyły się coraz wyżej, nie pozostawiając wątpliwości, że Andrew odnowi mandat. Rozczarowany Hector McGregor potrząsnął głową.

Kiedy ogłoszono pierwsze wyniki, w Guildford, gdzie o cztery procent wzrosły notowania torysów, przewidywane zwycięstwo laburzystów stanęło pod znakiem zapytania. W ratuszach w całym kraju ogłaszano nazwiska wybranych posłów i zapowiadało się, że torysi zdobędą większość pozwalającą objąć rządu.

- Coś mi się zdaje, że odbędziesz małą praktykę w opozycji - rzekł sir Duncan do syna, kiedy wyniki z różnych stron kraju potwierdziły zmianę nastrojów elektoratu.

- Najważniejsze, że małą, czyli krótką - odparł Andrew.

Andrew utrzymał mandat i przy zaledwie jednoprocentowym spadku popularności zachował bezpieczną przewagę 4 009 głosów. Szkoci nie mieli tak wyrobionego zdania o Heathie jak reszta kraju, gdzie odnotowano spadek popularności laburzystów przeciętnie o 4,7 procenta.

Simon Kerslake po raz pierwszy zdobył czterocyfrową przewagę, 2 118 głosów, zwyciężając w Coventry Central.

Kiedy stary hrabia spytał Fionę, o ile głosów Charles wyprzedził

najbliższego kandydata, nie potrafiła podać dokładnej liczby. Słyszała tylko, jak Charles mówił jakiemuś dziennikarzowi, że ma ich więcej niż wszyscy pozostali kandydaci razem wzięci.

Raymond Gould odczuł zaledwie dwuprocentowy spadek popularyzacji i odnowił mandat z przewagą 10 416 głosów. Mieszkańcy Leeds cenią u posła niezależność i wierność zasadom.

Konserwatyści wzięli szturmem parlament z przewagą trzydziestu mandatów. Jej Królewska Mość wezwała Edwarda Heatha. Poproszony o utworzenie rządu, ucałował rękę królowej i podjął się zaszczytnej misji.

Rozdział jedenasty

Nazajurz po wyborach Simon obudził się wesoły, choć jeszcze nie wypoczęty. Leżąc w łóżku wyobrażał sobie, jak czują się ministrowie laburzyści, którzy nie dalej jak wczoraj szykowali się do powrotu na swoje stanowiska.

Elizabeth poruszyła się, westchnęła sennie. Simon popatrzył na nią. Po siedmiu latach małżeństwa wciąż była pociągająca, samo patrzenie na nią, kiedy spała, sprawiło mu przyjemność. Długie jasne włosy spływały na ramiona, pod jedwabną koszulą rysowały się szczupłe, jędrne krągłości. Zaczął ją głaskać po plecach patrząc, jak powoli się budzi. Gdy odwróciła się do niego, wziął ją w ramiona.

- Podziwiam twoją energię - powiedziała. - Jeżeli po trzech tygodniach rozjazdów masz jeszcze siły, to wstyd by mi było skarżyć się na ból głowy.

Uśmiechnął się, uradowany chwilą intymności, jaką udało się zdobyć między przedwyborczym szaleństwem a oczekiwaniem nominacji. Żaden wyborca nie mógł mu teraz przeszkodzić.

- Mamo, jestem głodny - rozległ się cienki głosik.

Simon obejrzał się - w drzwiach stał Peter w piżamie.

Kiedy jechali samochodem do Londynu, Elizabeth spytała:

- Jakiej propozycji się spodziewasz?

- Niczego nie śmiem oczekiwać - odparł Simon. - Ale marzy mi

się stanowisko podsekretarza stanu do spraw gospodarki mieszkaniowej i samorządów lokalnych.

- Ale nie jesteś pewien, czy otrzymasz tę propozycję?

- Nie. Nigdy nie wiadomo, jakie względy i czyje naciski wpłyną na decyzje nowego premiera.

- Na przykład?

- Lewe i prawe skrzydło partii, północ i południe kraju, niezliczone długi do spłacenia tym, którzy podkreślają swój udział w dojściu premiera do władzy. - Simon ziewnął.

- Chcesz przez to powiedzieć, że mógłby cię pominąć?

- O tak. Ale byłbym wściekły i koniecznie chciałbym się dowiedzieć, dlaczego dostał to stanowisko ktoś inny.

- Czy mógłbyś jakoś to zmienić?

- Nie. Nikt nic nie może zrobić i posłowie dobrze o tym wiedzą. Przy rozdziale stanowisk premier ma władzę absolutną.

- To nie będzie miało znaczenia, jeżeli będziesz jechał środkiem szosy. Może jednak oddasz mi kierownicę.

W piątek Louise pozwoliła Andrew dłużej pospać. Wiedziała, że spodziewał się powrotu na wyższe stanowisko w ministerstwie i wyniki wyborów odczuł jako klęskę.

Dochodziła jedenasta, kiedy wreszcie się obudził. Usiadł do śniadania w szlafroku, nie ogolony i milczący. Popukał w jajko na twardo - skorupka nie chciała pęknąć. Obok leżał nietknięty „Times”.

- Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś - powiedział, kiedy podziiała druga filiżanka kawy. Louise uśmiechnęła się.

Godzinę później, w sportowej marynarce i szarych flanelowych spodniach, ruszył w objazd okręgu furgonetką z głośnikiem. Dziękował zwolennikom za udzielone poparcie, a towarzysząca mu Louise podpowiadała nazwiska, które wyleciały mu z pamięci.

Ostatni uścisk dłoni i mogli wyjechać na weekend do Stirling. Sir Duncan powitał ich drwiącym uśmiechem, którego mimo wysiłków nie udało mu się ukryć.

Wyniki wyborów zdumiały Raymonda. Nie mógł uwierzyć, że sondaże opinii mogły tak dalece wprowadzić w błąd. Po zwycięstwie Partii Pracy liczył na stanowisko rządowe i koniec dłużej się niemilosiernie „odsiadki” na tylnej ławie. Ale nie zwierzył się Joyce ze swoich przedwyborczych kalkulacji.

- Trudno - powiedział do żony. - Nie pozostaje mi nic innego, jak wrócić do praktyki adwokackiej. Mogą upłynąć lata, zanim znów obejmie rząd.

- Ale to chyba nie wystarczy? Będziesz miał za mało zajęć.

- Muszę realistycznie patrzeć w przyszłość - rzekł powoli. - Tylko nie myśl, że pozwolę Heathowi wciągnąć nas do Europy. Już ja mu pokażę.

- Może zaproszą cię do gabinetu cieni?

- Nie. W opozycji jest o wiele mniej stanowisk do obsadzenia, a do pulpitu mówcy posyła się oratorów takich jak Fraser. Reszta siedzi i wydaje stosowne pomruki, wyczekując na wybory.

Raymond nie bardzo wiedział, jak poruszyć temat, który naprawdę leżał mu na sercu. Rzucił od niechcenia:

- Czy nie pora pomyśleć o domu w okręgu wyborczym?

- To chyba niepotrzebny wydatek. Czy twoi rodzice nie obrażili się? Ich dom jest dostatecznie wygodny.

- Na pierwszym miejscu stawiam obowiązek wobec wyborców, mógłbym im udowodnić, że na dłużej angażuję się w ich sprawy. Moi rodzice na pewno to zrozumieją.

- Nie stać nas na utrzymywanie dwóch domów - wtrąciła niepewnie Joyce.

- Wiem o tym, ale przecież zawsze chciałaś mieszkać w Leeds, poza tym nie musiałabyś co tydzień dojeżdżać z Londynu. Kiedy skończę z obowiązkowymi podziękowaniami, może zostałabyś i poszukała jakiegoś domu do kupienia?

- Dobrze, jeżeli naprawdę tego chcesz. Zacznę od poniedziałku.

Charles i Fiona pojechali na weekend do swojego wiejskiego domu w Sussex. Charles wziął się za pracę w ogródku, ale szło mu niesporo, bo strzygł uszami oczekując telefonu. Fiona zrozumiała stan jego ducha, kiedy przez oszklone drzwi zobaczyła, że jako chwast wyrывa jej najokazalszą ostróżkę.

Po pewnym czasie Charles postanowił odroczyć wyrok pozostałym chwastom, wszedł do domu i włączył telewizor. Na ekranie Maudling, Macleod, Thatcher i Carrington wchodzili zamyśleni do siedziby premiera przy Downing Street. Wyszli uśmiechnięci. A więc najważniejsze stanowiska zostały obsadzone - formował się gabinet. Nowy premier też wyszedł, pomachał tłumowi i odjechał służbową limuzyną.

Czy będzie pamiętał, kto zorganizował dla niego głosy młodych, nim stanął na czele partii? - myślał Charles.

- Kiedy chcesz wrócić na Eton Square? - zawołała Fiona z kuchni.

- To zależy - odparł Charles.

- Od czego?

- Od tego, czy zadzwoni telefon.

Simon siedział i gapił się w telewizor. Tyle godzin przepracowanych na rzecz gospodarki mieszkaniowej i samorządów lokalnych, a premier dał tękę ministrowi komuś innemu. Telewizor grał cały dzień, ale Simon dowiedział się jedynie, że poza ministrem, którego nazwiska nie podano, obsada stanowisk w resorcie pozostała bez zmian.

- I czym tu się przejmować? - powiedział na głos. - To wszystko farsa.

- Co mówiłeś, kochanie? - zapytała Elizabeth wchodząc do pokoju.

Zadzwonił telefon. Odezwał się świeżo mianowany minister spraw wewnętrznych, Reginald Maudling.

- Simon?

- Reggie, serdecznie gratuluję nominacji, nie była dla nikogo zaskoczeniem.

- Dzwonię właśnie w związku z nominacją. Czy chciałbyś pracować ze mną jako podsekretarz?

- Czy chciałbym? Byłbym zaszczycony.

- Bogu dzięki - rzekł Maudling. - Miałem całą przeprawę z Tedem Heathem, zanim dał się przekonać, że warto cię odciągnąć od spraw samorządów lokalnych.

Kiedy po krótkim wypoczynku Andrew i Louise wrócili na Cheyne Walk, w saloniku czekał czerwony kuferek ze złotym napisem „Podsekretarz stanu do spraw Szkocji”.

- Pewnie dziś po niego przyjdą - powiedział Andrew.

Przekreślił kluczyk. Kuferek był pusty, jeżeli nie liczyć niewielkiej koperty zaadresowanej: „W Pan Andrew Fraser, poseł do parlamentu”. Rozdarł ją. Krótki list został napisany przez stałego sekretarza, wysokiego rangą urzędnika w Ministerstwie do Spraw Szkocji.

„Zgodnie z wieloletnią tradycją, każdy minister dostaje w prezencie kuferek, który ostatnio służył mi w pracy. Au revoir. Z pewnością jeszcze się spotkamy”.

- Może się przyda do pakowania lunchu - rzekła Louise stojąc przy drzwiach.

- Albo jako nesesor.

- Albo małe łódeczko - dorzuciła Louise jak gdyby nigdy nic.

Andrew spojrział na rozpromienioną twarz żony.

- Wczoraj powiedziałam twoim rodzicom, a tobie miałam po wiedzieć dziś przy kolacji.

Andrew chwycił ją w ramiona.

- Wybraliśmy już dla niej imię - dodała.

Po powrocie do pracy w kancelarii adwokackiej Raymond nie krył, że tęskni za nawałem zajęć. Poszedł na lunch z szefem kancelarii, sir Nigelem Hartwellem i wyjaśnił, że nie spodziewa się rychłego objęcia rządów przez Partię Pracy.

- Wiek jest twoim atutem, Raymondzie. Po upływie pełnej kadencji parlamentarnej ledwie dobijesz czterdziestki, możesz zatem mieć nadzieję na wiele lat pracy w gabinecie.

- Bo ja wiem - odparł Raymond z dziwnym wahaniem w głosie.

- O sprawy sądowe możesz się nie martwić. Telefon się urywa, odkąd wiadomo, że wracasz do pracy w pełnym wymiarze.

Raymond odetchnął.

Joyce zadzwoniła z wiadomością, że nie znalazła nic odpowiedniego, ale agent zapewnił ją, że handel nieruchomościami ożywi się jesienią.

- Szukaj dalej - poradził.

- Nie martw się, tak właśnie zrobię - odpowiedziała, jakby poszukiwania sprawiały jej przyjemność. - Jeżeli coś znajdziemy, to może pomyślimy o założeniu rodziny - dodała niepewnie.

- Może - odparł sucho.

Charles doczekał się telefonu z Downing Street w poniedziałek wieczorem, tyle że nie z Numeru Dziesiątego, a Dwunastego - z siedziby szefa naganiaczy. Szef naganiaczy piastuje stanowisko formalnie nie uznane za urząd. Pobiera pensję jako parlamentarny sekretarz w Ministerstwie Finansów i mieszka pod Numerem Dwunastym przy Downing Street. Premier i kanclerz skarbu, czyli pierwszy i drugi lord skarbu, zajmują Numer Dziesiąty i Jedenasty.

Przez telefon szef naganiaczy wyraził nadzieję, że Charles podejmie się dalszej służby jako jeden z jego pomocników.

Słyszając rozczarowany głos Charlesa dodał:

- Tylko na jakiś czas.

- Na jakiś czas - powtórzył Charles i odłożył słuchawkę.

- Przynajmniej jesteś członkiem rządu. Nie zostawili cię na lodzie - pocieszyła go Fiona.

- To prawda.

- Przez te pięć lat zmieni się niejedno, ludzie przychodzą i odchodzą.

Charles przytaknął, ale to nie złagodziło rozczarowania. Kiedy jednak wrócił do Izby Gmin w roli członka rządu, przekonał się, że nie doceniał czekającej go satysfakcji. Teraz jego partia podejmowała decyzje.

Wczesnym lipcowym rankiem królowa wyruszyła kareta do Izby Lordów. Towarzyszyła jej królewska gwardia konna, strzegąca także mniej okazałych karek, którymi podróżowała korona imperium i inne regalia. Charles przypomniał sobie, jak będąc chłopcem oglądał uroczysty przejazd ulicami. Teraz brał udział w uroczystościach. Królowa podjechała do gmachu Wyższej Izby i w towarzystwie lorda kanclerza wkroczyła wejściem dla monarchy do gotowalni, gdzie czekały na nią damy dworu.

Dla członków obu Izb otwarcie parlamentu było podniosłą chwilą - tak przynajmniej uważał Charles. Czujnym okiem naganiacza obserwował, jak posłowie zajmują miejsca w Izbie Gmin i oczekują przybycia mistrza ceremonii zwanego Czarną Laską. Kiedy królowa zasiadła na tronie w Izbie Lordów, lord wielki szambelan polecił mistrzowi ceremonii zawiadomić Izbę Gmin, że: „Jej Królewska Mość życzy sobie, by panowie posłowie stawili się niezwłocznie przed jej oblicze”. Mistrz ceremonii, w czarnym surducie, kamizelce i spodniach za kolana, wyglądał bardziej na posłańca diabła niż królowej. Krocząc samotnie po kamiennej posadzce zbliżył się do drzwi Izby Gmin. Kiedy dzieliły go od nich dwa kroki, wrota zatrzasnęły się głucho.

Zastukał trzy razy srebrną gałką czarnej laski. W drzwiach uchyliło się okienko - jak w jakiejś podejrzananej speluncie, zauważył kiedyś ojciec Charlesa. Po tych oględzinach mistrz ceremonii został wpuszczony do Niższej Izby. Podeszedł do stołu marszałka, trzykrotnie się uklonił i rzekł:

- Panie marszałku, Jej Królewska Mość wzywa szanownych panów posłów, by niezwłocznie stawili się przed jej oblicze w Izbie Parów.

Po tych słowach buławny Izby Gmin poprowadził marszałka, ubranego w czarną adamaszkową togę haftowaną złotem, do Izby Lordów. Za nimi szli sekretarz Izby i kapelan marszałka, potem premier z przywódcą opozycji, ministrowie rządu i gabinetu cieni, a na końcu szeregowi posłowie, tylu, ilu mogło się pomieścić w Izbie Lordów.

Lordowie czekali w swojej Izbie, wszyscy w czerwonych pelerynach z gronostajowymi kołnierkami, niczym dobroduszne wampiry. Połyskiwały diamentowe tiary utytułowanych dam w długich sukniach. Królowa zasiadła na tronie w monarszej gali, w koronie imperium, wykonanej niegdyś dla Jerzego IV. Czekala, aż sala się wypełni i zapadnie cisza.

Lord kanclerz wystąpił naprzód, przykląkł i podał królowej dokument - przygotowane przez rząd przemówienie. Królowa zapoznała się z jego treścią z samego rana, kiedy dostarczono jej kopię maszynopisu, ale nie wniosła żadnych poprawek, gdyż jej rola w tym wypadku sprowadzała się do udziału w ceremonii. Ogarnąwszy spojrzeniem poddanych, zaczęła czytać.

Charles stał w ścisku pod ścianą, ale wysoki wzrost pozwalał mu bez przeszkód śledzić przebieg uroczystości. Ichmościowie lordowie słuchali mowy tronowej na siedząco, przy czym lordowie prawnicy zajmowali honorowe miejsca na środku Izby, co było przywilejem nadanym im mocą ustawy z 1439 roku. Lord kanclerz, pełniący w Izbie Wyższej tę samą funkcję co marszałek w Izbie Niższej, stał przy worku z wełną upamiętniającą czasy, gdy był to sztandarowy angielski wyrób.

Charles dojrzał ojca, hrabiego Bridgwater, który słuchając mowy tronowej zapadł w drzemkę. Królowa złożyła obietnicę, że Wielka Brytania dołoży starań, by zostać pełnoprawnym członkiem EWG. Oznajmiła także: „Mój rząd zamierza ponadto przeprowadzić ustawę o reformie związków zawodowych”. Charles, podobnie jak inni parlamentarzyści z Izby Gmin, liczył w myślach, ile projektów ustaw zostanie zgłoszonych w ciągu najbliższych miesięcy, i w rezultacie doszedł do wniosku, że naganiacze będą mieli pełne ręce roboty.

Kiedy królowa skończyła przemawiać, Charles zerknął na ojca, pogrążonego w głębokim śnie. Dręczyła go myśl, że pewnego dnia zobaczy brata Ruperta w gronostajach. Jedyłą pociechą byłby rodzony syn, w przyszłości dziedzic tytułu, gdyż wszystko wskazywało na to, że Rupert nigdy się nie ożeni.

Nie można było powiedzieć, że on i Fiona nie starają się o potomka. Chyba nadeszła pora, myślał Charles, żeby wspomnieć jej o wizycie u specjalisty. Tylko co będzie, jeśli okaże się, że jest bezpłodna?

Po wygłoszeniu mowy Jej Królewska Mość wraz z księciem Filipem i księciem Karolem opuściła Izbę Lordów przy dźwiękach fanfar. Drzwiami w drugim końcu sali z czerwonymi ławami marszałek wyprowadził posłów, którzy szli parami, by znów zasiąść w zielonych ławach Izby Gmin.

Lider opozycji, utworzywszy gabinet cieni, zaproponował Andrew stanowisko wiceministra spraw wewnętrznych. Andrew przyjął brzemię nowych obowiązków z radością tym większą, że jego odpowiednikiem w rządzie miał być Simon Kerslake.

Louise w krótkim czasie bardzo się zaokrągliła, ale Andrew odsuwał od siebie myśl o jej ciąży nękany lękiem, że mogłaby po

raz trzeci tyle wycierpieć. Zadzwoił do Elizabeth Kerslake i umówił się na rozmowę w cztery oczy.

- Na to pytanie trudno odpowiedzieć bez zastrzeżeń - powie działa, kiedy spotkali się nazajutrz w jej pokoju przy kawie.

• - Ale co by pani poradziła, gdyby Louise po raz trzeci straciła dziecko?

Elizabeth długo się zastanawiała.

- Gdyby tak się stało, byłabym przeciwna ponownemu narażeniu jej na podobne przeżycia - odparła zdecydowanie. - Mogłyby zaciążyć na jej psychice do końca życia.

Andrew siedział zapatrzonej w przestrzeń.

- Dość tych ponurych rozważań - dodała Elizabeth. - Louise była tydzień temu na wizycie kontrolnej i wszystko wskazuje na to, że poród odbędzie się normalnie.

W ciągu pierwszych tygodni nowych rządów Simon i Andrew stoczyli kilka słownych pojedynków, po których przyłgnął do nich wspólny epitet „mangusta i grzechotnik”. Ilekroć nazwisko Kerslake albo Fraser pojawiało się na tablicach w kularach, posłowie ścigali do Izby. Andrew był częstym gościem w biurze interpelacji Izby Gmin, niewielkim pomieszczeniu w korytarzu za fotelem marszałka, gdzie posłowie zgłaszali interpelacje, zapisując je zwykle na specjalnym żółtym papierze, choć doświadczeni sekretarze przyjełyby pytanie nawet na znaczku pocztowym.

Sekretarze nieraz pomagali Andrew sformułować pytanie tak, by zostało przyjęte przez marszałka. Nikomu zresztą nie odmawiali takiej pomocy - nawet Tomowi Carsonowi, któremu zdarzyło się oskarżyć ich o polityczną dyskryminację, kiedy uznali jedno z jego pytań za nieformalne. Odesłali go wtedy do marszałka, który zmył mu głowę, pytanie zaś wyrzucił do pseudogotyckiego kosza na śmieci.

Simon i Andrew, ilekroć znaleźli się na tyłach fotela marszałka, przyjaźnie rozprawiali o tym, o co wcześniej zawzięcie kruszyli kopie. Nieraz korzystali ze sposobności, by ukryć się w tym zakątku pod galerią dla prasy, gdy jednak stawali naprzeciw siebie przy stole marszałka, ruszali do ataku, starając się ujawnić słabe punkty w przygotowanych argumentacjach.

W jednej sprawie zgadzali się całkowicie. Od sierpnia 1969 roku, kiedy wysłano pierwsze oddziały do Irlandii Północnej, problem irlandzki wciąż powracał na forum parlamentu. W październiku 1970 roku Izba Gmin przez cały dzień wysłuchiwała opinii posłów, szukając rozwiązania nasilającego się konfliktu między protestanckimi ekstremistami a Irlandzką Armią Republikańską. Zgłoszono wniosek o przywrócenie stanu wyjątkowego prowincji. Siedzący w pierwszej ławie Andrew wstał, żeby w imieniu opozycji wygłosić wstępne przemówienie. Nie opowiadając się po żadnej ze zważnionych stron, wyraził przekonanie, że posłowie jednogłośnie potępiają przemoc. Stwierdził, że niestety, choć usilnie starał się znaleźć jakieś rozwiązanie, żadna z frakcji nie zgadzała się na najdrobniejsze ustępstwo. Dodał, że drukując w Ulsterze słownik, można by z powodzeniem pominąć takie określenia jak „dobra wola” czy „zaufanie”. Na koniec przytoczył trafne, jego zdaniem, stwierdzenie Gladstone'a: „Ilekoć znajdę rozwiązanie kwestii irlandzkiej, Irlandczycy je kwestionują”.

Po tej konkluzji Andrew, ku zdziwieniu posłów, opuścił Izbę. Wrócił po kilku minutach.

W imieniu rządu przemówienie podsumowujące miał wygłosić Simon. Przygotował się bardzo starannie. Obie strony Izby zgadzały się wprowadzić w kwestii zasadniczej, ale atmosfera na sali mogła zmienić się w każdej chwili, gdyby rządowy minister pozwolił sobie wygłosić jakąś nieprzemyślaną uwagę.

Andrew Fraser budził powszechne zdziwienie raz po raz wychodząc z Izby w trakcie debaty. Simon wyszedł dwukrotnie między trzecią trzydziestą a podziałem Izby o dziesiątej: raz wezwany do telefonu od żony, drugi raz o wpół do ósmej, żeby szybko coś przegryźć.

Po powrocie Simona Andrew był nadal nieobecny i nie wrócił nawet na podsumowanie, które zaczął wygłaszać opozycyjny minister spraw wewnętrznych. Kiedy Andrew wreszcie zajął miejsce w pierwszej ławie, przemawiał już Simon.

Na widok wchodzącego Andrew jeden z posłów konserwatywnych wstał.

- W kwestii formalnej, panie marszałku.

Simon natychmiast usiadł i obrócił się, żeby wysłuchać starszego kolegi.

- Czyż nie leży w zwyczaju tej Izby, panie marszałku - z namasz-

czniem powiedział parlamentarzysta - by rzecznik rządu łaskawie pozostał na swoim miejscu w czasie debaty, w celu poznania poglądów odbiegających od jego własnych?

- To nie jest kwestia formalna - odparł marszałek przekrzykując głosy aprobaty z ław konserwatystów.

Andrew szybko napisał coś na kartce i podał Simonowi.

- Zgadzam się z tym, co powiedział mój wielce szanowny kolega - zaczął Simon - i sam dałbym wyraz niezadowoleniu, gdyby nie fakt, że szanowny deputowany z Edinburgh Carlton przebywał dziś po południu w szpitalu. - Umilkł dla większego efektu. - Przy rodzącej żonie. Z reguły nie jestem skłonny wierzyć bez zastrzeżeń w prawdziwość tego, co twierdzi opozycja, tym razem jednak mogę potwierdzić powyższą informację, ponieważ to moja żona przyjął wala dziecko. - Rozległy się śmiechy. - Zapewniam szanownego kolegę, że moja żona przez całe popołudnie indoktrynowała nowo rodka, wpajając mu zgodnie z przekonaniem dziadka zasady polityki konserwatywnej, stąd też wynikła konieczność przedłużonej absencji rzecznika. - Simon odczekał, aż śmiech ucichnie. - Dla miłośników statystyki podaje, że urodził się chłopiec. Waży cztery funty i trzy uncje.

Zdarzają się w parlamencie chwile, gdy z obu stron płyną wyrazy sympatii, pomyślał Andrew. Jak na ironię podczas debaty o Irlandii wiele sympatii okazał Anglik Szkotowi.

O dziesiątej marszałek policzył głosy, a ponieważ nikt nie złożył protestu, sprawę rozstrzygnięto bez głosowania imiennego przez podział Izby. Simon spotkał się z Andrew za fotelem marszałka.

- Nieco ponad cztery funty to chyba niedużo. Przydałaby się konsultacja z ministrem zdrowia.

- Owszem - rzekł Andrew. - Maluch siedzi w inkubatorze, ale twoja żona robi, co może, żeby go podtuczyć. Jadę go przypilnować.

- Powodzenia - rzekł Simon.

Andrew spędził przy inkubatorze całą noc, słuchając nieznośnego pokapywania w plastikowej rurce, wprowadzonej przez nosek do żołądka niemowlęcia. Bał się, że jeśli zaśnie, syn umrze, dlatego co chwila podchodził do umywalki i robił sobie zimny okład na oczy, żeby nie zmorzył go sen. W końcu dał za wygraną i zdrzemnął się na stojącej w kącie „leżance dla taty”.

Kiedy ojciec obudził się, Robert Bruce Fraser był pełen życia. Wygnieciony tata wstał, żeby podziwiać wygniecionego potomka, któremu dyżurna pielęgniarka podawała przez rurkę mleko.

Andrew przyglądał się pomarszczonej buzi. Dopatrzył się podobieństwa do siebie w zarysie bródki, a do matki w kształcie noska i kolorze włosów. Uśmiechnął się na myśl, ile czasu Louise wybierała imię dla dziewczynki. A to będzie Robert.

Trzy tygodnie później, osiągnąwszy wagę pięciu funtów dziesięciu uncji, Robert Bruce Fraser pojechał z rodzicami do Cheyne Walk.

Po przeprowadzonych w szpitalu badaniach stało się jasne, że Louise nie będzie już mogła rodzić.

Rozdział dwunasty

Szef naganiaczy rozejrzał się po twarzach współpracowników. Który z nich podejmie się tak niewdzięcznego zadania? - myślał. Zdziwił się mile widząc uniesioną rękę.

- Dziękuję ci, Charles.

Charles uprzedził Fionę, że zgłosi się na ochotnika i weźmie na siebie odpowiedzialność za sprawę, która zdominowała ostatnie wybory - wejście Wielkiej Brytanii do EWG. Wszyscy naganiacze wiedzieli, że cały parlament szykuje się do wyczerpującego maratonu, dlatego zgłoszenie się Charlesa wywołało głośnie westchnienie ulgi. Jeden z naganiaczy szepnął:

- To nie dla kogoś, komu nie klei się małżeństwo.

Przynajmniej o to nie muszę się martwić, pomyślał Charles, niemniej postanowił przyjść do domu z kwiatami.

- Dlaczego wszyscy chcieli się wykręcić od odpowiedzialności za tę ustawę? - spytała Fiona układając w wazonie żonkile.

- Bo wielu naszych nie popiera życiowej ambicji Edwarda Heatha - wprowadzenia Wielkiej Brytanii do Europy, nie różniąc się w tym od wielu posłów opozycji - odparł Charles, przyjmując z rąk żony duży koniak. - W dodatku w tym samym czasie mamy przedstawić projekt ustawy ograniczającej uprawnienia związków zawodowych, co z kolei może powstrzymać niejednego laburzystę przed głosowaniem za wejściem do Europy. Dlatego właśnie pre-

mier chce być na bieżąco informowany o „stanie gry”, chociaż cały rok może upłynąć, zanim ustawa o Europie zostanie przedłożona w Izbie Gmin. Będzie chciał wiedzieć, ilu naszych jest przeciw, a ilu z opozycji wyłamie się z szeregów swojej partii, kiedy dojdzie do decydującego głosowania.

- Może powinnam zostać posłem, częściej byśmy się widywali.

- Zwłaszcza gdybyś należała do niezdecydowanych w kwestii europejskiej.

„Wielka debata” była walcowana w prasie, radiu i telewizji do znudzenia. Posłowie czuli, że mają wpływ na bieg historii. Naganiacze nie mieli pełnej kontroli nad procedurą głosowania i ta niezwykła okoliczność tchnęła w Izbę nowe życie, tym intensywniejsze, im dłużej - tygodniami, miesiącami - trwała debata.

Charles nadal wypełniał powierzone mu zadania, to znaczy pilnował swoich pięćdziesięciu posłów podczas głosowań przy zwykłych rządowych ustawach, ale wobec pierwszorzędnej rangi nadanej sprawie wejścia do Europy z innych obowiązków został zwolniony. Widział przed sobą szansę wymazania z pamięci kolegów katastrofalnego wystąpienia w debacie ekonomicznej.

- Stawiam wszystko na jedną kartę - oznajmił Fionie. - Jeżeli przegramy w głosowaniu, będę skazany na dożywocie w tylnych ławach.

- A jeżeli wygramy?

- Wtedy nikt mnie nie powstrzyma przed zajęciem miejsca z przodu.

Po kilku zaledwie tygodniach Robert Fraser tak wyrobił sobie struny głosowe, jakby zasiadał w pierwszej ławie w Izbie Gmin.

- Może jednak zostanie politykiem - zawyrokowała Louise przyglądając się synkowi.

- Dlaczego nagle tak sądzisz? - spytał Andrew.

- Wciąż na wszystkich krzyczy, jest zajęty samym sobą i zasypia, kiedy ktoś wyrazi własne zdanie.

„Wreszcie znalazłam to, czego szukamy”. Po tych słowach Raymond wsiadł w najbliższy piątek do pociągu i pojechał do Leeds.

Joyce pokazała mu cztery domy. Musiał przyznać, że jeden z nich, w Chapel Allerton, dokładnie spełniał ich oczekiwania. Był też zdecydowanie najdroższy.

- Czy stać nas na taki dom? - spytała zaniepokojona Joyce.
 - Chyba nie, ale po obejrzeniu czterech wybiera się najlepszy i żaden inny nie wchodzi w rachubę.
 - Mogłabym jeszcze poszukać.
 - Nie, znalazłeś to, co trzeba. Teraz będę musiał pomyśleć, jak za niego zapłacić, a pewien pomysł już mi świta.
- Joyce nie odpowiedziała czekając, co powie dalej.
- Moglibyśmy sprzedać dom przy Lansdowne Road.
 - Gdzie byśmy mieszkali?
 - Mógłbym wynająć małe mieszkanie między sądami i parlamentem, a nasz prawdziwy dom urządziłabyś w Leeds.
 - Nie będziesz czuł się samotny w Londynie?
 - Oczywiście, że będę - odparł Raymond z naciskiem udającym przekonanie. - Większość posłów mieszkających na północ od Birmingham rozstaje się z żonami na tydzień. Zresztą zawsze chciałaś osiedlić się w Yorkshire, a to świetna okazja. Jeżeli rozszerzę praktykę adwokacką, może w przyszłości stać nas będzie na drugi dom w Londynie.

Z twarzy Joyce bił niepokój.

- Leeds ma jeszcze jedną dobrą stronę - dodał Raymond. - Mieszkając tu pomożesz mi zachować mandat.

Joyce uśmiechnęła się - zawsze podnosiło ją na duchu choćby jedno słówko świadczące, że Raymond jej potrzebuje.

W poniedziałek rano przed powrotem do Londynu Raymond zgłosił chęć kupna domu w Chapel Allerton. Telefonicznie potar-gował się trochę z właścicielem, aż ustalili cenę. W czwartek Raymond wystawił na sprzedaż dom przy Lansdowne Road, ze zdziwieniem przyjmując informacje pośrednika o kwocie, jakiej należało się spodziewać.

Pozostało mu zatem wyszukanie odpowiedniego mieszkania.

Simon listownie podziękował Ronnie'emu za dokładne informo-wanie go o tym, co dzieje się w Nethercote and Company. Od ośmiu miesięcy, odkąd jako minister zrezygnował z udziału w zarządzie

spółki, Ronnie po każdym posiedzeniu przysyłał mu protokół, żeby w wolnej chwili zaznajomił się z jego treścią. „W wolnej chwili” - dobry żart, śmiał się Simon.

Zaciągnąwszy kredyt bankowy na sumę ponad 72 000 funtów, Simon był przekonany, że zostało mu jeszcze spore pole do manewru. Dysponował pakietem akcji, który powinien przynieść 300 000 funtów zysku wobec zapowiadanej przez Ronnie'ego ceny pięciu funtów za akcję w publicznej sprzedaży. Cieszył się, że Elizabeth nie wie, na jaką sumę się zapożyczył, gdyż przestrzegala go, by nie wydawał ani pensa, zanim pieniądze nie znajdą się w banku.

Od czasu do czasu Simon spotykał się z Ronnie'm na lunchu u Ritza. Któregoś razu Ronnie przedstawił mu plany na przyszłość.

- Teraz, kiedy torysi są u władzy, myślę, że wejdę na rynek akcji za półtora roku. Tegoroczne zyski rosną, a przyszły rok zapowiada się jeszcze lepiej. Zatem siedemdziesiąty trzeci wydaje się najlepszy.

Simon zaniepokoił się, co nie uszło uwagi Ronnie'ego.

- Jeżeli masz jakieś kłopoty, Simon - rzekł od razu - chętnie odkupię od ciebie udziały po cenie rynkowej. Miałbyś jakiś zysk, nieduży, ale zawsze.

- Nie, nie. Wytrzymam jeszcze trochę, skoro tyle się naczekałem.

- Jak sobie życzysz - odparł Ronnie. - A teraz powiedz: jak ci się podoba w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych?

Simon odłożył sztućce.

- W porównaniu z dwoma innymi największymi ministerstwami, w tym ma się najwięcej do czynienia z ludźmi. Trudne ludzkie sprawy to dla nas chleb powszedni, niestety nieraz gorzki. Nie sprawia mi przyjemności zamykanie ludzi w więzieniach, zakazywanie wjazdu imigrantom, deportowanie nieszkodliwych cudzoziemców. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych pilnuje, żeby nikt nie cieszył się nadmiarem swobody.

- A co sądzisz o Irlandii?

- Co tu można sądzić? - Simon wzruszył ramionami.

- Ja bym oddał Irlandii północną część wyspy albo przyznał jej niepodległość, wspierając dla zachęty potężnym zastrzykiem gotówki. Bo jak dotąd wyrzuca się pieniądze w błoto.

- Tu chodzi o ludzi, nie o pieniądze - zaznaczył Simon.

- Miałbym poparcie dziewięćdziesięciu procent elektoratu - rzekł Ronnie zapalając cygaro.

- Każdy wyobraża sobie, że popiera go dziewięćdziesiąt procent elektoratu, dopóki nie stanie do wyborów. Sprawa Irlandii jest zbyt poważna, żeby tak lekko o niej mówić. Powtarzam: chodzi o ludzi, osiem milionów ludzi, którzy mają takie samo prawo do sprawiedliwego traktowania jak ja czy ty. A ja dopilnuję, by tak było, dopóki będę pracował w tym ministerstwie.

Ronnie milczał.

- Przepraszam cię, Ronnie - ciągnął Simon. - Zbyt wielu entuzjastów widzi łatwe rozwiązanie problemu Irlandii. Gdyby było jakieś łatwe rozwiązanie, te kłopoty nie ciągnęłyby się dwieście lat.

- Nie przepraszaj. Jestem taki głupi, że dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego wybrałeś służbę państwową.

- Typowy domorosły faszysta - odparł Simon zaczepnie.

- Może i tak, ale moich poglądów na temat kary śmierci nie uda ci się zmienić. Na ulicach zrobiło się niebezpiecznie, powinniście przywrócić stryżek.

- Dla takich zachłannych przedsiębiorców jak ty, którzy tylko czyhają, aż nawinie się jakaś ofiara?

Roześmieli się obaj.

- Andrew, zjesz lunch?

- Za chwilę.

- To samo mówiłeś pół godziny temu.

- Wiem, ale już mu się prawie udało. Jeszcze kilka minut.

Louise przyglądała się cierpliwie, ale Robert znów klapnął na pupę.

- Spodziewasz się zapewne, że mając dwa lata będzie grał w angielskiej drużynie piłki nożnej?

- Ależ skąd - odparł Andrew niosąc syna do domu. - W szkockiej drużynie rugby.

Andrew poświęcał tyle czasu Robertowi, że było to aż wzruszające. Przyjaciółki Louise nie mogły uwierzyć, że jej mąż regularnie karmi i kąpie małego, a nawet go przewija.

- Nie uważasz, że jest przystojny? - spytał Andrew sadzając synka i przypasując go do krzeselka.

- Tak - odparła Louise ze śmiechem.

- To dlatego, że jest podobny do mnie - rzekł Andrew obejmując żonę.

- W żadnym razie - stanowczo zaprzeczyła Louise.

Trach. Talerz z owsianką wylądował na podłodze, a to, co zostało na łyżce, Robert zaczął rozsmarowywać sobie po głowie.

- Wygląda, jakby wyczołgał się z betoniarki - rzekł Andrew.

Louise patrzyła na syna.

- Chyba masz rację. Czasem rzeczywiście jest do ciebie podobny.

- Co sądzisz o gwałcie? - zapytał Raymond.

- Moim zdaniem nie ma znaczenia - odparła Stephanie Arnold.

- Myślę, że mi tego *nie* darują.

- Dlaczego?

- Żeby mnie zapędzić w kozi róg, zaszargać opinię.

- Ale co im to da? Nie mogą udowodnić braku przyzwolenia.

- Może i tak, ale wykorzystają to jako wstęp do przeprowadzenia oskarżenia.

- Z tego, że ktoś jest winien gwałtu, nie wynika, że jest winien morderstwa.

W drodze do sądu Old Bailey Raymond omawiał pierwszą wspólną sprawę z nową aplikantką w kancelarii. Stephanie Arnolds nie kryła radości, że będzie pracować pod jego kierownictwem. Mieli wystąpić razem w obronie robotnika oskarżonego o gwałt i zamordowanie pasierbicy.

- Na pierwszy rzut oka niestety sprawa jest jasna i oczywista - rzekł Raymond. - Ale zmusimy oskarżenie, żeby dowiodło swoich racji ponad wszelką wątpliwość.

Sprawa w sądzie przeciągnęła się i w drugim tygodniu jej trwania Raymond uwierzył, że łatwowierni sędziowie przysięgli mogą uwolnić ich klienta. Stephanie była przekonana, że tak się stanie.

W przeddzień podsumowania sprawy przez sędziego Raymond zaprosił Stephanie na kolację do parlamentu. Będą się mieli za kim oglądać, pomyślał. Dawno nie widzieli tak atrakcyjnej dziewczyny, w białej bluzce i czarnych pończochach, zwłaszcza pan marszałek.

Zaproszenie sprawiło Stephanie wyraźną przyjemność, choć

sama kolacja okazała się niezbyt ciekawa. Siedząc w jadalni dla gości, podziwiała wchodzących i wychodzących byłych ministrów gabinetu. Wszyscy pozdrawiali Raymonda.

- Jak tam nowe mieszkanie? - zapytała.

- Zdaje egzamin. Z osiedla Barbican jest blisko i do parlamentu, i do sądów.

- Podoba się żonie? - spytała nie patrząc na niego i zapalając papierosa.

- Ostatnio rzadko bywa w Londynie, to miasto niezbyt jej odpowiada. Mieszka teraz w Leeds.

Zapadło niezręczne milczenie, które przerwały głośne dzwonki.

- Pali się? - spytała Stephanie szybko gasząc papierosa.

- Nie - odparł Raymond ze śmiechem. - O dziesiątej jest podział Izby. Muszę iść i głosować. Wrócę za piętnaście minut.

- Mam zamówić kawę?

- Nie, nie warto. Jest paskudna. A może... zechciałyby obejrzeć moje mieszkanie. Wydałabyś werdykt.

- Jeżeli sprawa jest jasna i oczywista, może wystarczy jeden rzut oka?

Uśmiechnęli się do siebie i Raymond dołączył do strumienia posłów płynącego z jadalni do Izby Gmin. Nie zdążył wyjaśnić Stephanie, że ma tylko sześć minut, by dotrzeć do właściwego korytarza. Nie mając pojęcia, czego dotyczy głosowanie, poszedł w ślady posłów pracy tłoczących się w korytarzu dla głosujących przeciw. Dzwonki ucichły, drzwi zaryglowano.

Kiedy pod koniec debaty przychodzi pora głosowania, marszałek formułuje wniosek, ledwie zaś z jego ust padną słowa: „Zdaje się, że wniosek przeszedł”, rozlega się ryk protestu przesądzający o tym, że o dziesiątej odbędzie się głosowanie. Dzwonki dźwięczą w całym Pałacu Westminsterskim, a nawet w kilku pobliskich restauracjach i domach posłów.

Posłowie gromadzą się spieszenie i wchodzą do jednego z dwóch korytarzy do głosowania. Rozlega się okrzyk: „Zaryglować drzwi”. Po zamknięciu drzwi posłowie przechodzą gęsiego obok dwóch sekretarzy siedzących przy wysokim biurku w końcu korytarza. Każdy zostaje zaznaczony na liście nazwisk. Raymond minął sekretarzy i zbliżył się do drzwi wyjściowych uchylonych tak, aby posło-

wie musieli wychodzić pojedynczo. Naganiacz-skrutator odliczał na głos. „Siedemdziesiąt trzy” - zawołał, gdy mijał go Raymond. Podczas głosowania obowiązywał posłów specjalny zakaz noszenia w korytarzach kapeluszy i płaszczy. Jak wyjaśnił Raymondowi jeden z sekretarzy, zakaz pochodził z czasów, gdy leniwi posłowie wyřęczali się woźnicami, którzy zakutani po uszy, z kapeluszami nasuniętymi na oczy dziarskim krokiem przemierzali korytarze z nazwiskiem swojego pana na ustach. Niejeden sługa byłby o niebo lepszym posłem od swojego pracodawcy, myślał nieraz Raymond.

Jeszcze w korytarzu dla głosujących przeciw dowiedział się, że chodzi o artykuł ustawy o związkach zawodowych dotyczący zatrudniania członków związków. Ze stanowiskiem partii na ten akurat temat najzupełniej się zgadzał.

Po powrocie do jadalni dla gości zobaczył, że Stephanie przegląda się w lusterku i szminkuje usta. Patrząc na tę miłą brunetkę o zielonych oczach pomyślał ni stąd, ni zowąd, że on sam jest trochę za gruby jak na swój wiek, nie dobił jeszcze przecież czterdziestki.

- Idziemy? - zapytał po podpisaniu rachunku.

Kiedy weszli do mieszkania, Raymond nastawił płytę Aznavoura i zniknął w kuchni. W ogóle nie zauważył, że kobiety zaczynają w nim widzieć atrakcyjnego mężczyznę. Masywniejsza sylwetka i odrobina siwizny nie wpłynęły niekorzytnie na jego wygląd, przeciwnie, przydały mu władczości.

- Od razu widać, że to kawalerskie mieszkanie - powiedziała Stephanie, obrzucając spojrzeniem wygodny skórzany fotel, stojak na fajki i karykatury Spy'a z przełomu wieków, przedstawiające sędziów i polityków.

- Tak wygląda, bo takie jest - rzekł Raymond stawiając tacę z kawą i dwoma pękatymi kieliszkami koniaku.

- Nie dokucza ci samotność? - spytała.

- Od czasu do czasu - odparł nalewając kawę.

- A w „międzyczasie”.

- Z mlekiem czy bez? - Nie patrzył na nią.

- Bez.

- Z cukrem?

. - Jak na byłego ministra i człowieka, który podobno zostanie najmłodszym adwokatem królewskim w kraju, jesteś dziwnie nieśmiały w damskim towarzystwie.

Raymond poczerwieniał, podniósł głowę i spojrzął jej w oczy. Dobiegły go słowa Aznavoura:... „zaniedbałeś się”...

- Czy szanowny deputowany zechce zatańczyć? - zapytała cicho.

Raymond pamiętał jeszcze zabawę, na której tańczył po raz ostatni. Postanowił, że tym razem wszystko będzie inaczej. Przygarbił Stephanie i zaczęli kołysać się, przytuleni, w takt muzyki Marcela Stellmana. Stephanie nie spostrzegła, że zdjął okulary i schował do kieszeni marynarki. Pochylił się i pocałował ją w szyję. Westchnęła przeciągle, a rozstając się z nim powiedziała:

- Mam nadzieję, że to jest „międzyczas”.

Charles czytał pilnie listę nazwisk trzystu trzydziestu konserwatyistów. Miał pewność co do dwustu siedemnastu, nie był pewien około pięćdziesięciu czterech, a na pięćdziesięciu dziewięciu prawie postawił krzyżyk. Zdobył też informacje o przeciwniku - pięćdziesięciu socjalistów zamierzało wypowiedzieć posłuszeństwo naganiaczowi i zasilić rządowe szeregi w wielkim głosowaniu.

- Najbardziej martwi mnie ustawa o reformie związków zawodowych - oznajmił Charles szefowi naganiaczy. - Lewica stara się przekonać socjalistów, nadal popierających ustawę, że nie ma takiej idei, dla której warto byłoby głosować razem z torysami - prawdziwymi pogromcami związków zawodowych. - Przedstawił też swoje obawy dotyczące wejścia do Europy. Tę sprawę rząd mógłby przegrać, o ile nie wykazałby się gotowością do zmodyfikowania ustawy związkowej. - Alec Pimkin pogarsza sytuację, usiłując zgromadzić wokół siebie niezdecydowanych.

- Nie ma co liczyć, że premier zmieni choćby jedno zdanie w ustawie o reformie związkowej - odparł szef naganiaczy popijając dżin z tonikiem. - Złożył obietnicę na konferencji partyjnej i zamierza jej dotrzymać przed następną konferencją w Blackpool, pod koniec roku. Nie spodoba mu się też to, co powiedziałeś o Pimkinie. Obie sprawy, i Europa, i reforma związkowa, bardzo leżą mu na sercu. - Charles chciał coś wtrącić. - Ja nie narzekam, sprawiłeś się bez zarzutu. Ale popracuj jeszcze nad tymi pięćdziesięcioma czterema niezdecydowanymi. Prośbą i groźbą, pochlebstwem i przekupstwem. Rób co chcesz, byleby weszli do właściwego korytarza w dniu głosowania, łącznie z Pimkinem.

- Seksualne zachęty też wchodzą w grę? - spytał Charles.
- Za dużo oglądasz amerykańskich filmów- powiedział ze śmiechem szef naganiaczy. - A zresztą kogo moglibyśmy zaproponować oprócz panny Norse?

Charles wrócił do siebie i jeszcze raz przejrzał listę. Przy literze „P” zatrzymał palec. Wyszedł na korytarz i rozejrzał się - nic z tego. Sprawdził w Izbie - ani śladu. Minął bibliotekę. Nie warto zaglądać, pomyślał, i skierował się do palarni, gdzie wreszcie znalazł delikwenta szykującego się do zamówienia kolejnego dżinu.

- Alec - zawołał serdecznie Charles. Kragła postać obróciła się w jego stronę. Zaczęło od przekupstwa, postanowił Charles.
- Pozwól, że ci postawię.
- Kolega jest bardzo łaskaw - rzekł Pimkin nerwowo poprawiając muszkę.
- Powiedz mi, Alec, dlaczego właściwie chcesz głosować przeciw ustawie europejskiej?

Simon z przerażeniem przeczytał wstępną część dokumentu. Jego przypuszczalne następstwa były aż nadto oczywiste.

Raport nowej komisji granicznej podrzucano mu do czerwonego kuferka, żeby zapoznał się z nim w czasie weekendu. Na zebraniu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych podjął się szybkiego przeprowadzenia ustawy przez parlament, żeby w najbliższych wyborach można było na jej podstawie ustalić liczbę mandatów poselskich. Sekretarz stanu nie omieszkał go upomnieć - tylko niech sprawa nigdzie nie utknie.

Simon bardzo uważnie przeczytał dokument. Zmiany były uzasadnione i należało się spodziewać, że dzięki przenoszeniu się mieszkańców miast w okolice wiejskie więcej mandatów trafi w ręce konserwatystów. Nic dziwnego, że partii zależało na szybkim przeprowadzeniu ustawy. Ale co począć z decyzją komisji dotyczącą okręgu wyborczego Coventry Central, z którego był deputowanym? Miał związane ręce. Gdyby zaproponował odejście od zaleceń komisji granicznej, oskarżono by go, całkiem słusznie, o nieuczciwość i prywatę.

Z powodu zmniejszenia się liczby ludności miast komisja zleciła,

by w Coventry zamiast czterech okręgów powstały trzy. Zniknąć miał okręg Coventry Central, a zamieszkali w nim wyborcy mieli trafić do okręgów Coventry West, Coventry East i Coventry North. Simon wiedział, że w praktyce oznacza to pozostawienie pewnego mandatu dla zasiadającego w parlamencie kolegi konserwatysty i dwóch pewnych mandatów laburzystowskich. Nigdy wprawdzie nie zapominał, że reprezentuje niepewny okręg, ale teraz zanosilo się, że nie będzie miał w ogóle żadnego. Musiał od nowa rozejrzeć się po kraju i znaleźć okręg, w którym mógłby kandydować w najbliższych wyborach, a jednocześnie zadbać o sprawy dotychczasowych wyborców. Podpis na papierze - własnoręczny podpis - miał sprawić, że jego wyborcy obdarzą zaufaniem kogoś innego. Wyrzucał sobie, że nie został w Ministerstwie Gospodarki Mieszkaniowej i Samorządów Lokalnych; wówczas mógłby bowiem powalczyć o utrzymanie wszystkich czterech okręgów.

Wy tłumaczył Elizabeth, co go gnębi. Wysłuchała go ze zrozumieniem i poradziła, żeby nie martwić się na zapas, tylko porozmawiał z wiceprzewodniczącym partii, wskazującym przyszłym kandydatom zwalniające się okręgi wyborcze.

- To nawet może obrócić się na naszą korzyść - dodała.
- Jak to? - zapytał.
- Może zdobędziesz pewniejszy mandat bliżej Londynu.
- Przy moim pechu trafi mi się niepewny mandat w Newcastle.

Elizabeth przygotowała mu ulubione danie i przez cały wieczór starała się podtrzymać go na duchu. Simon zjadł trzy porcje „pasterskiego pasztetu” i zasnął, ledwie przyłożył głowę do poduszki. Elizabeth długo nie mogła zmrużyć oka.

Wciąż przypominała jej się rozmowa z ordynatorem ginekologii w szpitalu St Mary's. Nie poskarżyła się Simonowi, choć słowa szefa wyraźnie utkwily jej w pamięci:

„Z grafiku dyżurów wynika, że wzięła pani znacznie więcej dni wolnych, niż to pani przysługuje. Musi się pani zdecydować, czy chce pani być lekarzem, czy żoną pośła”.

Gnębiło ją to teraz i nie dawało spać. Myślała, myślała i nic nie wymyśliła. Postanowiła tylko, że o niczym nie wspomni Simonowi, skoro-ma teraz tyle zmartwień na głowie.

- Czy zmiany granic okręgów dotyczą ciebie? - spytała Louise znad „Timesa”.

Andrew zajęty był odbijaniem małej gumowej piłki o głowę Roberta.

- Zaszkożysz mu - przestrzegła Louise.

- Pomyśl, ile strzeli goli. Już niedługo zacznę z nim grać w rugby.

Robert zapłakał, kiedy ojciec przerwał grę.

- Nie, w Edynburgu nic się nie zmieniło, nadal jest siedem mandatów. Ruch ludności jest tak niewielki, że wszystko pozostaje po starym. Na terenie Szkocji konieczne będą zmiany w Glasgow i na Pogórzu.

- Co za ulga - westchnęła Louise. - Dreszcz mnie przechodzi na myśl, że trzeba by szukać innego okręgu.

- Biedny Simon Kerslake. Traci swój okręg bezpowrotnie i musi się z tym potulnie pogodzić.

- Dlaczego?

- Bo jest ministrem pilotującym projekt ustawy. Gdyby próbował jakichś sztuczek, nie dalibyśmy mu żyć.

- Co w takim razie zrobi?

- Musi rozejrzeć się za nowym okręgiem, albo namówić starszego kolegę, żeby zrzekł się mandatu na jego korzyść.

- Ale chyba ministrowie nie mają trudności ze znalezieniem wygodnego okręgu?

- Różnie z tym bywa - rzekł Andrew. - Wyborcy zwykle nie lubią, żeby im kogoś narzucać, sami chcą wybrać swojego reprezentanta. Niektórzy wręcz wolą miejscowego, który nigdy nie będzie ministrem, bo uważają, że poświęci im więcej czasu.

- Andrew, czy mógłbyś wrócić do swoich obowiązków w opozycji?

- O czym ty mówisz?

- Rzuć piłką w tego małego głuptasa, bo inaczej nie przestanie płakać.

- Nie zwracaj na nią uwagi, Robertcie. Zmieni o tobie zdanie, kiedy zdobędziesz pierwszego gola w meczu przeciwko Anglii.

Rozdział trzynasty

Akurat wtedy gdy Raymond dojrzał do zerwania romansu, Stephanie zaczęła zostawiać w jego mieszkaniu ubrania używane w wystąpieniach przed sądem. Po zakończeniu pierwszej wspólnej sprawy ich drogi zawodowe rozeszły się, ale wieczorami, kilka razy w tygodniu, widywali się nadal. Raymond dorobił zapasowy klucz, żeby Stephanie nie musiała bez przerwy sprawdzać, czy dostał wezwanie do obowiązkowego uczestnictwa w sesji.

Z początku po prostu jej unikał, ale wtedy go szukała. Nieraz udawało mu się zatrzeć za sobą ślady, wówczas jednak po powrocie z parlamentu zastawał ją w mieszkaniu. Kiedy zaś zwrócił jej uwagę, że powinna zachować większą dyskrecję, zaczęła grozić, najpierw delikatnie, potem bez ogródek.

W trakcie trwania tego związku Raymond ugruntował dobrą opinię o sobie, przeprowadzając trzy sprawy karne, zakończone pomyślnym wynikiem dla jego klientów. Na jego prośbę nie przydzielano mu już do pomocy Stephanie. Sprawy bytowe jakoś się ułożyły i obecnie Raymond martwił się tylko, jak zerwać krępujące więzy. Niestety wszystko wskazywało, że znacznie trudniej pozbyć się Stephanie Arnold, niż ją poderwać.

Simon stawiał się punktualnie w centralnym biurze partii. Sir Edward Mountjoy, wiceprzewodniczący odpowiedzialny za sprawę kandydatur w wyborach, wysłuchał jego dramatycznej opowieści.

- Cholerny pech - rzekł sir Edward. - Ale może będę mógł pomóc - dodał otwierając leżącą na biurku zieloną teczkę.

Zaczął przeglądać listę nazwisk. Simon poczuł się znowu jak kandydat na studia, który chce się dowiedzieć, czy ktoś przypadkiem nie umarł.

- Wygląda na to, że w najbliższych wyborach będzie kilkanaście pewnych mandatów bez przydziału, albo z powodu przejścia posła na emeryturę, albo zmiany podziałów na okręgi.

- Który z nich mógłby pan szczególnie polecić?

- Ja wybrałbym Littlehampton.

- Gdzie to jest? - spytał Simon.

- To będzie nowy okręg, pewny jak w banku. Leży w Sussex, na

pograniczu Hampshire. - Sir Edward przyjrzał się załączonej mapie. - Przylega do nie zmienionego okręgu wyborczego Charlesa Seymoura. Nie wyobrażam sobie, żeby miał pan tam wielu rywali. Może zwróci się pan do Charlesa? Na pewno zna wszystkich miejscowych notabli.

- Czy nie ma czegoś obiecującego gdzie indziej? - zapytał Simon nie wierząc w gotowość Seymoura do współpracy.

- Zaraz zobaczę. Nie chce pan stawiać wszystkiego na jedną kartę, prawda? O, jest, Redcorn, Northumberland. - Wiceprewodniczący znów przyjrzał się mapie. - Trzysta dwadzieścia mil od Londynu, najbliższe lotnisko oddalone o osiemdziesiąt, a duża stacja kolejowa o czterdzieści mil. To ewentualnie może być ostatnia deska ratunku. Radzę porozmawiać z Charlesem o Littlehampton. Z pewnością zna tamtejsze stosunki od podszewki.

Co zdanie, to wyświechtany zwrot, pomyślał Simon. Całe szczęście, że sir Edward nie będzie nigdy przemawiał przy pulpicie w Izbie Gmin.

- Niewątpliwie ma pan rację, sir Edwardzie - przyznał.

- Już tworzą się komisje selekcji kandydatów - ciągnął sir Edward. - Nie będzie pan musiał długo czekać.

- Jestem panu bardzo wdzięczny za pomoc. Czy mógłby mnie pan zawiadomić, gdyby otworzyła się jakaś nowa możliwość?

- Ależ tak, z przyjemnością. Kłopot w tym, że nawet gdyby któryś z naszych umarł w czasie sesji, nie może pan wyrzec się swojego okręgu, gdyż musiałyby się wówczas odbyć podwójne wybory uzupełniające. Nie chcemy wyborów uzupełniających w Coventry Central - dałyby one asumpt do oskarżenia pana o chodzenie po prośbie do innych okręgów.

- Proszę mi o tym nie przypominać - powiedział Simon.

Charlesowi udało się oderwać ośmiu posłów od grupy pięćdziesięciu dziewięciu przeciwników Wspólnego Rynku. Teraz za to miał do czynienia z najbardziej zatwardziały, którzy nie reagowali ani na kij, ani na marchewkę. Składając kolejny raport szefowi naganiaczy, Charles zapewnił, że socjalistów, którzy zadeklarowali poparcie dla rządu, było więcej niż konserwatystów zamierzających głosować przeciw wejściu do Europy. Szef naganiaczy okazał zado-

wolenie i spytał, czy Charles poczynił jakieś postępy w urabianiu dwunastu uczniów Pimkina.

- Tych szalonych prawników? - zapytał ostro Charles. - Skoczyliby w ogień za Pimkinem. Próbowałem wszystkiego, ale za wszelką cenę chcę głosować przeciw wejściu do Europy.

- Najbardziej mnie drażni, że ten wierzgający Pimkin nie ma nic do stracenia - rzekł szef naganiaczy. - Jego okręg wyborczy zniknie z chwilą rozwiązania parlamentu, a nie wyobrażam sobie, żeby ktoś o tak skrajnych poglądach zyskał gdziekolwiek przychyłność wyborców. Zanim to jednak nastąpi, zdąży narobić sporo szkód. - Umilkł na chwilę. - Gdyby ta jego dwunastka choćby wstrzymała się od głosu, mógłbym zapewnić premiera o spodziewanym zwycięstwie.

- Trzeba znaleźć sposób na Pimkina. Powinien zostać Judaszem i przyprowadzić swoich zwolenników do naszego obozu.

- Jeżeli to osiągniesz, na pewno wygramy.

Charles wrócił do biura naganiaczy i zobaczył przy swoim biurku Simona Kerslake'a.

- Wpadłem po drodze, bo pomyślałem, że a nuż znajdziesz dla mnie chwilę - rzekł Simon.

- Ależ oczywiście - odparł Charles siląc się na serdeczność. - Skorzystaj z krzesła.

Simon usiadł.

- Pewnie słyszałeś, że zgodnie z wnioskami raportu komisji granicznej stracę okręg wyborczy. Edward Mountjoy poradził mi, żebym porozmawiał z tobą o Littlehampton, nowym okręgu sąsiadującym z twoim.

- Istotnie, te dwa okręgi graniczą ze sobą - odpowiedział Charles ukrywając zaskoczenie. Ponieważ jego pozycja pozostawała nienaruszona, nie zastanawiał się nad problemem zmian. Szybko jednak odzyskał równowagę. - Edward słusznie postąpił, przysyłając cię tutaj. Zrobię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

- Littlehampton byłoby idealne. Zwłaszcza że żona pracuje w .addingtonie.

Charles uniósł pytająco brwi.

- Nie znasz Elizabeth. Jest lekarzem w szpitalu St Mary's - wyjaśnił Simon.

- Tak, widzę, że Littlehampton pasowałoby w sam raz. Na począ-

tek mógłbym zamienić parę słów z Alexandrem Dalglishem, przewodniczącym okręgu. Zobaczę, co to da, dobrze?

- Byłbym ogromnie wdzięczny.
- Drobiazg. Zadzwoń do niego do domu dziś wieczorem i do wiem się, jaki etap osiągnęli w selekcji kandydatów. Potem przedstawię ci obraz sytuacji.
- Z góry dziękuję.
- Skoro już jesteś, weź plan sesji na przyszły tydzień - powiedział Charles podając zadrukowaną kartkę. Simon złożył ją i schował do kieszeni. - Zadzwoń, kiedy tylko czegoś się dowiem.

Simon wyszedł podniesiony na duchu, odczuwając pewne wyrzuty sumienia z powodu hodowania uprzedzeń do Charlesa, który właśnie wracał do Izby, żeby „odsiedzieć swoje”.

Całe sześć dni przeznaczili posłowie na debatę nad sprawą wejścia do Europy. Nikt nie pamiętał, żeby na jeden wniosek kiedykolwiek przewidziano więcej czasu.

Charles doszedł do pierwszej ławy i przysiadł na brzegu. Miał śledzić przebieg całej serii wystąpień. Zwykle słuchał uważnie, żeby wyłowić posłów wahających się, ale tym razem zaprzętało mu myśli Littlehampton. Andrew Fraser wstał z miejsca i Charles mógł z satysfakcją potwierdzić jego pewność i zdecydowanie, odnotowane wcześniej w zapiskach, po czym znów popadł w zadumę.

- Oświadczam, że będę głosował za wejściem do EWG - mówił Andrew. - Kiedy moja partia była u władzy, opowiadałem się za Wspólnym Rynkiem, a teraz, będąc w opozycji, nie widzę powodu, dla którego miałbym dokonywać politycznej wolty. Stwierdzenia sformułowane przez dwoma laty nadal są prawdziwe. Nie wszyscy z nas...

Tom Carson poderwał się pytając, czy szanowny kolega dopuści go do głosu. Andrew natychmiast usiadł.

- Czy szanowny kolega będzie popierał francuskich chłopów kosztem hodowców owiec w Nowej Zelandii? - spytał Carson.

Andrew wstał i wyjaśnił, że spodziewa się posunięć chroniących interesy Nowej Zelandii, jednakże wstępne głosowanie w Izbie rozstrzygnąć ma jedynie kwestię przystąpienia do EWG. Opracowaniem szczegółów powinna zająć się komisja. Andrew wyraził też przekonanie, że gdyby szanowny kolega używał niepochlebnych słów mówiąc o Włochach lub Żydach, wywołałby burzę w Izbie.

- Dlaczego zatem „antyrynkowcy” spokojnie słuchają, kiedy francuskich rolników nazywa się chłopami? - powiedział.

- Może kolega sam jest chłopem - krzyknął Carson, zaprzeczając swoją obronę hodowców owiec w Nowej Zelandii.

Andrew puścił tę uwagę mimo uszu i powiedział posłom, że widzi w zjednoczeniu Europy zabezpieczenie przed trzecią wojną światową. Zakończył wystąpienie słowami:

- Wielka Brytania od tysiąca lat zapisuje karty w księdze dziejów, rzec można w księdze dziejów świata. Wzywam, byśmy naszymi głosami zdecydowali o tym, czy nasze dzieci będą tylko czytać tę historię, czy dopisywać dalszy ciąg.

Andrew usiadł nagrodzony z obu stron Izby wrzawą aprobaty.

W czasie tego wystąpienia Charles ułożył w myślach plan działania i wyszedł z sali w chwili, gdy kolega konserwatysta rozpoczął mowę zapowiadającą się na długą, nudną i nie wnoszącą nic nowego.

Zamiast wrócić do biura naganiaczy, które bynajmniej nie było zacisznym azylem, Charles schronił się w budce telefonicznej w pobliżu krużganków nad szatnią poselską. Odszukał i wykręcił właściwy numer. Podniósł słuchawkę.

- Alexander, tu Charles. Charles Seymour.

- Jak to miło, Charlesie, dawno się nie odzywałeś. Co u ciebie?

- Wszystko dobrze. A u ciebie?

- Nie narzekam. Co mogę zrobić dla kogoś tak zapracowanego jak ty?

- Chciałem pogadać z tobą o Littlehampton, nowym okręgu wyborczym w Sussex. Jak wam idzie selekcja kandydatów?

- Mam przygotować listę sześciu osób. Komisja zbierze się w pełnym składzie za dziesięć dni i dokona ostatecznego wyboru.

- Nie zamierzałeś sam kandydować?

- Owszem, nieraz. Ale żona mi nie pozwala, podobnie zresztą jak stan konta w banku. Masz jakiś pomysł?

- Może będę mógł ci pomóc. Czy zechciałbyś przyjechać do mnie na małą kolację na początku przyszłego tygodnia?

- To bardzo miło z twojej strony.

- Drobiazg, z przyjemnością spotkam się z tobą. Stanowczo zbyt długo się nie widzieliśmy. Pasuje ci poniedziałek?

- Jak najbardziej.

- Świetnie. Więc o ósmej, Eton Square dwadzieścia siedem. - Charles odłożył słuchawkę, wrócił do biura naganiaczy i zanotował datę w terminarzu.

Raymond zabrał głos w „debacie europejskiej” i kiedy skończył mówić, do pustawej ławy rządowej wrócił Charles. Raymond przedstawił logiczne argumenty ekonomiczne przeciw wiązaniu się z szóstką krajów europejskich i na rzecz wzmocnienia więzi z krajami Commonwealthu i Ameryką. Wyraził powątpiewanie, czy Wielka Brytania udźwignie obciążenia finansowe związane z wejściem do tak długo istniejącego klubu. Gdyby kraj wstąpił do Wspólnoty w chwili jej założenia, to co innego, dowodził. Uznając obecnie takie posunięcie za ryzykowne, grożące niewiadomymi konsekwencjami, oraz przewidując związany z nim wzrost bezrobocia, zapowiadał, że zmuszony będzie głosować przeciw. Raymond usiadł wzbudzając znacznie mniejszą aprobatę niż Andrew, a na dokładkę okrzyki poparcia rozległy się po stronie lewicy tej partii, która swego czasu tak uparcie krytykowała *Pełne zatrudnienie za wszelką cenę?* Charles postawił krzyżyk przy nazwisku Gould.

Wyfraczony posłaniec parlamentarny, za pośrednictwem siedzących w tym samym rządzie posłów, podał list do Raymonda. Było w nim napisane: „Proszę przy najbliższej sposobności zadzwonić do szefa kancelarii”.

Raymond wyszedł z sali obrad do najbliższego telefonu w kuluarach. Od razu dostał połączenie z sir Nigelem Hartwellem.

- Chciałeś, żebym zadzwonił?
- Tak - odparł sir Nigel. - Jesteś wolny?
- Owszem. Czy to coś pilnego?
- Wolałbym nie mówić przez telefon - rzekł złowieszczo sir Nigel.

Raymond pojechał metrem ze stacji Westminster do Tempie i po piętnastu minutach znalazł się w kancelarii. Poszedł prosto do gabinetu sir Nigela, usiadł w wygodnym fotelu w kącie przestronnego pokoju i założył nogę na nogę. Sir Nigel krążył przed nim z miną człowieka, któremu coś ciąży na sercu.

- Raymondzie, władze naszego stowarzyszenia zwróciły się do mnie z zapytaniem, jak leżałaby na tobie toga adwokata króle-

wskiego. Powiedziałem, że świetnie. - Na twarzy Raymonda zakwitł uśmiech, ale nie na długo. - Przedtem jednak musisz podjąć wobec mnie pewne zobowiązanie.

- Zobowiązanie?

- Tak. Musisz położyć kres temu głupiemu hm... związkowi z osobą będącą członkiem naszej kancelarii.

Sir Nigel obrócił się i spojrzał Raymondowi w oczy. Raymond poczerwieniał, ale nim zdążył otworzyć usta, szef kancelarii ciągnął dalej.

- Chcę, żebyś dał mi słowo, że to się skończy, i to natychmiast.

- Daję słowo honoru - rzekł cicho Raymond.

- Nie będę udawał, że nie znam życia - powiedział sir Nigel obciążając kamizelkę. - Ale jeżeli zamierzasz romansować, to rób to, na miłość boską, jak najdalej od kancelarii, a także, jeśli wolno udzielić ci rady, z dala od parlamentu i Leeds. Świat jest wielki i wszędzie jest pełno kobiet.

Raymond pokiwiał głową, trudno było znaleźć błąd w rozumowaniu szefa kancelarii.

Sir Nigel mówił z widocznym zażenowaniem.

- W poniedziałek w Manchesterze rozpocznie się okropna sprawa o oszustwo. Nasz klient został oskarżony o założenie kilku towarzystw ubezpieczeniowych i uchylanie się od wypłaty odszkodowań. Zapewne pamiętasz szum, jaki wokół tego powstał. Panna Arnold dostała tam przydział jako rezerwowy młodszy adwokat. Rozprawa może się ciągnąć tygodniami.

- Postara się wykręcić - powiedział ponuro Raymond.

- Próbowała, ale dałem jej do zrozumienia, że jeżeli nie podejmie się tej sprawy, będzie musiała poszukać innej kancelarii.

Raymond westchnął z ulgą i podziękował.

- Bardzo mi przykro, stary - rzekł sir Nigel. - Zasłużyłeś na tego adwokata królewskiego, ale nie mogę pozwolić, żeby członkom kancelarii groziło zaszarganie opinii. Dziękuję za zrozumienie z twojej strony, nie było mi przyjemnie o tym wszystkim mówić.

- Możesz zamienić parę słów na osobności? - zapytał Charles.

- Tracisz czas, mój drogi, wyobrażając sobie, że na tym etapie wierni zwolennicy zmieniają zdanie - odparł Alec Pimkin. - Cała

dwunastka będzie głosować przeciw rządowi w kwestii europejskiej. Koniec, kropka.

- Tym razem nie chcę mówić o wejściu do Europy. To o wiele poważniejsza sprawa, osobista. Chodźmy na taras.

Charles zamówił drinki. Wyszli na taras i skierowali się do zacisznego zakątka w pobliżu domu marszałka. Kiedy nikt ich nie mógł usłyszeć, Charles przystanął.

- Jeżeli nie chcesz mówić o Europie, to o czym? - spytał Pimkin patrząc na Tamizę.

- To prawda, że tracisz mandat?

Pimkin pobladł i nerwowo poprawił muchę.

- Wszystko przez te cholerne zmiany granic. Mój okręg został wchłonięty i jakoś nikt nie zaprasza mnie gdzie indziej.

- Co byś mi dał za zorganizowanie bezpiecznego mandatu do końca życia?

Pimkin spojrział podejrzliwie na Charlesa.

- Wszystko prócz „funta ciała” - odparł śmiejąc się fałszywie.

- Tak daleko się nie posunę.

Policzki Pimkina odzyskały naturalny kolor.

- Nie wiem, co masz na myśli, ale możesz na mnie polegać.

- Czy możesz przyprowadzić swoich zwolenników? - spytał Charles.

Pimkin znów pobladł.

- Nie przy małym głosowaniu w komisji - dodał Charles uprzedzając odpowiedź Pimkina. - Nawet nie przy poszczególnych artykułach, ale przy drugim czytaniu. Trzeba poprzeć partię w potrzebie, nie chcemy doprowadzić niepotrzebnie do wyborów powszechnych, i tak dalej, sam to szczegółowo uzasadnisz. Wiem, że uda ci się ich przekonać.

Pimkin milczał.

- Ja dostarczę mandat jak złoto, ty dostarczysz dwanaście głosów. Chyba można to nazwać uczciwą wymianą.

- A jeżeli wstrzymają się od głosu? - zapytał Pimkin.

Charles udał, że mocno się zastanawia.

- Zgoda. - Od początku nie liczył na nic więcej.

Alexander DalGLISH zjawił się na Eton Square nieco po ósmej. Otworzyła mu Fiona wyjaśniając, że Charles jeszcze nie wrócił z parlamentu.

- Powinien nadejść lada chwila - dodała. - Napije się pan czegoś?

Pół godziny później Charles wpadł do domu.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział ściskając dłoń gościa. - Miałem nadzieję, że zdążę przed twoim przyjściem. - Pocałował żonę w czoło.

- Nic nie szkodzi - odparł Alexander. - Miałem najmiłsze towarzystwo, jakie mogłem sobie wymarzyć.

- Czego się napijesz, kochanie? - spytała Fiona.

- Mocnej whisky. Czy moglibyśmy od razu usiąść do kolacji. Muszę wrócić o dziesiątej do „parle-matu”.

Charles wprowadził gościa do jadalni, zaprosił do stołu i usiadł pod portretem pierwszego hrabiego Bridgwater, dziełem Holbeina przekazywanym w rodzinie z pokolenia na pokolenie. Fiona zajęła miejsce naprzeciw męża. Przy wołwinie a la Wellington Charles głównie słuchał. Alexander opowiadał, co się z nim działo od ostatniego spotkania. Przez trzy lata służby jako oficerowie gwardii bardzo się ze sobą zżyli, ale po wejściu Charlesa do parlamentu widywali się rzadko, niemal wyłącznie na koleżeńskich zjazdach pułku. Charles nie poruszył tematu, stanowiącego prawdziwy powód spotkania, aż do chwili kiedy Fiona podała kawę.

- Wiem, że macie panowie coś do omówienia, więc zostawię was samych.

- Dziękuję - powiedział Alexander patrząc na Fionę z uśmiechem. - Za wspomniała kolację.

Fiona również się uśmiechnęła i odeszła.

- A więc, Charlesie, potrzebuję twojej rady - rzekł Alexander, podnosząc z podłogi odłożoną tam teczkę.

- Mów, bracie. Jeśli tylko będę mógł ci pomóc, służę z przyjemnością.

- Sir Edward Mountjoy przysłał nam do rozpatrzenia dość długą listę. Znalazł się na niej minister spraw wewnętrznych i paru posłów, którzy stracą obecne okręgi wyborcze. Co sądzisz o...?

DalGLISH otworzył teczkę. Charles nalał mu kieliszek porto i sięgnął po złotą kasetkę z cygarami stojącą na komodzie.

- Jaki piękny przedmiot - powiedział Alexander podziwiając zdobiący kasetkę herb i wygrawerowane inicjały C.G.S.

- Rodzinna pamiątka - wyjaśnił Charles. - Powinien ją dostać mój brat Rupert, ale szczęśliwym trafem to ja miałem takie same inicjały jak dziadek.

Alexander oddał kasetkę i pochylił się nad papierami.

- Ten człowiek zrobił na mnie wrażenie - rzekł wreszcie. - Kerslake. Simon Kerslake. - Charles nie odezwał się. - Nie masz o nim wyrobionego zdania?

- Mam.

- Więc co sądzisz o Kerslake'u?

- Ale tylko do twojej wiadomości?

Dalglisch skinął głową bez słowa. Charles wypił łyk porto.

- Bardzo dobry - powiedział.

- Kerslake?

- Nie, rocznik porto. Taylor's 1935. Niestety Kerslake to nie ten sam rocznik. Czy to ci wystarczy?

- Tak, rozumiem, co chcesz powiedzieć, ale czuję się rozczarowany. Bo na papierze przedstawia się świetnie.

- Czytać o nim to jedno, a mieć go za posła przez dwadzieścia lat to całkiem co innego. Potrzebny wam ktoś, na kim można polegać. A ta jego żona... nigdy nie pokazuje się w okręgu. - Charles zmarszczył brwi. - Chyba za dużo powiedziałem.

- Nie, nie. Mam ogólne pojęcie. Drugi to Norman Lamont.

- Pierwszorzędny, ale jest już kandydatem w Kingston.

Dalglisch znów spojrział na rozłożoną teczkę.

- No a Pimkin?

- Obaj uczyliśmy się w Eton. Urodą nie grzeszy, jak mawiała moja babka, ale to solidny człowiek, sprawdza się w pracy na rzecz okręgu, tak słyszałem.

- Więc go polecasz?

- Nie czekałbym, aż jakiś inny okręg zdmuchnie go wam sprzed nosa.

- Taki jest popularny? Dziękuję za radę. Trochę żal Kerslake'a.

- Liczę na całkowitą dyskrecję - przypomniał Charles.

- Oczywiście. Nikomu ani słowa. Możesz na mnie polegać.

- Cygaro smakowało?

- Wyśmienite. Zawsze miałeś świetny gust. Wystarczy spojrzeć na Fionę.

Charles uśmiechnął się.

Inne nazwiska, które podał Dalglish, albo nic nie mówiły, albo należały do ludzi nieodpowiednich bądź dających się skwitować jednym zdaniem. Żegnając gościa przed dziesiątą Fiona spytała, czy jest zadowolony z rozmowy.

- Tak - odparł Alexander. - Zdaje się, że znaleźliśmy właściwego człowieka.

Tego samego dnia Raymond kazał zmienić zamki w drzwiach do mieszkania. Wydatek okazał się większy, niż przypuszczał, a ślusarz zażądał zapłaty z góry.

- Zbijam majątek przy tej robocie, powiadam panu - rzekł błyskając zębami i chowając pieniądze do kieszeni. - Nie ma dnia, żeby nie zgłosił się przynajmniej jeden dżentelmen. Gotówka bez pokwitowania, bez podatku. Stać mnie, żeby co roku wyjechać z żoną na miesiąc na Ibizę.

Raymond uśmiechnął się i spojrział na zegarek. Powinien akurat zdążyć na siódmą dziesiątą na dworzec King's Cross. O dziesiątej byłby w Leeds, mając przed sobą cały piątek, sobotę i niedzielę.

Alexander Dalglish zadzwonił po tygodniu do Charlesa z wiadomością, że Pimkin trafił na ścisłą listę, a Kerslake'a pominięto.

- Pimkin nie wypadł zbyt dobrze w pierwszym przesłuchaniu przed komisją.

- Tego się spodziewałem - rzekł Charles. - Ostrzegałem, że nie budzi zaufania wyglądem i może czasem trącić prawnicowym odchyleniem, ale to solidna firma, nigdy was nie zawiedzie, możesz mi wierzyć na słowo.

- Muszę, bo pozbywając się Kerslake'a, usunęliśmy jedyne poważnego kontrkandydata.

Charles odłożył słuchawkę i wykręcił numer Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

- Poproszę z Simonem Kerslakiem.

- Kto mówi?
- Seymour z biura naganiaczy. - Od razu dostał połączenie.
- Simon, tu Charles. Winien ci jestem najnowsze wieści o Littlehampton.
- Miło, że o mnie pamiętasz.
- Niestety nie są dobre. Zdaje się, że przewodniczący komisji ma chrapkę na mandat i dokłada starań, żeby przesłuchiowano samych idiotów.
- Skąd ta pewność?
- Widziałem ścisłą listę kandydatów, na której jedynym posłem obecnej kadencji jest Pimkin.
- Nie do wiary.
- Ja też nie mogłem w to uwierzyć. Gorąco cię polecałem, ale... groch o ścianę. Nie podobał się twój stosunek do kary śmierci czy coś w tym rodzaju. Mimo to nie sądzę, żebyś miał trudności ze znalezieniem okręgu.
- Obyś się nie mylił. W każdym razie dziękuję za dobre chęci.
- Służę w każdej chwili. Daj znać, gdzie jeszcze zgłosiłeś swoją kandydaturę. Mam wielu przyjaciół w całym kraju.
- Dziękuję. Czy możesz znaleźć mi partnera do absencji na czwartek?

Dwa dni później konserwatyści z Littlehampton zaprosili Aleca Pimkina na przesłuchanie grona osób, spośród których miał zostać wyłoniony kandydat torysów w nowym okręgu wyborczym.

- Jak mam ci dziękować? - spytał Pimkin, kiedy natknął się na Charlesa w barze.

- Dotrzymaj słowa. I chcę je mieć na piśmie.
- Jak to?
- Napisz do szefa naganiaczy, że zmieniłeś zdanie na temat głosowania nad Wspólnym Rynkiem, że ty i twoi adherenci wstrzymacie się w czwartek od głosu.

Pimkin spojrzał przekornie.

- A jeżeli, mój drogi, wycofam się z tej gry.
- Jeszcze nie zdobyłeś mandatu, Alec. A ja mogę uznać za konieczne poinformowanie Alexandra Dalglisha o tym przemyśłym chłopcu, który zawrócił ci w głowie w Oksfordzie.

Po trzech dniach szef naganiaczy otrzymał list od Pimkina. Natychmiast wezwał do siebie pomocnika.

- Świetnie się spisałeś. Jak ci się udało tego dokonać, podczas gdy my byliśmy bezradni? I to jeszcze ze zwolennikami!

- Kwestia lojalności. Pimkin wreszcie to zrozumiał.

W ostatnim dniu wielkiej debaty nad wnioskiem o przystąpienie do EWG, o wpół do dziesiątej premier wstał, żeby wygłosić podsumowującą mowę. Po obu stronach sali rozległy się wiwaty. O dziesiątej nastąpił podział Izby, która wcześniej opowiedziała się „za przystąpieniem” większością stu dwunastu głosów. Liczba ta byłaby mniejsza, gdyby nie sześćdziesięciu dziewięciu laburzystów, którzy pod wodzą Roya Jenkinsa przeszli na stronę rządową.

Raymond Gould głosował przeciw, zgodnie z głębokim przekonaniem, które żywił od lat. Andrew Fraser wszedł wraz z Simonem Kerslakiem i Charlesem Seymourem do korytarza dla głosujących „za”. Alec Pimkin i dwunastu wiernych zwolenników zostali w ławach konserwatystów.

Kiedy marszałek odczytał wynik głosowania, Charles poddał się przez chwilę radosnemu uniesieniu. Ale to był dopiero początek. Wkrótce komisja miała rozpatrywać punkt po punkcie dziesiątki paragrafów i jedno potknięcie, jeden błąd mógł podważyć sens projektu ustawy jako całości. Niemniej pierwszą rundę Charles mógł zapisać na swoje konto.

Dziesięć dni później Alec Pimkin pokonał zapalonego konserwatystę świeżo po Cambridge oraz radną Littlehampton i został kandydatem konserwatystów tego okręgu.

Rozdział czternasty

Po ponownym przestudiowaniu akt Andrew postanowił zbadać sprawę osobiście. Wiedział z doświadczenia, że przychodząc do niego na dyżur poselski wielu wyborców kłamie w żywe oczy, podobnie jak kłamałoby zeznając jako świadkowie przed sądem.

Robert usiłował wdrapać mu się na kolana. Andrew pomógł

malcowi pokonać ostatni odcinek drogi podciągając go do góry i spróbował zagłębić się w papierach.

- Po czyjej jesteś stronie? - spytał syna, który zaślinił mu najnowsze notatki. Poklepał go po pupie, skrzywił się z obrzydzeniem i odłożył papiery na podłogę. Niedługo potem przewinięty Robert wrócił pod opiekę matki.

- Niestety, twój syn nie przykłada się do pomocy, kiedy ja się głowie, jak uwolnić niewinnego człowieka - zawołał Andrew przez ramię.

Nachylił się znów nad dokumentami... coś mu się w tym wszystkim nie podobało. Wykreślił numer okręgowego prokuratora. Tylko ten człowiek mógł zdjąć z jego barków połowę pracy.

- Dzień dobry, panie Fraser. Czym mogę służyć, sir?

Andrew mimo woli się uśmiechnął. Angus Sinclair był rówieśnikiem ojca i znał Andrew od małego, ale w pracy traktował znajomych i nieznajomych jednakowo, bez żadnych wyjątków. Kiedy dzwonił z biura, nawet do żony zwracał się „pani Sinclair”, jak powiedział mu kiedyś sir Duncan. Andrew chętnie przyjął tę konwencję.

- Dzień dobry, panie Sinclair. Zwracam się do pana jako prokuratora z prośbą o radę.

- Zawsze do usług, sir.

- Chciałbym nieoficjalnie porozmawiać o sprawie Paddy'ego O'Hallorana. Pamięta ją pan?

- Oczywiście, tak jak wszyscy w tym biurze.

- Świetnie. Zatem może mi pan służyć nieocenioną pomocą w przedzieraniu się przez ten gąszcz.

- Dziękuję, sir - zachrobotło w słuchawce.

- Grupa moich wyborców, których nie darzę zbyt wielkim zaufaniem, twierdzi, że O'Halloran został niewinnie posądzony o udział w napadzie na bank przy Princess Street w zeszłym roku. Nie przeczą, że ma kryminalne ciągoty... - Andrew powstrzymał się od śmiechu ze względu na Angusa Sinclaira - ale utrzymują, że nie wychodził z pubu, u sir Waltera Scotta w czasie, gdy miał miejsce napad. Proszę tylko powiedzieć, panie Sinclair, czy jest pan przekonany o winie O'Hallorana. Jeżeli tak, przestanę się w tym grzebać. Natomiast milczenie uznam za zachętę do dalszego działania.

Andrew umilkł na chwilę, ale nie doczekał się odpowiedzi.

- Dziękuję, panie Sinclair. - Nie mógł się powstrzymać, aby nie dodać: - Zobaczymy się zapewne w klubie golfowym w czasie weekendu. - Tak jak przewidywał, odpowiedziało mu milczenie.

- Do widzenia, panie Sinclair.

- Do widzenia, panie Fraser.

Andrew nastawił się na długie i żmudne dochodzenie prawdy. Zaczął od rozmów z ludźmi, którzy potwierdzili alibi O'Hallorana, ale po wysłuchaniu pierwszych ośmiu świadków doszedł do przekonania, że żadnemu nie można ufać. Gotów zmienić śpiewkę za kufel piwa, myślał, ilekroć nawinał mu się kolejny kumpel oskarżonego. W końcu przysłała kolej na gospodarza pubu u sir Waltera Scotta.

- Pewności nie mam, panie Fraser, ale wydaje mi się, że był tutaj tamtego wieczoru. Trudno sobie przypomnieć, przychodził prawie codziennie.

- Czy zna pan kogoś, kto mógłby pamiętać? Kogoś, komu powierzyłby pan własną kasę?

- W tym pubie to znaczyłoby zdać się na los szczęścia, panie Fraser. - Gospodarz zastanowił się. - Jest jeszcze pani Bloxham - dodał zarzucając ścierkę przez ramię. - Co wieczór siedzi w tamtym kącie. - Wskazał okrągły stoliczek, przy którym mogły się pomieścić najwyżej dwie osoby. - Jeżeli powie, że tu był, to znaczy, że był.

Andrew spytał jeszcze, gdzie mieszka pani Bloxham, i poszedł pod wskazany adres z nadzieją, że zastanie ją w domu. Na Mafeking Road zrećźnie wyminał gromadę dzieci grających w piłkę na środku jezdni i po zniszczonych schodkach doszedł pod drzwi mieszkania numer czterdzieści trzy.

- Czy to znów wybory, panie Fraser? - spytała zdumiona starszka, wyglądając przez szparę na listy.

- Tym razem nie chodzi o politykę, pani Bloxham - odparł Andrew nachylając się. - Przyszedłem o coś spytać, prywatnie.

- Prywatnie? To niechże pan wejdzie, zimno dziś - powiedziała otwierając drzwi. - Straszny tu przeciąg.

Pani Bloxham zaszurała kapciami w obskurnej sionce. Andrew wszedł za nią do pokoju, w którym było chyba jeszcze zimniej niż na ulicy. Pod obrazem Matki Boskiej, na wąskiej półce nad kominem stał krzyż, żadnych innych ozdób nie było.

Pani Bloxham wskazała Andrew krzesło przy stole. Sama ostrożnie opuściła się na stary fotel, który jęknął pod jej niemałym

ciężarem. Na podłogę sfrunęło końskie włosie. Andrew przyjrzał się uważniej starszce. Na mocno wysłużoną sukienkę miała zarzucony czarny szal. Kiedy usadowiła się wygodnie, zsunęła z nóg kaptcie.

- Ciągłe dokuczają pani nogi, prawda? - spytał.

- Puchną, a doktor nie może jakoś nic na to poradzić - odparła bez zgryźliwości.

Andrew pochylił się nad stołem i spostrzegł, że był to piękny mebel, wyglądający jakby znalazł się tu przez pomyłkę. Zaczął podziwiać pięknie rzeźbione georgiańskie nogi, co nie uszło uwagi pani Bloxham.

- To prezent, który moja prababka dostała od pradziadka w dniu ślubu, panie Fraser.

- Wspaniały.

Zdaje się, że nie usłyszała, bo powiedziała tylko:

- Czym mogę panu służyć, sir?

Po raz drugi tego samego dnia ktoś starszy wiekiem zwracał się do niego w ten sposób.

Andrew opowiedział o O'Halloranie. Pani Bloxham słuchała pochylona, z ręką przyłożoną do ucha, żeby nie uronić ani słowa.

- Ten O'Halloran niewarty funta kłaków - powiedziała. - Zły duch w nim siedzi. Najświętsza Panienska będzie musiała okazać wielkie miłosierdzie, żeby takiego jak on wpuścić do królestwa niebieskiego. - Andrew uśmiechnął się. - Ale jak pomyślę o politykach, to niewielu z nich spodziewam się ujrzeć w niebie - dodała z bezzębnym uśmiechem.

- Czy O'Halloran był w piątek wieczorem w pubie, jak utrzymują jego koledzy? - zapytał Andrew.

- A jakże, był na pewno. Widziałam go na własne oczy.

- Jest pani pewna?

- Zachlapał piwem moją najlepszą sukienkę. Wiedziałam, że spotka mnie jakaś przykrość trzynastego, zwłaszcza w piątek. Nie daruję mu tej sukienki. Do tej pory nie wywabiłam plamy, choć w telewizji tak reklamują te proszki do prania.

- Dlaczego nie powiadomiła pani policji?

- Nikt się mnie o to nie pytał. Od dawna podejrzewali go o różne nieczne sprawy, tylko nie mogli nic udowodnić. Ale tym razem nie miał nic na sumieniu.

Andrew skończył notować i wstał. Pani Bloxham dźwignęła się z fotela, posyłając na podłogę kolejną porcję końskiego włosia. Podeszli do drzwi.

- Przepraszam, że nie poczęstowałam pana herbatą, ale właśnie mi się skończyła. Gdyby przyszedł pan jutro, byłoby inaczej.

Andrew zatrzymał się w progu.

- Widzi pan, jutro dostaję emeryturę - wyjaśniła, odpowiadając na niezadane pytanie.

W lokalnej i krajowej prasie Simon był typowany na zwycięzcę w wyborach okręgowych w Redcorn. Elizabeth przez pewien czas szukała zastępstwa na dyżurze, żeby móc pojechać z nim na przesłuchanie przed komisją selekcyjną. Dzieci trzeba było zostawić z wynajętą opiekunką. Elizabeth ubrała się w najlepszy „konserwatywny” - jak go nazywała - kostium, sięgający za kolano, jasnoniebieski z ciemniejszym kołnierzykiem, zapiętym pod szyją.

Podróż z King's Cross do Newcastle trwała trzy godziny i dwadzieści minut i to „ekspresem”, jak dumnie głosił rozkład jazdy. Wreszcie Simon mógł nadgonić papierkową robotę nagromadzoną w czerwonym kuferku. Urzędnicy w ministerstwie nie zostawiają politykom czasu na zajmowanie się polityką, pomyślał. Nie byłiby zachwyceni, że przez całą godzinę jazdy pociągami przeglądał cztery ostatnie numery tygodnika „Redcorn News”.

W Newcastle wyszła po nich żona skarbnika klubu konserwatystów. Sama zaproponowała, że odwiezie ministra z żoną do siedziby torysów, żeby zdążyli na czas.

- To miło, że pomyślała pani o nas - powiedziała Elizabeth patrząc na środek transportu, którym mieli pokonać czterdzieści mil.

Wysłużony austin mini wiozł ich do celu półtorej godziny krętymi, wąskimi drogami. Żona skarbnika przez cały czas ani razu się nie odezwała. Kiedy dojechali do miasteczka, Simon i Elizabeth wygrzebali się z samochodu kompletnie wyczerpani.

Żona skarbnika zaprowadziła ich do siedziby konserwatystów i przedstawiła agentowi.

- Dobrze, że państwo przyjechali - powiedział agent. - Piekielna podróż, prawda?

Elizabeth nie miała siły zaprzeczyć. Powstrzymała się zresztą od jakiegokolwiek komentarza, gdyż postanowiła w miarę możliwości pomóc Simonowi odzyskać miejsce w parlamencie, a w Redcorn mógł mieć największe szanse. Z przerażeniem jednak myślała, że mąż jeździłby dwa razy w miesiącu do Redcorn, a więc widywaliby się jeszcze rzadziej niż do tej pory, nie mówiąc już o kontakcie z dziećmi.

- Wygląda to tak - rzekł agent. - Przesłuchujemy sześciu potencjalnych kandydatów, a państwo będą zaproszeni na końcu. - Mrugnął do nich znacząco.

Simon i Elizabeth uśmiechnęli się niepewnie.

- Obawiam się, że potrwa to jeszcze co najmniej godzinę, więc mogą państwo pospacerować po miasteczku.

Simon chętnie skorzystał z okazji, żeby rozprostować nogi i zwiedzić Redcom. Zabrał Elizabeth na spacer po malowniczym miasteczku targowym, którego elżbietkańska architektura przetrzymała zapędy nieodpowiedzialnych i zachłannych planistów. Weszli nawet na niewielkie wzgórze i zajrzeli do pięknego, późnogotyckiego kościoła, który górował nad okolicą.

Kiedy wracali, mijając sklepy przy głównej ulicy, Simon pozdrowił skinieniem głowy rozpoznających go przechodniów.

- Tutejsi ludzie wiedzą, kim jesteś - zauważyła Elizabeth.

Ich uwagę zwrócił stojak z gazetami przed sklepikiem. Usiedli na ławce na placu targowym i przeczytali artykuł pod wielkim zdjęciem Simona.

Nowy reprezentant Redcorn? - brzmiało tytułowe pytanie.

Autor zwracał uwagę, że wprawdzie Simon Kerlake był uznanym faworytem, ale pewne szanse miał także Bill Travers, farmer, który w zeszłym roku pełnił obowiązki przewodniczącego rady hrabstwa.

Simon poczuł lekki skurcz żołądka. Przypomniało mu się, jak stanął przed komisją w Coventry Central przed niespełną ośmiu laty. Teraz był ministrem, członkiem gabinetu, a denerwował się nie mniej niż wtedy.

Po powrocie Simon i Elizabeth dowiedzieli się, że trwa jeszcze rozmowa z trzecim z kolei kandydatem. Jeszcze raz obeszlą miasteczko, zwalniając kroku i przyglądając się, jak sklepikarze zamykają kolorowe okiennice i obracają wywieszki na stronę z napisem „Zamknięte”.

- Przyjemne miasteczko. - Simon chciał wybadać żonę.
- W porównaniu z Londynem ludzie są bardzo uprzejmi - dodała.

Simon uśmiechnął się. Zawrócili do siedziby torysów. Mijający ich przechodnie mówili „dobry wieczór”, co było takie miłe, że Simon szczerze zapragnął reprezentować tych przyjaznych ludzi i ich interesy. Mimo zwolnionego tempa nie dało się spacerować dłużej niż pół godziny.

Kiedy po raz trzeci stawili się w budynku, gdzie pracowała komisja, akurat opuszczała salę przesłuchań czwarta kandydatka, z nosem spuszczonej na kwintę.

- Już niedługo - zapewnił agent, ale upłynęło jeszcze czterdzieści minut, zanim rozległy się oklaski i wyszedł z sali jegomość w tweedowej marynarce i brązowych spodniach. On też nie miał wesołej miny.

Kiedy agent wprowadził Simona i Elizabeth, na ich widok wszyscy wstali. Redcorn nieczęsto gościło ministra Korony.

Simon zaczekał, aż Elizabeth usiądzie, po czym zajął miejsce na krześle stojącym pośrodku, na wprost komisji. Na oko było tam około pięćdziesięciu osób, które przyglądały mu się bez niechęci, raczej z zaciekawieniem. Ogarnął spojrzeniem ogorzałe twarze. Poczł się trochę nieswojo w ciemnym prążkowanym garniturze na tle tyłu tweedów w męskim i żeńskim wydaniu.

- Witamy wielce szanownego Simona Kerslake'a, członka parlamentu - powiedział przewodniczący.

Simon mimo woli się uśmiechnął. Wielu ludzi mylnie sądziło, że wszyscy ministrowie zostają członkami Królewskiej Rady Przybocznej i tym samym nabywają prawa do tytułu „wielce szanowny” zamiast zwykłego „szanowny”, jak tytułuje się posłów - ale tylko na forum parlamentu.

- Pan Kerslake zgodził się łaskawie przemawiać przez dwadzieścia minut, a następnie odpowiadać na pytania - zapowiedział przewodniczący.

Simon czuł, że mówi dobrze, ale kilka starannie dobranych dowcipów wywołało jedynie lekkie uśmiechy, a poważniejsze uwagi przeszły niemal bez echa. Miał przed sobą ludzi nie nawykłych do okazywania uczuć. Kiedy skończył i usiadł, rozległy się uprzejme oklaski i pomruki.

- Prosimy o pytania do pana ministra - powiedział przewodniczący.

- Jakie jest pana zdanie o karze śmierci? - spytała obywatelka o surowym obliczu, siedząca w pierwszym rzędzie.

Simon wyłożył powody, dla których był zdecydowanym przeciwnikiem kary śmierci. Pani w szarej garsonce nie złagodziła surowej miny i Simon pomyślał, że dla niej najlepszym kandydatem byłby Ronnie Nethercote.

- A co pan sądzi, panie Kerslake, o tegorocznych dotacjach dla rolnictwa? - zapytał inny członek komisji.

- „Dobre dla jaj, twarde dla wołowiny, katastrofalne dla hodowców świń”. Tak przynajmniej przeczytałem na pierwszej stronie wczorajszego „Przeglądu Rolniczego”. - Paru zawziętych ponuraków wreszcie się roześmiało. - W Coventry Central znajomość rolnictwa nie była mi potrzebna, jeżeli jednak będę miał zaszczyt zostać przedstawicielem Redcorn, postaram się szybko uzupełnić braki wiedzy i z waszą pomocą zgłębię problemy, z jakimi borykają się gospodarujący na roli. - Kilku słuchaczy pokiwało głowami.

- Pentecost, przewodnicząca komisji doradczej kobiet - przedstawiła się wysoka, kostyczna dama, która wstała, żeby sięgnąć na siebie uwagę przewodniczącego. - Proszę o pozwolenie zadania pytania pani Kerslake. Czy jest pani gotowa zamieszkać w Northumberlandii, gdyby pani mąż dostał mandat w tym okręgu?

Elizabeth obawiała się tego pytania, gdyż w razie wyboru Simona na posła z tego okręgu, oczekiwano by, że zrezygnuje z posady w szpitalu. Simon spojrzął w jej stronę.

- Nie - odpowiedziała bez ogródek. - Jestem lekarzem ginekologiem w szpitalu St Mary's w Paddingtonie. Wspieram męża w karierze politycznej, ale uważam, podobnie jak Margaret Thatcher, że kobieta ma prawo do dobrego wykształcenia i powinna mieć szanse jak najlepszego wykorzystania swoich kwalifikacji.

Te słowa przyjęto ciepłymi oklaskami. Simon posłał żonie uśmiech.

Następne pytanie dotyczyło wejścia do Europy. Simon z przekonaniem wyjaśnił, dlaczego popiera premiera w jego dążeniu do włączenia Wielkiej Brytanii w skład Wspólnego Rynku.

Odpowiadał jeszcze na różne pytania, między innymi o reformę związków zawodowych i sceny przemocy na ekranach telewizorów, aż wreszcie przewodniczący zapytał:

- Czy są jeszcze jakieś pytania?

Nastala cisza. Przewodniczący miał już podziękować Simonowi, kiedy suitawa dama z pierwszego rzędu wyrwała się nieproszona z pytaniem o poglądy pana Kerlake'a na temat aborcji.

- Rozpatrując rzecz w kategoriach moralnych, jestem przeciw - odparł Simon. - W czasie uchwalania ustawy o aborcji wielu sądziło, że spowoduje ona zahamowanie wzrostu liczby rozwodów. Myliliśmy się: liczba rozwodów wzrosła czterokrotnie. Jednakże kiedy ciąża jest wynikiem gwałtu lub istnieje poważne zagrożenie zdrowia fizycznego lub psychicznego, kierowałbym się opinią lekarzy. W pracy moja żona dokłada starań, żeby dzieci przychodziły na świat całe i zdrowe. Sami mamy ich dwoje - dodał.

Skrzywione usta naprostowały się.

- Dziękuję, że zechciał pan ofiarować nam tyle swojego czasu - powiedział przewodniczący. - Prosimy łaskawie opuścić salę i zaczekać.

Simon i Elizabeth przeszli do małej salki na zapleczu, gdzie czekali pozostali kandydaci z żonami oraz agent. Na widok stołu z poczęstunkiem, którego połowę już zjedzono, przypomnieli sobie, że od rana nic nie jedli, i rzucili się na kanapki z wędzącym ogórkiem i zimne hot dogi.

- I co teraz? - spytał Simon między jednym a drugim kęsem.

- Jak zwykle - odparł agent. - Naradzą się, każdy wypowie swoje zdanie, a potem będą głosować. Za dwadzieścia minut powinno być po wszystkim.

Elizabeth spojrzała na zegarek: siódma, a ostatni pociąg odchodzi o dziewiątej piętnaście.

- Powinniśmy zdążyć - powiedział Simon.

Po godzinie, skoro „dym nie uniósł się z komina”, agent zaproponował, żeby kandydaci, których czekała długa podróż, zamówili pokoje w zajeździe Bell Inn, po drugiej stronie ulicy. Okazało się, że wszyscy prócz Simona już to zrobili.

- Lepiej zostań tu, bo może zechcą cię wezwać - powiedziała Elizabeth. - Ja pójdę i zarezerwuję pokój, a przy okazji zadzwonię i dowiem się, co słychać u dzieci.

- Zjedzone żywcem przez biedną opiekunkę - zażartował Simon. Elizabeth uśmiechnęła się i wyszła.

Simon otworzył czerwony kuferek z zamiarem odwalenia kawał-

ka roboty. Jeden z kandydatów, wyglądający na farmera, podszedł i przedstawił się:

- Bill Travers, przewodniczący nowego okręgu. Chciałem tylko zapewnić, że może pan liczyć na moje poparcie, jeżeli komisja wybierze właśnie pana.

- Dziękuję.

- Miałem nadzieję, że będę reprezentował ten okręg, podobnie jak mój dziadek. Ale nie zdziwię się, jeżeli Redcorn będzie wołało kogoś, komu pisany jest udział w gabinecie, niż człowieka, który zadowoliliby się miejscem w ostatniej ławie.

życzliwość konkurenta tak ujęła Simona, że chciał odwdziaczyć się dobrym słowem, lecz Travers szybko dodał:

- Przepraszam, nie będę zabierał panu więcej czasu. Widzę - spojrzął na kuferek - że ma pan dużo roboty.

Simon pełen wyrzutów sumienia popatrzył za odchodzącym. Wkrótce wróciła Elizabeth. Uśmiechnęła się niepewnie.

- Jedyne wolne pokój jest mniejszy od pokoju Petera i wychodzi na ulicę, więc hałas jest podobny.

- Ale za to żaden dzieciak nie przyjdzie i nie powie: „Jestem głodny” - pocieszył ją głaszcząc po ręce.

Parę minut po dziewiątej wyszedł z sali zmęczony przewodniczący i poprosił kandydatów o uwagę. Mężowie i żony odwrócili się w jego stronę.

- W imieniu komisji dziękuję państwu za udział w tej niezbyt przyjemnej procedurze. Trudno nam było podjąć decyzję, bo nie chcemy jej zmieniać i dyskutować od nowa przez najbliższe dwa dzieścia lat. - Zrobił krótką pauzę. - Komisja poprosi pana Billa Traversa, żeby w najbliższych wyborach stanął do walki o mandat z okręgu Redcorn.

A więc klamka zapadła. Simon poczuł suchość w gardle.

Oboje z Elizabeth nie mogli zasnąć w małym pokoiku w zajęz-dzie Bell Inn. Bynajmniej nie pocieszył ich agent, który podał osta-teczny wynik głosowania: dwadzieścia pięć - dwadzieścia trzy.

- Nie przypadłam do gustu pani Pentecost - rzekła Elizabeth z poczuciem winy. - Gdybym powiedziała, że chętnie zamieszkać w okręgu, pewnie wybrałaby ciebie.

- Wątpię - odparł Simon. - A zresztą nie można przystawać na warunki stawiane podczas przesłuchania po to, by narzucać włas-

ne, kiedy zostanie się reprezentantem okręgu. Przekonasz się, że Redcorn wybrało właściwego człowieka na swojego przedstawiciela.

Elizabeth uśmiechnęła się do męża z wdzięcznością.

- Znajdą się inne okręgi, zobaczysz - powiedział Simon ze świadomością, że czas nagli.

Elizabeth modliła się o spełnienie tych przewidywań, a także, aby wyborcy w tym następnym okręgu nie postawili jej przed dylematem, którego jak dotąd udało jej się uniknąć.

Joyce bywała od czasu do czasu w Londynie, ale w drugi wtorek po świętach wielkanocnych miała szczególny powód do przyjazdu: Raymond wdziawał jedwabną togę, oznakę godności adwokata królewskiego. Uznała, że okazja jest odpowiednia, aby odwiedzić sklep Harveya Nicholasa. Po raz pierwszy robiła tam zakupy przed wielu laty, gdy miała towarzyszyć mężowi podczas wizyty u premiera. Raymond zaszedł tak daleko, a między nimi tak niewiele się zmieniło. Pożegnała się z nadzieją na macierzyństwo, ale starała się być dobrą żoną i chciała, żeby to dostrzegał. Nie mogła opędzić się od myśli, że Raymond z upływem lat bardzo wyprzystojniał, czego nie można było powiedzieć o niej.

Podobała jej się uroczystość, podczas której mąż występował przed całym składem sędziowskim. Padły niezrozumiałe łacińskie słowa. Oto jej mąż, Raymond Gould, adwokat królewski i poseł do parlamentu.

Na przyjęcie z tej okazji pojechali wieczorem do kancelarii adwokackiej. Wszyscy znajomi już tam byli. Raymond, w wyśmienitym nastroju, wdał się w pogawędkę z sekretarzem kancelarii. Kiedy sir Nigel wręczył mu kieliszek szampana, spostrzegł przy kominku znajomą postać i przypomniał sobie, że rozprawa w Manchesterze dobiegła końca. Zaczął krążyć po pokoju, zamieniając z każdym po parę słów, ale omijając Stephanie Arnold. Przeraził się widząc, że Stephanie przedstawia się jego żonie. Za każdym razem, kiedy zerkał w ich stronę, rozmawiały z coraz większym ożywieniem.

- Panie i panowie - powiedział sir Nigel uderzając w stół. Zaczekał, aż zapadnie cisza. - Cała kancelaria jest dumna, ilekroć

jeden z członków przywdzieje togę adwokata królewskiego. To wyróżnienie zarówno dla prawnika, jak i dla jego kancelarii. Duma nasza jest tyńi większa, że ten prawnik nie ukończył jeszcze czterdziestu lat, a więc jest najmłodszym adwokatem królewskim w Wielkiej Brytanii. Jak wszyscy wiecie, Raymond działa też na innej niwie, gdzie zapewne dostąpi jeszcze większych zaszczytów. Pozwolę sobie na koniec dodać, że z radością gościmy wśród nas jego żonę Joyce. Panie i panowie, wznoszę toast za adwokata królewskiego Raymonda Goulda.

- Za adwokata królewskiego Raymonda Goulda - powiedzieli wszyscy chórem i zaczęli się upominać: - Mowa, mowa.

- Chciałbym podziękować wszystkim, bez których nie doszedłbym do tego zaszczytu - rzekł Raymond. - Dziękuję producentowi, reżyserowi oraz innym gwiazdom, nie pomijając pozbawionych wolności kryminalistów, którzy umożliwiają mi uprawianie wolnego zawodu. Na koniec zwracam się do tych, którzy woleliby mnie tu nie oglądać: działajcie niezmordowanie na rzecz powrotu laburzystów w najbliższych wyborach. Dziękuję.

Dostał gorące brawa. Nie uszło uwadze kolegów, że Raymond był ostatnio znacznie spokojniejszy i weselszy. Kiedy podchodzili do niego z gratulacjami, mimo woli zaobserwował, iż Stephanie i Joyce podjęły przerwana rozmowę. Ktoś wręczył mu jeszcze jeden kieliszek szampana i w tym samym momencie zagadnął go zapalony praktykant, Patrick Montague. Kilka tygodni temu przeniósł się z kancelarii w Bristolu, ale Raymondowi nie udało się jak dotąd dłużej z nim porozmawiać. Ten młody człowiek miał jasno sprecyzowane poglądy na temat niezbędnych zmian w prawie karnym. Po raz pierwszy w życiu Raymond poczuł brzemień lat.

Ni stąd, ni zowąd obok znalazły się dwie panie.

- Cześć, Raymondzie.

- Cześć, Stephanie - odparł z lekkim zażenowaniem i spojrzał niespokojnie na żonę. - Znasz Patricka Montague'a? - spytał z głupia frant.

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem.

- Powiedziałem coś śmiesznego?

- Jak możesz popełniać takie gafy, Raymondzie - rzekła Joyce. - Nie wiesz, że Stephanie i Patrick są zaręczeni?

Rozdział piętnasty

- Z doradcami czy bez? - zapytał Simon, kiedy Andrew wszedł do ministerialnego gabinetu.

- Wolałbym bez, jeśli można.

- Dobrze. - Simon nacisnął guzik interkomu przy biurku. - Proszę, żeby mi nie przeszkadzano, dopóki jest pan Fraser-powiedział i wskazał koledze wygodne krzesło w kącie.

- Elizabeth pytała mnie dziś o Roberta. Jak się chowa?

- Za miesiąc skończy dwa latka, ale jak na rugbistę ma nadwagę - odparł Andrew. - A jak idą poszukiwania okręgu wyborczego?

- Nie najlepiej. Trzy okręgi, które ostatnio wybierały nowego kandydata, nie zaprosiły mnie na przesłuchanie. Nie potrafię wskazać innej przyczyny poza preferowaniem ludzi miejscowych.

- Do wyborów jest jeszcze sporo czasu. Na pewno coś znajdziesz.

- Premier może rozpisać wybory wcześniej, jeżeli zechce zmierzyć się ze związkami zawodowymi.

- Nie byłoby to mądre z jego strony - rzekł Andrew. - Nas mógłby pokonać, ale nie związki zawodowe.

Młoda dziewczyna wniosła kawę, postawiła dwie filiżanki na plastikowym blacie niskiego stolika i wyszła.

- Przejrzałeś dokumentację sprawy? - zapytał Andrew.

- Wczoraj wieczorem, w wolnej chwili między sprawdzaniem pracy domowej Petera a budową modelu galeonu z Michaeliem.

- I jaka jest twoja opinia?

- Nie najlepsza. Nie mogę się uporać z tą nową matematyką, jakiej teraz uczą, a kiedy Elizabeth zwodowała galeon w wannie, odpadł maszt.

Andrew roześmiał się.

- Chyba są podstawy do odwołania - rzekł Simon poważniejąc.

- Świetnie. Prosiłem o nieoficjalne spotkanie, ponieważ uznałem, że w tej sprawie żaden z nas nie zdobędzie punktów politycznych. Nie zamierzam wprawiać w zakłopotanie twojego resortu i uważam, że w interesie mojego wyborcy leży jak najściślejsza współpraca z tobą.

- Dziękuję - powiedział Simon. - Co chcesz teraz zrobić?

- Chciałbym złożyć uzgodnioną wcześniej interpelację do twojego ministerstwa w nadziei, że spowodujesz wszczęcie dochodze-

nia. Jeżeli ono potwierdzi moje wnioski, spodziewam się, że skierujesz sprawę do ponownego rozpatrzenia przez sąd. Simon zastanowił się.

- A jeżeli dochodzenie obali twoje przypuszczenia, to czy nie podejmiesz kroków przeciwko ministerstwu?

- Daję ci moje słowo.
- Czy mogę już poprosić doradców?
- Proszę bardzo.

Simon podszedł do biurka i nacisnął guzik. Po chwili wkroczyło do gabinetu trzech panów w niemal identycznych garniturach, białych koszulach ze sztywnymi kołnierzykami i nie rzucających się w oczy krawatach. Zepsuliby policji każdą procedurę identyfikacji przestępcy.

- Pan Fraser - zaczął Simon - zwraca się do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych...

- Czy potrafisz wyjaśnić, dlaczego Simon Kerslake nie brał wczoraj udziału w głosowaniu?

Charles spojrzął ponad stołem na zwierzchnika.

- Niestety nie - odparł. - Jak wszyscy w przydzielonej mi grupie co tydzień dostawał wezwania.

- Co się więc za rym kryje?

- Zdaje się, że biedak szwenda się po kraju w poszukiwaniu okręgu z mandatem do wzięcia.

- To żadne wytłumaczenie - rzekł szef naganiaczy. - Obowiązki w parlamencie są na pierwszym miejscu, każdy poseł o tym wie. W czwartek nie głosował nad zasadniczym punktem ustawy europejskiej, a nikt inny z twojej grupy nie zawiódł. Mamy większość w Izbie, ale przy głosowaniu każdego niemal punktu nie przekracza ona dziesięciu głosów. Może powinienem z nim poważnie porozmawiać.

- Nie, nie, proszę tego nie robić - powiedział Charles czując, że trochę zbyt gwałtownie protestuje. - To ja za niego odpowiadam. Rozmówię się z nim i dopilnuję, żeby to się nie powtórzyło.

- Dobrze, jeżeli tak ci na tym zależy. Bogu dzięki, że już niedługo ten cholerny projekt stanie się obowiązującym prawem, ale do tego czasu musimy zachować czujność. Laburzyści wiedzą doskonale, że

jeżeli pokonają nas przy zasadniczych postanowieniach, mogą jeszcze ukręcić łeb całej ustawie. Jeżeli za którymś razem zabraknie mi jednego głosu, to uduszę tego Kerslake'a albo kogoś innego, kto zawini.

- Uprzedzę go na pewno - zapewnił Charles.

- Jak Fiona znosi twoje późne powroty do domu? - spytał szef naganiaczy. Wreszcie trochę ochłonął.

- Znakomicie. Szczerze mówiąc nigdy tak dobrze nie wyglądała jak teraz.

- Mojej żony nie zachwycają „gry i zabawy szkolnej dziatwy”, jak nazywa nasze niekończące się wieczorne posiedzenia. Żeby ją udo-bruchać, musiałem obiecać, że pojedziemy na zimowy urlop do Indii Zachodnich. Zatem pozostawiam Kerslake'a w twoich rękach. Bądź stanowczy, Charlesie. Pamiętaj, przy takim zaawansowaniu prac nad ustawą nie możemy sobie pozwolić na przegraną w głosowaniu.

- Norman Edwards? - powtórzył Raymond z niedowierzaniem.

- Sekretarz generalny związku transportowców?

- Tak - rzekł Frank Padgett wstając od biurka.

- Przecież on publicznie spalił *Pełne zatrudnienie za wszelką cenę?*, ściągawszy przedtem możliwie najwięcej dziennikarzy.

- Wiem - odparł Fred odkładając list do segregatora. - Jestem tylko twoim agentem, nie czuję się powołany do wyjaśniania tajemnic wszechświata.

- Kiedy chce się ze mną spotkać?

- Jak najszybciej.

- Zaproś go lepiej do mnie do domu, około szóstej.

Na przedpołudniowym dyżurze poselskim Raymonda panował duży ruch, a za sprawą nadciągających Marsjan zdążył jedynie przełknąć kanapkę w pubie, gdyż jako zagorzały kibic nie chciał się spóźnić na sobotni mecz Leeds z Liverpoolem na Elland Road. Raz na kilka tygodni na oczach tłumu wyborców zasiadał w łoży władz klubowych i piekł trzydzieści tysięcy pieczeni przy jednym ogniu, kibicując miejscowej drużynie. Kiedy po meczu gawędził z zawodnikami w szatni, niepostrzeżenie zaczął wymawiać słowa z silnym yorkshirskim akcentem, który zniknął zupełnie na sali sądowej.

Leeds zwyciężyło trzy do dwóch, więc członkowie zarządu mieli co oblewać w gabinecie prezesa, gdzie zaproszono również Raymonda. Dyskutował on tak żaźnienie o spalonym, po którym mogli stracić punkt, że o mały włos nie zapomniał o spotkaniu z Normanem Edwardsem.

Kiedy wrócił do domu, Joyce pokazywała przywódcy związkowemu przebiśnięgi w ogródku.

- Przepraszam za spóźnienie - zawołał zdejmując szalik w żółto-niebieskie pasy. - Byłem na meczu.

- Kto wygrał? - zapytał Edwards.

- Oczywiście Leeds, trzy dwa.

- Cholera - przeklął Norman z akcentem zdradzającym, że rzadko przebywa poza obrębem miasta Liverpool.

- Zapraszam na piwo - rzekł Raymond.

- Wołałbym coś mocniejszego. Kieliszek wódki.

Panowie weszli do domu, Joyce powróciła do zajęć w ogródku.

- Jeżeli nie na mecz, to po co właściwie fatygował się pan tu aż z Liverpoolu? - spytał Raymond nalewając gościowi smirnoffa. - Czyżby chciał pan zdobyć egzemplarz mojej książki z autografem, żeby było co wrzucać do związkowego ogniska?

- Niech mnie pan nie stawia w kłopotliwej sytuacji. Przejechałem szmat drogi, bo potrzebuję pomocy, nic więcej.

- Zamieniam się w słuch.

- Wczoraj obradował komitet związkowy i jeden z naszych uważał w projekcie ustawy europejskiej artykuł, który mógłby nas wszystkich pozbawić pracy.

Norman podał Raymondowi tekst projektu ustawy. Zaznaczony na czerwono artykuł upoważniał ministra do ustanawiania przepisów dotyczących transportu, które byłyby przedstawiane w parlamencie jako rozporządzenia mające moc ustawy, a więc nie podlegające poprawkom.

- Jeżeli to przejdzie przez parlament, moje chłopaki wpadną w tarapaty.

- Dlaczego? - spytał Raymond.

- Cholerne żabojady dobrze wiedzą, że przedziela nas Kanał. Jeżeli prawo zmusi moich chłopaków, żeby nocowali po obu stronach, to w takim układzie zarabiać będą tylko właściciele pensjonatów.

- Co się za tym kryje?
- Tamci chcą, żebyśmy dowozili towar do Kanału, a oni już go sobie odbiorą po drugiej stronie.
- Czy to samo nie odnosi się do nich, kiedy wiozą towary do nas?
- Nie. Oni mają dłuższą trasę do wybrzeża, więc tak czy owak zatrzymują się na noc, nie mówiąc już o tym, że jest ich osiem razy więcej niż nas. To szatański wymysł.

Raymond zagłębił się w sformułowanie dokumentu, a Edwards nalał sobie jeszcze wódki.

- Ustawa nie zabrania przekraczania Kanału na drugi dzień. O ile zwiększyłyby to wasze koszty?

- O tyle, że nie byłibyśmy już konkurencyjni.

- Przyjąłem do wiadomości - rzekł Raymond. - Dlaczego nie zwraca się pan do swojego posła?

- Nie ufam mu. Za wszelką cenę chce, żebyśmy weszli do Wspólnego Rynku.

- A sponsorowany przez was przedstawiciel związków zawodowych w Izbie?

- Tom Carson? Wolne żarty. Jest tak skrajnie lewicowy, że nawet jego sprzymierzeńcy nabierają podejrzeń, kiedy popiera jakąś sprawę. Przepadł nam zapis o tachografie, bo to on go popierał. A zresztą po to upchnąłem go w Izbie Gmin, żeby nie siedział mi cały czas na karku. - Raymond roześmiał się. - Dlatego pytam w imieniu komitetu związkowego: czy zgodzi się pan wystąpić przeciw temu artykułowi w parlamencie? Nie muszę chyba dodawać, że nie stać nas na adwokackie honorarium.

- Nie będzie żadnego honorarium - odparł Raymond. - Odwdzięczy się pan, kiedy będę w potrzebie.

- Rozumiem - rzekł Edwards przytykając palec do nosa. - A co teraz?

- Wróci pan do Liverpoolu z nadzieją, że poradzę sobie na wyjeździe lepiej od waszej drużyny.

Nałożywszy stary płaszcz przeciwdeszczowy Edwards zaczął się zapinać. Spojrzał z uśmiechem na Raymonda.

- Pańska książka bardzo mnie zdenerwowała. Co nie znaczy, że jej nie podziwiam.

Marszałek spojrział na pierwszą ławę.

- Pan Andrew Fraser.

- Numer siedemnaście, panie marszałku - rzekł Andrew.

Marszałek zajął do listy interpelacji. Pytanie było skierowane do ministra spraw wewnętrznych.

Simon stanął przy pulpicie i otworzył teczkę.

- Słucham - powiedział.

- Pan Andrew Fraser - powtórzył marszałek.

Andrew wstał z pierwszej ławy opozycji.

- Chciałbym podziękować panu ministrowi za szybką zgodę na wszczęcie śledztwa. Czy mógłbym prosić o niezwłoczne skierowanie sprawy do ponownego rozpatrzenia w sądzie, gdyby wyszło na jaw, że mój wyborca, pan Paddy O'Halloran padł ofiarą niesprawiedliwości?

Simon wstał.

- Tak, panie pośle.

- Jestem bardzo wdzięczny szanownemu koledze - rzekł Andrew unosząc się ze swojego miejsca.

Krótką wymianę słów między Fraserem i Kerslakiem trwała niespełna minutę, ale starsi posłowie obecni tego dnia w Izbie Gmin dobrze wiedzieli, jak starannie obie strony przygotowały się do tej jednej minuty.

- Ten człowiek jest niepoprawny, Charlesie. Znowu zignorował wezwanie do obowiązkowej obecności. Żeby to było po raz ostatni. Za długo go osłaniasz.

- To się więcej nie powtórzy - obiecał solennie Charles. - Chciałbym dać mu jeszcze jedną szansę. Proszę o zgodę.

- Jesteś bardzo lojalny w stosunku do niego - rzekł szef naganiaczy. - Ale następnym razem wezwę Kerslake'a na dywanik.

- To się już nie powtórzy - zapewnił Charles.

- Hm. Jeszcze jedno. Czy w projekcie ustawy europejskiej jest jakiś artykuł, który może nam sprawić kłopoty w przyszłym tygodniu?

- Owszem - odparł Charles. - Artykuł o transporcie, przeciwko któremu występuje Raymond Gould. Wygłosił tak świetne przemówienie w Izbie, że przekonał nie tylko wszystkich po swojej stronie, ale i połowę naszych.

- Przecież nie jest posłem sponsorowanym przez związek sportowców - zdziwił się szef naganiaczy.

- Nie, ale związkowcy najwidoczniej uznali, że Tom Carson raczej zaszkodzi, niż pomoże. Carson zresztą wścieka się za taki policzek.

- Z Gouldem trafili w dziesiątkę. Jest coraz lepszym mówcą, o czym sam nieraz się przekonałem, a w kwestiach prawnych nie sposób wytknąć mu błędu.

- Więc mamy się pogodzić, że ten artykuł nie przejdzie?

- W żadnym razie. Przeredagujemy to cholerstwo, żeby nie tylko było do przyjęcia, ale wręcz wyrażało zrozumienie. To niezły moment do wystąpienia w obronie interesów związkowych. Nie dopuścimy, żeby całą zasługę przypisano Gouldowi. Pomówię dziś o tym z premierem. Nie zapomnij, co powiedziałaś o Kerslake'u.

Charles wrócił do biura i pomyślał, że na przyszłość musi być ostrożniejszy, jeżeli zechce powiedzieć Kerslake'owi o partnerze do absencji na głosowaniu ustawy europejskiej. Uznał, że na razie nie może posunąć się dalej w realizacji swojego podstępного planu.

Simon czytał przygotowany przez ministerstwo raport o sprawie O'Hallorana, podczas gdy Elizabeth próbowała zasnąć. Wystarczyło raz wniknąć głębiej w szczegóły, aby nabrać przekonania, że konieczne jest ponowne skierowanie sprawy do sądu, a także wszczęcie dochodzenia celem zbadania dotychczasowej działalności funkcjonariuszy lokalnej policji.

Kiedy Andrew dowiedział się, że sprawa trafi do sądu w Londynie, poprosił Raymonda Goulda o reprezentowanie O'Hallorana.

- Trudno o lepsze wyrazy uznania - rzekł Raymond, który zaliczał Andrew do grona wyśmienitych oratorów w Izbie Gmin. Udało mu się jakoś wcisnąć O'Hallorana do przepelnionego terminarza.

W trzecim dniu rozprawy sędzia Comyns, po wysłuchaniu powołanej na świadka pani Bloxham, przerwał postępowanie sądowe i pouczył ławę przysięgłych, by wydała wyrok uniewinniający.

Cały parlament obsypał Andrew pochwałami - on zaś niezwłocznie wyraził podziękowanie za pomoc Simonowi Kerslake'owi i Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Na drugi dzień w „Timesie”

ukazał się artykuł wstępny o właściwym użyciu władzy przez reprezentanta wyborców.

Po kilku miesiącach sąd przyznał O'Halloranowi 25 000 funtów odszkodowania. Ujemne skutki sukcesu Andrew odczuwał raz na dwa tygodnie, na dyżurze poselskim, kiedy z opowieściami o niewinnych synach tłoczyły się do niego matki wszystkich skazanych na północ od Muru Hadriana. W ciągu roku poważnie zainteresował się tylko jedną z tych spraw.

Przez długie gorące lato 1972 roku, nieraz do późnej *nocy* głosowano punkt po punkcie projekt ustawy europejskiej. Tekst pozostał nie zmieniony, choć czasem rząd uzyskiwał przewagę zaledwie pięciu, sześciu głosów.

Charles nieraz wracał do domu na Eton Square o trzeciej rano, kiedy Fiona już spała, a wychodził, zanim się obudziła. Parlamentarni weterani, etatowi i mandatowi, zgodnie twierdzili, że czegoś takiego nie przeżyli od czasów drugiej wojny światowej.

Nie wiedzieć kiedy doszło do ostatniego głosowania i maraton się skończył. Projekt ustawy europejskiej wyszedł z Izby Gmin i powędrował do Izby Wyższej, by zyskać aprobatę ich lordowskich mości. Charles zastanawiał się, czym każdego dnia wypełnić tyle godzin wolnego czasu.

Kiedy w październiku ustawa została podpisana przez królową i weszła w życie, szef naganiaczy zaprosił współpracowników na uroczysty lunch do Carlton Club na St James's Street. Podziękował im i wznosił toast, wymieniając w szczególności Charlesa Seymoura. Po lunchu zaproponował Charlesowi, że odwiezie go do parlamentu służbowym samochodem. Pojechali ulicami Piccadilly i Haymarket, przez Trafalgar Square do Whitehallu. Kiedy ukazał się gmach parlamentu, czarny pover skręcił na Downing Street. Charles pomyślał, że szef kazał się podrzucić pod Numer Dwunasty. Ale limuzyna stanęła przed Numerem Dziesiątym, a szef naganiaczy wysiadł i oznajmił:

- Premier spodziewa się ciebie za pięć minut.
- Jak to? Dlaczego? - zdumiał się Charles też wysiadając.
- Nieźle to zaaranżowałem, co? - rzekł szef naganiaczy i oddalił się do swojego domu pod Numerem Dwunastym.

Charles stał chwilę sam przed domem premiera. Drzwi otworzył człowiek w czarnym płaszczu.

- Dzień dobry, panie Seymour - powiedział.

Premier przyjął Charlesa w gabinecie i jak zwykle nie tracił czasu na zagajanie.

- Dziękuję ci za trud, jaki włożyłeś w ustawę europejską.

- To była wielka próba - odezwał się Charles nie wiedząc, co powiedzieć.

- Podobnie będzie z twoją nową pracą - rzekł premier Heath. - Chcę, żebyś objął stanowisko ministra stanu do spraw handlu i przemysłu.

Charles zaniemówił.

- W ciągu kilku najbliższych miesięcy należy się spodziewać wielu problemów ze związkami zawodowymi, będziesz więc miał ręce pełne roboty.

- Bez wątplenia.

Charles, nie zaproszony, do tej pory nie usiadł, a ponieważ premier wstał zza biurka, rozmowa najwyraźniej dobiegła końca.

- Kiedy tylko zadomowisz się w nowym urzędzie, koniecznie musicie razem z Fioną przyjść do mnie na kolację - powiedział premier odprowadzając Charlesa do drzwi.

- Dziękuję - odparł Charles.

Wyszedł na ulicę i zobaczył kierowcę otwierającego drzwiczki lśniącego austina westminstera. Dopiero po chwili uprzytomnił sobie, że samochód jest do jego dyspozycji.

- Do Izby Gmin, panie ministrze?

- Nie, chciałbym wpaść na parę minut na Eton Square. - Usadowił się wygodnie. Z przyjemnością pomyślał o czekających go nowych zadaniach.

Minęli parlament i ulicą Wiktorii dojechali na Eton Square. Charles chciał powiedzieć Fionie, że wszystkie trudy zostały nagrodzone. Miał poczucie winy, że ostatnio tak rzadko się z nią widywał, choć nie przypuszczał, by wobec perspektywy pracy nad ustawami o związkach zawodowych zmieniło się coś na lepsze. Tak bardzo * pragnął mieć syna, może i to marzenie mogło się teraz ziścić. Limuzyna zatrzymała się przed georgiańskim domem. Charles wbiegł po schodkach do hallu. Usłyszał głos żony na piętrze.

Przeskakując po kilka stopni wbiegł szerokimi schodami na górę i otworzył drzwi sypialni.

- Zostałem ministrem handlu i przemysłu - oznajmił leżąc w łóżku Fionie.

Alexander Dalglish podniósł wzrok. Nie wydawał się zainteresowany awansem Charlesa.

Andrew zadzwonił do prokuratury okręgowej i od Angusa Sinclaira dowiedział się, że Ricky Hodge jest nie notowany i że prokuratura nie ma żadnych informacji o takim osobniku. Andrew poczuł, że trafił na sprawę o zasięgu międzynarodowym.

Ricky Hodge siedział w tureckim więzieniu, zatem należało pytać o niego za pośrednictwem Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Andrew nie znał ministra spraw zagranicznych tak dobrze jak Simona, uznał więc, że najlepiej będzie zwrócić się do niego wprost, i zgłosił pytanie w biurze interpelacji. Sformułował je starannie: „Jakie kroki zamierza przedsięwziąć minister spraw zagranicznych w związku z konfiskatą paszportu brytyjskiemu obywatelowi, o czym powiadomił jego reprezentant, poseł z Edinburgh Carlton?”

Kiedy w najbliższą środę pytanie to padło na forum Izby Gmin, minister spraw zagranicznych wstał, by odpowiedzieć osobiście. Oparł się na pulpicie, spojrzął znad półokrągłych okularów i powiedział:

- Rząd Jej Królewskiej Mości załatwia tę sprawę na drodze dyplomatycznej.

Andrew szybko wstał.

- Czy szanowny pan minister wie, że mój wyborca bez oskarżenia siedzi od pół roku w tureckim więzieniu?

- Tak, panie pośle - odparł minister. - Zwróciłem się do ambasady tureckiej z prośbą o szczegółowe wyjaśnienia.

Andrew znów poderwał się z miejsca.

- Jak długo mój wyborca ma czekać zapomniany w Ankarze, aż minister spraw zagranicznych uczyni coś więcej poza prośbą o wyjaśnienia?

Minister wstał całkowicie opanowany.

- Przekażę uzyskane informacje szanownemu posłowi w jak najkrótszym terminie.

- Kiedy? Jutro, za tydzień, za rok? - krzyknął Andrew.
- Kiedy? Kiedy? - dołączył chór posłów laburzystów, ale marszałek przekrzyczał ich wywołując kolejne pytanie.

Godzinę później Andrew otrzymał list następującej treści: „Jeżeli pan Fraser będzie łaskaw zadzwonić, minister spraw zagranicznych bardzo chętnie wyznaczy mu spotkanie”.

Andrew skorzystał z telefonu w kularach i został od razu zaproszony do ministerstwa przy Whitehallu.

Budynek Foreign Office, zwany przez pracowników „Palazzo”, ma własną, niepowtarzalną atmosferę. Andrew pracował już w tym ministerstwie, ale pałacowy przepych wciąż robił na nim wrażenie. Przy bramie dziedzińca czekał na niego posłaniec, który marmurowymi korytarzami poprowadził go do okazałych schodów. Na ich szczycie powitał go główny sekretarz osobisty ministra.

- Sir Alec zaraz pana przyjmie, panie Fraser - powiedział.

Oglądając wspaniałe obrazy i gobeliny Andrew szedł za nowym przewodnikiem, aż został wprowadzony do pokoju, którego urządzenie zachwycało wspaniałymi proporcjami. Minister stał przed neoklasycznym kominkiem, pod portretem lorda Palmerstona.

- Jak miło, że tak szybko znalazł pan czas, Fraser. Nie wiązało się to, mam nadzieję, ze zmianą wcześniejszych planów.

Banalne uprzejmości, pomyślał Andrew. Teraz pewnie wspomni mojego ojca, głupek.

- Chyba nie mieliśmy okazji się poznać, ale oczywiście z pańskim ojcem znamy się od lat. Zechce pan usiąść.

- Wiem, że ma pan dużo zajęć, panie ministrze. Czy możemy przejść do sedna sprawy?

- Oczywiście. Proszę darować, że zajmuję panu tyle czasu. - Bez dalszych ceregieli sir Alec podał Andrew teczkę z napisem „Richard M. Hodge - Tajne”. - Wprawdzie posłowie nie podlegają ustawie o tajemnicy służbowej, ale pan, jak mniemam, po zapoznaniu się z tymi dokumentami dochowa tajemnicy.

Blefuje, pomyślał Andrew. Rozłożył okładkę. Tak jak podejrzewał, Ricky Hodge nigdy nie był aresztowany ani o nic oskarżony. Przewrócił kartkę. „Rzym - prostytutka dziecięca; Marsylia - narkotyki; Paryż - szantaż”. I tak dalej strona po stronie, a kończyło się na Turcji, gdzie przyłapano Hodge'a z czterema funtami heroiny, którą handlował na czarnym rynku.

Między piętnastym a dwudziestym dziewiątym rokiem życia Ricky Hodge przesiedział jedenaście lat w więzieniach za grani-
cą.

Andrew zamknął teczkę czując pot na czole. Przez chwilę nie mógł wydobyć głosu.

- Bardzo przepraszam, panie ministrze - rzekł. - Zrobiłem z siebie głupca.

- Kiedy byłem młody, popełniłem podobny błąd występując w imieniu wyborcy - rzekł sir Alec. - Ministrem spraw zagranicznych był podówczas Ernie Bevin. Wykorzystując posiadane wiadomości mógł mnie zetrzeć na proch w sali obrad, ale nie zrobił tego. Powiedział mi o wszystkim dopiero w tym pokoju. Myślę czasem, że dobrze byłoby, gdyby ludzie widzieli posłów nie tylko wtedy, gdy spierają się w Izbie.

Andrew podziękował sir Alecowi i wyszedł zamyślony. Przed gmachem Izby Gmin wpadł mu w oko afisz prasowy „Evening Standard” z wielkim nagłówkiem: *O'Halloran znów aresztowany*. Kupił gazetę i od razu zaczął ją czytać. Paddy O'Halloran został zatrzymany w areszcie w Glasgow i oskarżony o obrabowanie filii Banku Szkockiego przy Sauchiehall Street. Ciekawe, czy koledzy znów powiedzą, że policja go „wrobiła”, pomyślał Andrew. Ale zaraz przeczytał dalszy ciąg. „O'Hallorana aresztowano, kiedy wychodził z banku. Miał przy sobie broń i 25 000 funtów w używanych banknotach. Zatrzymany oświadczył policji: «Ja tylko podejmowa-
łem pieniądze z konta»”.

Kiedy wrócił do domu, Louise powiedziała z uśmiechem, że Ricky Hodge wyświadczył mu przysługę.

- Jak to? - zdziwił się Andrew.

- Na przyszłość nie będziesz traktował siebie tak serio.

Dwa tygodnie później, na dyżurze poselskim w Edynburgu Andrew zdziwił się, że swoje przyście zapowiedziała pani Bloxham.

Witając ją przy drzwiach, zdumiał się jeszcze bardziej. Miała jasną sukienkę z krempliny i skrzypiące nowe brązowe pantofle. Wyglądało na to, że „Najjaśniejsza Panienska” będzie musiała poczekać jeszcze kilka lat z zaproszeniem. Andrew wskazał krzesło i pani Bloxham usiadła.

- Przyszłam panu podziękować, panie Fraser - powiedziała.

- Za co?

- Za przysłanie tego miłego młodego człowieka od Christie's. Sprzedali na aukcji stół prababki za całe tysiąc czterysta funtów. Aż nie mogłam uwierzyć.

Andrew uśmiechnął się.

- Więc już przestałam się martwić tamtą plamą na sukience. Powiem nawet, że warto było przez trzy miesiące jeść na podłodze.

Simon bez przeszkód przeprowadził w parlamencie nowe zalecenia komisji granicznej w postaci rozporządzenia królewskiego, nie wymagającego rozpatrywania na sesji i z dnia na dzień stracił okręg wyborczy. Koledzy z sąsiednich okręgów w Coventry okazali zrozumienie i przejęli opiekę nad swoimi przyszłymi wyborcami, aby Simon zyskał więcej czasu na szukanie nowego okręgu.

Tego roku siedem okręgów szukało nowego reprezentanta, ale na przesłuchanie zaproszono Simona tylko do dwóch. Oba leżały przy granicy szkockiej i w obu został zaklasyfikowany na drugim miejscu. Zrozumiał, jak czuje się olimpijski faworyt zdobywając srebrny medal.

Z comiesięcznych doniesień Ronnie'ego Nethercote'a o posiedzeniach zarządu wylaniał się coraz bardziej ponury obraz - urzędywistnienie tego, co uchwalali w parlamencie politycy. Ronnie postanowił nie ogłaszać sprzedaży akcji do czasu, aż nadejdzie bardziej sprzyjający klimat. Simonowi trudno było nie zgodzić się z tą decyzją, lecz kiedy sprawdził stan swojego konta, okazało się, że po doliczeniu odsetek od zaciągniętych pożyczek jego zadłużenie w banku wynosi ponad 90 000 funtów.

Bezrobocie przekroczyło granicę miliona osób. Ted Heath zamroził ceny i płace. Cały kraj ogarnęła fala strajków.

Jesienną sesję parlamentarną zdominowała polityka cen i płac. Charles Seymour przedstawiał argumentację rządu. Nie z każdej wymiany zdań wychodził zwycięsko, był jednak tak dobrze przygotowany przez doradców, że nie obawiał się wpadki przy pulpicie mówcy. Raymond Gould i Andrew Fraser wygłaszali gorące mowy w obronie związków zawodowych, ale konserwatywna większość za każdym razem brała górę.

Działania premiera prowadziły nieuchronnie do konfrontacji ze związkami zawodowymi i przedterminowych wyborów.

Odbyły się konferencje trzech partii i posłowie wrócili do parlamentu spodziewając się, że będzie to ostatnia sesja przed wyborami powszechnymi. W kuluarach powtarzano, że premier czeka już tylko na dostateczny powód, by je ogłosić. Powód znalazł się. W środku surowej zimy górnicy ogłosili masowy strajk, domagając się podwyżek na przekór wprowadzonej przez rząd ustawie o związkach zawodowych.

Premier wystąpił przed kamerami telewizyjnymi i oznajmił narodowi, że w związku z nie notowanym dotychczas bezrobociem, które objęło 2 294 448 osób, oraz skróconym do trzech dni tygodniem pracy, zmuszony jest, aby zapewnić utrzymanie ładu i porządku, ogłosić wybory. Zgodnie z radą ścisłego gabinetu wybrał dzień 28 lutego 1974 roku.

„Kto ma rządzić krajem?” - powtarzali torysi, jednak slogan ten wbrew zamierzeniom Edwarda Heatha zamiast jednoczyć kraj, podkreślał jeszcze różnice klasowe.

Andrew Fraser zachował wątpliwości dla siebie. W okręgu wyborczym stanął wobec kolejnego zagrożenia - nacjonaści szkoccy rośli w siłę, korzystając ze sporu między dwiema głównymi partiami. Kiedy wrócił do Szkocji, ojciec ostrzegał, że szkoccy nacjonaści przestali być tematem żartów, a miejscowy kandydat, Jock McPherson, robi dużo szumu i w kampanii nie będzie łatwym przeciwnikiem.

Raymond Gould pojechał do Leeds przekonany, że uprzemysłowiony region północno-wschodni nie będzie tolerował władczych póz Heatha.

Charles był pewien, że ludzie poprą każdą partię, która odważnie przeciwstawi się związkom zawodowym, choć lewica pod hałaśliwym przywództwem Toma Carsona ostro grała na strunie „dwóch narodów” twierdząc, że celem rządu jest ostateczne rozprawienie się z ruchem laburzystowskim.

Po przybyciu do Sussex Charles przekonał się, że jego zwolennicy tylko czekają na to, by utrzeć nosa „tym leniwym związkowcom”.

Simon nie miał gdzie walczyć o głosy wyborców, więc do ostatniego dnia pracował w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych wierząc, że z czasem zostaną usunięte kłody na drodze do jego kariery.

- Stanę do walki w pierwszych wyborach uzupełniających - zapewnił Elizabeth.
- Nawet w górniczym okręgu w Południowej Walii? - zapytała.

Minęło wiele cichych miesięcy w małżeńskim stadle Charlesa i Fiony. Żadne nie pragnęło rozwodu, podając jako powód niedomagania hrabiego Bridgwater, choć bliższe prawdy byłyby wzmianki „o kłopotcie” i „przykrościach”. Ponieważ nigdy nie okazywali sobie serdeczności, zupełne oziębienie uczuć dla osób postronnych mogło pozostać niezauważone.

Charles przekonał się, że możliwe jest utrzymanie w tajemnicy rozpadu małżeństwa i to przez całe lata. Stary hrabia z pewnością niczego się nie domyślił, gdyż nawet na łożu śmierci upominał Fionę, by wreszcie wydała na świat potomka.

- Czy wybaczysz mi kiedyś? - spytała Fiona pewnego razu.
- Nigdy - odparł Charles ze stanowczością zamykającą jej usta.

W czasie trzytygodniowej kampanii wyborczej w Sussex oboje wywiązywali się ze swoich obowiązków jak profesjonaliści, ukrywając rzeczywisty stan uczuć.

- Jak mąż znosi trudy kampanii? - padało nieraz pytanie.
- Z przyjemnością bierze w niej udział i nie może się doczekać, kiedy znów podejmie pracę w rządzie - brzmiała niezmiennie odpowiedź Fiony.

- Jak się miewa droga lady Fiona? - pytano Charlesa.
- Jest w swoim żywiole, poświęcając czas wyborcom - odpowiadał równie niezmiennie.

W niedzielę objeżdżali po kilka kościołów. Charles dźwięcznie odczytywał fragment ewangelii, a Fiona czystym kontraltem śpiewała hymn o walce w obronie dobra.

Wiejski okręg wyborczy wymaga zupełnie innego podejścia niż miejski. Poseł musi odwiedzić każdą, choćby najmniejszą wioskę i pamiętać nazwisko przewodniczącego lokalnego klubu partyjnego - takie są właśnie oczekiwania wyborców. Zaszły ledwie zauważalne zmiany - Fiona nie szeptała już Charlesowi do ucha nazwisk, a Charles przestał zwracać się do Fiony po radę.

Podczas kampanii każdego dnia Charles dzwonił do fotoreportera miejscowej gazety pytając o zlecenia redaktora naczelnego.

Zaopatrzony w listę wyznaczonych miejsc przybywał na każde z nich kilka minut przed czasem. Kandydat laburzystów złożył zażalenie do redaktora naczelnego, że zdjęcia pana Seymoura nie schodzą z łamów gazety.

- Gdyby uczestniczył pan w spotkaniach i uroczystościach, chętnie zamieścilibyśmy również pańskie zdjęcie - wyjaśnił redaktor.

- Ale mnie nikt nie zaprasza - krzyknął kandydat Partii Pracy.

Seymoura też nie zapraszają, a zawsze udaje mu się znaleźć we właściwym miejscu o właściwym czasie, pomyślał redaktor, ale nie powiedział tego na głos pamiętając, że właścicielem gazety jest torysowski par.

Do ostatniego dnia przed wyborami Charles i Fiona otwierali kiermasze, bywali na uroczystych kolacjach, ciągnęli losy na loteriach; wstrzymali się jedynie od całowania dziątek.

Raz tylko zapytany przez Fionę Charles przyznał, że liczy na stanowisko wiceministra w MSZ, a nawet na wejście do gabinetu.

W ostatni dzień lutego rano ubrali się w milczeniu i poszli głosować. Fotoreporter czekał na schodach lokalu wyborczego. Kiedy stanęli tuż obok siebie, co dawno im się nie zdarzyło, wyglądali jak para nowożeńców przed urzędem stanu cywilnego. Charles nie miał wątpliwości, że ich zdjęcie ozdobi pierwszą stronę jutrzejszej „Sussex Gazette”, podczas gdy krótka wzmianka o kandydacie laburzystów trafi w okolice szpalty z klepsydrami.

Obliczanie głosów w okręgu wiejskim odbywa się na drugi dzień, bez charakterystycznego miejskiego pośpiechu. Charles przypuszczał, że kiedy przyjdzie do ratusza, konserwatyści będą już mieli zapewnioną większość w Izbie Gmin. Stało się jednak inaczej - w piątek rano szala zwycięstwa nie przechyliła się jeszcze na żadną stronę.

Edward Heath nie poddawał się, choć komentatorzy przewidywali, że nie zdobędzie wymaganej przewagi. Charles z niepokojem wypisanym na twarzy przez cały dzień krążył po dużej sali ratuszowej. Stosiki kart do głosowania zaczęły rosnać i niebawem stało się oczywiste, że utrzyma mandat z przewagą jak zwykle co najmniej 21 000 głosów. A może 22 000? Nie pamiętał dokładnie. Mijały godziny, a werdykt narodu pozostawał wciąż wielką niewiadomą.

Ostatnie dane nadeszły z Irlandii Północnej o czwartej po południu i zaraz potem spiker BBC odczytał wyniki:

LABURZYŚCI	301
KONSERWATYŚC	296
LIBERAŁOWIE	14
UNIONIŚCI Z ULSTERU	11
SZKOCCY NACJONALIŚCI	7
WALIJSZY NACJONALIŚCI	2
INNI	4

Ted Heath zaprosił przywódcę liberałów na Downing Street, żeby spróbować utworzyć koalicję. Liberałowie zażądali obietnicy zmiany ordynacji przed kolejnymi wyborami, kładąc zwłaszcza nacisk na kwestię reprezentacji proporcjonalnej.

Heath wiedział, że posłowie konserwatywni odmówią zgody. W poniedziałek rano pojechał do pałacu Buckingham, by oznajmić, że nie może utworzyć rządu. Królowa wezwała Harolda Wilsona, który podjął się tej misji i zajął przed siedzibę premiera na Downing Street. Heath wyszedł tylnymi drzwiami.

Posłowie pilnie śledzący rozwój wydarzeń czym prędzej wrócili do Londynu. Raymond, zwiększywszy przewagę w swoim okręgu, liczył, że premier zapomniał o jego dawnej rezygnacji i zaproponuje mu jakieś stanowisko.

Andrew, zgodnie z przewidywaniami ojca, stoczył ciężką, nieprzyjemną walkę z Jockiem McPhersonem i utrzymał mandat większością zaledwie 2 229 głosów.

Charles, do końca niepewny, jaką liczbą wyrażało się jego zwycięstwo, wrócił zrezygnowany do Londynu, by zasiąść w opozycji. Jediną pociechą był powrót do zarządu banku Seymoura, gdzie mogła mu się przydać wiedza zdobyta w Ministerstwie Handlu i Przemysłu.

Simon opuścił Ministerstwo Spraw Wewnętrznych 1 marca 1974 roku, niosąc pusty czerwony kuferek, który otrzymał na pamiątkę dziesięciu lat pracy w parlamencie.

KSIĘGA TRZECIA
1974 -1977
MINISTROWIE STANU

Rozdział szesnasty

- Niestety, chwilowo nie ma wolnego terminu, panie Charlesie.
- Więc proszę znaleźć pierwszy wolny - odparł Charles. Usłyszał przez słuchawkę szelest odwracanych kartek.
- Dwunastego marca o dziesiątej trzydzieści?
- Ależ to prawie za dwa tygodnie - zirytował się.
- Pan Spencer wrócił właśnie ze Stanów i...
- Może więc przyszedłby na lunch do mojego klubu?
- Dopiero po dziewiętnastym marca.
- W takim razie niech będzie dwunastego, dziesiąta trzydzieści.

Dwa tygodnie wystarczyły aż nadto, by Charles odczuł frustrację z powodu pozornej bezcelowości działania w opozycji. Nie zajeżdżała po niego limuzyna, by zawieźć go tam, gdzie czekała prawdziwa praca. Gorzej, nikt nie zasięgał jego rady w sprawach wagi państwowej. Jednym słowem Charles cierpiał na przykrą, lecz przemijającą dolegliwość zwaną „chandrą byłego ministra”.

Odetchnął, kiedy nadszedł wreszcie dzień spotkania z Derekiem Spencerem. Stawił się punktualnie, ale musiał zaczekać dziesięć minut, nim sekretarka zaprowadziła go do prezesa.

- Miło cię widzieć po tak długiej przerwie - powiedział Spencer wychodząc zza biurka na powitanie. - To już chyba sześć lat.
- Coś koło tego - odparł Charles. - Ale kiedy rozejrzałem się po starych kątach, w ogóle nie czuję upływu czasu. Jakbym był tu wczoraj. Miałeś ręce pełne roboty, prawda?
- Podobnie jak członek gabinetu. Oby z lepszymi wynikami. Obaj się roześmiali.
- Śledziłem, naturalnie, co dzieje się w banku.
- Naprawdę?
- Oprócz artykułów w „Financial Times” czytałem wszystkie nadsyłane przez ciebie raporty.

- Mam nadzieję, że pozytywnie oceniasz to, czego dokonaliśmy podczas twojej nieobecności.

- Owszem - odparł Charles cały czas stojąc. - Jestem pod wrażeniem.

- Czym mogę ci służyć? - spytał Spencer wracając na fotel prezesa.

- To proste - rzekł Charles siadając bez zaproszenia. - Chciałbym znów wejść do zarządu.

Zapadło długie milczenie.

- To nie takie proste, jak się zdaje. Mianowałem niedawno dwóch nowych dyrektorów i...

- Zapewniam, że to bardzo proste - powiedział Charles innym tonem. - Wystarczy zgłosić moje nazwisko na najbliższym posiedzeniu, a na pewno przejdzie, zwłaszcza że nie macie w zarządzie członka rodziny.

- Tak się składa, że mamy. Twój brat, hrabia Bridgwater, został honorowym członkiem zarządu.

- Co? Rupert nic mi o tym nie mówił. Ty też nie.

- To prawda, ale sytuacja się zmieniła...

- Nic się nie zmieniło prócz mojej opinii o wartości twojego słowa - rzekł Charles uświadamiając sobie, że Spencer od samego początku nie przewidywał jego powrotu do zarządu. - Zapewniałeś mnie...

- Nie pozwolę mówić do siebie takim tonem we własnym gabinecie.

- Uważaj, bo na drugi raz przemówię w obecności twojego zarządu. Spełnisz swoje zobowiązanie czy nie?

- Nie muszę słuchać twoich gróźb, Seymour. Wyjdź stąd, zanim każę cię wyprowadzić. Możesz być pewien, że dopóki jestem prezesem, nie zasiądziesz w zarządzie.

Charles wyszedł trzaskając drzwiami. Nie przychodziło mu na myśl, z kim mógłby podzielić się kłopotem, wrócił więc od razu do domu, by ułożyć plan działania.

- Co tak wcześniej cię sprowadza? - spytała Fiona.

Charles zastanowił się chwilę, a potem poszedł do kuchni i opowiedział, co wydarzyło się w banku. Fiona słuchała trąc ser na tarce.

- Jedno jest pewne - powiedziała uradowana, że Charles zwie-

rzył się właśnie jej. - Po tej awanturze nie możecie obaj zasiadać w zarządzie.

- Co mi radzisz, moja droga?

Fiona uśmiechnęła się - od dwóch lat nie zwracał się tak do niej.

- Każdy coś ukrywa - rzekła. - Ciekawe, co trzyma w tajemnicy pan Spencer?

- Taki drętwy, dobrze sytuowany gość? Wątpię, żeby...

- Dostałam właśnie list z banku Seymoura.

- I co tam piszą?

- To taki okólnik dla akcjonariuszy. Margaret Trubshaw, która przez dwanaście lat była sekretarką zarządu, odchodzi na emeryturę. Podobno chciała przepracować jeszcze pięć lat, ale prezes znalazł na jej miejsce kogoś innego. Może mogłabym zaprosić ją na lunch.

Charles odwzajemnił uśmiech żony.

Nominacja Andrew na wiceministra w MSW nie zdziwiła nikogo, prócz trzyletniego Roberta, który szybko nauczył się opróżniać nie zamknięte na klucz czerwone kufěrki, a następnie ładować do środka zabawki i cukierki. Raz nawet udało mu się upchnąć piłkę nożną. Robert nie rozumiał, że można coś „przeżuwać w myślach”, w jego pojęciu poufne materiały z posiedzeń gabinetu świetnie się nadawały do odkładania między ich kartki gumy do żucia.

- Czy mogłabyś usunąć tę plamę z kufěrki?

- Dobry Boże, a cóż to takiego? - spytała Louise wpatrując się w galaretowatą substancję.

- Żabi skrzek - wyjaśnił Andrew z uśmiechem.

- Zachowuje się jak rosyjski szpieg po praniu mózgu - przestrzegła Louise. - Stopniem rozwoju umysłowego dorównuje twoim kolegom w Izbie. Usunę plamę, jeżeli napiszesz ten list.

Andrew chętnie na to przystał.

Po utracie mandatu poselskiego Simon otrzymał wiele współczujących listów, między innymi od Andrew Frasera. Simon wyobraził sobie, jak siedząc w jego dawnym gabinecie wprowadza w życie decyzje, przygotowane przez niego zaledwie przed kilkoma miesiącami.

Nadszedł także list od Ronnie'ego Nethercote'a z propozycją powrotu do zarządu Nethercote and Company z pensją pięć tysięcy funtów rocznie, co nawet Elizabeth uznała za hojny gest.

Wkrótce Ronnie Nethercote wprowadził Simona na stanowisko dyrektora administracyjnego spółki. Simon z przyjemnością prowadził negocjacje ze związkami zawodowymi na szczepku, z jakim przedtem nie miał do czynienia. Ronnie nie ukrywał, co by zrobił z „przekłętymi komuchami”, gdyby tylko dano mu okazję.

- Trzymałbym ich pod kluczem, aż nauczą się ucziwie pracować.

- W Izbie Gmin nie wytrzymałbyś dłużej niż tydzień - zauważył Simon.

- Po tygodniu tej dętologii jak na skrzydłach wróciłbym do rzeczywistości.

Simon uśmiechnął się. Iluż to ludzi sądziło, podobnie jak Ronnie, że parlamentarzyści nie nadają się do żadnej pracy, a znajomy poseł jest tylko wyjątkiem potwierdzającym regułę.

Raymond czekał, aż zostaną ogłoszone wszystkie nominacje do rządu i dopiero wtedy stracił nadzieję. Kilku czołowych dziennikarzy zajmujących się polityką wyraziło zdziwienie, że nie wywołano Raymonda z tylnej ławy, podczas gdy mniej wytrawni politycy otrzymali odpowiedzialne stanowiska, ale niewielką miał z tego pociechę. Powrócił bez zapału do praktyki adwokackiej.

Harold Wilson, stając po raz trzeci na czele rządu, stwierdził jasno, że nie zamierza przyspieszać wyborów. Ponieważ jednak nie dysponował bezwzględną większością w Izbie, panowało przekonanie, że nie utrzyma steru władzy dłużej niż przez kilka miesięcy.

Po lunchu z panią Trubshaw Fiona wróciła do domu szeroko uśmiechnięta. Radosny wyraz nie schodził jej z twarzy przez wiele godzin oczekiwania na powrót Charlesa z parlamentu po ostatnim podziale Izby.

- Masz zadowoloną minę - powiedział Charles otrząsając przed progami parasol. Wszedł i zamknął drzwi.

Fiona stała w korytarzu z założonymi rękoma.

- Jaki miałeś dzień? - zapytała.
- Nie najgorszy - odparł Charles ciekaw nowin. - A co u ciebie?
- Przed południem byłam na kawie u twojej matki. Dobrze wygląda. Jest trochę przeziębiona, ale poza tym...
- Do diabła z matką. Jak ci poszło z panią Trubshaw?
- Właśnie myślałam, kiedy o to spytasz.
Nie odpowiedziała od razu. Weszli najpierw do salonu i usiedli.
- Pani Trubshaw przez siedemnaście lat była sekretarką twojego ojca i przez dwanaście sekretarką zarządu, więc bank Seymoura ani jego obecny prezes nie mają przed nią żadnych tajemnic - rzekła na wstępie.

- Czego się dowiedziałaś?
- Co chcesz najpierw poznać: imię kochanki czy numer konta w Szwajcarii?

Fiona opowiedziała wszystko, czego dowiedziała się w ciągu dwugodzinnego lunchu dodając, że pani Trubshaw, nawykła do popijania sherry, tym razem z niewielką pomocą osuszyła butelkę szlachetnego burgunda. Słuchając tych rewelacji Charles coraz bardziej promieniał i Fionie zdawało się, że ma przed sobą chłopca, który dostał bombonierkę i pod pierwszą warstwą czekoladek odkrywa następną.

- Dobrze się spisałaś, moja droga - powiedział, gdy opowieść dobiegła końca. - Ale skąd wezmę dowody?

- Zawarłam umowę z naszą panią Trubshaw.
- Co zrobiłaś?
- Zawarłam umowę. Pani Trubshaw dostarczy dowodów pod warunkiem, że przepracuje jeszcze pięć lat jako sekretarka, nie tracąc świadczeń emerytalnych.

- Czy to wszystko, czego chce? - spytał Charles ostrożnie.
- Chce jeszcze raz pójść na lunch do Savoy Grill, kiedy zasiądziesz w zarządzie.

W przeciwieństwie do większości kolegów laburzystów Raymond z przyjemnością przebierał się we frak i bywał na spotkaniach londyńskiej elity. Przyjął między innymi zaproszenie na doroczny bankiet bankierów w wielkiej sali ratusza. Ciekawiło go, czy premier, będący gościem honorowym, napomknie o zbliżaj ą-

cym się końcu sesji parlamentarnej, a jeśli tak, to na kiedy przewidyje ogłoszenie wyborów.

Przy aperitifach Raymond zamienił parę słów z lordem majorem, po czym nawiązał rozmowę z sędzią objazdowym o problemach ujednolicenia systemu kar.

Kiedy zaproszono gości, by usiedli, Raymond odnalazł swoje miejsce przy jednej z długich odnóg odchodzących od głównego stołu. Sprawdził jeszcze raz kartkę z nazwiskiem. Raymond Gould, adwokat królewski, poseł do parlamentu. Po jego prawej ręce zasiadał prezes firmy Chloride, Michael Edwardes, po lewej zaś przedstawicielka amerykańskiego banku, od niedawna pracująca w City.

Raymond ze szczerym zainteresowaniem wysłuchał Edwardesa, który miał wyrobione zdanie o tym, co premier powinien zrobić ze znacjonalizowanymi gałęziami przemysłu, natomiast o wiele więcej czasu poświęcił kierownicze działu euroobligacji w banku Chase Manhattan. Musi mieć po trzydziestce, wywnioskował biorąc pod uwagę wysokie stanowisko sąsiadki oraz jej zapewnienie, że kiedy zginął Kennedy, studiowała w Wellesley. Kate Garthwaite wyglądała o wiele młodziej i Raymond nie zdziwił się słysząc, że w lecie grywała w tenisa, a zimą chodziła codziennie na basen - żeby nie utyć, wyznała. Miała miłą twarz i ciemne włosy przycięte a la Mary Quant, tak przynajmniej zdawało się Raymondowi. Lekko zadarty nosok był dziełem natury, chirurgiczne naśladownictwo byłoby bardzo kosztowne. Nogi, mimo że skryte pod długą suknią, wzbudziły spore zainteresowanie Raymonda.

- Na pańskiej wizytówce przeczytałam, że jest pan posłem. Czy wolno spytać, które stronnictwo pan reprezentuje?

- Jestem socjalistą. A jakie są pani zapatrywania?

- Gdybym miała prawo głosu, w ostatnich wyborach oddałabym go na laburzystów.

- Czy powinienem się zdziwić? - spytał filuternie.

- Ależ tak. Mój eks-mąż, kongresmen, jest republikaninem.

Raymond miał na końcu języka następne pytanie, ale w tym momencie mistrz ceremonii poprosił o ciszę. Raymond spojrzął w stronę głównego stołu i premiera. Harold Wilson wystąpił z przemówieniem o problemach gospodarczych i roli rządu laburzystów w City. Nie wspomniał słowem o ewentualnym terminie wyborów.

Niemniej Raymond uznał ten wieczór za udany. Nie tylko zawarł pożyteczną znajomość z szefem dużej spółki akcyjnej, ale także zdobył numer telefonu Kate.

Prezes banku Seymoura niezbyt chętnie zgodził się przyjąć ponownie Charlesa i nie wyciągnął ręki na powitanie, dając do zrozumienia, że rozmowa będzie krótka.

- Uznałem, że powinienem przyjść z moimi wątpliwościami bezpośrednio do ciebie - rzekł Charles sadowiac się w wygodnym fotelu i zapalając papierosa. -A nie czekać do walnego zgromadzenia w przyszłym miesiącu.

Spencer nic nie powiedział, choć na jego twarzy odmalował się lekki niepokój.

- Chętnie bym się dowiedział, dlaczego bank wystawia co miesiąc czek na czterysta funtów dla niejakiej Janet Darrow, której nie miałem sposobności poznać, choć figuruje na liście płac od ponad pięciu lat. O ile mi wiadomo, czeki wędrowały do filii Lloydsa w Kensingtonie.

Spencer poczerwieniał.

- Zachodzę w głowę - ciągnął Charles wzięwszy głęboki oddech -jakież to usługi świadczy pani Darrow na rzecz banku. Muszą one być nieocenione, skoro w ciągu pięciu lat wydano na nie dwadzieścia pięć tysięcy funtów. Nie przeczę, że to niewielka kwota wobec zeszłorocznych obrotów banku, sięgających stu dwudziestu trzech milionów, jednakże mój dziadek od najmłodszych lat wpajał mi przekonanie, że „ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka”.

Derek Spencer wciąż milczał, choć pot wystąpił mu na czoło. Charles zmienił ton.

- Jeżeli do czasu walnego zgromadzenia nie znajdę się w składzie zarządu, uznam za swój obowiązek wskazanie akcjonariuszom tej drobnej nieścisłości w rachunkach.

- Ty skurwysynu - prezes ściszył głos.

- Mijasz się z prawdą. Jestem drugim synem byłego prezesa tego banku i odznaczam się uderzającym podobieństwem do ojca, choć wszyscy mówią, że oczy mam po matce.

- Jaką zawieramy umowę?

- Żadnej. Wypełnisz jedynie dawną obietnicę i jeszcze przed

walnym zgromadzeniem wprowadzisz mnie na powrót do zarządu. Ponadto z dniem dzisiejszym ustaną wpłaty dla pani Janet Darrow.

- Jeżeli się zgodzę, czy przysięgniesz nigdy nikomu o tym nie wspominać?

- Tak. I w przeciwieństwie do ciebie mam zwyczaj dotrzymywać słowa.

Charles wstał, nachylił się nad biurkiem i zdusił papierosa w popielniczce prezesa.

Kiedy Jock McPherson poprosił o spotkanie, Andrew Fraser bardzo się zdziwił, gdyż od dawna mieli ze sobą na pieńku. McPherson opuścił szeregi Partii Pracy, kiedy nie wybrano go do komisji wykonawczej, po czym został rywalem Frasera w walce o mandat w Edinburgh Carlton. Obchodzili się z daleka od czasu, gdy McPherson zmienił obiekt lojalności. Andrew wiedział jednak, że głupotą byłoby odmówić spotkania po znaczącym sukcesie wyborczym Narodowej Partii Szkocji.

Jego zdumienie wzrosło, gdy McPherson poprosił, by spotkali się na gruncie prywatnym, i spytał, czy może również przyjść siedmiu posłów reprezentujących Narodową Partię Szkocji w parlamencie. Andrew wyraził zgodę.

McPherson przyprowadził grupkę szkockich odszczepieńców na Cheyne Walk. Wyglądało, jakby właśnie odbyli zebranie w ścisłym gronie. Andrew porozsadzał ich jak się dało, na krzesłach, pufie i kuchennym stołku, tłumacząc się, że niewielki salon nie miał służyć do przyjmowania dziesięciu gości na raz.

Kiedy wszyscy się rozsiedli, Andrew stanął przy kominku na wprost Jocka McPhersona, niewątpliwie reprezentującego przybyłych.

- Od razu przejdę do rzeczy - zaczął McPherson. - Chcielibyśmy, żeby w najbliższych wyborach wystąpił pan pod sztandarem nacjonalistów.

Andrew, kryjąc niedowierzanie, odparł:

- Nie czuję się...

- Proszę wysłuchać mnie do końca - przerwał McPherson unosząc wielkie ręce. - Chcielibyśmy, żeby walczył pan o mandat w

Edinburgh Carlton nie tylko jako kandydat szkockich nacjonalistów, lecz jako przywódca partii.

Andrew milczał nie wierząc własnym uszom.

- Jesteśmy przekonani, że straci pan mandat występując jako socjalista - ciągnął McPherson. - Wiemy, że wielu Szkotów, nieza leżnie od poglądów politycznych, podziwia to, czego dokonał pan w ciągu dziewięciu lat pracy w parlamencie. A przecież wychował się pan i zdobył wykształcenie w Edynburgu. Pod pana przywództwem spośród siedemdziesięciu jeden szkockich mandatów mogliśmy zdobyć czterdzieści, do pięćdziesięciu. Pozwolę sobie dodać, że pańska partia przesuwą się nieodwołalnie na lewo, a nie wierzę, żeby ta tendencja była po pańskiej myśli.

Andrew się nie odezwał. Wysłuchał po kolei wszystkich posłów, którzy znacznie bardziej niż poglądami różnili się wymową, charakterystyczną dla różnych zakątków Szkocji, od Pogórza do Głaskow. Widać było, że poświęcili sprawie sporo namysłu i mówią z całkowitą powagą.

- Bardzo mi pochlebiacie, panowie - odezwał się Andrew, kiedy ostatni poseł powiedział swoje. - Zapewniam, że wezmę waszą propozycję pod rozwagę.

- Dziękuję - rzekł McPherson.

Wszyscy wstali niczym przywódcy klanów przed nowym wodzem.

- Będziemy czekać na wiadomość - dodał McPherson.

Jeden po drugim wyciągnęli rękę i żegnali się z gospodarzem.

Po ich wyjściu Andrew poszedł do kuchni, gdzie niecierpliwie czekał na niego Robert, żeby pograć jeszcze w piłkę przed pójściem spać.

- Za chwilę, za chwilę - oganiał się od natarczywego syna. - Idź do ogrodu, zaraz do ciebie przyjdę.

- Czego chcieli? - spytała Louise obierając ziemniaki.

Andrew opowiedział o propozycji.

- I jaką dałeś odpowiedź?

- Na razie żadnej. Odczekam tydzień i jak najdelikatniej odmówię.

- Dlaczego tak szybko podjąłeś decyzję?

- Nie lubię, gdy McPherson czy ktokolwiek inny mówi mi, że stracę mandat, jeżeli nie przystanę na jego warunki. - Ruszył do

drzwi. - Zaraz się zajmę czerwonym kufierkiem, ale najpierw muszę strzelić parę goli MacPelemu. Po chwili był już w ogródku.

- Słuchaj, spryციugo, nauczę cię robić zwód, czyli tak mylić przeciwnika, żeby poszedł w inną stronę niż ty.

- Zupełnie jak w polityce - bąknęła pod nosem Louise patrząc przez okno w kuchni.

27 Eaton Square, London, SW 1 23 kwietnia 1974 Drogi Derek,

Dziękuję za list z 18 kwietnia i propozycję, abym powróci! do zarządu banku Seymoura. Przyjmuję ją z dużym zadowoleniem i cieszę się, że będziemy znów razem pracować.

Z poważaniem
Charles Seymour

Fiona przeczytała list i skinęła głową. Krótco, bez zbędnych słów.

- Mam wysłać?

- Bardzo proszę - odpowiedział Charles i podniósł słuchawkę dzwoniącego telefonu. - 730-9712. Charles Seymour.

- Cześć, Charlesie. Tu Simon Kerlake.

- Cześć, Simonie - odparł Charles, siląc się na serdeczny ton wobec dawnego kolegi. - Co tam słychać w prawdziwym świecie?

- Niewesoło, dlatego właśnie dzwonię. Znalazłem się na krótkiej liście kandydatów w okręgu Pucklebridge. Sir Michael Harbour-Baker dobiega siedemdziesiątki i postanowił nie ubiegać się już o mandat. Ponieważ jego okręg styka się z twoim, pomyślałem, że mógłbyś szepnąć o mnie słówko.

- Z przyjemnością - rzekł Charles. - Jeszcze dziś porozmawiam z przewodniczącym. Możesz na mnie polegać, życzę powodzenia. Byłoby dobrze, gdybyś wrócił do Izby.

Simon podał mu swój domowy numer. Charles powoli powtórzył udając, że go zapisuje.

- Będę w kontakcie - rzekł Charles.

- Jestem bardzo wdzięczny za pomoc.

Simon odłożył słuchawkę.

Elizabeth uniosła głowę znad „Lancetu”.

- Nie ufam temu człowiekowi - powiedziała.
- Znów ta kobieca intuicja? - Simon uśmiechnął się. - Nie miałaś racji co do Ronnie'ego Nethercote'a.
- To się jeszcze okaże.

Po kilku dniach Kate Garthwaite przyjęła zaproszenie Raymonda na kolację do parlamentu. Nie uznała tego za zaszczyt, nie była onieśmielona, nie słuchała go jak wyroczni.

Była pełna werwy, wesoła, inteligentna, czytana. Zaczęli się regularnie widywać. Po kilku miesiącach Raymond tęsknił za nią podczas weekendów w Leeds, spędzanych u boku żony. Kate cieszyła się swoją niezależnością i nie narzucała mu się tak jak niegdyś Stephanie. Ani razu nie poprosiła, żeby poświęcił jej więcej czasu i nie proponowała, że zostawi u niego swoje rzeczy.

Raymond popijał kawę.

- Cóż za wspaniałe dania - powiedział rozpierając się na sofie.
- Tylko w porównaniu z tym, czym karmią was w parlamencie - odparła Kate.

Raymond objął ją i pocałował.

- Co! Wyuzdana chuć po tanim beaujolais? - wykrzyknęła i pochyliła się, żeby dolać sobie kawy.

- Nie podoba mi się, że zawsze z nas żartujesz - rzekł Raymond głaszcząc ją po włosach.

- Muszę - odparła cicho.
- Dlaczego? - Raymond obrócił się do niej.
- Boję się, co mogłoby się zdarzyć, gdybym poważnie potraktowała nasz związek.

Raymond znów ją pocałował.

- Nie bój się. Jesteś wszystkim, co mam najlepszego.
- I to mnie właśnie martwi - rzekła Kate odsuwając się.

Na walnym zgromadzeniu Charles siedział nie zabierając głosu. Prezes złożył sprawozdanie za miniony rok, po czym powitał w zarządzie dwóch nowych dyrektorów oraz powracającego Charlesa Seymoura.

Z sali padło kilka pytań, z którymi Derek Spencer uporał się bez trudu. Charles dotrzymał obietnicy - nie padło ani jedno słowo na temat pani Janet Darrow. Pani Trubshaw powiadomiła Fionę o wstrzymaniu wypłat i wyraziła zaniepokojenie, że jej umowa o pracę wygasa z dniem pierwszego lipca.

Kiedy prezes zamknął zebranie, Charles spytał, czy mógłby mu poświęcić chwilę czasu.

- Oczywiście - zgodził się Spencer zadowolony, że zebranie przeszło gładko. - Czym mogę służyć?

- Chyba rozsądniej będzie porozmawiać w zaciszu gabinetu.

Prezes spojrział z ukosa i zaprowadził go do siebie.

Charles rozsiadł się w fotelu, wyjął z kieszeni jakieś papiery i zerkając na nie spytał:

- Co oznacza BX41207122, Bank Rombert, Zurych?

- Obiecałeś, że nie będziesz już wspominał...

- O pani Darrow. I dotrzymam słowa. Ale teraz, jako członek zarządu, chciałbym się dowiedzieć, co oznacza ten numer.

- Dobrze wiesz, co oznacza - rzekł prezes uderzając pięścią w biurko.

- Wiem, że jest to twoje prywatne - Charles położył nacisk na słowo „prywatne” - konto w Zurychu.

- Niczego mi nie udowodnisz - bronił się hardo Spencer.

- Owszem, ale mogę udowodnić... - Charles zaszeleścił trzymanymi na kolanach papierami - ...że korzystając z pieniędzy banku załatwiałeś prywatne interesy, a zyski odprowadzałeś bez wiedzy zarządu na konto w Zurychu.

- Nie zrobisz nic, co byłoby ze szkodą dla banku.

- Wiem, że wyłożone pieniądze zwróciły się z nawiązką, i nie mógłbym dowieść, że bank poniósł straty. Ale zarząd spojrziałby krzywo na taką działalność. Płacą ci czterdzieści tysięcy funtów rocznie, żebyś przysparzał zysku bankowi, nie sobie.

- Po zapoznaniu się z rozliczeniami popatrzyliby na to przez palce.

- Wątpię, czy prokurator byłby równie łagodny, gdyby zobaczył te dokumenty - rzekł Charles potrząsając plikiem papierów.

- Zrujnowałbyś opinię banku.

- A ty trafiłbyś na dziesięć lat do więzienia. Nawet gdyby udało ci się wykręcić, to w City byłbyś skończony, a po uiszczeniu opłat sądowych twój szwajcarski kapitałik stopniałby jak śnieg.

- Czego ode mnie chcesz? - spytał Spencer z trudem panując nad sobą.
- Twojego stanowiska - rzekł Charles.
- Mojego stanowiska? - Spencer nie mógł uwierzyć. - Myślisz, że skoro byłeś wiceministrem, masz kwalifikacje do prowadzenia świetnie prosperującego banku kupieckiego? - dodał tonem wyższości.
- Nie powiedziałem, że będę nim kierował. Mogę w tym celu kupić kompetentnego człowieka.
- W takim razie co będziesz robił?
- Będę prezesem banku Seymoura, co przekona instytucje w City, że pragniemy kontynuować chlubne tradycje mojej rodziny.
- Błefujesz - wyjąkał Spencer.
- Jeżeli w ciągu dwudziestu czterech godzin nie wyprowadzisz się stąd, wyślę te papiery do prokuratora.
- Zapadło długie milczenie.
- Jeżeli to zrobię - odrzekł Spencer - spodziewam się rekompensaty w wysokości dwuletniego uposażenia.
- Roczno - powiedział Charles.
- Spencer po chwili wahania kiwnął głową. Charles wstał i schował papiery do kieszeni. Była to poranna poczta z Sussex Downs.

Simon miał wrażenie, że przesłuchanie poszło dobrze, ale Elizabeth nie była taka pewna. Siedzieli obok siebie w poczekalni wraz z pięcioma innymi kandydatami i ich żonami.

Simon wrócił myślami do odpowiedzi, jakich udzielił komisji składającej się z ośmiu mężczyzn i czterech kobiet.

- Musisz przyznać, że ze wszystkich okręgów, które wzięły mnie pod uwagę, ten jest najlepszy - rzekł Simon.
- Tak, ale przewodniczący dziwnie na ciebie spoglądał.
- Millburn wspominał, że w Eton uczył się z Charlesem Seymourem.
- To mnie właśnie martwi - szepnęła Elizabeth.
- Piętnastotysięczna większość w ostatnich wyborach i zaledwie czterdzieści minut jazdy z Londynu. Moglibyśmy kupić mały domek...
- Jeżeli poproszą, żebyś ich reprezentował.

- Przynajmniej tym razem mogłaś im powiedzieć, że chętnie zamieszkaż w okręgu.

- Każdy by tak powiedział.

Wszedł przewodniczący i poprosił państwa Kerslake, by zechcieli łaskawie stawić się ponownie przed oblicze komisji. O Boże, pomyślał Simon. Czego oni jeszcze chcą?

- Londyn jest tak blisko, że to na pewno nie moja wina - powiedziała ze śmiechem Elizabeth.

Członkowie komisji mieli niewesołe miny.

- Panie i panowie - rzekł przewodniczący. - Po długiej naradzie składam formalny wniosek, by w najbliższych wyborach o mandat Pucklebridge ubiegał się pan Simon Kerslake. Kto jest za?

Podniosło się dwanaście rąk.

- Kto przeciw?... Wniosek przeszedł jednogłośnie. - Przewodniczący zwrócił się do Simona. - Czy zechce pan wygłosić parę słów do komisji?

Przyszły deputowany z ramienia konserwatystów okręgu Pucklebridge wstał. Wszyscy patrzyli wyczekująco.

- Nie wiem, co powiedzieć. Bardzo się cieszę, czuję się zaszczycony i nie mogę doczekać się wyborów.

Członkowie komisji roześmieli się, podeszli i otoczyli wybraną parę. Elizabeth szybko otarła łzy.

Godzinę później przewodniczący Millburn odprowadził Simona i Elizabeth do samochodu. Simon opuścił szybę w oknie.

- Wiedziałem, że jest pan właściwym człowiekiem - rzekł Millburn - kiedy zadzwonił Charles Seymour...

Simon uśmiechnął się.

- ... i poradził, żebym wystrzegał się pana jak zarazy.

- Proszę powiedzieć pani Trubshaw, żeby weszła - polecił Charles sekretarce.

Po chwili Margaret Trubshaw stanęła przed biurkiem prezesa. Nie uszło jej uwagi, że zmieniło się urządzenie wnętrza. Nowoczesne meble od Conrana zastąpiono solidną skórzaną sofą. I tylko obraz jedenastego hrabiego Bridgwater wciąż wisiał na swoim miejscu.

- Pani Trubshaw - zaczął Charles - ponieważ pan Spencer tak

niespodziewanie złożył rezygnację, uznałem za konieczne zachowanie pewnej ciągłości w obsadzie stanowisk instytucji, w której przejąłem obowiązki prezesa.

Pani Trubshaw jak posąg trwała nieruchomo z rękoma ukrytymi w rękawach sukni.

- Mając to na względzie, zarząd postanowił przedłużyć pani kontrakt z bankiem na dalsze pięć lat. Nie utraci pani, naturalnie, uprawnień emerytalnych.

- Dziękuję, panie Charlesie.

- Dziękuję, pani Trubshaw.

Pani Trubshaw skłoniła lekko głowę i ruszyła do drzwi.

- Jeszcze jedno, pani Trubshaw.

- Tak, panie Charlesie - powiedziała z ręką na kłamce.

- Żona czeka na telefon od pani. Zdaje się, że chciała zaprosić panią na lunch do Savoy Grill.

Rozdział siedemnasty

- Niebieska koszula - powiedział Raymond patrząc podejrzliwie na firmową naszywkę Turnbull and Asser. - Niebieska!

- Prezent na czterdzieste urodziny - krzyknęła Kate z kuchni.

Nigdy jej nie włożył, pomyślał i uśmiechnął się.

- W dodatku będziesz ją nosił - zapewniła z lekkim rozdrażnieniem.

- Nawet umiesz czytać w moich myślach - poskarżył się, kiedy wyszła z kuchni. Jak zwykle wydała mu się bardzo elegancka w szytym na miarę kostiumie.

- To wcale nietrudne, Marchewkowy Wiechciu.

- Skąd wiedziałaś o moich urodzinach?

- Kawał detektywistycznej roboty. Pomógł mi ktoś, za niewielką opłatą.

- Kto taki?

- Sprzedawca gazet, kochanie. „Sunday Times” drukuje nazwiska wybitnych osobistości, których urodziny przypadają w nadchodzącym tygodniu. Spotkało cię to wyróżnienie, bo akurat w tym czasie przyszli na świat sami przeciętniacy.

Raymond wybuchnął śmiechem.

- A teraz słuchaj, Marchewkowy Wiechciu.
- Musisz mnie tak okropnie nazywać? - spytał udając wstręt do nowego przydomka.

- Tak. Nie cierpię imienia Raymond.
- Wiecheć marchwi jest zielony - rzekł z marsową miną.
- Bez komentarza. Przymierz koszulę.
- Teraz?
- Teraz.

Posłusznie zdjął czarną marynarkę, kamizelkę i białą koszulę, której sztywny kołnierzyk odcisnął mu się na grdyce. Pierś miał całą porośniętą kręconymi rudymi włoskami. Szybko włożył nową koszulę. Materiał był przyjemny, miękki w dotyku. Zaczął się zapinać, ale Kate podeszła i rozpięła dwa guziczki od góry.

- Wiesz co? Wlewasz nową treść do słowa „spięty”.

Raymond znów groźnie się zmarszczył.

- Ale odpowiednio ubrany mógłbyś uchodzić za przystojnego. A teraz powiedz, gdzie pójdziemy uczcić twoje urodziny.

- Do parlamentu? - zaproponował.
- Dobry Boże, to mają być urodziny, a nie stypa. Może do Annabeli?

- Nie mogę się pokazać w Annabeli.
- Ze mną?
- Nie, głuptasie. Dlatego, że jestem socjalistą.
- Jeżeli członkowi Partii Pracy nie wolno dobrze zjeść, to może pora, żebyś przeniósł się gdzie indziej. W Stanach widuje się demokratów tylko w najlepszych restauracjach.

- Bądź poważna, Kate.
- Taki mam zamiar. Powiedz, co ostatnio działałeś w Izbie.
- Niewiele - przyznał ze skruchą. - W sądzie byłem dosłownie zawalony...

- No właśnie. Najwyższy czas, żebyś wykazał się czymś, zanim koledzy w parlamencie zapomną o twoim istnieniu.

- Masz na myśli coś konkretnego? - spytał Raymond zaplatając ręce.

- Owszem. W tej samej niedzielnej gazecie, w której odkryłam twój największy sekret, przeczytałam, że Partia Pracy ma trudności z uchynieniem torysowskich ustaw o związkach zawodowych. Na dłuższą metę ma to jakieś konsekwencje prawne i rząd szuka

sposobu, żeby ich uniknąć. Może byś zaprzął ten swój super intelekt do rozwikłania prawnych supełków?

- Niegłupi pomysł.

Raymond zdążył się przyzwyczaić do politycznego wyczucia Kate. Kiedy któregoś dnia powiedział jej o tym, odparła: „To jeden ze złych nawyków, które przejęłam od byłego męża”.

- Więc gdzie obchodzimy twoje urodziny? - zapytała.

- Pójdźmy na kompromis.

- Zamieniam się w słuch.

- Dorchester.

- Jeżeli koniecznie chcesz. - Nie była zachwycona.

Raymond zaczął zdejmować koszulę.

- Nie, nie, nie. W Dorchester widuje się niebieskie koszule.

- Nie mam odpowiedniego krawata - rzekł z triumfem.

Kate wsunęła rękę do eleganckiej firmowej torby magazynu Tumbulla i Assera i wyciągnęła ciemnoniebieski jedwabny krawat.

- Jest we wzorek - skrzywił się Raymond. - Co ty jeszcze wymyślisz?

- Szkła kontaktowe.

Raymond zaniemowił i zamrugał oczami.

Otwierając drzwi wejściowe spojrzał przypadkiem na kolorową paczkę, którą Joyce przesłała z Leeds. Na śmierć zapomniał ją rozpakować.

- Cholera - przeklął Charles. Odłożył „Timesa” i dopił kawę.

- Co się stało? - spytała Fiona nalewając mu drugą filiżankę.

- W Pucklebridge wybrano Kerslake'a, co oznacza, że wraca do Izby na dobre. Archie Millburn nie usłuchał, jak widać, mojej rady.

- Dlaczego tak się uwziąłeś na Kerslake'a?

Charles złożył gazetę i zastanowił się.

- Właściwie to proste, moja droga. Tylko on jeden spośród moich rówieśników mógłby stanąć mi na drodze do stanowiska przywódcy partii.

- Dlaczego właśnie on?

- Kiedy go poznałem, był przewodniczącym towarzystwa dyskusyjnego w Oksfordzie. Już wtedy świetnie się spisywał, a teraz jest

jeszcze lepszy. Rywale nie dorastali mu do pięt. Mimo swojego pochodzenia Kerslake budzi moje obawy.

- Czeka cię jeszcze długi wyścig, kochanie, a jemu może powinać się noga.

- Mnie też. Ale postaram się wzniesć mu na drodze parę przeszkód.

Andrew napisał list, zastanawiając się nad każdym słowem. Zapewnił Jocka McPhersona i jego kolegów, że czuje się zaszczycony ich propozycją, po czym wyjawiał zamiar dochowania wierności Partii Pracy.

Zgodziwszy się ze stwierdzeniem Jocka, że lewica dąży do zdobycia władzy, wyraził przekonanie, iż w szeregach każdej demokratycznej partii zawsze znajdzie się grupka indywidualistów, co niekoniecznie jest rzeczą złą. Dodał, że traktuje złożoną ofertę jako poufną i spodziewa się obustronnej dyskrecji.

- Po *co ten* dopisek? - spytała Louise po przeczytaniu listu.

- Chcę być fair w stosunku do Jocka - odparł Andrew. - Gdyby się rozeszło, że mu odmówiłem, osiągnęliby efekt przeciwny do zamierzonego.

- Nie jestem pewna, czy zachowają się równie wspaniałomyślnie przy najbliższych wyborach.

- Jock narobi szumu, ale w gruncie rzeczy to porządny gość.

- Twój ojciec inaczej się o nim wyraża - przypomniała Louise. - Na pewno zechcą wziąć odwet.

- Ojciec zawsze znajdzie dziurę w całym.

- Skoro nie będziemy oblewać awansu na przywódcę szkockich nacjonalistów, pozostaje nam jakoś uczcić twoje czterdzieste urodziny.

- Ale to dopiero za...

- Za miesiąc, na tydzień przed czwartymi urodzinami Roberta.

- Co byś chciała zrobić dla upamiętnienia tego wydarzenia?

- Może moglibyśmy wyrwać się na tydzień do Algarve tylko we dwoje?

- Co powiesz na dwa tygodnie? Uczcilibyśmy od razu twoje czterdzieste urodziny.

- Panie Fraser, stracił pan właśnie jeden głos w okręgu Edinburgh Carlton.

Na comiesięcznym zebraniu zarządu Simon wysłuchał uważnie sprawozdania Ronnie'ego. Dwóch najemców nie zapłaciło kwartalnego czynszu, a termin kolejnej wpłaty był tuż-tuż. Radcy prawni Ronnie'ego wysłali najpierw monity, a po miesiącu nakazy sądowe, ale pieniądze jak dotąd nie udało się ściągnąć.

- Tego się właśnie obawiałem - rzekł Ronnie.

- Czego? - spytał Simon.

- Nie mają gotówki.

- Trzeba będzie wprowadzić na ich miejsce nowych lokatorów.

- Przy najbliższej okazji, kiedy będziesz jechał z Beaufort Street do Whitechapel, zacznij liczyć po drodze wywieszki „Do wynajęcia” na biurowcach. Doliczysz się stu, zanim dotrzesz do City.

- Co począć z tym fantem?

- Trzeba sprzedać jakąś dużą nieruchomość, żeby zapewnić przepływ gotówki. Nawet przy obecnych cenach wartość naszych nieruchomości znacznie przekracza kwoty zadłużenia, więc nie jest tak źle. To ci, którzy znaleźli się w odwrotnej sytuacji, stoją przed widmem bankructwa.

Simon pomyślał o koncie bankowym i zaciągniętym kredycie na blisko sto tysięcy funtów. Zaczął żałować, że nie skorzystał ze wspałałomyślności Ronnie'ego, kiedy ten wyraził chęć odkupienia od niego akcji. Okazja przeszła koło nosa i teraz musiał się z tym pogodzić.

Po zebraniu pojechał po Elizabeth do szpitala. Planowali kolejny wypad do Pucklebridge, gdzie jeździli ostatnio trzy razy na tydzień, bo Simon chciał dotrzeć do wszystkich wsi przed ogłoszeniem przez Wilsona wyborów.

Archie Millburn, przewodniczący klubu torysów, sumiennie towarzyszył im w tych objazdach.

- Jest bardzo uczynny - powiedziała Elizabeth, kiedy wyjeżdżali z miasta.

- Nadzwyczaj - odparł Simon. - Nie zapominaj, że ma jeszcze na głowie Millburn Electronics. Ale kiedy już przedstawi nas wszy-

stkim sołtysom, będziemy musieli radzić sobie sami. Nieraz o tym wspominał.

- Dowiedziałeś się, skąd ta różnica zdań między nim a Charlesem Seymourem?

- Od ostatniego razu nie wspominał o tym ani słowem. Wiem tylko tyle, że razem studiowali.

- Czy zamierzasz podjąć jakieś kroki przeciw Seymourowi?

- Niewiele mogę zrobić - odparł Simon. - Ale z pewnością będę miał go na oku.

„Człowiek, który zdradził Edynburg” - przeczytał Andrew w ulotce szkockich nacjonalistów, którą przesłał mu ojciec. Zawierała same półprawdy i insynuacje.

„Andrew Fraser to człowiek, który zapomniał o Edynburgu. Nie można pozwolić, żeby ktoś taki reprezentował szkockie interesy”. A potem: „Żyje wygodnie z dala od swoich wyborców i ich kłopotów, w modnej dzielnicy Chelsea wśród przyjaciół torysów. W Edynburgu gości zaledwie parę razy do roku, nadając każdej wizycie duży rozgłos... Czyżby stanowisko ministra uderzyło mu do głowy?”

- Jak oni śmieli? - zawołała wzburzona Louise.

Andrew jeszcze nigdy nie widział jej tak zagniewanej.

- Jak oni śmieli wejść do mojego domu, zaproponować, żebyś stanął na czele ich okropnej małej partii, a potem wysmażyć taki stek kłamstw? A to widziałeś? - wskazała ostatni akapit i odczytała na głos. - „Żona Louise, z domu Forsyth, pochodzi z jednej z najbogatszych rodzin w Szkocji. Jest blisko spokrewniona z właścicielami domu towarowego Forsythów przy Princes Street”. Jestem daleką kuzynką i nawet nie dają mi rabatu w sklepie.

Andrew zaczął się śmiać.

- Co cię tak śmieszy?

Wziął ją w ramiona.

- Żyłem w błędnym przekonaniu, że odziedziczysz imperium Forsythów i nie będę musiał pracować. A tu okazuje się, że przyjdzie nam żyć na utrzymaniu Roberta, kiedy zostanie gwiazdą futbolu.

- Lepiej nie żartuj. Odechce ci się śmiać, kiedy nadejdą wybory.

- O wiele bardziej niż garstka izolacjonistów pod wodzą Jocka

McPhersona niepokoi mnie skrajna lewica sięgająca mackami mojego komitetu administracyjnego - rzekł poważniejąc. - Ale na razie nie mogę sobie zaprzętać tym głowy, mam dość zajęcia ze swoim czerwonym kuferkiem.

Uwagi Raymonda podczas drugiego czytania projektu ustawy o związkach zawodowych były tak wnikliwe, że naganiacze włączyli go do komisji zwyczajnej, gdzie w dyskusji nad każdym paragrafem z osobna, punkt po punkcie, miał idealne pole do popisu. Wskazywał kolegom legislacyjne pułapki i sposoby ich uniknięcia. Mając do czynienia z praktykującym prawnikiem, członkowie komisji przekonali się, co oznacza „gruntowne zapoznanie się ze sprawą”. Wkrótce do Raymonda z prośbą o radę zaczęli wydzwaniać przywódcy związków. Raymond cierpliwie odbierał telefony w parlamencie, a nawet w domu, i udzielał znakomitych fachowych porad za pół darmo. Pomyślał tylko, jak zadziwiająco szybko wyleciał związkowcom z pamięci fakt, że był autorem kontrowersyjnej książki *Pełne zatrudnienie za wszelką cenę?* W prasie krajowej zaczęły pojawiać się wzmianki na jego temat. Pracujący nad ustawą wyrażali pochlebne opinie, a „Guardian” stanowczo podkreślił, że nie należy oglądać się na przeszłość i Raymond Gould powinien niebawem wejść w skład rządu, gdyż tam jest jego miejsce.

- Gdyby zaproponowano ci jakieś stanowisko, czy zmieniłoby to coś między nami? - zapytała Kate.

- Oczywiście - odparł Raymond. - Miałbym świetną wymówkę, żeby nie nosić niebieskiej koszuli.

Haroldowi Wilsonowi udało się utrzymać ster rządów jeszcze przez pół roku, po czym zmuszony był ogłosić wybory powszechne. Wyzaczył je na 10 października 1974 roku.

Raymond od razu pojechał do swojego okręgu na piątą kampanię w swojej karierze. Kiedy spotkał Joyce na stacji Leeds City, nie mógł powstrzymać się od myśli, że jego przysadzista żona jest zaledwie cztery lata starsza od Kate. Pocałował ją w policzek jak daleką krewną i pozwolił się odwieźć do Chapel Allerton.

Przez całą drogę do domu Joyce zdawała mu relację, z której

wynikało, że sytuacja w okręgu jest opanowana i tym razem Fred Padgett jest dobrze przygotowany do wyborów.

- Od ostatniego razu właściwie cały czas się stara - powiedziała.

Ona sama była niewątpliwie lepiej zorganizowana niż agent i sekretarz razem wzięci. Co więcej, ta praca wyraźnie jej odpowiadała. Patrząc na nią Raymond mimo woli pomyślał, że w czasie wyborów jest ładniejsza niż zwykle.

W odróżnieniu od posłów z wiejskich okręgów, Raymond nie musiał jeździć od wsi do wsi i w kółko przemawiać w małych salkach. Walczył o głosy na głównej ulicy, zwracając się do przechodniów przez megafon, obchodząc supermarkety, puby i kluby, ściskając ludziom ręce, po czym przenosił się kilka ulic dalej i zaczynał od nowa.

Joyce zaprogramowała pobyt męża tak, żeby prawie wszyscy mieszkańcy Leeds mieli okazję się z nim zetknąć. Niektórzy widzieli go kilkanaście razy w ciągu trzytygodniowej kampanii, a większość na meczu piłki nożnej w ostatnią sobotę przed wyborami.

Po meczu Raymond rozpoczął obchód klubów robotniczych, popijając z niezliczonych kufli tani porter. Nie było rady, podczas każdej kampanii przybywało mu na wadze ładnych parę kilo, ale tym razem obawiał się komentarzy Kate po powrocie. Codziennie udawało mu się wykraść kilka minut i do niej zadzwonić. Miała mu dużo do powiedzenia, ale jej zaaferowanie tylko go przygnębiało; uznał, że wcale za nim nie tęskni.

Miejscowi związkowcy popierali Raymonda bez zastrzeżeń. Nawet jeśli kiedyś wydawał im się zarozumiały i nieprzystępny, to nie ulegało wątpliwości, „z kim naprawdę trzyma”, o czym zapewniali każdego, kto chciał słuchać. Pukali do drzwi, roznosili ulotki, służyli swoimi samochodami. Od wczesnego rana do późnego wieczora nie ustawali w wysiłkach i przekonywali nawróconych nawet po zamknięciu pubów, kiedy wyproszone ich na ulicę.

Wybory odbyły się w czwartek. Raymond i Joyce głosowali w budynku szkoły średniej z nadzieją na wysokie zwycięstwo laburzystów. Partia Pracy zdobyła wymaganą większość w Izbie, czterdzieści trzy mandaty więcej niż konserwatyści, ale zarazem tylko trzy mandaty więcej niż wszystkie pozostałe partie razem wzięte. Kiedy królowa poprosiła Harolda Wilsona o utworzenie czwartego z kolei rządu, zanosilo się, że objął urząd na dalsze pięć lat. W Leeds

Raymond zapewnił sobie przewagę 12 207 głosów, większą niż kiedykolwiek przedtem.

Przez cały piątek i sobotę dziękował wyborcom, a w niedzielę wieczorem miał wyjechać do Londynu.

- Tym razem na pewno zaprosi cię do udziału w rządzie - powiedziała Joyce idąc z mężem po peronie.

- Zobaczmy - odparł Raymond i pocałował ją w policzek. Pomachał jej przez okno ruszającego pociągu. Ona też pomachała mu wesoło.

- Do twarzy ci w tej niebieskiej koszuli. Podoba mi się - usłyszał na odjeździe.

Run na funta powodował, że w czasie kampanii wyborczej Charles musiał spędzać więcej czasu w banku. Fiona uganiała się po okręgu jak fryga, zapewniając wyborców, że mąż jest tuż-tuż.

Po przeliczeniu małych karteczek okazało się, że Charles stracił na rzecz kandydata laburzystów zaledwie jeden procent ze swojej przewagi 22 000 głosów. Zapoznawszy się z wynikami w całym kraju, wrócił do Londynu z niemłą świadomością, że jeszcze długo posiedzi w opozycji. Nadrabiając zaległości w Izbie, słuchał wielu kolegów mówiących otwarcie, że Heath musi odejść po przegranej w drugich z kolei wyborach powszechnych.

Charles zrozumiał, że w związku z wyborem nowego przewodniczącego najwyższa pora określić własne stanowisko i że znów musi postawić na właściwego człowieka.

Andrew Fraser wrócił do Londynu po morderczej i nieprzyjemnej kampanii. Szkoccy nacjonaliści atakowali go bez pardonu, a wystąpienia Jocka McPhersona ocierały się o zniesławienie i obławę. Sir Duncan odradził synowi wkroczenie na drogę sądową.

- Oddałbyś im tylko przysługę - przestrzegł. - Małe partie zawsze zyskują na rozgłosie.

Louise namawiała, żeby powiadomił prasę o propozycji objęcia przywództwa Szkockiej Partii Narodowej, ale Andrew uznał, że nic by to nie dało, a nawet mogłoby obrócić się przeciwko niemu. Przypomniał jej, że dał przecież słowo. W ostatnim tygodniu kam-

panii wiele czasu zajęły mu daremne zabiegi, by nie dopuścić do wyboru Franka Boyle'a - komunisty z Glasgow, który niedawno osiadł w Edynburgu - do komitetu administracyjnego Partii Pracy. W dniu wyborów udało mu się zgromadzić o 1656 głosów więcej niż Jockowi McPhersonowi. Wyglądało na to, że zapewnił sobie mandat na kolejne pięć lat, ale zadowolenie mącił fakt, że szkoccy nacjonałiści zwiększyli swój stan posiadania w Izbie do jedenastu miejsc.

W niedzielę wieczorem Andrew, Louise i Robert odlecieli do Londynu, gdzie czekał czerwony ministerialny kuferek oraz wiadomość, że premier spodziewa się dalszego pełnienia przez Andrew obowiązków w resorcie spraw wewnętrznych.

Simon przeżył wspaniałą kampanię. W dniu ogłoszenia terminu wyborów oboje z Elizabeth rozpoczęli przeprowadzkę do nowego domu. Elizabeth musiała wprawdzie dojeżdżać do pracy, ale szpitalna pensja umożliwiła zatrudnienie niani. Na początek wystarczyło im duże łóżko i dwa krzesła. Elizabeth gotowała na starej kuchence, korzystając z zapasów popakowanych w skrzynie po herbacie. Wszystko, co się dało, jedli tymi samymi dwoma widelcami. Podczas kampanii Simon objechał po raz drugi dwieście mil kwadratowych swojego okręgu, zapewniając żonę, że wystarczy, jeśli weźmie urlop ze szpitala na ostatni przedwyborczy tydzień.

Mieszkańcy Pucklebridge odesłali Simona Kerlake'a do parlamentu z największą przewagą - 18 419 głosów - w dziejach okręgu. Doszli bowiem do przekonania, że mają posła, któremu pisana jest gabinetowa przyszłość.

Kate trzymała język na wodzy, kiedy w poniedziałek wieczór stało się oczywiste, że premier nie zaproponuje Raymondowi stanowiska w nowej administracji. Usmażyła mu na kolację ulubiony rostbef, przygotowała Yorkshire pudding, ale on jakby tego nie zauważył i prawie wcale się nie odzywał.

Rozdział osiemnasty

Po tygodniu pracy w parlamencie Simon doświadczył uczucia déjà vu, które często jest udziałem posłów wracających do Izby. Wrażenie było tym silniejsze, że nie dało się zauważyć żadnych zmian, nawet przy wejściu dla posłów powitał go ten sam policjant. Kiedy Edward Heath ogłosił skład gabinetu cieni, Simon nie zdziwił się, że został pominięty, gdyż nigdy nie wyrażał poparcia dla obecnego lidera torysów. Z zaintrygowaniem, choć nie bez przyjemności, odnotował, że nazwisko Charlesa Seymoura również nie znalazło się na opublikowanej liście.

- Nie żałujesz, że odrzuciłeś propozycję wejścia w skład ekipy Heatha? - spytała Fiona odrywając się od lektury „Daily Mail”.

- Decyzja nie była łatwa, ale na dłuższą metę powinna okazać się słuszna - odparł Charles smarując masłem grzanekę.

- Co ci w końcu zaoferował?

- Ministra przemysłu w gabinecie cieni.

- Brzmi interesująco.

- Jest interesująca, ale nie finansowo. Pamiętaj, że jako prezes banku mam czterdzieści tysięcy funtów rocznie.

Fiona złożyła gazetę.

- Przecież zatrudniłeś dyrektora naczelnego, który zdejmie z ciebie część obowiązków, więc będziesz miał więcej czasu niż w chwili obejmowania prezesury. Jaki jest prawdziwy powód?

Charles nie po raz pierwszy przekonał się, że Fiony nie można łatwo zbyć.

- Mam spore wątpliwości, czy Ted poprowadzi nas do następnych wyborów - przyznał.

- Jeśli nie on, to kto?

- Ten, komu starczy odwagi stawić mu czoło.

- Niezupełnie cię rozumiem - powiedziała Fiona i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Wszyscy przyznają, że musi poddać się wewnątrzpartyjnemu głosowaniu, skoro dwa razy przegrał wybory powszechne.

- Słusznie.

- A ponieważ w ciągu ostatnich dziesięciu lat przydzielał stano-

wiska w gabinecie albo gabinecie cieni wszystkim ewentualnym rywalom, jeden z mianowanych kiedyś przez niego ludzi musi wystąpić przeciw niemu. Nikt o niższej pozycji w parlamencie nie miałby szans.

- Czy któryś z członków gabinetu cieni zechce zgłosić swoją kandydaturę? - spytała Fiona znów siadając po przeciwnej stronie stołu.

- Paru się nad tym zastanawia, ale rzecz w tym, że przegrana przekreślałaby dalszą karierę polityczną - odparł Charles składając serwetkę.

- A wygrana?

- Ten, kto wygra, zapewne zostanie premierem.

- Ciekawe. A ty co zrobisz?

- Na razie nikogo nie popieram, ale oczy mam szeroko otwarte - powiedział Charles, złożył „Timesa” i wstał.

- Czy jest jakiś faworyt? - spytała Fiona spoglądając na męża.

- Właściwie nie. Wprawdzie Kerslake stara się zyskać jak najwięcej zwolenników dla Margaret Thatcher, ale ten pomysł wydaje się z góry skazany na niepowodzenie.

- Kobieta na czele torysów? Nie macie dość wyobraźni, żeby zaryzykować taki krok - powiedziała Elizabeth próbując sosu. - Jeśli do tego dojdzie, to publicznie, na konferencji partyjnej, zjem swój jedyny torysowski kapelusz.

- Nie bądź taka sceptyczna, Elizabeth. Z nią mamy największe szanse.

- A jakie są szanse, że Ted Heath odejdzie? Zawsze myślałam, że przewodniczący trwa na stanowisku, aż wpadnie pod przysłowiowy autobus. Nie znam dobrze Heatha, ale nie wyobrażam sobie, żeby złożył rezygnację.

- Zgadzam się z tobą - odparł Simon. - A zatem Komitet 1922 będzie musiał zmienić regulamin.

- Chcesz powiedzieć, że konserwatyści z tylnych ław nakłonią go do odejścia?

- Nie, ale wielu członków Komitetu jest w takim stanie ducha, że zgłosiłoby się na ochotnika na kierowcę tego autobusu.

- Jeżeli to prawda, na pewno zdaje sobie sprawę, że ma niewielkie szanse utrzymania swojej pozycji.

- Chyba żaden przywódca nie zdaje sobie z tego sprawy - odparł Simon.

- W przyszłym tygodniu powinienes pojechać do Blackpool - powiedziała Kate podpierając się łokciem na poduszce.

- Dlaczego właśnie do Blackpool? - zapytał Raymond patrząc w sufit.

- Bo tam, Marchewkowy Wiechciu, odbywa się tegoroczna konferencja Partii Pracy.

- A co, twoim zdaniem, mógłbym tam osiągnąć?

- Zobaczyliby, że żyjesz. W tej chwili w kołach związkowych istniejesz tylko pod postacią plotek.

- Ale ktoś, kto nie jest ani ministrem, ani przywódcą związkowym, przez cztery dni konferencji marnie je, kiepsko śpi i oklaskuje słabe przemówienia.

- Nie interesuje mnie, gdzie złożysz swoją spracowaną głowę, ale chcę, żebyś w ciągu dnia odnowił dawne kontakty.

- Po co? Oni nie mają wpływu na moją karierę.

- Chwilowo nie - przyznała Kate. - Ale przewiduję, że pewnego dnia Partia Pracy wybierze przywódcę na konferencji partyjnej, podobnie jak robią to moi rodacy, Amerykanie, na konwencjach.

- Wykluczone - zaprzeczył Raymond. - To jest i pozostanie przywilejem pochodzących z wyboru członków Izby Gmin.

- Takiego krótkowzrocznego, pompatycznego stwierdzenia spodziewałabym się po republikaninie - powiedziała i zakryła mu twarz poduszką. Raymond udał, że się dusi, więc uniosła róg i szepnęła mu do ucha: - Czytałeś wnioski, które mają być omawiane w tym roku?

- Co poniektóre - odpowiedział stłumionym głosem.

- Więc dobrze byś zrobił, gdybyś zapoznał się z wnioskiem złożonym przez pana Anthony'ego Wedgwooda Benna - rzekła podnosząc poduszkę.

- A cóż on takiego zamierza?

- Apeluje do „konferencji”, jak uparcie nazywa wasze bractwo, żeby zażądała nowych zasad wyboru lidera poprzez głosowanie w kolegium elektorskim utworzonym przez delegatów z okręgów, ru-

chu związkowego i parlamentu, w takiej właśnie kolejności, o ile się nie mylę.

- Obłąd. Ale trudno się dziwić. Ma żonę Amerykankę.
 - Każdy ekstremista z czasem przechodzi na pozycje umiarkowane - odparła Kate wesoło.
 - Typowo amerykańskie uogólnienie.
 - Benjamin Disraeli, jeśli chcesz wiedzieć.
- Raymond zakrył twarz poduszką.

Andrew zawsze uczestniczył w konferencji partyjnej, choć w żadnym razie nie głosowałby za wnioskiem Benna dotyczącym sposobu wybierania przywódcy. Obawiał się, że gdyby dano związkom taką władzę, mogłyby wybrać lidera zupełnie nie odpowiadającego oczekiwaniom kolegów z Izby Gmin. Odetchnął więc z ulgą, kiedy wniosek został odrzucony, ale zwrócił uwagę, że przeciwnicy nie stanowili wcale przytłaczającej większości.

Nawet jako minister Andrew dostał w Blackpool tylko mały pokój w pensjonacie udającym hotel, w dodatku dwie mile od sali obrad. Najazd czterech tysięcy ważnych osobistości na nadmorską miejscowość powodował, że wiele osób musiało się obyć bez przydenckiego apartamentu.

Andrew nie mógł zaniedbać ministerialnych obowiązków, o których przypominały regularnie dostarczane i odbierane czerwone kufierki, a jednocześnie starał się pokazywać na konferencji. Przez pół dnia wisiał przy telefonie w hallu hotelowym, łącząc się z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych na koszt odbiorcy. Nie uwierzyłyby w to żaden obywatel Związku Radzieckiego, zwłaszcza gdyby mu powiedziano, że zajmujący sąsiedni pokój minister obrony krążył w tym czasie po korytarzu czekając, aż zwolni się telefon.

Andrew nigdy nie przemawiał do trzech tysięcy delegatów na konferencji partyjnej. Nawet ministrowie z gabinetu wchodziłi na mównicę najwyżej na dziesięć minut, o ile nie byli członkami krajowej egzekutywy. Ciało to składało się głównie z przywódców większych central związkowych i przeszło połowa członków laburzystowskiego gabinetu nie znalazła w nim miejsca.

Wychodząc z porannej sesji Andrew natknął się zdziwiony na Raymonda Goulda, który błąkał się nie wiedząc, co z sobą począć.

Powitali się jak dwaj przytomni ludzie w domu wariatów i postanowili zjeść razem lunch w River House, ulubionej restauracji Andrew, kilka mil od Blackpool.

Chociaż obaj pracowali w parlamencie niemal od dziesięciu lat, dopiero teraz przekonali się, jak wiele ich łączy. Andrew nie uważał się nigdy za przyjaciela Raymonda, ale zawsze podziwiał stałość jego poglądów na temat dewaluacji.

- Musiałeś poczuć się rozczarowany, że premier nie zaprosił cię do rządu - zaczął Andrew, kiedy usiedli przy barze.

Raymond wbił wzrok w kartę.

- Bardzo - przyznał po chwili. Podeszła kelnerka i przyjęła zamówienie,

- Mądrze zrobiłeś, że tu przyjechałeś. Tu bije źródło twojej siły.

- Tak uważasz?

- Daj spokój. Przecież każdy wie, że jesteś bożyszczem związkowców, a oni nadal mają wpływ na to, kto zasiądzie w gabinecie.

- Nie zauważyłem - rzekł ponuro Raymond.

- Zauważysz, kiedy wybiorą nowego przywódcę.

- Zabawne, dokładnie to samo powiedziała... Joyce.

- Rozsądna dziewczyna. Obawiam się, że stanie się to za naszej kadencji parlamentarnej.

Bill Scott, restaurator, podszedł i zaprosił ich do stolika w mniejszej sali jadalnej.

- Skąd te obawy? - zapytał Raymond siadając.

- Umiarkowani demokraci mojego pokroju skończą jak suche liście w płomieniach ogniska.

- Ja też mam umiarkowane poglądy, a w niektórych kwestiach wręcz prawicowe.

- Możliwe. Ale każda partia potrzebuje człowieka takiego jak ty, a w chwili obecnej przywódcom związkowym nie przeszkadzałoby, gdybyś był zdeklarowanym faszystą, i tak by cię poparli.

- To dlaczego bierzesz udział w konferencji?

- Dzięki Bogu można tu jeszcze posłuchać, co myślą szeregowi związkowcy. Żyję nadzieją, że ekstremiści z lewicy nie będą nigdy znaczyli więcej niż nieznośne dzieci, do których muszą się przyzwyczajać dorośli.

- Miejmy nadzieję, że masz rację, bo oni naprawdę nigdy nie dojrzeją - podsumował Raymond. Andrew roześmiał się, a Ray-

mond znów spochmurniał. - Zazdroszczę ci stanowiska w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Nie wybrałem zawodu polityka, żeby przesiedzieć całe życie w ostatniej ławce.

- Nadejdzie jeszcze dzień, kiedy to ja będę zazdrościł tobie siedząc w tylnej ławie - odparł Andrew.

Przechodzący obok przewodniczący Związku Kotlarzy zawołał:

- Miło cię widzieć, Ray.

Nie okazał, że poznaje Andrew. Raymond obrócił się z uśmiechem i pomachał ręką naszym Cezar Kasjuszowi.

Ponieważ nie mieli chęci ani na pudding z figami i orzechami, ani na deser o nazwie Pawłowa, Andrew zaproponował brandy.

- Przekonasz się, że duża brandy leje się tu do gardeł częściej niż na konferencjach konserwatystów. Zapytaj kelnerkę.

- Zdecydowałeś już, na kogo będziesz głosował? - spytała Fiona przy śniadaniu.

- Tak - odparł Charles. - Na tym etapie kariery nie mogę sobie pozwolić na pomyłkę.

- Więc kogo wybrałeś?

- Wobec braku poważnego kontrkandydata, w moim najlepszym interesie leży popierać nadal Teda Heatha.

- Nie ma ani jednego ministra w gabinecie cieni, który odważyłby się stawić mu czoło?

- Chodzą słuchy, że Margaret Thatcher posłuży za kozła ofiarnego. Jeżeli pierwsze głosowanie nie będzie rozstrzygające, wtedy dołączą poważni kandydaci.

- A jeżeli ona wygra pierwszą rundę?

- Nie bądź niemądra, Fiono - rzekł Charles okazując większe zainteresowanie jajecznicą. - Torysi nigdy nie wybraliby kobiety na przywódcę. Jesteśmy zbyt przywiązani do tradycji. Tego rodzaju błąd, świadczący o niedojrzałości, mogłaby popełnić Partia Pracy na dowód wiary w równouprawnienie.

Simon wciąż namawiał Margaret Thatcher, żeby zgłosiła swój akces, czyli, jak mawiano, „rzuciła kapelusz na ring”.

- Ma ich z pewnością pod dostatkiem - powiedziała Elizabeth.

Andrew i Raymond, pełniąc cały czas ministerialne obowiązki, obserwowali z rozbawieniem walkę o władzę w łonie partii torysów. Raymond zlekceważyłby szanse Thatcher, gdyby Kate nie przypomniała mu, że torysi byli pierwszą partią, która wybrała na przywódcę Żyda, a także pierwszą, która wybrała kawalera.

- Dlaczego nie mieliby wybrać kobiety? - zapytała.

Chętnie by się z nią pospierał, ale tyle razy jej przewidywania okazywały się trafne, że dał spokój i powiedział tylko:

- Poczekamy, zobaczymy.

Komitet 1922 ogłosił, że wybory przewodniczącego odbędą się 4 lutego 1975 roku.

W początkach stycznia na konferencji prasowej w Izbie Gmin Margaret Thatcher obwieściła, że wysunie swoją kandydaturę. Simon od razu zaczął zabiegać o poparcie kolegów dla „damy” i przyłączył się do małego komitetu pod wodzą Aireya Neave'a, utworzonego w tym właśnie celu. Charles Seymour ostrzegał przyjaciół, że partia nie ma cienia szans na zwycięstwo w wyborach powszechnych pod przywództwem kobiety. Dni mijały i ostateczny wynik wciąż był niepewny.

O godzinie czwartej, przy wyjątkowo dżdżystej i wietrznej pogodzie, przewodniczący Komitetu 1922 ogłosił wyniki:

MARGARET THATCHER	130
EDWARD HEATH	119
HUGH FRASER	16

Zgodnie z regulaminem Komitetu 1922 zwycięzca musiał uzyskać piętnastoprocentową większość, dlatego konieczna była druga runda. Szef naganiaczy zapowiedział, że odbędzie się za tydzień. Trzech byłych ministrów gabinetu od razu zgłosiło swoje nazwiska, natomiast Ted Heath, po ostrzeżeniu, że w drugiej turze otrzyma mniej głosów, wycofał się.

Simon przeżył najdłuższe siedem dni w swoim życiu. Robił, co mógł, żeby zwolennicy Thatcher się nie rozpierschli. Tymczasem Charles postanowił nie afiszować się ze swoimi preferencjami. Przy drugim głosowaniu postawił krzyżyk przy nazwisku dawnego

przełożonego, ministra handlu i przemysłu. Fionie powiedział, że to człowiek ze wszech miar godny zaufania.

Kiedy głosy zostały podliczone i uznano wynik za ostateczny, przewodniczący Komitetu 1922 ogłosił, że Margaret Thatcher zdecydowanie zwyciężyła, otrzymując 146 głosów, podczas gdy następny w kolejności rywal dostał 79.

Simon nie posiadał się z radości, a Elizabeth miała nadzieję, że zapomni o jej obietnicy zjedzenia kapelusza. Charles osłupiał. Obaj niezwłocznie napisali do nowej przewodniczącej.

11 lutego 1975

Droga Margaret,

Gratuluję zwycięstwa tym goręcej, że jesteś pierwszą kobietą, która stanęła na czele naszej partii. Jestem dumny, że mogłem choć trochę przyczynić się do Twego triumfu. Dołożę starań, byś odniosła sukces w najbliższych wyborach.

Szczerze oddany
Simon

27 Eaton Square London, SW 1 11 lutego 1975 Droga Margaret,
Nie robiłem tajemnicy z poparcia dla Teda Heatha w pierwszej rundzie wyborów, gdyż miałem zaszczyt pracować w jego administracji. Z prawdziwą przyjemnością poparłem Ciebie w drugim głosowaniu. Wybór kobiety, która niewątpliwie zostanie kolejnym premierem Wielkiej Brytanii, świadczy dobitnie o postępowym duchu naszej partii. Zapewniam Cię o swojej lojalności.

Twój
Charles

W ciągu tygodnia Margaret Thatcher odpowiedziała na wszystkie listy od kolegów. Simon otrzymał odręczny list zapraszający do nowej ekipy cieni na stanowisko wiceministra szkolnictwa. Charlesowi doręczono napisany na maszynie liścik z podziękowaniem za wyrazy poparcia.

Rozdział dziewiętnasty

Jeśli bank Seymoura przetrzymał pierwszą wojnę światową, kryzys lat trzydziestych oraz drugą wojnę światową, Charles nie zamierzał dopuścić, by upadł w latach siedemdziesiątych za jego prezesury. Kiedy ulegając zgodnym namowom zarządu zajął fotel zwolniony przez Dereka Spencera, przekonał się, że bycie prezesem nie jest tak lekkim kawałkiem chleba, jak to sobie wyobrażał. Niezachwianie wierzył, że bank utrzyma się na powierzchni mimo trwającej burzy, nie podejmował jednak żadnych ryzykownych kroków. W prasie wciąż porównywano Bank Angielski do „szalupy ratunkowej” i opisywano, jak wyciąga z tarapatów podupadłe instytucje finansowe. Co dzień donoszono o upadłości coraz to innej spółki dla lokaty w nieruchomościach. Minęły czasy, kiedy wartość nieruchomości i czynsze rosły z roku na rok.

Po przyjęciu stanowiska zaproponowanego przez zarząd Charles oznajmił, że należy zaangażować dyrektora naczelnego do nadzorowania spraw bieżących, on sam zaś będzie podtrzymywał kontakty z innymi prezesami w City. Przeprowadził kilka rozmów z ewentualnymi kandydatami na to stanowisko, ale nie znalazł nikogo odpowiedniego. Bardziej zorganizowane poszukiwania wydawały się nieuniknione, ale przed kosztami „łowów na głowę” uchroniła go zasłyszana przypadkiem rozmowa przy sąsiednim stoliku w klubie White'a. Wynikało z niej, że świeżo mianowany dyrektor Pierwszego Banku Amerykańskiego ma dość rozliczania się z każdego znaczka na ekspresowej przesyłce przed zarządem w Chicago.

Nie tracąc czasu Charles zaprosił dyrektora na lunch do parlamentu. Clive Reynolds miał życiorys podobny do Dereka Spencera - ukończył Londyńską Szkołę Ekonomii, Szkołę Handlową Harvarda i wspinał się po szczeblach kariery do stanowiska dyrektora naczelnego Pierwszego Banku Amerykańskiego. Nie przejmując się tymi zbieżnościami, Charles wyjaśnił, że szuka człowieka, kory byłby jego prawą ręką.

Reynolds postawił twarde warunki, co nappełniło Charlesa nadzieją, że będzie postępował podobnie w imieniu banku Seymoura. Ustalono ostatecznie, że Reynolds otrzyma pięćdziesiąt tysięcy funtów rocznie oraz premię od zysków na tyle wysoką, by nie

skusiły go interesy na własny rachunek ani oferty „łowców głów” z innych zakątków dżungli.

- Nie zaprosilibyśmy kogoś takiego na kolację - powiedział Charles do Fiony - ale dzięki niemu będę spał spokojnie wiedząc, że bank jest w dobrych rękach.

Zarząd zatwierdził decyzję Charlesa. Z czasem stało się jasne, że Pierwszy Bank Amerykański stracił cenną ruchomość i to poniżej wartości rynkowej.

Clive Reynolds był z natury ostrożny, ale czasem szedł za nosem, jak to nazywał - czyli podejmował ryzyko, jak mówił Charles - i ponad połowa tych przedsięwzięć okazywała się opłacalna. Utrzymując opinię rozsądnie gospodarnego, bank Seymoura przeprowadził dzięki nowemu dyrektorowi kilka spektakularnych transakcji.

Reynolds odnosił się do zwierzchnika z szacunkiem, ale bez człobitności, i nigdy nie wychodził poza ściśle zawodową płaszczyznę kontaktów.

Jedną z innowacji, jaką zaproponował, było sprawdzanie wszystkich kont z zadłużeniem powyżej 250 000 funtów, na co Charles wyraził zgodę.

- Kiedy przez wiele lat prowadzi się konto jakiejś spółki - wyjaśnił Reynolds - można nie dostrzec, że stary klient zaczyna staczać się po równi pochyłej. Kulawego konia trzeba wyprząc, zanim się wywali. - Metaforą tą Charles posłużył się kilkakrotnie na przyjęciach.

Charles z przyjemnością odbywał poranne narady z Reynoldsem. Dużo uczył się od niego o finansach - dziedzinie, w której dotąd kierował się głosem instynktu i zdrowym rozsądkiem. Szybko poszerzył zakres wiedzy na tyle, aby podczas debat finansowych w parlamencie zabierać głos niczym David Rockefeller. Była to nieoczekiwana korzyść z nowego układu.

O życiu prywatnym Reynoldsa Charles wiedział na dobrą sprawę tyle, ile zawierała notatka w kartotece - wiek: czterdzieści jeden lat, kawaler, zamieszkały w Esher, czyli nie wiadomo właściwie gdzie. Dla Charlesa liczyło się jedynie to, że Reynolds przychodził do banku co najmniej na godzinę przed nim, a wychodził po nim, nawet kiedy nie obradował parlament.

Charles przeczytał uważnie czternaście poufnych raportów o klientach zadłużonych na sumę powyżej 250 000 funtów. Reynolds

wypatrzył już dwie spółki, co do których jego zdaniem bank powinien zrewidować swoją politykę.

Pełną ocenę sytuacji Charles miał przedstawić na zebraniu zarządu, ale zostały mu jeszcze do rozważenia trzy raporty. Ich lekturę przerwało pukanie do drzwi - to Reynolds, jak zwykle o dziesiątej, przyszedł złożyć raport dzienny. W City krążyła plotka, że w czwartek zostanie podniesiona stopa dyskontowa, dlatego Reynolds chciał wyzbyć się dolarów i dokupić złota. Charles skinął głową.

- Po ogłoszeniu nowej stopy dyskontowej - ciągnął Reynolds - najlepiej będzie wrócić do dolarów, w związku ze zbliżającą się rundą negocjacji płacowych ze związkami zawodowymi. A to z kolei wywoła run na funta.

Charles znów skinął głową.

- Uważam, że przy kursie dwa dziesięć dolar jest za słaby - dodał Reynolds. - Jeżeli związki wynegocjują jakieś dwanaście procent, to dolar musi się wzmocnić, powiedzmy do poziomu jeden dziewięćdziesiąt. - Powiedział też, że nie podoba mu się wysoki udział banku w firmie Slater Walker i zaproponował pozbycie się połowy papierów wartościowych w ciągu miesiąca. Należało przeprowadzić tę operację na raty, w nieregularnych odstępach czasu. - Zanim nasze ustalenia przedstawimy zarządowi, trzeba jeszcze przyjrzeć się trzem dużym kontom. Niepokoi mnie struktura wydatków jednej ze spółek, ale dwie pozostałe utrzymują się w niezminionej kondycji. Myślę, że powinniśmy to zrobić razem, kiedy przejrzy pan moje raporty. Może jutro rano, jeżeli pan zdaży, panie prezesie. Wspomniane spółki to: Speyward Laboratories, Blackies Limited oraz Nethercote and Company. Niepokoi mnie Speyward.

- Zabiorę akta do domu - powiedział Charles. - Jutro rano wyrażę swoje zdanie.

- Dziękuję, panie prezesie.

Charlesowi nigdy nie przyszło na myśl, żeby zaproponować Reynoldsowi przejście na ty.

Archie Millbum wydał małe przyjęcie na cześć Simona, który dokładnie od roku reprezentował okręg Pucklebridge w parlamencie. Tego typu uroczystości mają zwykle na celu przedstawienia

nowego posła działaczom partyjnym, ale Simona nie trzeba było nikomu przedstawiać, znał swoją trzódkę lepiej od Archie'ego, który wcale tego nie ukrywał.

Elizabeth, Peter i Michael wiedli spokojny żywot w nowym domu, Simon zaś, zgodnie z przydzieloną rolą w opozycji, objeżdżał placówki oświatowe - przedszkola, szkoły państwowe i prywatne, stare i nowe uniwersytety, uczelnie techniczne i artystyczne, a nawet poprawczaki. Czytał Butlera, Robbinsa i Plowdena, rozmawiał z dziećmi i profesorami psychologii. Po roku miał poczucie, że zaczyna rozumieć tę sferę zagadnień, i wybiegał myślami do wyborów powszechnych, po których mógłby wykorzystać zdobyte doświadczenie w praktyce politycznej.

- Działanie w opozycji musi być frustrujące - powiedział Archie, kiedy panie zostawiły panów samych.

- Owszem - odparł Simon - ale świetnie przygotowuje do pracy w rządzie. Wiele rzeczy można dokładnie przemyśleć. Nie miałem czasu na taki luksus, kiedy byłem ministrem.

- Na pewno różni się to bardzo od sprawowania urzędu - rzekł Archie przycinając cygaro.

- Tak. Kiedy jest się w rządzie, sztab urzędników nie pozwala palcem kiwnąć i nie daje chwili na zastanowienie. Natomiast w opozycji można przemyśleć strategię działania, chociaż nieraz trzeba samemu przepisywać listy na maszynie.

Archie podsunął Simonowi butelkę porto.

- Cieszę się, że dziewczyny wyszły - Archie mówił konspiracyjnym szeptem. - Chciałem ci powiedzieć, że z końcem roku postanowiłem zrezygnować z funkcji przewodniczącego.

- Dlaczego? - zdziwił się Simon.

- Za mojej kadencji zostałeś wybrany i zadomowiłeś się tutaj. Pora, żeby ktoś młodszy przejął pałeczkę.

- Przecież jesteś w moim wieku.

- Trudno zaprzeczyć, ale Bogiem a prawdą za mało czasu poświęcam firmie, co stale mi wypominają w zarządzie. Nie muszę ci tłumaczyć, że czasy są nielekkie.

- Polityka to smutne zajęcie. Ledwie kogoś bliżej się pozna, zaraz trzeba się żegnać.

- Nie martw się. Nie zamierzam się stąd wyprowadzać. A jestem przekonany, że będziesz moim deputowanym jeszcze co najmniej

przez dwadzieścia lat, a wtedy z radością przyjmę od ciebie zaproszenie na kolację na Downing Street.

- Może się okazać, że gospodarzem pod Numerem Dziesięć zostanie Charles Seymour. - Simon przypalał cygaro.
- Wówczas nie zostanę zaproszony - odpar Archie z uśmiechem.

Charles nie mógł spać po dokonaniu niespodziewanego odkrycia i przewracał się z boku na bok wybijając ze snu Fionę. Kiedy czekał na kolację, otworzył teczkę spółki Nethercote. Pierwszą rzeczą, jaką robił w takich wypadkach, było przejrzenie nazwisk dyrektorów wchodzących w skład zarządu. Nie natknął się na nikogo znajomego, dopóki jego oko nie spoczęło na wpisie: „S. J. Kerlake, poseł”. Uslugująca przy stole kucharka była pewna, że panu Seymourowi nie smakuje główne danie, bo prawie go nie tknął.

Zaraz po przybyciu do banku wezwał dyrektora naczelnego. Niebawem zjawił się Reynolds, wyjątkowo nie obciążony dokumentami, za to zdziwiony, że prezes tak wcześnie, kilka minut po nim, zawitał w pracy. Kiedy usiadł, Charles otworzył teczkę, którą miał przed sobą, i zapytał:

- Co pan wie o firmie Nethercote and Company?
- Spółka prywatna. Wartość aktywów netto prawie dziesięć milionów funtów. Zaciągnięty kredyt na siedem milionów funtów, z czego obsługujemy połowę. Spółka jest sprawnie zarządzana, ma dobrych dyrektorów, w moim przekonaniu upora się z obecnymi kłopotami i będzie prędko wykupiona po ogłoszeniu sprzedaży akcji.
- Jaka część spółki jest naszą własnością?
- Siedem i pół procent. Bank Seymoura nigdy nie przejmuje na własność ośmiu procent, jak pan prezes dobrze wie, ponieważ musielibyśmy wówczas zgłosić udział finansowy w spółce zgodnie z paragrafem dwudziestym trzecim ustawy skarbowej. Kierujemy się zasadą inwestowania w dużych przedsiębiorców, unikając jednocześnie zbytniego zaangażowania w ich działalność.
- Kto jest ich głównym finansistą?
- Bank Midland.
- Co by się stało, gdybyśmy wystawili te siedem i pół procent na sprzedaż i zamiast przedłużyć uprawnienie kredytowe pod koniec kwartału, zażądali spłaty długu?

- Byliby zmuszeni poszukać innego źródła finansowania.
- A gdyby nie mogli go znaleźć?
- Musieliby zacząć sprzedawać aktywa, co w tak przymusowej sytuacji wiązałoby się ze stratami albo nawet byłoby niemożliwe przy obecnej koniunkturze.

- A potem?
- Musiałbym zajrzeć do teczki i...

Charles podał mu teczkę i Reynolds marszcząc brwi zagłębił się w dokumentach.

- Już mają problemy z przepływem gotówki z powodu nieściągalnych długów. Raptowny wzrost roszczeń finansowych mógłby ich pograżyć. Stanowczo odradzam takie posunięcie, panie prezesie. Nethercote and Company dowiedli, że zasługują na zaufanie. Myślę, że możemy spodziewać się znacznego zysku, kiedy ich akcje będą notowane na giełdzie.

- Z powodów, których nie mogę wyjawic - oznajmił Charles - mam poważne obawy, że dalsze zaangażowanie na rzecz tej spółki może stać się przyczyną kłopotów finansowych banku Seymoura.

Reynolds spojrział zdziwiony.

- Poinformuje pan bank Midland, że nie przedłużymy tej pożyczki na następny kwartał.

- Będą zmuszeni poszukać innego banku do podzielenia się ryzykiem. Midland w żadnym razie nie weźmie na swoje barki całej sumy.

- Proszę też bezwzględnie pozbyć się tych siedmiu i pół procent naszych udziałów.

- Ale to może wywołać kryzys zaufania do spółki.

- Niech więc tak się stanie - powiedział Charles zamykając teczkę.

- Uważam jednak, że...

- Na razie to wszystko, panie Reynolds.

- Tak, panie prezesie - przytaknął zdziwiony dyrektor.

Nie sądził, że szef jest zdolny do irracjonalnych zachowań. Odwrócił się w stronę drzwi. Gdyby się obejrzał, zdumiałby go uśmiech na twarzy Charlesa Seymoura.

- Podcięli nam nogę - stwierdził gniewnie Ronnie Nethercote.
- Kto? - zapytał Simon, który wszedł właśnie do pokoju.
- Bank Midland.
- Dlaczego to zrobili?
- Jakiś udziałowiec bez ostrzeżenia wystawił na sprzedaż cały pakiet akcji i Midland zaniepokoił się swoją sytuacją. Nie są przygotowani do utrzymania tak dużego salda debetowego bez pomocy z zewnątrz.
- Widziałeś się z dyrektorem? - zapytał zdenerwowany Simon.
- Tak, ale on nic nie może zrobić. Ma ręce związane dyrektywą zarządu - wyjaśnił Ronnie garbiąc się w fotelu.
- Bardzo źle to wygląda?
- Dali mi miesiąc na znalezienie innego banku. Albo to, albo zacznę sprzedawać aktywa.
- Co się stanie, jeżeli nie uda nam się znaleźć innego banku? - dopytywał zrozpaczony Simon.
- Po kilku tygodniach spółka zbankrutuje. Znasz może jakiegoś bankiera, który szuka dobrej lokaty kapitału?
- Tylko jednego, ale po nim nie spodziewam się pomocy.

Charles zadowolony odłożył słuchawkę. Czy w ogóle można jeszcze utrzymać cokolwiek w tajemnicy, pomyślał. W ciągu niespełna godziny udało mu się zdobyć informację o wysokości zadłużenia Kerslake'a. „Poufna wiadomość między bankierami”, zapewnił swojego rozmówcę. Uśmiechał się jeszcze, gdy Reynolds zapukał.

- W Midlandzie nie byli zadowoleni - z miejsca powiadomił szefa.
- Przejdzie im - odparł Charles. - Co słyhać u Nethercote'a?
- Na razie to tylko pogłoska, ale wszyscy wiedzą, że ma kłopoty i prezes spółki szuka nowego sponsora - powiedział beznamiętnie Reynolds. - Największa trudność w tym, że w obecnych czasach wszyscy z daleka omijają spółki dla lokaty w nieruchomościach.
- Czy kiedy upadną, nie moglibyśmy pozbierać tego, co z nich zostanie, i zgarnąć duży zysk?
- Zabrania tego paragraf przemycony przez pański rząd w ustawie skarbowej trzy lata temu. Przewidziana jest wysoka kara grzywny, a nawet odebranie licencji bankierskiej.

- Rzeczywiście, przypominam sobie. Szkoda. Jak długo, pana zdaniem, utrzymają się?

- Jeżeli przez miesiąc nie znajdą sponsora - odparł Reynolds pocierając gładką szczękę - wierzyciele zlecą się jak szarańcza.

- Czy akcje nie mają żadnej wartości? - zapytał Charles jak gdyby nigdy nic.

- Nie są warte papieru, na którym je wydrukowano, przynajmniej w tej chwili. - Reynolds uważnie przyglądał się pryncypałowi.

Tym razem nie uszedł uwagi Reynolds'a uśmiech Charlesa, który pomyślał o Simonie Kerlake'u i jego zadłużeniu na sto osiem tysięcy funtów, mającym pokrycie w bezwartościowych akcjach. Zanościło się na to, że Pucklebridge poszuka sobie nowego deputowanego.

Kiedy przez cały miesiąc żaden bank nie przybył na ratunek, Ronnie Nethercote dał za wygraną, ogłosił bankructwo i poprosił o wyznaczenie syndyka masy upadłościowej. Nadal miał nadzieję, że spłaci wierzycieli, mimo że należące do niego i pozostałych członków zarządu akcje były bez wartości. Dalszymi losami Simona przejmował się nie mniej niż sobą przewidując, że syndyk nie pozwoli udzielić pomocy pojedynczemu człowiekowi.

Elizabeth nie wyrzekła, kiedy Simon o wszystkim jej opowiedział. Od początku czuła, że tak się może skończyć udział męża w zarządzie spółki Nethercote'a.

- Czy Ronnie nie mógłby pomóc? - spytała. - Popierałeś go przecież przez tyle lat.

- Nie - odparł Simon nie przyznając się, kogo naprawdę należy winić za finansowe fiasko.

- Czy każdy bankrut musi bezwarunkowo wycofać się z parlamentu? - brzmiało następne pytanie.

- Nie, ale zrobię to, ponieważ nie brano by mnie pod uwagę przy awansach. Przyłgnie do mnie etykiетка „nierozważny”.

- To niesprawiedliwe, skoro w niczym nie zawiniłeś.

- Tych, którzy chcą zająć wyżej, obowiązują inne zasady.

- Ale z pewnością z czasem...

- Nie zamierzam przez dwadzieścia lat przesiadywać w ostatniej ławie i słuchać, jak inni szepczą po kątach: „Zaszedłby do gabinetu, gdyby nie...”

- Czy to znaczy, że będziemy musieli zabrać chłopców ze szkoły?
- Niestety - rzekł Simon. Drżały mu ręce. - Nawet gdybym zdobył pieniądze, syndyk nie uzna kształcenia dzieci w płatnej szkole za konieczność życiową bankruta.
- Z niani też trzeba będzie zrezygnować?
- Niekoniecznie, ale będziemy musieli zacisnąć pasa, żeby zatrudnić ją chociaż w niepełnym wymiarze godzin.
- Ale moja praca w szpitalu... - zaczęła Elizabeth i urwała. - I co dalej?
- Muszę powiadomić dziś Millburna. Napisałem już rezygnację, którą mu wręcę. Na poniedziałek umówię się z szefem naganiaczy, żeby wyjaśnić, dlaczego chcę prosić o stanowisko zarządcy w Chiltern Hundreds.
- A co to takiego?
- Jedyne, poza łóżem śmierci, sposobem opuszczenia parlamentu w czasie sesji. To nominalny urząd podlegający Koronie, a więc automatycznie wykluczający członkostwo w parlamencie.
- Czcza formalność.
- Niestety powiązana z kłopotliwą koniecznością wyborów uzupełniających w Pucklebridge.
- Czy nikt nie może ci pomóc?
- Nie spotyka się na co dzień ludzi, którzy lekką ręką wydadzą sto osiem tysięcy funtów na plik bezwartościowych akcji.
- Chcesz, żebym pojechała z tobą do Archie'ego? - spytała Elizabeth wstając.
- Nie, kochanie. Miło, że pytasz, ale to ja sam zrobiłem z siebie głupca.
- Elizabeth pochyliła się i odgarnęła mu włosy z czoła. Spozobregła srebrne nitki, które musiały pojawić się w ciągu ostatnich kilku tygodni.
- Utrzymamy się na razie z mojej pensji, a ty poszukasz pracy - powiedziała.
- Simon pojechał do Pucklebridge uprzedziwszy o nagłej wizycie przewodniczącego tamtejszych konserwatystów. Stojąc w ogródku, podparty pod boki, Archie Millburn ze smutkiem wysłuchał opowieści Simona.
- Takie wpadki zdarzają się ostatnio wielu porządnym ludziom w City - rzekł. - Ale nie rozumiem jednego: jeżeli spółka mt

pierwszorzędne nieruchomości, to dlaczego nikt nie złożył oferty jej przejęcia? To wymarzony obiekt dla łowców aktywów.

- Zdaje się, że to kwestia zaufania - odparł Simon.

- Święte słowo w City - przyznał Archie przycinając swoje roselvelty i pąsowe kochanki.

Simon wręczył pisemną rezygnację, którą Millburn przeczytał i z ociąganiem przyjął.

- Nie wspomnę o tym nikomu przed twoją rozmową z szefem na ganiaczy w poniedziałek. Na wtorek wieczór zwołam nadzwyczajne zebranie i dopiero wtedy powiadomię komitet o twojej decyzji. Przygotuj się na nieprzyjazny atak prasy we wtorek wieczorem.

Podali sobie ręce.

- Twoja zła dola jest naszą złą dolą - powiedział Archie. - Tak krótko byłeś wśród nas, a mimo to zyskałeś sympatię i uznanie tutejszych mieszkańców. Będzie nam ciebie brakowało.

Simon ruszył z powrotem do Londynu. W samochodzie brzęczało radio, ale nie słuchał go i dlatego pozostał obojętny na powtarzaną co pół godziny wiadomość dnia.

Rozdział dwudziesty

Raymond był jednym z pierwszych, którzy usłyszeli obwieszczenie, i zdumiał się ogromnie. Harold Wilson zamierzał złożyć rezygnację przed upływem połowy pięcioletniej kadencji parlamentarnej i to bez żadnego oczywistego powodu poza faktem ukończenia sześćdziesięciu lat. Zapowiedział, że będzie pełnił funkcje premiera do czasu, kiedy Partia Pracy wybierze nowego przywódcę. Raymond i Kate siedzieli jak przykuci przed telewizorem i do późnej nocy rozmawiali o skutkach tej rezygnacji.

- Jak myślisz, Marchewkowy Wiechciu, czy to może oznaczać powrót naszego zapomnianego bohatera?

- Bo ja wiem?

- Jeśli ty nie wiesz, to kto będzie wiedział?

- Następnym przywódca - odparł Raymond.

W walce o władzę doszło do bezpośredniego starcia między Michaeliem Footem z lewego skrzydła partii i Jamesem Callaghanem z prawego. Zarówno Andrew jak Raymond popierali Callaghana, który wprawdzie przegrał w pierwszym głosowaniu, ale ostatecznie wybrano go na lidera. Królowa niezwłocznie wezwała go do siebie i poleciła utworzyć nowy rząd.

Czyniąc zadość tradycji, Andrew, podobnie jak inni członkowie rządu, przesłał na Downing Street rezygnację z zajmowanego stanowiska, żeby nowy premier miał swobodę wyboru współpracowników.

Raymond słuchał podsumowania sędziego głównego, kiedy młodszy adwokat podsunął mu kartkę: „Proszę jak najszybciej zadzwonić na Downing Street 10”. Sędzia drobiazgowo wyjaśniał ławie przysięgłych prawniczą definicję terminu zabójstwo i dopiero po pół godzinie Raymondowi udało się wymknąć z sali. Pobiegł korytarzem do służbowych telefonów na zapleczu. Po każdej wykreczonej cyfrze plastikowa tarcza cofała się nieprawdopodobnie wolno.

Po trzech wewnętrznych połączeniach usłyszał wreszcie charakterystyczny, chropawy głos nowego premiera.

- Dzień dobry, Ray. Pora, żebyś wszedł do rządu...

Raymond wstrzymał oddech.

... - jako minister stanu do spraw handlu.

Minister stanu - szczebel przed członkostwem w gabinecie.

- Jesteś tam jeszcze?

- Tak, panie premierze. Z radością przyjmuję propozycję.

Odłożył słuchawkę, znowu podniósł i wykrecił numer londyńskiej filii banku Chase Manhattan. Połączył się z kierowniczką działu euroobligacji.

Andrew wstał od biurka w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i pojechał na Cheyne Walk. Trzymał się z dala od Izby Gmin, gdzie kularowi korespondenci czyhali jak hieny na najmniejszy strzępek pogłoski, by pobiec do telefonu i przekazać informacje do redakcji. Po utworzeniu nowego gabinetu przyszła kolej na powołanie na urzędy ministrów stanu. Andrew wiedział tylko tyle, że jego stanowisko w MSW przypadło komuś innemu.

- Może pograsz w piłkę z Robertem? - zaproponowała Louise. - I przestaniesz kręcić mi się pod nogami.

- Tak, tato, tak, tato, tak, tato - zawołał syn biegnąc na górę.

Po chwili zjawił się w stroju piłkarza Liverpoolu, kupionym za ciężko zaoszczędzone kieszonkowe z jedenastu tygodni.

- Idź, Andrew. Zawołam cię przecież, jeśli ktoś zadzwoni.

Andrew uśmiechnął się, zdjął marynarkę i włożył stare tenisówki, które przyniósł mu Robert. Kiedy wyszedł do ogrodu, maluch dryblował już na wąskim trawniku między rabatkami. Na końcu trawnika stała bramka piłkarska, którą kupił Robertowi pod choinkę. A może dla siebie? Andrew zawsze bronił pierwszy, a potem się zmieniali. Czekaając na dryblującego syna, zatarł ręce dla rozgrzewki i wyszedł przed bramkę. Robert kopnął piłkę w prawo i pobiegł w lewo, a kiedy ojciec rzucił się jak długi na ziemię, lekko strzelił gola.

- To się nazywa zwód - zawołał triumfalnie, obiegając rozpostar tego na trawie ojca.

Andrew dźwignął się z ziemi.

- Wiem, jak to się nazywa - rzekł ze śmiechem. - Zapomniałeś chyba, kto cię tego nauczył. Zobaczymy, czy ci się to uda dwa razy pod rząd - dodał stając znów w bramce.

Robert odprowadził piłkę na drugi koniec ogrodu, odwrócił się i znów ruszył do ataku. W tym momencie rozległ się dzwonek telefonu. Andrew spojrział w stronę domu i dostał w twarz kopniętą zamasyście piłką. Zatoczył się do tyłu i razem z piłką wylądował w bramce.

Louise otworzyła kuchenne okno i zawołała:

- To tylko moja mama.

- Obudź się, tato - zażądał stanowczo Robert.

Twarcz piekła Andrew od uderzenia.

- Zaraz cię dostanę - zapowiedział. - Stawaj na bramce.

Robertowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. W mgnieniu oka znalazł się między słupkami i zaczął podskakiwać usiłując dosięgnąć poprzeczki. Andrew niespiesznie zbliżał się do syna. Parę kroków przed nim zrobił zwód na prawo i pobiegł w lewo, ale Robert spostrzegł, co się święci, i rzucił się na piłkę z okrzykiem:

- Nie ma gola!

Andrew wycofał się na drugi koniec trawnika, obmyślając nowe

zagranie. Bez uprzedzenia pobiegł prosto na Roberta i kopnął piłkę w prawy róg bramki. I tym razem Robert popisał się bystrością, złapał piłkę nad głową, przycisnął do piersi i zawołał:

- Nie ma gola, tato, nie ma gola!

Z rozmachem rzucił piłkę, która poturlała się ojcu pod nogi.

- Dobrze, koniec zabawy- rzekł Andrew bez głębokiego przekonania. Zaczął podbijać piłkę raz jedną, raz drugą nogą, starając się, żeby wypadło to efektownie.

- Szybciej, tato - niecierpliwił się Robert.

Andrew z zaciętą miną ruszył naprzód. Przyśpieszył, żeby zmusić syna do przedwczesnego wysunięcia się z bramki. Tak też się stało. Andrew kopnął piłkę mocniej i wyżej niż poprzednio. W tej chwili usłyszał dzwonek telefonu i się obejrzał. Nie widział, jak piłka odbiła się od słupka.

- Dzwoni premier - zawołała Louise przez okno.

Andrew obrócił się w stronę domu i kątem oka spostrzegł piłkę odbijającą się po dróżce w kierunku ulicy. Robert biegł do otwartej na oścież furtki.

- Złapię ją, tato, złapię.

- Nie - krzyknął Andrew ile sił w płucach i puścił się pędem za synem.

Louise zamarła w oknie, cały czas trzymając słuchawkę telefonu. Widziała, jak Andrew pędzi za synem i dogania go tuż przed chodnikiem. Piłka wyskoczyła na drogę i Robert rzucił się za nią na ułamek sekundy przed ojcem, który nakrył go swoim ciałem.

Tylko Louise widziała, jak kierowca wielkiej cysterny Shella gwałtownie hamuje i skręca - za późno. Szeroki błotnik uderzył Andrew i Roberta, odrzucając ich do tyłu, aż przeturlali się kilka razy.

- Jesteś tam, Andrew? - spytał premier.

Louise puściła słuchawkę i wybiegła z kuchni. Mąż leżał nieruchomo w rynsztoku, trzymając w ramionach syna, który przyciskał do piersi piłkę. Próbowwała ich objąć. Krew Andrew wsiąkała w czerwoną koszulkę Roberta i ściekała na gumowe rękawiczki Louise.

Louise klęknęła przy krawężniku.

- Boże, pozwól im żyć - szepnęła.

Robert popłakiwał cicho nie puszczając piłki i wpatrując się

nieprzytomnego ojca. Louise musiała się pochylić, żeby usłyszeć, jak powtarza:

- Nie ma gola, tato, nie ma gola.

Kiedy dwa dni później „Times” opublikował listę nazwisk nowych ministrów, znalazło się na niej jedno nieobsadzone stanowisko: minister stanu do spraw obrony. Redaktor polityczny „Timesa”, David Wood, wyraził przypuszczenie, że jest to wakat czekający na pana Andrew Frasera, który pod koniec tygodnia miał opuścić szpital. Wood zakończył artykuł słowami:

„Politycy wszystkich partii jednogłośnie podziwiali wielką odwagę pana Frasera, który rzucił się przed nadjeżdżającą cysterne, by ratować jedynego syna, Roberta, który gonił piłkę. Ojciec i syn doznali obrażeń wewnętrznych i zostali odwiezieni do szpitala św. Tomasza. Chirurgi walczyli o życie pana Frasera przez całą noc.

Jak doniesiono w ostatnim wczorajszym wydaniu naszej gazety, pięcioletni Robert zmarł, zanim pan Fraser odzyskał przytomność”.

- Boże, jakie to okropne - wykrzyknęła Elizabeth.
- Co takiego? - spytał Simon siadając do śniadania.
Elizabeth podała mu gazetę, wskazując zdjęcie Roberta.
- Biedny dzieciak - westchnął Simon czytając artykuł.
- Nasze kłopoty od razu przedstawiają się w innym świetle. Gdyby Peter albo Michael stracił życie, mielibyśmy prawdziwy powód do rozpacz.

Milczeli przez kilka minut.

- Bardzo się denerwujesz? - zapytała Elizabeth.
- Czuję się jak skazaniec spożywający ostatnie śniadanie. A najgorsze, że muszę sam się zawieźć pod szubienicę.
- Ciekawe, czy kiedyś pożartujemy z dzisiejszego dnia.
- Z pewnością... kiedy podejmę poselską emeryturę.
- Da się z niej żyć?
- Raczej nie. Dostanę ją po ukończeniu sześćdziesięciu pięciu lat, więc musimy poczekać jeszcze dwadzieścia pięć, żeby się o tym przekonać. - Wstał. - Podwieźć cię do szpitala?

- Nie, dziękuję. Chcę jeszcze choć przez tydzień nacieszyć się samochodem do własnej dyspozycji. Miejmy nadzieję, że nasza nowa marina utrzyma cenę, jak zapewniał sir Michael Edwardes.

Simon roześmiał się, pocałował żonę i wyszedł. Był umówiony z szefem naganiaczy. Kiedy siedział już w samochodzie, Elizabeth wybiegła z domu.

- Zapomniałam ci powiedzieć. Kiedy byłeś w łazience, dzwonił Ronnie.

- Zadzwoń do niego z parlamentu.

Odjechał. Ścisnęło go w dołku, kiedy mijając Cheyne Walk pomyślał, co teraz przeżywa Andrew Fraser. Postanowił, że w pierwszej wolnej chwili napisze do niego. Przy wjeździe do parlamentu pozdrowił go strzegący bramy policjant.

- Dzień dobry, sir.

- Dzień dobry - odparł Simon.

Zaparkował na drugim poziomie nowego podziemnego parkingu i wjechał windą do wejścia dla posłów. Mimo woli pomyślał, że dziesięć lat temu skorzystałby ze schodów. Przeszedł przez szatnię poselską i dalej, marmurowymi schodami, do głównego hallu. Z przyzwyczajenia skręcił w lewo do poczty.

- Pan Kerslake - zawołał człowiek za ladą do interkomu.

Po chwili wpadła do podstawionego kosza paczka z nadrukiem „Londyńska Szkoła Ekonomii” i plik związanych listów. Simon zaniósł to wszystko do swojego pokoju, położył na biurko i spojrzał na zegarek: do umówionego spotkania zostało jeszcze przeszło czterdzieści minut. Poszedł do najbliższego telefonu i wykręcił numer spółki Nethercote'a. Ronnie osobiście odebrał telefon.

- W piątek zwolniłem telefonistkę - wyjaśnił. - Zostałem tylko ja i moja sekretarka.

- Dzwoniłeś - powiedział Simon z iskierką nadziei.

- Owszem, z wyrazami współczucia. Próbowałem napisać list, ale dobieranie właściwych słów nie jest moją mocną stroną. - Umilkł. - Rachowanie zdaje się także. Chciałem po prostu powiedzieć, że jest mi niezmiernie przykro. Elizabeth mówiła, że masz się dziś spotkać z szefem naganiaczy. Będę trzymał kciuki.

- Dziękuję, Ronnie. Sam się w to wpakowałem, z własnej nie przymuszonej woli. Jako orędownik swobody w przedsiębiorczości nie mogę narzekać, że padłem jej ofiarą.

- Podziwiam twój filozoficzny spokój, zwłaszcza o tej porze dnia.
- A co u ciebie?
- Syndyk sprawdza księgi. Nie opuszcza mnie przekonanie, że uda nam się spłacić wszystkich wierzycieli. Przynajmniej uniknę stygmatu bankructwa. - Umilkł na dłuższą chwilę. - O Boże, ależ jestem nietaktowny.
- Nie przejmuj się, sam zdecydowałem o zaciągnięciu kredytu. Simon żałował, że równie szczerze nie rozmawiał z żoną.
- Umówmy się na lunch w przyszłym tygodniu.
- Tylko w takiej restauracji, gdzie przyjmują talony obiadowe - zażartował gorzko Simon.
- Trzymaj się, chłopie - powiedział Ronnie.

Pozostałe pół godziny Simon postanowił spędzić w bibliotece przeglądając poranną prasę. Usadowił się w kącie sali B, przy kominku, nad którym wisiała tabliczka z upomnieniem, by posłowie nie prowadzili długich i głośnych rozmów. Zaczął przerzucać gazetowe płachty, wszędzie natrafiając na zdjęcia Andrew Frasera, jego żony i syna. Niemal wszystkie gazety umieściły na pierwszej stronie takie samo zdjęcie pięcioletniego Roberta. Elizabeth słusznie powiedziała, że w gruncie rzeczy mieli wiele szczęścia.

W dziale finansowym omawiano szczegółowo przewidywany upadek firmy Nethercote and Company. Z aprobatą przytaczano wyrażony przez Ronnie'ego pogląd, że wszyscy wierzyciele powinni zostać spłaceni. W żadnym artykule nie wymieniono nazwiska Simona, ale on miał już przed oczami nagłówki ozdobione zdjęciami innego młodego piosłkarza i jego szczęśliwej rodziny. „Wzlot i upadek Simona Kerslake'a”. Ponad dziesięć lat pracy puszczono w niepamięć, a po tygodniu przebrzmiałby nawet jako temat dla prasy.

Wskazówki zegara w bibliotece zbliżały się nieuchronnie do wyznaczonej godziny. Simon dźwignął się ze skórzanego fotela ciężko, jakby przybyło mu lat, i ruszył powoli do biura szefa naganiancy.

Sekretarzująca od niepamiętnych lat pani Norse powitała go dobitnym uśmiechem.

- Dzień dobry, panie Kerslake. Niestety, szef rozmawia jeszcze z panią Thatcher, ale przypomniałam mu o spotkaniu z panem, więc powinien nadejść lada chwila. Zechce pan spocząć?
- Dziękuję.

Alec Pimkin utrzymywał, że pani Norse ma na każdą okazję niezmienny zestaw wyrażeń. Nieraz budził śmiech w jadalni poselskiej naśladując, jak mówi: „Tuszę, że cieszy się pan dobrym zdrowiem, panie Pimkin.” Na pewno przesadzał, pomyślał Simon.

- Tuszę, że cieszy się pan dobrym zdrowiem - powiedziała pani Norse, nie odrywając spojrzenia od maszyny do pisania.

Simon omal się nie roześmiał.

- Bardzo dobrym, dziękuję - odparł myśląc, ilu tragicznych historii i opowieści o straconych szansach musiała wysłuchać pani Norse przez długie lata pracy.

Przestała raptem pisać i zerknęła do notesu.

- Powinam była od razu o tym wspomnieć, panie Kerlake. Dzwonił niejaki pan Nethercote.

- Dziękuję, już się z nim skontaktowałem.

Simon przerzucał właśnie stary numer „Puncha”, kiedy do pokoju wszedł szef naganiaczy.

- Mam dla ciebie jedną minutę. Póltorej, jeżeli zamierzasz złożyć rezygnację - dodał ze śmiechem, kierując się do gabinetu.

Simon ruszył za nim. Obok pani Norse zadzwonił telefon.

- To do pana, panie Kerlake - zawołała za odchodzącymi.

- Może pani zanotować numer? - spytał Simon odwracając się.

- Ten pan mówi, że to pilne.

Simon zatrzymał się niepewnie.

- Za chwilę wrócę - rzekł do szefa naganiaczy, który znikł mu z oczu w swoim gabinecie. Podszedł do pani Norse i wziął słuchawkę, którą trzymała w wyciągniętej ręce.

- Simon Kerlake. Kto mówi?

- Ronnie.

- Ronnie - powtórzył tępo Simon.

- Miałem telefon od Morgana Grenfella. Jeden z ich klientów złożył propozycję wykupienia akcji po cenie jednostkowej funt dwadzieścia pięć. Wyrazili też chęć przejęcia naszych bieżących zobowiązań.

Simon usiłował przeprowadzić w myślach szybkie obliczenie.

- Daruj sobie rachunki - rzekł Ronnie. - Przy tej cenie twoje akcje byłyby warte siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów.

- To za mało - rzekł Simon. Wysokość zadłużenia w banku **miał** wrytą w pamięci: 108 712 funtów.

- Nie bój się. Powiedziałem im, że nie zgodzę się na mniej niż funt pięćdziesiąt za akcję, za siedem dni, co da im dość czasu na sprawdzenie ksiąg. To ci przyniesie dziewięćdziesiąt tysięcy zysku, ale będziesz jeszcze do tyłu na osiemnaście tysięcy, z czym musisz nauczyć się żyć. Byłoby nie najgorzej, gdybyś razem z samochodem sprzedał żonę.

Po głosie przyjaciela Simon poznał, że Ronnie trzyma w zębach cygaro.

- Jesteś genialny.

- Nie ja, to Morgan Grenfell jest genialny. Dam głowę, że ich anonimowy klient, który widać był dobrze poinformowany, zgarnie z czasem przyzwoity zysk. Jeżeli nadal jesteśmy umówieni na lunch we wtorek, to nie bierz talonów. Ja stawiam.

Simon odłożył słuchawkę i pocałował panią Norse w czoło. Odebrało jej mowę, gdyż na taki obrót sprawy nie była przygotowana. Milczała jak zaklęta, gdy zza drzwi wysunął głowę szef naganiaczy.

- Orgia w moim biurze? Jeszcze trochę, a pani frywolna podobi zna znajdzie się na trzeciej stronie dziennika „Sun”.

Simon roześmiał się.

- Mam podbramkową sytuację w związku z wieczornym głosowaniem. Rząd cofa zgodę na obustronną absencję i muszę ściągać z Brukseli delegację, żeby zdążyli na podział Izby o dziesiątej. Czy twoja sprawa może poczekać?

- Tak, oczywiście.

- Proszę przyjść do mnie do gabinetu, pani Norse. O ile może się pani oderwać od Jamesa zero-zero-siedem Kerslake'a.

Omów nie skacząc z radości Simon pobiegł do najbliższego telefonu. Najpierw zadzwonił do Elizabeth, a potem do Millburna, który wcale nie okazał wielkiego zdziwienia.

- Nie uważasz, że najmądrzej byłoby przestać się widywać?

- Dlaczego? - spytał Raymond. - Palmerston miał kochankę będąc siedemdziesięcioletkiem i to mu nie przeszkodziło zwyciężyć w wyborach Disraeliego.

- Owszem, ale to było w czasach przed powstaniem tuzina gazet o zasięgu ogólnokrajowym i przed rozwojem wszędobylskiego

dziennikarstwa. Nie potrzeba Woodwarda ani Bernsteina, żeby w ciągu kilku godzin wykryć naszą małą tajemnicę.

- Jesteśmy bezpieczni. Zniszczyłem wszystkie nagrania.
- Bądź poważny.
- Wciąż mi zarzucasz, że jestem zbyt serio.
- Ale teraz chcę, żebyś był poważny. Całkowicie.

Raymond obrócił się do Kate.

- Kocham cię, Kate, i wiem, że to się nigdy nie zmieni. Może skończymy z tą zabawą w chowanego i weźmiemy ślub.

Kate westchnęła.

- Przerabialiśmy to już sto razy. Chcę kiedyś wrócić do Ameryki, a zresztą nie nadaję się na panią premierową.

- Trzy Amerykanki nadawały się - spochmurniał Raymond.

- Do diabła z waszymi historycznymi precedensami. Poza tym nie cierpię Leeds.

- Nawet tam nie byłaś.

- Wiem, że jest zimniej niż w Londynie, i to wystarczy.

- Wobec tego musisz się zadowolić statusem kochanki - powiedział Raymond biorąc ją w ramiona. - Wiesz, kiedyś uważałem, że warto zdobyć się na największe poświęcenie, żeby zostać premierem, ale teraz nie jestem tego taki pewien.

- Przekonasz się, że warto, kiedy zamieszkas pod Numerem Dziesięć - odparła Kate. - Chodź, bo kolacja się przypali.

- Nie zauważyłaś, co mam na nogach - rzekł Raymond z dumą wskazując modne pantofle.

Kate obejrzała nowy nabytek.

- Nie przypuszczałam, że się tego doczekam - powiedziała. - Szkoda, że zaczynasz łysieć.

Zaraz po wejściu do domu Simon oznajmił:

- Wykaraskamy się z tego.
- Bogu dzięki - rzekła Elizabeth. - A co z twoją pisemną rezygnacją?
- Archie powiedział, że odda mi ją, kiedy zostanę premierem.
- Jeżeli to się ziści, obiecaj mi jedno.
- Co tylko zechcesz.

- Że nigdy ani słowem nie odezwiesz się do Nethercote'a.

Simon chwilę milczał, zanim zdobył się na odpowiedź.

- To nie byłoby wobec niego w porządku, Elizabeth. Nie byłem z tobą całkowicie szczerzy.

Posadził żonę na kanapie i opowiedział jej całą prawdę. Teraz Elizabeth przez chwilę nie mogła dobyć głosu.

- Do diabła - rzekła wreszcie spoglądając na Simona. - Mam nadzieję, że Ronnie mi przebaczy.

- O czym ty mówisz?

- Zadzwoiłam do niego zaraz po twoim wyjściu i wygarnęłam, co o nim myślę. Że jest obłudnym draniem i nie chcę go więcej widzieć na oczy.

Simon klapnął na kanapę.

- I co on na to? - zapytał z niepokojem.

- To mnie właśnie dziwi. Nawet nie próbował się tłumaczyć, tylko mnie przeprosił.

- Jak myślisz, czy zaczniesz kiedyś mówić?

- Bóg raczy wiedzieć, ale mam taką nadzieję - odparł ojciec patrząc na fotografię wnuka na kominku. - Mogłaby mieć drugie dziecko, jest jeszcze młoda.

Andrew potrząsnął głową.

- To wykluczone. Już dawno temu lekarka ostrzegła, że to byłoby niebezpieczne.

Andrew wrócił ze szpitala dziesięć dni po wypadku, wsparty na kulach. Najpierw odbył się pogrzeb Roberta. Sir Duncan podtrzymał Louise w czasie krótkiego nabożeństwa. Zaraz po pogrzebie Andrew odwiózł żonę na Cheyne Walk i położył ją do łóżka, a potem zszedł na dół do rodziców.

- Przede wszystkim musicie się stąd jak najszybciej wyprowadzić - powiedziała matka Andrew pochylając głowę. - Za każdym razem, kiedy Louise spojrzy przez okno w kuchni, będzie od nowa przeżywać tę tragedię.

- Nie pomyślałem o tym - powiedział Andrew. - Jutro zacznę szukać innego domu.

- A co postanowiłeś w związku z propozycją premiera? - spytał sir Duncan.

- Jeszcze nie podjąłem decyzji. Dał mi czas do poniedziałku.
- Musisz ją przyjąć, Andrew. Jeżeli tego nie zrobisz, koniec z karierą polityczną. Nie możesz przecież do końca życia siedzieć w domu i oplakiwać Roberta.

Andrew spojrział na ojca.

- Nie ma gola, tato, nie ma gola - wymamrotał i wyszedł.

W sypialni usiadł przy Louise. Oczy miała otwarte, twarz bez wyrazu. Na skroniach dostrzegł srebrne nitki, których niedawno jeszcze nie było.

- Lepiej się czujesz, kochanie?

Żadnej odpowiedzi.

Rozebrał się, położył obok i przytulił ją. Nie zareagowała. Była jakby nieobecna duchem. Zapłakał i łzy zaczęły kapać na jej ramię i spływać na poduszkę. Zasnął. Obudził się o trzeciej nad ranem. Światło księżycy wpadało przez odsłonięte okna, oświetlając pokój. Spojrzął na żonę. Leżała tak samo jak przedtem.

Charles nerwowo przemierzał pokój tam i z powrotem.

- Proszę jeszcze raz podać liczby.

- Nethercote przyjął ofertę kupna za siedem i pół miliona funtów, co wynosi po funcie pięćdziesiąt za akcję - powtórzył Reynolds.

Charles stanął przy biurku i zanotował liczby na kartce. Dziewięćdziesiąt tysięcy funtów, brakowało więc zaledwie osiemnastu tysięcy. Za mało.

- Cholera - zaklął.

- No właśnie - ciągnął Reynolds. - Od początku uważałem, że nazbyt pochopnie wycofaliśmy się z udziału w spółce.

- Tej opinii nie będzie pan wygłaszał po wyjściu z mojego gabinetu - upomniał go Charles.

Reynolds nie odpowiedział.

- A Nethercote? Co z nim? - spytał Charles, chcąc choćby okrężną drogą dowiedzieć się czegoś o Simonie Kerslake'u.

- Słyszałem, że zaczął od nowa, na mniejszą skalę. U Morgana Grenfella byli zachwyceni transakcją i poczynaniami Nethercote'a podczas przejmowania jego spółki. Trzeba przyznać, że podrzuciliśmy im niezły kąsek pod sam nos.

- Czy możemy kupić akcje w nowej spółce? - spytał Charles puszczając mimo uszu uwagę Reynoldsa.

- Raczej nie. Wartość kapitału wynosi zaledwie jeden milion, ale Morgan Grenfell przyznał Nethercote'owi w ramach umowy duże uprawnienia kredytowe.

- Nie pozostaje nam zat%m nic innego, jak więcej do tej sprawy nie wracać.

Przez całą sobotę i niedzielę Andrew czytał kondolencje nadesłane dla niego i Louise. Było ich ponad tysiąc, wiele od nieznajomych ludzi. Wybrał kilka, żeby zanieść i przeczytać na głos Louise, choć nie był pewien, czy go usłyszy. Lekarz polecił, żeby bez koniecznej potrzeby nie zakłócać jej spokoju. Wielki wstrząs wywołał ostrą depresję i Louise wymagała starannej opieki, by powoli wrócić do zdrowia. Przejście kilku kroków poprzedniego dnia było takim wysiłkiem, wyjaśnił lekarz, że powinna dziś leżeć.

Andrew przysiadł na łóżku i po cichu przeczytał list od premiera, pełnego skruchy Jocka McPhersona, Simona Kerslake'a, Raymonda Goulda i pani Bloxham. Louise nie dawała znaku, że cokolwiek słyszy i rozumie.

- Co zrobić z propozycją premiera? - spytał. - Mam ją przyjąć?

Żadnej reakcji.

- Zaproponował mi stanowisko ministra stanu do spraw obrony, ale muszę wiedzieć, jak ty to zniesiesz.

Posiedział przy niej jeszcze chwilę, a ponieważ nic nie mówiła, po cichu wyszedł.

Wieczorem kładł się przy niej i daremnie próbował ożywić ją swoją miłością. Czuł się coraz bardziej samotny.

W poniedziałek zadzwonił do ojca z wiadomością, że postanowił nie przyjąć propozycji premiera. Nie mógł na dłużej zostawiać Louise samej, kiedy była w takim stanie.

Wrócił do sypialni i usiadł przy niej.

- Czy powinienem przyjąć to stanowisko? - szepnął sam do siebie.

Louise tak nieznacznie skinęła głową, że omal tego nie zauważył. Poruszyła palcami. Kiedy wziął ją za rękę, uściśniła go, jeszcze raz kiwnęła głową i zasnęła.

Andrew zadzwonił do premiera.

Raymond sięgnął głębiej do czerwonego kufereka.

- Dobrze się bawisz, Marchewkowy Wiechciu?

- To bardzo ciekawe - odparł Raymond. - Czy wiesz, że...

- Nie wiem. Przez trzy godziny nie odzywałeś się do mnie, a kiedy wreszcie przemówiłeś, to chcesz powiedzieć, jak minął ci dzień u boku nowej kochanki.

- Nowej kochanki?

- Sekretarza stanu do spraw handlu.

- Ach tak.

- Właśnie.

- A jaki ty miałaś dzień w banku? - zapytał Raymond nie podnosząc głowy znad papierów.

- Niezmiernie interesujący - odrzekła Kate.

- Tak? Co się zdarzyło?

- Klientka zwróciła się o pożyczkę.

- Pożyczkę - powtórzył Raymond skupiony nad plikiem dokumentów. - Ile?

- „Ile sobie pani życzy?“, zapytałam. „A ile państwo macie?“ „Czteryście siedemnaście bilionów, według ostatnich obliczeń“, powiedziałam. „Na początek wystarczy“. „Proszę tu podpisać“, poleciłam, ale niestety do transakcji nie doszło, ponieważ owa dama miała kartę bankową opiewającą na pięćdziesiąt funtów.

Raymond roześmiał się i zatrzaskał kuferek.

- Wiesz, dlaczego cię kocham?

- Za mój gust przy wyborze męskiej garderoby?

- Nie, nie. Za twój gust przy wyborze mężczyzny.

- Zawsze myślałam, że kochanka dostaje prezenty, futro, wycieczkę na wyspy Bahama, pierścionek z brylantem. A co mnie się trafiło? Ty i twój nieodłączny czerwony kuferek.

Raymond jeszcze raz otworzył kuferek, wyjął małą paczuszkę i wręczył Kate.

- Co to jest?
- Otwórz i zobacz.

Kate odwinęła fioletowy papier od Aspreya, odsłaniając misternie cyzelowany w złocie miniaturowy kuferek na złotym łańcuszku. Na wieczku wygrawerowano napis „Ściśle tajne”.

- Wprawdzie „Sunday Times” nie podaje, kiedy obchodzą urodziny kochanki ministrów, ale za to pamiętam dzień, kiedy się poznaliśmy.

Andrew zgłosił chęć kupna domu przy Pelham Crescent zaraz po jego obejrzeniu, a matka Louise przyjechała na wezwanie do Londynu, żeby zorganizować przeprowadzkę.

- Miejmy nadzieję, że to pomoże - powiedziała.

Andrew o nic innego się nie modlił. Po dwóch tygodniach, kiedy już się przeprowadzili, Louise nadal musiała siadać po przejściu zaledwie kilku kroków. Matka rzadko zostawiała ją samą w domu i Andrew poczuł wyrzuty sumienia, że ma tyle przyjemności pracując w Ministerstwie Obrony. Rano i wieczorem próbował rozmawiać z Louise. Czasem kiwnęła głową, parę razy dotknęła go, a nawet zaczęła pisać do niego krótkie liściki, ale nigdy się nie odzywała ani nie płakała. Lekarz nie krył pesymizmu, nie widząc spodziewanej poprawy.

Andrew godzinami przesiadywał przy Louise, przekopując się przez czerwone kufereki. Odrzutowce Harrier Jump dla RAF, pociski Polaris dla marynarki, czołgi Chieftain dla armii. Jakie stanowisko powinna zająć Partia Pracy wobec Tridentów po rozpoczęciu wycofywania pocisków Polaris? Czy należy dopuścić do rozmieszczenia pocisków Cruise na brytyjskiej ziemi? Tyle musiał się nauczyć, żeby rozmawiać z doradcami na ich własnym gruncie i stać czoło posłom na forum Izby. Przez wiele miesięcy Andrew wciąż zadawał pytania, ale po roku umiał już na niektóre z nich odpowiedzieć.

W szóstą rocznicę urodzin syna Andrew został cały dzień w domu z Louise. Pierwszy raz od czasu wypadku zakreśliła jej się łza w oku. Objął ją, a pamięć podsunęła mu obraz tamtej cysterny. Widział wszystko wyraźnie, jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie. Gdyby nie zadzwonił telefon... gdyby furka była

zamknięta ... Gdyby się wcześniej odwrócił... gdyby szybciej biegł. „Nie ma gola, tato, nie ma gola”. Gdyby strzelił tamtego gola.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Raymond przybył do Waszyngtonu rozświetlonego na czerwono--biało-niebiesko przed zbliżającą się dwusetną rocznicą utworzenia państwa amerykańskiego. Był jednym z trzech ministrów, którzy w imieniu Zjednoczonego Królestwa mieli ofiarować Kongresowi kopię Wielkiej Karty Praw. Pierwszą podróż do Ameryki odbył concordem, zaledwie kilka tygodni po locie inauguracyjnym. Tom Carson zaprotestował przeciwko kosztom wyprawy, ale po jego słowach w Izbie zapadła głucha cisza.

Na lotnisku Dulles do zatrzymującego się odrzutowca podjechały trzy limuzyny. Ministrowie wsiedli, każdy osobno, i pod eskortą kawalkady motocyklistów w niespełną pół godziny dojechali do Ambasady Brytyjskiej przy Massachusetts Avenue.

Raymond zakochał się w Ameryce od pierwszego wejrzenia - być może dlatego, że swoim entuzjazmem, zapalem, nieustającym dążeniem do zmian przypominała mu Kate. W ciągu dziesięciu dni wizyty nawiązał cenne kontakty w Senacie i Izbie Reprezentantów, ale cały weekend przeznaczył - i to bez wyrzutów sumienia - na zwiedzanie pięknych okolic Virginii. Bliższą znajomość starał się zawierać jedynie z rówieśnikami, których spodziewał się oglądać na amerykańskiej scenie politycznej przez najbliższe dwadzieścia lat. W tym czasie dwaj starsi koledzy zajęli się prezydentem Fordem i jego świtą.

Miłym początkiem każdego dnia była lektura „Washington Post” i „New YorkTimesa”. Raymond szybko nauczył się pomijać kolumny wypełnione reklamami przedmiotów, których chyba nikt nie kupował. Po przeczytaniu gazet musiał myć ręce, czarne od farby drukarskiej. Zatrzymał sobie wycinek z „Washington Post”, w którym przedstawiono sylwetki trzech ministrów z Londynu. Chciał pokazać Kate jedno zdanie: „Dwaj sekretarze stanu to ciekawi ludzie u kresu kariery, natomiast Raymond Gould ma zadatki na premiera, więc warto mieć go na oku”.

Wylatując z Waszyngtonu do Londynu Raymond przypuszczał, jak każdy kochanek, że jego romans z Ameryką będzie trwałym związkiem, odnawianym przy każdym powrocie.

Simon gościł w szkole biznesu w Manchesterze, kiedy przekaza-
no mu prośbę Elizabeth o telefon. Była to prośba niezwykła, zwa-
żywszy porę dnia, dlatego Simon spodziewał się najgorszego - prze-
raził się, że coś stało się dzieciom. Dyrektor szkoły zaprowadził go
do gabinetu i dyskretnie wyszedł.

W szpitalu powiedziano mu, że doktor Kerslake nie ma, co
jeszcze bardziej go zaniepokoiło. Wykręcił numer domowy.

Elizabeth podniosła słuchawkę tak szybko, jakby siedziała przy
aparacie czekając na jego telefon.

- Wylano mnie - powiedziała.

- Co? - zapytał Simon nie rozumiejąc.

- 'Zostałam zredukowana. Czy nie tak to się teraz elegancko na-
zywa? Zarząd szpitala otrzymał polecenie z Ministerstwa Zdrowia
i Ubezpieczeń Społecznych, aby zmniejszyć liczbę zatrudnionych.
Na ginekologii straciły pracę trzy osoby, ja odchodzę z końcem
miesiąca.

- Kochanie, tak mi przykro - powiedział wiedząc, jak słabą
pociechą są te słowa.

- Nie chciałam ci przeszkadzać, ale musiałam się przed kimś
wyżalić. Każdy ma prawo poskarżyć się swojemu posłowi, więc
pomyślałam, że także skorzystam z tego prawa.

- W podobnych okolicznościach zwykle zwałam winę na Partię
Pracy. - Simon z ulgą powitał śmiech Elizabeth.

- Dziękuję, że tak szybko zadzwoniłeś, kochanie. Do zobaczenia
jutro - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Simon wrócił do czekającej na niego grupy i wyjaśnił, że musi
natychmiast lecieć do Londynu. Złapał taksówkę na lotnisko, a
następnie połączenie z Heathrow i po trzech godzinach podróży
znalazł się na Beaufort Street.

- Nie chciałam, żebyś od razu przyjeżdżał - rzekła ze skrucą
Elizabeth, widząc go w progu domu.

- Przyjechałem, żeby to oblać - odparł Simon. - Otworzymy

butelkę szampana, którą dał nam Ronnie po zawarciu umowy z Morganem Grenfellem.

- Dlaczego?

- Ronnie nauczył mnie jednego. Trzeba oblewać klęski, nie sukcesy.

Simon powiesił płaszcz i ruszył na poszukiwanie szampana. Kiedy wrócił z butelką i dwoma kieliszkami, Elizabeth zapytała:

- Jak wygląda twoje zadłużenie?

- Spadło plus minus do szesnastu tysięcy funtów.

- No właśnie, to drugi kłopot. Przestaną ci dodawać funtów, a zacznę odejmować.

- Nie mów głupstw. Przyjmą cię gdzie indziej z otwartymi ramionami - powiedział obejmując ją.

- To nie będzie takie proste.

- Dlaczego? - spytał udając bez troskę.

- Bo już mnie ostrzegano, że muszę wybrać, czy chcę być żoną polityka, czy lekarzem.

Simon zdumiał się.

- Nic nie wiedziałem. Tak mi przykro.

- Sama tego chciałam, kochanie. Będę jednak musiała podjąć kilka decyzji, jeżeli mam nadal uprawiać swój zawód. Zwłaszcza jeżeli zostaniesz ministrem.

Simon milczał. Zawsze uważał, że Elizabeth powinna sama podejmować takie decyzje i nie chciał wywierać na nią najmniejszego nacisku.

- Gdyby nie ten brak pieniędzy...

- Nie martw się o pieniądze - powiedział Simon.

- Martwię się, ale to chyba nie najważniejszy powód. Bardziej mnie martwi, że będę się nudzić, kiedy dzieci podrosną. Nie byłam stworzona na żonę polityka. Gdybyś ożenił się z kimś takim jak Fiona Seymour, już byłbyś premierem.

- Jeżeli to jedyny sposób zapewnienia sobie tego stanowiska, wolę zostać przy tobie - odparł Simon przytulając Elizabeth. Mimo woli pomyślał o tym, jakim oparciem była mu od początku małżeństwa, a zwłaszcza odkąd popadł w finansowe tarapaty. Nie miał wątpliwości, jak powinna postąpić.

- Nie wolno dopuścić, żebyś zrezygnowała z zawodu lekarza -

powiedział. - To tak samo ważne, jak ambicje zostania ministrem. Może zamienię parę słów z Gerrym Vaughanem. Jest rzecznikiem ministra zdrowia w opozycji i mógłby...

- W żadnym razie. Jeżeli mam znaleźć sobie pracę, obejdem się bez poparcia.

Louise zaczęła sobie radzić z życiem codziennym i tylko jej ciągle milczenie przypominało, że nie wszystko wróciło do normy. Była samowystarczalna żyjąc we własnym świecie i lekarz uznał, że nie potrzebuje już całodziennnej opieki.

Gdy pielęgniarka przestała przychodzić, Andrew postanowił zabrać Louise na tydzień za granicę. Chciał znów odwiedzić południe Francji i Colombe d'Or, ale lekarz specjalista odradził ten pomysł wyjaśniając, że mogłoby to wywołać niepożądane wspomnienia i pogorszyć stan zdrowia Louise.

Narzekając na czczą gadaninę medyków od siedmiu boleści, Andrew poszedł za radą lekarza i zawiózł Louise do Wenecji. Ku jego radości okazała zainteresowanie pięknym miastem. Oczy jej zapłonęły na widok Torcello, a kiedy wybrali się na przejażdżkę gondolą po krętych kanałach, z zachwytem podziwiała niezrównaną włoską architekturę. Co chwila ścisnęła mu rękę. Kiedy wieczorem usiedli na świeżym powietrzu, żeby się czegoś napić, pochyliła głowę słuchając kwintetu grającego na placu św. Marka. Andrew był przekonany, że Louise słyszy wszystko, co do niej mówi. Ostatniej nocy przed powrotem do Anglii obudził się i zobaczył, że czyta *Wenecję* Jamesa Morrisa, książkę, którą przed zaśnięciem zostawił po swojej stronie łóżka. Pierwszy raz od wypadku sięgnęła po lekturę. Odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech. Roześmiał się pragnąc, żeby i ona roześmiała się w głos.

W poniedziałek Andrew wrócił do Ministerstwa Obrony. Na biurku leżało polecenie kanclerza skarbu, by ministerstwa mające największe wydatki przedstawiły preliminarze budżetowe. Andrew walczył zawzięcie o utrzymanie pocisków Polaris, przekonany przez szefów sztabów o ich strategicznym znaczeniu dla obrony kraju. Jednocześnie koledzy w Izbie ciągle przypominali mu, że

partia postawiła sobie za cel pozbycie się tych „zabawek militarystów”.

Po posiedzeniu gabinetu sekretarz stanu rzekł do Andrew:

- Dopieliśmy swego: argumenty trafiły do przekonania gabinetu. Ale uprzedzam, nie będziesz pupilkiem na tegorocznej konferencji partyjnej.

- Jeżeli w ogóle mnie zauważą, to już będzie coś nowego - odparł Andrew.

Odetchnął z ulgą, szefowie sztabów byli zachwyceni. Niestety tydzień później przegrał wśród swoich, w Edynburgu. Pod jego nieobecność komitet administracyjny przyjął rezolucję potępiającą zachowanie pocisków Polaris i zażądał, by odpowiedzialni ministrowie cofnęli decyzję. Nie wymienili Andrew z nazwiska, ale wiadomo było, komu chcieli dobrać się do skóry. Nie pomogło mu też podżegające wystąpienie w Izbie Toma Carsona, który twierdził, że Andrew jest marionetką na usługach szefów sztabów.

W ciągu minionego roku Andrew jeździł do Edynburga rzadziej z powodu opieki nad Louise i obowiązków w Ministerstwie Obrony. W tym czasie na miejsce trzech członków komitetu administracyjnego weszli przedstawiciele Odłamu Wojującego pod wodzą Franka Boyle'a. Lewica dawała się we znaki nie tylko w Edinburgh Carlton - Andrew dowiadywał się o tym od kolegów, dla których już stało się jasne, dlaczego lewica domagała się na konferencji partyjnej uchwalenia rezolucji w sprawie selekcji kandydatów przed każdymi wyborami. Niektórzy bardziej prawidłowo zorientowani koledzy zostali już usunięci z terenowych oddziałów partii, więc wnioski nasuwał się sam: po opanowaniu komitetu administracyjnego przez trockistów Andrew byłby zdany na ich widzimisie, a jego doświadczenie i dorobek nie liczyłyby się wcale.

Odwiedzając Edynburg Andrew niezmiennie słyszał wyrazy poparcia wyborców i zapewnienia o pokładanym w nim zaufaniu, ale nie zmieniało to faktu, że wystarczyłaby garść głosów, by go usunąć. A jeżeli wielu innych posłów stało wobec takiego samego problemu jak on w Edynburgu? Podobne myśli napełniały go obawą o przyszłość.

- Tato, czy mógłbym dostać nowy kij do krykieta?
 - Po co? Czy stary jest już niedobry? - zapytał Simon wychodząc z synem do ogródka przy domu.
 - Za mały - powiedział Peter wymachując kijem.
 - Obawiam się, że ten musi ci wystarczyć.
 - Martin Henderson dostał od swojego taty nowy kij na rozpoczęcie sezonu.
 - Przykro mi, ale prawda jest taka, że ojcu Martina znacznie lepiej się powodzi.
 - Powiem ci tylko, tato - rzekł Peter z przekonaniem - że nigdy nie będę posłem.
- Simon uśmiechnął się. Syn wyjął z kieszeni starą piłeczkę do krykieta i rzucił ojcu.
- Założę się, że i tak mnie nie pokonasz, chociaż bronię się małym kijem.
 - Pamiętaj, że płotek też jest mały, ten sam, co w zeszłym roku, więc będzie mi trudno w niego trafić.
 - Nie tłumacz się, tato. Przyznaj od razu, że straciłeś formę.
- Simon roześmiał się w głos.
- Zobaczmy - odpowiedział zadzierzyście, lecz bez głębszego przekonania.

Simon lubił pograć w krykieta ze starszym synem, choć trzydziestoletni Peter potrafił czasem rzucić małą piłką z wielką wprawą.

Dopiero po kilku seriach rzutów udało się Simonowi utracić środkowy palik w płotku. Zajął miejsce syna na linii obrony. Z domu wybiegł Michael, żeby przyłączyć się do gry. Dżinsy, które odziedziczył po Peterze, były już o wiele za krótkie.

- Stań za płotkiem, mały - zawołał Peter do młodszego o dwa lata brata. - Tam polecą większość piłek.

Michael z zadowoloną miną stanął, gdzie mu kazano.

Kolega w Izbie ostrzegł niedawno Simona, że syn mając czternaście lat zaczyna pokonywać ojca, a mając szesnaście - przestaje się wysilać i liczy, że pozostanie to nie zauważone.

Simon zgrzytnął zębami przyjmując wyjątkowo szybką piłkę. Postępy, jakie robił Peter, zapowiadały, że niedługo nie da rady obronić się przed jego piłkami. Jeszcze przez pięć minut udało się Simonowi zachować nie naruszony płotek, a potem wybawiła go Elizabeth wołając na kolację.

- Co? Znowu frytki i hamburgery? - powiedział Michael, kiedy matka postawiła przed nim talerz.

- Ciesz się, że w ogóle masz co jeść - skarciła go.

Simon przeklął się w duchu za samolubną zachłanność, która wyrządziła tyle szkody jego rodzinie. Choć musiał przyznać, że zadziwiająco mało narzekali. Nie odezwał się pamiętając, że wczoraj Elizabeth była ostatni raz w pracy i już tęskniła za szpitalem.

- Jak wam poszło? - spytała wesoło.

- Dam sobie radę - odparł Simon myśląc o długu w banku.

W listopadzie 1976 roku kanclerz skarbu przestawił mały budżet, rozpoczynając tym samym długi etap prac nad ustawą skarbową. Posłowie mieli pełne ręce roboty rozpatrując przedstawione wnioski. Charles wiódł prym na tylnych ławach wykorzystując w dyskusji nad poszczególnymi punktami znajomość finansów.

Razem z Reynoldsem drobiazgowo przeanalizował projekt ustawy skarbowej i wybrał siedem artykułów, których przyjęcie byłoby niekorzystne dla bankowości.

Reynolds proponował zmiany, nowe sformułowania, a nawet uzasadniał potrzebę wykreślenia niektórych fragmentów. Charles uczył się szybko i zaczął występować z własnymi propozycjami; udało mu się nawet parę razy przekonać Reynoldsa do własnego zdania. Na forum Izby zgłosił poprawki do trzech artykułów ustawy i od tej pory ilekroć wstał, żeby zabrać głos, ministrowie w obu przednich ławach zamieniali się w słuch. Któregoś dnia, kiedy odrzucono rządowy artykuł o pożyczkach bankowych, dostał pisemne gratulacje od Margaret Thatcher.

Charlesowi najbardziej zależało na usunięciu z projektu ustawy artykułu dotyczącego prawa klienta do poufności w stosunkach z bankiem handlowym. Wiedząc, że Charles jest obeznany z tematem, kanclerz skarbu w opozycji zaprosił go do pierwszej ławy, żeby stamtąd wystąpił przeciwko artykułowi 110. Charles zrozumiał, że jeśli uda mu się przekonać stronę rządową w tej kwestii, jeszcze przed wyborami powszechnymi będzie miał szansę dołączyć do opozycyjnej obsady Ministerstwa Finansów.

Przewodniczący komisji budżetowej dokonał wyboru poprawek.

Na tej podstawie naganiacze szacowali, że artykuł 110 o ochronie tajemnicy bankowej trafi na forum Izby w czwartek po południu.

W czwartek rano Charles przeprowadził próbę generalną z udziałem Reynoldsa, który dorzucił od siebie już tylko parę drobnych uwag do jego argumentacji. Po przybyciu do parlamentu na tablicy ogłoszeń Charles znalazł adresowaną do siebie prośbę o pilne skontaktowanie się z kanclerzem skarbu opozycji.

- Rząd przyjmie poprawkę zgłoszoną wczoraj późnym wieczorem przez liberałów - oznajmił kanclerz.

- Dlaczego? - zapytał Charles.

- Tak naprawdę chodzi o minimalną zmianę, głównie dla zachowania prestiżu i pozorów jedności liberałów. W zasadzie nie poważnego nie zmieniono, ale trzeba wyczytać się w sformułowaniu. Czy mogę pozostawić to na twojej głowie?

- Oczywiście - odparł Charles zadowolony, że powierzono mu tak odpowiedzialne zadanie.

Poszedł długim korytarzem do kancelarii, wziął kartkę z artykułem 110 i tekst zaproponowanej przez liberałów poprawki. Kilka razy przeczytał oba dokumenty i zaczął robić notatki. Radcy parlamentarni zredagowali poprawkę wzorowo, ze znajomością rzeczy. Z pobliskiej budki Charles zadzwonił do banku i podyktował Reynoldsovi tekst poprawki, po czym umilkł, dając mu czas na zastanowienie.

- Stare wygi. Ale to kosmetyczny zabieg. Nie zmieni ani na jotę uprawnień przyznanych rządowi mocą ustawy. Czy zamierza pan przyjechać do banku? Miałbym czas popracować nad tym.

- Nie - odparł Charles. - Jest pan wolny w czasie lunchu?

Reynolds zajrzał do terminarza - belgijski bankier był zaproszony na lunch w banku Seymoura, ale mogli się nim zająć koledzy z zarządu.

- Tak, jestem wolny.

- Świetnie. Proszę więc przyjechać do White'a gdzieś koło pierwszej, dobrze?

- Dziękuję. Do tego czasu powinienem już obmyśleć jakieś sensowne kontrpropozycje.

Do południa Charles był zajęty wprowadzaniem poprawek do przemówienia, w którym chciał przeciwstawić się argumentom liberałów i nakłonić ich do zmiany stanowiska. Gdyby zyskał apro-

batę Reynoldsa, mógłby zwycięsko wyjść z tej próby. Jeszcze raz przeczytał fragment ustawy. Był przekonany, że znalazł lukę prawną, przez którą zdoła się prześlizgnąć. Schował papiery do kieszeni.

Jadąc ulicą St James's dojrzał po drugiej stronie jezdni znajomą sylwetkę. Dla pewności opuścił szybę, ale Fiona zniknęła za drzwiami restauracji Pruniera. Ciekawe, z którą przyjaciółką umówiła się na lunch, pomyślał.

Taksówka jechała dalej, aż zatrzymała się przed klubem White'a. Było jeszcze na tyle wcześnie, że Charles postanowił przejść się do Pruniera i spytać Fionę, czy zechciałaby przyjść do parlamentu i wysłuchać jego wystąpienia. Nie wchodząc do restauracji zajrzał przez wielkie okno i zdrętwiał. Fiona gawędziła przy barze z mężczyzną, który mimo że siedział tyłem, wydał się Charlesowi znajomy. Poznał go po profilu, choć nie miał pewności. Spozobegł nową sukienkę żony. Do baru podszedł kelner, uklonił się i poprowadził dwoje gości do stolika w kącie, gdzie nie byli widoczni z ulicy. W pierwszym odruchu Charles chciał wejść i spojrzeć im w oczy, ale nie ruszył się z miejsca. Tkwił tam nieznośnie długo, nie wiedząc, co robić. W końcu przeszedł na drugą stronę ulicy i stanął w bramie budynku naprzeciw, rozważając różne warianty działania. Wreszcie postanowił nie robić nic, tylko czekać. Był przemarznięty i taki wściekły, że nie pomyślał o tym, żeby zawrócić kilkaset metrów i pójść na umówiony lunch z Reynoldsem.

Minęła godzina i dwadzieścia minut. Mężczyzna wyszedł sam z restauracji i ruszył chodnikiem. Charles poczuł chwilową ulgę, dopóki tamten nie skręcił w St James's Place. Spojrzał na zegarek - nie zdąży już złapać Reynoldsa, ale powinien zdążyć do Izby na artykuł 110. Kilka minut później pokazała się Fiona i ruszyła w ślad za mężczyzną. Charles przeszedł przez jezdnię nie zważając na nic - jakaś taksówka wykręciła ostro, inny samochód gwałtownie zahamował. Śledził żonę, zachowując bezpieczną odległość. Fiona skręciła w St James's Place i weszła do hotelu Stafford. Przez oszklone drzwi zobaczył, jak wsiada do pustej windy.

Charles podszedł do drzwi i wlepił wzrok w rządęk cyfr nad windą. Zapalały się kolejno, aż światelko zatrzymało się na czwórce.

Charles pchnął wahadłowe drzwi i podszedł do recepcji.

- Czym mogę służyć? - zapytał portier.
- Czy hotelowa restauracja jest na czwartym piętrze? - spytał Charles.
- Nie, sir - odpowiedział zdziwiony portier. - Restauracja jest na parterze, po lewej stronie. - Wskazał kierunek okrągłym gestem.
- Na czwartym piętrze są same pokoje.
- Dziękuję.

Charles wyszedł. Zawrócił do bramy, w której przedtem czekał, i pałając gniewem zaczął chodzić tam i z powrotem ulicą St James's. Po dwóch godzinach z hotelu Stafford wyszedł Alexander Dalglish, skinął na taksówkę i odjechał w kierunku Piccadilly.

Dwadzieścia minut później hotel opuściła Fiona. Ruszyła do parku i skierowała się w stronę Eaton Square. Charles musiał trzy razy zostawać z tyłu, żeby go nie zauważyła. Raz znalazł się tak blisko, że dostrzegł - albo tak mu się zdawało - uśmiech zadowolenia na jej twarzy.

Kiedy przeszedł za żoną niemal cały park, raptem się opamiętał. Spojrzał na zegarek, popędził do ulicy, złapał taksówkę i krzyknął:

- Do Izby Gmin, byle szybko.

Po siedmiu minutach jazdy wcisnął taksówkarzowi dwa funty i wbiegł schodami do kularów, a potem do Izby.

Zdyszany zatrzymał się przy fotelu buławnego.

Przewodniczący komisji budżetowej wstał od stołu, przy którym siedział podczas sesji Izby. Przed nim, na podpórkach, leżała buława. Spoglądając na tłumnie zgromadzonych posłów, odczytał wyniki głosowania:

GŁOSUJĄCYCH ZA	294
GŁOSUJĄCYCH PRZECIW	293 WNIOSEK
PRZESZEDŁ, WNIOSEK PRZESZEDŁ	

Ławy rządowe zatriumfowały, konserwatyści sposepniali.

- Nad którym artykułem debatowali? - spytał Charles wciąż nie mogąc złapać tchu.

- Nad artykułem 110, panie Seymour - odparł buławny Izby Gmin.

KSIEGA CZWARTA
1977 -1989
GABINET

Rozdział dwudziesty drugi

Raymond wyjechał po raz drugi do Stanów na polecenie sekretarza stanu do spraw handlu. W związku z pożyczką udzieloną Wielkiej Brytanii w listopadzie ubiegłego roku, miał przedstawić Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu szacunkowe dane angielskim eksportem i importem. Doradcy kilka razy czytali razem z nim przemówienie przypominając, jak wielką odpowiedzialność spoczywa na jego barkach. Konsultowali się nawet z Bankiem Angielskim.

- Będziesz miał okazję zrobić wrażenie na słuchaczach spoza Leeds - powiedziała Kate.

Wystąpienie było zaplanowane na środę. Raymond przyleciał do Waszyngtonu w niedzielę. W poniedziałek i wtorek słuchał ministrów handlu innych krajów przedstawiających swoje problemy i próbował przyzwyczaić się do okropnych słuchawek i głosu tłumaczki.

W konferencji brały udział prawie wszystkie potęgi przemysłowe świata. Brytyjski ambasador, sir Peter Ramsbotham, powiedział; Raymondowi przy kolacji w ambasadzie, że stoi przed wielką szansą przekonania trzeźwo myślących bankierów, iż Wielka Brytania pamięta o zdrowych zasadach ekonomii i warto udzielić jej finansowego wsparcia.

Raymond zdawał sobie sprawę, że przekonanie takiego grona wymaga zupełnie innej techniki niż używana na rogu ulicy Leeds albo nawet w Izbie Gmin. Był zadowolony, że jego przemówienie nie zaplanowano w dniu otwarcia obrad. Wykorzystuje przerwy na lunch odnowił i nawiązał nowe kontakty w Kongresie.

Ostatniej nocy przed wystąpieniem prawie wcale nie spał. Jętko ćwiczył ważne zdania, powtarzał słowa wymagające zaakcentowania, aż całe fragmenty umiał na pamięć. O trzeciej nad ranem rzucił tekst przemówienia na podłogę koło łóżka i zadzwonił, żebym porozmawiał z Kate, zanim wyjdzie do pracy.

- Chętnie wysłuchałabym twojej mowy na konferencji - zapewniła. - Choć słyszałam ją już ze trzydzieści razy w sypialni i przypuszczam, że niewiele się zmieniła.

Pożegnawszy Kate, Raymond zasnął głębokim snem. Obudził się wcześniej rano i przed wyjściem jeszcze raz przejrzał tekst przemówienia.

Staranne przygotowania opłaciły się. Kiedy odwracał ostatnią kartkę, nie był wyprawdzie pewien, czy wszystkich przekonał, ale wiedział jedno - wygłosił najlepsze przemówienie w swojej karierze. Uśmiechnięte twarze siedzących przy okrągłym stole utwierdziły go w przekonaniu, że referat został dobrze przyjęty. Na podobnych zgromadzeniach, jak zaznaczył ambasador szykując się do wyjścia, okazywanie uczuć należało do rzadkości. Raymond był przekonany, że termin spłaty pożyczki MFW zostanie przedłużony.

Przed przerwą na lunch wysłuchano jeszcze dwóch przemówień. Po zakończeniu sesji popołudniowej Raymond wyszedł na świeże powietrze i postanowił wrócić pieszo do ambasady. Udany występ na konferencji międzynarodowej wprawił go w dobry humor. Sięgnął po wieczorne wydanie gazety relacjonującej przebieg konferencji i uśmiechnął się czytając, że -jak przewidywali dziennikarze - zostanie kanclerzem skarbu Wielkiej Brytanii z ramienia laburzystów. Miał przed sobą ostatni dzień obrad, potem uroczysty bankiet, a na weekend powinien wrócić do domu.

Strażnik przed ambasadą dwukrotnie sprawdził jego tożsamość - nieczęsto zdarzało się, żeby minister chodził na piechotę, w dodatku bez obstawy. Raymond ruszył obsadzoną drzewami aleją w stronę potężnego gmachu, który był dziełem Lutyensa. Spojrzał w górę i zobaczył opuszczoną do połowy masztu flagę. Od razu przyszło mu na myśl, że umarł jakiś wybitny Amerykanin.

- Kto umarł? - spytał kamerdynera, który otworzył drzwi.

- Minister spraw zagranicznych, sir.

- Anthony Crosland? Wiedziałem, że jest w szpitalu, ale... - rzekł Raymond właściwie do siebie.

Szybko wszedł do środka. W ambasadzie terkotały teleksy wystukując zakodowane wiadomości. Raymond przesiedział parę godzin w pokoju gościnnym, a potem, budząc grozę ochroniarzy, wymknął się na cichą kolacyjkę z senatorem Hartem w hotelu Mayflower.

Nazajutrz o dziewiątej rano znów zasiadł przy stole konferencyjnym, by wysłuchać francuskiego ministra handlu, który uzasadniał prośbę o przedłużenie spłaty pożyczki. Myślami wybiegał już do wieczornego bankietu w Białym Domu, gdy ktoś dotknął jego ramienia. Sir Peter Ramsbotham, z palcem na ustach, pokazał na migi, że chce zamienić z nim parę słów na osobności.

- Premier wzywa pana do Londynu - oznajmił sir Peter. - Za godzinę odlatuje concorde. Prosto z lotniska uda się pan na Downing Street.

- O co chodzi?

- Nie mam pojęcia. Powtarzam polecenie, które otrzymałem z Numeru Dziesiątego - odparł ambasador.

Raymond wrócił do sali konferencyjnej, usprawiedliwił się przewodniczącemu i wyszedł. Natychmiast odwieziono go na lotnisko z zapewnieniem, że bagaże polecą za nim.

Po trzech godzinach i czterdziestu jeden minutach lotu znalazł się na angielskiej ziemi. Postarano się, żeby pierwszy zszedł z pokładu odrzutowca. Na płycie lotniska czekała limuzyna, którą pomknął na Downing Street. Zjawił się tam akurat w chwili, gdy premier wychodził na kolację z afrykańskim mężem stanu zaopartym w stylowy wachlarz.

- Witaj w domu, Ray - powiedział premier odchodząc od czarno skórego dygnitarza. - Chętnie bym cię zaprosił, ale, jak widzisz, goszczę prezydenta Malawi. Może zamienimy dwa słowa w gabinecie.

Kiedy usiedli, premier Callaghan nie tracąc czasu oznajmił:

- Po nieoczekiwanej śmierci Tony'ego muszę dokonać pewnych przesunięć personalnych. Liczę, że zgodzisz się przejąć stanowisko sekretarza stanu do spraw handlu.

Raymond wyprostował się w krześle.

- To dla mnie zaszczyt, panie premierze.

- Świetnie. Zasłużyłeś na ten awans, Raymondzie. Słyszałem, że bardzo dobrze sprawiłeś się w Ameryce.

- Dziękuję.

- Niezwłocznie dostaniesz nominację do Królewskiej Rady Przybocznej. Jutro o dziesiątej odbędzie się pierwsze posiedzenie gabinetu, w którym weźmiesz udział. A teraz wybaczone, muszę pośpieszyć do doktora Bandy.

Raymond stał przez chwilę w hallu.

Poprosił szofera o odwiezienie do domu. Chciał czym prędzej podzielić się nowiną z Kate. Kiedy zobaczył puste mieszkanie, uprzytomnił sobie, że Kate spodziewa się go nazajutrz. Zadzwoił do niej, przeczekał dwadzieścia sygnałów i dopiero wtedy pogodził się z faktem, że wyszła. Głośno przeklął, zaczął krążyć po pokoju, aż wreszcie zadzwonił do Joyce. Jej również nie zastał.

Poszedł do kuchni i utworzył lodówkę. Znalazł w niej kawałek podsuszonego bekonu, napoczęty serek brie i trzy jajka. Nie mógł odżałować, że przeszedł mu koło nosa bankiet w Białym Domu.

Wielce szanowny Raymond Gould, adwokat królewski i poseł do parlamentu, sekretarz stanu do spraw handlu w rządzie Jej Królewskiej Mości, usiadł na taborecie, otworzył puszkę fasolki i zbrojny w widelec zabrał się do jedzenia.

Charles zamknął teczkę. Przez cały miesiąc gromadził dowody. W tym celu wynajął prywatnego detektywa, którego nazwisko wynalazł w książce telefonicznej. Albert Cruddick liczył drogo za swoje usługi, ale zapewniał dyskrecję. Pieczołowicie notował daty i okoliczności spotkań. Powtarzało się niezmiennie: nazwisko Alexander DalGLISH, lunch u Pruniera i hotel Stafford. Pan Cruddick bardzo się nie wysilił, ale przynajmniej oszczędził Charlesowi wystawiania po kilka godzin w ulicznej bramie raz lub dwa razy na tydzień.

Charlesowi jakoś udało się utrzymać w tajemnicy swoje dochodzenie. Na własną rękę notował dni, kiedy Fiona utrzymywała, że wyjeżdża do okręgu wyborczego. Dzwonił potem do swojego agenta w Sussex Downs i podpytywał go tak długo, aż usłyszał odpowiedź potwierdzającą doniesienia detektywa.

W tym czasie starał się widywać z Fioną jak najrzadziej. Tłumaczył się, że zaprzęta go bez reszty ustawa skarbowa. To kłamstwo nosiło pozory prawdy, gdyż rzeczywiście pracował bez wytchnienia nad artykułami, które miały być przedmiotem debaty. Kiedy „rozcieńczona” wersja projektu ustawy stała się prawem, Charles doszedł do siebie po klęsce, jaką było utrzymanie przez stronę rządową artykułu 110.

Położywszy teczkę na podręcznym stoliku Charles czekał cierpliwie na telefon. Wiedział dokładnie, gdzie teraz jest Fiona, i na samą myśl o tym aż go mdliło. Zadzwoił telefon.

- Obiekt wyszedł pięć minut temu - zameldował detektyw.
- Dziękuję - odparł Charles i odłożył słuchawkę.
- Za dwadzieścia minut Fiona powinna zjawić się w domu.
- Jak pan myśli, dlaczego idzie na piechotę, zamiast wziąć taksówkę? - zapytał kiedyś detektywa.
- Pozbywa się zapachów - wyjaśnił pan Cruddick ze znajomością rzeczy.
- Charles wstrząsnął się.
- A co on robi? - spytał.
- Nie mógł się zdobyć, by powiedzieć Alexander lub chociażby DalGLISH.
- Przed powrotem do domu idzie do klubu Lansdowne i prze pływa dziesięć długości basenu albo gra w squasha. Oba sporty skutecznie rozwiązują problem.
- Zachrobotał klucz w zamku. Charles wziął głęboki oddech i sięgnął po teczkę. Fiona weszła do salonu. Widok męża siedzącego w fotelu z walizką u boku zaskoczył ją i zbił z tropu.
- Opanowała się szybko, podeszła i pocałowała go w policzek.
- Co cię tak wcześniej sprowadza, kochanie? Socjaliści wzięli dzień urlopu? - zażartowała śmiejąc się nerwowo.
- To - odpowiedział. Wstał i podał jej teczkę.
- Zdjęła płaszcz i rzuciła na kanapę. Otworzyła teczkę i zaczęła czytać. Charles nie spuszczał z niej wzroku. Najpierw pobladła, potem nogi odmówiły jej posłuszeństwa i opadła na kanapę. W końcu zaczęła szlochać.
- To nieprawda - zaprzeczyła.
- Wiesz doskonale, że wszystko jest zgodne z prawdą w najdrobniejszych szczegółach.
- Charles, przecież kocham tylko ciebie, on mnie nie obchodzi, musisz mi uwierzyć.
- W nic takiego nie uwierzę. Przestałaś być osobą, z którą mogę dzielić życie.
- Dzielić życie? Żyję sama od chwili, kiedy zasiadłeś w parlamencie.
- Może częściej pokazywałbym się w domu, gdybyś wykazała zainteresowanie założeniem rodziny.
- Zapewne wyobrażasz sobie, że właśnie mnie należy winić za tę sytuację?

Charles nie zwrócił uwagi na ukryty wyrzut i mówił dalej:

- Za chwilę ^pójdę do klubu, gdzie zamierzam przenocować. Oczekuję, że w wciągu siedmiu dni opuścisz ten dom. Nie chcę po powrocie zastać żadnych „ruchomości stanowiących majątek osobisty”, że przytoczę sformułowanie z intercyzy.

- Gdzie ja pójdę? - zawołała Fiona.

- Może do kochanka? Ale chyba nie spodobałoby się to jego żonie. Wobec tego może znajdziesz dla siebie kąt u ojca.

- A jeżeli się nie wyprowadzę? - postawiła się Fiona.

- To wyrzucę cię jak dziwkę i wymienię nazwisko Alexandra Dalglisha w bardzo nieprzyjemnej rozprawie rozwodowej.

- Daj mi jeszcze jedną szansę. Już nigdy na niego nie spojrzę - poprosiła z płaczem.

- O ile dobrze sobie przypominam, już raz to mówiłaś, i w rzeczy samej dałem ci szansę. A co z tego wynikło, widać aż nadto wyraźnie.

- Wskazał teczkę leżącą na podłodze.

Fiona przestała płakać widząc, że Charlesa nic nie wzruszy.

- Więcej się nie zobaczymy. Przez co najmniej dwa lata będziemy żyli w separacji, a potem przeprowadzimy dyskretny, w miarę możliwości, rozwód. Jeżeli narazisz mnie na najmniejszą przykrość, zmieszam was oboje z błotem. Możesz mi wierzyć.

- Pożałujesz tego. Daję słowo. Nie pozwolę się tak łatwo odepchnąć.

- Co takiego? - zdumiała się Joyce.

- Dwaj komuniści zgłosili swoje kandydatury do komitetu administracyjnego partii - powtórzył Fred Padgett.

- Po moim trupie. - Głos Joyce zabrzmiał wyjątkowo ostro.

- Spodziewałem się po tobie takiej reakcji - rzekł Fred.

Joyce zaczęła szukać ołówka i papieru, które zwykle leżały na stole przy telefonie.

- Kiedy zebranie? - zapytała.

- W najbliższy czwartek.

- Czy mamy swoich, godnych zaufania kandydatów?

- Oczywiście - rzekł Fred. - Jest radny Reg Illingworth i Jenny Simpkins ze spółdzielni.

- Oboje są do rzeczy, ale dadzą się zjeść w kaszy.

- Czy mam zadzwonić do Raymonda i ściągnąć go z Londynu na zebranie?

- Nie - powiedziała Joyce. - Zasiadając w gabinecie ma dość zmartwień na głowie. Ja się tym zajmę.

Odłożyła słuchawkę i starała się zebrać myśli. Po chwili podeszła do biurka i zaczęła przerzucać papiery, szukając listy członków komitetu partii. Uważnie przeczytała szesnaście nazwisk, zdając sobie sprawę, że jeśli dwaj komuniści wejdą w skład komitetu, to za pięć lat przejmą nad nim kontrolę - może nawet usuną Raymonda. Wiedziała, jak ci ludzie działają. Gdyby udało się teraz porządnie utrzeć im nosa, może wynieśliby się do innego okręgu.

Jeszcze raz sprawdziła nazwiska i włożyła najwygodniejsze wyjściowe pantofle. Przez cztery dni składała wizyty w wybranych domach wyjaśniając, że właśnie tamtędy przechodziła. Wpadła na pogawędkę do dziewięciu pań, których mężowie wchodzili w skład komitetu. Czterech panów, którzy nie liczyli się ze zdaniem żon, odwiedziła po pracy. Trzech, nie darzących sympatią Raymonda, pominęła.

W czwartek po południu trzynastu ludzi nie miało wątpliwości, czego się od nich oczekuje. Joyce siedziała w domu mając nadzieję, że Raymond zadzwoni. Prawie nie tknęła ugotowanej przez siebie potrawy z Lancashire. Próbowwała oglądać ostatni odcinek *Korzeni*, ale zasnęła siedząc przed telewizorem. Pięć po jedenastej obudził ją telefon.

- Raymond?

- Mam nadzieję, że cię nie zbudziłem - powiedział Fred.

- Nie, nie - zaprzeczyła Joyce myśląc teraz tylko o wyniku zebrania. - Jak poszło?

- Red i Jenny przeszli w cuglach. Tamci dwaj zdobyli razem trzy głosy.

- Świetna robota.

- Ależ ja nic nie zrobiłem - powiedział Fred. - Policzyłem głosy, nic więcej. Czy mam zawiadomić Raymonda, co się tu działo?

- Nie trzeba - zapewniła Joyce. - Lepiej, żeby nie myślał, że mieliśmy tu w Leeds kłopoty.

Ułożyła się w fotelu przy telefonie, zrzuciła pantofle i zasnęła.

Wiedziała, że musi zaplanować całą operację tak, by mąż o niczym się nie dowiedział. Siedziała w domu sama, rozważając różne sposoby wprowadzenia go w błąd. Po kilku straconych godzinach w jej głowie zabłysła pewna myśl. Kilka razy analizowała trudności i komplikacje, aż wreszcie uznała, że rzecz musi się udać. Przekartkowała dział ogłoszeń w książce telefonicznej i umówiła się na drugi dzień.

Ekspedientka pomogła jej przymierzyć kilka peruk, ale jako tako nadawała się tylko jedna.

- Bez dwóch zdań, szanowna pani prezentuje się nadzwyczaj elegancko - zapewniła ekspedientka.

Wiedziała, że to nieprawda - wyglądała wprost okropnie - ale miała nadzieję, że peruka zda egzamin.

Umalowała się używając kosmetyków zakupionych u Harrodsa i wyciągnęła z głębi szafy kwiecistą sukienkę, której nie lubiła. Stała przed lustrem obrzucając się krytycznym spojrzeniem. Nabrała przekonania, że w Sussex nikt jej nie pozna. A gdyby mąż się dowiedział? Powinien jej wybaczyć.

Wyszła i pojechała w stronę londyńskiego przedmieścia. Jak się wytłumaczyć w razie wpadki, myślała. Czy on okaże zrozumienie, gdy odkryje prawdę? Dojechała do okręgu, zaparkowała samochód na uboczu i zaczęła spacerować po głównej ulicy. Nikt jej nie poznał, przez co nabrała zaufania, że jednak przeprowadzi swój plan. Nagle spostrzegła go.

Liczyła, że tego dnia mąż będzie w City. Wstrzymała oddech patrząc, jak się zbliża. Kiedy ją mijał, powiedziała „dzień dobry”. Odwrócił się i z uśmiechem pozdrowił, jak przystało na posła. Odechnęła z ulgą i zawróciła do samochodu.

Ruszyła z głębokim przekonaniem, że pójdzie jej jak z płatka. Po drodze jeszcze raz przećwiczyła, co ma powiedzieć, i ani się obejrzała, kiedy zajęła miejsce. Zatrzymała samochód, wysiadła i pewnym krokiem podeszła do drzwi.

Stojąc przed drzwiami sali posiedzeń gabinetu Raymond przyjmował gratulacje od kolegów. Punktualnie o dziesiątej zjawił się premier, powitał obecnych i zasiadł na honorowym miejscu przy długim stole. Dwudziestu jeden członków gabinetu porzysiadło

się dokoła. Po lewej ręce premiera usiadł lider Izby, Michael Foot, a naprzeciw minister spraw zagranicznych i kanclerz skarbu. Raymondowi wskazano miejsce przy końcu stołu między sekretarzami stanu do spraw Walii i do spraw edukacji.

- Na początek chciałbym - zaczął premier - powitać Davida Owena na stanowisku ministra spraw zagranicznych oraz Raymonda Goulda jako sekretarza stanu do spraw handlu.

Dziewiętnastu członków gabinetu zgodnie z tradycją wymamrotało „brawo, brawo”. David Owen uśmiechnął się nieznacznie, Raymond zaś poczuł, że się rumieni.

- Pierwsza sprawa wymagająca szczegółowego omówienia to proponowany układ z liberałami...

Raymond poprawił się na krześle z postanowieniem, że dziś będzie tylko słuchał.

Siedząc w małym gabinecie Andrew słuchał uważnie opinii specjalisty. Louise nadal nie mówiła, choć pod każdym innym względem wróciła całkowicie do zdrowia. Mogła czytać i odpowiadała na piśmie na pytania Andrew. Lekarz uważał, że przydałoby się pobudzić jej zainteresowania i oderwać myśli od Roberta. Minął już rok, a Louise wciąż potrafiła całymi godzinami wpatrywać się w jego fotografie.

- Udało mi się skontaktować z doktor Kerslake - powiedział lekarz. - Podzielim jej przekonanie, że dla pańskiej żony kolejna ciąża byłaby wysoce niewskazana. Natomiast doktor Kerslake zgadza się ze mną, że powinni państwo zastanowić się nad adopcją dziecka.

- Dużo nad tym myślałem - odparł Andrew. - Rozmawiałem nawet z ojcem. Ale obaj uważamy, że Louise się nie zgodzi.

- Trzeba liczyć się z ryzykiem zważywszy okoliczności - rzekł lekarz. - Minął już cały rok. Przekonaaliśmy się boleśnie, że pani Fraser kocha dzieci. Gdyby zaś była przeciwna tej propozycji, jest obecnie w stanie powiadomić pana o tym.

- Jeżeli Louise okaże zainteresowanie, chętnie podejmę próbę. Ale ostateczna decyzja należy do niej.

- Dobrze. Proszę się dowiedzieć, co żona o tym sądzi. Jeżeli zdecydujecie się państwo podjąć kroki w tym kierunku, zorganizu-

ję spotkanie z miejscowymi władzami. - Lekarz wstał zza biurka. - Jestem pewien, że nie będzie trudności w znalezieniu dla państwa odpowiedniego dziecka.

- Byłbym wdzięczny, gdyby chłopiec pochodził ze szkockiego sierocińca.

Lekarz skinął głową.

- Skontaktuję się z panem, kiedy się czegoś dowiem.

Po tygodniu nocowania w klubie Charles przekroczył próg domu i od razu się zorientował, że Fiona go opuściła. Poczul ulgę. Nadszedł wreszcie koniec z udawaniem; rozstali się bez komplikacji, nieodwołalnie. Wszedł do salonu i zatrzymał się - coś było nie tak. Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, co się stało.

Fiona ogołociła ściany ze wszystkich rodzinnych obrazów.

Nad kominkiem zabrakło Wellingtona, na ścianie za kanapą Wiktorii. Po dwóch Landseerach i Constable'u zostały cienkie ramki z kurzu. Charles wszedł do biblioteki - znikł Van Dyck, Murillo i dwa małe Rembrandty. Pobiegł korytarzem. To chyba niemożliwe, pomyślał otwierając w pędzie drzwi jadalni. A jednak stało się. Patrzył osłupiały na gołą ścianę, gdzie jeszcze tydzień temu wisiał portret pierwszego hrabiego Bridgwater pędzla Holbeina.

Charles wyszarpnął z kieszeni notes i zaczął gorączkowo przewracać kartki, aż znalazł numer telefonu. Zadzwoił. Pan Cruddick wysłuchał go w milczeniu.

- Biorąc pod uwagę, jak bardzo zależy panu na uniknięciu rozgłosu, panie Seymour, widzę dwa wyjścia - powiedział niewzruszonym głosem, jak zwykle spokojny i opanowany. - Może pan zrobić dobrą minę do złej gry i pogodzić się z sytuacją, albo wybrać drugi sposób, z którego nieraz korzystałem.

Na nowym stanowisku Raymond miał tyle obowiązków, że rzadziej widywał się z Kate, a z Joyce tylko raz na dwa tygodnie, kiedy musiał odwiedzić Leeds. Pracował od ósmej rano do późnej nocy.

- A jaką sprawia ci to frajdę - przypominała Kate, kiedy zdarzyło mu się ponarzekać.

Raymond spostrzegł, że odkąd wszedł w skład gabinetu, w za-

chowaniu innych ludzi w stosunku do niego zaszły nieznaczne zmiany. Najbliższe życzenie spełniano w mgnieniu oka, ze wszystkich ust padały pochlebne słowa. Było to przyjemne, ale Kate zwracała mu uwagę, że tylko królowa może pozwolić sobie na przyzwyczajenie do takiego traktowania.

Na dorocznej konferencji Partii Pracy Raymond zgodził się, żeby zgłoszono jego kandydaturę na członka krajowej egzekutywy. Nie wybrano go wprawdzie, ale wyprzedził w rywalizacji innych gabinetowych ministrów i zebrał tylko kilka głosów mniej od Neila Kinnocka, stałego ulubieńca wyborców.

Trzeciego dnia obrad Andrew Fraser jak zwykle umówił się z Raymondem na lunch. Andrew nabrał zaufania do swojego kolegi - czuł, że może być z nim szczery. Zwierzył mu się z niepokojów, jakie budziło w nim przesuwanie się partii na lewo.

- Jeżeli przejdą niektóre wnioski dotyczące obronności, będę miał urwanie głowy - powiedział walcząc z twardym stekiem.

- Zapaleńcy zawsze zgłaszają wnioski, które są kwitowane zdawkową dyskusją.

- Cholera niech weźmie zdawkowe dyskusje. Niektóre z tych szalonych pomysłów zyskują posłuch, który może spowodować włączenie ich do polityki partyjnej.

- Czy martwi cię jakiś konkretny wniosek? - zapytał Raymond.

- Owszem. Najnowsza propozycja Tony'ego Benna, żeby przed każdymi wyborami powszechnymi na nowo dobierać członków okręgowych komitetów partyjnych. Takie jest jego wyobrażenie o rozliczaniu się i demokracji.

- Dlaczego się tego obawiasz?

- Bo garstka trockistów, którzy opanują komitet administracyjny, może odwrócić decyzję podjętą przez pięćdziesiąt tysięcy wyborców.

- Przesadzasz, Andrew.

- Jeżeli przegramy w najbliższych wyborach, przewiduję taki rozłam w partii, że nigdy się nie pozbieramy.

- Od początku istnienia Partii Pracy wciąż ktoś tak kracze.

- Obyś miał rację, ale niestety czasy się zmieniły - rzekł Andrew.

- Nie tak dawno temu ty zazdrościłeś mnie.

- To się może jeszcze zmienić. - Raymond dał spokój stekowi, skinął na kelnerkę i zamówił dwie duże brandy.

Charles podniósł słuchawkę i wykręcił numer, którego nie musiał sprawdzać w notesie. Telefon odebrała nowa pokojówka z Portugalii.

- Czy zastałem lady Fionę?
- Nie ma lady, sir.
- Czy wiesz, gdzie teraz jest? - zapytał Charles wolno i wyraźnie.
- Pojechała, wraca szósta. Wziąć wiadomość?
- Nie, dziękuję - rzekł Charles. - Zadzwoń wieczorem. - Odłożył słuchawkę.

Jak się okazało, niezawodny Cruddick trafnie przewidział, co zrobi Fiona. Charles zadzwonił do niego od razu. Umówili się za dwadzieścia minut, zgodnie z planem.

Pojechał na ulicę Boltons i zaparkował w pobliżu domu teścia, po przeciwnej stronie. Nie pozostało mu nic innego, jak czekać.

Po chwili zza rogu wyłonił się duży wóz meblowy bez firmowych oznaczeń i stanął przed numerem 24. Z kabiny kierowcy wyskoczył Cruddick w brązowym kombinezonie i czapce. Miał ze sobą pomocnika, który otworzył wóz z tyłu. Cruddick dał znak Charlesowi i wszedł po schodach do drzwi wejściowych.

Nacisnął dzwonek. Drzwi uchyliła młoda Portugalka.

- Przyjechaliśmy po rzeczy dla lady Seymour.
- Nie rozumiem - powiedziała pokojówka.

Cruddick wyjął z kieszeni list napisany na osobistej papeterii lady Seymour. Pokojówka nie umiała przeczytać, że jej pani zgadza się zostać przewodniczącą Sekcji Pań w Klubie Krykietowym w Hurlingham, ale poznała podpis i nadruk na arkuszu. Kiwnęła głową i otworzyła szerzej drzwi. Kolejny etap misternego planu Cruddicka wszedł w życie.

Cruddick uchylił czapki, co było umówionym znakiem. Charles wysiadł z samochodu rozglądając się na wszystkie strony i dołączył do detektywa. Było mu niewygodnie w przyciasnym kombinezonie, a czapka dostarczona przez Cruddicka napęłniała go odrazą. Świadom swojego dziwaczego wyglądu przeszedł obok pokojówki, której nie zdziwił arystokrata w roboczym stroju. Obrazy nietrudno było odnaleźć. Tylko kilka wisiało na ścianach, reszta stała w hallu jak w magazynie.

W ciągu czterdziestu minut obrazy trafiły do wozu meblowego.

Zabrakło jedynie portretu pierwszego hrabiego Bridgwater pędzla Holbeina.

- Czas na nas - przypomniał podenerwowany Cruddick, ale Charles nie zamierzał zrezygnować z poszukiwań.

Jeszcze przez trzydzieści pięć minut Cruddick siedział bębniąc palcami w kierownicę, zanim Charles uznał, że widocznie zabrano obraz gdzie indziej. Cruddick uchylił czapki żegnając pokojówkę, a pomocnik zamknął z tyłu furgon.

- Cenny obraz, panie Seymour? - spytał detektyw.

- Rodzinny skarb, na aukcji można by go sprzedać za dwa miliony - wyjaśnił zwięźle Charles i poszedł do swojego samochodu.

- Głupie pytanie, Albercie Cruddick - powiedział do siebie detektyw odjeżdżając od krawężnika.

Na Eaton Square czekał zniecierpliwiony ślusarz, który właśnie skończył wymieniać wszystkie trzy zamki w drzwiach.

- Gotówka do ręki, szefie. Bez pokwitowania. Dzięki temu mogę raz w roku zabrać żonę na Ibiza.

Kiedy Fiona przyjechała z Sussex do Londynu, wszystkie obrazy - z wyjątkiem portretu pierwszego hrabiego Bridgwater pędzla Holbeina - wróciły na swoje miejsce, na Eaton Square. Cruddick, ściskając w rękę czek na okrągłą sumę, wyraził opinię, że pan Seymour będzie musiał zrobić dobrą minę do złej gry i pogodzić się z sytuacją. Było to oczywiście nie do przyjęcia.

- Wspaniale - ucieszył się Simon słysząc nowinę. -1 to w szpitalu w Pucklebridge?

- Tak. Poszłam tam w związku z ogłoszeniem w „Lancecie”. Potrzebowali konsultanta na oddziale porodowym.

- Ale twoje nazwisko też pewnie miało znaczenie.

- Na pewno nie - zaprzeczyła ostro Elizabeth.

- Jak to?

- Nie zgłosiłam się jako doktor Kerlake. W formularzu wpisałam panińskie nazwisko Drummond.

Simon umilkł na chwilę.

- Przecież musieli cię poznać - stwierdził.

- Byłam tak wytapetowana, że mnie nie poznali. Nawet ty dałeś się nabrać.

- Nie przesadzaj.

- Minęłam cię na ulicy w Pucklebridge, powiedziałam dzień dobry, a ty mi odpowiedziałeś.

Simon spojrział na nią z niedowierzaniem.

- A co będzie, kiedy dowiedzą się prawdy?

- Już się dowiedzieli - przyznała ze skrucą. - Kiedy zostałam przyjęta, posłam do starszego konsultanta i przyznałam się do wszystkiego. Teraz chodzi i opowiada tę historyjkę każdemu, kogo spotka.

- Nie rozgniewał się?

- Ależ skąd. Powiedział nawet, że o mały włos nie dostałabym pracy, bo pomyślał o niebezpieczeństwach, jakie groziłyby mi wśród niezonatych panów doktorów.

Andrew trzymał Louise za rękę. Zbliżali się właśnie do domu dziecka na przedmieściach Edynburga. Na wyszorowanym progu stała oczekująca ich kierowniczką.

- Dzień dobry, panie ministrze - powiedziała. - Jesteśmy za szczytami, że wybrał pan właśnie nasz dom.

Andrew i Louise uśmiechnęli się.

- Pozwolą państwo za mną.

Poprowadziła ich słabo oświetlonym korytarzem. Niebieski fartuch aż trzeszczał od krochmalu.

- Dzieci są w tej chwili na placu zabaw, ale zobaczą je państwo przez okno mojego pokoju.

Andrew już wcześniej przeczytał informacje o dzieciach i obejrzał fotografie. Nie uszło jego uwagi uderzające podobieństwo jednego z chłopców do Roberta.

Przez dłuższą chwilę wyglądali przez okno, ale Louise nie okazała zainteresowania żadnym z podopiecznych sierocińca. Kiedy chłopiec przypominający Roberta podbiegł do okna, odwróciła się i usiadła w kącie.

Andrew potrząsnął głową. Kierowniczkę zrzędnęła mina.

Przy kawie i ciasteczkach Andrew podjął jeszcze jedną próbę.

- Czy chciałabyś, kochanie, poznać któregoś z dzieci?

Louise potrząsnęła głową. Andrew zaklął w duchu obawiając się, czy to przeżycie nie pogorszy stanu żony.

- Czy widzieliśmy wszystkie? - zapytał szukając pretekstu, by skrócić wizytę.

- Tak, panie ministrze - odparła kierowniczką odstawiając filiżankę z kawą. - A właściwie niezupełnie - dodała z wahaniem. - Jest jeszcze jedna dziewczynka, której nie pokazaliśmy uznając, że to zbędne.

- Dlaczego? - zaciekawiał się Andrew.

- Bo, widzi pan, jest czarnoskóra.

Andrew zjeżył się.

- Ponadto nie wiemy absolutnie nic o jej rodzicach - ciągnęła kierowniczką. - Jest podrzutkiem. Takie dziecko nie nadaje się do domu ministra.

Andrew tak się oburzył, że zapomniał zwrócić się z pytaniem do siedzącej cicho w kącie Louise.

- Chciałbym ją zobaczyć - powiedział.

- Skoro pan nalega - odparła zaskoczona kierowniczką. - Nie jest niestety w najlepszym ubraniu - dodała wychodząc.

Andrew zaczął krążyć po pokoju. Gdyby nie obecność Louise, pewnie powiedziałby coś do słuchu tej babie. Kierowniczką wróciła prowadząc dziewczynkę w wieku czterech, pięciu lat, tak chudą, że sukienka wisała na niej jak na wieszaku. Miała spuszczoną głowę.

- Spójrz do góry, dziecko - poleciła kierowniczką.

Dziewczynka powoli uniosła głowę. Miała śniadą twarz o regularnych rysach, bystre czarne oczy i uśmiech, który chwycił Andrew za serce.

- Jak masz na imię? - zapytał cicho.

- Clarissa - odpowiedziała i znów spuściła głowę.

Tak bardzo chciał jej pomóc. Zrobiło mu się głupio, że niepotrzebnie naraził biedactwo na przykre przeżycie. Urażona kierowniczką pociągnęła nosem i rzekła:

- Możesz odejść, dziecko.

Clarissa odwróciła się i podeszła do drzwi.

- Zgodzi się pani ze mną, pani Fraser - dodała kierowniczką - że to nieodpowiednia dziewczynka.

Twarz Louise ożywiła się, oczy rozblęły. Andrew nie widział jej

takiej od śmierci Roberta. Wstała, dogoniła dziewczynkę i zajrzała w czarne oczy.

- Jesteś piękna, wiesz - powiedziała. - Bardzo bym chciała, żebyś zgodziła się zamieszkać z nami.

Rozdział dwudziesty trzeci

Głos marszałka przywołującego posłów do porządku pozostawał nieznany brytyjskim wyborcom aż do roku 1978, kiedy Izba Gmin przyjęła uchwałę zezwalającą na radiowe transmisje obrad. Simon popierał wniosek o zezwolenie na transmisje wysuwając argument, że radio poszerza zakres demokracji, gdyż pokazuje pracę parlamentu i pozwala wyborcom przekonać się, co porabiają wybrani przez nich reprezentanci. Sam wysłuchał przez radio wielu swoich pytań uzupełniających i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że mówi trochę za szybko, kiedy atakowany przez niego minister podaje tyły.

Raymond przeciwnie, nie popierał wniosku obawiając się, że okrzyki aprobaty i dezaprobaty oraz słowne napastowanie premiera zabrzmiały w uszach słuchaczy jak sztubackie pyskówki. Radiowa publiczność mogła, jego zdaniem, wyrobić sobie fałszywe wyobrażenie o codziennych obowiązkach posłów. Słuchając kiedyś wieczorem debaty parlamentarnej, w której brał udział, z przyjemnością odkrył, że ma dar przekonywania.

Andrew wysłuchał w porannym programie czwartym udzielanych przez siebie odpowiedzi na pytania dotyczące obronności i zorientował się, że kiedy jest zły lub podenerwowany, znacznie bardziej, niż przypuszczał, znać po jego głosie szkockie pochodzenie.

Charles przekonał się, że poranna audycja pomaga być na bieżąco, gdy na przykład zdarzy mu się opuścić część obrad. Audycja „Wczoraj w parlamencie” stała się nieodłączną towarzyszką jego samotnych poranków. O arystokratycznym brzmieniu swego głosu przekonał się, gdy usłyszał siebie tuż po wystąpieniu Toma Carsona. Nie miał zamiaru zmienić modulacji dla potrzeb radia.

Szesnastego grudnia 1977 roku królowa miała otworzyć odcinek metra do lotniska Heathrow. Z ramienia rządu oddelegowano na tę

uroczystość Raymonda. Joyce, która rzadko bywała w Londynie, przyjechała towarzyszyć mężowi na lunchu u królowej. U Harveya Nicholasa wybrała nową sukienkę, a kiedy stanęła w małej kabinie za zasłoną, spróbowała złożyć ukłon. Wypadł trochę chwiejnie, więc ćwiczyła dalej, wypowiadając formułkę powitalną, co wywołało zdziwienie czekającej przed przymierzalnią ekspedientki.

Wróciła do mieszkania przekonana, że jest przygotowana do roli nie gorzej od damy dworu i Raymond pochwali jej starania. Dawno już pożegnała się z nadzieją na macierzyństwo, ale wciąż starała się być dobrą żoną. Raymond uprzedził ją, że po powrocie z posiedzenia gabinetu będzie musiał od razu się przebrać, by zdążyć na stację metra Green Park. Królowa wraz ze switą i zaproszonymi gośćmi miała odbyć półgodzinną podróż metrem na lotnisko, a następnie wrócić na lunch do pałacu Buckingham. Raymond występując w charakterze ministra gabinetu kilkakrotnie zetknął się osobiście z monarchinią, ale Joyce jeszcze nigdy nie była jej przedstawiona.

Wykąpała się i przebrała wiedząc, że Raymond nigdy by jej nie wybaczył, gdyby się przez nią spóźnili, i zaczęła przygotowywać jego ubranie. Frak, szare prążkowane spodnie, biała koszula, kołnierzyk i srebrzysty krawat - wszystko wypożyczone z firmy Moss Bros. Brakowało tylko białej chusteczki wystającej z górnej kieszonki fraka, jak u księcia małżonka.

Joyce zaczęła przerzucać zawartość komody Raymonda, podziwiając nowe koszule. Kiedy spostrzegła karteczkę wystającą spod kołnierzyka różowej koszuli leżącej u spodu stosu, pomyślała, że to kwit z pralni. Ale wpadło jej w oko słowo „kochany”. Pochyliła się i przeczytała ze ściśniętym gardłem:

Kochany Marchewkowy Wiechciu,

Jeżeli włożysz kiedyś tę koszulę, to może zgodzę się zostać twoją żoną.

Kate

Joyce zdruzgotana usiadła na łóżku i rozplakała się. Szczęśliwy nastrój przepadł bezpowrotnie. Od razu jednak wiedziała, co ma robić. Zabrała kartkę, odłożyła nie noszoną koszulę na miejsce i zamknęła szufladę. Potem usiadła w saloniku czekając na Raymonda.

Kiedy przyszedł, zostało już bardzo mało czasu, więc ucieszył się, że jest gotowa.

- Muszę się spieszyć - powiedział znikając w sypialni.

Joyce poszła za nim i patrzyła, jak wkłada przygotowane przez nią wyjściowe ubranie. Kiedy poprawił krawat przed lustrem, stanęła tuż przed nim.

- Jak wyglądam? - spytał nie zauważając jej pobladłej twarzy.

Zawahała się.

- Fantastycznie, Raymondzie. Chodź już, bo się spóźnimy, a to byłoby niewybaczalne.

Simon domyślił się, że sytuacja zmienia się na lepsze, gdy Ronnie Nethercote zaprosił go na lunch do Ritza. Po aperitifach w salonie wprowadzono ich do najokazalszej restauracji londyńskiej i posadzono przy stoliku w kącie, skąd mieli widok na park. Przy innych stolikach widać było twarze znane zarówno w światku Ronnie'ego jak Simona.

Ronnie lekceważąco machnął ręką, gdy szef sali podał kartę.

- Zamów wiejską zupę jarzynową i pieczeń wołową - powiedział. - Zdaj się na mnie.

- A jak na rym wyjdę? - spytał Simon.

- Na pewno nie tak jak na naszym ostatnim przedsięwzięciu - bąknął Ronnie. - Na ile jesteś jeszcze do tyłu z powodu plajty Nethercote and Company?

- Na czternaście tysięcy trzysta funtów, ale powolutku się odkuwam. Najciężej spłacać procenty, zanim uda się nadgryźć kwotę długu.

- A jak ja się czułem, kiedy zaciągnęliśmy kredyt na siedem milionów, a bank bez ostrzeżenia zostawił nas na lodzie?

- Sądząc po nie dopinających się guzikach u kamizelki, przezwyciężyłeś tamte trudności.

- Masz rację - Ronnie roześmiał się. - Dlatego właśnie cię zaprosiłem. W końcu ty jeden jesteś stratny. Gdybyś został w zarządzie z pięciotysięczną roczną pensją, jak inni dyrektorzy, spółka byłaby ci winna jedenaście tysięcy sto funtów należnych poborów.

Simon jęknął.

Do stolika zbliżył się kelner, pchając wózek z pieczenia.

- Zaczekaj, to dopiero początek. Morgan Grenfell da nowej spółce duży zastrzyk gotówki pod warunkiem, że zmienię jej strukturę. Na razie jesteśmy spółką za sto funtów, mamy tylko statut i nazwę - Nieruchomości Whitechapel. Podoba ci się? Do mnie należy sześćdziesiąt procent, do banku czterdzieści. Przed podpisaniem nowej umowy chcę ci zaproponować...

- Życzy pan sobie porcję jak zwykle dobrze wypieczoną, panie Nethercote?

- Tak, Sam - rzekł Ronnie dając kelnerowi funta napiwku. - Chcę ci zaproponować...

- A pański gość, sir? - spytał kelner patrząc na Simona.

- Proszę średnio wypieczoną.

- Służę panu.

- Chcę ci zaproponować jeden procent udziałów w mojej spółce, inaczej mówiąc jedną akcję.

Simon nie odezwał się przekonany, że Ronnie jeszcze nie skończył.

- Nie spytasz o nic? - zdziwił się Ronnie.

- O co?

- Wy, politycy, głupiejecie z minuty na minutę. Jeżeli proponuję ci jednofuntową akcję, to jak myślisz, ile zażądam w zamian?

- Zapewne nie jednego funta - odparł z uśmiechem Simon.

- A właśnie że tak - rzekł Ronnie. - Za jednego funta dostaniesz jeden procent spółki.

- Czy tak będzie dobrze, sir? - zapytał kelner stawiając przed Simonem talerz z pieczenia.

- Zaczekaj, Sam - powiedział Ronnie i zwrócił się do Simona. - Powtarzam: proponuję ci jeden procent udziału za jednego funta. A teraz powtórz Sam, o co pytałeś.

- Czy tak będzie dobrze, sir? - powtórzył kelner.

- Aż za bardzo - rzekł Simon.

- Słyszałeś, Sam?

- Oczywiście, sir.

- No, Simonie, jesteś mi winien funta.

Simon roześmiał się, wyciągnął portfel, wyjął banknot jednofuntowy i podał Ronnie'emu.

- Chciałem tylko pokazać - rzekł Ronnie zwracając się do kel-

nera i chowając banknot do kieszeni - że nie tylko Sam potrafi < zarobić funta.

Sam uśmiechnął się nie mając pojęcia, o czym rozprawia pan Nethercote, i postawił przed nim dużą porcję mocno wypieczonej wołowiny.

Ronnie wyjął z kieszeni kopertę i wręczył Simonowi.

- Mam od razu otworzyć? - spytał Simon.

- Tak, chcę zobaczyć twoją minę.

Simon otworzył kopertę i zapoznał się z jej zawartością. Świadectwo udziałowe na jedną akcję w nowej spółce opiewało na przeszło dziesięć tysięcy funtów.

- I co ty na to? - spytał Ronnie.

- Odebrało mi mowę.

- Jesteś pierwszym politykiem, jakiego znam, który uskarża się na taką dolegliwość.

Simon roześmiał się.

- Dziękuję ci, Ronnie. To niewiarygodnie hojny gest.

- Nieprawda. Skoro byłeś lojalny wobec poprzedniej spółki, to dlaczego nie miałbyś korzystać z powodzenia nowej?

- To mi o czymś przypomina. Czy mówi ci coś nazwisko Millburn? - zapytał Simon.

Ronnie zastanowił się.

- Nie, a powinno?

- To właśnie on mógł przekonać Morgana Grenfella, że warto cię wykupić.

- Nigdy nie słyszałem tego nazwiska. Ale pamiętaj, Morgan Grenfell nie zdradził źródła informacji, a wiedział dosłownie wszystko o starej spółce. Dam ci znać, jeżeli natknę się na nazwisko Millburn. Dość o interesach. Opowiedz, co u ciebie. Jak tam szanowna małżonka?

- Oszukuje mnie.

- Oszukuje?

- Tak, nosi perukę i dziwacznie się przebiera.

Clarissa zamieszkała na Pelham Crescent i przez miesiąc moczyła się w nocy, ale Louise wcale się nie skarżyła. Andrew obserwował rosnące z każdym dniem wzajemne przywiązanie matki i córki.

Clarissa uznała, że Louise mówi normalnie, jak każdy dorosły, i buzia jej się nie zamykała od rana do wieczora. Jeżeli Louise rzadko odpowiadała, to tylko dlatego, że trudno jej było przerwać potok wymowy dziewczynki.

Akurat kiedy Andrew poczuł, że domowe życie wraca do normy, w Edynburgu nad jego głową zgromadziły się czarne chmury. Okręgowy komitet partii, w którego skład weszło pięciu członków lewicowego Odłamu Wojującego, złożył wniosek o wotum nieufności wobec swojego posła. Przewodniczący lewicowcom Frank Boyle od jakiegoś czasu umacniał swoją pozycję z zamiarem, jak podejrzewał Andrew, zajęcia jego miejsca. Nie rozmawiał o tym z Louise, ponieważ lekarz radził unikać jakichkolwiek zbędnych stresów w czasie adaptowania się Clarissy do nowych warunków.

Lewicowcy wyznaczyli termin zebrania na najbliższy czwartek wiedząc, że tego dnia w Izbie Gmin odbędzie się debata nad rocznym raportem o obronności. Frank Boyle przewidywał, że nieobecność Andrew ułatwi przeprowadzenie wniosku o wotum nieufności. Gdyby bowiem chciał się zjawić na zebraniu, żeby odprzeć atak, stanąłby przed koniecznością usprawiedliwienia absencji w czasie debaty parlamentarnej. Gdy szef naganiaczy poinformował premiera o tym dylemacie, ten bez wahania nakazał Andrew udać się do Edynburga.

W czwartek po południu Andrew poleciał na północ. Na lotnisku czekał przewodniczący komitetu partyjnego, Hamish Ramsey.

- Przepraszam, że jesteś narażony na takie przykrości - powiedział od razu. - Nie mam w nich udziału, zapewniam, i ostrzegam, że to nie jest już ta Partia Pracy, do której wstąpiłem dwadzieścia lat temu.

- Jaki będzie twoim zdaniem przebieg głosowania? - spytał Andrew.

- Dzisiaj wygrasz. Decyzję, na kogo głosować, podjęto przed zebraniem. Jest jeden niezdecydowany, ale w twojej obecności stchórz i nie przejdzie na stronę trockistów.

Po przybyciu do siedziby laburzystów w Edynburgu Andrew czekał ponad godzinę w zimnym korytarzu przed salą posiedzeń. Domyślał się, że to zagrywka przeciwników, którzy chcą go wyprowadzić z równowagi, zanim wezwą na dywanik. Kiedy wreszcie zaproszono go do środka, poczuł się tak, jak zapewne czuli się

przesłuchiwani przed sądem inkwizycji. Pytania padały jedno za drugim, a zadający je posepni panowie, którzy swego czasu nie pomogli mu nawet zdobyć mandatu, usiłowali dowieść, że wykazuje zbyt małe zainteresowanie okręgiem wyborczym. Andrew bronił się dzielnie i ze złością go dopiero Frank Boyle wyrażając się o nim: „ten syn torysa”.

Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widział się z ojcem.

- Mój ojciec zrobił dla tego miasta tyle, że pan do końca życia mu nie dorówna - powiedział.

- To dlaczego nie wstąpi pan do jego partii? - zareplikował Boyle.

Andrew miał odpowiedź na końcu języka, ale Hamish Ramsey uderzył młotkiem w stół i powiedział:

- Dosyć tych docinków. Pora głosować.

Andrew z niepokojem śledził karteczki podawane przewodniczącemu do przeliczenia. Przy wyniku pięć do pięciu Hamish Ramsey bez wahania oddał swój głos na Andrew.

- O najbliższe wybory możesz być spokojny, chłopcze - rzekł Hamish odwożąc Andrew do hotelu. - Ale nie ręczę, co będzie potem.

Nazajutrz rano Louise powitała męża w domu przy Pelham Crescent.

- Co słyhać w Edynburgu? Wszystko w porządku? - zapytała.

- Najzupełniej - odparł Andrew biorąc ją w ramiona.

- Chcesz usłyszeć dobrą nowinę?

- Tak.

- Dziś w nocy Clarissa nie zmoczyła się. Powinieneś chyba częściej wyjeżdżać.

Charles uznał za konieczne porozmawiać o kradzieży Holbeina ze swoim adwokatem, sir Davidem Napleyem. Sir David ustanowił głównego adwokata strony i po sześciu tygodniach Charles dowiedział się, że prawdopodobnie uda mu się na drodze sądowej odzyskać obraz, ale relacje z rozprawy trafią na pierwszą stronę wszystkich krajowych dzienników. Potwierdziła się zatem rada Alberta Cruddicka: „zrobić dobrą minę do złej gry i pogodzić się z sytuacją”.

Fiona nie nawiązywała kontaktu przez ponad rok, aż wreszcie nadszedł list. Charles od razu poznał, kto go wysłał i rozdarł kopertę. Widok znajomego pisma tak go rozwścieczył, że bez czytania podarł list na strzępki i wrzucił do kosza przy biurku. Wyszedł zły do parlamentu.

Przez cały dzień nie mógł zapomnieć o jednym słowie, które wpadło mu w oko po otwarciu listu. Holbein. Kiedy po podziale Izby o dziesiątej wrócił do domu, odnalazł strzępki papieru w pojemniku na odpadki, gdyż dochodząca gosposia skrzętnie opróżniła kosz na papiery. Zaczął grzebać w obierzynach, skorupkach od jaj i pustych puszkach, a potem przez godzinę, za pomocą taśmy klejącej, odtwarzał list ze skrawków, po czym przeczytał go uważnie:

24 The Boltons, London, SW 10 11 października 1978 Drogi Charlesie,
Minęło już tyle czasu, że chyba powinniśmy potraktować się w sposób cywilizowany. Alexander i ja chcemy się pobrać. Veronika Dalglish wyraziła zgodę na rozwód i nie żąda, byśmy czekali przez dwa lata - okres niezbędny do orzeczenia separacji i uzyskania rozwodu.

- Będziesz czekała przez całe dwa lata i ani dnia krócej, ty dziwko - powiedział na głos. Potem przeczytał zdanie, o które mu chodziło.

Zdaję sobie sprawę, że ta propozycja może nie przypaść Ci do gustu, gdybyś jednak przychylił się do niej, z radością zwrócę Ci Holbeina.

Twoja
Fiona

Charles zmiął list i wrzucił do ognia. Długo nie mógł zasnąć zastanawiając się nad odpowiedzią.

Na czwartkowym posiedzeniu gabinetu James Callaghan powiadomił kolegów, że po zakończeniu obecnej sesji parlamentu przywódca liberałów, David Steel, zamierza wycofać się z koalicji z Partią Pracy.

- Płynie stąd jeden wniosek - ciągnął premier. - Musimy być w

każdej chwili przygotowani do wyborów powszechnych. Jestem pewien, że przetrzymamy do świąt Bożego Narodzenia, ale niewiele dłużej.

Słyszac to Raymond posmutniał. Po dwóch latach zasiadania w gabinecie czuł, że działa z pożytkiem dla Ministerstwa Handlu - wprowadzone przez niego zmiany zaczynały przynosić skutki. Trzeba było jednak znacznie dłuższego okresu, by jego poczynania miały trwałe następstwa.

Entuzjazm Kate pobudzał go do jeszcze bardziej wytężonej pracy i wprowadzania dalszych innowacji. Chciał zrobić jak najlepiej przed wyborami.

- Wychodzę z siebie, tak się staram - powiedział. - Ale machina biurokracji porusza się w tak ślimaczym tempie, że brytyjska kolej to przy niej prawdziwy concorde.

Trudna dla rządu laburzystów sesja parlamentarna została nazwana w prasie „zimną niełaski”. Przepychając projekty ustaw przez Izbę, przegrywając od czasu do czasu spór o jakiś zapis, Raymond dociągnął do przerwy świątecznej zadowolony, że jeszcze żyje.

Zimne Boże Narodzenie spędził w Leeds u boku Joyce. Na początku nowego roku wrócił do Londynu wiedząc, że niedługo konserwatyści poczują się pewniej i złożą wnioski o wotum nieufności. Kiedy do tego doszło, żaden z parlamentarzystów nie czuł się zaskoczony.

Debata wywołała wielkie podniecenie, tym większe że z powodu strajku w barach Izby Gmin zapanowała posucha i spragnieni posłowie kłębili się w korytarzach, bufecie, palarni i salach jadalnych. Zdenerwowani naganiacze biegali bez chwili wytchnienia. Sprawdzali listy, dzwonili do szpitali, zarządów i ciotecznych babek, żeby wytropić i ściągnąć wszystkich posłów.

Szóstego kwietnia pani Thatcher podniosła się z ławy, aby przemówić do tłumnego zgromadzenia. Atmosfera w Izbie była jak naelektryzowana i marszałek miał trudności z zapanowaniem nad salą. Pani Thatcher mówiła ostro i zdecydowanie, a kiedy usiadła, poderwali się na nogi jej zwolennicy. Napięcie nie zmalało, kiedy przysła kolej na odpowiedź premiera. Starcie zakończyło się głosowaniem. Marszałek podał jego wynik:

GŁOSUJĄCYCH ZA 311
GŁOSUJĄCYCH PRZECIW 310 WNIOSEK
PRZESZEDŁ, WNIOSEK PRZESZEDŁ

Rozpętała się burza. Członkowie opozycji triumfalnie wymachiwali programami obrad. Przy takim obrocie sprawy premier musiał ogłosić wybory powszechne. James Callaghan natychmiast rozwiązał parlament i poprosił królową o audiencję. Wybory wyznaczono na 3 maja 1979 roku.

Pod koniec tego doniosłego tygodnia garstkę posłów pozostałą w Westminsterze ogłuszył huk wybuchu na parkingu. W tym czasie rampą wyjazdową, gdzie irlandzcy terroryści podłożyli bombę, opuścił parlament Airey Neave, rzecznik opozycji do spraw Irlandii Północnej. Zmarł w drodze do szpitala.

Posłowie pośpieszyli do okręgów wyborczych. Raymond i Andrew nie mogli z dnia na dzień wyrwać się ze swoich ministerstw, ale Charles i Simon nazajutrz po wystąpieniu królowej chodzili po swoich miasteczkach podając rękę przechodniom.

Przez trzy tygodnie kłócono się, kto jest lepiej przygotowany do rządzenia krajem. Trzeciego maja naród brytyjski wybrał pierwszą kobietę premiera, zapewniając jej partii przewagę czterdziestu trzech mandatów w Izbie Gmin.

Andrew był zadowolony, że Louise i Clarissa zostały w Londynie, ponieważ szóste wybory w jego karierze okazały się wyjątkowo nieprzyjemne. Jock McPherson, kandydujący nadal z ramienia szkockich nacjonalistów, obrzucił go wszystkimi możliwymi wyzwiskami dorzucając parę epitetów, jakich uszy ludzkie jeszcze nie słyszały. Natomiast trockiści, którzy na zebraniu partyjnym głosowali przeciwko niemu, nie kwapili się do pomocy przy pozyskiwaniu głosów w dniu wyborów. Jednakże mieszkańcy Edynburga, nie znający nastrojów w łonie komitetu partyjnego, odesłali Andrew do parlamentu z przewagą 3 738 głosów. Szkoccy nacjonaści podupadli - zdobyli w Izbie Gmin tylko dwa fotele dla swoich reprezentantów - i Jock McPherson pozostał w Szkocji.

Raymond zgarnął nieco mniejszą pulę głosów w Leeds, natomiast Joyce wygrała w biurowego totka, najtrafniej przewidując przewagę męża. Raymond musiał pogodzić się z faktem, że nigdy nie dorówna Joyce znajomością okręgu i jego mieszkańców.

Kiedy w kilka dni później wrócił do Londynu, Kate zwróciła uwagę, że jeszcze nigdy nie był taki przygnębiony, i chwilowo postanowiła nie dzielić się nowiną, którą miała mu do przekazania.

- Bóg raczy wiedzieć, ile lat upłynie, zanim znów się na coś przydam - powiedział gorzko.

- Wykorzystaj czas spędzany w ławach opozycji i przypilnuj, żeby nie zaprzepaszczo twoich osiągnięć.

- Z przewagą czterdziestu trzech mandatów mogą zrobić co zechcą - rzekł. Pozostawił w kacie czerwony kuferek z napisem „Sekretarz stanu do spraw handlu”, obok dwóch innych oznaczonych: „Minister stanu do spraw handlu” i „Podsekretarz parlamentarny w Ministerstwie Zatrudnienia”.

- To dopiero pierwsze trzy - próbowała go pocieszyć Kate.

Simon podwyższył przewagę w Pucklebridge do rekordowego poziomu -19 461 głosów, a potem z chłopcami i Elizabeth został na weekend w domu czekając, aż pani Thatcher dobierze grono współpracowników.

Zdziwił się, kiedy pani premier sama zadzwoniła i zaprosiła go na Downing Street - takie wyróżnienie spotykało zwykle ministrów zasiadających w gabinecie. Starał się nie myśleć o stanowisku, jakie dla niego przewidziała.

Pojechał do Londynu i z nową panią premier odbył półgodzinną rozmowę w cztery oczy. Kiedy usłyszał, czego się po nim spodziewa, był mile zdziwiony, że zechciała się spotkać osobiście. Wiedziała, że żadnemu posłowi nie przychodzi łatwo ulec takiej prośbie, ale Simon przyjął propozycję bez wahania. Pani Thatcher dodała, że zaczeka z oficjalnym ogłoszeniem nominacji, aż Simon rozmówi się z żoną.

Podziękował i wrócił do Pucklebridge. Elizabeth wysłuchała w milczeniu relacji z rozmowy z panią premier.

- O Boże - westchnęła, kiedy skończył mówić. - Dała ci szansę zostania ministrem stanu, ale za to do końca życia nie będziemy się czuli całkowicie bezpieczni.

- Jeszcze mogę odmówić - zapewnił Simon.
- To byłoby tchórzostwo, a przecież ty nie jesteś tchórzem.
- Wobec tego zadzwonię do pani premier i powiem, że się zgadzam.
- Powinnam ci pogratulować, ale...

Niewielu posłów torysów odnotowało spadek przewagi w okręgu wyborczym i Charles znalazł się wśród nich. Trudno wytłumaczyć nieobecność żony, zwłaszcza gdy nie jest tajemnicą, że żyje ona z byłym przewodniczącym sąsiedniego okręgu. Charles odczuwał zażenowanie wobec swojego komitetu i dlatego dołożył starań, żeby pewna szacowna toryska, która nie umiała trzymać języka za zębami, usłyszała jego wersję zdarzeń „w wielkiej tajemnicy”. Rozmowy o usunięciu Charlesa ucichły, gdy rozeszła się pogłoska, że gotów jest stanąć do wyborów jako kandydat niezależny. Po przeliczeniu kart wyborczych okazało się, że Sussex Downs odsyła Charlesa do Westminsteru większością 20 176 głosów. Charles spędził weekend samotnie na Eaton Square, ale nikt się z nim nie skontaktował. Z poniedziałkowego numeru „Telegraphu” - jakże brakowało mu „Timesa” - dowiedział się o składzie nowego rządu torysów.

Zaskoczyła go jedna nominacja: Simona Kerslake'a na ministra stanu do spraw Irlandii Północnej.

Rozdział dwudziesty czwarty

- No, powiedz coś.
 - Bardzo korzystna propozycja. Jak uzasadniłaś jej odrzucenie?
- zapytał Raymond. Był zdziwiony, że Kate czekała na niego w mieszkaniu.
- Nie potrzebowałam nic uzasadniać.
 - I co oni na to?
 - Zdaje się, że nie rozumiesz. Przyjęłam tę propozycję.
- Raymond zdjął okulary. Dopiero po chwili zrozumiał znaczenie jej słów. Przytrzymał się półki nad kominkiem.
- Musiałam to zrobić, kochanie - ciągnęła Kate.
 - Propozycja jest aż tak kusząca?

- Nie, głuptasie. Tu nie chodzi o propozycję jako taką, ale wreszcie przestanę żyć w zawieszeniu. Nie widzisz, że to wszystko z twojego powodu?

- Z mojego powodu opuszczasz Londyn i wracasz do Nowego Jorku.

- Wracam, żeby tam pracować i sensownie zaplanować życie. Nie zauważyłeś, że minęło już pięć lat?

- Wiem, ile lat minęło, i wiem, ile razy prosiłem, żebyś za mnie wyszła.

- Oboje wiemy, że nie tędy droga. Joyce nie da się tak łatwo odepchnąć ma bok. To wystarczyłoby, żeby ci złamać karierę.

- Z czasem wszystko by się ułożyło - przekonywał Raymond.

- Mówisz tak teraz, ale zmienisz zdanie, kiedy twoja partia wygra wybory i mniej zasłużeni od ciebie zdobędą wpływ na losy kraju.

- Co mogę zrobić, żebyś się rozmyśliła?

- Nic, kochanie. Złożyłam rezygnację w banku Chase i za miesiąc zacznym pracę w banku Chemical.

- Tylko cztery tygodnie - rzekł Raymond.

- Tak, cztery tygodnie. Nie powiedziałam ci od razu, bo najpierw musiałam załatwić wszystkie formalności tak, żebyś nie mógł mi wybić z głowy tej decyzji.

- Wiesz, jak bardzo cię kocham?

- Mam nadzieję, że dostatecznie mocno, by mnie puścić, zanim będzie za późno.

Niewiele brakowało, a Charles nie przyjąłby zaproszenia. Z koktajli, na których ostatnio bywał, wyniósł wrażenie, że nigdy nie pije tego, na co ma ochotę, a zakąskami równie trudno się nasycić jak rozmową. Kiedy jednak zobaczył na półce nad kominkiem zaproszenie od lady Carrington przyjmującej gości „u siebie”, pomyślał, że nadarza się okazja, aby urozmaicić monotony tryb życia, jaki prowadził od czasu odejścia Fiony. Chciał się dowiedzieć czegoś więcej o niesnaskach w gabinecie, wywołanych podobno propozycjami cię w wydatkach. Poprawił krawat przed lustrem, wziął parasol ze stojaka i ruszył na Ovington Square.

Już prawie dwa lata mieszkał sam. Z kilku źródeł słyszał, że mimo braku zgody na rozwód Fiona przeprowadziła się na stałe do Dalgli-

sha. Zbывał milczeniem pytania o nowe życie żony, ale paru znajomym plotkarzom szepnął to i owo do ucha. Wzbudził w ten sposób powszechne współczucie, zachowując jednocześnie opinię wielkodusznego i wiernego męża. Niemal wszystkie wolne chwile spędzał w parlamencie, a jego ostatnie wystąpienie na temat budżetu było przychylnie komentowane w Izbie i na łamach prasy. Podczas prac komisji nad projektem ustawy skarbowej zgodził się wziąć na siebie sporo uciążliwych obowiązków. Clive Reynolds umiejętnie wyłapał sprzeczności w niektórych punktach ustawy, a kanclerz skarbu wdzięczny był Charlesowi za przekazanie uwag. Uchronienie rządu przed kłopotliwymi wypadkami wywołało liczne pochwały. Równocześnie Charles odciął się od „mięczaków”, jak nazywała pani premier kolegów z partii, którzy nie popierali w całej rozciągłości jej monetarystycznej polityki. Charles był pewien, że jeśli nadal będzie tak pracował, zostanie wyróżniony przy pierwszej zmianie obsady stanowisk.

Przesiadując rano w banku, a po południu i wieczorem w Izbie Gmin, Charles niemal zupełnie wyeliminował z rozkładu dnia życie prywatne, i tak bardzo ubogie.

Do drzwi domu lorda Carringtona zapukał nieco przed siódmą. Otworzyła pokojówka. Poszedł prosto do salonu, gdzie musiało już być blisko pięćdziesiąt osób, czyli prawie tyle, ile mogło się w nim pomieścić.

Udało mu się zdobyć ulubioną whisky, po czym dołączył do grona kolegów z obu Izb parlamentu. Nad łysiną Aleca Pimkina dostrzegł dziewczynę.

- Kto to? - zapytał nie spodziewając się, że Pimkin ją zna.
- Amanda Wallace - odpowiedział Pimkin, zerkając przez ramię. - Mógłbym co nieco opowiedzieć... - ciągnął, ale Charlesa już nie było.

Dziewczyna roztaczała aurę erotyzmu. Dowodem był otaczający ją przez cały wieczór wianuszek nadskakujących panów. Gdyby Charles nie był taki wysoki, nie dojrzałby płomienia, do którego zleciało się tyle ciem. Około dziesięciu minut zajęło mu przedostanie się w tamten zakątek salonu. Julian Ridsdale, kolega Charlesa z Izby Gmin, zdążył go jeszcze przedstawić, zanim został przez żonę odciągnięty na bok.

Charles stał zapatrzony w istotę, która wyglądałaby równie pięknie w rękniku jak w sukni balowej. Szczupłe ciało spowijał biały

jedwab, jasne włosy opadały na nagie ramiona. Jednak największe wrażenie zrobiła na Charlesie przezroczytobiała cera. Od lat nie miał takich trudności z nawiązaniem rozmowy.

- Jest pani umówiona na kolację, jak mniemam? - rzekł korzystając z chwili przerwy przed kolejnym zlotem sępów.

- Nie - odpowiedziała z uśmiechem zachęty.

Zgodziła się spotkać z nim u Waltona za godzinę. Charles zaczął krążyć po pokoju, jak przystało na gościa, ale wkrótce jego wzrok powędrował w stronę Amandy. Ilekroć usiłował odwzajemnić jej uśmiech, zajęta była słuchaniem czyichś komplementów. Wychojąc po godzinie znów uśmiechnął się do niej i tym razem błysnęła zębami specjalnie dla niego.

Charles przesiedział u Waltona ponad godzinę. Już miał dać za wygraną i wracać do domu, kiedy Amandę przyprowadzono do stolika. Złość nagromadzona w czasie czekania uleciała w mgnienu oka, gdy Amanda uśmiechnęła się i powiedziała:

- Cześć, Charlie.

Nie dziwiło go, że wysoka, elegancka dziewczyna pracuje jako modelka. W jego pojęciu mogła równie dobrze reklamować pastę do zębów jak pończochy.

- Wstąpimy do mnie na kawę? - zapytał, kiedy skończyli jeść.

Amanda kiwnęła głową. Charles poprosił o rachunek i po raz pierwszy od lat nie sprawdził poprawności wyliczenia.

Ogarnął go zachwyt, przemieszany co prawda ze zdziwieniem, gdy w taksówce oparła głowę na jego ramieniu. Zanim dojechali do Eaton Square, na ustach Amandy zostały tylko resztki szminki. Taksówkarz podziękował Charlesowi za duży napiwek i nie mogąc się powstrzymać, dodał:

- Życzę powodzenia szanownemu panu.

Nie było mowy o parzeniu kawy. Na drugi dzień rano Amanda nie straciła nic ze swego powabu i urzeczony Charles, co mu się dotąd nie zdarzyło, zupełnie zapomniał o audycji „Wczoraj w parlamencie”.

Elizabeth wysłuchała uważnie policjanta z wydziału specjalnego, który wyjaśnił działanie instalacji zabezpieczającej. Potem starała się wytłumaczyć chłopcom, żeby nie naciskali umieszczonych

w każdym pokoju czerwonych guzików, służących do natychmiastowego sprowadzenia policji. Elektrycy okablowali już pokoje przy Beaufort Street, a teraz zrobili to samo w domu w Pucklebridge.

Na Beaufort Street dzień i noc stał przed drzwiami umundurowany policjant. W Pucklebridge, ponieważ dom był usytuowany na uboczu, założono wokół reflektory, które w każdej chwili mogły go oświetlić ze wszystkich stron.

- To musi być cholernie uciążliwe - rzekł Archie Millburn, zaproszony do Kerslake'ów na kolację. Zanim pozwolono mu podać rękę gospodarzowi, został sprawdzony przez patrole z psami.

- Uciążliwe to łagodnie powiedziane - rzekła Elizabeth. - W zeszłym tygodniu Peter wybił szybę piłką do krykieta i cały dom rozświetlił się jak świąteczna choinka.

- Czy jest szansa choć na odrobinę intymności? - spytał Archie.

- Chyba tylko w sypialni. Ale nawet w łóżku, kiedy człowiek budzi się z westchnieniem czując lizanie, okazuje się, że to wilczur.

- Szczęśliwy wilczur - zażartował Archie.

Rano Simon wyjeżdżał do pracy w towarzystwie dwóch agentów. Przed nim i za nim jechały samochody ochrony. Zawsze myślał, że z Beaufort Street do Westminsteru są tylko dwie drogi. Kiedy został ministrem, przez pierwsze dwadzieścia jeden dni nie jechał dwa razy tą samą trasą.

Ilekoć miał lecieć do Belfastu, nie informowano go ani o czasie, ani o miejscu odlotu. Środki bezpieczeństwa doprowadzały Elizabeth do szału, ale na Simonie napięcie wywarło odwrotny skutek. Wreszcie, po raz pierwszy w życiu, nie odczuwał potrzeby tłumaczenia wszystkim, dlaczego został politykiem.

Powoli, krok po kroku starał się zbliżyć do siebie katolików i protestantów, ale czasem cały miesiąc starań i nieznacznych postępów kończył się dniem gwałtownego regresu, który cofał go do punktu wyjścia. Simon nigdy nie okazywał gniewu ani nie wyróżniał żadnej ze stron, co najwyżej dopuszczał się „stronniczości dla zdrowego rozsądku”, jak tłumaczył Elizabeth. Wierzył, że z czasem dojdzie do przełomu - pod warunkiem, iż uda mu się znaleźć po obu stronach garstkę ludzi dobrej woli.

Na wspólnych zebraniach członkowie obu ugrupowań zaczęli odnosić się do niego z szacunkiem, a na gruncie prywatnym - z

wielką sympatią. Nawet rzecznik opozycji w parlamencie przyznał otwarcie, że Simon Kerslake wywiązuje się wzorowo „z niewdzięcznych zadań w niebezpiecznym resorcie”.

Po rezygnacji Hamisha Ramseya z funkcji przewodniczącego Edinburgh Carlton Andrew też był przekonany o potrzebie znalezienia garstki ludzi dobrej woli.

- Mam już dość tej szarpaniny - wyjaśnił Hamish. - Zająłem się polityką z innych powodów niż tamci krzykacze.

Andrew niechętnie wyraził zgodę na jego odejście i z trudem przekonał zastępcę Hamisha, Davida Connaughta, żeby zajął jego miejsce. Kiedy David zgłosił swoją kandydaturę, od razu pojawił się przeciwnik. W tym charakterze wystąpił Frank Boyle, który od dawna nie krył negatywnych opinii na temat obecnego posła. Przed wyborem nowego przewodniczącego Andrew przeprowadził rozmowy ze wszystkimi członkami komitetu. Wyliczył, że głosowanie skończy się wynikiem siedem do siedmiu. Pozwalało to Hamishowi oddać rozstrzygający głos na Connaughta.

Na godzinę przed rozpoczęciem zebrania Andrew zadzwonił do Hamisha do domu.

- Kiedy będzie po wszystkim, zadzwonię do parlamentu i zostawię dla ciebie wiadomość - rzekł Ramsey. - Nie martw się, na razie jesteś bezpieczny. Zostawię cię przynajmniej z odpowiednim przewodniczącym.

Andrew opatulili Clarissę i poczytał jej na dobranoc, a potem wyjechał z Pelham Crescent uprzedziwszy Louise, że wróci zaraz po podziale Izby o dziesiątej. W Izbie Charles Seymour wygłaszał starannie przygotowany referat o polityce monetarystycznej. Andrew nie przepadał za Seymourem i nie ze wszystkimi argumentami jego wywodu się zgadzał. Mimo to pomyślał, że szkoda, by taki talent marnował się w tylnych ławach.

W trakcie przemówienia goniec podał Andrew karteczkę. Stuart Gray, korespondent „Scotsmana”, prosił pilnie o rozmowę. Andrew kuląc się wstał z miejsca w pierwszej ławie i zaczął przestępować przez wysunięte nogi słuchających Seymoura ministrów opozycji. Czuł się jak chłopiec, który wymyka się z sali kinowej, żeby kupić loda na patyku. Gray czekał na niego w kularach.

!

i

Andrew znał Stuarta od pierwszego dnia pobytu w parlamencie. Dziennikarz powiedział mu wtedy, że powinni trzymać się razem i od tamtej pory, przez piętnaście lat, współpracowali ze sobą bez większych zgrzytów. Stuart zaproponował drinka w barze „U Annie”. Poszli korytarzem, a potem schodami w dół.

Andrew usiadł na kanapie przy słupie, a Stuart podszedł do barku zamówić dwie whisky.

- Zdrowie - powiedział stawiając przed Andrew szklaneczkę.

Andrew pociągnął długi łyk.

- Czym mogę służyć? - zapytał. - Ojciec znów się naprzykrza?

- W porównaniu z twoim nowym przewodniczącym, wydaje się sojusznikiem.

- Jak to? Zawsze uważałem, że David Connaught ma głowę na karku i mogę na nim polegać - rzekł Andrew.

- Nie interesuje mnie twoje zdanie o Davidzie Connaught. Chcę usłyszeć, co sądzisz o nowym przewodniczącym, Franku Boyle'u. - Dziennikarz mówił tak, jakby przeprowadzał oficjalny wywiad.

- Co takiego?

- Zwyciężył dziś w głosowaniu siedem do sześciu.

- Ale... - zaczął Andrew i umilkł.

- Daj spokój, Andrew. Obaj wiemy, że to komunista i rozrabia-ka, a mój szef żąda, żebym dostarczył twoją wypowiedź na jego temat.

- Nie mogę nic powiedzieć, dopóki się nie dowiem, jak sprawy naprawdę wyglądają.

- Powiedziałem ci, co się wydarzyło. Powiesz wreszcie coś, co mógłbym zacytować?

- Tak. - Andrew zastanowił się chwilę. - Jestem przekonany, że pan Boyle będzie kontynuował najlepsze tradycje Partii Pracy i z przyjemnością nawiąże z nim ścisłą współpracę.

- Bzdura - rzekł Stuart. - To się nadaje do kącika satyry.

- Nic więcej dziś ze mnie nie wyciśniesz.

Stuart popatrzył na Andrew i spostrzegł na twarzy przyjaciela nowe zmarszczki.

- Przepraszam - powiedział. - Za daleko się posunąłem. Daj znać, kiedy nadejdzie właściwy moment. Z takim draniem na czele komitetu będziesz pewnie potrzebował mojej pomocy.

Andrew podziękował z roztargnieniem, dopił whisky, wyszedł z

baru i udał się do budki telefonicznej przy schodach. Wykręcił domowy numer Ramseya.

- Mów, co się stało, u licha - wykrztusił.

- Jeden z naszych nie przyszedł - odparł Hamish Ramsey. - Twierdzi, że utknął w korku w Glasgow i dlatego nie zdążył na czas. Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

- Co za cholerny brak odpowiedzialności. Dlaczego nie odłożyłeś głosowania na później?

- Chciałem to zrobić, ale Frank Boyle wyciągnął regulamin. „Jeżeli wniosek został zgłoszony na dwa tygodnie przed zebraniem, nie można go odłożyć bez zgody wnioskodawcy i osoby popierającej”. Bardzo mi przykro, Andrew, miałem związane ręce.

- Nie twoja wina. Nie mogłem mieć lepszego przewodniczącego niż ty. Przykro mi, że nie odchodzisz w glorii.

Hamish roześmiał się.

- Pamiętaj, Andrew, że w demokracji ostatnie słowo należy do wyborców. Służyłeś mieszkańcom Edynburga przez ponad piętnaście lat i oni ci tego nie zapomną.

- Może się pani ubrać, pani Wallace - powiedziała lekarka wracając do biurka.

Amanda zaczęła przystrajać się w najnowszą kreację od Diora - jasnoniebieski dzinsowy komplet, który kupiła poprzedniego dnia na Conduit Street dla poprawienia sobie humoru.

- To już trzeci raz w ciągu pięciu lat - powiedziała Elizabeth Kerslake, zaglądając do karty pacjentki i starając się, by w jej głosie nie zabrzmiał wyrzut.

- Mogę zamówić wizytę w tej samej klinice co przedtem - powiedziała rzeczowo Amanda.

Elizabeth postanowiła zmusić dziewczynę do zastanowienia się.

- Czy ojciec dziecka na pewno nie chce, żeby je pani urodziła?

- Nie mam pewności, kto jest ojcem - przyznała Amanda, dopiero teraz rumieniając się ze wstydu. - Kończąc jeden związek, nawiązałam nową znajomość.

Elizabeth powstrzymała się od komentarza.

- Ciąża trwa co najmniej od ośmiu tygodni, może nawet dwanaście - poinformowała i znów zajrzała do karty. - Czy nigdy nie brała

pani pod uwagę możliwości urodzenia dziecka i wychowywania go samodzielnie?

- Ależ skąd - zaprotestowała Amanda. - Jestem modelką, zajmując się dziećmi, nie zarobię na życie.

- Więc trudno - westchnęła Elizabeth i złożyła kartę. - Załatwię, co należy. - Nie mówiła nigdy: „to co zwykle”. - Musi pani niezwłocznie udać się do swojego lekarza rejonowego i poprosić o podpisanie wymaganego zezwolenia. Proszę zadzwonić za tydzień i nie przyjeżdżać już do Pucklebridge.

Amanda kiwnęła głową.

- Czy mogłaby mnie pani uprzedzić, jaki rachunek wystawią mi w klinice? Na pewno odczuwają inflację jak my wszyscy.

- Tak, pani Wallace, dowiem się - odparła Elizabeth ledwie panując nad sobą.

Po wyjściu pacjentki Elizabeth wzięła jej kartę, podeszła do szafki, przerzuciła litery S, T, U, aż doszła do właściwej przegródki. Była przekonana, że nawet gdyby okazała więcej surowości, nic by to nie dało. Zastanawiała się chwilę, czy urodzenie dziecka mogłoby zmienić stosunek dziewczyny do życia.

Po zakończonej debacie Charles bardzo z siebie zadowolony wracał do domu. Koledzy z obu skrzydeł partii chwalili go za ostatnie wystąpienia, a szef naganiaczy nie ukrywał, że docenia pracę nad ustawą skarbową.

Jadąc na Eaton Square opuścił szybę w samochodzie, żeby wywieźć dym z papierosów. Uśmiechnął się na myśl o czekającej na niego Amandzie. Ostatnie dwa miesiące nie dawały się porównać z innymi. Miał czterdzieści osiem lat, a tego, co przeżywał, nie wyobrażał sobie nawet w najśmielszych marzeniach. Codziennie myślał, że odurzenie minie, a działało się odwrotnie. Wspomnienie każdego minionego dnia było miłsze niż wszystkie dawniejsze doświadczenia.

Charles zamierzał po odzyskaniu i zawieszeniu w jadalni Holbeina porozmawiać z Amandą o ich wspólnej przyszłości. Gdyby powiedziała „tak”, gotów był udzielić Fionie zgody na rozwód. Zaparkował samochód i wyjął klucz do domu, ale Amanda już otwierała drzwi, by rzucić mu się na szyję.

- Może od razu pójdziemy do łóżka? - zapytała.

Charles byłby wstrząśnięty, gdyby Fiona choć raz w ciągu piętnastu lat pożycia małżeńskiego okazała taką bezpośredniość, ale w ustach Amandy powitanie to brzmiało całkowicie naturalnie. Położyła się naga do łóżka, zanim Charles zdążył zdjąć kamizelkę. Kochali się, a potem leżąc w jego objęciach Amanda powiedziała, że musi wyjechać na parę dni.

- Dlaczego? - zdziwił się Charles.

- Jestem w ciąży - oznajmiła. - Mam zamówiony termin w klinice. Nie martw się. Ani się obejrzysz, jak dojdę do siebie.

- Ale może urodziłaś to dziecko? - rzekł Charles zaglądając z zachwytem w jej szare oczy. - Zawsze chciałem mieć syna.

- Nie mów głupstw, Charlie. Mam na to jeszcze mnóstwo czasu.

- A gdybyśmy się pobrali?

- Masz żonę. A poza tym ja mam dopiero dwadzieścia sześć lat.

- Mogę w każdej chwili dostać rozwód, a życie ze mną nie byłoby najgorsze, co?

- Oczywiście, Charlie. Jesteś pierwszym mężczyzną, na którym naprawdę mi zależy.

Charles uśmiechnął się z nadzieją.

- Więc zastanowisz się?

Amanda z niepokojem spojrzała mu w oczy.

- Gdybym zdecydowała się na dziecko, to chciałabym, żeby miało takie niebieskie oczy jak ty.

- Wyjdiesz za mnie? - zapytał.

- Pomyślę o tym. Do jutra rana możesz jeszcze zmienić zdanie.

Raymond odwiózł Kate na Heathrow. Miał na sobie różową koszulę, którą mu kupiła; ona natomiast nie rozstawała się ze złotą miniaturką czerwonego kufierka. Tyle miał jej do powiedzenia w drodze na lotnisko, że prawie nie mogła dojść do słowa. Ostatnie cztery tygodnie minęły jak z bicia trząśł. Pierwszy raz w życiu Raymond był zadowolony, że zasiada w opozycji.

- W porządku, Marchewkowy Wiechciu. Nie marudź. Będziemy się spotykać w Nowym Jorku.

- Ale ja byłem w Stanach dopiero dwa razy - powiedział.

Kate próbowała się uśmiechnąć.

Kiedy odprawiła jedenaście sztuk bagażu, co ciągnęło się w nieskończoność, dostała kartę pokładową.

- Rejs BA 107, wyjście numer czternaście, za dziesięć minut poprosimy pasażerów na pokład - usłyszała.

Podziękowała i wróciła do Raymonda, który z wystygłą kawą w plastikowych kubkach siedział na brzegu długiej sofy. Usiadła obok. Trzymali się za ręce jak para dzieci, które poznały się na wakacjach, a teraz muszą wracać do swoich szkół.

- Obiecuj, że zaraz po moim wyjeździe nie zaczniesz nosić szkieł kontaktowych.

- To mogę ci obiecać - rzekł Raymond dotykając oprawki okularów.

- Mam ci jeszcze tyle do powiedzenia.

Obrócił się do niej.

- Wiceprezesa banków nie powinni płakać - powiedział ocierając jej łzę z policzka. - Klienci zorientują się, że masz miękkie serce.

- Ministrowie gabinetu też nie powinni płakać - odparła. - Chciałam tylko powiedzieć, że gdybyś naprawdę czuł...

- Uszanowanie, Gould.

Podnieśli głowy i zobaczyli nad sobą rozpromienioną twarz podróżnika, którego opalenizna świadczyła o pobycie pod znacznie górszym niebem.

- Bert Cox - powiedział wyciągając rękę. - Pewnie mnie nie pamiętasz.

Raymond puścił rękę Kate, żeby uścisnąć prawicę Coxa.

- Chodziliśmy do tej samej podstawówki w Leeds. To było, oczywiście, całe wieki temu. Daleko zaszedłeś.

Jak się go pozbyć, myślał gorączkowo Raymond.

- To moja żona - ciągnął Cox nie zważając na nic i wskazał na stojącą obok kobietę w kwiecistej sukience. Uśmiechnęła się, ale nie odezwała. - Zasiada w komitecie razem z Joyce. Prawda, kochanie? - dodał nie spodziewając się wcale odpowiedzi.

- Po raz ostatni wzywamy pasażerów resju BA 107, by udali się do wyjścia numer czternaście.

- Oczywiście zawsze na ciebie głosujemy - ciągnął Cox. - Żona - znów wskazał milczącą towarzyszkę - przepowiada, że zostaniesz premierem. A ja zawsze twierdzę...

- Muszę już iść, Raymondzie, bo spóźnię się na samolot - powiedziała Kate.

- Przepraszam, muszę na chwilę odejść - rzekł Raymond.

- Naturalnie, zaczekam tutaj - zapewnił Cox. - Nieczęsto mam okazję porozmawiać ze swoim posłem.

Raymond odprowadził Kate w stronę barierki.

- Przepraszam cię za to nieproszone towarzystwo. W Leeds wszyscy są tacy: złote serce i co w sercu, to na języku. Chciałaś mi coś powiedzieć?

- Tylko tyle, że chętnie zamieszkałabym w Leeds, mimo tamtejszego zimy. Nigdy nikomu nie zazdrościłam, a teraz zazdrozczę Joyce. - Pocałowała go w policzek i podeszła do barierki, zanim zdążył odpowiedzieć. Nie obejrzała się.

- Dobrze się pani czuje? - spytał strażnik przy bramce.

- Dobrze - odparła Kate ocierając łzy.

Szła powoli w stronę wyjścia numer czternaście. Wkładając tę różową koszulę, sprawił jej prawdziwą przyjemność. Była ciekawa, czy znalazł karteczkę, którą wsunęła pod kołnierzyk. Gdyby poprosił ją jeszcze ten jeden raz...

Raymond stał przez chwilę sam, a potem wolno ruszył do wyjścia.

- Amerykanka, jak się domyślam - usłyszał głos Coxa idącego obok. - Poznałem po akcencie, jestem w tym dobry.

- Tak - odpowiedział Raymond, czując się samotny i opuszczony.

- Dobra znajoma? - zapytał Cox.

- Najlepsza, jaką miałem - odparł Raymond.

Minęło dziesięć dni, a pani Wallace się nie odzywała. Elizabeth uznała, że nie ma wyjścia i że musi się z nią skontaktować. Zajrzała do kartoteki i wynotowała ostatni numer podany przez Amandę.

Zadzwoiła. Przez dłuższą chwilę nikt nie odbierał.

- 730-9712. Mówi Charles Seymour. - Milczenie. - Jest tam kto?

Elizabeth nie mogła wydobyć z siebie głosu. Odłożyła słuchawkę czując, jak oblewa ją zimny pot. Zamknęła kartę Amandy Wallace i odłożyła na miejsce.

Rozdział dwudziesty piąty

Przez blisko rok Simon przygotowywał dla Izby rządowy raport, tak zwaną „białą księgę”, pod tytułem *Prawdziwe partnerstwo dla Irlandii*. Wyjaśniał w nim, że celem polityki rządu miało być stopniowe zbliżenie północy i południa w ciągu najbliższych dziesięciu lat, po czym rozpatrzono by trwalsze rozwiązanie. W tym czasie obie strony miały pozostać pod bezpośrednim zarządem Westminsteru i Dublina. Do powstania Karty, jak nazwała prasa skomplikowane porozumienie, przyczynili się zarówno protestanci, jak katolicy. Dzięki swoim umiejętnościom, cierpliwości i wytrwałości Simon zdołał nakłonić politycznych przywódców, aby po uchwaleniu dokumentu przez Izbę Gmin złożyli na nim podpis.

Rozmawiając z Elizabeth przyznał, że porozumienie jest tylko kawałkiem papieru, miał jednak nadzieję, że stanie się kamieniem węgielnym, na którym parlament zbuduje ostateczną ugodę. Po obu stronach Morza Irlandzkiego politycy i dziennikarze mówili o Karcie jako przełomowym dokonaniu.

Sekretarz stanu do spraw Irlandii Północnej miał przedstawić „białą księgę” w Izbie w najbliższym możliwym terminie. Do Simona, jako głównego twórcy Karty, zwrócono się z prośbą o wygłoszenie w imieniu rządu mowy podsumowującej. Poparcie Izby dla samej idei dokumentu otworzyłoby przed Simonem możliwość przygotowania projektu ustawy i przewyciężenia problemów, których nie udało się rozwiązać tylu politykom. Simon czuł, że gdyby mu się powiodło, nie żałowałby żadnych trudów i wyrzeczeń.

Wieczorem Elizabeth usiadła w jego gabinecie, żeby przeczytać ostateczną wersję Karty. Obecnie nawet ona wyraziła zadowolenie, że podjął się trudnej funkcji ministra do spraw Irlandii Północnej.
/ - A teraz, mężusiu stanu - powiedziała - może wreszcie zjesz kolację jak normalny człowiek?

- Owszem, zjem.

Simon zrobił miejsce na stole, odkładając liczący 129 stron dokument na kredens. Chciał przejrzeć go jeszcze raz po kolacji.

- A niech to - dobiegł go z kuchni głos Elizabeth.
- Co się stało? - spytał nie odrywając się od papierów.
- Skończył mi się sos w proszku.
- Pójdę i kupię - zaproponował.

Przed drzwiami stali zajęci rozmową dwaj policjanci.

- Żona potrzebuje sosu w proszku, więc sprawy wagi państwowej muszą chwilowo poczekać - wyjaśnił wychodząc z domu.

- Bardzo przepraszam, panie ministrze - rzekł sierżant. - Powiedziano mi, że będzie pan wieczorem w domu, więc zwolniłem kierowcę ze służbowym samochodem. Ale może panu towarzyszyć posterunkowy Barker.

- Dobrze. Weźmiemy samochód żony. Dowiem się tylko, gdzie go zaparkowała.

Wszedł z powrotem do domu i po chwili wrócił.

- Długo pracuje pan w policji, panie Barker? - zapytał posterunkowego, kiedy szli razem ulicą.

- Niezbyt długo, panie ministrze. Przeszło rok.

- Żonaty?

- Przy mojej pensji, panie ministrze?

- Więc nie zetknął się pan nigdy z problemem wyczerpania zapasów sosu w proszku.

- W policyjnej kantine nawet nie słyszeli o czymś takim jak sos, panie ministrze.

- Pokosztowałby pan życia w parlamencie. Obawiam się, że i wikt, i pensja nie są lepsze.

Roześmieli się podchodząc do samochodu.

- Co sądzi pańska żona o metrze mini? - spytał posterunkowy, kiedy Simon wkładał kluczyk do drzwi.

Elizabeth jak wszyscy na Beaufort Street usłyszała wybuch, ale to ona pierwsza zorientowała się, co zaszło. Wybiegła z domu rozglądając się za policjantem z ochrony. Zobaczyła, jak pędzi na miejsce wypadku, i ruszyła za nim.

Czerwony samochód leżał w kawałkach na ulicy, a chodnik usiany okruchami szkła wyglądał jak po gradobiciu.

Kiedy sierżant spostrzegł urwaną głowę, odciągnął Elizabeth z miejsca wypadku. Na drodze leżała nieruchomo jakaś starsza pani z rozsypanymi wokół zakupami, a w pobliżu jeszcze jedno ciało.

Po kilku minutach nadjechało sześć wozów policyjnych i funkcjonariusze z wydziału specjalnego ogrodzili białą taśmą teren wybuchu. Karetka odwiozła ciała do Szpitala Westminsterskiego. Zebranie szczątków posterunkowego wymagało nie lada odporności.

Jadąc do szpitala wozem policyjnym Elizabeth dowiedziała się,

że starsza pani zmarła w drodze, a mąż jest w stanie krytycznym. Kiedy powiedziała dyżurnemu chirurgowi, iż sama jest lekarzem, otrzymała bardziej szczegółowe informacje. Simon doznał licznych złamań, miał zwichnięte biodro i utracił dużo krwi. Lekarz nie chciał jednak odpowiedzieć na pytanie o szanse przeżycia.

Siedząc samotnie pod salą operacyjną Elizabeth wyczekiwała na każdy, choćby najmniejszy okrucuch wiadomości. Mijały godziny, a jej wciąż przypominały się słowa Simona: „Bądź tolerancyjna. Pamiętaj, że w Irlandii Północnej są ludzie dobrej woli”. Elizabeth chciała krzyknąć, chciała wołać, że Irlandczycy to zbrodniarze, i ledwie mogła nad sobą zapanować. A przecież jej mąż pracował dla nich bez wytchnienia. Nie był ani katolikiem, ani protestantem, był zwykłym człowiekiem, który podjął się zadania ponad ludzkie siły. Przy tym wszystkim nie mogła się opędzić od myśli, że nie kto inny, a właśnie ona miała wpaść w pułapkę.

Upłynęła jeszcze jedna godzina.

Zmęczony chirurg o poszarzałej twarzy wyszedł z sali operacyjnej.

- Pani mąż trzyma się życia, doktor Kerlake. Jest silny jak byk. Przeciętny człowiek już by zrezygnował. - Uśmiechnął się. - Może znajdzie jakiś pokój, żeby mogła się pani przespać?

- Nie, dziękuję - odparła Elizabeth. - Wolę zostać przy nim.

Zadzwoiła do domu, żeby sprawdzić, co u dzieci. Telefon odebrała matka. Przyjechała natychmiast, kiedy usłyszała wiadomość w dzienniku, i starała się trzymać dzieci z dala od radia i telewizji.

- Co z nim? - zapytała.

Elizabeth opowiedziała, co wie, i porozmawiała z chłopcami.

- Opiekujemy się babcią - oznajmił Peter.

Elizabeth nie mogła powstrzymać łez.

- Dziękuję ci, kochanie - odpowiedziała i szybko odłożyła słu chawkę.

Wróciła na ławkę przed salą operacyjną, zrzuciła panfotfle, zwinęła się w kłębek i spróbowała zdrzemnąć.

Kiedy się przebudziła, był wczesny ranek. Bolały ją plecy i czuła zeszytywniały kark. Bez butów przeszła się po korytarzu rozprostowując obolałe członki. Rozglądała się za kimś, kto mógłby udzielić jakiejś informacji. Wreszcie pojawiła się pielęgniarka - przyniosła herbatę i zapewniła, że mąż jeszcze żyje. Tylko co to oznacza: „jeszcze żyje”? Stała i patrzyła, jak z sali operacyjnej wychodzą

ludzie o poważnych twarzach, i robiła wszystko, aby nie dopatrzeć się w nich rozpaczy. Chirurg powiedział, że powinna pójść do domu i odpocząć, bo przez najbliższe kilkanaście godzin nie będą jej mieli nic nowego do powiedzenia. W poczekalni przy głównym korytarzu policjant pilnował rosnącej z każdą chwilą gromadki dziennikarzy.

Elizabeth koczowała na korytarzu przez cały dzień i noc i nie wróciła do domu, dopóki chirurg nie powiedział, że kryzys minął.

Wówczas padła na kolana i rozplakała się.

- Widocznie Bóg też pragnie rozwiązania problemu Irlandii - rzekł chirurg. - To, że pani mąż będzie żył, zakrawa na cud.

- Zdasz się czegoś napić? - spytał Alexander Dalglish.

- Skoro nalegasz - odparł Pimkin.

- Fiona - zawołał Alexander. - Alec Pimkin wpadł na drinka.

Fiona przyłączyła się do nich, ubrana w jasnożółtą sukienkę.

Włosy, dłuższe niż kiedyś, opadały jej na plecy.

- Ładnie wyglądasz - powiedział Pimkin klepiąc się po łysinie.

- Dziękuję - odparła Fiona. - Może przejdziemy do salonu?

Pimkin pomaszerował zadowolony i rozsiadł się w ulubionym fotelu Alexandra.

- Czego się napijesz? - zapytała Fiona stając przy barku.

- Poproszę duży džin z odrobiną toniku.

- Jak tam nasz okrąg po mojej rezygnacji?

- Toczy się powolutku, dochodząc do siebie po największym skandalu erotycznym od czasu afery Profumo - zaśmiał się Pimkin.

- Mam nadzieję, że nie zmały przez to twoje szanse w wyborach - powiedział Alexander.

- Ani trochę, mój drogi - rzekł Pimkin przyjmując z rąk Fiony dużego befeatera z tonikiem. - Wprost przeciwnie, wyborcy przestali się mną nadmiernie interesować.

Alexander roześmiał się.

- Powiedziałbym nawet - ciągnął Pimkin - że jedynie księżę Karol i lady Diana są w stanie wzbudzić większe zainteresowanie niż data waszego ślubu. Plotkarze donieśli - mówił bawiąc się wyśmienicie - że mój szanowny kolega, poseł z Sussex Downs, każe wam czekać całe dwa lata z zamieszczeniem w „Timesie” stosownego zawiadomienia.

- To prawda - przytaknęła Fiona. - Charles nie odpowiadał nawet na moje listy, ale teraz to się zmieniło, jest niemal przyjaciel-ski, kiedy zwracam się do niego z jakąś sprawą.

- Czy nie dlatego, że też chce zamieścić zawiadomienie w „Time-sie”? - spytał Pimkin, dopijając dzin i mając nadzieję na propozycję następnego drinka.

- Jak to?

- Ktoś skradł mu serce.

- Ktoś? - podchwycił Alexander DalGLISH.

- Ni mniej, ni więcej - Pimkin urwał przytykając znacząco do ust pustą szklankę - tylko Amanda Wallace, jedyna córka nieżyjącego i nieszczerze opłakiwanego generała brygady Pijusa Wallace'a.

- Amanda Wallace? - powtórzyła z niedowierzaniem Fiona. - Gdzie on ma rozum?

- Zdaje się, że rozum nie ma tu nic do rzeczy - rzekł Pimkin pokazując szklankę - to kwestia popędu.

- Mógłby być jej ojcem.

- W takim razie zawsze może ją adoptować - dodał Pimkin.

Alexander roześmiał się.

- Wiem jednak z wiarygodnego źródła, że doszło do propozycji małżeńskiej - ciągnął Pimkin.

- Nie mówisz poważnie - rzekła tępo Fiona.

- Temat niewątpliwie został poruszony, gdyż ciąża nie budzi wątpliwości, a Charles chce mieć syna - powiedział triumfalnie Pimkin, nie broniąc się przed drugim podwójnym dzinem.

- To niemożliwe - szepnęła Fiona.

- Słyszałem również - ciągnął Pimkin - o niezbyt wielkodusznych bliźnich, którzy już wysunęli kilka kandydatur do roli ojca.

- Alec, jesteś niepoprawny.

- Moja droga, powszechnie wiadomo, że Amanda sypiała z połową gabinetu, a także z niemałą drużyną posłów z tylnych szeregów.

- Przestań zmyślać - mitygowała go Fiona.

- Powiem więcej - mówił dalej Pimkin, jakby jej nie usłyszał. - Zatrzymała się przed pierwszą ławą laburzystów, bo matka przestrzegła ją, że od ludzi z gminu może się czymś zarazić.

Alexander znów się roześmiał.

- Niemożliwe, żeby Charles dał się złapać na numer z ciążą.

- Połknął haczyk, żyłkę i szałwik. Zachowuje się jak Irlandczyk

zamknięty na klucz w browarze Guinnessa. Droga Amanda postarała się, żeby mój szanowny kolega odkorkowywał ją przy każdej nadarzającej się okazji.

- Przecież to głupia gaska - wtrącił Alexander. - Kiedy z nią rozmawiałem, przekonywała mnie, że Michael Parkinson świetnie sobie radzi jako przewodniczący partii.

- Może i głupia - przyznał Pimkin - ale nie gaska, podobno wspólnymi siłami dopisują suplement do Kama Sutry.

- Przestań, Alec, przestań - parsknęła śmiechem Fiona.

- Masz rację - rzekł Pimkin spostrzegając, że trunk znow się kończy. - Jako człowiek o nieskazitelnej reputacji nie mogę dopuścić, by widziano mnie w towarzystwie ludzi żyjących w grzechu. Muszę was zatem czym prędzej opuścić.

Podniósł się odstawiając szklanekę. Alexander odprowadził go do drzwi wyjściowych, a kiedy się za nim zamknęły, powiedział do Fiony:

- Nasz były poseł jest kopalnią informacji.

- Owszem. Tyle można usłyszeć za cenę paru dzinów.

Przechodząc do salonu Alexander spytał:

- Czy to zmienia twoje zamiary względem zwrotu Holbeina?

- Ani trochę - zapewniła Fiona.

- Więc nadal wybierasz się do Sotheby'ego na aukcję Starych Mistrzów?

- Oczywiście - rzekła Fiona z uśmiechem. - Przy odpowiedniej cenie pozbedziemy się kłopotu z wyborem prezentu ślubnego dla Charlesa.

Trzy tygodnie po ataku terrorystów Simon z Elizabeth u boku wyszedł o kulach ze Szpitala Westminsterkiego. Lekarze uprzedzili go, że nigdy nie odzyska pełnej władzy w prawej nodze. Przed szpitalem, na Horseferry Road, na polecenie szefów redakcji żądnych wizerunku bohatera dnia rozbłysły dziesiątki fleszy. Simon uśmiechał się, jakby nie czuł bólu. Usługiwał rady udzielonej przez rzeczników obu stron irlandzkiego konfliktu: „Nie dawać satysfakcji mordercom, niczego po sobie nie okazywać”. Uśmiech Elizabeth wyrażał zwyczajną ulgę, że mąż żyje.

Wbrew zaleceniom lekarzy po trzech tygodniach wypoczynku

Simon powrócił do pracy nad Kartą. Zdawał sobie bowiem sprawę, że za niecałe dwa tygodnie dokument będzie przedmiotem debaty w Izbie. Sekretarz stanu i drugi minister stanu do spraw Irlandii Północnej odwiedzali go kilkakrotnie w domu. Uzgodnili, że minister stanu przejmie tymczasowo obowiązki Simona i wygłosi mowę podsumowującą. Gdy Simon był nieobecny, w całym ministerstwie zdano sobie sprawę, ile pracy włożył w Kartę, i nikt nie kwapił się, żeby go zastąpić.

Zamach na życie Simona i przygotowania do specjalnej debaty nad Kartą wzbudziły takie zainteresowanie, że BBC postanowiła transmitować obrady przez radio od trzeciej trzydziści do dziesiątej - do czasu głosowania.

Siedząc w łóżku Simon słuchał debaty jak ostatniego odcinka ulubionego radiowego serialu. Pierwszy wystąpił sekretarz stanu do spraw Irlandii Północnej przedstawiając Kartę jasno i zwięźle, co napęliło Simona nadzieją, że poprze go cała Izba. Następnie rzecznik opozycji w wyważonej mowie zgłosił parę wątpliwości wobec kontrowersyjnego artykułu *O patriotach* przewidującego specjalne prawa dla protestantów na południu i katolików na północy. Zapytał, co stanie się z katolikami, którzy nie zechcą zarejestrować się w Irlandii Północnej. Pomimo tych zastrzeżeń zapewnił posłów, że opozycja popiera Kartę i nie zażąda podziału Izby.

Simon uspokoił się słuchając dalszych wypowiedzi, ale potem znów zaniepokoiły go opinie szeregowych posłów kwestionujących artykuł *O patriotach*. Niektórzy nawet nalegali, żeby Izba nie uchwałała Karty do czasu, aż rząd uzasadni niezbicie konieczność włączenia do niej artykułu *O patriotach*. Tych kilku ludzi o ciasnych umysłach grało na zwłokę licząc, że Karta nie przejdzie, a potem zostanie zapomniana. Od dziesiątków lat tacy ludzie tłumili nadzieje i aspiracje narodu irlandzkiego i pozwalali, by fanatyzm podkopywał pragnienie pokoju.

Weszła Elizabeth i przysiadła na łóżku.

- Jak idzie? - zapytała.

- Niedobrze - odparł Simon. - Wszystko będzie zależało od rzecznika opozycji.

Siedzieli razem i słuchali. Kiedy jednak rzecznik opozycji wstał i zaczął mówić, okazało się, że on również opacznie zrozumiał intencje artykułu *O patriotach* i nie wyjaśnił dokładnie posłom, co

Simon uzgodnił w Dublinie i Belfaście. Rzecznik trzymał się ustaleń, niczego złośliwie nie przeinaczał, ale brak przekonania w jego głosie, jaki wyczuwał Simon, zasiewał wątpliwości w umysłach kolegów. Simon zaczął się obawiać, że Izba zostanie wezwana do podziału.

Kilku posłów przerwało wypowiedź rzecznika, by wyrazić nowe wątpliwości, aż wreszcie minister opozycji rzekł:

- Może powinniśmy poczekać, aż minister stanu odzyska zdrowie i będzie mógł osobiście stawić się w Izbie.

Rozległy się głosy popierające tę propozycję.

Simonowi zrobiło się słabo. Czuł, że Karta przepadnie, jeżeli nie uda mu się dotrzeć dziś do Izby. Tyle ciężkiej pracy i dobrej woli pójdzie na marne. Powziął decyzję.

- Napiłbym się gorącego kakao - powiedział jak gdyby nigdy nic.

- Oczywiście, kochanie. Już idę. Chcesz trochę biszkoptów?

Simon kiwnął głową. Kiedy drzwi sypialni zamknęły się za Elizabeth, wysunął się z pościeli i szybko ubrał. Wziął łaskę, którą dostał od irlandzkiego premiera, doktora Fitzgeralda. Zszedł cicho po schodach i pokuśtykał przez hall mając nadzieję, że Elizabeth go nie usłyszy. Uchylił drzwi. Kiedy zwrócił na niego uwagę stojący przed domem policjant, przyłożył palec do ust i powoli zamknął drzwi za sobą. Doszedł z trudem do policyjnego wozu, opadł na tylne siedzenie i powiedział:

- Proszę włączyć radio i jak najszybciej zawieźć mnie do Izby Gmin.

Nadal przemawiał rzecznik opozycji, a samochód kluczył ulicami nieznaną Simonowi trasą. Dwadzieścia pięć po dziewiątej podjechali pod bramę św. Stefana.

Parlamentarni goście rozstąpili się przed nim jak przed koronowaną głową, ale Simon nawet tego nie zauważył. Przekuśtykał przez hall centralny, skręcił w lewo, minął policjanta i skierował się do wejścia do Izby. Modlił się, żeby zdążyć przed podsumowaniem rzecznika rządu. Minął zdumionego odźwiernego i stanął w progu Izby w chwili, gdy nowy zegar elektroniczny wskazywał dziewiątą dwadzieścia dziewięć.

Pośród głosów aprobaty rzecznik opozycji siadał właśnie w przedniej ławie. Marszałek wstał, ale zanim zdążył wezwać ministra stanu do zabrania głosu, na zielony dywan Izby Gmin powoli

wkroczył Simon. Zapadła głęboka cisza. Po chwili przerwały ją wiwaty, które towarzyszyły Simonowi w drodze do stołu marszałkowskiego. Simon upuszczając laskę przytrzymał się pulpitu. Wzruszonym głosem marszałek wypowiedział jego nazwisko. Simon odczekał, aż nastanie cisza.

- Panie marszałku, chciałbym podziękować Izbie za tak serdeczne powitanie. Przybyłem dziś wieczór, gdyż słuchając debaty przez radio uznałem za konieczne wyjaśnić szanownym posłom założenia artykułu *O patriotach*. Artykuł ten nie jest uproszczoną formułą mającą rozwiązać zawły problem, lecz aktem dobrej woli, artykułem, pod którym mogą się podpisać przedstawiciele wszystkich stron konfliktu. Dokument ten nie jest szczytem doskonałości, wszak te same słowa znaczą co innego w ustach różnych ludzi, na co wciąż dają nam dowody nasi prawnicy.

Śmiech rozładował rosnące w Izbie napięcie.

- Jeżeli nie wykorzystamy szansy, jaka stoi dziś przed nami, to wszyscy ludzie dobrej woli poniosą klęskę, a zwyciężą znowu ci, którzy dla siebie wiadomych powodów sięją zniszczenie i rozpacz w Irlandii Północnej.

Posłowie słuchali w milczeniu słów Simona, który wyjaśnił dokładnie, jakie założenia przyświecały mu przy tworzeniu artykułu *O patriotach* oraz jego następstwa dla protestantów i katolików na północy i południu. Omówił także ważniejsze punkty Karty, odpowiadając na wątpliwości wyrażone w czasie debaty. Kiedy spojrzął na zegar nad fotelem marszałka, zorientował się, że została mu już niecała minuta.

- Panie marszałku, w tej oto Izbie zdecydowano o losach narodów, a dziś dana jest nam szansa przezwyciężenia trudności, wobec których nasi poprzednicy pozostali bezradni. Proszę o poparcie dla Karty, choćby z zastrzeżeniami. Niech terroryści i mordercy wiedzą, że tu w Westminsterze umiemy głosować z myślą o przyszłych pokoleniach Irlandii. Niech w dwudziestym pierwszym wieku problem irlandzki przejdzie do historii. Panie marszałku, zwracam się do całej Izby z prośbą o poparcie.

Kartę przyjęto bez podziału Izby.

Simon czym prędzej wrócił do domu i wszedł cicho po schodach. Zamknął drzwi sypialni i po ciemku zaczął szukać przełącznika. Zapaliła się mała lampka przy łóżku, w którym leżała Elizabeth.

- Wystygło ci kakao, a biszkopty zjadłam - powiedziała z uśmiechem. - Dziękuję, że zostawiłeś włączone radio, wiedziałam przynajmniej, gdzie jesteś.

Rozdział dwudziesty szósty

Charles i Amanda wzięli ślub w najskromniejszym urządzie stanu cywilnego w Hammersmith. Potem pojechali na przedłużony weekend do Paryża. Charles uprzedził pannę młodą, żeby przynajmniej przez tydzień nie wspominała nikomu o ślubie. Wolał nie dostarczać Fionie dodatkowego powodu do zatrzymania Holbeina. Amanda chętnie się zgodziła. Dopiero później przypomniała sobie o Pimkinie - ale on przecież się nie liczył.

W Paryżu czuli się świetnie, choć widoczna ciąża Amandy wprawiała Charlesa w zakłopotanie - na przykład gdy w piątek wieczorem w hotelu Plaža Athenee odprowadzano ich do apartamentu. Później, przy kolacji, Amanda zadziwiła kelnerów apetytem i krojem sukni.

Nazajutrz rano, jedząc śniadanie w łóżku, Charles przeczytał w „Herald Tribune”, że pani Thatcher w ten właśnie weekend rozważa dokonanie zmian w obsadzie stanowisk. Skrótcił „miodowy miesiąc” i wrócił do Londynu w sobotę, dwa dni wcześniej niż planował. Amanda nie była zadowolona. Jej mąż spędził całą niedzielę na Eaton Square siedząc przy telefonie, który ani razu nie zadzwonił.

W tę samą niedzielę wieczorem pani premier wezwała Simona Kerslake'a, by oznajmić, że zostanie członkiem Królewskiej Rady Przybocznej, i przejdzie z Ministerstwa do Spraw Irlandii Północnej do resortu obrony.

Simon chciał zaprotestować, ale pani Thatcher nie dopuściła go do głosu, mówiąc stanowczo:

- Nie potrzebuję martwych bohaterów.

Elizabeth przyjęła z ulgą tę wiadomość, choć upłynęło trochę czasu, nim przyzwyczała się do tytułu męża: „wielce szanowy Simon Kerslake”. Przez kilka tygodni oboje musieli wysłuchać niezliczoną ilość razy zartujących dobrodusznie wyborców: „a więc został pan patentowanym osłem, o przepraszam, posłem”.

Pani Thatcher zadzwoniła do Charlesa Seymoura w poniedziałek rano, kiedy na Eaton Square czekał na zwrot Holbeina. Adwokaci obu stron uzgodnili, że pierwszy hrabia Bridgwater zostanie zwrócony Charlesowi tego dnia o jedenastej. Jedynie królowa lub pani Thatcher mogły wyciągnąć Charlesa z domu o tej porze.

Gdy pani premier wezwała go do siebie, Charles myślał, że wszystkie stanowiska są już obsadzone. Pani Thatcher wiedziała jednak, że wyjechał w podróż poślubną do Paryża i wróci dopiero w poniedziałek rano.

Charles pojechał taksówką na Downing Street, gdzie został bez zwłoki wprowadzony do gabinetu. Pani Thatcher pochwaliła go za pracę włożoną w przygotowanie ustaw skarbowych najpierw w opozycji, potem w rządzie. Następnie zaproponowała mu stanowisko sekretarza finansów w tymże ministerstwie.

Charles przyjął nominację z zadowoleniem i po krótkiej rozmowie o kierunkach przyszłej polityki pani premier wrócił na Eaton Square, by uczcić oba radosne wydarzenia. Już przy drzwiach Amanda powiadomiła go, że przywieziono Holbeina. Fiona dotrzymała umowy: zwróciła obraz punktualnie o jedenastej.

Dziarskim krokiem Charles wszedł do salonu, ciesząc się na widok sporego pakunku. Wcale natomiast nie ucieszyło go zachowanie Amandy idącej za nim z papierosem w jednej ręce i szlanką dżinu w drugiej"! Uznał jednak, że szkoda takiego dnia na kłótnie. Powiedział o nominacji - jej znaczenia chyba nie zrozumiała, dopóki nie otworzył szampana.

Nalał dwa kieliszki i podał jeden Amandzie.

- Podwójny toast, wspaniale - powiedziała, najpierw dopijając dżin.

Charles łyknął szampana. Zaczął rozwiązywać sznurek i rozdzierać gładki czerwony papier, w który zapakowano arcydzieło. Uporawszy się z papierem, odsunął tekturowe osłony. Spojrzał z zachwytem na portret.

Pierwszy hrabia Bridgwater wrócił do domu. Charles chwycił obraz, żeby powiesić go na swoim miejscu, i spostrzegł, że płótno nie przylega ściśle do złotej ramy, którą tak dobrze znał. Zaklął pod nosem.

- Co się stało? - spytała Amanda oparta o drzwi.

- Nic wielkiego, trzeba poprawić ramę. Podrzucę obraz Olivero-

wi Swannowi w drodze do banku. Czekałem prawie trzy lata, więc co za różnica te parę dni dłużej.

Po przyjęciu stanowiska sekretarza finansów Charles miał jeszcze coś do załatwienia. Przed podaniem do publicznej wiadomości nominacji musiał jeszcze zawrzeć pewne porozumienie. Wyjechał z Eaton Square i podrzucił Holbeina ramiarzowi. Potem udał się do banku i wezwał Reynoldsa. Po jego zachowaniu poznał, że wieść o awansie jeszcze się nie rozeszła.

- Clive - rzekł Charles, po raz pierwszy zwracając się do podwładnego po imieniu. - Mam dla ciebie propozycję.

Reynolds milczał.

- Pani premier zaproponowała mi stanowisko w rządzie.

- Moje gratulacje - rzekł Reynolds. - Pozwolę sobie dodać, że zasłużył pan na to.

- Dziękuję. W związku z tym chciałbym, żebyś mnie zastąpił podczas nieobecności.

Reynolds zdziwił się.

- Ma się rozumieć, jeżeli konserwatyści znajdą się w opozycji albo stracą stanowisko w rządzie, wówczas bezzwłocznie odzyskam prezesurę.

- Naturalnie - odparł Reynolds. - Z przyjemnością przejmę tymczasowo pańskie obowiązki.

- To lubię - rzekł Charles. - Z pewnością nie uszło twojej uwagi, co stało się z poprzednim prezesem w podobnych okolicznościach.

- Z pewnością nie zdarzy się to po raz drugi.

- Dziękuję - rzekł Charles. - Po powrocie będę pamiętał o twojej lojalności.

- Postaram się podtrzymać tradycje banku, gdy pana nie będzie - powiedział Reynolds kłaniając się,

- Jestem o tym przekonany - odparł Charles.

Zarząd przychylił się do prośby Charlesa i mianował Reynoldsa tymczasowym prezesem. Charles zadowolony zwolnił fotel prezesa, by podjąć się nowych zadań w Ministerstwie Finansów.

Z myślą, że dobiega końca najszczęśliwszy tydzień w jego życiu, w piątek wieczorem Charles podjechał do galerii Olivera Swanna. - Niestety, obraz nie pasuje do ramy - rzekł pan Swann.

- Po tylu latach pewnie się oblużował - odparł Charles obojętnie.
- Nie, panie Seymour, portret został oprawiony niedawno.
- Niemożliwe. Pamiętam ramę równie dokładnie jak obraz.

Portret pierwszego hrabiego Bridgwater należy do mojej rodziny od przeszło czterystu lat.

- Ale nie ten.
- Jak to? - zaniepokoił się Charles.
- Ten obraz był zgłoszony na aukcji u Sotheby'ego trzy tygodnie temu.

Słyszając to Charles poczuł ciarki przebiegające po plecach.

- To bez wątpienia szkoła Holbeina. Obraz namalował zapewne jeden z jego uczniów, pod koniec życia mistrza. Przypuszczam, że takich portretów jest kilkanaście.

- Kilkanaście - powtórzył Charles. Krew odpłynęła mu z policzków.

- Tak, może nawet więcej. To przynajmniej wyjaśnia zagadkę, nad którą się głowiłem - rzekł ze śmiechem Swann.

- Jaką zagadkę? - wykrztusił Charles.

- Nie mogłem pojąć, dlaczego lady Fi ona kilka tygodni temu zgłosiła chęć kupna tego obrazu.

- To wesele ma styl - zapewnił Fionę Pimkin między jednym a drugim kęsem. Zawsze przyjmował zaproszenia na przyjęcia, na których piętrzyły się stopy kanapek z wędzonym łososiem, a szampan lał się strumieniami. - Szczególnie podobało mi się krótkie błogosławieństwo w Kaplicy Gwardyjskiej. A u Claridge'a zawsze mogę liczyć na zrozumienie dla moich słabostek.

Rozejrzał się po wielkiej sali i zatrzymał wzrok na swoim odbiciu w żyrandolu. Fiona się roześmiała.

- Byłeś na ślubie Charlesa? - zapytała.

- Moja droga, w Hammersmith widuje się Etończyków, tylko gdy płyną łódką w barwach Oksfordu albo Cambridge i bardzo im się śpieszy.

- Więc nie zostałeś zaproszony.

- Podobno jedyną zaproszoną osobą była Amanda, a nawet i ona o mały włos by nie przyszła. Miała zdaje się zamówioną wizytę u lekarza.

- Charles nie może sobie pozwolić na drugi rozwód.
- Na pewno nie jako sekretarz finansów Jej Królewskiej Mości. Jeden rozwód może przejść nie zauważony, ale drugi uznano by za początek nałogu. Zresztą pilni czytelnicy Nigela Dempstera niewątpliwie spostrzegli, że doszło do skonsumowania związku.
- Ale jak długo Charles z nią wytrzyma?
- Dopóki będzie, wierzył, że da mu syna, który odziedziczy hrabiowski tytuł. Choć ceremonia zaślubin niekoniecznie dowodzi prawowitości potomka - dodał Pimkin.
- Może Amanda urodzi syna.
- Może urodzi, ale niepodobnego do Charlesa - rzekł Pimkin, zajmując fotel opuszczony nieopatrnie przez damę o bujnych kształtach.
- Tak czy owak nie wyobrażam sobie Amandy w roli gospodyni domowej.
- Owszem, ale w obecnej sytuacji Amanda chętnie odgrywa rolę kochającej małżonki.
- To się może z czasem zmienić - powiedziała Fiona.
- Wątpię - rzekł Pimkin. - Amanda jest głupia, co zostało dowiedzione ponad wszelką wątpliwość, ale jej instynkt przetrwania dorównuje prawie instynktowi mangusty. Gdy więc Charles całymi dniami zabiega o swoją błyskotliwą karierę, postąpiłaby głupio szukając lepszego pola do działania. Zwłaszcza że po cichu może sobie uprawiać kilka poletek na boku.
- Jesteś niepoprawnym pleciugą - skarciła go Fiona.
- Nie przeczę - rzekł Pimkin. - W tej sztuce kobiety nigdy nie dorównywały mężczyznom.
- Dziękuję za praktyczny prezent ślubny - rzekł Alexander podchodząc do Fiony, która od dwóch godzin była jego żoną. - Wybrałeś mój ulubiony gatunek bordeaux.
- Z ofiarowania tuzina butelek najlepszego bordeaux płyną dwie korzyści - odparł Pimkin kładąc ręce na brzuchu. - Po pierwsze, można mieć pewność, że kiedy człowiek wprosi się na obiad, zostanie poczęstowany dobrym winem.
- A po drugie? - spytał Alexander.
- Kiedy szczęśliwa para postanowi się rozłączyć, ofiarodawca myśli z ulgą, że o ten prezent się nie pokłóca, bo już go nie ma.
- Dałeś jakiś prezent Charlesowi i Amandzie? - zapytała Fiona.

- Nie - odparł Pimkin zręcznie zdejmując kieliszek szampana z niesionej przez kelnera tacy. - Uznałem, że fałszywy hrabia Bridgwater wystarczy za prezent od was i ode mnie.

- Ciekawe, gdzie on teraz jest? - spytał Alexander.

- Nie rezyduje już na Eaton Square - odparł Pimkin z taką miną, jakby uchylił dopiero co rąbka tajemnicy, starając się na nowo przykuć uwagę słuchaczy.

- Komu potrzebny podrabiany hrabia?

- Nie jest nam znany rodowód kupca, który pochodzi z dawnej kolonii brytyjskiej, natomiast sprzedawca...

- Przestań się droczyć, Alec. Kto?

- Nie kto inny jak pani Amanda Seymour.

- Amanda?

- We własnej osobie. Miła, głupiutka istotka wyciągnęła fałszywego hrabiego z piwnicy, gdzie z wszelkimi honorami pogrzebał go Charles.

- Musiała chyba wiedzieć, że nie jest prawdziwy.

- Droga Amanda nie odróżniłaby Holbeina od Andy'ego Warhola, ale chętnie wzięła dziesięć tysięcy funtów za podstawionego hrabiego. Marszand, który nabył sfabrykowane arcydzieło, na pewno nie stracił na tej transakcji.

- Wielki Boże - powiedział Alexander. - Zapłaciłem za niego tylko osiem tysięcy.

- Może powinieneś pobierać lekcje u Amandy - rzekł Pimkin. - W zamian za bezcenne informacje, którymi was obdarzam, chciałbym się dowiedzieć, czy prawdziwy hrabia Bridgwater zostanie nadal w ukryciu.

- Ależ skąd. Czeka na odpowiedni moment, żeby wystąpić publicznie - odparła Fiona nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

- Gdzie jest teraz Amanda? - zapytał Alexander, żeby zmienić temat.

- W Szwajcarii. Wydaje na świat dziecko, które, miejmy nadzieję, będzie na tyle przypominało przedstawiciela białej rasy, by przekonać łatwowiernego Charlesa, że jest jego ojcem.

- Skąd ty czerpiesz te wszystkie informacje? - spytał Alexander. Pimkin głośno westchnął.

- Kobiety lubią mi się zwierzać. Nie wyłączając Amandy.

- Dlaczego to robi? - zapytał Alexander.

- Jestem jedynym mężczyzną, który nie interesuje się jej ciałem, więc czuje się przy mnie bezpieczna.

Pimkin zaczerpnął tchu, ale jedynie po to, by pochłonąć kolejną kanapkę z wędzonym łososiem.

Charles codziennie wydzwaniał do Amandy. Zapewniała go, że wszystko jest w porządku, a dziecko ma się urodzić w terminie. Charles wolał, żeby Amanda nie obnosiła się po Anglii ze swoją zaawansowaną ciążą. Amanda nie narzekała. Na prywatnym koncie w Szwajcarii miała dziesięć tysięcy funtów i wymościła sobie w Genewie wygodne gniazdko.

Po długiej przerwie Charles przez kilka tygodni przyzwyczajał się do pracy w rządzie. Z przyjemnością podejmował stojące przed nim wyzwania i szybko przystosował się do dziwnych tradycji Ministerstwa Finansów. Przypominano mu często, że pani premier czujnym okiem spogląda na jego resort, co zwiększało poczucie odpowiedzialności. Pytani, co sądzą o nowym sekretarzu finansów, ministerialni urzędnicy odpowiadali rozmaicie: zdolny, kompetentny, sprawny, pracowity - ale bez cienia sympatii w głosie. Zapytany o to samo kierowca, którego imienia Charles nawet nie pamiętał, wyraził się inaczej:

- To taki minister, co w limuzynie zawsze siedzi z tyłu. Ale postawiłbym całą tygodniówkę, że pan Seymour zostanie premie rem.

Amanda urodziła dziecko w połowie dziewiątego miesiąca ciąży. Po tygodniu pozwolono jej wrócić do Anglii. Przekonała się, że podróżowanie z niemowlęciem jest męczące i kłopotliwe, więc kiedy dotarła do Heathrow, chętnie przekazała potomka zatrudnionej przez Charlesa niani.

Charles wysłał na lotnisko samochód, ale sam nie mógł się wyrwać z narady z delegacją japońskich biznesmenów, którzy narzekali na nowe taryfy celne na towary importowane. Kiedy wreszcie udało mu się uwolnić od gości ze Wschodu, pomknął na Eaton Square.

Amanda czekała przy drzwiach. Charles prawie zapomniał, jaką ma piękną żonę i jak długo jej nie było. Pocałował ją i spytał:

- Gdzie mój syn?

- W pokoju dzieciennym, który jest urządony bardziej wystawnie niż sypialnia - odparła z przekąsem.

Wbiegł po szerokich schodach na górę. Amanda za nim. Wszedł do pokoju dzieciennego i stanął jak wryty patrząc na czarne kędziorki i ciemnobrązowe oczy przyszłego hrabiego Bridgwater.

- Wielkie nieba - powiedział Charles podchodząc bliżej. Amanda stała przy drzwiach zaciskając dłoń na klamce. Przygotowała sto odpowiedzi na pytanie, które mógł zadać.

- Wykapany pradziad - powiedział Charles unosząc niemowlę do góry. - Przeskoczyłeś parę pokoleń, Harry, ale jesteś prawdziwym Seymourem.

Amanda cicho westchnęła. Przygotowane odpowiedzi mogła zachować dla siebie.

- Ten bękarcik przeskoczył więcej niż parę pokoleń - rzekł Pimkin. - Raczej cały kontynent. - Łyknął szampana lejącego się strumieniem z okazji chrzcina. - Natomiast to biedne maleństwo - ciągnął patrząc na dziecko Fiony - jest uderzająco podobne do Alexandra. Szkoda dziewczynki. U zarania życia otrzymać taki niemiły posag.

- Ona jest piękna - powiedziała Fiona, biorąc Lucy z kołyski i sprawdzając pieluchę.

- Teraz wiemy, dlaczego tak wam się śpieszyło, żeby stanąć na ślubnym kobiercu - dodał Pimkin nie odrywając się od szampana. - Ale dziecko urodziło się w samą porę, choć mogłoby pojawić się za wcześniej.

Fiona udała, że nie słyszy.

- Widziałeś syna Charlesa? - zapytała.

- Myślę, że o małym Harrym powinniśmy mówić syn Amandy - poprawił ją Pimkin. - Nie chcemy przecież, żeby pociągnięto nas do odpowiedzialności za naruszenie ustawy o opisie towarów.

- Daj spokój, Alec, widziałeś Harry'ego? - powtórzyła pytanie nie napełniając pustego kieliszka.

- Owszem, widziałem. Niestety jest tak uderzająco podobny do ojca, że nie może to pozostać niezauważone.

- Ktoś, kogo znamy?

- Nie param się rozdmuchiowaniem skandali - rzekł Pimkin

strząsając okruszek z kamizelki. - Dobrze o tym wiesz. Ale pewien brazylijski fazendeiro, w letnim sezonie bywalec meczów polo w Cowdray Park i wyścigów w Ascot, wykazywał duże zainteresowanie angielskimi źrebicami.

Pimkin podsunął Fionie kieliszek.

Rozdział dwudziesty siódmy

Rezygnacja Jamesa Callaghana z przywództwa Partii Pracy ogłoszona w październiku 1980 roku nie zaskoczyła politycznych obserwatorów. W odróżnieniu od poprzednika na tym stanowisku ukończył sześćdziesiąt pięć lat, a w tym wieku partia zalecała przejście na emeryturę.

Obserwatorów zaskoczył natomiast Michael Foot, lewicowy weteran partyjny, który pokonał Denisa Healeya stosunkiem głosów 139 do 129 i został nowym liderem laburzystów. Dało to impuls do przewidywać, że socjaliści długo posiedzą w ławach opozycji.

Konserwatyści przyglądali się z boku walce o władzę i cieszyli z przyjemnej odmiany sytuacji. Charles Seymour odnajdywał w niej wręcz humorystyczne akcenty: Partia Pracy najpierw usunęła sześćdziesięciolatka i wprowadziła lidera, który miał sześćdziesiąt cztery lata, a teraz z kolei ustąpił miejsca politykowi w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat. Lord Shinwell, mający dziewięćdziesiąt sześć lat i będący najstarszym żyjącym ministrem w dawnym rządzie laburzystów, oznajmił już, że zgłosi swoją kandydaturę po odejściu Foota.

"Tydzień później miały odbyć się wybory do gabinetu cieni, ale Andrew nie zgłosił swojej kandydatury. Podobnie jak wielu kolegów, lubił nowego przywódcę na gruncie towarzyskim, ale rzadko zgadzał się z nim w kwestiach polityki wewnętrznej, w dziedzinie obronności zaś i polityki wobec Europy mieli całkowicie odmienne zdanie. W tej sytuacji wziął na siebie obowiązki przewodniczącego specjalnej komisji do spraw Szkocji. Natomiast Raymond uważał, że Foot jest przywódcą jedynie na okres przejściowy, i chętnie przeszedł pod jego rozkazy. W wyborach do gabinetu cieni Raymond zajął ósme miejsce. Michael Foot poprosił go o dalsze sprawowanie pieczy nad teką ministra handlu.

Na drugi dzień po wyborach Andrew wszedł do Izby Gmin i po raz pierwszy od czternastu lat zajął miejsce na ławie z tyłu. Popatrzył z góry na Raymonda rozpartego na przedniej ławie i przypomniały mu się własne słowa: „Nadejdzie jeszcze taki dzień, że to ja będę ci zazdrościł zasiadając na tylnej ławie”.

Andrew wcale się nie zdziwił, gdy okręgowy komitet partii w Edynburgu zawiadomił go o konieczności poddania się ponownej selekcji kandydatów w 1981 roku. Kiedy na ostatniej konferencji Partii Pracy, w październiku, przyjęto zasadę obowiązkowej każdorazowej selekcji kandydatów na posłów, Andrew zrozumiał, że największą bitwę stoczy na własnym podwórku. Frank Boyle zdołał wprowadzić jeszcze jednego zausznika na miejsce zwolennika Andrew w komitecie.

Roy Jenkins, dawny wiceprzewodniczący Partii Pracy, wrócił z Brukseli po upływie kadencji przewodniczącego Komisji Europejskiej. Po wygłoszeniu przez telewizję komentarza politycznego „Pamięci Dimbleby'ego” Jenkins nie krył się z zamiarem utworzenia nowej partii, otwartej dla umiarkowanych radykałów, którzy uważali, że Partia Pracy przesunęła się zbyt na lewo. Konferencja partyjna odebrała członkom parlamentu prawo wyboru przywódcy. Była to dla wielu ostatnia kropla, która przepełniła kielich, i kilkunastu posłów laburzystów zgłosiło Jenkinsowi chęć opuszczenia szeregów partii. Andrew wolałby pozostać w partii i próbować zmienić ją od wewnątrz, ale doszedł do wniosku, że właściwy moment minął.

W porannej poczcie znalazł lakoniczny list od sekretarza okręgowego, zawiadamiający, że Frank Boyle będzie rywalizował z nim o nominację. Poleciał do Edynburga obawiając się najgorszego. Nikt nie czekał na lotnisku, a w siedzibie partii David Connaught przywitał go z niewesołą miną.

Andrew stanął przed komisją w zimnej, smutnej sali i odpowiadał na te same pytania, jakite zadawano mu trzy lata temu: co sądzi o rozbrojeniu atomowym, dlaczego opowiada się za bliższymi związkami ze Stanami Zjednoczonymi, jaki ma stosunek do podatku majątkowego i tak dalej. Udzielił dokładnie takich samych odpowiedzi, nie pozwalając wyprowadzić się z równowagi. Na koniec powiedział:

- Jestem dumny, że służyłem mieszkańcom Edinburgh Carlton przez blisko dwadzieścia lat jako poseł Partii Pracy i mam nadzieję służyć im dalej przez drugie dwadzieścia, a nawet dłużej. Jeżeli nie uznają państwo mojej kandydatury za odpowiednią, będę gotów wystąpić jako kandydat niezależny.

Na kilku twarzach pojawił się wyraz niepokoju.

- Nie przestraszą nas pańskie groźby, panie Fraser - odezwał się Frank Boyle. - Partia Pracy zawsze była czymś większym od jednostek. Skoro poznaliśmy już prawdziwe zamiary pana Fräsera, proponuję przystąpić do głosowania.

Rozdano dwanaście karteczek. Członkowie komisji wpisywali na nich wybrane nazwisko i oddawali przewodniczącemu.

Frank Boyle zgarnął powoli kartki ciesząc się z zakłopotania Andrew. Rozłożył pierwszą z brzegu.

- Boyle - przeczytał rozglądając się po siedzących przy stole. Rozłożył drugą. - Fraser. - Trzecią. - Boyle... Fraser... Fraser... Fraser...

Andrew liczył w myślach: cztery do dwóch dla niego.

- Fraser... Boyle... Boyle... Fraser.

Sześć do czterech dla Andrew i jeszcze dwie nie odczytane kartki - wystarczyłyby mu jeden głos.

- Boyle.

Sześć do pięciu. Przewodniczący nie śpieszył się z rozłożeniem ostatniej kartki.

- Boyle - oznajmił triumfalnie i umilkł, aby wywołać większy efekt. - Kandydaci uzyskali po sześć głosów. Zgodnie z punktem czterdziestym drugim regulaminu partii - wyrecytował, jakby nauczył się kwestii na pamięć przed zebraniem - przy równej liczbie głosów przewodniczącemu przysługuje głos rozstrzygający. - Znow umilkł, a po chwili rzekł z namaszczeniem: - Boyle... Ogłaszam, że Frank Boyle został wybrany na oficjalnego kandydata Partii Pracy z okręgu Edinburgh Carlton w najbliższych wyborach powszechnych. - Zwracając się do Andrew dodał: - Pan nie będzie już nam potrzebny, panie Fraser.

- Chciałbym podziękować tym, którzy głosowali na mnie - rzekł cicho Andrew i wyszedł.

Nazajutrz „Scotsman” zamieścił długi artykuł przestrzegający przed niebezpieczeństwem, jakie stanowi mała grupa ludzi mają-

cych władzę i zdecydowanych usunąć posła, który rzetelnie służył swoim wyborcom przez wiele lat. Andrew zadzwonił do Stuarta Graya z podziękowaniami.

- Szkoda, że nie wydrukowaliście tego wczoraj - powiedział.
- Artykuł był gotowy już wczoraj - zapewnił go Stuart. - Ale ogłoszenie przez Pałac Buckingham zaręczyn księcia Karola z lady Dianą Spencer wypchnęło inne materiały, nawet sprawozdanie z meczu Rangers-Celtic. A tak na marginesie, czy nie jest wymagane zatwierdzenie nominacji Boyle'a przez okręgowy komitet partii?
- Owszem, ale członkowie komitetu tańczą już, jak on zagra. To tak, jakbym miał tłumaczyć teściowej, że żona jest megierą.
- Zwróć się wobec tego do krajowej egzekutywy, żeby przekazała decyzję okręgowej konferencji partyjnej.
- Odwołanie decyzji trwałoby tygodniami, a ja nie jestem wcale pewien, czy nadal chcę walczyć o mandat z ramienia Partii Pracy.
- Andrew wysłuchał pytania reportera i odparł: - Tak, możesz przytoczyć moją odpowiedź.

Zbliżał się dzień wyborów i Charles postanowił przedstawić Amandę najpoważniejszym osobistościom ze swojego okręgu. Do tej pory wyjaśniał pytającym, że po porodzie żona długo dochodziła do siebie i lekarze zabronili jej uczestniczenia w spotkaniach, które mogłyby podnieść ciśnienie - paru ciekawskich wyborców pomyślało wówczas, że konserwatyści z Sussex Downs nie podnieśliby ciśnienia nawet staruszkowi z rozrusznikiem serca. Charles nie zabierał też nigdy ze sobą Harry'ego tłumacząc, że wybrał życie publiczne dla siebie, a nie dla syna.

Przyjęcie wydawane co roku w posiadłości lorda Cuckfielda wydało się Charlesowi wyśmienitą okazją do pokazania się z Amandą. Poprosił ją, żeby włożyła coś stosownego.

Wiedział, że są modne dopasowane dzinsy, a jego kochająca stroje żona nigdy nie ubiera się dwa razy w to samo. Nie uszło też jego uwagi, że wyzwolone kobiety nie noszą staników. Kiedy jednak zobaczył Amandę w przezroczystej bluzce i dzinsach obcisłych jak druga skóra, po prostu się przeraził.

- Czy nie mogłabyś zależeć czegoś bardziej... konserwatywnego?
- spytał.

- Czegoś w guście tej klempy Fiony?
- Ta odpowiedź zamknęła Charlesowi usta.
- Tam będzie nieznośnie nudno - zapewnił chwytając się ostatniej deski ratunku. - Może pójde sam. .
- Amanda odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.
- Wstydzisz się mnie, Charlie?
- Jechali w milczeniu do Sussex Downs. Za każdym razem zerkając na żonę, Charles miał ochotę zawrócić pod byle pretekstem. Po przybyciu do posiadłości lorda Cuckfielda potwierdziły się jego najgorsze obawy. Nikt nie mógł oderwać oczu od Amandy, która przechadzała się po trawnikach zjadając truskawki. Wielu gości powiedziałoby o niej „pinda”, gdyby nie była żoną pośła.
- Charles uniknąłby może większych przykrości, gdyby skończyło się na dwuznacznym żarcie, który Amanda opowiedziała żonie anglikańskiego biskupa, oraz odmowie sędziowania w konkursie dziecięcym i ciągnięcia losów na loterii fantowej. Nie dopisało mu tyle szczęścia. Wpadł, kiedy przedstawił żonie przewodniczącą doradczej komisji kobiet.
- Kochanie - rzekł Charles. - Zdaje się, że nie znasz pani Blenkinsop.
- Nie znam - odparła Amanda udając, że nie widzi wyciągniętej ręki.
- Pani Blenkinsop - ciągnął Charles - otrzymała OBI za zasługi dla okręgu.
- OBI? - powtórzyła niewinnie Amanda. Pani Blenkinsop wyprostowała się z godnością.
- Order Brytyjskiego Imperium - wyjaśniła.
- Ach tak, nigdy nie byłam pewna - odparła Amanda z uśmiechem. - Ojciec zawsze mówił, że to skrót od „obiboki”.

- Widziałeś gdzieś persil? - spytała Louise.
- Nie, już dawno przestałem pracować sobie spodnie - odparł Andrew.
- Ha, ha - powiedziała Louise. - Jeżeli ty go nie wzięłeś, to kto? Brakuje dwóch dużych pudełek.
- Nieuchwytny złodziej persila znów grasuje. Co teraz padnie jego łupem? Bovril?

- Zamiast się wygłupiać, wyciągnij Clarissę z kąpieli.
- Andrew dźwignął się z fotela, rzucając na podłogę „Economist”, i pobiegł na górę.
- Pora wyjść z wanny, moja panno - zawołał przed łazienką.
- Najpierw usłyszał szloch, a kiedy otworzył drzwi, zobaczył Clarissę obspaną proszkiem do prania. Miała go pełno w czarnych kędziorkach. Andrew parsknął śmiechem, ale spoważniał, gdy zobaczył zakrwawione kolana Clarissy. Trzymała w ręku szczotkę do szorowania, na której proszek zabarwił się krwią.
- Co się stało, kochanie? - zapytał Andrew przyklękając koło wanny.
- To nieprawda - powiedziała Clarissa nie patrząc na niego.
- Co jest nieprawdą? - spytał łagodnie.
- Zobacz - powiedziała wskazując dwa puste opakowania na brzegu wanny.
- Andrew spojrział na znajomy obrazek przedstawiający jasnowłosą dziewczynkę w białej sukience.
- Co jest nieprawdą? - powtórzył nie rozumiejąc, o co chodzi Clarissie.
- To nieprawda, że persil pierze na biało i usuwa najczarniejsze plamy. Zużyłam dwa pudełka i ciągle jestem czarna.
- Andrew nie mógł powstrzymać uśmiechu, a Clarissa znów się rozplakała. Splukał z niej mydliny, delikatnie wytarł i opatrzył skaleczenia.
- Dlaczego jestem taka czarna? - zapytała.
- Bo twoja mama i tata byli czarni - odpowiedział Andrew prowadząc córkę do sypialni.
- Dlaczego nie możesz być moim tatą. Byłabym biała.
- Jestem twoim tatą i nie musisz być biała.
- Muszę.
- Dlaczego?
- Bo dzieci się ze mnie śmieją - odpowiedziała Clarissa ściskając go za rękę.
- Kiedy chodziłem do szkoły, dzieci śmiały się ze mnie, bo byłem mały - odparł Andrew. - Nazywali mnie kurduplem.
- I co zrobiłeś?
- Dużo trenowałem i zostałem kapitanem szkolnej drużyny rugby. Wtedy przestali się śmiać.

- Ale byłeś już duży. A ja nie mogę trenować, żeby się wybielić.
- Wcale nie byłem duży, a ty nie musisz nic trenować.
- Dlaczego? - spytała Clarissa nie puszczając jego ręki.
- Bo będziesz piękna i te wszystkie brzydkie białe dziewczyny będą ci okropnie zazdrościć.

Clarissa dłuższą chwilę milczała.

- Obiecujesz, tato?
- Obiecuję - powiedział siedząc na brzegu jej łóżka.
- Tak jak tobie zazdrości Frank Boyle?
- Skąd o nim wiesz? - zapytał zaskoczony.
- Mama mówiła, że będzie kandydatem laburzystów w Edynburgu, ale i tak go pobijesz.

Andrew oniemiał.

- Czy on będzie kandydatem laburzystów, tato?

- Tak.

- I pobijesz go?

- Spróbuję.

- Mogę ci pomóc? - spytała Clarissa zaczynając się uśmiechać.

- Oczywiście. A teraz śpij...

Wstał i zaciągnął zasłony.

- Czy on jest czarny?

- Kto?

- Ten wstrętny Frank Boyle.

- Nie - odparł Andrew ze śmiechem. - Jest biały.

- To powinni mu kazać, żeby ubrał się w moją skórę, a ja wzięłabym jego.

Andrew zgasił światło, żeby ukryć twarz przed Clarissą.

Na przyjęcie urodzinowe Harry'ego przyszły dwulatki mieszkające w pobliżu Eaton Square, ale tylko te, które zaprosiła niania. Charles wyrwał się z posiedzenia w ministerstwie obładowany dużą tablicą do malowania i czerwonym rowerkiem na trzech kółkach. Parkując samochód na Eaton Square zauważył Fionę jadącą starym volvo w kierunku Sloane Square. Przypadkowe spotkanie nie miało dla niego żadnego znaczenia, choć nadal snuł plany odzyskania bezcennego Holbeina. Harry oczywiście koniecznie chciał pojeździć sobie dookoła stołu. Przyglądając mu się, Charles

zwrócił uwagę, że synek jest drobniejszy od innych maluchów. Potem przypomniał sobie, że pradziadek odznaczał się niskim wzrostem.

Po zdmuchnięciu świeczek, kiedy niania zapaliła znów światło, Charles odniósł wrażenie, że coś zginęło. Podobnie dzieje się w dziecięcej zabawie z przedmiotami na tacy - wszyscy zamykają oczy, niania ukrywa jedną rzecz, a potem trzeba zgadywać, co zabrała.

Dopiero po dłuższej chwili Charles uzmysłowił sobie, że zniknęła złota kasetka na cygara. Podeszedł do komody i obejrzał miejsce, gdzie jeszcze wczoraj stało złote pudełko po pradziadku. Teraz leżała tam tylko zapalniczka.

Od razu spytał Amandę, czy wie, co się stało z rodzinną pamiątką, ale żona była tak zaabsorbowana przygotowaniem dzieci do nowej zabawy, że nie odpowiedziała. Charles rozejrzał się po innych pokojach, wszedł do gabinetu i zadzwonił na policję.

Wkrótce zjawił się inspektor z wydziału kryminalnego w Chelsea i zanotował wszystkie szczegóły. Charles miał nawet zdjęcie kasetki z inicjałami C.G.S. W ostatniej chwili ugryzł się w język, żeby nie wymienić Fiony. Inspektor zapewnił, że osobiście przeprowadzi śledztwo. Kiedy Charles wrócił na przyjęcie urodzinowe, właśnie schodziły się nianie po swoich podopiecznych.

Oddział Partii Pracy w Edinburgh Carlton po walnym zgromadzeniu wydał oświadczenie dla prasy, że nowym kandydatem partii w wyborach będzie Frank Boyle. Andrew został zasypany listami z wyrazami sympatii i poparcia. Wzruszyło go, że pisze i dzwoni tylu ludzi, których nawet nie znał. Prawie we wszystkich listach powtarzała się prośba, by przystąpił do wyborów jako kandydat niezależny.

Do nowo utworzonej Partii Socjaldemokratycznej wstąpiło dwudziestu posłów laburzystów i jeden konserwatysta, a to był dopiero początek. Andrew wiedział, że aby nie stracić zwolenników, musi szybko się zdeklarować. Rozmawiał z Louise i dręczył się pytaniem, czy zerwać ostatecznie z partią.

- Co robić? - zapytał nie po raz pierwszy.
- Nie mogę ci powiedzieć, ale nie zwlekaj z decyzją.
- Dlaczego?

- Bo będę głosować na socjaldemokratów, więc byłoby dobrze, gdybyś został moim kandydatem.

Kilka dni później Roy Jenkins, dawny szef Andrew w MSW, zadzwonił z wiadomością, że kandyduje w wyborach uzupełniających w Glasgow z ramienia socjaldemokratów.

- Liczę, że przyłączysz się do nas - dodał Jenkins.

Andrew zawsze podziwiał Jenkinsa za to, że przeciwstawiał się lewicy. Czuł, że właśnie temu politykowi może udać się przełamanie systemu dwupartyjnego.

- Potrzebuję jeszcze trochę czasu - odpowiedział.

Po tygodniu Andrew podjął decyzję i zawiadomił szefa naganiaczy, że opuszcza szeregi partii z zamiarem przystąpienia do socjaldemokratów. Spakował torbę i pojechał do Glasgow.

Roy Jenkins zdobył mandat w Glasgow Hillhead z dużą przewagą, która przysporzyła obu głównym partiom powodów do zmartwienia. Do świąt wielkanocnych przyłączyło się do niego dwudziestu dzielników posłów, a sojusz socjaldemokratów z liberałami mógł zmobilizować w Izbie Gmin ponad czterdzieści głosów.

W sondażach popularności socjaldemokraci zajmowali drugie miejsce i zanosilo się, że po wyborach staną się jęczyciem u wagi w parlamentarnym układzie sił. Konserwatyści zajmowali dalekie trzecie miejsce we wszystkich krajowych badaniach opinii publicznej.

Po trzech tygodniach bez żadnej wieści o zaginionej kasetce Charles zaczął się martwić, że przepadła na dobre. Niespodziewanie zadzwonił inspektor z wiadomością o odnalezieniu rodzinnej pamiętki.

- Znakomicie - ucieszył się Charles. - Czy mógłby pan dostarczyć ją na Eaton Square?

- To nie takie proste.

- Jak to?

- Wolabym nie rozmawiać o tym przez telefon. Czy mogę odwiedzić pana w domu?

- Ależ proszę bardzo - odparł zdziwiony Charles.

Czekał niecierpliwie na inspektora, który zjawił się po dziesięciu minutach. Pierwsze pytanie zaskoczyło Charlesa.

- Czy jesteśmy sami?
- Tak - odparł Charles. - Żona pojechała z synem do teściowej. A więc znalazł pan kasetkę - przypomniał, nie mogąc się doczekać wyjaśnień.

- Tak, panie ministrze.
- Dobra robota, inspektorze. Osobiście porozmawiam z komisarzem stołecznej policji - dodał prowadząc inspektora do salonu.
- Niestety, jest pewna trudność.
- Jak to? Przecież odnaleźliście kasetkę.
- Podejrzewamy, że jej zniknięcie nie nosi znamion naruszenia prawa.

- Co chce pan przez to powiedzieć, inspektorze?
- Antykwariuszowi na Grafton Street zaproponowano kupno kasetki za dwa i pół tysiąca funtów.

- Kto ją chciał sprzedać? - zapytał niecierpliwie Charles.
- W tym rzecz. Czek był wystawiony na Amandę Seymour, a podany rysopis zgadza się z wyglądem pańskiej żony - powiedział inspektor. Charles zaniemówił. - Antykwariusz ma kwit na dowód dokonania^ zakupu. - Inspektor pokazał kopię kwitu. Charles nie mógł opanować drżenia rąk rozpoznawszy podpis Amandy. -Ponieważ sprawa została zgłoszona prokuratorowi, uznałem za swoją powinność zamienić z panem parę słów na osobności. Nie zechce pan, jak sądzę, wnieść oskarżenia.

- Tak, nie, oczywiście, dziękuję za uprzejmość, inspektorze - odpowiedział Charles.

- Proszę bardzo, panie ministrze. Antykwariusz postawił sprawę jasno: chętnie zwróci kasetkę po otrzymaniu kwoty, którą za nią zapłacił. Myślę, że to najrozsądniejsze rozwiązanie.

Charles nie wyraził swojego zdania, tylko jeszcze raz podziękował inspektorowi i odprowadził go do drzwi.

Wszedł do gabinetu, zadzwonił do Amandy i kazał jej natychmiast wracać. Chciała zaprotestować, ale odłożył słuchawkę.

Amanda z dzieckiem i nianią przyjechała na Eaton Square późnym wieczorem. Charles czekał na nich i odesłał nianię z Harrym na górę.

W ciągu kilku minut dowiedział się, że ze zdobytych podstępnie pieniędzy zostało zaledwie kilkaset funtów. Kiedy Amanda wybuchnęła płaczem, wymierzył jej taki siarczysty policzek, że upadła.

- Jeżeli jeszcze coś wyniesiesz z tego domu - zapowiedział - będziesz musiała sama się stąd wynieść, a ja postaram się, żebyś trafiła do więzienia i to na długo.

Amanda wybiegła z pokoju szlochając rozpaczliwie.

Na drugi dzień Charles zamieścił w prasie ogłoszenie, że zatrudni guwernantkę. Przeniósł swoją sypialnię na górę, żeby być bliżej syna. Amanda nie protestowała.

Kiedy guwernantka wprowadziła się na stałe, Amanda szybko znudziła się dzieckiem i zaczęła znikać z domu. Charles najczęściej nie wiedział, gdzie się podziewa, i nie dbał o to.

Podczas wizyty u Dalglishów Pimkin odmalował rozwój wydarzeń w tak żywych kolorach, że Fiona wyznała mężowi:

- Nie przypuszczałam, że będzie mi kiedyś żal Charlesa.

W pewien senny czwartek, w kwietniu 1982 roku, Argentyna zajęła dwie małe wysepki zamieszkałe przez tysiąc ośmiuset brytyjskich obywateli, którzy musieli zdjąć swoją flagę po raz pierwszy od przeszło stu lat. W piątek niewielu posłów pojechało do domu. Izba zebrała się na nadzwyczajnym posiedzeniu w sobotę rano, a cały naród wsłuchiwał się z zapatym tchem w radiowe komunikaty.

Tego samego dnia pani Thatcher wysłała na drugą półkulę wojsko z zadaniem odzyskania wysp. Jej współobywatele w takim napięciu czekali na wiadomości, że w szczycie sezonu opustoszały widownie londyńskich teatrów.

Z miłym poczuciem udziału w historycznych wydarzeniach Simon rzucił się w wir pracy w resorcie obrony, a Elizabeth pogodziła się, że mąż wychodzi z domu, zanim ona wstanie, a wraca, kiedy już zaśnie.

Charles pracował w mniej eksponowanym Ministerstwie Finansów, ale niemal w takim samym napięciu. Dzień w dzień przesiadywał w Izbie i na każde zawołanie przedstawiał racje rządu. Podobnie jak Simon wpadał do domu na bardzo krótko, ale jego żona wylegiwała się w łóżku do południa. Ilekroć udało mu się wymknąć z ministerstwa, każdą wolną chwilę spędzał z Harrym, śledząc z troską i zachwytem jego rozwój.

Gdy flaga brytyjska załopotała znów nad Falklandami, weszła w życie ustawa budżetowa.

Rozdział dwudziesty ósmy

Premier odchodzi w listopadzie. Czy Maggie zaczeka do czerwca? Te dwa tytuły Andrew przeczytał w dniu rozpoczęcia nowej sesji parlamentu.

Każdego posła dysponującego mandatem z niepewnego okręgu ogarnia niepokój, gdy pięcioletnia kadencja zbliża się do końca. Wszyscy socjaldemokraci uważali swoje mandaty za niepewne i Andrew nie był pod tym względem wyjątkiem.

Ciężko pracował, żeby dostać się do grupy tworzonej przez lidera socjaldemokratów w Izbie. Kiedy Roy Jenkins ogłosił skład swojego gabinetu cieni, Andrew zajął w nim miejsce rzecznika do spraw obrony i z przyjemnością ścierał się z dwiema głównymi partiami w przedwyborczych potyczkach na forum Izby. Po zakończeniu kryzysu falklandzkiego Andrew coraz częściej bywał w Edynburgu, gdzie, jak się spodziewał, czekały go cięższe boje niż w Westminsterze. Kiedy zadzwonił Hamish Ramsey z zapytaniem, czy może mu w czymś pomóc, Andrew odpowiedział po prostu:

- Pokieruj moją kampanią wyborczą.

Ramsey zgodził się bez wahania i po dwóch tygodniach przyłączyło się do niego czterech członków komitetu Partii Pracy. Poparcie dla Andrew najzupełniej niespodziewanie deklarowały różne osoby, chociażby Jock McPherson, który zapewnił, że szkoccy nacjonalisci nie będą ubiegać się o mandat w Edinburgh Carlton, gdyż nie chcą widzieć w parlamencie Franka Boyle'a. Sir Duncan Fraser nie odkrywał kart tak długo, aż konserwatyści ogłosili, że pod ich sztandarem wystąpi Jamie Lomax.

- Lomax, Lomax - powtórzył Andrew. - Chodziliśmy razem do szkoły. Koledzy przezywali go Debilo-max. Wybraliście idiotę, jakich mało.

- Wyrażasz się niepocholebnie o zdolnym człowieku - powiedział sir Duncan z trudem zachowując powagę. - Długo musiałem przekonywać komisję, żeby wybrała Lomaxa.

- Jak ci się to udało?

- Przyznaję, nie było to proste. Mieliśmy paru odpowiednich chętnych, ale ja starałem się podważyć dobrą opinię o każdym z nich i podkreślałem, że tylko Lomax ma czyste konto - wyjaśnił sir Duncan puszczając oko do syna.

- A najczystsze konto mają ci, którzy nie próbowali swoich sił w polityce - dodał Andrew i się roześmiał.

- Owszem, nie uszło to uwagi paru członków komisji. Ale musisz przyznać, że Lomax świetnie się prezentuje.

- Co to ma do rzeczy? - zapytał Andrew. - Przecież wybory to nie pokaz mody.

- Wiem, ale pomogło mi przekonać kilka pań z doradczej komisji kobiet.

- Szelma z ciebie, ojczy.

- Wcale nie. W całej Szkocji nie ma ani jednego konserwatysty, który wolałby Franka Boyle'a od ciebie, a ponieważ my nie mamy szans na mandat, to dlaczego mielibyśmy dać mu wygrać?

Louise i Clarissa spędziły święta Bożego Narodzenia w Edynburgu. Sir Duncan powiedział Louise, że jeśli Andrew przegra w wyborach, to może będzie musiał na zawsze pożegnać się z Izłą Gmin.

W roku 1983 Margaret Thatcher prowadziła nieustępliwą politykę monetarizmu i zmniejszyła inflację do poziomu poniżej czterech procent. W tym czasie w niektórych rejonach Szkocji wskaźnik bezrobocia wzrósł do piętnastu procent. Pani Thatcher zdużyła opozycję ze strony „mięczaków” i przed upływem pierwszej kadencji całkowicie ich sobie podporządkowała. Natomiast opanowanie kryzysu falklandzkiego zapewniło jej na przeszło rok pierwsze miejsce na liście najpopularniejszych polityków. Przez cały kwiecień w prasie spekulowano, kiedy odbędą się wybory powszechne. Po zwycięstwie konserwatystów w wyborach lokalnych, piątego maja, pani premier poprosiła o audiencję u królowej. Wkrótce potem Margaret Thatcher oznamiła narodowi, że potrzebuje jeszcze pięciu lat, by dowieść skuteczności swojej polityki. Dzień wyborów wyznaczono na 9 czerwca.

Kiedy kampania przedwyborcza zaczęła się rozkręcać, Stuart Grey przeprowadził dla „Scotsmana” wywiad z trzema kandydatami i poinformował Andrew, że zamierza go wspierać.

- Nie możesz - zaprotestował Andrew. - Musisz zachować neu-

tralność i wszystkim trzem kandydatom poświęcić jednakową ilość miejsca na łamach swojej gazety.

- Owszem - przyznał Stuart. - Wiemy jednak, że Frank Boyle jest inteligentny, mając urodę skazańca, Jamie Lomax zaś wygląda jak gwiazdor filmowy, ale co otworzy usta, to palnie jakieś głupstwo.

- Więc? - spytał Andrew.

- Więc będę zamieszczał w dziale politycznym najmniej korzystne zdjęcia Boyle'a i dokładnie przytaczał wypowiedzi Lomaxa. Obaj dostaną tyle samo miejsca na łamach, ale głosów im ubędzie.

- Zorientują się i złożą skargę naczelnemu.

- Wątpię. Nie słyszałem o polityku narzekającym, że prasa zamieściła jego zdjęcie, albo wyrażającym złość, że ktoś rozpowszechnia jego szalone poglądy, z którymi przedtem nie mógł się przebić do szerokiej publiczności.

- A jakie masz zamiary w stosunku do mojej osoby?

- W tym sęk- odparł Stuart ze śmiechem. - Może zostawię puste łamy. Wtedy na pewno nie stracisz głosów.

Odwiedzając wyborców w ich domach Andrew przekonał się, że niektórzy nadal go popierają, natomiast inni oskarżają o brak lojalności wobec Partii Pracy. Wyniki kampanii zaznaczano kolorami na wielkich stołach, w nowej siedzibie partii i wkrótce już na pierwszy rzut oka widać było, że zanoszą się na wyjątkowo ciężką przeprawę.

W minionych latach Andrew doświadczył szeregu brzydkich zagrywek wyborczych, zwłaszcza w rywalizacji ze szkockimi nacjonalistami, ale teraz, po kilku dniach kampanii, z rozrzewnieniem wspominał Jocka McPhersona, który w porównaniu z Boylem wydawał się łagodny jak baranek. Andrew zniósł pomówienia o usunięcie z Partii Pracy za lenistwo, a nawet o zdradę partyjnych druhów pod wpływem zawodu z nieuzyskania stanowiska ministra. Kiedy jednak do jego uszu doszła pogłoska, szerzona przez obóz Boyle'a, jakoby Louise straciła głos po urodzeniu czarnoskórego dziecka, wówczas wpadł w furję.

Gdyby Boyle napatoczył się Andrew tego dnia, po prostu dostałby w zęby. Sir Duncan doradzał powściągliwość argumentując, że podjęcie jakichkolwiek działań mogłoby zaszkodzić Louise i Clarisie. Andrew westchnął i nic nie odpowiedział.

Tydzień przed wyborami z rankingu popularności w „Scotsma-

nie" wynikało, że Boyle ma za sobą trzydzieści pięć procent elektoratu, wyprzedzając Andrew dysponującego poparciem trzydziestu dwóch procent. Konserwatyści mogli liczyć na dziewiętnaście procent, czternaście procent wyborców zaś było niezdecydowanych. Jock McPherson dotrzymał słowa: szkoccy nacjonaści nie wystawili kandydata.

W piątek przed wyborami McPherson zrobił coś więcej: zwrócił się do swoich zwolenników namawiając ich, by poparli Andrew Frasera.

Kiedy Andrew zadzwonił z podziękowaniami, McPherson powiedział:

- Odwdzięczam się za przysługę.
- Nie pamiętam, abym oddał panu jakąkolwiek przysługę.
- Ależ przysłużył mi się pan jako poseł z Edynburga. Jedno słówko dla prasy, że zaproponowałem panu przywództwo szkockich nacjonalistów, a wrzuciliby mnie do najgłębszej studni.

Na pięć dni przed wyborami zwolennicy Sojuszu z dwóch okręgów w Edynburgu, gdzie socjaldemokraci nie wystawili kandydata, przybyli tłumnie na pomoc Andrew. Uwierzył już on w możliwość zwycięstwa - wskazywały na to najnowsze wyniki sondaży. Na dwa dni przed wyborami „Scotsman” ogłosił przewagę Boyle'a w stosunku trzydzieści dziewięć do trzydziestu ośmiu procent dodając, że Partia Pracy dysponuje lepiej naoliwioną machiną wyborczą.

W przeddzień wyborów Andrew wydał oświadczenie, w którym sprecyzował, czym różnią się jego poglądy od poglądów przeciwnika z Partii Pracy, oraz przedstawił, jak Sojusz będzie kształtował przyszłość Wielkiej Brytanii, jeżeli po zdobyciu odpowiedniej liczby mandatów będzie miał na nią wpływ. Przypomniął wyborcom, że według sondaży opinii w całym kraju socjaldemokraci idą łeb w łeb z laburzystami.

Frank Boyle również ogłosił przedwyborcze przesłanie, które dostarczono do wszystkich domów w okręgu. Pod nagłówkiem *Czy twój poseł mówi ci całą prawdę?* widać było Andrew trzymającego w objęciach Clarissę. Trudno było wyobrazić sobie bardziej oczywistą i obraźliwą aluzję, choć w tekście nie wspomniano ani o Louise, ani o Clarissie. Andrew zobaczył plakat rano, w dniu wyborów, kiedy było już za późno, żeby skutecznie odeprzeć pomówienie Boyle'a. Dochodzenie sprawiedliwości drogą sądową ciągnęłoby

się tygodniami i nic by nie dało. Mógł tylko albo wygrać, albo przegrać te wybory.

Razem z Louise zabiegał więc o wygraną od siódmej rano do dziesiątej wieczorem. Chętni do pomocy zjawiali się zewsząd nieoczekiwanie, jakby na przekór przewidywaniom „Scotsmana” o machinach partyjnych. Andrew widział natomiast wszędzie pełno czerwonych rozetek laburzystów.

Pod wieczór nawet sir Duncan zaczął wozić rolls-royce'em wyborców, którzy chcieli oddać głos na socjaldemokratów.

- Pogodziliśmy się z faktem, że nasz kandydat nie wygra, więc przyjechałem pomagać tobie - wyjaśnił krótko synowi.

Zegar na ratuszu wybił dziesiątą i Andrew usiadł na schodkach przed ostatnim punktem wyborczym. Teraz już nic nie mógł zrobić. A zrobił wszystko, co było w jego mocy - omijając członków Izby Lordów i szaleńców, gdyż obie kategorie osób nie miały prawa głosu.

Z lokalu wyszła uśmiechnięta staruszka.

- Dobry wieczór, pani Bloxham - powiedział Andrew. - Jak się pani miewa?

- Dziękuję, dobrze. Omal nie zapomniałam o głosowaniu, a byłoby to niewybaczalne.

Zmęczony Andrew uniósł głowę.

- Nie martw się, chłopcze - ciągnęła. - Od pięćdziesięciu dwu lat, czyli dłużej niż ty jesteś na świecie, głosuję na zwycięzcę i nigdy się nie pomyliłam. - Roześmiała się i poszła w swoją stronę.

Andrew resztką sił dźwignął się ze schodów i ciemnymi brukowanymi uliczkami dotarł do sztabu wyborczego. Powitały go okrzyki na jego cześć, a przewodniczący zaproponował kieliszek whisky.

- Do diabła z kieliszeczkim - rzekł Andrew. - Lej i nie żałuj.

Podchodził po kolei do wszystkich i dziękował, aż Hamish Ramsey przypomniał, że pora iść do ratusza. Fraserów odprowadziła tam grupka najwytrwalszych zwolenników. Pierwszą osobą, którą Andrew zobaczył wchodząc do ratusza, był uśmiechnięty Boyle. Nie stropił się tym wcale, tylko popatrzył na wysypywane z urn kartki do głosowania. Boyle musiał się jeszcze nauczyć, że najpierw przeliczano zawartość urn z punktów wyborczych, położonych w centrum, gdzie mieszkali najzagorzalsi socjaliści.

Obaj kandydaci chodzili wokół stołów, na których przeliczano głosy i układano po dziesięć, po sto, a potem po tysiąc i następnie przekazywano szeryfowi. Boyle początkowo uśmiechał się od ucha do ucha, po jakimś czasie spoważniał, a w końcu zaniepokoił się widząc, że różnice między stosami maleją.

Opróżnianie urn trwało ponad trzy godziny. Skrutatorzy sprawdzali białe karteczki i przekazywali wyniki obliczeń. Dwadzieścia dwie po pierwszej w nocy szeryf podsumował dostarczone liczby i poprosił trzech kandydatów, by podeszli bliżej.

Podał im wynik.

Frank Boyle uśmiechnął się. Andrew niczego po sobie nie okazał, poprosił tylko o powtórne obliczenie głosów.

Przez ponad godzinę krążył nerwowo po sali, a skrutatorzy sprawdzali po dwa razy każdy stos kart - tu jakaś zmiana, tam błąd, odnalazł się zgubiony głos, a zdarzyło się nawet, że na dziewięćdziesięciu dziewięciu jednakowych kartach leżała setna z innym nazwiskiem. Wreszcie skrutatorzy przekazali wyniki obliczeń szeryfowi, który podsumował kolumny liczb i poprosił do siebie kandydatów.

Tym razem uśmiechnął się Andrew, a zaskoczony Boyle zażądał ponownego przeliczenia głosów. Szeryf przystał na to, ale zastrzegł, że to po raz ostatni. Dwaj kandydaci skinęli głowami. Ich rywal, konserwatysta, spał w kącie z błogą świadomością, że żadne liczenie mu nie pomoże.

Od nowa sprawdzono i przeliczono karty i na 42 588 oddanych głosów doszukano się pięciu błędów. Dwadzieścia po trzeciej, gdy liczący i kontrolerzy zasypiali przy stołach, szeryf wezwał do siebie dwóch kandydatów. Podał im zdumiewający wynik i poinformował, że kolejne liczenie odbędzie się rano, kiedy jego ludzie trochę się prześpią.

Karty do głosowania zamknięto i oddano na przechowanie policji. Kandydaci powlekli się do łóżek.

Resztkę nocy Andrew przespał niespokojnie. O ósmej rano Louise, błada z wyczerpania lecz uśmiechnięta, przyniosła mu filiżankę herbaty. Andrew wziął zimny prysznic, ogolił się bez pośpiechu i stanął w ratuszu na kilka minut przed rozpoczęciem liczenia. Na schodkach przed wejściem powitały go kamery telewizyjne i dziennikarze, którzy się dowiedzieli o przedłużającym się liczeniu głosów i nie mogli przegapić ostatniego aktu dramatu.

Skrutatorzy czekali cierpliwie gotowi do podjęcia pracy. Szeryf spojrział na zegarek i skinął głową. Otwarto urny i postawiono po raz czwarty przed liczącymi. Zaczęły rosnać kupki kart - po dieście, po sto, po tysiąc. Andrew chodził wokół stołów, nie po to, aby kontrolować, ale aby rozładować napięcie. Miał trzydziestu świadków zgłoszonych jako rachmistrzowie, którzy pilnowali, by nie przegrał przez umyślną bądź nieumyślną omyłkę.

Po skończonym przeliczaniu skrutatorzy usiedli przed stosami kartek czekając, aż zostaną one zniesione szeryfowi. Szeryf po raz ostatni dodał kolumny liczb i stwierdził, że podział głosów pozostał bez zmian.

Wyjaśnił Andrew i Frankowi Boyle'owi, co w związku z tym zamierza uczynić. Powiedział, że o dziewiątej rano odbył rozmowę z lordem Wylie'm, prokuratorem generalnym Szkocji, który odczytał mu odpowiedni ustęp w prawie wyborczym określający tryb postępowania w podobnych przypadkach. Obaj kandydaci uzgodnili, która z dwóch możliwości bardziej im odpowiada.

Szeryf wszedł na podium, a za nim podenerwowani Andrew Fraser i Frank Boyle.

Wszyscy wstali, żeby lepiej widzieć. Szeryf odczekał, aż ucichnie szuranie krzeseł, pokastywania i niespokojny gwar. Postukał w stojący mikrofon, żeby sprawdzić, czy działa. Zgrzytnięcie słychać było w całej sali. Zadowolony z tego przemówił:

- Ja, przewodniczący komisji wyborczej w okręgu Edinburgh Carlton, niniejszym oświadczam, że kandydaci otrzymali następującą liczbę głosów:

FRANK BOYLE	18 437
JAMIE LOMAX	5 715
ANDREW FRASER	18 437

Zwolennicy dwóch głównych kandydatów podnieśli wrzawę. Dopiero po kilku minutach udało się szeryfowi przekrzyczeć warkotliwą szkocką mowę.

- Zgodnie z rozdziałem szesnastym ustawy o narodowym przed stawicielstwie z roku 1949 oraz zasadą pięćdziesiątą parlamentar nego regulaminu wyborczego w drugim załączniku do powyższej ustawy, jestem zobowiązany rozstrzygnąć przez losowanie, który

kandydat zwycięży. W rozmowie z prokuratorem generalnym Szkocji uzyskałem potwierdzenie, że można w tym celu posłużyć się dwoma sposobami: ciągnięciem zapalek lub rzutem monetą. Kandydaci wybrali rzut monetą.

Wybuchnęła piekielna wrzawa. Andrew i Boyle znieruchomieli po obu stronach szeryfa w oczekiwaniu na wyrok losu.

- Z Królewskiego Banku Szkockiego wypożyczyłem złotego suwerena - ciągnął szeryf z poczuciem, że po raz pierwszy i zapewne ostatni w życiu przemawia do dwudziestomilionowej telewizyjnej widowni. - Na awersie widnieje podobizna króla Jerzego Trzeciego, na rewersie Brytania. Poproszę naszego obecnego posła, pana Fräsera, aby powiedział, co wybiera.

Boyle nie zaoponował. Obaj kandydaci obejrzeni dokładnie monetę, po czym szeryf położył ją na kciuku i zwrócił się do Andrew:

- Panie Fräser, dokona pan wyboru, gdy moneta znajdzie się w powietrzu.

Zapadła cisza, jakby w sali było tylko ich trzech. Andrew czuł, jak wali mu serce. Szeryf podrzucił monetę, która zawirowała wysoko nad jego głową.

- Rewers - powiedział wyraźnie Andrew, gdy złoty krążek osiągnął najwyższy punkt lotu.

Suweren spadł na podłogę, odbił się i poturlał prosto pod nogi szeryfa. Andrew spojrział na wizerunek damy i głośno westchnął. Szeryf odchrząknął.

- Po rozstrzygnięciu wyboru w drodze losowania kandydatów - powiedział - uroczyście ogłaszam, że pan Andrew Fräser z woli wyborców został posłem do parlamentu z okręgu Edinburgh Carlton.

Zwolennicy Andrew wbiegli na scenę, porwali go na ramiona i wynieśli z ratusza na ulice Edynburga. Andrew szukał wzrokiem Louise i Clarissy, ale zginęły mu w tłumie.

Królewski Bank Szkocki ofiarował posłowi złotego suwerena, a dziennikarz „Scotsmana” zadzwonił z zapytaniem, czy Andrew wybrał rewers dla jakiegoś szczególnego powodu.

- Naturalnie - odparł Andrew. - Za sprawą Jerzego Trzeciego straciliśmy Amerykę. Nie chciałem przez niego stracić Edynburga.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Raymond jeszcze raz przeczytał nagłówek w „Daily Mail”: *O rzut monetą* i się uśmiechnął.

Martwiło go, że Andrew poczuł się zmuszony opuścić szeregi Partii Pracy, a jednocześnie cieszyło, że kolega przedłużył mandat poselski. Na szczęście w jego okręgu nie było nikogo w rodzaju Boyle'a. Zastanawiał się czasem, czy nie dlatego, że Joyce cały czas trzymała rękę na pulsie.

Drugie zwycięstwo Margaret Thatcher było dla Raymonda przykrym ciosem, choć nie mógł udawać zaskoczenia. Zdobyta przez nią absolutna większość, 144 mandaty, przerosła wszelkie oczekiwania. Socjaldemokraci natomiast uzyskali zaledwie sześć mandatów, mimo że Sojusz zebrał tylko o dwa procent głosów mniej niż Partia Pracy. Raymond realistycznie przewidywał, że nic nie przeszkodzi torysom rządzić przez kolejne pięć lat.

Podjął więc od nowa praktykę adwokacką i zagrzebał się w aktach, (idy lord kanclerz, lord Hailsham, zaproponował mu stanowisko sędziego w Wysokim Trybunale wraz z fotelem w Izbie Lordów, Raymond poważnie się nad tym zastanawiał, aż wreszcie zwrócił się po radę do Joyce.

- Po tygodniu zanudziłbyś się na śmierć - powiedziała.
- Już jestem śmiertelnie znudzony.
- Przyjdzie kolej i na ciebie.
- Joyce, dobijam pięćdziesiątki, a mogę się wykazać jedynie stanowiskiem przewodniczącego specjalnej komisji do spraw handlu i przemysłu. Jeżeli następnym razem moja partia nie wygra, to pewnie nigdzie wyżej nie zajdę. Pamiętaj, że kiedy poprzednio przegraliśmy takim stosunkiem głosów, siedzieliśmy w opozycji trzynaście lat.
- Po odejściu Michaela Foota partia się odnowi i jestem pewna, że dostaniesz ważne stanowisko w gabinecie cieni.
- To zależy, kto zostanie liderem. A zresztą nie widzę dużej różnicy między Neilem Kinnockiem, przy którym nikt nie ma szans, i Michaeliem Footem. Tyle tylko, że Kinnock jest o dziesięć lat młodszy ode mnie.
- To może staniesz do rywalizacji?
- Dla mnie na to za wcześnie.

- Może chociaż zaczekasz, aż dowiemy się, kto zostanie przywódcą partii - zaproponowała Joyce. - W każdej chwili możesz zostać sędzią; oni wykruszają się równie szybko jak ministrowie w gabinecie.

Raymond poszedł za radą Joyce i w poniedziałek zawiadomił lorda Hailshama, że w najbliższym czasie nie będzie zainteresowany stanowiskiem sędziego. Zaczął natomiast pilnie śledzić poczynania Cecila Parkinsona, nowego sekretarza stanu do spraw handlu i przemysłu.

Kilka dni później Michael Foot oznajmił, że nie będzie kandydował na przywódcę partii. Kiedy powiadomił o tym szefa gabinetu cieni, kilku jego członków ożywiło się na myśl o październikowych zmaganiach na dorocznym zjeździe w Brighton. Faworytami byli Neil Kinnock i Roy Hattersley. W ciągu przedzjazdowych tygodni kilkunastu związkowców i posłów zwracało się do Raymonda z prośbą, by stanął w szranki rywalizacji. On jednak wciąż odpowiadał „następnym razem”.

Głosowanie na nowego przywódcę odbyło się w niedzielę przed otwarciem zjazdu. Zgodnie z przewidywaniami Raymonda zwyciężył bez trudu Kinnock, a depczący mu po piętach Hattersley został wybrany zastępcą.

Po zjeździe Raymond wrócił na weekend do Leeds, nadal przekonany, że choć nie popierał zwycięzcy, otrzyma ważne stanowisko w gabinecie cieni. Przed południem miał dyżur poselski, a potem kręcił się po domu, czekając na telefon od nowego szefa partii. Nie obejrzał nawet meczu z Chelsea. Nie lubił grać w drugiej lidze.

Wreszcie późnym wieczorem zadzwonił Neil Kinnock. Raymond był tak niemile zaskoczony jego propozycją, że bez wahania ją odrzucił. Rozmowa była krótka.

Gdy Joyce weszła do pokoju, Raymond siadł ciężko w ulubionym fotelu.

- I co ci zaproponował? - zapytała stając przed nim.
- Transport. To tak jakby mnie zdegradował.
- Co odpowiedziałeś?
- Oczywiście odrzuciłem.
- Komu przydzielił najważniejsze teki?
- Nie pytałem, a on sam nie powiedział. Dowiemy się pewnie z porannej prasy. Właściwie już mnie to nie interesuje - mówił

wbijając wzrok w podłogę. - Zasiądę na ławie sędziowskiej, na pierwszym miejscu, jakie się zwolni. Zbyt wiele lat zmarnowałem.

- Ja też - powiedziała cicho Joyce.

- Jak to? - zapytał Raymond dopiero teraz spoglądając na nią.

- Jeżeli ty chcesz ze wszystkim zerwać, to chyba pora, żebym i ja zrobiła to samo.

- Nie rozumiem.

- Od dawna nie jesteśmy sobie bliscy, Ray - powiedziała Joyce patrząc mu prosto w oczy. - Jeżeli chcesz się pożegnać z okręgiem wyborczym i mieszkać prawie cały czas w Londynie, to chyba powinniśmy się rozstać. - Odwróciła się.

- Masz kogoś? - spytał Raymond łamiącym się głosem.

- Właściwie nie.

- Ale jest ktoś inny?

- Jest ktoś, kto chce się ze mną ożenić, jeżeli o to pytasz. Chodziliśmy razem do szkoły w Bradford. Jest księgowym i kawalerem.

- Kochasz go?

Joyce zastanowiła się chwilę.

- Prawdę mówiąc, nie. Ale przyjaźnimy się. Jest bardzo dobry, wyrozumiały, po prostu jest.

Raymond siedział odrętwiały.

- Gdybyśmy się rozstali, mógłbyś poprosić Kate Garthwaite, żeby rzuciła pracę w Nowym Jorku i wróciła do Londynu.

Raymond jęknął.

- Zastanów się i powiedz, co postanowiłeś.

Wyszła szybko z pokoju, żeby ukryć łzy.

Raymond został sam. Zamyślił się nad latami przeżyтыми z Joyce - i z Kate - i po chwili wiedział już, co chce zrobić.

Złapał ostatni wieczorny pociąg do Londynu, gdyż nazajutrz o dziesiątej miał stawić się w sądzie, żeby wysłuchać podsumowania sędziego. Przenocował u siebie w mieszkaniu, ale ciągle się budził i rozmyślał nad przyszłością. Rano, przed pójściem do sądu, wysłał tuzin czerwonych róż przez Interflorę. Potem zadzwonił do prokuratora generalnego. Uznał, że jeśli ma odmienić życie, to musi je odmienić pod każdym względem.

Po podsumowaniu sprawy i wydaniu wyroku przez sędziego Raymond sprawdził rozkład lotów - jak szybko można dotrzeć do

celu podróży. Zamówił bilet lotniczy i pojechał taksówką na Heathrow. Siedząc w samolocie modlił się, żeby nie było za późno. Lot dłużył się w nieskończoność. Na lotnisku Raymond znów wziął taksówkę.

- Co ty tu robisz w poniedziałek po południu - zdziwiła się, kiedy otworzyła drzwi.

- Przyjechałem, żeby podbić ci serce - rzekł Raymond. - O Boże, jak to banalnie zabrzmiało.

- To najmiłsze słowa, jakie powiedziałeś do mnie od lat. Trzymając Joyce w ramionach Raymond dostrzegł róże rozjaśniające salon.

- Chodźmy gdzieś na małą kolację - zaproponował.

Przy kolacji powiedział Joyce, że przyjmie propozycję prokuratora generalnego i przywdzieje togę sędziowską, o ile Joyce zgodzi się zamieszkać z nim w Londynie. Po drugiej butelce szampana, przed którą Joyce trochę się wzbraniała, wrócili do domu.

Stojąc przed domem usłyszeli dzwonek telefonu, choć było już po pierwszej w nocy. Raymond otworzył drzwi i potykając się podszedł do telefonu, a Joyce po omacku szukała kontaktu.

- Ray, od kilku godzin próbuję cię złapać - odezwał się głos ze śpiewnym walijskim akcentem.

- Naprawdę? - odparł Raymond z lekką chrypką. Oczy same mu się zamykały.

- Mówisz tak, jakbyś wrócił z niezłej zabawy.

- Świętowaliśmy razem z żoną.

- Świętowaliście nie znając powodu?

- Jakiego powodu? - zapytał Raymond osuwając się na fotel.

- Przez cały dzień tasowałem teki i bardzo bym się cieszył, gdybyś zechciał wejść do gabinetu cieni jako...

Raymond od razu wytrzeźwiał i uważnie wysłuchał szefa partii.

- Możesz chwilę zaczekać? - spytał.

- Oczywiście - odparł zdziwiony głos w słuchawce.

- Joyce - powiedział Raymond do żony, która wyszła właśnie z kuchni niosąc dwa kubki z mocną kawą. - Zgodzisz się zamieszkać ze mną w Londynie, jeżeli nie zostanę sędzią?

Joyce uśmiechnęła się promiennie, bo Raymond pytał przecież o jej zgodę. Pokiwała głową.

- Z radością przyjmuję propozycję - powiedział.

- Dziękuję, Raymondzie. Może spotkalibyśmy się jutro w moim pokoju w parlamencie. Omówimy politykę działania na twoim nowym stanowisku.

- Oczywiście. Do zobaczenia jutro.

Raymond upuścił słuchawkę na podłogę i zasnął na siedząco.

Joyce odłożyła słuchawkę. Dopiero na drugi dzień dowiedziała się, że mąż został sekretarzem stanu do spraw opieki społecznej w gabinecie cieni.

Raymond sprzedał kawalerkę na Barbicanie i razem z Joyce wprowadził się do małego georgiańskiego domu przy Cowley Street, w pobliżu parlamentu.

Przyglądał się, jak Joyce urządza jego gabinet, a potem zabiera się za resztę domu z energią i entuzjazmem młodej mężatki. Kiedy przygotowała pokój gościnny, przyjechali na weekend jego rodzice. Raymond przywitał ojca i roześmiał się widząc w jego rękach torbę z napisem: „Gould, rzeźnik dla całej rodziny”.

- W Londynie można kupić mięso, tato - powiedział.

- Nie takie jak u nas, synu - odparł ojciec.

Zajadając wysmienity befsztyk Raymond patrzył na Joyce i matkę, gawędzące wesoło przy stole.

- Bogu dzięki, że w porę otrzeźwiałem - powiedział.

- Co mówisz? - spytała Joyce.

- Nic, nic, kochanie.

Przez większość czasu Raymond zajmował się ogólną strategią działania przyszłego rządu laburzystów, ale jak każdy polityk zwracał większą uwagę na pewne nieprawidłowości, które szczególnie leżały mu na sercu. Sprawą, o której nie zapominał od czasów dzieciństwa spędzonego z babką w Leeds, były renty dla wdów po poległych żołnierzach. Pamiętał, jakie zdumienie ogarnęło go, gdy po studiach przekonał się, że porządny obiad w londyńskiej restauracji kosztuje więcej niż wynosiła tygodniowa wdowia renta, z której babka utrzymywała się przez trzydzieści lat.

Zasiadając w tylnych ławach dopominał się o wykup obligacji wojennych i wyższe renty dla wdów po poległych żołnierzach. Listy,

jakie co tydzień otrzymywał, dowodziły niezbitości wagi problemu. Działając przez lata w opozycji, walczył uparcie o choćby niewielkie podwyżki i poprzysiągł sobie, że jeżeli zostanie sekretarzem stanu, wprowadzi bardziej radykalne zmiany.

Któregoś dnia, kiedy wrócił wieczorem z Izby Gmin, znalazł wycinek z „Evening Standard”, na którym Joyce napisała: „Ta historia może trafić na pierwsze strony gazet”.

Raymond też tak uważał i na drugi dzień starał się przekonać do swojego poglądu opornych członków gabinetu cieni, bardziej przyjętych pikietami planowanymi przez związek górników w Yorkshire niż sprawą pani Dory Benson.

Po zbadaniu sprawy Raymond stwierdził, że jest podobna do wielu innych, z którymi zapoznał się w ciągu minionych lat. Wyróżniał ją epizod z Krzyżem Wiktorii. Pani Dora Benson była jedną z nielicznych żyjących wdów z okresu pierwszej wojny światowej, a jej mąż, szeregowy Albert Benson, zginął nad Sommą, prowadząc atak na niemieckie okopy. Ponieważ spowodował śmierć dziewięciu Niemców, zanim padł na polu walki, odznaczono go Krzyżem Wiktorii. Wdowa przez pięćdziesiąt lat pracowała jako sprzątaczką w gospodzie. Cały jej majątek stanowiły obligacje wojenne bez terminu wykupu, sprzedawane po dwadzieścia pięć funtów sztuka. Przypadek pani Benson przeszedłby bez echa, gdyby zdesperowana wdowa nie wystawiła na licytację u Sotheby'ego odznaczenia po mężu.

Uzbrojony w takie argumenty Raymond zgłosił interpelację do odpowiedniego ministra. Zadał pytanie, czy zamierza wreszcie dotrzymać dawnych rządowych zobowiązań. Tłumnie zgromadzeni posłowie wysłuchali odpowiedzi Simona Kerslake'a, ministra stanu do spraw obrony, który stwierdził, że resort ponownie rozważa tę kwestię i wyniki prac zostaną niebawem podane do wiadomości. Simon usiadł na zielonej ławie przekonany, że udało mu się ułagodzić Goulda. Pytanie uzupełniające spadło na niego jak grom z jasnego nieba i rozbudziło sennych posłów.

- Czy wielce szanowny kolega wie, że ta osiemdziesięcioletnia wdowa, której mąż zginął na polu walki zdobywając Krzyż Wiktorii, ma niższe dochody niż szesnastoletni kadet pierwszego dnia służby w wojsku?

Simon wstał postanawiając położyć kres tej wymianie zdań do czasu, aż zbada szczegółowo przytoczony przypadek.

- Nie miałem sposobności zapoznać się z tym faktem, panie marszałku, ale zapewniam wielce szanownego kolegę, że wezmę pod rozwagę wszystko, co powiedział.

Simon był pewien, że marszałek przejdzie do następnej interpelacji. Ale Raymond znów podniósł się ze swojego miejsca, dopingowany gorąco przez lawy opozycji.

- Czy wielce szanowny kolega wie, że admirał, który ma rewa loryzowane pobory, może liczyć po zakończeniu kariery na tygodniową emeryturę w wysokości przeszło pięciuset funtów, podczas gdy pani Dora Benson otrzymuje co tydzień stałą kwotę w wysokości czterdziestu siedmiu funtów i trzydziestu dwóch pensów?

Szmer niedowierzania podniósł się nawet po stronie konserwatystów. Raymond usiadł.

Wstając Simon miał przykrą świadomość, że nie jest przygotowany na atak Goulda i musi go jakoś zdusić.

- Nie znałem tego zestawienia, ale ponownie zapewniam wielce szanownego kolegę, że bezzwłocznie zajmę się sprawą.

Prerażony Simon zobaczył, że Raymond wstaje po raz trzeci. Laburzyści po drugiej stronie Izby z nieskrywaną przyjemnością oglądali rzadki widok - ministra zapędzonego w kozi róg.

- Czy wielce szanowny kolega wie, że renta roczna za Krzyż Wiktorii wynosi sto funtów bez żadnych dodatków? Płacimy więcej piłkarzom czwartej ligi, a panią Benson spychamy do grupy o najniższych dochodach.

Simon wstał po raz czwarty z udręczoną miną i sprowokowany powiedział coś, czego natychmiast pożałował.

- Przyjmuję do wiadomości uwagi wielce szanownego kolegi - powiedział i ciągnął nieco za szybko. - Intryguje mnie niespodziewane zainteresowanie kolegi panią Benson. Może to zbyt cyniczne, ale czy przyczyną owego zainteresowania jest nagłośnienie przy padku pani Benson przez prasę?

Raymond nie próbował nawet odpowiedzieć, tylko siedział z założonymi rękoma i nogami na stole, podczas gdy posłowie za jego plecami wykrzykiwali obraźliwe słowa pod adresem Simona.

Nazajutrz w dziennikach ukazały się zdjęcia przygarbionej Dory Benson z wiadrem i szczotką, zestawione z podobizną przystojnego młodego szeregowca. W wielu gazetach opisano, jak Albert Benson zdobył Krzyż Wiktorii, a goniące za sensacją dzienniki nie żałowały

barwnych opowieści. Wszystkie natomiast podały informację Raymonda, że pani Benson mieści się w jednoprocentowej grupie o najniższych dochodach oraz że roczna renta za Krzyż Wiktorii wynosi zaledwie sto funtów.

Pod innym kątem napisała artykuł dociekliwa i niezwykle skrupulatna dziennikarka z „Guardiana”. Jej opracowanie wykorzystaly następne wydania wszystkich gazet. Wyliczyła ona, że zasiadając w parlamencie Raymond Gould przygotował czterdzieści siedem interpelacji w sprawie rent dla wdów po poległych żołnierzach i wypowiadał się na ten temat w trzech debatach budżetowych i pięciu debatach o opiece społecznej. Ten sam temat uczynił motywem przewodnim swojego pierwszego wystąpienia w Izbie przeszło dwadzieścia lat temu. Dziennikarka wyciągnęła również na światło dzienne, że Raymond co roku przekazywał pięćset funtów na rzecz szpitala wojskowego. Dla wszystkich posłów stało się jasne, że Simon Kerslake winien jest Gouldowi publiczne przeprosiny.

O trzeciej trzydzieści w zatłoczonej Izbie Gmin wstał marszałek i zapowiedział osobiste oświadczenie ministra stanu do spraw obrony.

Simon Kerslake podniósł się niepewnie ze swego miejsca w pierwszej ławie i zdenerwowany stanął przy pulpicie.

- Panie marszałku, Wysoka Izbo - rzekł. - Chciałbym złożyć osobiste oświadczenie. Po zadanym mi wczoraj pytaniu podałem w wątpliwość szlachetne intencje wielce szanownego posła z Leeds North. Zwrócono mi uwagę, że potraktowałem go niesprawiedliwie, nad czym szczerze ubolewam. Proszę Wysoką Izbę o wybaczenie, a wielce szanownego kolegę zapewniam, że nie zwątpię po raz trzeci w jego prawość i uczciwość.

Młodszy posłowie nie wiedzieli, do czego pije minister, ale Raymond uśmiechnął się.

Wszyscy czekali niecierpliwie, co odpowie, gdyż w parlamencie osobiste wypowiedzi tego rodzaju zdarzały się niezwykle rzadko.

Raymond powoli podszedł do pulpitu.

- Panie marszałku, przyjmuję przeprosiny wyrażone w tak miłej formie i mam nadzieję, że wielce szanowny kolega dopilnuje

sprawy znacznie ważniejszej, mianowicie zasiłków dla wdów po poległych żołnierzach, a w szczególności nie zapomni o boleśnie doświadczonej Dorze Benson.

Simon z ulgą pokiwał głową.

Wielu członków opozycji zarzuciło Raymondowi, że nie zaatakował Simona mając nad nim przewagę. Tom Carson wygrażał głośno Simonowi nawet wtedy, gdy Izba przeszła do następnego punktu porządku dziennego. Autor wstępniaka w „Timesie” wykazał jednak, że nadgorliwcy nie mieli racji, pisząc: „W czasach wojennych nastrojów i żądań lewicy ujrzeliśmy wczoraj w parlamencie, w pierwszej ławie Partii Pracy, nowego Clementa Attlee. Wielka Brytania może być spokojna o poszanowanie godności i praw człowieka, jeżeli Raymond Gould obejmie urząd piastowany niegdyś przez tamtego wielkiego polityka”.

Kiedy wieczorem Raymond wrócił z Izby do domu, czekały na niego powycinane z gazet komentarze. Joyce zdołała też uporać się przynajmniej częściowo z obfitą korespondencją.

Jak się okazało, miała lepszy instynkt polityczny od całego gabinetu cieni.

Alec Pimkin wydał przyjęcie dla kolegów torysów, którzy zasiedli w parlamencie w 1964 roku.

- Uczcijmy pierwsze dwadzieścia lat w Izbie Gmin - powiedział wznosząc toast.

Z brandy i cygarem w rękę, łysiejący, gruby Pimkin rozsiadł się i przyglądał kolegom. Wielu po drodze odpadło, a wśród pozostałych tylko dwóch z całego rocznika naprawdę się wybiło.

Uważne spojrzenie Pimkina spoczęło na starym znajomym, Charlesie Seymourze. Na jego głowie nie dostrzegł śladu siwizny. Od czasu do czasu Pimkin widywał Amandę, która znów była modelką i rzadkim gościem w Anglii. Charles, jak domyślał się Pimkin, częściej oglądał ją na okładkach magazynów niż w domu przy Eaton Square. Zdziwiający natomiast, ile czasu znajdował dla małego Harry'ego. Pimkin nigdy nie przypuszczał, że Charles zostanie czułym ojcem, choć z ambicji wcale nie zrezygnował. Miał jednego liczącego się rywala do stanowiska szefa partii.

Wzrok Pimkina powędrował w stronę człowieka, który w roku

1984 nie obawiał się Orwellovskiego Wielkiego Brata. Simon Kerslake prowadził ożywioną rozmowę o przygotowaniach do negocjacji rozbrojeniowych między Thatcher, Gorbaczowem i Reaganem. Pimkin przyjrzał się ministrowi obrony. Uważał, że gdyby on był obdarzony taką urodą, nie musiałby się martwić topniejącą przewagą głosów. Plotki o finansowych tarapatach dawno ucichły i przed Kerslakiem rysowały się wspaniałe perspektywy na przyszłość.

Przyjęcie dobiegało końca. Goście jeden po drugim podchodzili i dziękowali za „udany”, „niezapomniany”, „ciekawy” wieczór. Wreszcie wszyscy wyszli. Pimkin wysączył ostatnią kroplę z kieliszka i zgasił dopalające się cygaro. Westchnął rozmyślając, że na pewno nigdy nie awansuje na ministra, a za dwadzieścia lat zabraknie mu nawet tematu do rozmyślań. Postanowił zostać języczkiem u wagi.

Z okazji dwudziestolecia pracy w parlamencie Raymond zabrał Joyce na kolację do restauracji Guinea przy Berkeley Square. Zachwycał się ciemnoczerwoną suknią żony i zauważył nawet, że parę kobiet przy innych stolikach zatrzymało wzrok na jej kreacji.

On także podsumowywał w myślach minione lata i popijając brandy powiedział Joyce, że w następnym dwudziestoleciu chciałby więcej porządzić. Rok 1984 nie był zbyt łaskawy dla konserwatyistów, a w 1985 Raymond planował nie popuszczać obecnemu rządowi.

Kilka tygodni później Tony Benn, który stracił mandat w wyborach powszechnych, wrócił do Izby Gmin jako poseł z Chesterfield. Konserwatyści uplasowali się na dalekim trzecim miejscu i przegrali także w dwóch innych wyborach uzupełniających na początku 1985 roku. W prasie pojawiły się wzmianki o poważnych szansach Partii Pracy na utworzenie rządu.

W zimie 1985 roku bezrobocie i inflacja zwiększyły się, co spowodowało wzrost popularności Partii Pracy w sondażach opinii

publicznej. Po wprowadzeniu przez kanclerza skarbu nadzwyczajnego budżetu konserwatyści spadli nawet na pewien czas na trzecie miejsce - po raz pierwszy od pięciu lat.

Rebelie we własnych szeregach też nie pomogły pani Thatcher. Odczytała je jako sygnał, że pora zasilić gabinet świeżą krwią, i niebawem podała nazwiska polityków, którzy przed wyborami mieli sformułować program partii. Średnia wieku członków gabinetu obniżyła się o siedem lat, co prasa skwitowała wyrażeniem „nowe karty w starej grze pani Thatcher”.

Rozdział trzydziesty

Tę wiadomość Andrew usłyszał przez radio, gdy jechał do parlamentu. Poranna prasa nie zamieściła żadnych doniesień, więc musiało zdarzyć się to w nocy. Najpierw podano krótką informację, bez komentarza. Oddział terrorystów w przebraniu straży przybrzeżnej wszedł na pokład brytyjskiego niszczyciela HMS „Broadsword” i zajął go w imieniu pułkownika Kadafiego. Incydent miał miejsce w Wielkiej Syrcie między Tunisem a Benghazi. Spiker zapowiedział pełniejsze informacje w wiadomościach o dziesiątej.

O wpół do dziesiątej Andrew wszedł do swojego pokoju w parlamencie i natychmiast zadzwonił do przywódcy socjaldemokratów Davida Owena. Uzgodnili plan działania. Andrew od ręki napisał list i zaniósł do kancelarii marszałka przed godziną dwunastą, ostatecznym terminem składania próśb o popołudniową debatę nadzwyczajną. Kopie listu przesłał do ministra spraw zagranicznych i sekretarza stanu do spraw obrony.

Przez radio dowiedział się, że HMS „Broadsword” znajduje się w rękach przeszło stu terrorystów. Żądali oni uwolnienia więzionych w Wielkiej Brytanii Libijczyków i jako zakładników zatrzymali w maszynowni dwustu siedemnastu członków załogi niszczyciela.

Przed dwunastą wokół teleksu w kularach zebrał się tłumek wyciągających szyje, a wielu posłów, którzy nie dostali się do zatłoczonych jadalni, musiało obyć się bez lunchu.

Na godzinę pytań tego dnia przypadały problemy Walii, dlatego Izba zaczęła się wypełniać dopiero kwadrans po trzeciej, ale w całym Pałacu Westminsterskim wrzało jak w ulu. Korespondenci

polityczni niczym sepy czatowali w kuluarach na ważniejszych polityków. Tylko nieliczni z zaczepionych wygłaszali pochopne opinie i ryzykowali uzupełnienie ich nieprzewidywalną treścią.

Andrew wszedł do Izby i zajął miejsce w pierwszej ławie opozycji za przejściem, obok Davida Owena. Miał reprezentować dwudziestu dwu członków Sojuszu, który powierzył mu tekę obrony. Dwadzieścia siedem po trzeciej do Izby wkroczyła pani premier wraz z ministrem spraw zagranicznych i sekretarzem stanu do spraw obrony. Wszyscy troje zasiedli w ławie rządowej. Ostatnich dwóch interpelacji dotyczących spraw Walii wysłuchała największa publiczność od czasów obsunięcia się hałdy na szkołę w Aberfan w 1966 roku.

O wpół do czwartej marszałek Weatherhill wstał i poprosił o ciszę.

- Izba wysłucha oświadczeń - oznajmił krótko, jakby wydawał rozkaz. - Będą dwa oświadczenia o HMS „Broadsword”, a następnie debata o problemach Walii.

Marszałek wezwał do zabrania głosu sekretarza stanu do spraw obrony. Simon Kerslake wstał i położył przed sobą na pulpicie przygotowany tekst.

- Panie marszałku, Wysoka Izbo. Chciałbym wygłosić oświadczenie dotyczące okrętu „Broadsword”. O siódmej trzydzieści na szego czasu na pokład HMS „Broadsword” płynącego Wielką Syrtą z Tunisu do Benghazi wtargnął oddział terrorystów. Napastnicy, przebrani za straż przybrzeżną, schwytali kapitana Lawrence'a Packarda i obezwładnili załogę. Kapitan wraz z załogą stawiali przeciwnikom daremny opór. Terroryci, podając się za przedstawicieli Narodowej Armii Wyzwoleńczej, uwięzili kapitana Packarda wraz z załogą w maszynowni okrętu. Z informacji przekazanych przez naszą ambasadę w Trypolisie wynika, że ofiar w ludziach nie było, choć kapitan Packard odniósł poważne obrażenia i nie jesteśmy pewni jego losu. Stwierdzam kategorycznie, że HMS „Broadsword” wykonywał przydzielone mu zadania nie naruszając żadnych norm prawa. W świetle genewskiej konwencji o morzu pełnym z 1958 roku opisany akt barbarzyństwa należy uznać za piractwo. Terroryci domagają się uwolnienia wszystkich Libijczyków więzionych w Wielkiej Brytanii w zamian za zwrot HMS „Broadsword” z załogą. Mój wielce szanowny kolega, minister spraw wewnętrz-

nych, poinformował mnie, że w brytyjskich więzieniach przebywa obecnie dziewięciu Libijczyków. Dwaj złodziej aszkowie z trzymiesięcznymi wyrokami, dwaj osądzeni za poważniejsze przestępstwa związane z narkotykami oraz pięciu niedoszłych porywaczy samolotu Brytyjskich Linii Lotniczych. Rząd Jej Królewskiej Mości nie będzie zmieniał decyzji podjętych na mocy obowiązującego prawa i nie zamierza uwolnić żadnego z tych dziewięciu ludzi. We wszystkich zakątkach Izby rozległy się głosy aprobaty.

- Mój wielce szanowny kolega, minister spraw zagranicznych, jednoznacznie przedstawił stanowisko rządu libijskiemu ambasadorowi podkreślając, że rząd Wielkiej Brytanii nie może tolerować takiego traktowania brytyjskich obywateli i brytyjskiej własności. Zażądaliśmy i oczekujemy podjęcia przez rząd Libii natychmiastowych działań.

Simon usiadł wśród wrzawy aprobaty. Lider opozycji zapewnił, że jego stronnictwo udziela rządowi pełnego poparcia. Spytał, czy pomimo krótkiego czasu, jaki minął od napaści, są już przygotowane plany odzyskania „Broadsworda”.

Simon wstał.

- Panie marszałku, szukamy obecnie rozwiązania na drodze dyplomatycznej. Niezależnie od tego przewodniczyłem już naradzie szefów sztabów i jutro złożę w Izbie nowe oświadczenie.

- Pan Andrew Fraser - powiedział marszałek.

Andrew wstał.

- Chciałbym powiadomić wielce szanownego kolegę, że Sojusz podziela jego pogląd i także uważa napasę za akt piractwa. Czy możemy się jednak dowiedzieć, jak długo potrwać negocjacje, jeśli w kręgach dyplomatycznych całego świata wiadomo, że Kadafi jest mistrzem gry na zwłokę. Czy negocjacje zbyt długo przedłużają się, zwłaszcza gdybyśmy czekali na rozstrzygnięcie sprawy przez ONZ?

Hałaśliwe przyjęcie pytania Andrew świadczyło, że podobnie uważa większość posłów.

Simon wstał, by odpowiedzieć.

- Rozumiem niepokój mojego przedmówcy, ale szanowny kolega wie, gdyż sam był ministrem stanu do spraw obrony, że nie mam prawa udzielać informacji, które mogłyby zagrozić bezpieczeństwu „Broadsworda”.

Kwadrans po czwartej Simon odpowiedział na ostatnie z pytań dopuszczonych przez marszałka i usiadł, by wysłuchać oświadczenia MSZ. Izba ucichła. Minister spraw zagranicznych wstał i ułożył przed sobą duże arkusze z podwójnie spacjowanym tekstem. Wszystkie oczy zwróciły się na wysokiego, eleganckiego ministra, który szykował się do pierwszego oficjalnego wystąpienia na nowym stanowisku.

- Panie marszałku, Wysoka Izbo. Ja również chciałbym złożyć oświadczenie dotyczące okrętu HMS „Broadsword”. Kiedy wiadomość o napaści na HMS „Broadsword” dotarła rano do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, bezzwłocznie wysłaliśmy do rządu Libii ostro sformułowany protest. Wezwaliśmy także libijskiego ambasadora, z którym spotkam się ponownie po udzieleniu odpowiedzi na pytania.

Raymond siedzący w pierwszej ławie opozycji popatrzył na galerię gości. Libijski ambasador słuchał stamtąd ministra spraw zagranicznych i robił notatki. Raymond nie potrafił sobie wyobrazić pułkownika Kadafiego, zapraszającego ambasadora Wielkiej Brytanii do namiotu, w którym ma wygłosić mowę do swoich wyznawców. Tymczasem posłaniec parlamentarny podszedł do ambasadora i poprosił, żeby przestał pisać. Zakaz ten pochodził z czasów, gdy pilnie strzeżono tajemnicy obrad Izby. Raymond spojrział znów na pierwszą ławę i słuchał dalej Charlesa Seymoura.

- Nasz ambasador przy ONZ złożył wniosek, który ma być podany do dyskusji na popołudniowym posiedzeniu Zgromadzenia Ogólnego. Zawiera on prośbę o poparcie Wielkiej Brytanii i sprzeciw wobec jawnego pogwałcenia genewskiej konwencji o morzu pełnym z 1958 roku. Ufam, że cały wolny świat poprze nas i potępi piracką napaść na okręt Jej Królewskiej Mości. Pamiętając o zagrożeniu życia dwustu siedemnastu Brytyjczyków, rząd Jej Królewskiej Mości uczyni wszystko, co w jego mocy, by rozwiązać problem kanałami dyplomatycznymi.

Lider opozycji wstał i zapytał, kiedy minister spraw zagranicznych rozpatrzy możliwość zerwania stosunków dyplomatycznych z Libią.

- Mam nadzieję, że nie dojdzie do tego, panie marszałku. Oczekuję, że rząd libijski szybko upora się z terrorystami.

Charles odpowiedział na pytania padające z różnych stron, ale zmuszony był powtarzać, że chwilowo nie dysponuje nowymi doniesieniami, którymi mógłby podzielić się z Izba. Raymond słuchał dwóch rówieśników mających dwudziestoletnią rutynę i zastana-

wiał się, czy po dzisiejszych wystąpieniach jeden z nich wyrośnie na następcę pani Thatcher.

O czwartej trzydzieści marszałek, zorientowawszy się, że od jakiegoś czasu nikt nie powiedział nic nowego, dopuścił do głosu ostatnie dwie osoby, po jednej z każdej strony Izby. Z rozmysłem wywołał nazwisko Aleca Pimkina, którego przemówienie zabrzmiało niczym surmy bojowe, a potem Toma Carsona, który stwierdził, że pułkownik Kadafi przedstawiany jest często przez prasę brytyjską w nader fałszywym świetle. Gdy Carson usiadł, marszałek bez trudu przeszedł do następnego punktu obrad.

Podziękował deputowanemu z Edinburgh Carl ton za uprzejme powiadomienie o złożeniu prośby o debatę nadzwyczajną, zgodnie z punktem dziesiątym regulaminu obrad. Zapewnił, że rozważył ją starannie. Przypomniawszy Izbie, że zgodnie z regulaminem nie jest zobowiązany do uzasadnienia swojej decyzji, ma jedynie postanowić, czy należy przyznać danej sprawie pierwszeństwo przed innymi. Powołując się na punkt dziesiąty regulaminu obrad zarządził, że zgłoszony temat nie nadaje się do dyskusji.

Andrew wstał, żeby zaprotestować, ale ponieważ marszałek przez cały czas stał, wkrótce musiał usiąść.

- Nie znaczy to jednak- ciągnął marszałek- że nie przychylę się do tej prośby w terminie późniejszym.

Andrew pomyślał, że Charles Seymour i Simon Kerslake musieli poprosić o zwłokę, nie zamierzał jednak dać im więcej niż dwadzieścia cztery godziny. Sekretarz przy stole marszałkowskim wstał i przekrzykując gwar, jaki powstał przy opuszczaniu Izby przez posłów, ryknął:

- Przerwa.

Marszałek wezwał sekretarza stanu do spraw Walii, by zaproponował wniosek o odroczenie debaty o problemach walijskiego górnictwa. W Izbie zostało trzydziestu ośmiu posłów z Walii, którzy od kilku tygodni czekali na debatę nad sprawami księstwa.

Andrew poszedł do swojego biura i wysłuchując najnowszych wiadomości przygotował się do jutrzejszej debaty. Simon wrócił do Ministerstwa Obrony, by podjąć przerwana naradę z szefami sztabów, a Charles pojechał do MSZ.

Stały podsekretarz powiadomił Charlesa, że czeka na niego ambasador Libii.

- Ma coś nowego do powiedzenia? - zapytał Charles.
- Nie. Wygląda na to, że nie tylko my nie możemy nawiązać kontaktu z pułkownikiem Kadafim.

- Niech wejdzie.

Charles zgasił papierosa i stanął przy kominku pod portretem Palmerstona. Nie miał jeszcze okazji poznać ambasadora, gdyż zbyt krótko pracował w ministerstwie.

Kiedy wszedł niski, ciemnowłosy, nienagannie ubrany ambasador Libii, trudno było oprzeć się wrażeniu, że w gabinecie dyrektora szkoły niesforny uczeń z piątego oddziału ma właśnie dostać reprimendę.

Ambasador nosił krawat absolwenta Eton, co zaskoczyło Charlesa. Szybko się opanował.

- Minister spraw zagranicznych? - upewnił się Kadir.

- Rząd Jej Królewskiej Mości pragnie oświadczyć z całą mocą pańskiemu rządowi - rzekł Charles nie dopuszczając ambasadora do głosu - że uważa wejście na pokład HMS „Broadsword” i zatrzymanie załogi za akt piractwa.

- Czy mogę powiedzieć... - zaczął ambasador.

- Nie, nie może pan - przerwał Charles. - Dopóki nasz okręt nie zostanie uwolniony, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by wywrzeć nacisk dyplomatyczny i ekonomiczny na pański rząd.

- Czy mógłbym jednak powiedzieć... - znów wtrącił Kadir.

- Moja pani premier prosiła o przekazanie, że pragnie jak najszybciej rozmawiać z głową państwa, które pan reprezentuje. Spodziewam się dostać od pana odpowiedź za godzinę.

- Tak, panie ministrze, ale czy mógłbym...

- Może pan także przekazać, że skorzystamy z prawa do podjęcia działań, jakie uznamy za stosowne, jeżeli nie uwolnicie załogi i nie zapewnicie bezpieczeństwa okrętowi HMS „Broadsword” do jutra do godziny dwunastej naszego czasu. Czy wyraziłem się, jasno?

- Tak, panie ministrze, ale chciałbym zapytać...

- Do widzenia, panie Kadir.

Po wyjściu ambasadora Charles zaczął się zastanawiać, czego właściwie Kadir chciał się dowiedzieć.

- Co teraz? - spytał podsekretarza, który odprowadził ambasadora do windy i wrócił.

- Zagramy w najstarszą grę dyplomatyczną.

- To znaczy?
- Będziemy siedzieć i czekać. Świetnie nam to wychodzi - odparł podsekretarz. - Mamy przecież tysiąc lat praktyki.
- Dobrze, ale czekając możemy przynajmniej telefonować. Zaczęną od sekretarza stanu w Waszyngtonie, Kirkpatricka, a potem chciałbym rozmawiać z Gromyką w Moskwie.

Po przybyciu do Ministerstwa Obrony Simon dowiedział się, że szefowie sztabów zebrali się w jego gabinecie i czekają, by poprowadził naradę. Kiedy wszedł do gabinetu, żeby zasiąść u szczytu stołu, wojskowi wstali.

- Witam panów - powiedział Simon. - Siadajcie, proszę. Sir John, czy zechciałby pan poinformować mnie o rozwoju sytuacji?

Admirał sir John Fieldhouse, szef sztabu obrony, poprawił półkoliste okulary, które zjechały mu na koniec nosa, i zajrzał do notatek.

- Niewiele się zmieniło w ciągu ostatniej godziny, panie ministrze - powiedział. - Biuro premiera nadal nie nawiązało kontaktu z pułkownikiem Kadafim. Musimy niestety potraktować zajęcie „Broadsworda” jako godny potępienia akt terroryzmu, podobny do okupacji ambasady amerykańskiej w Iranie przez zwolenników Chomeiniego siedem lat temu. W tej sytuacji mamy do wyboru „szczęk szczęk albo szczęk oręża”, jak mawiał Churchill. Mając to na względzie, nasza komisja opracuje do wieczora szczegółowy plan odzyskania HMS „Broadsword”. Zakładamy, że do negocjacji lepiej przygotowane jest Ministerstwo Spraw Zagranicznych. - Sir John spojrzał na ministra.

- Czy jest pan gotów przedstawić wstępny plan, który mógłbym przedłożyć gabinetowi?

- Oczywiście, panie ministrze - odparł sir John i otworzył dużą niebieską teczkę.

Simon wysłuchał uważnie wstępnego planu strategicznego. Wokół stołu siedziało ośmiu wysokich rangą oficerów sztabowych armii, marynarki i lotnictwa, reprezentujących łącznie trzysta lat wojskowego doświadczenia, które zdradzała już pierwsza wersja planu. Simon mimo woli pomyślał, że jest podporucznikiem rezerwy. Przez godzinę zadawał szefom sztabów pytania, niektóre ele-

mentarne, inne świadczące o znajomości rzeczy. Kiedy wyszedł na posiedzenie gabinetu pod Numerem Dziesiątym, szefowie sztabów zasiedli nad planem.

Z prywatnym detektywem u boku Simon przeszedł przez Whitehall, od Ministerstwa Obrony, na Downing Street, gdzie zebrał się ciekawski tłum wypatrujący ministrów. Przez całą drogę, aż do siedziby premiera, wzruszonego Simona odprowadzały oklaski. Gdy stanął przed drzwiami, gdzie na każdego przychodzącego czatowali dziennikarze i ekipy telewizyjne, zapłonęły reflektory i ktoś podsunął mu mikrofon. Nie powiedział ani słowa i był zdziwiony, słysząc zamiast cynicznych przyjazne okrzyki dziennikarzy: „Powodzenia”, „Sprowadźcie naszych do domu”.

Drzwi otworzyły się i Simon dołączył do dwudziestu dwu kolegów, którzy już czekali w korytarzu. W chwilę później do pokoju narad weszła pani premier i usiadła przy stole naprzeciw Charlesa i Simona.

Pani Thatcher powiedziała, że nie udało jej się nawiązać kontaktu z pułkownikiem Kadafim, wobec czego gabinet musi zdecydować o sposobach działania bez jego wiedzy i zgody. Następnie poprosiła o wypowiedź ministra spraw zagranicznych.

Charles wymienił posunięcia dyplomatyczne MSZ, zdał sprawozdanie ze spotkania z ambasadorem Kadirem i poinformował o złożonym w ONZ wniosku, który już był tematem obrad nadzwyczajnej sesji Zgromadzenia Ogólnego. Prośba do ONZ o przyjęcie brytyjskiej rezolucji miała na celu, wyjaśnił, zyskanie przewagi dyplomatycznej i zagwarantowanie międzynarodowej przychylności dla Wielkiej Brytanii. Głosowanie Zgromadzenia Ogólnego w Nowym Jorku było przewidziane na wieczór. Charles spodziewał się przytłaczającego poparcia dla brytyjskiej rezolucji, a tym samym moralnego zwycięstwa świata. Z przyjemnością powiadomił gabinet, że ministrowie Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego wyrazili chęć poparcia dyplomatycznych poczynań Wielkiej Brytanii pod warunkiem niepodejmowania przez nią kroków odwetowych. Na zakończenie Charles przypomniał kolegom, jak ważne jest uznanie incydentu za akt piractwa, a nie wrogie działanie ze strony rządu libijskiego.

Prawniczy niuans, pomyślał Simon rozglądając się po twarzach kolegów. Wyraźnie zrobiło na nich wrażenie, że Charles zapewnił

poparcie dwu supermocarstw. Nie sposób było nic wyczytać z twarzy pani premier, która oddała głos Simonowi.

Simon przekazał najświeższą wiadomość, że „Broadsword”, odnotowany w głąb zatoki, stoi na kotwicy u wybrzeży Libii i dostęp do niego jest możliwy tylko od strony morza. Kapitan Packard i dwustu szesnastu członków załogi pod ścisłym nadzorem pozostaje w maszynowni na dolnym pokładzie. W ciągu ostatniej godziny nadeszły potwierdzone doniesienia, że marynarze i oficerowie są związani, zakneblowani, a wentylację wyłączono.

- Kapitan Packard - powiedział Simon - odmówił jakiegokolwiek współpracy z piratami i jego los pozostaje nieznany. Uważam zatem, że jedynym wyjściem jest akcja ratownicza, gdyż unikniemy wówczas przedłużających się negocjacji, które mogłyby podkopać morale całych sił zbrojnych. Im dłużej będziemy odkładali tę decyzję, tym trudniejsze będzie nasze zadanie. Szefowie sztabów dopracowują plan pod kryptonimem „Złodziejaszek”, który ich zdaniem musimy wprowadzić w życie w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, jeżeli mamy uratować ludzi i okręt.

Simon wyraził nadzieję, że zabiegi dyplomatyczne będą kontynuowane, tak aby oddział ratowniczy mógł korzystać z pełnego zaskoczenia.

- A jeżeli operacja się nie uda? - wtrącił Charles. - Moglibyśmy stracić nie tylko „Broadsworda” z załogą, ale także zaufanie całego wolnego świata.

- Żaden oficer marynarki brytyjskiej nie podziękuje nam za pozostawienie „Broadsworda” na wodach terytorialnych Libii do czasu wynegocjowania jakiegoś porozumienia, które w najlepszym wypadku doprowadzi do zwrotu okrętu w terminie wyznaczonym przez piratów. Nie wspominam już o policzku dla naszej marynarki. Kadafi śmieje się w kułak z Organizacji Narodów Zjednoczonych, bo przechwyił nowoczesnego niszczyciela i zainteresował światową prasę. Teraz zechce, podobnie jak kiedyś Chomeini, przeciągnąć tę sytuację jak najdłużej. Prasowe doniesienia obniżą morale naszych rodaków i sprowadzą taką klęskę wyborczą, jaką poniósł Carter po nieudanej próbie odbicia ambasady w Iranie.

- Podjęcie niepotrzebnego ryzyka byłoby nierozsądne, jeśli mamy za sobą opinię świata - sprzeciwił się Charles. - Odczekajmy przynajmniej kilka dni.

- Obawiam się, że jeżeli będziemy czekać - odparł Simon - załoga zostanie przetransportowana do więzienia wojskowego na lądzie i będziemy musieli myśleć o akcji w dwóch obiektach. A Kaddafi będzie sobie siedział na pustyni i grał nam na nosie.

Podczas gdy Simon i Charles wymieniali argumenty, pani premier słuchała i liczyła, kto spośród pozostałych kolegów opowiada się za jednym albo drugim sposobem postępowania. Trzy godziny później, kiedy wszyscy siedzący przy stole wyrazili swoje zdanie, miała zapisane w notesie: „trzynaście-dziewięć”.

- Myślę, panowie, że wyczerpaliśmy argumenty - powiedziała. - Zważywszy na wyrażone przy tym stole opinie, których wysłuchałam, musimy pozwolić na podjęcie operacji „Złodziejaszek”. Proponuję utworzenie podkomisji dla rozpatrzenia planu szefów sztabów. W jej skład wejdą: minister spraw zagranicznych, minister obrony, prokurator generalny, ja oraz eksperci. Należy bezwzględnie zachować tajemnicę, dlatego nie będziemy poruszać tego tematu do czasu, aż gotowy plan zostanie przedstawiony na naradzie gabinetu. Poza członkami podkomisji wszyscy ministrowie podejmą zwykłe obowiązki. Nie możemy zapominać, że ktoś musi rządzić krajem. Dziękuję panom.

Pani premier zaprosiła do swojego gabinetu Charlesa i Simona. Ledwie zamknęła drzwi, zwróciła się do Charlesa:

- Proszę natychmiast powiadomić mnie o wyniku głosowania Zgromadzenia Ogólnego. Ponieważ gabinet zaaprobował działanie wojskowe, ważne, aby widać było pańskie starania o dyplomatyczne rozwiązanie kryzysu.

- Tak, pani premier - odparł Charles niczego po sobie nie okazując.

Pani Thatcher zwróciła się do Simona.

- Kiedy mogę otrzymać konspekt planu?

- Przez noc opracujemy strategię działania, a jutro rano o dziesiątej będę ją mógł przedstawić pani premier.

- Byle nie później, Simonie. Następnym problemem to proponowana na jutro debata nadzwyczajna. Należy się spodziewać, że Andrew Fraser ponowi prośbę o debatę nadzwyczajną zgodnie z punktem dziesiątym regulaminu obrad, a marszałek sygnalizował dzisiaj, że wyrazi na nią zgodę. W każdym razie nie da się uniknąć oświadczenia dotyczącego kierunków działania; wywołałoby to protesty za-

równie opozycji, jak naszych posłów. Dlatego postanowiłam, że chwycimy byka za rogi.

Ministrowie popatrzyli na siebie niezadowoleni, że tracą cenne godziny w Izbie Gmin.

- Musisz być przygotowany, Charlesie, na rozpoczęcie obrad w imieniu rządu, a ty Simonie, wygłosisz podsumowanie. Debata od będzie się w czwartek po południu, więc może niektórzy koledzy wyjadą już na weekend, chociaż, szczerze mówiąc, wątpię. Przy odrobinie szczęścia zapewnimy sobie moralne zwycięstwo w ONZ i będziemy nim karmić opozycję. Simonie, odpowiadaj tylko na pytania, które padną w czasie debaty, i w podsumowaniu nie zgłasza żadnych nowych propozycji. Proszę przekazywać mi wszystkie nowe wiadomości. Nie będę dziś spała.

Charles poszedł do ministerstwa, pocieszając się myślą, że Amanda jest gdzieś w Ameryce Południowej.

Simon wrócił do szefów sztabów. Na tablicy wisiała duża mapa wód terytorialnych Libii. Generałowie, admirałowie i marszałkowie lotnictwa oglądali linię brzegową i ukształtowanie dna morskiego jak dzieci przygotowujące się do klasówki z geografii.

Wstali, gdy wszedł Simon, i popatrzyli wyczekująco. Byli ludźmi czynu i nie mieli zaufania do rokowań. Simon powiedział, że gabinet postanowił przychylić się do propozycji Ministerstwa Obrony. Twarz sir Johna rozjaśniła się zapowiedzią uśmiechu.

- Kto wie, może wygraliśmy właśnie najcięższą bitwę - rzekł półgłosem, ale tak, że wszyscy usłyszeli,

- Proszę jeszcze raz przedstawić mi plan - powiedział Simon puszczając mimo uszu tę uwagę. - Jutro o dziesiątej muszę zapoznać z nim panią premier.

Sir John przytknął koniec wskaźnika do modelu niszczyciela stojącego na środku makiety będącej odwzorowaniem dobrze strzeżonej zatoki.

Na biurku Charlesa piętrzyły się telegramy i telexy z całego świata z wyrazami poparcia dla dyplomatycznych metod rozwiązania kryzysu. Debata w ONZ była tak jednostronna, że podsekretarz przewidywał przyjęcie rezolucji przytłaczającą większością głosów. Charles miał związane ręce - musiał udawać nawet przed współ-

pracownikami - ale jeszcze nie stracił nadziei, że uda się nabrudzić Simonowi. Pragnął, by incydent skończył się triumfem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a nie „podżegaczy” z Ministerstwa Obrony. Po konsultacji z podsekretarzem Charles powołał niewielką grupę interwencyjną MSZ do rozwiązania problemu libijskiego, w której skład weszły doświadczone resortowe szycy i czterech obiecujących młodych ludzi z dużymi ambicjami.

Ściągnięto z urlopu OImera Milesa, byłego ambasadora w Libii, i zakwaterowano w gmachu MSZ w małym pokoiku, żeby o każdej porze dnia i nocy Charles mógł skorzystać z jego wiedzy na temat kraju, z którym trwał konflikt.

Charles poprosił podsekretarza o połączenie z brytyjskim ambasadorem w ONZ.

- Przez cały czas proszę próbować nawiązać łączność z Kadafim - dodał.

Simon wysłuchał sir Johna, który przedstawił najnowszą wersję operacji „Złodziejaszek”. Trzydziestu siedmiu ludzi ze Special Boat Service - odpowiednika Powietrzno-desantowej Służby Specjalnej SAS, znanej z akcji na St James's Square w kwietniu 1984 - przygotowywało się na szkockim wybrzeżu do wejścia na pokład HMS „Brilliant”, okrętu-bliźniaka „Broadsworda”.

Po wysadzeniu z łodzi podwodnej, w odległości jednej mili od bazy w Rosyth, komandosi mieli przepłynąć pod wodą półtorej mili dzielące ich od okrętu. Plan przewidywał, że w ciągu dwunastu minut wejdą na pokład i odbiją „Brillianta” z rąk „libijskiej” załogi, a następnie odpłyną jedną milę morską od wybrzeża Szkocji. Akcja miała trwać sześćdziesiąt pięć minut. Do świtu zamierzano powtórzyć ćwiczenie trzy razy i skrócić czas jego trwania do godziny.

Simon wydał rozkaz wysłania w kierunku Libii dwóch łodzi podwodnych pływających po Morzu Śródziemnym. Reszta floty miała ostentacyjnie zachowywać pozory normalnych działań, a Ministerstwo Spraw Zagranicznych usilnie poszukiwać rozwiązania dyplomatycznego.

Prośba Simona nie zdziwiła szefów sztabów, którzy natychmiast wyrazili na nią zgodę. Simon zadzwonił do Elizabeth uprzedzając,

że nie wróci na noc do domu. Godzinę później sekretarz stanu do spraw obrony leciał helikopterem do bazy w Rosyth.

Siedząc w swoim biurze Charles śledził obrady ONZ za pośrednictwem satelity. Po krótkiej debacie zarządzono głosowanie. Sekretarz ogłosił wynik: 147 państw za Wielką Brytanią, 3 przeciw, 22 wstrzymały się od głosu. Charles zastanawiał się, czy tak przytłaczająca przewaga skłoni panią premier do odstąpienia od planu Kerslake'a. Przejrzał listę głosujących. Rosjanie i Amerykanie dotrzymali słowa, głosując za Wielką Brytanią. Tylko Libia, Jemen Południowy i Dżibuti głosowały przeciw. Charles połączył się z Downing Street i przekazał wiadomość. Pani premier, zadowolona z sukcesu dyplomatycznego, oznajmiła jednak, że nie zmieni podjętych decyzji, dopóki nie odezwie się Kaddafi. Charles odłożył słuchawkę i poprosił podsekretarza, żeby ponownie wezwał ambasadora Kadira.

- Jest druga w nocy, panie ministrze.
- Zdaję sobie sprawę, która jest godzina, ale dlaczego pan ambasador ma spokojnie spać, kiedy my jesteśmy na nogach.

Gdy, sprowadzono Kadira, Charles ze złością spojrział na wyświeżonego, schludnego ambasadora. Widać było, że ogolił się i włożył czystą koszulę.

- Wzywał mnie pan, panie ministrze? - zapytał Kadir, jakby przyszedł na podwieczorek.
- Tak. Chcieliśmy mieć pewność, że wie pan o głosowaniu, jakie odbyło się godzinę temu w Organizacji Narodów Zjednoczonych, i przyjęciu brytyjskiej rezolucji.
- Tak, panie ministrze.
- W rezolucji tej przywódcy dziewięćdziesięciu procent społeczności międzynarodowej potępiają pański rząd. - Charles powtórzył wiadomość, którą na kilka minut przed wejściem ambasadora przekazał mu podsekretarz.
- Tak, panie ministrze.
- Pani premier nadal oczekuje na wiadomość od głowy państwa, które pan reprezentuje.

- Tak, panie ministrze.
- Czy nawiązał pan kontakt z pułkownikiem Kadafim?
- Nie, panie ministrze.
- Ale ma pan bezpośrednie połączenie telefoniczne z jego kwartęą główną.
- Tym bardziej powinno być dla pana oczywiste, panie ministrze, że nie udało mi się z nim porozmawiać - odparł Kadir z przekąsem.

Charles spostrzegł, że podsekretarz spuścił wzrok.

- Będę rozmawiał z panem co godzinę, panie Kadir. Proszę nie nadużywać gościnności mojego kraju.
- Tak, panie ministrze.
- Dobranoc, panie ambasadorze.
- Dobranoc, panie ministrze.

Kadir odwrócił się i opuścił gmach ministerstwa, przed którym czekał samochód, żeby go odwieźć do ambasady. Przeklął wielce szanownego Charlesa Seymoura. Czy ten człowiek nie rozumie, myślał, że mieszkam w Wielkiej Brytanii od czwartego roku życia, a do Libii jeżdżę tylko w odwiedziny do matki? Pułkownik Kadafi traktuje swojego ambasadora tak samo lekceważąco jak brytyjskiego ministra. Kadir spojrział na zegarek: druga czterdzieści cztery.

Helikopter Simona wylądował w Szkocji o drugiej czterdzieści pięć. Simon i sir John zostali przewiezieni do portu, a potem na HMS „Brilliant”.

- Niesłychane, sekretarz stanu nie witany z honorami na pokładzie - powiedział sir John do Simona, który postukując laską z trudem wchodził po schodni.

Kapitan, nie kryjąc zdziwienia na widok nieproszonych gości, zaprowadził ich szybko na mostek. Sir John szepnął mu coś do ucha, czego Simon nie dosłyszał.

- Kiedy następny wypad? - spytał. Niewiele mógł wypatrzeć w mglistych ciemnościach.

- Komandosi opuszczą łódź podwodną o trzeciej zero zero, panie ministrze - odparł kapitan. - Dotrą do „Brillianta” około trzeciej dwadzieścia. Powinni opanować okręt w ciągu jedenastu minut, a w niecałą godzinę wyprowadzić go na milę poza wody terytorialne.

Simon spojrział na zegarek: za pięć trzecia. Pomyślał o ludziach przygotowujących się do wypełnienia zadania. Nie wiedzieli, że na pokładzie „Brillianta” czeka na nich sekretarz stanu i szef sztabu obrony. Postawił kołnierz.

Ni stąd, ni zowąd czarna zatuszczona ręka zacisnęła mu się na ustach i padł przewrócony na pokład. Ktoś wykręcił i związał mu ręce, zawiązał oczy, zakneblował. Próbował się bronić, ale dostał mocną sójkę w żebra. Ściągnięto go po wąskich schodach i ciśnięto na drewnianą podłogę. Leżał obezwładniony nie mogąc wydać głosu. Po jakichś dziewięciu minutach usłyszał silniki i poczuł drżenie okrętu. Jeszcze przez kwadrans nie mógł się ruszyć.

- Rozwiązać ich - powiedział głos z oksfordzkim akcentem.

Simon poczuł, że jest uwalniany z więzów, opaski na oczach i knebla. Zobaczył przed sobą błyskającego białymi zębami komandos w czarnym skafandrze płetwonurka. Wciąż lekko oszołomiony spojrział w bok, gdzie rozwiązywano szefa sztabu obrony.

- Przepraszam, panie ministrze - powiedział sir John, kiedy zdjęto mu knebel. - Powiedziałem kapitanowi, żeby nie informował dowódcy łodzi podwodnej o naszej obecności. Ryzykując życie dwustu siedemnastu ludzi, muszę mieć pewność, że ci skauci wiedzą, co robią.

Simon odsunął się od szczerzącego zęby olbrzymia.

- Dobrze, że nie zabraliśmy ze sobą pani premier - powiedział sir John.

- Owszem - odparł Simon patrząc na komandosa. - Skręciłaby mu kark.

Wszyscy się roześmieli, oprócz płetwonurka, który zacisnął usta.

- Co mu jest? - zapytał Simon.

- Jeżeli wyda z siebie jakiś dźwięk w ciągu akcji, nie zakwalifikuje się do grupy operacyjnej.

- Partii Konserwatywnej przydałoby się paru takich posłów w tylnych ławach - rzekł Simon. - Zwłaszcza jutro, kiedy będę tłumaczył się w Izbie, dlaczego nic nie robię.

O trzeciej czterdzieści dziewięć „Brilliant” znalazł się o milę od wód terytorialnych. Kiedy wyszły poranne gazety, w „Timesie” widniał nagłówek *Dyplomatyczne zwycięstwo*, a w „Mirror” - *Pirat Kadafi*.

Na posiedzeniu ścisłego gabinetu o dziesiątej Simon zrelacjono-

wał pani premier własne doświadczenie z przygotowań do „Złodziejaszka”. Charles od razu zabrał głos.

- Kiedy w ONZ popiera nas przytłaczająca większość krajów świata, rozsądek nakazuje powstrzymać się od jakichkolwiek działań, które można by zinterpretować jako akt agresji.

- Jeżeli komandosi nie wyruszą jutro rano, trzeba będzie czekać cały miesiąc, pani premier - wtrącił Simon.

Oczy wszystkich zwróciły się w jego stronę.

- Dlaczego? - zapytała pani Thatcher.

- Ponieważ jutro kończy się ramadan, okres, kiedy muzułmanie zachowują ścisły post w ciągu dnia. Zgodnie z tradycją na zakończenie postu będą jeść i pić do woli, a to oznacza, że jutrzejszej nocy najłatwiej będzie zmylić czujność Libijczyków. Grupa operacyjna jest już w drodze do łodzi podwodnych. Wszystko jest zapięte na ostatni guzik, mamy strategiczną przewagę i nie możemy zaprzepaścić tej szansy.

- Słusznie - zgodziła się pani Thatcher. - Mamy przed sobą weekend, więc będziemy się modlić, żeby do poniedziałku konflikt został zażegnany. A dziś na popołudniowy występ w Izbie przywdziemy maski negocjatorów. Spodziewam się, Charlesie, że wypadniesz bardzo przekonująco.

W czwartek o trzeciej trzydzieści Andrew wstał i ponowił prośbę o debatę nadzwyczajną. Marszałek przychylił się do niej, zarządzając rozpoczęcie debaty o siódmej wieczorem.

Izba opustoszała - posłowie rozbiegli się, żeby przygotować mowy, choć zaledwie dwa procent spośród nich mogło liczyć na zabranie głosu. Marszałek wyszedł z Izby i wrócił dopiero za pięć siódma, zwalniając swojego zastępcę.

O siódmej, kiedy Charles i Simon weszli do Izby, trzydziestu siedmiu komandosów znajdowało się w łodzi podwodnej „Conqueror”, przyczajonej sześćdziesiąt mil od brzegów Libii. Druga łódź podwodna, „Courageous”, czekała dziesięć mil dalej. Od dwunastu godzin zachowywały absolutną ciszę radiową.

Pani premier nadal nie miała wiadomości od pułkownika Kadafiego, a do rozpoczęcia operacji „Złodziejaszek” zostało już tylko osiem godzin. Simon rozejrzał się. Atmosfera była taka jak w dniu

ogłaszania budżetu. Gdy marszałek wywołał Andrew Frasera, zapadła przejmująca cisza.

Zgodnie z punktem dziesiątym regulaminu obrad Andrew wyjaśnił, dlaczego domaga się pilnego rozpatrzenia sprawy, którą uważa za wyjątkowo ważną. Od ministra spraw zagranicznych zażądał jasnego stwierdzenia, że jeśli negocjacje z Kadafim nie dojdą do skutku albo będą się przeciągały, wówczas sekretarz stanu do spraw obrony podejmie działania w celu odzyskania HMS „Broadsword”. Simon siedział w pierwszej ławie z posepną miną i potrzasał przecząco głową.

- Kadafi to zwykły pirat - powiedział Andrew. - Po co szukać rozwiązań dyplomatycznych?

Posłowie nagradzali okrzykami każde starannie przećwiczone zdanie, które padało z ust Andrew. Kiedy usiadł, Izba zatrzęsa się od okrzyków poparcia i dopiero po kilku minutach udało się marszałkowi przywrócić porządek. Ambasador Kadir siedział w galerii dla gości honorowych i spoglądał w dół, notując w pamięci najważniejsze stwierdzenia i reakcje Izby, żeby przekazać je pułkownikowi Kadafiemu, gdyby okazało się to możliwe.

- Minister spraw zagranicznych - powiedział marszałek.

Charles wstał z ławy rządowej. Położył tekst przemówienia na pulpicie i zaczął, aż Izba ucichnie.

Zaczął od podkreślenia, jakie znaczenie ma głosowanie w ONZ dla pokojowego porozumienia. Dodał, że na pierwszym miejscu stawia uratowanie dwustu siedemmnastu ludzi na pokładzie HMS „Broadsword” i że nie będzie szczędził wysiłków, aby ten cel osiągnąć. Sam sekretarz generalny ONZ pragnął nawiązać osobisty kontakt z Kadafim i wyrazić oburzenie Zgromadzenia Ogólnego. Charles zaznaczył, że podjęcie w chwili obecnej innych działań naraziłoby Wielką Brytanię na utratę poparcia wolnego świata. Usiadł z poczuciem, że nie przekonał hałaśliwej Izby.

Mowa z tylnych ław wzmocniła przekonanie pani premier i Simona, że właściwie ocenili panujące nastroje, ale żadne z nich nie pozwoliło sobie na najmniejszy grymas twarzy, który mógłby dać nadzieję nawołującym do akcji wojskowej.

O dziewiątej trzydzieści Simon wstał, żeby wygłosić podsumowanie w imieniu rządu. Miał za sobą dwie i pół godziny wysłuchiwania rad, które właśnie wprowadzał w życie. Niczego po sobie nie

okazując, poparł dyplomatyczne zabiegi. Posłowie zaczęli się wiercić, a Wedy z wybicciem dziesiątej Simon usiadł, kilku kolegów z jego partii i nastawieni pravicowo laburzyści wzniesli okrzyk:

- Złóż rezygnację!

Andrew patrzył, jak Kerslake i Seymour opuszczają Izbę. Zastanawiał się, co dzieje się w jego dawnym ministerstwie.

Po zakończeniu debaty wrócił do domu. Louise pogratulowała mu mowy i dodała:

- Simon Kerslake był bardzo powściągliwy.

- On coś knuje - powiedział Andrew. - Bardzo chciałbym znaleźć się dziś w jego biurze i dowiedzieć się czegoś więcej.

Ze swojego gabinetu Simon zadzwonił do Elizabeth z wyjaśnieniem, że drugą noc z rządu spędzi w ministerstwie.

- Niektórzy mężowie zdradzają żony z bardzo dziwnymi kochankami - odparła Elizabeth. - Przy okazji, twój młodszy syn pyta, czy będziesz miał czas w sobotę, żeby zobaczyć, jak gra w hokeja w rozgrywkach o puchar Oksfordu?

- Jaki dziś mamy dzień?

- Nadal czwartek. A ty nadal kierujesz obronnością kraju.

Simon pomyślał, że niezależnie od rezultatu akcja ratunkowa zakończy się do jutra, do godziny dwunastej, dlaczego więc nie miałby popatrzeć, jak syn gra w hokeja na trawie.

- Powiedz mu, że przyjdę - powiedział.

Mimo że od północy do godziny szóstej nie było nic do zrobienia, łodzie podwodne czekały już na miejscach - żaden z szefów sztabów nie opuścił sali. Ani razu nie przerwano ciszy radiowej. Simon usiłował zająć się czerwonymi kuferkami, które pęczniały od pilnych spraw. Korzystając z obecności wysokich rangą wojskowych postarał się uzyskać odpowiedzi na dziesiątki pytań, co w normalnych warunkach trwałoby tygodniami.

Kiedy przyniesiono poranne wydania gazet, Simon przypiął do tablicy artykuł „Telegraphu” zatytułowany: *Czy Kerslake obudził się z ręką w nocniku?* Autor żądał wyjaśnień, dlaczego irlandzki bohater się waha, gdy brytyjscy marynarze więzieni są na obcych wodach. Na koniec zadawał pytanie: „Kapitanie, czy śpisz?”

- Nie zmrużyłem oka - rzekł do siebie Simon.

„Złóż rezygnację”, domagał się „Daily Express”. Sir John zerknął ministrowi przez ramię i przeczytał pierwszy akapit.

- Nigdy nie zrozumieję, dlaczego ludzie pchają się do polityki - mruknął i złożył meldunek - Po rekonesansie w rejonie operacji zgłoszono gotowość obu łodzi podwodnych.

Simon wziął laskę i opuścił salę. Służbową windą zjechał do podziemi i tunelem pod Whitehall przeszedł wprost do pokoju narad gabinetu przy Downing Street, unikając w ten sposób dziennikarzy i gapiów.

Pani premier siedziała sama przy stole.

Simon omówił szczegółowo ostateczny plan dodając, że zanim zwykli obywatele usiądą do śniadania, będzie po wszystkim.

- Proszę przekazywać mi natychmiast każdą wiadomość - po wiedziała pani Thatcher i powróciła do lektury przygnębiającego raportu o stanie gospodarki. Według przewidywań zespołu Wynne'ego Godleya w roku 1988 funt miał osiągnąć równowartość dolara. - Któregoś dnia wszystkie te problemy mogą spaść na twoją głowę - dodała.

Simon uśmiechnął się, wyszedł i podziemnym przejściem wrócił na drugą stronę Whitehall. Wjechał windą na szóste piętro i dołączył do szefów sztabów. Nie wyglądali na zmęczonych, choć czuwali od kilku godzin wraz z kolegami oddalonymi o dwa tysiące mil. Opowiadali sobie o Kanale Sueskim i Falklandach, żartowali i wybuchali śmiechem. Ale raz po raz ich spojrzenia wędrowały na tarczę zegara.

Kiedy Big Ben wybił godzinę drugą, Simon pomyślał: w Libii już czwarta. Oczyma wyobraźni widział płetwonurków zanurzających się w wodzie i płynących w kierunku „Broadsworda”.

Głuchą ciszę przerwał nagle - jak dźwięk alarmu przeciwpożarowego - dzwonek telefonu. Simon podniósł słuchawkę i usłyszał głos Charlesa Seymoura.

- Simonie, połączyłem się wreszcie z Kadafim. Chce negocjować.

Simon spojrzął na zegarek. Komandosi musieli być już kilkaset jardów od „Broadsworda”.

- Za późno - odparł. - Nie mogę ich zatrzymać.
- Nie pleć głupstw, do cholery, każ im zawrócić. Nie rozumiesz, że mamy w garści dyplomatyczne zwycięstwo.
- Kadafi może przeciągać negocjacje przez całe miesiące i na sam koniec upokorzyć nas. Nie wycofam się.
- Zobaczmy, jak zareaguje pani premier na twoją samowolę. - Charles trzasnął słuchawką.

Simon usiadł przy biurku i czekał, aż znów zadzwoni telefon. Zastanawiał się, czy uszłoby mu na sucho, gdyby zdjął słuchawkę z widełek - niczym Nelson przykładający teleskop do ślepego oka. Potrzebował zaledwie kilku minut, ale telefon zadzwonił wcześniej. W słuchawce usłyszał charakterystyczny głos Margaret Thatcher:

- Czy możesz ich zatrzymać, jeżeli wydam rozkaz, Simonie?
- Przemknęło mu przez myśl, że mógłby skłamać.
- Tak, pani premier - odparł.
 - Ale mimo wszystko chciałbyś przeprowadzić tę operację?
 - Zacznie się za kilka minut, pani premier.
 - Czy zdajesz sobie sprawę ze skutków ewentualnej porażki, zwłaszcza że Charles już ogłasza zwycięstwo dyplomatyczne?
 - W ciągu godziny złożyłbym rezygnację.
 - Podejrzewam, że ja również byłabym do tego zmuszona. A wówczas Charles już jutro byłby premierem. - Umilkła na chwilę.
 - Na drugiej linii mam Kadafiego. Powiem mu, że chcę negocjować.
 - Simon poczuł smak klęski. - Może zapewni ci to wystarczającą ilość czasu. Miejmy nadzieję, że kwestia rezygnacji będzie zmar-twieniem Kadafiego.

Simon miał ochotę krzyknąć „hura!”.

- Wiesz, co było dla mnie najtrudniejsze od początku tej operacji?
- Nie, pani premier.
- Kiedy Kadafi zadzwonił w środku nocy, musiałam udać, że wyrwano mnie ze snu. Nie mógł się przecież dowiedzieć, że siedzę przy telefonie.

Simon roześmiał się.

- Powodzenia, Simonie. Zadzwonię do Charlesa i wyjaśnię mu swoją decyzję.

Zegar wskazywał trzecią trzydzieści.

W pokoju operacyjnym admirałowie zaciskali pięści, bębnil

palcami w stół albo chodzili dookoła. Simon zrozumiał, co musieli czuć Izraelczycy w 1976 roku, czekając na wieści z Entebbe.

Znów zadzwonił telefon. Nie mogła to być pani premier- jedyna kobieta w Anglii, która nigdy nie zmieniała zdania. Odezwał się Charles Seymour.

- Chcę, żeby wszystko było jasne, Simonie - powiedział. - Wiadomość, że Kadafi chce negocjować, przekazałem ci o trzeciej dwadzieścia. Zostało to odnotowane, więc dziś rano tylko jeden minister będzie składał rezygnację.

- Wiem, co jest grane. Cokolwiek się stanie, ty na pewno wygrzebiesz się z gówna pachnący jak różyczka.

Simon cisnął słuchawkę i w tej chwili zegar wybił czwartą. Ni stąd, ni zowąd wszyscy wstali, ale po chwili jeden po drugim zaczęli siadać.

Siedem minut po czwartej ciszę radiową przerwały słowa:

- Złodziejaszek schwytyany, powtarzam: złodziejaszek schwytyany.

Szefowie sztabów zaczęli cieszyć się jak chłopcy, którzy strzelili zwycięskiego gola w meczu rugby. „Broadsword” wypłynął na wody neutralne. Simon usiadł przy biurku i poprosił o połączenie z Numerem Dziesiątym. Odezwała się pani premier.

- Złodziejaszek schwytyany - zameldował.

- Gratuluję. Proszę kontynuować operację - odparła spokojnie.

Plan przewidywał, że Libijczycy pokonani na pokładzie „Broadsworda” zostaną uwolnieni na Malcie i odesłani do domu. Simon czekał niecierpliwie na przerwanie ciszy radiowej, które - jak było umówione - miało nastąpić o godzinie piątej.

Punktualnie o piątej odezwał się kapitan Lawrence Packard i złożył meldunek Simonowi: jeden Libijczyk zabity, jedenastu rannych, po stronie brytyjskiej nie zginął nikt, kilka osób odniosło drobne obrażenia. Trzydziestu siedmiu komandosów wróciło na pokład łodzi podwodnych „Conqueror” i „Courageous”. HMS „Broadsword” miał awarię dwóch silników i przypominał arabski bazar, ale płynął bez przeszkód do Anglii. Meldunek kończył się słowami: Boże zachowaj królową.

- Gratuluję, kapitanie - powiedział Simon.

Pokuśtykał na Downing Street nie trując się zejściem do tunelu. Przed Numerem Dziesiątym gromadzili się dziennikarze

nie mający jeszcze pojęcia, co za chwilę usłyszą. Simon nie odpowiedział na żadne z pytań, którymi go obsypano. W pokoju obrad gabinetu zastał Charlesa i panią Thatcher. Przekazał im nowinę.

- Dobra robota, Simonie - pochwaliła pani Thatcher.

Charles milczał.

Ustalono, że pani premier wygłosi oświadczenie w Izbie o trzeciej trzydzieści.

- Muszę przyznać, że jestem coraz lepszego zdania o Charlesie Seymourze - powiedziała Elizabeth, kiedy jechali samochodem do Oksfordu na mecz hokeja, w którym brał udział ich syn.

- Niby dlaczego? - spytał Simon.

- Udzielił wywiadu w telewizji. Powiedział, że podzielał twoje opinie i ocenę sytuacji, ale przez cały czas musiał udawać, że najważniejsze są negocjacje, w istocie bezcelowe. Świetnie się wyraził mówiąc, że pierwszy raz w życiu miał poczucie, że dopuszcza się kłamstwa w szlachetnych intencjach.

- Pachnący jak różyczka - zachnął się Simon.

Elizabeth nie zrozumiała. Opowiedział jej o przeprawie z Charlesem.

- Dlaczego nie pisałeś o tym ani słowa?

- Miałbym przyznać, że w czasie operacji wojskowej klóciłem się z ministrem spraw zagranicznych? To by pokazało cały rząd w niekorzystnym świetle i opozycja miałaby niezłe używanie.

- Nigdy nie zrozumieję polityków - westchnęła Elizabeth.

Simon stał w deszczu na linii boiska i bawił go widok wdeptywanego w błoto syna, zwłaszcza że tak niedawno temu obawiał się, że Kadafi zgotuje mu podobny los.

- Kompletna kłapa - powiedział do dyrektora kolegium, kiedy drużyna Petera straciła w pierwszej połowie cztery bramki.

- Może syn, tak jak pan, zrobi nam niespodziankę w drugiej połowie - odparł dyrektor.

W sobotę rano Simon dostał wiadomość, że „Broadsword” spóźniany jest w Portsmouth o trzeciej. Dokładnie przed tygodniem

syn przegrał mecz osiem do zera - w drugiej połowie wcale nie było lepiej. Simon uśmiechnął się wspominając, jak go pocieszał - przecież nie on stał na bramce - ale Peter jeszcze długo chodził przybity.

Rozmyślenia przerwała sekretarka przypominając, że za godzinę ma być w Portsmouth. Kiedy Simon zbliżał się do drzwi, zadzwonił telefon.

- Proszę powiedzieć, że bardzo się śpieszę, już jestem spóźniony - polecił.

- Chyba nie mogę pana usprawiedliwić, panie ministrze - odparła sekretarka.

Simon odwrócił się zdziwiony.

- A kto dzwoni?

- Królowa.

Simon podszedł do biurka i podniósł słuchawkę. Kiedy królowa skończyła mówić, podziękował i zapewnił, że przekaże wiadomość kapitanowi Packardowi. Lecąc helikopterem patrzył na sznur samochodów ciągnących od Londynu do wybrzeża. Wszyscy jechali do Portsmouth powitać wracającego „Broadsworda”. Po godzinie lotu helikopter wylądował.

Stojąc na nabrzeżu sekretarz stanu do spraw obrony przez lornetkę oglądał niszczyciela, który miał przed sobą jeszcze godzinę drogi. Otoczony przez całą flotyllę mniejszych jednostek okręt był ledwie widoczny.

Sir John przekazał Simonowi zaproszenie kapitana Packarda: „Czy sekretarz stanu zechciałby stanąć na mostku, kiedy będę wpływać do portu?”

- Nie, dziękuję - odparł Simon. - To wielki dzień dla niego, nie dla mnie.

- Dobrze, że nie ma z nami ministra spraw zagranicznych - powiedział sir John.

Przelatujące nad ich głowami bombowce tornado zagłuszyły odpowiedź Simona. „Broadsword” wpłynął do portu z załogą wyprężoną na baczność w odświętnych mundurach. Niszczyciel łśnił jak rolls-royce zjedżdżający z linii produkcyjnej.

Schodzącego na nabrzeże kapitana witał Mlkusetysięczny tłum. Simon nie słyszał własnego głosu, tonącego w radosnej wrzawie.

Kapitan Packard zsalutował przed sekretarzem stanu, który po chylił się i szepnął mu do ucha wiadomość od królowej: - Witaj w domu, kontradmirał.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Akcja odbicia „Broadsworda” pozostała w pamięci wyborców znacznie krócej niż odzyskanie Falklandów. Konserwatom nie przysporzyło też popularności załamanie się rokowań rozbrojenowych w Genewie z udziałem Reagana, Czernienki i Thatcher.

Winą za załamanie się rokowań Rosjanie obarczali panią Thatcher i jej „agresywną pozę” w incydencie z „Broadswordem”, zwłaszcza że uzyskała w ONZ ich poparcie dla rozwiązania dyplomatycznego. Po pół roku przewaga konserwatystów w sondażach zmalała do trzech procent.

- Fakt pozostaje faktem - powiedział Raymond na posiedzeniu gabinetu cieni - pani Thatcher rezyduje pod Numerem Dziesiątym niemal od ośmiu lat, a od roku 1812 i lorda Liverpoolu żadnemu premierowi nie udało się utrzymać bez przerwy przez dwie kadencje, nie mówiąc już o trzech.

Przewidywania Raymonda sprawdziły się w tej porze roku, gdy schodzą z boisk sędziowie rugby, ustępując miejsca sędziom krykieta. Zresztą już w styczniu był pewien, że pani premier rozpisze wybory pod koniec maja lub w czerwcu, obawiając się kolejnej zimy. Kiedy konserwatyści utrzymali niepewny okręg w Birmingham i nadspodziewanie dobrze wypadli w wyborach lokalnych w maju, nikt już nie wierzył w możliwość odroczenia wyborów.

Margaret Thatcher nie dbała o historyczne precedensy i nie oglądając się na lorda Liverpoolu wyznaczyła wybory na koniec czerwca w przekonaniu, że miesiąc, w którym odnosiła zwycięstwa, znów okaże się dla niej szczęśliwy.

- Pora, żeby naród zdecydował, kto ma nim rządzić przez kolejne pięć lat - oświadczyła w „Panoramie”.

- Oczywiście nie ma to nic wspólnego z wysunięciem się na czoło w sondażach opinii - zauważyła zgryźliwie Joyce.

- Za kilka tygodni może utracić prowadzenie - powiedział Raymond.

Na kampanię w Yorkshire przeznaczył tylko trzy dni. Jako jeden z głównych rzeczników partii musiał objeżdżać niepewne okręgi i przemawiać na licznych wiecach i zebraniach. Niejeden dziennikarz pisał wprost, że partia Raymonda miałaby większe szanse na zwycięstwo w wyborach pod jego przewodnictwem. Wpadając na krótko do Leeds, Raymond z przyjemnością oddawał się przedwyborczej krzątaninie, a wśród członków elektoratu czuł się tak swojsko, jak nigdy przedtem. Poczuł też brzemień lat, gdy okazało się, że nowy kandydat torysów w Leeds North urodził się w 1964 roku, kiedy Raymond został posłem do parlamentu. Uraziło go, że młody rywal tytułuje go „sir”.

- Proszę mówić mi po imieniu - zaproponował.
- Raymondzie...
- Mów mi Ray.

Charles i Simon również rzadko widywali swoich wyborców, gdyż objeżdżali niepewne okręgi i im bliżej było do wyborów, tym gęściej zapisywali terminarze spotkań. W połowie kampanii konserwatyści przypuścili szturm na Sojusz, który według sondaży przyciągał coraz więcej dawnych zwolenników konserwatystów. Natomiast stali sprzymierzeńcy Partii Pracy odgrzewali stare sympatie.

Andrew musiał pozostać w Edynburgu przez całą kampanię, żeby znów stawić czoło Frankowi Boyle'owi. Jak napisał Stuart Gray w „Scotsmanie”, był on już jednak lwem, który stracił zęby. Co prawda może nie wszystkie, ale przynajmniej Królewski Bank Szkocki w ciągu trzystu lat istnienia nie musiał rozstawać się z drugim złotym suwerenem. Andrew utrzymał mandat przewagą dwóch tysięcy głosów i po raz ósmy wszedł do parlamentu. Louise twierdziła, że te dwa tysiące głosów oddali ludzie zakochani w Clarissie. Przepowiednie ojca zaczynały się sprawdzać - trzynastoletni podłotek wywoływał rumieńce na twarzach nieśmiałych młodych Szkotów.

Ostateczne wyniki wyborów były znane dopiero w piątek o czwartej po południu, gdyż w kilkunastu okręgach powtarzano liczenie głosów.

- Szala zwycięstwa może się przechylać na obie strony - powie-

dział David Dimbleby w specjalnym programie BBC. Dla tych, którzy wrócili właśnie z pracy, powtórzył rezultaty obliczeń:

KONSERWATYŚCI	313
LABURZYŚCI	285
SOJUSZ LIBERALNO-SOCJALDEMOKRATYCZNY	31
UNIONIŚCI IRLANDZCY	17
MARSZAŁEK I INNI	4

Dimbleby zaznaczył, że będąc liderem najliczebniejszej partii w Izbie Gmin pani Thatcher nie ma powodu do rezygnacji. Zapowiedziało się natomiast, że w następnych wyborach Sojusz umocni swoją pozycję.

Pragnąc zademonstrować jedność partii wobec niewielkiej większości mandatów, pani premier wprowadziła jedynie niewielkie korekty w składzie rządu. W prasie pisano o kosmetycznych poprawkach. Charles przeszedł do resortu spraw wewnętrznych, a Simon został ministrem spraw zagranicznych.

Wszyscy w Westminsterze odetchnęli z ulgą, gdy kilka tygodni później parlament zawiesił obrady na okres letniej przerwy.

Dla polityków wakacje trwały zaledwie tydzień, gdyż właśnie po tym czasie jak grom z jasnego nieba spadła zapowiedź Tony'ego Benna, który ogłosił zamiar ubiegania się o szefostwo Partii Pracy na październikowym zjeździe.

Benn utrzymywał, że ta partia tylko dlatego nie przejęła steru rządów, bo za przywódcę miała naiwnego i niezręcznego Kinnocka. Wielu socjalistów myślało podobnie, równocześnie sądząc, że gdyby wybrali Benna, wpadliby z deszczu pod rynnę.

Oświadczenie wywołało również i taki skutek, że godzien uwagi był każdy kandydat na lidera. Chęć wstąpienia w szranki przeciw Bennowi i Kinnockowi wyrazili Roy Hattersley i John Smith. Wielu posłów, przywódców związkowych i działaczy terenowych namawiało Raymonda, żeby zgłosił swoją kandydaturę.

- Jeżeli nie teraz, to kiedy? - zapytała Joyce. - Później nie będziesz miał już szans.

- Właśnie myślę o tym, co będzie później - odparł Raymond.

- Jak to?

- Chcę rywalizować z Michaeliem Meacherem i Johnem Cunninghamem o stanowisko wicelidera. W ten sposób zwiększyłbym swoje szanse na przyszłość.

Po tygodniu Raymond wystartował do wyborów na zastępcę lidera partii. Ogłosił swój zamiar na konferencji prasowej.

Wprawdzie żaden z czterech kandydatów na przywódcę nie był oczywistym faworytem, ale w pierwszej turze głosowania najczęściej przewidywano prowadzenie Benna. Hattersley i Smith umówili się, że ten z nich, który uzyska mniej głosów, wycofa się po pierwszej rundzie i poprze lidera prawicy.

Benn rzeczywiście zebrał najwięcej głosów, a Kinnock zajął trzecie miejsce. Ku powszechnemu zdziwieniu Kinnock wycofał się i zapelował do swoich zwolenników, by nie głosowali na Benna, który ani chybi na długo zakotwiczy Partię Pracy w opozycji.

Kilka godzin później przewodniczący partii ogłosił porażkę Tony'ego Benna. Na czele Partii Pracy stanął nowy umiarkowany przywódca.

Teraz miały odbyć się wybory wicelidera. Nowy przywódca dał wprawdzie do zrozumienia, że jako swoją prawą rękę najchętniej widziałby Raymonda, ale oczekiwano zaciętej rywalizacji. Joyce uwiłajała się między delegatami, a Raymond starał się narzucić sobie spokój. W niedzielę o jedenastej wieczorem przewodniczący krajowej egzekutywy Partii Pracy ogłosił zwycięstwo Raymonda Goulda zaznaczając, że jego przewaga wynosiła zaledwie trzy procent.

Nowy lider mianował Raymonda kanclerzem skarbu w gabinecie cieni.

Wraz z wieloma innymi listami i telegramami Raymond otrzymał telegram od Kate: „Gratulacje. Czytałeś punkt 5/4 regulaminu partii?” Odpisał: „Właśnie przeczytałem. Oby to był dobry znak”.

Przez pierwsze dwanaście miesięcy nowa ekipa laburzystowska tryskała energią i pomysłami, podczas gdy pani Thatcher wyraźnie traciła formę. Jej sytuacja nie poprawiła się, gdy w listopadzie 1988 roku do Białego Domu wprowadził się Gary Hart. Prezydent Hart ogłosił, że ma zamiar obniżyć bezrobocie i przeznaczyć większą część majątku Ameryki na rzecz „prawdziwych demokratów”. Zrodziło to nowe problemy w Wielkiej Brytanii. Z dnia na dzień funt

wzmocnił się w stosunku do dolara, a towary objęte zamówieniami eksportowymi zaczęły pokrywać się kurzem w portowych magazynach.

Szyki pani Thatcher najbardziej jednak pomieszała decyzja nowych rządów Brazylii i Argentyny, które odmówiły spłacenia pożyczek zaciągniętych przez dawne wojskowe reżimy. Bank Angielski pozostał ze „złymi długami”.

W czasie mroźnej zimy 1988 roku konserwatyści odnosili porażki na forum Izby i w komisjach parlamentarnych. Pani premier odczekała wyjeżdżając na święta do Chequers.

Chwila wytchnienia trwała krótko. Dwóch posłów konserwatywnych zmarło w styczniu przed wznowieniem obrad. W prasie pisano o rządzie, którego czas minął.

Podwójne wybory uzupełniające odbyły się w maju - konserwatyście powiodło się lepiej, niż można się było spodziewać. Jeden mandat utrzymali, drugi stracili przy niewielkiej różnicy głosów. Po raz trzeci pani Thatcher zdecydowała się na czerwcowe wybory.

Po dziewięciu latach rządów „damy z Grantham” ludzie pragnęli odmiany - tak odczytywał nastroje Raymond. Podawane w czasie kampanii wskaźniki bezrobocia, inflacji, salda handlu zagranicznego źle wróżyły konserwatyście.

Wielokrotne apele pani Thatcher, by nie oceniać rządu na podstawie danych z jednego miesiąca, nikogo nie przekonywały i na tydzień przed wyborami spierano się już tylko o to, jaką przewagę zdobędą laburzyści.

W piątek rano po wyborach Raymond dowiedział się od Joyce, że komputery wyliczyły dla jego partii czteromandatową absolutną większość. Objechali razem okręg i poszli na późny lunch do rodziców Raymonda. Kiedy wychodzili, czekający przed sklepikiem rzeźnika tłum sympatyków zaczął wznosić okrzyki na ich cześć. Raymond i Joyce pojechali do Londynu na Cowley Street i akurat zdążyli zobaczyć w telewizji pierwszego od 1979 roku laburzystowskiego premiera, który wyszedł z pałacu Buckingham i pojechał prosto na Downing Street. Przez całą drogę towarzyszyły mu kamery telewizyjne.

Tym razem Raymond nie musiał długo czekać na telefon, gdyż

nowy premier w pierwszej kolejności mianował kanclerza skarbu. Raymond i Joyce pojechali pod Numer Jedenasty, a dom przy Cowley Street kazali wynająć na sześć miesięcy z zastrzeżeniem, że po tym okresie zadecydują o przedłużeniu umowy. Joyce długo oglądała nowy dom opuszczony przez Dianę i Leona Brittanów i robiła porządki przestawiając z miejsca na miejsce pozostawione przez poprzedników przedmioty. Raymond ściągnął laburzystów z ich siedziby w Transport House i zabrał się za porządki w budżecie. Po naradzie z doradcami przejrzał wieczorem stosy listów i telegramów z gratulacjami. Dużą przyjemność sprawił mu zwłaszcza telegram od Kate Wilberhoff. Od razu odpisał, dołączając najlepsze życzenia na nową drogę życia.

Andrew pokonał po raz trzeci Franka Boyle'a, który oświadczył, że nie będzie więcej stawał do wyborów.

Andrew podziękował wszystkim, którzy mu pomagali, i wrócił do Londynu. W poniedziałek rano na tablicy z ogłoszeniami dla posłów znalazł adresowany do siebie list.

Z Davidem Owenem spotkali się na lunchu w jadalni poselskiej. Usłyszał, że po siedmiu latach przewodzenia socjaldemokratom Owen nie będzie ponownie kandydował na szefa partii. Socjaldemokraci poprawili wprawdzie nieco swoją pozycję w Izbie, ale szykowała się pięcioletnia kadencja parlamentu i Owen chciał, żeby Andrew przejął od niego pałeczkę.

Po wydaniu przez Owena oficjalnego oświadczenia dla prasy do Andrew pierwszy zadzwonił Geoffrey Parkhouse z „Glasgow Herald” i zapytał:

- Kiedy zgłosi pan kandydaturę na lidera socjaldemokratów?

Odejście z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych było dla Charlesa bardzo przykre. Pracował tam krótko i niewiele zdołał osiągnąć. Ministerialni urzędnicy odsuwali na później wszystkie ważniejsze decyzje, czekając na następne wybory powszechne i silniejszy rząd. W poniedziałek po wyborach Charles oznajmił Amandzie przy śniadaniu, że zamierza wrócić do banku Seymoura i pensji wystarczającej na wypłacanie jej stałej sumy na utrzymanie - pod warun-

kiem, że dotrzyma zawartej umowy. Amanda skinęła głową i kiedy bez słowa odeszła od stołu, w pokoju zjawił się Harry.

Dla niego był to ważny dzień - miał pojechać do szkoły przygotowawczej w Hill House i rozpocząć naukę, której przebieg zaplanował ojciec. Bał się, choć Charles przekonywał, że będzie to tylko pierwszy krok ku wspaniałej przyszłości. Charles przekazał przestraszonego ośmiolatka dyrektorowi szkoły i pojechał do City z góry ciesząc się na myśl o powrocie do bankowości.

W banku Seymoura sekretarka Clive'a Reynoldsa zaprowadziła go do sali posiedzeń zarządu i zaproponowała kawę.

- Dziękuję - powiedział Charles. Zdjął rękawiczki, odstawił parasol do stojaka i zasiadł w fotelu prezesa u szczytu stołu. - Powie pani Reynoldsowi, że przyszedłem?

- Oczywiście.

Po chwili pojawił się Clive Reynolds.

- Dzień dobry, panie Seymour. Miło pana widzieć po tak długiej przerwie. - Podał mu rękę.

- Dzień dobry, Clive. Mnie również miło cię widzieć. Przede wszystkim gratuluję. Podczas mojej nieobecności prowadziłeś bank wzorowo.

- Bardzo pan łaskaw, panie Seymour.

- Nikt w City nie spodziewał się przejęcia Distillers. Jestem pod wrażeniem.

- Świetne posunięcie, prawda? - powiedział z uśmiechem Reynolds. - Szykuję następne.

- Chętnie dowiem się czegoś więcej.

- Niestety, na razie sprawa jest poufna - wyjaśnił Reynolds siadając obok.

- Oczywiście, ale skoro wróciłem do banku, powinienem mieć dostęp do wszelkich informacji.

- Przykro mi, ale nie udzielamy informacji akcjonariuszom, dopóki nie zostanie zawarta transakcja. Nie możemy dopuścić, żeby jakieś pogłoski zmniejszyły nasze szanse, prawda?

- Ale ja nie jestem zwykłym akcjonariuszem - zachnął się Charles. - Przychodzę jako prezes banku.

- Nie, panie Seymour - rzekł cicho Reynolds. - To ja jestem prezesem.

- Czy wiesz, do kogo mówisz? - spytał Charles.

- Myślę, że tak. Jest pan byłym ministrem, byłym prezesem banku i właścicielem dwóch procent akcji.

- Zarząd wyraził zgodę na mój powrót, gdyby konserwatyści przeszli do opozycji - przypomniał Charles.

- Od tamtej pory skład zarządu znacznie się zmienił - powiedział Reynolds. - Kierowanie sprawami świata absorbowало pana tak bardzo, że nie zważał pan pewnie zmian na Cheapside.

- Zwołam posiedzenie zarządu.

- Nie ma pan takiego prawa.

- Zażądam nadzwyczajnego walnego zgromadzenia.

- I co powie pan akcjonariuszom? Że ustanowił pan zasadę umożliwiającą panu w każdej chwili powrót na fotel prezesa? Jak to zabrzmiało w ustach byłego ministra spraw zagranicznych?

- Jutro już pana tu nie będzie - oznajmił Charles podnosząc głos.

- Nie wydaje mi się, panie Seymour. Pani Trubshaw przepracowała u nas zgodnie z życzeniem pięć lat i odeszła na zasłużoną emeryturę. Szybko przekona się pan, że nie posiadam konta w szwajcarskim banku ani kosztownej utrzymanki.

Charles poczerwieniał.

- Usunę pana stąd - powiedział. - Nie wyobraża pan sobie nawet, jak daleko sięgają moje wpływy.

- Ze względu na pana mam nadzieję, że nie zostaną usunięty - odparł spokojnie Reynolds.

- Grozi mi pan?

- Ależ skąd, panie Seymour. Po prostu byłoby mi przykro wyjaśniać, że bank Seymoura stracił przeszło pół miliona funtów na transakcjach związanych z firmą Nethercote'a, ponieważ chciał pan zniszczyć polityczną karierę Simona Kerslake'a. Może zainteresuje pana, że jedynym zyskiem z tej porażki jest większy kredyt zaufania dla banku. Głównie dlatego, że poradziłem bankowi Morgana Grenfella ratować rozbitka.

Charles uśmiechnął się.

- Kiedy podam to do wiadomości publicznej, koniec z panem - zatriumfował.

- Może - powiedział Reynolds. - Ale pan również pożegna się z nadzieją na stanowisko premiera.

Charles odwrócił się, wziął parasol, rękawiczki i wyszedł, mija-

jąc w drzwiach sekretarkę, która niosła dwie kawy. Bez słowa trzasnął drzwiami.

- Wystarczy jedna kawa, pani Bristow.

Przez kilka dni po mowie tronowej otwierającej sesję parlamentu Andrew otrzymywał wiele listów z zapewnieniami poparcia, gdyby zgłosił swoją kandydaturę na lidera socjaldemokratów.

Na cotygodniowym zebraniu w parlamencie partyjny naganiacz poprosił o zgłaszanie do jego biura w ciągu siedmiu dni kandydatur na lidera. Każde zgłoszenie wymagało poparcia dwóch deputowanych.

Dziennikarze z prasy bulwarowej próbowali wynaleźć, wyczarować, nawet wymyślić rywala dla Andrew. Louise, która zbyt wierzyła słowu drukowanemu, sięgnęła po „Morning Star”, jedyną gazetę nie zainteresowaną wyborami lidera. Po siedmiu dniach okazało się, że Andrew jest jedynym kandydatem.

Na kolejnym zebraniu socjaldemokratów Andrew został nie tyle wybrany, co „namaszczony”. W sobotę, już jako członek Królewskiej Rady Przybocznej, przemawiał do zagorzałych socjaldemokratów zgromadzonych w Albert Hall. Po dobrze przyjętej mowie prasa jednogłośnie zapowiadała - zresztą nie po raz pierwszy - odrodzenie sojuszu liberałów i socjaldemokratów. Paru dziennikarzy zaznaczyło, że wielce szanowny Andrew Fraser mógłby mieć trudności z decyzją, na którą stronę przeważyć szalę zwycięstwa w parlamencie. Jego ojciec był wybitnym torysem, sam należał do Partii Pracy od dwunastu lat, którą zatem partię uznałby za mniejsze zło? Na pytanie dziennikarzy Andrew odpowiadał, że ma jeszcze czas na zastanowienie, a zresztą socjaldemokraci mogli wcale nie dojść do porozumienia z liberałami.

W całym kraju ukazały się liczne artykuły o nowym liderze Partii Socjaldemokratycznej. Przypominano, jak próbował uratować synowi życie, jak żona długo dochodziła do zdrowia po śmierci Roberta, jak wychował adoptowaną córkę Clarissę i jak złoty suwerek zadecydował o ponownym wyborze do parlamentu.

Clarissa powiedziała ojcu, że za sprawą całego tego zgiełku czuje się jak gwiazda filmowa. Przyznała, że jest najpopularniejszą dziewczynką w szkole i radziła ojcu, aby został premierem. Śmiał

się, ale przewodził swojej partii z taką energią i determinacją, że zaczęto wymieniać go jednym tchem z przywódcami torysów i laburzystów.

Ledwie ucichł szum wokół wyboru Andrew na lidera, w prasie pojawiły się spekulacje pod hasłem: czy pani Thatcher ustąpi miejsca jakiemuś młodszemu mężczyźnie?

- Nie znasz innej restauracji?

- Znam, ale w nich mnie nie znają - odparł Ronnie Nethercote. Po kilku latach przerwy dwóch panów weszło razem do Ritza. Goście przy stolikach zaczęli szeptać nazwisko Simona.

- Co ostatnio porabiasz? Niemożliwe, żeby praca w opozycji pochłaniała ci cały czas - powiedział Ronnie, kiedy usiedli.

- To prawda - odparł Simon. - Można by powiedzieć, że jestem jednym z czterech milionów bezrobotnych.

- Właśnie o tym przyszliśmy porozmawiać. Najpierw jednak polecam ci wiejską zupę jarzynową i...

- ...pieczeń wołową - wpadł mu w słowo Simon.

- Pamiętałeś.

- W tej akurat dziedzinie twój sąd był nieomylny.

Ronnie roześmiał się, nieco za głośno jak na bywalca Ritza, i powiedział:

- Skoro nie dowodzisz już siłami zbrojnymi i żaden ambasador nie zwraca się do ciebie „wasza eminencjo” czy jakoś tam, to może wszedłbyś do zarządu mojej nowej spółki?

- Milo, że to proponujesz, Ronnie, ale muszę odmówić.

Przerwali rozmowę, żeby złożyć zamówienie.

- Propozycja łączy się z pensją dwudziestu tysięcy funtów rocznie.

- Mielibyśmy na co wydać te pieniądze. Peter pisze doktorat w Oksfordzie, a Michael uparł się, żeby zostać aktorem, i sam nie wiem, czy będę miał kiedyś dodatnie saldo na koncie.

- To dlaczego nie dołączysz do nas?

- Bo polityka to moje życie. Nie chcę się angażować w żadną inną działalność.

- Taką, która przeszkodziłaby ci zostać premierem?

Bezpośredniość pytania sprawiła, że Simon się zawahał.

- Jeśli mam być szczerzy, odpowiem: tak. Mam spore szanse i postąpiłbym głupio, gdybym zmniejszył je, angażując się w coś innego niż polityka.

- Ale wszyscy wiedzą, że gdy Margaret spakuje manatki, to ty zostaniesz przywódcą. To bardzo proste.

- To nigdy nie jest proste, Ronnie.

- Więc powiedz, kto mógłby ciebie pobić?

- Na przykład Charles Seymour.

- Seymour? To pyszałkowaty snob.

- Ma w partii wielu przyjaciół i arystokratyczne pochodzenie, które nadal liczy się u torysów. W ostatnich latach ukochanym premierem był sir Alec.

- Tak, ale on został wybrany przez starszyznę. Gdyby każdy członek partii dysponował głosem, wygrałbyś w cuglach z Seymourem.

- To się okaże - odparł Simon, którego zdudziły rozmowy wciąż o tym samym, choć z różnymi ludźmi. - A ty co porabiasz? - zapytał, żeby zmienić temat.

- Haruję jak wół, przygotowując się do wejścia na rynek akcji. Chcę to zrobić za rok, dlatego jesteś mi potrzebny w zarządzie.

- A ty ciągle swoje.

- Tak. Mam nadzieję, że nie pozbyłeś się jednoprocetowego udziału w spółce.

- Elizabeth zamknęła ten papier w jakiejś szufladzie.

- Koniecznie znajdź klucz.

- Dlaczego? .

- Bo kiedy wypuszczę na rynek dziesięć milionów akcji po trzy funty, twoja stara akcja zostanie wymieniona na sto tysięcy akcji zwykłych. Nie byłeś kanclerzem skarbu, więc ci podpowiem, że trzysta tysięcy funtów piechotą nie chodzi.

Simon zaniemówił.

- No, powiedz coś - ponaglił Ronnie.

- Zupełnie zapomniałem o tamtej akcji - wykrztusił Simon.

- Mogę chyba powiedzieć, że nie pożalujesz tamtego wydatku - rzekł Ronnie i parodiując panią Thatcher dodał: - Zanim się wyda funta, trzeba obejrzeć go z dwóch stron.

Zbliżał się dzień przedstawienia projektu ustawy budżetowej. Raymondowi każda doba wydawała się za krótka. Omawiając z kadrą z Ministerstwa Finansów propozycje zmian, przekonał się, że musi pójść na ustępstwa. Miał powyżej uszu uwag, że można zaczekać do następnego roku, czekał przecież tak długo. Często chodził do Transport House, aby z partyjnymi doradcami omawiać najważniejsze obietnice z programu partii. Cieszył się, że po zwycięstwie wyborczym siedzibę partii przeniesiono z Walworth Road z powrotem do Transport House, gdzie mieściła się centrala największego związku zawodowego Wielkiej Brytanii.

Podczas tygodni pracy nad budżetem zawarto wiele kompromisów. Uzgodniono, gdzie dokonać cięć. Raymondowi udało się jednak zachować zmiany, na których najbardziej mu zależało. W piątek rano, na kilka dni przed prezentacją budżetu, doradcy z ministerstwa dostarczyli mu tekst wystąpienia. Obliczali, że odczytanie 143 stron zajmie dwie i pół godziny.

We wtorek rano Raymond przedstawił gabinetowi zmiany w systemie podatkowym. Zgodnie z tradycją ministrowie dopiero na kilka godzin przed czytaniem projektu ustawy budżetowej w Izbie mieli zapoznać się z jego treścią.

Dzień przedstawienia budżetu w Izbie Gmin należy do wyjątkowych. Ambasadorzy, dyplomaci, bankierzy i członkowie Izby Lordów tłoczą się na małej galerii dla gości wraz z szarymi obywatelami. Kolejka chętnych do wysłuchania mowy kanclerza skarbu ciągnie się nieraz przez ćwierć mili, aż do Mostu Westminsterkiego, ale tylko Miku ludziom udaje się dostać do środka, gdyż większość miejsc jest od dawna zarezerwowana. O wpół do trzeciej Izba jest już pełna, choć kanclerz staje przy pulpicie dopiero godzinę później. Na zatłoczonej galerii dla prasy korespondenci, gotowi pobiec natychmiast do telefonów, czekają na ogłoszenie zmian w systemie podatkowym. Ponieważ Izba jest za mała, żeby pomieścić szeregowych posłów na miejscach siedzących, każdy stara się zająć je wcześniej. Konserwatyści rezerwują miejsca, wypełniając rano kartki z psalmami i zostawiając je tam, gdzie chcą usiąść. Socjaliści uważają ten system za niedemokratyczny, nie używają kartek z psalmami i walą hurmem do Izby o drugiej przy trzydziści. Ateiści z obu stron Izby czekają, aż kapelan

odprawi modły, po czym biegną do swoich miejsc z nadzieją, że są jeszcze wolne.

W dniu prezentacji budżetu zezwala się na swobodę stroju. Na głowach konserwatystów pojawiają się cylindry, a ten i ów laburzysta nakłada górniczy kask. Na przykład Tom Carson przyszedł tego dnia w roboczych drelichach i szaliku kibica Liverpoolu, natomiast Alec Pimkin paradował z białym goździkiem w klapie i w czerwonej jedwabnej kamizelce.

Zieleń obu pierwszych ław zaczerwienia się na długo przed godziną trzecią. Posłów maruderów odsyła się na miejsca stojące albo na górę, na galerie poselskie, gdzie nie ma już tej atmosfery co na dole i skąd nikt się nie odzywa.

Dziesięć po trzeciej Raymond wyszedł z Numeru Jedenastego, trzymając nad głową wysłużony kuferek budżetowy pamiętający czasy Gladstone'a. Kiedy kuferek został obfotografowany, Raymond wsiadł do limuzyny i pojechał do Izby Gmin.

Kwadrans po trzeciej premier zaczął odpowiadać na pytania, a Izba przypominała widownię w West Endzie przed rozpoczęciem premierowego spektaklu.

Dwadzieścia pięć po trzeciej Raymond wszedł do Izby witany wrzawą sali. Jedyne wolne miejsce w Izbie czekało na niego. Raymond uśmiechnął się jeszcze do Joyce, którą dostrzegł na galerii dla gości. O wpół do czwartej, gdy premier skończył odpowiadać na pytania, wstał przewodniczący komisji budżetowej, zastępujący w czasie debaty marszałka Izby, który będąc „urzędnikiem Korony” nie kieruje dyskusjami o finansach.

- Expose budżetowe, kanclerz skarbu - powiedział.

Raymond wstał i położył przed sobą tekst wystąpienia. Przedstawił w skrócie sytuację gospodarczą na świecie i poinformował posłów, że w pierwszym przygotowanym przez siebie budżecie stawia za cel zmniejszenie bezrobocia bez podwyższania inflacji. Przez półtorej godziny nie wyjawiał planowanych zmian w systemie fiskalnym. Zwyczaj nakazywał poczekać z tym aż do zamknięcia giełdy londyńskiej. Stwarzało to mówcy pole do popisu - można było co najwyżej dawać to i owo do zrozumienia niecierpliwym się słuchaczom.

Raymond odwrócił siedemdziesiątą ósmą stronę i napił się wody. Skończył z teoretyzowaniem i miał przejść do konkretów.

- Emerytury zostaną podwyższone do rekordowego poziomu -

oznajmił. - Podobnie renty inwalidzkie oraz zasiłki dla matek lub ojców samotnie wychowujących dzieci. - Raymond wyjął z kieszeni poźółkłą kartkę i odczytał fragment swojego pierwszego publicznego wystąpienia. - „Żadna kobieta, której mąż oddał życie za ojczyznę, nie będzie skazana na niewdzięczność narodu. Emerytury dla wdów po poległych żołnierzach wzrosną o połowę, a obligacje wojenne będą w pełni honorowane”.

Podniosła się wrzawa i trwała dłuższą chwilę.

- O pięć procent wzrośnie podatek od piwa, papierosów, benzy ny i perfum - ciągnął, gdy w Izbie ucichło. - Podatek od stałych dochodów przekraczających trzydzieści tysięcy funtów rocznie wzrośnie do osiemdziesięciu pięciu procent, podatek od przyrostu wartości majątku - do pięćdziesięciu procent.

Niektórzy konserwatyści spochmurnieli. Raymond zapowiedział program rozwoju regionów i zwiększenie liczby zatrudnionych. Kiedy precyzował plan dla poszczególnych regionów, w różnych zakątkach Izby rozlegały się radosne okrzyki.

- Jestem pierwszym od dziesięciu lat kanclerzem skarbu z ramienia laburzystów - powiedział na zakończenie. - Nie jest moim celem okradanie bogatych i rozdawanie biednym. Chcę, żeby do brze sytuowani płacili podatki, dzięki którym ulżymy potrzebującym. Zapowiadam szanownym posłom zasiadającym naprzeciwko, że jest to zaledwie jedna piąta tego, co zamierzam osiągnąć w obecnej kadencji parlamentu. Oby za pięć lat w naszym społeczeństwie zapanowała większa równość i sprawiedliwość. Chcemy, żeby instytucja klasy społecznej stała się takim samym przeżytkiem jak więzienia dla dłużników, żeby wynagradzany był talent, ciężka praca i uczciwość. Chcemy socjalistycznego społeczeństwa, którego zazdrościć nam będą na Wschodzie i na Zachodzie. Projekt budżetu, panie marszałku, jest środkiem realizacji tego marzenia. Mogę tylko liczyć, że będę miał dość czasu, by je urzeczywistnić.

Wystąpienie trwało dwie i pół godziny, tyle ile bieg maratoński. Siedzący za Raymondem posłowie zaczęli wiwatować i wymachiwać programami obrad.

Pani Thatcher stanęła przed karkołomnym zadaniem udzielenia natychmiastowej repliki. Jedyne, co mogła zrobić, to wytknąć parę słabych punktów w expose kanclerza. Izba nie wsłuchiwała się w jej słowa z nabożnym skupieniem.

**KSIEGA PIATA
1989 - 1990
PARTYJNI PRZYWÓDCY**

Rozdział trzydziesty drugi

Po dobrze przyjętym projekcie ustawy budżetowej pani Thatcher względnie szybko zarządziła zmiany w gabinecie cieni. Kanclerza skarbu przesunęła do resortu spraw zagranicznych, Simonowi powierzyła sprawy wewnętrzne, a Charlesa ustawiła naprzeciw groźnego przeciwnika, jakim był Raymond Gould z Ministerstwa Finansów.

Raymond przekonał się niebawem, jak trudno przepychać ustawy, gdy Charles połączył entuzjazm swojej młodej ekipy z własnym niemałym doświadczeniem.

Wolniej, niż by sobie tego życzył, Raymond szedł jednak od sukcesu do sukcesu. Po śmierci dwóch posłów partia odnotowała spore, jak na stronnictwo rządzące, osiągnięcie, wygrywając wybory uzupełniające w obu okręgach. Po wyborach tych na nowo rozeszła się plotka, że Denis Thatcher namawia żonę na odejście ze sceny politycznej.

Charles Seymour wiedział, że kiedy polityk postanawia odejść, dzieje się to nagle, a wszyscy są zaskoczeni i zdeorientowani. Dlatego zawczasu gromadził wokół siebie lojalnych współpracowników i był przygotowany na rezygnację pani Thatcher. Doszło do tego po kilku miesiącach.

W liście do sir Cranleya Onslowa, nowego przewodniczącego Komitetu 1922, była pani premier wyjaśniła, że przed następnymi wyborami ukończy sześćdziesiąt pięć lat, pora więc przekazać przywództwo partii komuś młodszemu. Dodała, że stała na czele torysów czternaście lat, dłużej niż jakikolwiek inny konserwatysta od czasów Churchilla.

Jak każdego odchodzącego lidera, koledzy zapewnili panią Thatcher, że była najlepszym premierem od czasów Churchilla, po czym zaczęli rozglądać się za nowym Churchillem.

W kilka godzin po rezygnacji pani Thatcher Charles Seymour i Simon Kerslake odebrali po kilkadziesiąt telefonów i listów od

sympatyków. Skontaktowali się z nimi czołowi komentatorzy polityczni. Charles przygotował się do kampanii ze starannością, która charakteryzowała wszystkie jego działania. Wyznaczył zastępców, by zajęli się posłami pochodzącymi z kolejnych naborów od roku 1964. Simon zaś poprosił Billa Traversa o zorganizowanie pomocników. Travers, jak każdy farmer, wstawał rano i zabierał się za robotę.

Pierwszego z siedmiu dni przewidzianych w regulaminie nominowano dwóch kandydatów. Ponieważ nikt nie zgłaszał się na trzeciego, »w prasie zapowiedziano „wyścig” z udziałem „dwóch koni”.

„Financial Times” posunął się dalej. Jego redaktor polityczny, Peter Riddell, przez cały tydzień polował na dwustu osiemdziesięciu dziewięciu torysów w parlamencie. Udało mu się skontaktować z dwustu dwudziestoma ośmioma, po czym doniósł czytelnikom, że stu jeden zamierza głosować na Simona Kerlake'a, dziewięćdziesięciu ośmiu - na Charlesa Seymoura, a dwudziestu dziewięciu odmówiło udzielenia odpowiedzi. W artykule pod tytułem *Kerlake nieco w przodzie* dziennikarz zaznaczył, że obaj politycy nigdy nie mówią źle o sobie, chociaż wiadomo, że się nie kochają.

W poniedziałkowym numerze „Sun” wyróżniał się tytuł *Król Kerlake*. Dziennikarz przewidywał zwycięstwo Simona stosunkiem głosów 116 do 112; Simon przypuszczał, że rezultat obliczeń jest wynikiem przydzielenia niezdecydowanych z ankiety „Financial Timesa” mniej więcej po równo do obydwu obozów. Lord Mikardo, były poseł laburzysty, już czternaście razy zabawiał się w bukmachera przed wyborami przywódcy dowolnej partii. Obecnie, na osiem dni przed rozstrzygnięciem rywalizacji, typował szanse Simona na dwa do jednego, a Charlesa jedenaście do ośmiu. Simon usłyszał o tym od Elizabeth, ale pomny przykrych doświadczeń z wielce szanowanym deputowanym z Sussex Downs powiedział, że nie należy nie doceniać Charlesa Seymoura. Elizabeth przyznała mężowi rację i pokazała krótką wzmiankę w gazecie. Nowa spółka Ronnie'ego oferowała do sprzedaży akcje i wszystko wskazywało, że nie starczy ich dla wszystkich chętnych.

- Przynajmniej ta przepowiednia się sprawdziła - powiedział Simon z uśmiechem.

Na dwanaście godzin przed zamknięciem listy z nominacjami kandydackimi wpisał się na nią ktoś nie znany szerszemu ogółowi - Alec Pimkin. Wszyscy byli zdumieni. Niektórzy koledzy wyrazili zdziwienie, że Pimkin znalazł dwie osoby, które poparły jego kandydaturę. Uważano, że zaszkodził Charlesowi przyciągając do siebie jego zwolenników, aczkolwiek musiało ich być niewielu. Bes-serweiserzy doliczali się ośmiu.

Pimkin stanowczo odrzucał usilne prośby Charlesa o wycofanie się. Zdradził Fionie, że chwilowa sława bardzo go cieszy. Z przyje-mnością wystąpił na konferencji prasowej w parlamencie i udzie-lał wywiadów. Od czasu debaty nad przystąpieniem do Wspólnego Rynku nikt się nim tak nie interesował. Spodobała mu się nawet karykatura w „Daily Telegraph” przedstawiająca Charlesa ścigają-cego się z Simonem i zdyszanego Aleca truchtającego w tyle. Ale-xander DalGLISH zachodził w głowę, po co Pimkin w ogóle wystarto-wał.

- Moja przewaga w Littlehampton spadła z przeszło dwunastu tysięcy do trzech tysięcy dwustu. Socjaldemokraci depczą mi po piętach. Ten nudziarz Andrew Fraser raz na miesiąc wygłasza w Sussex mowę, zachwalając swojego kandydata.

- Ile głosów uda ci się zebrać? - spytała Fiona.

- Więcej niż się zdaje tym pismakom. Już mam obiecane dzie-więć głosów, nie licząc własnego, a może będzie ich piętnaście.

- Dlaczego aż tyle? - Fiona zdała sobie od razu sprawę ze swojego nietaktu.

- Droga dziecinko - odparł Pimkin. - W naszej partii są ludzie, którym nie odpowiada ani absolwent mało znanej szkoły prywatnej, któremu udało się wybić, ani snobistyczny arystokrata patrzący na wszystkich z góry. Głosując na mnie, deklarują swoją niechęć do obu.

- Czy nie postępujesz nieodpowiedzialnie? - zapytała Fiona zła za „dziecinkę”.

- Możliwe, ale nie masz pojęcia, ile dostają zaproszeń. Potrwa to pewnie jeszcze przez rok po wyborach lidera.

Gromy z jasnego nieba spadają na Izbę Gmin bardzo rzadko, tylko wtedy gdy zły los zainterweniuje we właściwym momencie.

Zdarzenie, szeroko opisywane przez prasę w jednym tygodniu, w innym nie zostanie zaszczycone skromną wzmianką. W czwartek, przed wyborami lidera, tłumnie zgromadzeni posłowie słuchali pytań do kanclerza skarbu. Raymond i Charles nad stołem marszałka prowadzili pojedynek na słowa, przy czym Charles zdobywał lekką przewagę. Simonowi nie pozostawało nic innego, jak siedzieć i słuchać rywala zdobywającego dla siebie punkty.

Przy każdej interpelacji przewidzianej w programie obrad Tom Carson palił się do zadania pytania dodatkowego. Między drugą trzydzieści a trzecią pięć zrywał się z miejsca kilkanaście razy. Wreszcie marszałek dał za wygraną i dwanaście po trzeciej udzielił mu głosu w związku z pozornie niewinnym pytaniem o niespodziewanych zyskach.

Ponieważ zbliżała się godzina pytań do premiera, galeria dla prasy była wypełniona tak jak obie Izby. Carson odczekał chwilę.

- Co sądziłby mój wielce szanowny kolega o człowieku, który inwestuje jednego funta w spółkę i po pięciu latach otrzymuje czek na trzysta tysięcy, mimo że nie zasiadał w zarządzie ani w żaden inny sposób nie był zaangażowany w działalność spółki?

Zaskoczony Raymond nie wiedział, o co chodzi Carsonowi. Nie spostrzegł, że Simon Kerslake pobladał. Wstał.

- Przypomniałbym mu, że podatek od przyrostu wartości majątku podwyższyłem do pięćdziesięciu procent, co powinno ostudzić jego zapał.

Niewielu posłów roześmiało się, być może dlatego, że Raymond nigdy nie żartował przemawiając przy pulpicie jako kanclerz skarbu. Simon przesłał Raymondowi notatkę.

- Czy zdaniem kanclerza taka osoba nadaje się na premiera lub choćby przywódcę opozycji? - zapytał Carson.

Posłowie zaczęli rozmawiać między sobą, usiłując dociec, kogo dotyczy pytanie. Marszałek poruszył się niespokojnie w fotelu. Chciał położyć kres nieoczekiwanym pytaniom. Raymond stanął przy pulpicie i odpowiedział Carsonowi, że jego pytanie nie zasługuje na komentarz. Na tym by się może skończyło, gdyby nie Charles.

- Panie marszałku - powiedział stając przy pulpicie. - Czy kanclerz skarbu wie, że ten osobisty atak, skierowany przeciwko mojemu wielce szanownemu koledze, deputowanemu z Puckle-

bridge, jest haniebnym pomówieniem? Szanowny poseł z Liverpool Dockside powinien natychmiast odwołać swoje słowa.

Konserwatyści głośno poparli Charlesa, który tak wielkodusznie wstawił się za kolegą. Simon milczał wiedząc, że jutrzejsza prasa podchwyci rzucony przez Charlesa temat.

W piątek rano czytając gazety przy śniadaniu, Simon nie dziwił się zainteresowaniu wywołanemu przez judaszowe pytanie Charlesa. Reporterzy szczegółowo donosili o transakcji z Nethercote'em. Nie było mu miło czytać, że w zamian za jednego funta otrzymał od „spekulanta nieruchomości” trzysta tysięcy. Niektórzy „czuli się zmuszeni spytać”, jakie zyski z transakcji zamierzał wyciągnąć Nethercote. Nikt nie pisał, że Simon zasiadał w zarządzie poprzedniej spółki przez pięć lat, zainwestował w nią sześćdziesiąt tysięcy funtów i dopiero niedawno skończył spłacać dług w banku.

Simon wydał oświadczenie dla prasy i większość niedzielnych dzienników zamieściła sprostowanie. Ale redaktor „Sunday Express”, sir Peter McKay, pogorszył jeszcze sprawę komentarzem w popularnej rubryce.

„Daleki jestem od insynuowania, że Simon Kerslake dopuścił się nieuczciwości, ale niektórzy posłowie mogą zastanawiać się, czy ruszać do wyborów powszechnych pod wodzą pechowego lidera. Pamiętać należy, że pan Seymour będąc w opozycji nie starał się podjąć pracy w rodzinnym banku, gdyż miał nadzieję na zajęcie ważnego stanowiska w państwie”.

W poniedziałek, przewidując rezultat wtorkowego głosowania, prasa przyznała prowadzenie Seymourowi. Niektórzy dziennikarze pisali nawet, że na incydencie mógłby skorzystać Alec Pimkin.

Simon dostał kilka listów z wyrazami współczucia. Jeden pochodził od Raymonda Goulda, który wyjaśniał, że nie był przygotowany na pytanie Carsona i przepraszał, jeśli swoją pierwszą odpowiedzią sprawił przykrość.

- Na myśl mi to nie przyszło - powiedział Simon podając Elizabeth list Raymonda.

- „Times” miał rację - odparła po chwili. - To szlachetny człowiek.

Simon podał żonie inny list.

Seymour's Bank
202 Cheapside
London, EC1

15 maja 1989

Szanowny panie Kerslake,

Pragnę sprostować informację podawaną ostatnio wielokrotnie w prasie. Kiedy konserwatyści przeszli do opozycji, pan Charles Seymour, były prezes banku Seymoura, starał się podjąć w nim pracę. Liczył na powrót na stanowisko prezesa z pensją czterdziestu tysięcy funtów rocznie. Zarząd banku nie przychylił się do jego prośby.

Z poważaniem
Clive Reynolds

- Wykorzystasz to? - zapytała Elizabeth po przeczytaniu listu.
- Nie. Po co od nowa rozdmuchiwać sprawę.

Elizabeth popatrzyła na męża przeglądającego korespondencję i pomyślała o karcie zdrowia Amandy Wallace. Nigdy w życiu nie wyjawiałaby jej treści, ale uznała, że pora dopieć Charlesowi Seymourowi. W poniedziałek wieczorem Simon siedział w pierwszej ławie i słuchał sekretarza finansów odczytującego artykuły projektu ustawy skarbowej, które były rozpatrywane w komisji. Charles nie dawał spokoju współpracownikom Raymonda, czepiając się pojedynczych zwrotów, a nawet przecinków. Opozycja bawiła się świetnie. Simon bezradnie liczył tracone powoli głosy.

Z trzech kandydatów tylko Pimkin przespał spokojnie noc przed wyborami.

Głosowanie zaczęło się w sali komisji punktualnie o dziewiątej. Skrutatorami byli naganiacze. O piętnastej dziesięć brakowało już tylko jednego głosu. Do czwartej John Cope, szef naganiaczy, trzymał straż przy czarnej urnie. Stało się jasne, że pani Thatcher postanowiła wstrzymać się od głosu.

O czwartej zaniesiono urnę do biura szefa naganiaczy i w ciągu piętnastu minut dwukrotnie przeliczono głosy. Gdy John Cope wychodził z biura, ruszyli za nim korespondenci parlamentarni licząc na wiadomości. Spiesząc do posłów, szef naganiaczy z niczym się jednak nie zdradził.

Sala numer czternaście pękała w szwach. Obecnych było blisko 280 spośród 289 konserwatystów zasiadających w parlamencie. Przewodniczący Komitetu 1922, sir Cranley Onslow, powitał szefa

naganiaczy i zaprosił go na podium. Następnie wstał, rozłożył kartkę otrzymaną od szefa naganiaczy i poprawił okulary. Zawahał się patrząc na podane liczby i przeczytał:

- Wyniki głosowania na przywódcę Partii Konserwatywnej w parlamencie są następujące:

CHARLES SEYMOUR	138
SIMON KERSLAKE	135
ALEC PIMKIN	15

Posłowie słuchali z zapartym tchem, a potem zaczęli szeptać. Po jakimś czasie ucichli widząc, że przewodniczący nadal stoi.

- Wobec braku zdecydowanego zwycięzcy - powiedział sir Cranley - zarządzam drugą turę głosowania we wtorek. Odbędzie się ona bez pana Pimkina.

Kiedy Pimkin po południu wychodził z Izby Gmin, otoczyli go dziennikarze wypyując, na którą stronę przeprowadzi swoich zwolenników. Pimkin, promieniejąc z zadowolenia, oznajmił nieco pompatycznie, że w najbliższych dniach przeprowadzi stosowne rozmowy z obydwoma kandydatami. Zyskał sobie od razu przydomek „języczek u wagi”, a w jego domu i biurze bez przerwy dzwonił telefon. Nie zdradzając się ze swoimi opiniami Simon i Charles zgodzili się spotkać z Pimkinem.

Elizabeth siedziała przy biurku zmuszając się do przeczytania poślódkiej karty, do której od lat nie zaglądała. Kilka minut wcześniej w szafce z lekarstwami znalazła butelkę brandy i kieliszek i teraz korzystała z tego odkrycia. Lata doświadczeń i wierność przysiędze Hipokratesa przemawiały przeciw jej zamierzeniom. W nocy, kiedy Simon spał twardym snem, zastanawiała się nad konsekwencjami tego posunięcia, ale powzięła już nieodwołalną decyzję. Na pierwszym miejscu postawiła karierę męża. Podniosła słuchawkę, wykręciła numer i czekała przez chwilę. Omal nie rozłączyła się słysząc:

- 730-9712. Charles Seymour przy telefonie.

- Elizabeth Kerslake - przedstawiła się z wymuszoną pewnością

siebie. Zapadła cisza. Elizabeth łyknęła brandy i po chwili dodała:
- Proszę nie odkładać słuchawki, panie Seymour. Jestem przekonana, że zainteresuje pana to, co mam do powiedzenia. Charles nadal się nie odzywał.

- Obserwuję pana poczynania od wielu lat i jestem pewna, że pańska reakcja na pytanie Carsona w Izbie Gmin nie była przypadkowa.

Charles odchrząknął, ale nic nie powiedział.

- Jeżeli w tym tygodniu również zdarzy się coś, co mogłoby do prowadzić do przegranej mojego męża w wyborach, zapewniam pana, że nie będę biernie się temu przyglądać.

Odpowiedziało jej milczenie.

- Mam przed sobą kartę pacjentki kliniki ginekologicznej, Amanda Wallace. Jeżeli życzy pan sobie, żeby treść karty została zachowana w tajemnicy, radzę nie sięgać do wypróbowanych sztuczek ze swojego repertuaru. W karcie wymienione są nazwiska, które przez wiele miesięcy zaspokajałyby zapotrzebowanie „Private Eye” na sensacje.

Charles nie odpowiedział. Elizabeth poczuła się pewniej.

- Nie musi mi pan mówić, że taki postępek spowodowałby wykreślenie mnie z rejestru lekarzy. Jestem gotowa znieść taką karę, żeby cierpiał pan tak jak mój mąż. - Urwała i po chwili dodała: - Do widzenia, panie Seymour.

Charles nie odezwał się.

Elizabeth odłożyła słuchawkę i dopiła brandy. Modliła się, żeby jej groźby wywarły odpowiednie wrażenie, gdyż nie byłaby zdolna wprowadzić ich w czyn.

Charles zaprosił Pimkina na kolację do White'a, gdzie zaprowadzono ich do zacisznego gabinetu na piętrze. Wiedział, że Alec zawsze chciał zostać członkiem tego klubu.

- Po co się wygłupiasz? - zapytał. - Gdyby nie ty, wygrałbym w pierwszej rundzie.

- Bez wątpienia - odparł Pimkin. - Ale bawiłem się setnie.

- Kto ci załatwił mandat?

- Pamiętam doskonale. Pamiętam również cenę, jaką zapłaciłem. Ale teraz moja kolej. Zatańczysz, jak ci zagram.

- Na co ty liczysz? Chcesz zostać kanclerzem skarbu w moim rządzie? - zapytał Charles nie ukrywając sarkazmu.

- Nie, nie. Wiem, na co mnie stać. Nie jestem głupcem.

- Więc czego chcesz? Zostać członkiem klubu White'a? Może mógłbym to załatwić.

- Nic dla ciała. W zamian za wprowadzenie ciebie na Downing Street spodziewam się przeniesienia do Izby Lordów.

Charles zastanowił się. Mógł dać słowo Pimkinowi, a za trzy lata wycofać się i nikt prócz Pimkina nie wiedziałby o niczym.

- Jeżeli ty i twoja piętnastka będziecie głosować na mnie, umieszczę cię w Izbie Lordów - powiedział. - Daję ci słowo.

- Świetnie - rzekł Pimkin. - Ale jest jeszcze jeden drobiazg, kolego - dodał, pedantycznie składając serwetkę.

- Boże, czego ty jeszcze chcesz? - zniecierpliwiał się Charles.

- Podobnie jak ty, chcę mieć to na piśmie. Charles znów się zawahał. Uznał swoją porażkę.

- Zgoda - powiedział.

- A więc umowa stoi - rzekł Pimkin. Rozglądając się za kelnerem dodał: - Chyba czas na szampana.

Kiedy po dwóch dniach Pimkin złożył tę samą propozycję Simonowi Kerlake'owi, ten także zastanowił się, zanim odpowiedział.

- To pytanie mógłbym bezstronnie rozważyć dopiero po objęciu stanowiska premiera.

- Mieszkańskie skrupuły - powiedział Pimkin wychodząc z pokoju Simona. - Proponuję mu klucze do Numeru Dziesiątego, a on traktuje mnie jak ślusarza.

Tego dnia Charles poświęcił wiele czasu spotkaniom ze zwolennikami, żeby upewnić się, czy nadal może na nich liczyć. Kiedy przechadzał się gotyckimi korytarzami, posłowie podchodzili do niego pojedynczo i grupkami zapewniając o swoim poparciu. Co prawda, trzysta tysięcy funtów, które spadły Kerlake'owi jak z nieba, nie budziły już emocji, ale Charles uważał, że utoczył przeciwnikowi dość krwi, by odnieść zwycięstwo, choć z winy Pimkina musiał czekać dłużej. Jeden krótki, ale treściwy anonim, wysłany do właściwego laburzysty, dał nadspodziewany plon. Charles przeklinał Elizabeth Kerlake za uniemożliwienie mu dalszych podstępnych ataków.

Kiedy wieczorem wrócił do domu, rozgniewał go widok czekającej Amandy.

- Mówiłem, żebyś do połowy przyszłego tygodnia nie pokazywała się tutaj.

- Nie chciałam tak długo czekać.

- Jak to? - zapytał podejrzliwie.

- Za to, że byłam grzeczna, zasłużyłam na nagrodę.

- Co masz na myśli? - Stał przy kominku.

- Korzystną umowę.

- Jaka?

- O prawa autorskie do historii mojego życia.

- Co takiego? - Charles nie wierzył własnym uszom. - A kto niby się tobą zainteresuje?

- Nie mną, Charlie, tylko tobą. „News of the World” zaproponował mi sto tysięcy funtów za nieokrojoną wersję wspomnień o życiu z Charlesem Seymourem. Przeżycia żony niedoszłego hrabiego, który gotów jest na wszystko, żeby zostać premierem.

- Chyba żartujesz.

- Ależ skąd. Robiłam notatki. O tym, jak pozbyłeś się Dereka Spencera, i o tym, jak nie udało ci się zepchnąć ze stołka Clive’a Reynoldsa. Jaka świnię podłożyłeś Kerslake’owi, żeby nie wszedł do parlamentu. Jak twoja pierwsza żona podstawiła kopię słynnego portretu pierwszego hrabiego Bridgwater pędzla Holbeina. Ale najciekawszy będzie rozdział, w którym przedstawię prawdziwego tatusia Harry’ego Seymoura. Przygody tatusia opisał w odcinkach parę lat temu magazyn „People”, który przeoczył ten epizod z jego życia.

- TV dziwko. Wiesz, że Harry jest moim synem - powiedział Charles zbliżając się do Amandy.

- Może powinnam zamieścić rozdział o biciu żony w zaciszu pałacyku przy Eaton Square - powiedziała.

Charles zatrzymał się.

- O jaką umowę ci chodzi?

- Za to, że będę siedziała cicho do końca życia, dasz mi teraz pięćdziesiąt tysięcy funtów, a drugie pięćdziesiąt, kiedy zostaniesz przywódcą partii.

- Oszalałaś!

- Nie oszalałam, zawsze byłam normalna. To raczej ty byłeś nienormalny znęcając się nad biednym braciszkiem. Ta historyjka pasuje w sam raz dla „News of the World”, zwłaszcza że Rupert jest

piętnastym hrabią Bndgwater. Już go widzę na zdjęciu całego w gronostajach.

- Nie wydrukują tego.
- Wydrukują, kiedy się dowiedzą, że jest pedałem i tytuł hrabiowski odziedziczy kiedyś po nim nasz syn.
- Nikt nie uwierzy w te historie, a kiedy je wydrukują i tak będzie już za późno.
- Wcale nie. Mój agent zapewnia, że powody rezygnacji przywódcy konserwatystów to smakowitszy kąsek niż kłopoty kandydata.

Charles opadł na fotel.

- Dwadzieścia pięć tysięcy - zaproponował.
- Pięćdziesiąt. Tyle mi się należy. Przecież zysk jest podwójny: prasa nie drukuje mojej opowieści i zostajesz przywódcą konserwatystów.
- Zgadzam się - wyszeptał Charles wstając.
- Chwileczkę, Charlie. Nie zapominaj, że miałam już z tobą do czynienia.
- Na co ty jeszcze liczysz?
- Na autograf przyszłego lidera torysów. - Podsunęła mu czek.
- Skąd to masz?
- Z twojej książeczki czekowej.
- Nie drażnij mnie.
- Z górnej szuflady twojego biurka.

Charles wyrwał jej czek z ręki i omal nie zmienił postanowienia. Ale kiedy pomyślał o bracie w Izbie Lordów, synu, który nie odziedziczy tytułu, i rezygnacji z przywództwa partii, wyjął pióro i złożył podpis. Wyszedł zostawiając Amandę, która sprawdziła datę i podpis na czeku opiewającym na pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Simon i Elizabeth wyjechali na weekend do domu na wsi. Foto-reporterzy rozłożyli obóz przy Eaton Square. Z „dobrze poinformowanego” źródła dowiedzieli się, że Pimkin poprze kolegę z ławy szkolnej.

- Dobry pomysł - powiedziała Elizabeth przy niedzielnym śniadaniu, podziwiając fotografię na pierwszej stronie „Observera”.
- Znów zdjęcie Seymoura, mówiącego, czego dokona, gdy zosta-

nie premierem? - zapytał Simon nie odrywając spojrzenia od „Sunday Timesa”.

- Nie - odparła Elizabeth i podsunęła mu swoją gazetę.

Pod nagłówkiem *Dar dla narodu* Simon zobaczył portret pierwszego hrabiego Bridgwater Holbeina.

- Dobry Boże - jęknął. - Czy ten człowiek nie cofnie się przed niczym, żeby wygrać wybory?

- Prawdziwy coup de grace, moja droga - powiedział Pimkin do Fiony tej samej niedzieli przy lunchu.

- Spodziewałam się, że mnie docenisz - odparła dolewając mu wina, które ze sobą przyniosł.

- Najbardziej podobało mi się, kiedy dyrektor Galerii Narodowej powiedział, że „ofiarowanie bezcennego portretu narodowi to gest człowieka bezinteresownego”.

- Prasa wykorzystała przeciek i Charles nie miał wyboru - wtrącił Alexander Dalglish.

- To zrozumiałe - rzekł Pimkin opierając się wygodnie. - Dałbym tuzin butelek najlepszego bordeaux, żeby zobaczyć minę Charlesa, kiedy zrozumiał, że hrabia Bridgwater na zawsze wyknął mu się z rąk. Gdyby odmówił przekazania daru dla narodu, zrobiliby się o tym tak głośno, że przegrałby wtorkowe wybory.

- Niezależnie, czy wygra, czy przegra, nie ośmieli się pisać, że wszystko odbyło się bez jego zgody - powiedział Dalglish.

- Doskonale, doskonale - cieszył się Pimkin. - Podobno księżniczka Diana dokona uroczystego odsłonięcia obrazu. Możecie być pewni, że przy tym będę.

- Ciekawe, czy Charles się pofatyguje - powiedziała Fiona.

W poniedziałek rano z Somerset zadzwonił brat Charlesa. Miał pretensję, że nikt nie spytał go o zgodę na oddanie Holbeina.

- Obraz należał do mnie i mogłem z nim zrobić, co chciałem - przypomniał Charles i cisnął słuchawkę.

Przed drugą turą głosowania, które rozpoczęło się we wtorek, o dziewiątej rano obaj rywale przynajmniej raz rozmawiali z każdym torysem. We wtorek Charles poszedł z kolegami na lunch do jadalni

poselskiej, a Simon zabrał Elizabeth do restauracji. Elizabeth pokazała mu foldery zachęcające do wakacyjnej podróży Orient Ekspresem. Marzyła się jej Wenecja, choć jednocześnie miała nadzieję, że nie będą mieli czasu na taką wyprawę. Oboje myśleli o trwającym w parlamencie głosowaniu, ale rozmawiali na inne tematy.

Chociaż ostatni głos został oddany za dziesięć czwarta, szef nagińczy tkwił przy urnie aż do czwartej. Kwadrans później znalazł już nazwisko zwycięzcy, ale dopiero na minutę przed piątą, tuż przed rozpoczęciem zebrania Komitetu 1922, wyjawiał je przewodniczącemu.

Sir Cranley Onslow stanął na podwyższeniu w sali numer czternaście, żeby podać wynik głosowania. Nie musiał pytać, czy wszyscy go słyszą.

- Panie i panowie - powiedział, a jego słowa odbiły się echem.
- Wyniki drugiego głosowania na przywódcę Partii Konserwatywnej są następujące:

CHARLES SEYMOUR	130
SIMON KERSLAKE	158

Przeszło połowa posłów zerwała się z radosnym krzykiem. Bill Travers pobiegł do pokoju Simona. Ten słysząc tupot nóg odwrócił się do otwartych drzwi.

- Wyglądasz, jakbyś przebiegł maraton - powiedział do zdyszanego Traversa.

- Przynoszę wieść o zwycięstwie.

- Mam nadzieję, że nie padniesz martwy jak Pheidippides - rzekł Simon z uśmiechem.

Przez dłuższą chwilę milczał. Było oczywiste, że Pimkin przeszedł na jego stronę. Wieczorem kilku posłów przyznało, że definitywnie zrazili się do Charlesa, kiedy ofiarował cenny portret Galerii Narodowej. Odczytali to jako gest pod publiczność.

Nazajutrz rano Fiona zadzwoniła do Pimkina, żeby zapytać, dlaczego postąpił tak a nie inaczej.

- Droga Fiono - odparł. - Doszedłem do tego samego przekonania, co Sidney Carton: dobrze byłoby umrzeć z poczuciem, że choć raz w życiu postąpiło się szlachetnie.

W ciągu tygodnia dom przy Beaufort Street zmienił się nie do poznania. Simon, gdziekolwiek się obrócił, widział wycelowany w siebie obiektyw. Krok w krok towarzyszyła mu reporterska brać. Dziwił się, że tak szybko się do tego przyzwyczajają. Terminarz Elizabeth też był wypełniony, więc spotykali się znów tylko wieczorami. Przez dwa tygodnie Simon dobierał członków gabinetu cieni, z którymi zamierzał przystąpić do wyborów powszechnych, i po tym czasie gotów był podać skład swojej ekipy prasie. Jedno ze stanowisk obsadził kierując się sentymentem - ministrem rolnictwa został Bill Travers.

Na konferencji prasowej padło pytanie, dlaczego pokonany rywal nie wszedł do ekipy. Simon wyjaśnił, że proponował Charlesowi Seymourowi stanowisko zastępcy albo wybór którejś z ministerialnych tek, ale Charles wolał na razie zasiąść w tylnej ławie.

Tego samego dnia Charles wyjechał z synem na kilka dni do Szkocji, nad rzekę Spey. Harry najlepiej łagodził ból przegranej. Jego rozbrajająco niezręczne wędkarskie poczynania uwieńczył sukces - wielka ryba.

Amanda doszła do wniosku, że ma raczej małe szanse, aby wyciągnąć od męża kolejną porcję gotówki, i podjęła przerwane negocjacje z redaktorem „News of the World”.

Nick Lloyd przeczytał notatki Amandy i postanowił, że po pierwsze, przydzieli jej do pomocy literackiego murzyna, a po drugie, obniży honorarium o połowę.

- Dlaczego? - zapytała Amanda.
- Bo nie odważylibyśmy się wydrukować ciekawszej połowy pani opowieści.
- Dlaczego?
- Nikt by w nią nie uwierzył.
- Ale to wszystko prawda, od początku do końca.
- Nie kwestionuję prawdziwości faktów, jedynie możliwość strawienia ich przez czytelników - odparł Lloyd.
- Ludzie uwierzyli, że jakiś człowiek dostał przez mur do pałacu Buckingham i wszedł do sypialni królowej.
- Owszem, ale dopiero wtedy, kiedy królowa potwierdziła, że tak właśnie było. Nie jestem pewien, czy Charles Seymour zechce w ogóle z nami rozmawiać.

Amanda przestała się odzywać, a jej agent ustalił warunki umowy.

Po kilku miesiącach ukazała się okrojona wersja *Mojego życia z Charlesem Seymourem*. W tym samym czasie również zrobiło się głośno o rozwodzie Charlesa. W politycznych kręgach rewelacje Amandy wzbudziły nikłe zainteresowanie. Zdezaktualizowały się - Charles nie został przecież liderem.

Na rozprawie rozwodowej Amanda zyskała kolejne pięćdziesiąt tysięcy funtów, ale dzięki zabiegom Charlesa straciła prawo do opieki nad Harrym. Na niczym innym mu nie zależało. Chciał, żeby przytaczane w prasie nieodpowiedzialne wypowiedzi Amandy, kwestionujące prawa chłopca do arystokratycznego tytułu, szybko poszły w zapomnienie.

Niebawem z Somerset zadzwonił Rupert i poprosił o spotkanie z bratem.

Tydzień później usiedli naprzeciw siebie w salonie Charlesa przy Eaton Square.

- Przepraszam, że poruszam taki krępujący temat - zaczął Rupert - ale uważam to za swój obowiązek.

- Obowiązek, dobre sobie - odparł Charles gasząc papierosa. - Harry jest moim synem i odziedziczy tytuł. Jest podobny do pradziadka jak dwie krople wody i to powinno starczyć za dowód.

- Zgodziłbym się z tobą, gdyby nie artykuły ukazujące się ostatnio w „News of the World”. Uważam, że...

- Szmatławiec goniący za sensacją - powiedział Charles z pogardą i oburzeniem. - Chyba nie bierzesz poważnie tej pisaniny?

- Oczywiście, że nie - odparł Rupert. - Ale jeżeli wierzyć Amandzie, Harry nie jest twoim synem.

- Jak mam tego dowiedzieć? - spytał Charles z trudem panując nad sobą. - Nie zapisywałem, kiedy śpiam z żoną.

- Ale robiła to Amanda. Zasięgnąłem porady prawnika. Dla potwierdzenia praw Harry'ego do tytułu wystarczy oznaczyć grupę krwi. Obaj mamy rzadką grupę, podobnie jak nasz ojciec i dziadek, więc jeżeli Harry ma taką samą, nigdy więcej nie wrócę do tego tematu. W przeciwnym razie tytuł odziedziczy nasz kuzyn w Australii.

- A jeżeli nie zgodzę się na te idiotyczne badania?

- Powierzmy sprawę radcy prawnemu naszej rodziny - odparł Rupert z zadziwiającym spokojem. - On zadecyduje, jak należy postąpić.

Rozdział trzydziesty trzeci

Simon od roku był liderem. Jego niespożyta energia zaowocowała zdobyciem przez konserwatystów trzech mandatów w wyborach uzupełniających. Nadwreżyło to przewagę strony rządowej. W prasie przewidywano, że socjaliści nie dotrwią do końca pięcioletniej kadencji, dlatego Simon wymusił na Centralnym Biurze utrzymanie stałej gotowości przedwyborczej.

Raymond cieszył się coraz większym poważaniem w Ministerstwie Finansów. Jego polityka zaczęła dawać wyniki. Gdy sprawdzily się pesymistyczne przewidywania co do amerykańskiej stopy procentowej i spadku wydobycia ropy na Morzu Północnym, musiał co prawda wycofać się z niektórych ambitnych zamierzeń, ale kiedy po raz drugi przedstawił projekt ustawy budżetowej, komentatorzy finansowi przyznali, że uczynił wszystko, na co pozwalała sytuacja gospodarcza świata. Gdy bezrobocie spadło poniżej dwóch milionów, a strajki wybuchały rzadziej niż w jakimkolwiek okresie od czasów drugiej wojny światowej, część posłów ogłosiła Raymonda wybawcą związków zawodowych. Inni zauważyli, że pod nieobecność Charlesa Seymoura, Raymond sprytnie podchwytuje pomysły opozycji na walkę z inflacją.

Po dwóch latach rządów Partii Pracy z sondaży wynikało, że dwie główne partie znów idą łeb w łeb. Zaskakująco wielu ankietowanych deklarowało zamiar głosowania na Sojusz.

Liberałowie zachowali szesnaście mandatów w Izbie Gmin i podobnie jak podczas trzech ostatnich kampanii wyborczych stanowili połączyć siły z socjaldemokratami i wystąpić wraz z nimi pod wspólnym sztandarem.

Na wypadek gdyby Sojusz liberałów i socjaldemokratów umocnił swoją pozycję w parlamentarnym układzie sił, przed zbliżającymi się wyborami obydwie partie musiały wybrać wspólnego lidera. Badania ankietowe wykazały, że najpopularniejszym politykiem w Izbie Gmin jest Andrew Fraser, mimo że przewodził zaledwie czterdziestu dwu posłom w Izbie.

Obecnie Andrew objeżdżał okręgi wyborcze i przemawiał na zebraniach powtarzając słuchaczom, że następane wybory zmienią

układ sił. Powtarzał tak często, że sam w to uwierzył, a dwa znaczne zwycięstwa w wyborach uzupełniających na początku 1990 roku natchnęły nadzieją jego zwolenników. Gdy w wyborach lokalnych w maju Sojusz zdobył sto dwa mandaty w radach hrabstw, kosztem laburzystów i konserwatystów, także prasa zaczęła poważnie traktować rachuby socjaldemokratów.

- Tato, tato, zajrzyj do dzienniczka.

Charles odłożył na później przeglądanie poczty i złapał Harry'ego w objęcia. Wiedział, że nic ich nie rozdzieli, ale obawiał się jednego: co zrobi Harry, gdy się dowie, że nie jest jego rodzonym synem.

- Otwórz, proszę - domagał się Harry wyrywając się z objęć.

Próbkę krwi Harry'ego i, dla niepoznaki, sześciu innych chłopców z jego klasy, pobrał szkolny lekarz. Sens specjalnej prośby nie został mu wyjaśniony.

Z piętrzącego się stosu Harry wyciągnął kopertę z emblematem szkoły i podekscytowany podał ojcu. Charles obiecał bratu, że zadzwoni od razu po otrzymaniu informacji o grupie krwi syna. W ciągu ostatniego tygodnia nieraz korciło go, żeby skontaktować się z lekarzem, ale nie chciał wzbudzać podejrzeń.

- Przeczytaj, tato. Zobaczysz, że to prawda.

Charles rozdarł kopertę, wyjął dzienniczek i przekartkował zapiski o postępach Harry'ego w różnych przedmiotach. Na ostatniej stronie pozostawiono miejsce na okresowy raport o stanie zdrowia. Ależ on ostatnio wyrósł, pomyślał Charles czytając dane o wadze i wzroście i zerknął na Harry'ego, który wyglądał, jakby miał za chwilę pęknąć.

- To prawda, tato, tak?

Charles czytał dalej nie odpowiadając na pytanie syna. U dołu strony znalazł notatkę podpisaną przez lekarza. Przeczytał raz, drugi, trzeci. „Zgodnie z prośbą pobrałem do badania krew Harry'ego. Wyniki testów wykazują, że Harry ma rzadką grupę krwi...”

- To prawda, tato? - spytał znów Harry.

- Tak, synu, to prawda.

- Mówiłem ci, tato. Wiedziałem, że będę najlepszy z całej klasy. Zostanę kapitanem szkoły. Tak jak ty, tato.

- Tak jak ja - powtórzył ojciec.
Sięgnął po telefon i wykrcił numer brata w Somerset.

Kiedy premier poszedł do szpitala, aby poddać się operacji, komentatorzy od razu zaczęli się zastanawiać, czy złoży rezygnację. Gdy wyszedł, domysły natychmiast ustały. Do tego czasu nieobecnego premiera zastępował Raymond. Odpowiadał w jego imieniu na interpelacje w Izbie i przewodniczył posiedzeniom gabinetu. Korespondenci nadali mu tytuł *primus inter pares*, pierwszy między równymi.

Posiedzenia gabinetu Raymond prowadził z przyjemnością. Dziwił się jednak doradcom, którzy domagali się, żeby całe wtorkowe i czwartkowe przedpołudnie przeznaczyć na przygotowania do kwadransa pytań do premiera.

Simon Kerslake i Andrew Fraser błyszczeli zadając pytania, a Raymond męczył się udzielając odpowiedzi. Ten kwadrans kosztował go więcej niż mowa podsumowująca czy udział w debacie. Musiał jednak przyznać, że staranne przygotowania bardzo się przydawały. Korespondenci zgodnie stwierdzili, że Simon Kerslake nie docenił przeciwnika, a Raymond pomyślnie zdał egzamin.

Po tygodniu premier wrócił na Downing Street zapewniając Raymonda, że po udanej operacji prawdopodobieństwo nawrotu choroby jest bardzo małe. Przyznał, że chciałby poprowadzić partię do drugiego zwycięstwa w wyborach. Później przyszłaby akurat pora na wycofanie się ze względu na wiek. Raymond usłyszał, że premier widzi w nim swojego następcę, pomyślał jednak, że Neil Kinnock jest młodszy o całe osiem lat.

Raymond wrócił do Ministerstwa Finansów, aby w tej kadencji zapewne po raz ostatni przygotować projekt ustawy budżetowej. Dotychczasowa zapobiegliwość umożliwiła mu popuszczenie cugli teraz - przed wyborami. Zapowiadając lekkie złagodzenie polityki finansowej na posiedzeniu gabinetu oświadczył, że dla „kielbasy wyborczej” nie zaprzepaści trzech lat ciężkiej pracy. Kilku kolegów w gabinecie pomyślało, że trochę tej „kielbasy” bardzo by się przydało.

Raymond jeździł po kraju i wygłaszał przemówienia. Coraz częściej proszono, żeby sięgnął po przywództwo partii. Dziękując

sympatykom zapewniał, że będzie lojalny wobec premiera do czasu jego rezygnacji.

Simon i Andrew także podróżowali wykorzystując wszystkie środki lokomocji. Publiczne wystąpienia mieli zaplanowane na każdy weekend, aż do październikowych zjazdów obu partii.

Na zjeździe socjaldemokratów w Weston-super-Mare Andrew skutecznie zagrzewał delegatów do walki, przewidując wybory przed upływem roku. Zapowiedział zwiększenie roli Partii Socjaldemokratycznej w parlamencie i jej udział w rządzie.

Tydzień później odbyła się konferencja Partii Pracy w Brighton. Raymond przedstawił referat o stanie finansów państwa. Nawoływał związkowców do poparcia rządu w staraniach o utrzymanie w ryzach podwójnego zła: inflacji i bezrobocia.

„Nie pozwólmy, aby trzy lata naszych osiągnięć poszły na marne, nie oddawajmy rządu konserwatystom - powiedział do wiwatujących delegatów. - Jeszcze pięć naszych ustaw budżetowych i torysi pożegnają się z nadzieją na zwycięstwo w wyborach”.

Raymonda nagrodzono owacją na stojąco. Zjazd Partii Pracy rzadko honorował w ten sposób członka gabinetu. Delegaci znali jednak Raymonda od lat i zdołali się już przekonać o jego umiejętnościach, prostolinijności i rozsądku.

Po tygodniu, na zjeździe Partii Konserwatystów w Blackpool, przemawiał Simon. Zazwyczaj na zakończenie zjazdu torysi nagradzają wystąpienie swojego lidera kilkuminutową owacją.

- Jemu będą klaskali nawet, jak odczyta fragment *Kapitału* Marksa - powiedział Pimkin do kolegi.

Przez sześć tygodni Simon przygotowywał się do swojego wystąpienia. Podobnie jak Andrew był bowiem przekonany, że przed następnym zjazdem odbędą się wybory powszechne. Zdziwił się przyjemnie, gdy tuż przed zjazdem Charles Seymour podzielił się z nim przemyśleniami o reformie systemu podatkowego, tak aby mógł wykorzystać je w przemówieniu.

Simon miał nadzieję, że Charles wkrótce wyrazi chęć powrotu na pierwszą ławę. Ostatnio sporo się udzielał w debatach finansowych w Izbie i należał do Puli Przewodniczących, skąd rekrutowano przewodniczących komisji parlamentarnych do rozpatrywania poszczególnych projektów ustaw. Zasiadając w tylnej ławie Charles bardzo się zmienił. Koledzy obawiali się nawet, że zrezygnował z

ambicji osiągnięcia wyższych stanowisk i z kandydowania w wyborach. Simon liczył, że do tego nie dojdzie - ktoś taki jak Charles, kto mógłby przeciwstawiać się Raymondowi Gouldowi, był mu po prostu niezbędny. Opracowując ostateczną wersję przemówienia Simon uwzględnił sugestie swojego partyjnego kolegi i wysłał mu pisemne podziękowanie.

W piątek rano w Blackpool, zwracając się do dwóch tysięcy delegatów i milionów widzów telewizyjnych, Simon przedstawił szczegółowy plan działania po przejściu steru rządów przez konserwatyistów.

- Chcemy władzy i dążymy do jej zdobycia - powiedział zachwyconym delegatom. - Bez władzy nie możemy służyć.

Delegaci wstali i oklaskiwali go przez kilka minut. Gdy owacje ustały, rozległ się głos Pimkina:

- Zdaje się, że dobrze wybrałem.

Po zakończeniu sezonu zjazdów członkowie parlamentu zjechali z trzech nadmorskich miejscowości do Westminsteru. Tu zastała ich smutna wiadomość o ataku serca marszałka Weatherhilla i jego przejściu na emeryturę, z którą wiązało się jedynie prawo zasiadania w Izbie Lordów. Strona rządowa dysponowała teraz przewagą zaledwie dwóch mandatów. Szef naganiaczy Partii Pracy obawiał się, że przewaga zniknie, jeśli laburzyści wyłonią ze swoich szeregów nowego marszałka, a konserwatyści utrzymają pewny okręg wyborczy, którego reprezentantem był Weatherhill.

Simon niechętnie zgodził się na wybór marszałka z jego ław i poprosił szefa naganiaczy o zaproponowanie odpowiedniego kandydata.

Tymczasem Charles Seymour poprosił go o poufną rozmowę, na którą natychmiast uzyskał zgodę.

Nazajutrz rano Charles przyszedł do biura Simona. Od czasu rywalizacji o przywództwo po raz pierwszy spotkali się sam na sam. Kędziory Charlesa posiwiwały, zmarszczki złagodziły rysy twarzy. Simon zauważył, że Charles, który zawsze chodził prosto, jakby kij połknął, lekko się przygarbił. Gdyby ktoś spojrział na nich z boku, nie uwierzyłby, że są rówieśnikami. Prośba Charlesa zaskoczyła Simona. Nigdy nie wyobrażał sobie wielkiego rywala w takiej roli.

- Chciałbym, żebyś zasiadł w pierwszej ławie jako kanclerz skarbu - powiedział Simon. - Przyjąłbym cię z otwartymi ramionami w swojej ekipie.

- To bardzo miło z twojej strony - odparł Charles. - Wolę jednak spokojne życie arbitra. Nie mam już siły ani chęci ciągle ruszać do ataku. Przez ponad dwadzieścia lat miałeś oparcie w Elizabeth i dwóch synach. A ja dopiero od niedawna znalazłem oparcie w Harrym.

W parlamentarnej karierze każdy poseł ma swoje pięć minut. Nadeszły one również dla Aleca Pimkina. Wybory marszałka Izby Gmin mają dziwny, uświęcony tradycją przebieg. Nikt nie może okazać, że zależy mu na tym honorze i zwykle proponuje się tylko jedną kandydaturę. Powód jest prozaiczny: za panowania Henryka Szóstego w ciągu roku ścięto trzech marszałków Izby, a w bliższych nam czasach wielu ich następców umierało przedwcześnie z powodu nadmiaru zajęć i przepracowania. Tradycja niechętnego podejmowania się obowiązków przetrwała wieki i przyszły marszałek często nie wie, kto zgłosił jego kandydaturę.

Alec Pimkin, z ulubioną muchą w różowe grochy i z czerwonym goździkiem w butonierce, wstał ze swojego miejsca na tylnej ławie i zgłosił wniosek, by na fotelu marszałka Izby Gmin zasiadł wielce szanowny Charles Seymour. Chwaląc jego zasługi wygłosił poważną, a zarazem dowcipną mowę, której posłowie wysłuchali z wielką uwagą.

- Przysłużył się staremu przyjacielowi - mruknął któryś poseł, gdy Pimkin skończył i usiadł.

Dumny Charles spojrział na Pimkina z wdzięcznością.

Deputowany z Partii Pracy poparł wniosek i aby uczynić zadość tradycji, pozostało już tylko zaciągnąć marszałka na jego fotel. Zabawne widowisko wywołało salwy śmiechu. Krępy Pimkin i poseł laburzysta z trudem dowlekli byłego oficera gwardii z tylnej ławy do fotela marszałka.

Ze swojego nowego miejsca Charles rozejrzał się po Izbie. Wstał, aby wyrazić podziękowanie za zaszczyt, jaki go spotkał. Patrząc na wyniosłą postać posłowie czuli, że wybrali właściwego człowieka. Charles nie był już taki zajadły jak dawniej, ale potrafił okazać

stanowczość i zmusić do posłuchu. Nikt nie wątpił, że marszałek Seymour przez wiele lat będzie utrzymywał „porządek w Izbie”.

W wyborach uzupełniających konserwatyści bez trudu utrzymali okręg Croydon North-East, a po kilku tygodniach odebrali laburzystom inny, niepewny okręg. Prasa pisała, że jeśli torysi połączą siły z Sojuszem Liberalno-Socjaldemokratycznym, rząd i opozycja będą dysponować taką samą liczbą mandatów, a zatem o losie parlamentu zadecyduje siedemnastu posłów z Irlandii. Raymondowi zależało na utrzymaniu rządu jeszcze przez kilka tygodni, do czasu przedstawienia projektu budżetu - świetnej odszkodni przed wyborami.

Andrew oczywiście zdawał sobie sprawę, że przedstawienie budżetu przez Raymonda może zwiększyć szanse laburzystów. Poprosił więc przywódcę opozycji o spotkanie w celu omówienia wniosku o wotum nieufności.

Simon wyraził zgodę i zaproponował debatę nad wotum nieufności pod koniec marca. Gdyby wniosek przeszedł, wybory odbyłyby się jeszcze przed przedstawieniem budżetu.

Na kilka dni przed głosowaniem nad wotum nieufności Raymond przyjął zaproszenie na wiec laburzystów w Cardiff. Wsiadł do pociągu na dworcu Paddington, zajął miejsce w przedziale i zaczął przeglądać tekst przemówienia. Na stacji Swindon do pociągu wsiadł kolejarz, odszukał kanclerza skarbu i przekazał mu wiadomość. Raymond schował tekst przemówienia, wysiadł i przeszedł na drugą stronę peronu. Złapał pierwszy pociąg jadący do Londynu.

Po drodze zastanawiał się, co będzie dalej. Po przybyciu na dworzec Paddington przedarł się przez tłum dziennikarzy, nie odpowiadając na żadne pytanie. Pojechał prosto do Szpitala Westminsterkiego. Wprowadzono go do pokoju, gdzie na łóżku siedział premier.

- Nie martw się - powiedział, zanim Raymond zdążył się odezwać. - Nie jest ze mną tak źle, a mieliśmy przecież ciężki rok.

- Co ci jest? - zapytał Raymond siadając przy łóżku.

- Odzywają się stare dolegliwości. Tym razem jednak konieczna jest poważna operacja. Lekarze mówią, że za miesiąc, najwyżej sześć tygodni, wyjdę stąd i będę żył tak długo jak Harold Macmillan. Ale przejdźmy do ważniejszych spraw. Chcę, żebyś mnie zastąpił. W środę odbędzie się debata nad wotum nieufności. Jeżeli przegramy, złożę rezygnację.

Raymond przewidywał skutki i chciał zaprotestować, ale premier nie dał mu dojść do słowa.

- Partia nie może prowadzić walki przedwyborczej z przywódcą przykutym do łóżka, choćby tylko na sześć tygodni. Jeżeli będą wybory, wyborcy mają prawo wiedzieć, kto będzie przewodził partii w parlamencie. W tej wyjątkowej sytuacji, zgodnie z punktem 5/4 regulaminu Partii Pracy, Krajowa Egzekutywa wybierze cię na przywódcę.

Raymond uniósł głowę.

- Wiem. Ktoś zwrócił mi już uwagę na ten punkt regulaminu.

- Pewnie Joyce - rzekł premier z uśmiechem.

- Kate.

Premier zdziwił się, ale mówił dalej:

- Musisz oswoić się z myślą, że za trzy tygodnie będziesz ubiegał się o stanowisko premiera. Jeżeli w środę zostanie przegłosowane wotum nieufności, nie będzie wyjścia. Poproszę królową o ogłoszenie nie wyborów powszechnych.

Raymond milczał.

- Zapewniam cię, że Krajowa Egzekutywa nie zechce walk wewnętrznych na trzy tygodnie przed wyborami. Torysi mieliby wówczas zapewnione zwycięstwo. Jeżeli natomiast wotum nieufności nie zostanie przegłosowane, zdążę wrócić i objąć ster przed Wielkanocą. Przedstawisz projekt budżetu i dopiero wtedy rozpoczemy wybory. Więc postaraj się wygrać w środę.

- Trudno mi wyrazić, jak bardzo będzie nam ciebie brakowało - powiedział szczerze Raymond.

- Na długo przed debatą wszyscy posłowie prócz Irlandczyków będą wiedzieli, jak głosować. Pojedynczy głos może być ważniejszy od mojego przywództwa. Pamiętaj, że po raz pierwszy w Izbie zostaną zainstalowane kamery telewizyjne. Włóż którąś z tych eleganckich koszul, które kupuje ci Joyce.

Przez kilka dni, jakie pozostały do debaty nad wotum nieufności, Raymond przygotowywał swoje wystąpienie. Odwołał wszystkie spotkania z jednym wyjątkiem - uroczystej kolacji z okazji sześćdziesiątych piątych urodzin pewnej osoby.

W poniedziałek i wtorek naganiacze rządu i opozycji sprawdzali, czy wszyscy posłowie będą w Izbie w środę przed dziesiątą wieczór. Komentatorzy pisali, że gdyby głosy równo się rozłożyły,

marszałek Seymour, zgodnie ze swoim oświadczeniem, będzie głosował na rząd. Charles dobrze znał precedensy; na przykład marszałka Addingtona w osiemnastym wieku i marszałka Denisona w dziewiętnastym. Podkreślił, że musi tak zrobić dla zachowania status quo.

W imieniu opozycji pierwszy miał przemówić Simon, a ostatni Andrew. Taka kolejność była ustępstwem na rzecz Sojuszu za poparcie opozycji. Neil Kinnock miał natomiast rozpocząć debatę w imieniu rządu, a Raymond wygłosić mowę podsumowującą.

We wtorek wieczorem Raymond przeprowadził próbę generalną. Przeczytał przemówienie w dwadzieścia cztery minuty. Wyjaśnił Joyce, że w Izbie potrwa to całe pół godziny, bo posłowie będą mu przerywać i hałasować. Konieczne mogły nawet okazać się skróty.

Nazajutrz posłowie zaczęli się schodzić na długo przed rozpoczęciem debaty. Od kilku dni były zarezerwowane wszystkie miejsca na galerii dla gości i wielu ambasadorów i członków Królewskiej Rady Przyboczej musiało odejść z kwitkiem. Na zapelnionej galerii dla prasy szefowie redakcji siedzieli na podłodze u stóp swoich komentatorów politycznych. Izba przypominała stadion, na który sprzedano dwa razy więcej biletów, niż było miejsc.

Od drugiej trzydziści do trzeciej trzydziści, w czasie pytań do Meachera, sekretarza stanu do spraw edukacji, posłowie szeptali między sobą i marszałek Seymour nie mógł nad nimi zapanować. O trzeciej trzydziści przywołał ich do porządku i po chwili zapadła cisza.

- Lider opozycji - powiedział.

Simon wstał zachęcony okrzykami kolegów ze swojej strony Izby. Przeszkadzało mu jasne światło reflektorów, które podobno miały wcale nie razić. Przemawiał bez kartki przez pięćdziesiąt minut, na przemian atakując rząd i przedstawiając założenia swojej polityki. Na koniec nazwał Partię Pracy „partią zmarnowanych szans”, która powinna być zastąpiona przez partię ideałów i nowych rozwiązań.

Usiadł, a posłowie z tylnych ław zaczęli wiwatować przekonani, że mają już w kieszeni zwycięstwo w głosowaniu, a może nawet w wyborach powszechnych. Po dłuższej chwili Charles przywrócił porządek i udzielił głosu następnemu mówcy.

Neil Kinnock, szczycący się walijskim pochodzeniem i porówny-

wany przez starszych posłów do Aneurina Bevana, był postrachem torysów. Przypuścił mściwy atak na lidera opozycji, zapowiadając, że torysi poniosą sromotną klęskę i długo będą żałować wniosku o wotum nieufności.

- Wielce szanowny poseł - powiedział wskazując Simona - ma czelność nazwać nas partią zmarnowanych szans, a sam od dwóch lat przewodzi partii oportunistów, która pod jego kierownictwem nie ma szans na wyjście z opozycji.

Kiedy Kinnock usiadł, na sali rozległ się ryk. Przez kilka minut marszałek nawoływał do porządku.

W dalszym ciągu debaty wystąpili szeregowi posłowie. Dawni ministrowie przytaczali precedensy, młodzi deputowani żądali zmian. Objawiały się krasomówcze talenty. O dziewiątej marszałek wezwał Andrew Frasera, aby w imieniu opozycji zamknął debatę.

Andrew zaczął rzucać gromy i na torysów, i na laburzystów, przekrzykując głosy protestu powiedział:

- Przyjdzie czas, że obie wasze partie będą musiały wezwać uczciwego syndyka.

O dziewiątej trzydzieści Andrew usiadł i odbył się koncert na czterdzieści dwa gardła.

Hałas, jaki powitał Raymonda, kazał wątpić, czy w ogóle będzie słyhać jego słowa. Mimo to stanął przy pulpicie z pochyloną głową i pierwsze zdanie wypowiedział niemal szeptem.

- Panie marszałku, wiem, że cała Izba pragnie, abym powiedział, jak bardzo jest nam wszystkim przykro, że premier nie może być dziś obecny, bo czeka go operacja. Jestem pewien, że wyrażę odczucia wszystkich szanownych posłów, przesyłając panu premierowi, jego żonie i rodzinie serdeczne pozdrowienia.

W Izbie zapadła pełna skupienia cisza. Raymond wyprostował się i wygłosił mowę, przeciwczoną wcześniej dziesięć razy, mowę wygłoszoną bez notatek, które -na widok Simona przemawiającego bez kartki - bezlitośnie podarł. Wyliczył osiągnięcia rządu w ciągu ostatnich dwóch i pół roku i zapewnił Izbę, że jeszcze przez drugie tyle będzie kanclerzem.

- Nie udało mi się w ciągu trzech lat osiągnąć równości - powiedział - ale jednego jestem pewien: niezależnie od wyniku dzisiejszego głosowania, przedstawię tegoroczny projekt budżetu. Nie będzie ani oportunistycznego rządu konserwatystów, ani „ucz-

ciwego syndyka", jak nazwał siebie Sojusz. Patrząc na ten Sojusz powiedziałbym raczej, że widzę masę upadłościową. I to zdobyta w nieuczciwy sposób. Panie marszałku, jestem pewien, że rząd laburzystowski powróci do parlamentu na pełną kadencję.

Raymond usiadł punktualnie o dziesiątej. Podobnie jak inni mówcy spociał się w świetle reflektorów. Teraz wstał marszałek.

- Izba nie ma zaufania do rządu Jej Królewskiej Mości - powiedział. - Ci, którzy tak uważają, niech powiedzą tak. Ci, którzy są przeciwnego zdania, niech powiedzą nie. Zdaje się, że wniosek przeszedł.

- Nie - zakrzyknęła strona rządowa.

- Głosowanie imienne - zarządził marszałek.

Posłowie rozeszli się do korytarzy. Nikogo nie zdziwiło, że deputowani z Irlandii nie głosują jak jeden mąż. Skrutatorzy podali wyniki głosowania sekretarzowi, który je zapisał. Czterej skrutatorzy ustawili się w szeregu wzdłuż linii widocznej na dywanie, podeszli do stołu marszałka i uklonili się. Naganiacz opozycji przeczytał:

- Głosujących za - 323, głosujących przeciw - 322.

Podał kartkę marszałkowi, który powtórzył wynik. W panującym hałasie niewielu posłów usłyszało jego słowa.

- Większość głosowała za, większość głosowała za.

Raymond siedział w pierwszej ławie patrząc na podskakujących z radości torysów. Gdyby premier mógł przyjść, pomyślał, uratowałby rząd.

Na drugi dzień po operacji królowa odwiedziła premiera w szpitalu. Jej Kólewska Mość została poproszona o niezwłoczne rozwiązanie parlamentu i rozpisanie wyborów powszechnych na dziewiątego maja. Premier wyjaśnił, że zamierza zrezygnować z przewodzenia partii, a swoje stanowisko opuści, gdy będzie znany wynik wyborów.

Królowa przedstawiła jeszcze pewną sprawę prywatną wagi państwowej. Premier powiedział, że w tak delikatnej materii udzieli jej rady nowy lider Partii Pracy.

Nazajutrz rano o dziesiątej Krajowa Egzekutywa Partii Pracy zebrała się w Transport House przy Smith Square. Wybór nowego lidera odbywał się przy drzwiach zamkniętych.

Po trzech godzinach i dwudziestu minutach komitet wydał krótki komunikat dla prasy: „Partię Pracy poprowadzi do zbliżających się wyborów powszechnych Raymond Gould”. Członkowie komitetu nie zdradzili, co kryło się pod deklarowaną oficjalną jednogłośnieścią.

Lord Broadstairs, były premier, napisał w „Sunday Express”, że gdyby Partia Pracy przegrała wybory, kadencja Raymonda Goulda byłaby najkrótsza w dziejach. Zgodnie z punktem 5/4 regulaminu partii, jego nominacja musiała zostać potwierdzona przez delegatów na zjeździe partii w październiku.

Kiedy Raymondowi udało się wymknąć z Transport House, pojechał prosto do Szpitala Westminsterskiego. Po operacji premier jakby się postarzał. Był zadowolony, że nie musi podejmować trudów kampanii wyborczej. Pogratulował Raymondowi nowego stanowiska i spytał:

- Będziesz widział się dziś z królową?
- Tak. Na kolacji z okazji jej sześćdziesiątych piątych urodzin.
- Nie tylko urodziny są powodem zaproszenia - rzekł z powagą premier i wyjawiał Raymondowi treść wczorajszej rozmowy z monarchinią.
- Czy jej decyzja będzie zależała od opinii tych czterech ludzi?
- Przypuszczam, że tak.
- A jakie jest twoje zdanie?
- To nie jest już ważne, bo na drugi dzień po wyborach złożę rezygnację z urzędu premiera. Ważniejsze, żeby nowy premier zastanowił się, co będzie najkorzystniejsze dla kraju.

Raymond poczuł się jak przywódca partii.

Rozdział trzydziesty czwarty

Elizabeth poprawiła białą muchę Simona i cofnęła się o krok.

- Wyglądasz jak premier - powiedziała z uśmiechem.

Simon spojrział na zegarek. Miał jeszcze chwilę czasu, ale nie

chciał ryzykować spóźnienia na urodzinowe przyjęcie w mieszkaniu marszałka. Elizabeth podała mu płaszcz i daremnie rozglądała się za rękawiczkami - musiał je znowu zgubić.

- Mam nadzieję, że mienia państwowego będziesz pilnował lepiej niż swojego dobytku - powiedziała z westchnieniem.

- Cały kraj trudno będzie zgubić - odparł.

- Pamiętaj, że Raymond Gould będzie ci w tym pomagał.

- To prawda. Wolałbym mieć za przeciwnika Kinnocka.

- Dlaczego?

- Bo okoliczności pchnęły Goulda do niewłaściwej partii - wyjaśnił Simon. Pocałował żonę i podszedł do drzwi. - Znaczna część wyborców doszła do tego samego przekonania.

Policjant zasalutował Simonowi wjeżdżającemu przez bramę na New Palace Yard. Samochód zatrzymał się na dziedzińcu przed wejściem dla posłów. Simon znów zerknął na zegarek - zostało jeszcze dziewięć minut. Nie mógł oprzeć się chęci sprawdzenia, ilu posłów jest jeszcze w parlamencie i jakie wiadomości wystukuje teleks. Wetknął przez drzwi głowę do palarni. Większość siedzących tam posłów pochodziła z pewnych okręgów i ponowny wybór miała jak w banku. Pimkin, otoczony wiernymi druhami, pomachał ręką.

- Kelner, poproszę podwójny dzin z tonikiem - zawołał do wyfraczonego Simona.

Świta Pimkina wybuchnęła śmiechem. Simon przekazał barmanowi zamówienie i poprosił o dopisanie go do swojego rachunku.

Przez kilka minut zagadywał posłów o wynik wyborów. Pimkin zapewnił Simona, że torysi zatriumfują.

- Chciałbym, żeby każdy był tego taki pewny - odpowiedział Simon.

Ruszył długim korytarzem wypełnionym od podłogi do sufitu annałami Izby. Doszedł do biura marszałka, przez które przechodziło się do jego prywatnego apartamentu. Na schodach, pod portretem marszałka Addingtona, czekał na niego służący we fraku i białej muszce.

- Dobry wieczór, panie Kerslake - powiedział i zaprowadził Simona do hallu, gdzie czekał na gości uśmiechnięty Charles Seymour. Gospodarz mocno uściskał dłoń Simona, który pomyślał, że Charles wygląda teraz o wiele lepiej niż przed kilkoma miesiącami.

Andrew Fraser przyszedł chwilę wcześniej. Kiedy zaczęli we trójkę rozmawiać o wyborach, pojawił się czwarty gość.

- Wielce szanowny Raymond Gould - obwieścił służący.

Charles poszedł się przywitać.

- Gratuluję wyboru na lidera - powiedział. - Miałeś piekielnie ciężki tydzień. Musisz być wyczerpany.

- Uradowany to właściwsze słowo.

Raymond podszedł do Simona, który też mu pogratulował. Podali sobie ręce. Wyglądali jak rycerze, korzy mierzą się wzrokiem przed decydującym starciem. Niezręczne milczenie przerwał Andrew.

- Mam nadzieję, że walka będzie czysta - powiedział.

Rywale roześmieli się. Służący podszedł do marszałka i powiadomił go, że królowa przed kilkoma minutami wyjechała z pałacu Buckingham.

Charles przeprosił gości i zostawił ich samych.

- Czy znacie prawdziwy powód naszego spotkania? - zapytał Raymond.

- Czyżby urodziny królowej nie były wystarczającym powodem? - odpowiedział pytaniem Simon.

- Nie, to tylko pretekst, żeby nas tu ściągnąć bez zwracania niczyjej uwagi. Może zainteresuje was informacja, że królowa chce nam zadać bardzo delikatne pytanie.

Raymond powtórzył to, co usłyszał od premiera.

Charles oczekiwał królowej na dziedzińcu.

Po kilku minutach nadjechały dwa wozy policyjne, a za nimi znajomy czerwony rolls-royce bez tablicy rejestracyjnej. Kiedy limuzyna zatrzymała się, do tylnych drzwi doskoczył lokaj.

Królowa wysiadła. Prostą koktajlową sukienkę przystrajał sznur pereł i diamentowa broszka. Charles uklonił się, królowa podała mu rękę. Wprowadził ją do swoich apartamentów, gdzie trzech politycy czekali stojąc w szeregu. Królowa podała rękę nowemu przywódcy laburzystów, złożyła mu gratulacje i zapytała o zdrowie premiera. Potem uściśniła rękę liderowi opozycji i zadała pytanie, jak po zmniejszeniu wydatków na państwową służbę zdrowia radzi sobie żona w szpitalu w Pucklebridge. Na koniec podeszła do

Andrew i żartem przypomniała ostatnie przemówienie jego ojca, który twierdził, że największą słabością socjaldemokratów jest brak przywódcy.

- Ojciec ma już swoje lata, Wasza Królewska Mość - powiedział.
- Gladstone był starszy, kiedy tworzył swój ostatni rząd.

Królowa wzięła ze srebrnej tacy dzin z tonikiem i rozejrzała się po wspaniałym wnętrzu.

- Mój mąż i ja cieszymy się, że architekci nawiązują do gotyku. Szkoda tylko, że tak rzadko bywamy w Westminsterze. Gotycki wystrój oglądamy albo na fasadach dworców, albo w katedrach.

Panowie roześmieli się, a po chwili Charles zaprosił gości do jadalni. Przy owalnym stole pierwsza usiadła królowa. Po jej prawej stronie Charles posadził Raymonda, a po lewej Simona.

Gdy podano szampana, Charles wraz z kolegami wstał i wznosił toast za zdrowie monarchini. Królowa przypomniała, że jej urodziny wypadają właściwie za dwa tygodnie, ale oficjalne przyjęcia odbywają się przez miesiąc.

- Moja matka częściej chodziła na przyjęcia z okazji dziewięćdziesiątych urodzin niż ja z okazji sześćdziesiątych piątych. Nie wiem, skąd ona czerpie tyle energii.

- Może zechciałaby zastąpić mnie w kampanii wyborczej - powiedział Raymond.

- Proszę tego nie proponować. Od razu chętnie by się zgodziła.

Po wędzonym łosiosiu i jagnięciu w czerwonym winie przyniesiono tort urodzinowy w kształcie korony spoczywającej na biskopowej kracie symbolizującej wrota do parlamentu. Świeczek nie było.

Służący podali koniak i wyszli. Czwerej politycy spoważnieli, gdy królowa zadała delikatne pytanie, które zaskoczyło jedynie Charlesa.

Nikt nie odpowiedział. Królowa zwróciła się do Raymonda.

- Chyba powinnam najpierw spytać zastępcę premiera.
- Jestem za, Wasza Królewska Mość - rzekł bez wahania.

Królowa zwróciła się do Simona.

- Ja również popieram tę decyzję, Wasza Królewska Mość - odparł Simon.

- Dziękuję - powiedziała królowa i zwróciła się do Andrew.

- W głębi duszy jestem tradycjonalistą, Wasza Królewska Mość, ale przyznam się, że w ostatnich latach sporo nad tą kwestią myśla-

łem. Ostatecznie przekonałem się do tak zwanego „nowoczesnego rozwiązania”.

- Dziękuję - powiedziała królowa i spojrzała na Charlesa Seymoura.

- Jestem przeciw, Wasza Królewska Mość - powiedział bez wahania. - Ale ja nie jestem nowoczesny.

- U marszałka to dobra cecha - odparła królowa i dodała: - Kilka lat temu prosiłam ówczesnego lorda kanclerza, by przygotował stosowne dokumenty. Zapewnił mnie, że przy braku sprzeciwu ze strony przywódców parlamentarnych ustawa przejdzie przez obie Izby jeszcze przed rozwiązaniem parlamentu.

- Tak jest, Wasza Królewska Mość - zapewnił Charles. - Jeżeli wszystko zostało przygotowane, wystarczy kilka dni. Decyzję królowej proklamuje się w obu Izbach parlamentu i przyjmuje bez głosowania.

- Znakomicie, panie marszałku. A więc sprawa została uzgodniona.

KSIĘGA SZÓSTA
1991
PREMIER

Rozdział trzydziesty piąty

Proklamacja królowej została przyjęta przez Izbę Lordów i Izbę Gmin.

Naród był zaskoczony, ale wkrótce zajął się kampanią wyborczą. Pierwsze sondaże przyznawały torysom dwuprocentowe prowadzenie. Prasa przypisywała to zmianie na stanowisku lidera laburzystów. Po tygodniu przewaga torysów zmalała.

- W polityce tydzień to szmat czasu - powiedział Raymond.

- Zostały jeszcze dwa - przypomniała Joyce. Komentatorzy przypuszczali, że wzrost popularności Raymond

zawdzięcza zainteresowaniu okazanemu przez prasę po wyborze na przywódcę laburzystów. Pierwszą oznaką kłopotów była podana przez ministra zatrudnienia wiadomość o nienotowanym od dziewięciu miesięcy wzroście inflacji.

- A kto od trzech lat jest kanclerzem skarbu? - zapytał Simon przemawiając tego samego dnia w Manchesterze.

Raymond bagatelizował te duże liczby twierdząc, że raz na miesiąc może się zdarzyć nagle wahnienie, ale Simon zapowiadał dalsze kłopoty.

Gdy Ministerstwo Handlu poinformowało o największym od czternastu miesięcy deficycie w bilansie płatniczym, Simon przybrał pozę proroka i torysi odzyskali bezpieczną przewagę. Socjaldemokratom udało się jednak urwać jeden procent głosów i torysom, i laburzystom.

Wszyscy trzej przywódcy odwiedzili sto niepewnych okręgów, w których waga się losy wyborów. Na pięćset pięćdziesiąt pozostałych okręgów nie chcieli tracić czasu. W okręgach tych aż osiem procent głosujących musiałoby przejść do przeciwnego obozu, aby zmienić wyborczą geografie.

Jedynie w przypadku okręgu Littlehampton Aleca Pimkina Andrew był gotów zrobić wyjątek dla „reguły ośmiu procent”. Socjal-

demokraci wybrali tam rzutkiego młodego kandydata, który od trzech lat rozracał pieczę nad wyborcami, ostrząc sobie zęby na mandat Pimkina.

Alec Pimkin pojawił się w Littlehampton dopiero, gdy przewodniczący komitetu wyborczego odwiedził go w Londynie i ostrzegł, że żółtych kresek Sojuszu jest już prawie tyle na wyborczej mapie, ile niebieskich kresek konserwatystów.

- Nie rozumiesz, że mam w Izbie poważne obowiązki? - pytał Pimkin. - Nikt nie mógł przewidzieć, że mamy wysłuchać specjalnego oświadczenia królowej.

- Wszyscy o tym wiemy. Ale projekt ustawy wniesionej przez królową przeszedł przez wszystkie trzy czytania bez podziału Izby.

Pimkin często przeklinał dzień, w którym zezwolono telewizji na wkroczenie do Izby.

- Nie narzekaj - pocieszał przewodniczącego. - Nadejdzie właściwa chwila, nadejdzie właściwy człowiek. - Wyborcy będą pamiętać o moich zasługach w parlamencie. Zapomniałeś, że kandydowałem na przywódcę torysów?

Przewodniczący miał na końcu języka odpowiedź: „A ile wtedy zebrałeś głosów?”, ale wziął głęboki oddech i powtórzył prośbę o jak najszybszy przyjazd do okręgu.

Pimkin zjawił się na tydzień przed wyborami i jak podczas poprzedniej kampanii, usadowił się w jednej z sal pubu Swan Arms. Każdego, kto zechciał zapytać, zapewniał, że to jedyny porządny pub w okręgu.

- Ale kandydat Sojuszu był we wszystkich pubach - jęknął przewodniczący.

- Bo jest głupi. Teraz możemy powiedzieć, że jest wędrownym moczygębą - powiedział Pimkin ze śmiechem.

Od czasu do czasu Pimkin decydował się na przechadzkę do siedziby komitetu wyborczego, gdzie oddani torysi składali ulotki wyborcze i zaklejali koperty. Pewnego razu wybrał się na główną ulicę i ku swemu przerażeniu zobaczył Andrew Frasera stojącego na skrzynce i zachwalającego kandydata Sojuszu. Pimkin podszedł bliżej, żeby posłuchać, i niemile się zdziwił, że w sporym tłumie prawie nikt go nie rozpoznaje.

- Bzdura - krzyknął głośno.

Andrew pomachał mu ręką nie przerywając wystąpienia, w

którym przekonywał, że Littlehampton potrzebuje kandydata mieszkającego na miejscu. Słyszając to Pimkin schronił się w zacisznym ciepłym pubie Swan Arms. Właściciel pubu zapewnił go, że w Littlehampton można wystawić na kandydata konserwatystów osła z niebieską wstążeczką, a ludzie i tak go wybiorą. Pimkin nie był zachwycony.

Na sześć dni przed wyborami Andrew spotkał się z liberałami, żeby omówić taktykę działania. W niektórych sondażach notowano dwadzieścia dwa procent sympatyków Sojuszu, podczas gdy laburzyści i konserwatyści szli równo i mieli po trzydzieści osiem procent zwolenników. „Observer” i „Sunday Times” poważnie analizowały szanse na zapowiadaną przez Andrew zmianę układu sił w parlamencie. Przeciwnie opinie wyrażało tylko niewielu komentatorów. BBC i ITV próbowały już zaklepać sobie pierwszy wywiad z Andrew po wyborach. On jednak nie umówił się z nikim.

W poniedziałek przed wyborami przyjechał z Liverpoolu do Glasgow i ścigany przez sforę dziennikarzy przemierzył całą Szkocję, aż w środę wieczorem dotarł do Edynburga.

Tego samego wieczoru Simon przyjechał do Pucklebridge, aby wygłosić ostatnią mowę w kampanii wyborczej. Nieduża sala pomieściła czterystu osiemnastu słuchaczy, a na dworze, mimo zimna, jeszcze cztery tysiące ludzi słuchało Simona przez głośniki. Kończąc przemówienie wezwał do działania sympatyków w całym kraju:

- Nie zapomnijcie pójść jutro na wybory. Ważny jest każdy głos. Stwierdzenie to okazało się najtrafniejszą przepowiednią.

Tego wieczoru Raymond wrócił do Leeds. Na dworcu Leeds City czekał na niego burmistrz i połowa członków korporacji. Zawieziono go do ratusza, gdzie miał po raz ostatni zaapelować do wyborców. Z trudem zebrał siły na wygłoszenie jeszcze jednej mowy. Powitanie, jakie zgotowało mu dwa tysiące wyborców zgromadzonych w ratuszu, pozwoliło jednak zapomnieć, że od miesiąca spał po cztery godziny na dobę. Burmistrz nie musiał go przedstawiać.

- Ray wrócił do domu - powiedział po prostu.

Raymond wstał i wygłosił mowę z takim zapalem jak pierwszego dnia kampanii. Kiedy po czterdziestu minutach usiadł, poczuł, że nogi ma jak z waty. Ludzie powoli rozeszli się, a Joyce i Fred Padgett zawieźli wyczerpanego kandydata do domu. Zasnął w samochodzie, więc we dwójkę wciągnęli go na górę i położyli spać.

Wszyscy trzej przywódcy wstali przed szóstą, żeby przygotować się do udzielenia wywiadów dla dwóch kanałów telewizji. Każdego czekało też pozowanie do obowiązkowego zdjęcia, kiedy idzie głosować razem z żoną.

Andrew z radością przyjechał do Edynburga. Mógł tu spotkać przyjaciół, dzięki którym nadal zasiadał w parlamencie, i wspominać dawne czasy. W dniu głosowania, tak jak kiedyś, przysiadł na schodkach lokalu wyborczego i zaczął słuchać zegara wybijającego dziesiątą. Nie było tylko pani Bloxham zapewniającej, że zawsze głosuje na zwycięzcę. Staruszka umarła przed rokiem. Andrew, Louise i Clarissa wrócili do siedziby socjaldemokratów i wraz z najwierniejszymi zwolennikami zasiedli przed telewizorami, aby jak najszybciej poznać wyniki wyborów.

Raymond i Joyce zostali na noc w Leeds, a Simon i Elizabeth wrócili do Londynu, do Centralnego Biura przy Smith Square. Raymond nie pamiętał już, kiedy zdarzyło mu się oglądać telewizję przez trzy godziny z rzędu. Dopiero dwadzieścia jeden minut po jedenastej nadeszły pierwsze wyniki z Guildford. Na swoją stronę konserwatyści przeciwnie dwa procent wyborców.

- Za mało - powiedział Simon siedząc w pokoju przewodniczącego partii w Centralnym Biurze.

- To może nie wystarczyć - rzekł Raymond, gdy dwa kolejne okręgi ogłosiły werdykt, z którego wynikało takie samo przesunięcie głosów.

Pierwsza elektryzująca wiadomość nadeszła kilka minut po północy. Socjaldemokraci przejęli mandat laburzystów w Rugby, a niecałe pół godziny później odebrali konserwatystom Billericay. Kiedy poznano wyniki z pierwszych stu okręgów, komentatorzy nadal nie byli pewni, co z tego wyniknie. O pierwszej w nocy, po podliczeniu wyników z dwustu okręgów, sytuacja nadal była płynna. Tak samo było o trzeciej, mimo że swoich kandydatów wybrało już przeszło trzysta okręgów.

Raymond poszedł spać, gdy jego przewaga nad Simonem wynosiła 236 do 191 głosów. Wiedział jednak, że straty rywala do rana wyrównają okręgi wiejskie. Andrew zyskał cztery nowe mandaty i stracił jeden, zbierając w sumie trzydzieści dwa.

Na drugi dzień od szóstej rano komentatorzy w radiu i telewizji powtarzali zgodnie, że nastąpił impas. Wczesnym pociągiem Ray-

mond i Joyce wrócili do Londynu. W tym czasie wiejskie okręgi dawały dowód, że są jak zawsze wierne konserwatystom. Simon pojechał do Pucklebridge, żeby podziękować za rekordową większość głosów. Chętnie oddałby parę tysięcy niepewnym okręgom, które nie przeszły na jego stronę. O dwunastej trzydzieści trzy, kiedy Raymond dojechał pod Numer Jedenasty przy Downing Street, przewaga Partii Pracy zmniejszyła się i wynosiła 287 do 276, podczas gdy Sojusz zdobył czterdzieści cztery mandaty.

W piątek o dwunastej cztery programy telewizyjne przekazywały transmisję z Edynburga. Szeryf ogłosił, że Andrew Fraser odnowił mandat przewagą 7 000 głosów. Kamery pokazały zwycięzcę z uniesionymi triumfalnie rękoma. Socjaldemokratom przybył jeszcze jeden mandat O pierwszej socjaldemokraci odnotowali czterdzieste szóste zwycięstwo przewagą siedemdziesięciu dwóch głosów.

- Bez Pimkina parlament nie będzie już taki jak dawniej - powiedział ze smutkiem Simon do Elizabeth.

Dwadzieścia trzy minuty po drugiej dwie główne partie miały po 292 mandaty. Z dwóch pewnych okręgów torysów nie zgłoszono jeszcze wyników. Pierwszy z nich utrzymał Simon, drugi po trzech liczeniach głosów przypadł Andrew.

O godzinie czwartej lord Day of Langham ogłosił ze studia BBC wyniki wyborów w roku 1991:

KONSERWATYŚCI	293
LABURZYŚCI	292
SOJUSZ LIBERALNO-DEMOKRATYCZNY	47
IRLANDCZYCY	17
MARSZAŁEK	1

Następnie lord Day przedstawił rozłożenie głosów w liczbach bezwzględnych i procentowo.

PARTIA PRACY	12 246 341 (35,2 %)
PARTIA KONSERWATYWNA	12 211 907 (35,1%)
SOJUSZ	8 649 881 (25,4 %)

Przyznał, że nie spotkał się z podobnym wynikiem w ciągu trzydziestu sześciu lat pracy dziennikarskiej. Przeprosił widzów, że

nie udało mu się przeprowadzić rozmowy z Andrew Fraserem, który miał zdecydować, kto utworzy rząd.

Andrew zadzwonił do Simona, a potem do Raymonda. Wysłuchał ich propozycji i powiedział, że na niedzielę zwoła w Londynie zebranie swoich posłów i przekaze im obie oferty. O decyzji kolegów obiecał powiadomić natychmiast, żeby nie zwlekać z powołaniem rządu.

Andrew i Louise przylecieli z Edynburga w sobotę rano samolotem pełnym dziennikarzy, którym nie udało się jednak zdobyć żadnych nowych informacji.

Sir Duncan powiedział reporterowi „Scotsmana”, że jego syn bez wątpienia poprze konserwatystów. Natomiast były premier oświadczył, że w głębi ducha Andrew zawsze był i pozostanie socjalistą.

W sobotę Andrew odbył kilka nieformalnych spotkań przy Pelham Crescent, badając nastroje zasłużonych członków Sojuszu. Kładąc się spać nie miał jeszcze wyrobionego zdania. Usłyszał spikera mówiącego, że nikt nie wie, jak będzie głosował Sojusz na jutrzejszym posiedzeniu.

- Ja też - powiedział głośno do siebie Andrew.

Po dłuższych deliberacjach, zważywszy zalety obu przywódców i to, co sobą reprezentują, wybrał partię, która powinna utworzyć rząd.

Nazajutrz rano w parlamencie wszyscy posłowie socjaldemokracji i liberałowie musieli przedzierać się między szpalerami dziennikarzy i fotoreporterów do sali posiedzeń na trzecim piętrze. Naganiacz umyślnie wybrał trudniej dostępną salę. Poprosił też buła wnego, by upewnił się, czy wszystkie magnetofony są "wyłączone z kontaktów".

Otwierając zebranie Andrew pogratulował kolegom wyboru do Izby Gmin.

- Musimy pamiętać - powiedział - że naród nigdy nam nie wybaczy, jeżeli nie wykorzystamy w sposób odpowiedzialny władzy, jaka spoczęła w naszych rękach. Gdy wybierzemy jedną partię, nie możemy po kilku tygodniach rozmyślić się doprowadzając do nowych wyborów. Musimy być rozważni i odpowiedzialni, w przeciwnym razie w najbliższych wyborach stracimy wszystkie mandaty.

Andrew powiadomił kolegów, że obaj przywódcy zgodzili się z nim co do celów, ku którym powinien zmierzać przyszły rząd.

Przyznali, że w gabinecie powinno się znaleźć miejsce dla dwóch członków Sojuszu i obiecali poprzeć wniosek o referendum na temat reprezentacji proporcjonalnej. Przez trzy godziny członkowie Sojuszu wyrażali swoje poglądy, ale mimo starań Andrew nie doprowadził ich do zgody. Zarządził głosowanie, w którym sam nie brał udziału, a liczenie głosów powierzył naganiaczom.

Głosy rozdzieliły się po równo - trzydzieści dwa na trzydzieści dwa.

Szef naganiaczy poinformował członków Sojuszu, że decyzję muszą złożyć w ręce wybranego przez siebie lidera. W końcu to jemu w głównej mierze zdzwięczali wejście do parlamentu. Dwadzieścia siedem lat doświadczenia pozwalało ocenić, który lider i która partia są lepiej przygotowani do rządzenia krajem.

Szef naganiaczy usiadł, posłowie wyrazili zgodę na przedstawiony tryb postępowania. Posiedzenie zamknięto.

Andrew pojechał na Pelham Crescent. Kiedy powiadomił Louise o swoim wyborze, była trochę zaskoczona. Tego samego dnia Andrew poszedł na kolację z osobistym sekretarzem królewskim. Sekretarz wrócił do pałacu Buckingham po jedenastej i przekazał treść rozmowy.

- Pan Fraser chce uniknąć przyśpieszonych wyborów - powiedział. - Daje jasno do zrozumienia, którą partię w Izbie będą popierać socjaldemokraci.

Rozdział trzydziesty szósty

Król Karol III podjął decyzję.

W sobotę rano, gdy Big Ben wybijał godzinę dziesiątą, osobisty sekretarz królewski zadzwonił do wielce szanownego Simona Kerslake'a i poprosił o łaskawe przybycie do pałacu.

Simon wyszedł z siedziby konserwatystów na rogu Smith Square. Na widok tłumu sympatyków, kamer telewizyjnych i dziennikarzy uśmiechnął się i pomachał ręką. Minął kordon policjantów i usiadł z tyłu w limuzynie. Kawalkada motocyklistów przeprowadziła limuzynę przez tłum zgromadzony przy Transport House. Simon zastanawiał się, co teraz myśli Raymond? Czy pogodził się z decyzją Andrew Frasera?

Scotland Yard został uprzedzony o wezwaniu Simona przed oblicze króla. Na wszystkich przejściach ulicznych policjanci zatrzymywali ruch i salutowali. Simon poczuł się podniesiony na duchu. Pomyślał o Elizabeth i synach. Tak bardzo by chciał mieć ich przy sobie. Przypomniały mu się wybory w Coventry, utrata mandatu, niepowodzenia do czasu Pucklebridge. Kłopoty finansowe, pisemna rezygnacja, którą Archie Millburn obiecał zwrócić mu, kiedy zostanie premierem, irlandzka Karta, „Broadsword” i walka z Charlesem Seymourem.

Limuzyna okrążyła pomnik królowej Wiktorii i zbliżyła się do wielkiej bramy pałacu. Wartownik w szkarłatnym mundurze gwardii grenadierów prezentował broń. Od wczesnych godzin rannych przed bramą gromadził się tłum ciekawskich, którzy chcieli zobaczyć swojego nowego premiera. Simon znów się uśmiechnął i pomachał ręką.

Limuzyna przejechała przez dziedziniec, bramę prowadzącą na drugi dziedziniec i zatrzymała się przy bocznym wejściu. Simon wysiadł. Osobisty sekretarz króla czekał na niego i w milczeniu poprowadził schodami, koło portretu Jerzego III pędzła Alana Ramseya, a potem długim korytarzem do sali audiencji. Ukłonił się i wyszedł.

Simon został sam na sam z nowym królem. Z bijącym sercem zrobił trzy kroki i ukłonił się. Czekał, aż król przemówi pierwszy.

Czterdziestotrzyletni monarcha był opanowany i spokojny, choć miał przed sobą zadanie bardzo delikatnej natury.

- Chciałem się z panem widzieć w pierwszej kolejności, panie Kerslake - powiedział. - Należy się panu wyjaśnienie, dlaczego powołałam na swojego pierwszego premiera Raymonda Goulda.